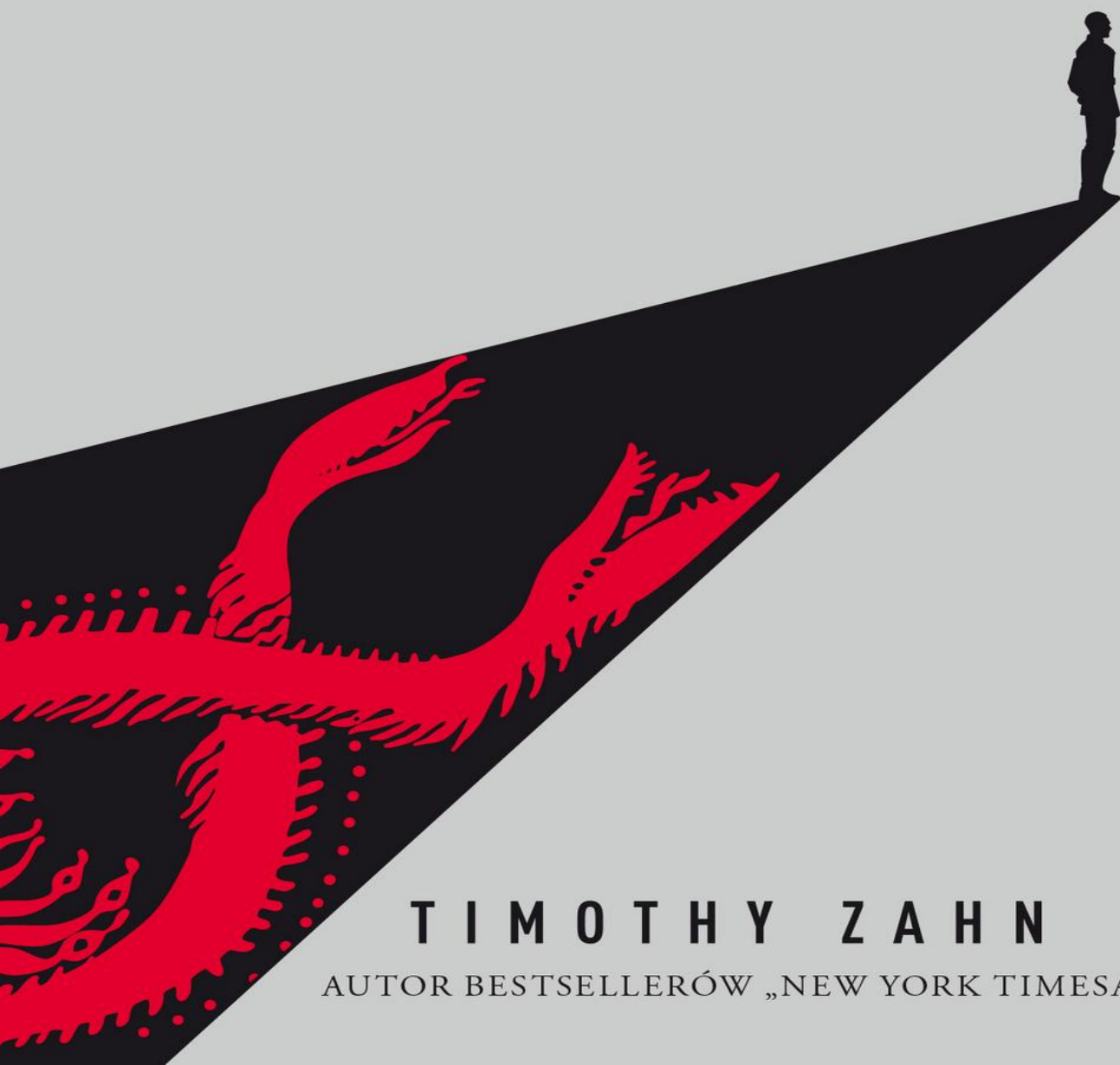


# STAR WARS™

## D Y N A S T I A T H R A W N A

C H A O S



T I M O T H Y Z A H N

AUTOR BESTSELLERÓW „NEW YORK TIMESA”

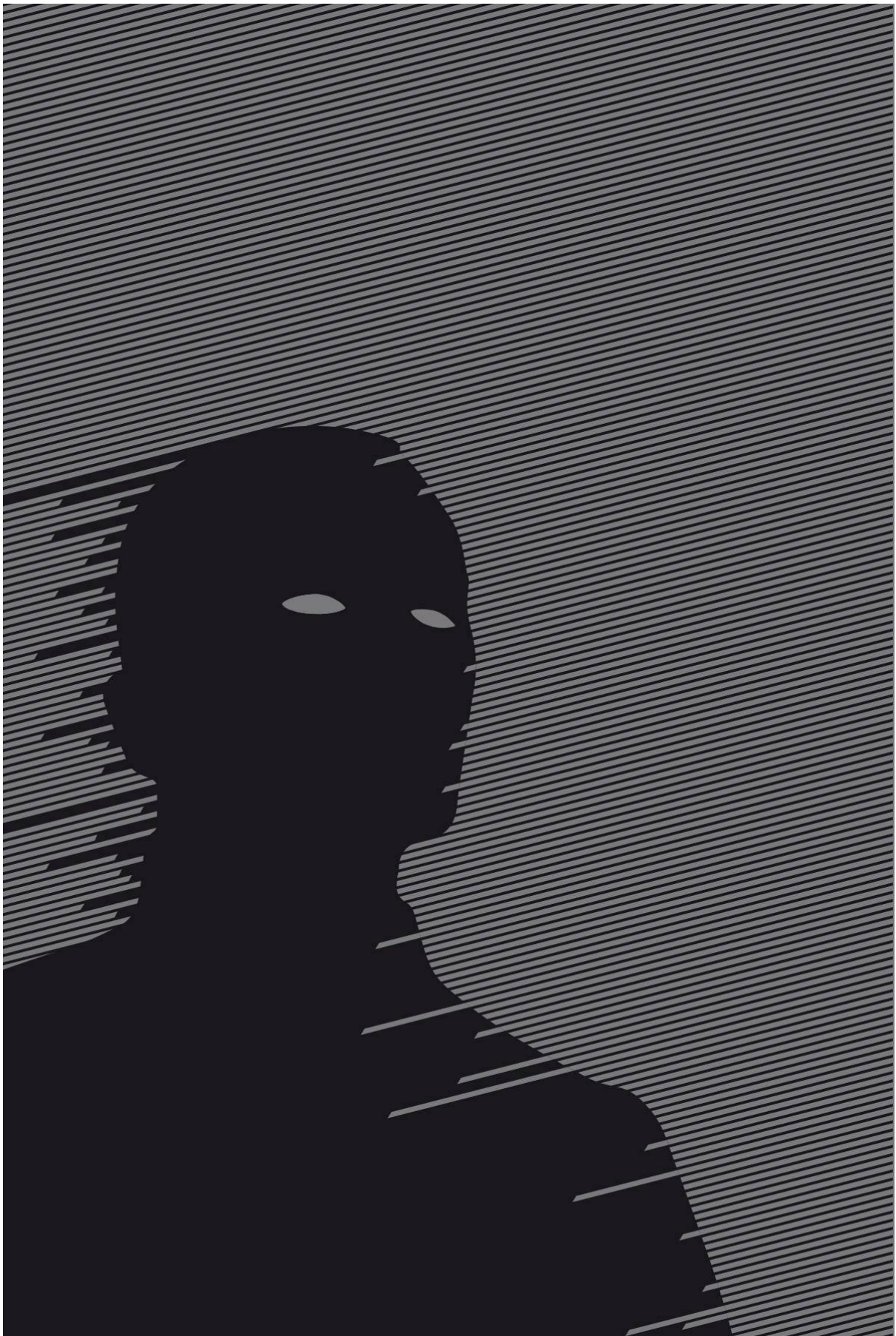
**STAR  
WARS**



D Y N A S T I A  
T H R A W N A  
C H A O S

**Timothy Zahn**

TLUMACZENIE  
JAKUB POLKOWSKI



# STAR WARS™ CHRONOLOGIA

## WIELKA REPUBLIKA

ŚWIATŁO JEDI  
PRÓBA ODWAGI  
W CIEMNOŚĆ  
BURZA NADCIĄGA

## UPADEK JEDI

MROCZNE WIDMO. EPIZOD I

ATAK KLONÓW. EPIZOD II

WOJNY KLONÓW

KATALIZATOR (wprowadzenie do filmu  
*Łotr 1. Gwiezdne wojny – historie*)

DYNASTIA THRAWNA. CHAOS

MROCZNY UCZEŃ (na podstawie niezrealizowanych  
odcinków serialu *Wojny klonów*)

ZEMSTA SITHÓW. EPIZOD III

## RZĄDY IMPERIUM

PARSZYWA ZGRAJA

AHSOKA

THRAWN

LORDOWIE SITHÓW

TARKIN

WIELKA UCIECZKA (wprowadzenie do filmu  
*Han Solo. Gwiezdne wojny – historie*)

HAN SOLO. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOWY ŚWIT (wprowadzenie do serialu *Rebelianci*)

UTRAZONE GWIAZDY

REBELIANCI

THRAWN: SOJUSZE

THRAWN: ZDRADA

## ERA REBELII

ŁOTR 1. GWIEZDNE WOJNY – HISTORIE

NOWA NADZIEJA. EPIZOD IV

BATTLEFRONT II: ODDZIAŁ INFERNO

UCIECZKA SZMUGLERÓW: PRZYGODY HANA  
SOLO I CHEWBAKKI

DZIEDZIC JEDI

MIECZ JEDI: PRZYGODY LUKE'A SKYWALKERA

BATTLEFRONT: KOMPANIA ZMIERZCH

IMPERIUM KONTRATAKUJE. EPIZOD V

RUCHOMY CEL: PRZYGODY KSIĘŻNICZKI LEI

POWRÓT JEDI. EPIZOD VI

## NOWA REPUBLIKA

ESKADRA ALFABET

KONIEC I POCZĄTEK

KONIEC I POCZĄTEK. DŁUG ŻYCIA

KONIEC I POCZĄTEK. KRES IMPERIUM

OSTATNI STRZAŁ

THE MANDALORIAN

WIEŻY KRWI

## NASTANIE NAJWYŻSZEGO PORZĄDKU

PHASMA

RUCH OPORU

PRZEBUDZENIE MOCY. EPIZOD VII

ESKADRA KOBALTOWA (wprowadzenie  
do filmu *Ostatni Jedi*)

OSTATNI JEDI. EPIZOD VIII

SKYWALKER ODRODZENIE. EPIZOD IX

Wszystkim stojącym na krawędzi chaosu

## Dramatis Personae

THRAWN | Mitth'raw'nuruodo – zasłużony adoptowany rodziny Mitthów

ZIARA | Irizi'ar'alani – zrodzona z krwi członkini rodziny Irizi

THALIAS | Mitth'ali'astov – zasłużona adoptowana rodziny Mitthów

THURFIAN | Mitth'urf'ianico – syndyk rodziny Mitthów

SAMAKRO | Ufsa'mak'ro – zasłużony adoptowany rodziny Ufsa

GENERAL BA'KIF

CHE'RI – gwiazdogatorka

QILORI Z UANDUALONU – nawigator, członek Tropicielei (niewywodzący się z rasy Chissów)

GENERAL YIV DOBROCZYŃCA – dowódca Nikardunów

Dynastia Chissów

Dziewięć Rodzin Rządzących

UFSA PLIKH

IRIZI BOADIL

DASKLO MITTH

CLARR OBBIC

CHAF

Hierarchia rodzinna Chissów

ZRODZONY Z KRWI ZRODZONY W PRÓBIE

KUZYN ZASŁUŻONY ADOPTOWANY

DOSTOJNY KREWNIAK

Hierarchia polityczna

PATRIARCHA – głowa rodziny

MÓWCA – główny syndyk rodziny

SYNDYK – członek Syndykury, głównego organu rządzącego Dynastią

PATRIEL – zajmuje się sprawami rodziny na danej planecie

RADNY – zajmuje się sprawami rodziny na danym terytorium

ARYSTOKR – urzędnik średniego szczebla jednej z Dziewięciu Rodzin Rządzących

**Dawno, dawno temu  
poza granicami odległej galaktyki....**

Od tysięcy lat stanowi wyspę spokoju pośród oceanu Chaosu. Jest ośrodkiem władzy, przykładem stabilizacji i ostoją prawości. Dziewięć Rodzin Rządzących strzeże jej od środka, a Chissańska Ekspansyjna Flota Obronna ochrania od zewnątrz. Nie niepokoi sąsiadów, wrogów obraca w pył. Jest światłem, cywilizacją i chwałą.

Oto Dynastia Chissów.

# Prolog

Atak na Csillę, ojczystą planetę Dynastii Chissów, był nagły, niespodziewany i pomimo swych skromnych rozmiarów zadziwiająco skuteczny.

Trzy duże okręty wyszły z nadprzestrzeni po trzech różnych wektorach podejścia, a następnie skierowały się wprost na planetę. Ich działa laserowe z pełną mocą rozpoczęły ostrzał platform defensywnych globu i orbitujących wokół niego jednostek Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej. Choć wzięte z zaskoczenia, zarówno platformy, jak i okręty już po minucie odpowiedziały ogniem. Wtedy napastnicy zmienili kurs, zmierzając ku lodowej powierzchni atakowanego świata, gdzie w skupisku światel odznaczała się jego stolica – Csaplar. Gdy tylko znaleźli się w odpowiednim zasięgu, do ognia laserowego dołączyły salwy rakiet.

Ich wysiłki spełzły jednak na niczym. Platformy defensywne z łatwością radziły sobie z nadciągającymi pociskami, podczas gdy flota wzięła na cel same okręty agresorów, ścierając je w pył i pilnując, by żaden z wpadających w atmosferę fragmentów poszycia nie był wystarczająco duży, by przetrwać tę gorącą podróż. Wróg został unieszkodliwiony w piętnaście minut po wejściu do układu.

„Groźba zażegnana” – pomyślał ponuro Naczelny Generał Ba’kif, przemierzając szybko korytarz prowadzący do Kopuły, w której syndycy i pozostali Arystokrzy zbierali się już, powracając ze schronów.

Nadszedł czas prawdziwej furii i zemsty.

Och, z pewnością nie zabraknie ani jednej, ani drugiej. Będąc główną władzą wykonawczą Dynastii, Syndykura z lubością pielęgnowała swój wizerunek, na który składały się rozwaga, szlachetność i niezachwiana godność. W większości wypadków, poza nieuniknionymi przepychankami politycznymi, było to wystarczająco bliskie prawdy.

Jednak nie dziś, nie w dniu sesji plenarnej Syndykury. Mówcy mieli przecież kalendarze wypełnione popołudniowymi, prywatnymi spotkaniami, co oznaczało, że gdy rozbrzmiał alarm, prawie cała wierchuszka Arystokry Dynastii znajdowała się w biurach, salach konferencyjnych i na korytarzach. Umieszczone głęboko pod Kopułą schrony były stosunkowo duże i niemal wygodne, jednak od ostatniego ataku na Csillę minęły dekady i Ba'kif wątpił, by ktokolwiek z obecnych przedstawicieli rządu kiedykolwiek miał szansę zobaczyć je na własne oczy.

Dwie godziny przymusowej bezczynności, podczas których Siły Obronne upewniały się, że planecie nie grozi ponowny atak, nie spodobały się politykom i Ba'kif był pewien, że nadchodząca burza będzie mało rozważna, szlachetna i niezachwianie godna.

Nie mylił się.

– Ja osobiście chciałbym wiedzieć – odezwał się Mówca rodziny Ufsa po wysłuchaniu raportu Ba'kifa – kim byli ci obcy, którzy śmieli sądzić, że atak na nas ujdzie im bezkarnie. Kto to był, generale, chcemy wiedzieć, kto to był?!

– Obawiam się, że nie umiem odpowiedzieć, Mówco – odparł Ba'kif.

– Dlaczego? – naciskał Mówca. – Macie przecież szczątki. Macie zapisy danych, ciała, profile broni. Z pewnością da się z tego wywnioskować, kim byli.

– Zaatakowano Dynastię – wtrąciła ponurym głosem Mówczyni rodziny Mitthów, jakby sądziła, że ten drobny fakt mógł umknąć pozostałym. – Musimy wiedzieć, kogo należy ukarać za tak arogancki czyn.

– Tak – potwierdził Ufsa, spoglądając na drugą stronę stołu.

Ba'kif z trudem powstrzymał westchnienie. W dawnych czasach poważne zagrożenie dla Dynastii zwykle jednoczyło Rodziny Rządzące i zawieszało codzienne polityczne intrygi. Do tej chwili żywił odrobinę nadziei na to, że dzisiejszy atak mógł wywołać podobną reakcję.

Najwyraźniej jednak nic takiego nie miało się wydarzyć. Zwłaszcza jeśli chodziło o Ufsa i Mitthów, znajdujących się obecnie w samym środku wyjątkowo skomplikowanej kampanii, w której zdobycz stanowiły nowo otwarte kopalnie na Thearterrze. Rodzinie Ufsa najwyraźniej nie podobało się, że główny rywal miał uszczknąć nieco splendoru związanego z tym wydarzeniem.

– Co więcej – dodał Mówca, spojrzeniem prowokując Mitthkę do ponownego wtrącenia się – potrzebujemy zapewnienia, że Siły Obronne posiadają zasoby pozwalające na ochronę Chissów przed ponownym atakiem tego niezidentyfikowanego wroga.

Questis, dotykowy czytnik danych leżący przed Ba'kifem, rozjarzył się, gdy pojawił się na nim nowy raport. Generał podniósł urządzenie, podtrzymując je lewą ręką, a palcem sunął po krawędzi, by przewinąć ekran.

– Syndykura nie powinna się martwić o swoje bezpieczeństwo – rzekł po chwili. – Właśnie otrzymałem informację, że cztery dodatkowe okręty Ekspansyjnej Floty zostały przekierowane z Naporara i lecą już jako wsparcie dla Sił Obronnych, które obecnie patrolują naszą przestrzeń.

Skrzywił się w duchu. Młodzi mężczyźni i kobiety, gotowi oddać życie, by chronić swój ojczysty świat. Szlachetne i honorowe poświęcenie... a zarówno on, jak i wszyscy pozostali w Kopule wiedzieli, że gdyby kiedykolwiek okazało się potrzebne, byłoby całkowitą i niepowetowaną stratą.

Na szczęście, nie wyglądało na to, by dzisiaj potrzebowali takiej ofiary.

– A jeśli zaatakują inne światy Dynastii? – naciskał Ufsa.

– Pozostałe okręty wysłano już w celu wzmocnienia patroli w sąsiadujących układach, na wypadek, gdyby okazało się, że stanowią kolejne cele – odparł Ba'kif.

– Czy ktoś jeszcze raportował o obecności wroga? – zapytał Mówca Clarrów.

– Na razie nie, Mówco – rzekł generał. – Wedle naszej obecnej wiedzy, był to pojedynczy incydent.

– Wątpię, generale – parsknęła teatralnie Mówczyni rodziny Obbic. – Nikt nie nasyła ot tak okrętów na Dynastię, by potem rzucić zabawki i iść do domu. Ktoś spiskuje przeciwko nam. Należy tego kogoś znaleźć i dać mu porządną nauczkę.

Trwało to jeszcze dobrą godzinę, w trakcie której każda z Dziewięciu Rodzin Rządzących – i niemało Wielkich Rodzin, aspirujących do dołączenia do tego elitarnego grona – upewniało się, że ich wyrazy oburzenia i determinacji zostały odnotowane.

Dla Ba'kifa była to w większości po prostu strata czasu. Na szczęście, bogate doświadczenie militarne nauczyło go, jak słuchać polityków tak, by móc jednocześnie zastanawiać się nad ważniejszymi sprawami.

Mówcy i syndycy chcieli wiedzieć, kto zaatakował Dynastię. To było jednak niewłaściwe podejście.

Znacznie ciekawsze było nie kto, lecz dlaczego.

Obbic miała rację. Nikt nie atakował Csilli dla kaprysu. A już tym bardziej kaprysu kosztującego trzy duże okręty, których strata nie przyniosła żadnej oczywistej korzyści. Zatem albo napastnik srodze się przeliczył, albo jego celem było coś znacznie subtelniejszego.

Co mogło być takim celem?

Większość Syndykury najwyraźniej uważała, że atak stanowił preludium do większej ofensywy i gdy tylko skończą stroszyć piórka, zaczną z pewnością naciskać na Siły Obronne, by ściągnęły swoje jednostki z rubieży w celu ochrony większych układów. Co więcej, pewnie spróbują zmusić Ekspansyjną Flotę Obronną do podobnego manewru: opuszczenia granic i wzmocnienia pozycji wewnątrz Dynastii.

A więc co było celem tego wszystkiego? Skłonienie Chissów, by poświęcili więcej uwagi własnemu terytorium? W takim przypadku zadośćuczynienie żądaniom Syndykury dotyczącym bezpieczeństwa okazałoby się wyjściem zgodnym z zamierzeniami wroga. Z drugiej strony, jeśli syndycy mieli rację odnośnie początku większej ofensywy, pozostawienie Ekspansyjnej Floty w Chaosie mogłoby się okazać równie fatalnym posunięciem. Tak czy siak, jeśli się pomylą, zabraknie czasu na naprawienie błędu, gdy prawda już wyjdzie na jaw.

Gdy tak rozważał różne możliwości, przyszło mu do głowy coś jeszcze. A może wróg wcale nie chciał odciągnąć uwagi Dynastii od czegoś, co się miało wydarzyć, ale czegoś, co już się wydarzyło?

Ten wariant mógł przynajmniej sprawdzić od razu. Dyskretnie wpisał zapytanie na swoim questisie.

Mniej więcej w połowie spotkania w Kopule, gdy nadal próbował ukoić obawy Arystokrów, znał już odpowiedź.

Być może.

Gdy generał wreszcie wrócił do swojego biura, jeden z adiutantów już na niego czekał.

– Udało ci się go odnaleźć? – zapytał dowódca.

– Tak jest, sir – odparł adiutant. – Jest na Naporarze, gdzie przechodzi ostatni etap fizjoterapii związanej z obrażeniami, których doznał podczas działań przeciwko piratom Vagaari.

Ba'kif się skrzywił. Działania te, chociaż w militarnym sensie zakończone sukcesem, okazały się absolutnym politycznym fiaskiem. Minęły miesiące, a wielu Arystokrów wciąż utyskiwało na cały ten bałagan.

– Kiedy będzie dostępny?

– Kiedy tylko pan sobie zażyczy, sir. Powiedział, że jest do pańskiej dyspozycji w każdej chwili.

– Doskonale – rzekł Ba'kif, patrząc na zegarek. Przygotowanie „Wichru” do lotu zajmie pół godziny, podróż na Naporar potrwa cztery, kolejne pół godziny na zadokowanie w centrum medycznym Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej. – Poinformuj go, że ma być gotów za pięć godzin.

– Tak jest, sir. – Adiutant wyraźnie się zawahał. – Czy życzy pan sobie, bym zarejestrował rozkaz czy może kwalifikuje się to raczej jako podróż prywatna?

– Rejestruj – potwierdził generał.

Arystokrzy będą niezadowoleni, gdy się o tym dowiedzą. Syndykura może chcieć nawet zmontować jakiś trybunał, żeby zmarnować jeszcze trochę jego czasu zupełnie niepotrzebnymi pytaniami, jednak Ba'kif miał zamiar zrobić wszystko zgodnie z regulaminem.

– Rozkaz Naczelnego Generała Ba'kifa – kontynuował, słysząc, że jego głos obniża się o ton, jak zawsze, gdy chodziło o formalne rozkazy i raporty. – Przygotować transport dla mnie i starszego kapitana Mitth'raw'nuruodo. Cel podróży: Dioya. Powód: śledztwo w sprawie porzuconego statku znalezionego dwa dni temu w układzie zewnętrznym.

– Tak jest, sir – odpowiedział bez zwłoki sztucznie neutralnym głosem adiutant, w żaden sposób nie zdradzając osobistych przemyśleń na ten temat. Nie wszyscy, którzy nie mieli zbyt dobrej opinii o kapitanie Thrawn, musieli być w końcu członkami Arystokry.

W tej chwili Ba'kif jednak się nimi nie przejmował. Znalazł pierwszą połowę odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego?”.

Znał jednak tylko jedną osobę, która mogła rozwiązać tę zagadkę w całości.

# Wspomnienia I

„Spośród wszystkich obowiązków spychanych na członków rodziny średniego szczebla — jak zauważył cierpko Arystokr Mitth’urf’ianico, idąc korytarzem szkolnym — rekrutacja była jednym z najgorszych”. Nudna, wiązała się ze zbyt wieloma podróżami i najczęściej stanowiła zwykłą stratę czasu. Tu, na Rentorze — blisko Csilli, a jednocześnie paradoksalnie na totalnej prowincji — wiedział dokładnie, jakim rezultatem zakończy się ta wycieczka.

Mimo to, jeśli jakiś generał — nawet świeżo mianowany — twierdził, że ma obiecującego rekruta, sprawdzenie tej informacji było po prostu rodzinnym obowiązkiem.

Generał Ba’kif czekał już na balkonie nad salą wspólną, gdy Arystokr się tam pojawił. Na obliczu wojskowego malował się wyraz kontrolowanego entuzjazmu, choć sama twarz była zdecydowanie za młoda jak na wyższego oficera. Z drugiej strony, rodzinne koneksje istniały właśnie po to.

Wzrok Ba’kifa rozjaśnił się na widok gościa.

— Arystokr Mitth’urf’ianico? — zapytał.

— Jam nim. Generał Ba’kif?

— Jam nim.

Mając za sobą formalności, mogli używać już znacznie wygodniejszej tytulatury i imion rdzeniowych.

— A więc gdzie jest ten uczeń, godny w twoim mniemaniu mojego oblatywania całej planety? — zapytał Thurfian.

— Tam — odparł Ba’kif, wskazując na rzędy uczniów recytujących poranne przysięgi. — Trzeci rząd od tyłu, po prawej.

A więc był dowódcą rzędu? Umiarkowanie imponujące.

— Imię?

— Kivu’raw’nuru.

Kivu. Thurfian nie znał tej rodziny.

— Coś więcej? — zapytał, wyciągając questisa i wpisując nazwę rodu.

— Jego oceny, talent i logiczne rozumowanie wymykają się naszej skali — powiedział generał. — Czynią z niego idealnego kandydata do Akademii Taharim na Naporarze.

— Hm — mruknął Thurfian, przyglądając się wynikom wyszukiwania. Kivu byli chyba najmniej znanym rodem, jaki kiedykolwiek pojawił się w Dynastii Chissów. Nic dziwnego, że sam o nich nie słyszał. — A dlaczego skontaktowałeś się z nami?

— Ponieważ Mitthowie wciąż mają jeszcze dwa wolne miejsca rekrutacyjne — odparł Ba'kif. — Jeśli nie weźmiesz Vurawna, to nie dostanie teraz szansy i straci rok.

— A czy to byłaby aż taka katastrofa?

Twarz wojskowego stężała.

— Owszem, tak sędzę — powiedział, podając rozmówcy własny questis. — Oto jego wyniki.

Thurfian zacisnął usta, przewijając ekran. Widywał lepsze, ale niezbyt często.

— Nie widzę tu informacji o tym, by rodzina przygotowała go do służby wojskowej.

— Bo tak się nie stało — przytaknął Ba'kif. — To pomniejszy ród, bez zasobów i koneksji, jakie mają Mitthowie.

— Jeśli uważali, że jest taki wyjątkowy, powinni byli znaleźć lub stworzyć takie zasoby — odparł zgryźliwie Thurfian. — A więc myślisz, że Mitthowie powinni wykonać odważny ruch i przyjąć go w swe szeregi bez zbędnych pytań?

— Pytaj, o co tylko chcesz — powiedział Ba'kif. — Wszystko jest przygotowane tak, by można było go zwolnić z pierwszych zajęć na rozmowę.

— Czy Arystokrzy są aż tak przewidywalni? — Thurfian uśmiechnął się lekko.

— Arystokrzy? Nie. — Ba'kif odwzajemnił uśmiech. — Ale ich rywalizacja owszem.

— Trudno się nie zgodzić — przytaknął Thurfian, ponownie przyglądając się zapisom dotyczącym Vurawna. Jeśli chłopak choćby w połowie zrealizuje drzemiący w nim potencjał, mógłby okazać się wartościowym nabytkiem dla rodziny Mitthów.

Niegdyś, tysiące lat temu, rodziny były tylko rodzinami — grupami istot związanych przez krew lub małżeństwo, zamkniętymi na innych. Jednak nieodłączne ograniczenia takiego układu doprowadziły do upadku i rozwarstwienia, a niektórzy z Patriarchów zaczęli eksperymentować z metodami wcielania obcych do rodzin inaczej niż poprzez małżeństwo. W efekcie powstał obecny system — obiecujące jednostki mogły być przyjęte poprzez tak zwaną „adopcję zasłużoną”. Z kolei ci spośród nich, którzy udowodnili swoją wartość, mogli oczekiwać wyniesienia do zrodzonych w Próbie, a może nawet otrzymać tytuł dostojnego krewniaka.

Ten Vurawn z pewnością spełniał kryteria pozwalające na adopcję zasłużoną. Co więcej, jeżeli Mitthowie go wezmą, Irizi zostaną z niczym. Niewątpliwie był to jeden z przejawów rywalizacji pomiędzy rodzinami, wspomnianej przez Ba’kifa.

Ale nawet to nie miało znaczenia. Syndykura wreszcie przychyliła się do odwiecznych prośb Sił Obronnych o rozszerzenie ich możliwości i uprawnień, co właśnie zaowocowało powstaniem Ekspansyjnej Floty Obronnej. Jej misją z kolei było pilnowanie interesów Chissów w tych częściach Chaosu, które znajdowały się poza granicami Dynastii, a także poznawanie tamtejszych form życia i określanie stopnia zagrożenia, jakie sobą reprezentują.

Choć raz Arystokrzy naprawdę nie poskąpili wojsku funduszy. Ekspansyjna Flota właśnie budowała swoje nowe okręty, bazy i ośrodki wsparcia. Będą potrzebowali wszystkich kompetentnych oficerów i żołnierzy, jakich tylko dostaną.

Ten Vurawn wyglądał na kogoś, kto dobrze sprawdzi się w takiej roli. Na mężczyznę, który może przysporzyć tam chwały imieniu swojemu i swojej rodziny.

— Dobrze — oznajmił wreszcie. — Porozmawiajmy z nim. Zobaczmy, jak poradzi sobie w trakcie prawdziwego przesłuchania.

— Mam nadzieję, że ośrodek jest niedaleko — powiedział Vurawn, gdy pojazd Thurfiana ruszył żwawo przez ziemie Rentora. — Opuszczam już wszystkie dzisiejsze zajęcia. Instruktorzy będą niezadowoleni, jeśli opuściłbym także jutrzejsze.

— Będzie dobrze — zapewnił Thurfian, wyczuwając w głosie chłopaka udawaną cierpliwość. Czy mały naprawdę nie rozumiał, jak wielki zaszczyt go spotkał?

Najwyraźniej nie. Uczęszczanie na zajęcia zdawało mu się ważne. Adopcja przez jedną z Dziewięciu Rodzin Rządzących — nie.

Rentor nie stanowił politycznego czy kulturalnego zagłębia, więc Thurfian wiedział, że będzie musiał przygotować się na pewną dozę ignorancji. Mimo to, ten brak świadomości wyróżniał Vurawna nawet spośród wielu grubo ciosanych plebejuszy, jakich znał.

Nie zmieniało to faktu, że jeśli Ba'kif dobrze ocenił chłopaka, czeka go kariera wojskowa. Polityka nie była tam aż tak istotna.

Jeśli Vurawn stanie się Mitthem, czego z pewnością nie dałoby się jeszcze zagwarantować. Thurfian wysłał co prawda własny raport, jednak chłopaka wciąż czekała rozmowa z Radnymi, pilnującymi interesów Mitthów na Rentorze, po której mogło nastąpić krótkie spotkanie z tutejszą Patrielką, jeśli opinia Radnych okaże się wystarczająco dobra. Po wszystkich rezultaty rozmów zostaną przesłane do ostatecznej oceny do siedziby rodu na Csilli. Dopiero wtedy Vurawn dowie się, czy zostanie zaszczycony adopcją zasłużoną. Cały proces trwał zwykle około dwóch, trzech miesięcy. Thurfian widział i takie, które ciągnęły się nawet pół roku...

Jego questis zabrzączał, wyciągnął go więc z kieszeni i włączył.

Na ekranie widniała wiadomość tekstowa. Bardzo krótka wiadomość tekstowa.

„Adopcja zasłużona Vurawna zaakceptowana”.

Thurfian zdębiał. „Zaakceptowana?”

Niemożliwe. Rozmowy... Ewaluacja Patrielki... Decyzje w siedzibie rodu...

A jednak. Na jego oczach ktoś pomiął cały ten proces i żadna ze zwyczajowych procedur nie miała już znaczenia.

Po prawdzie to żadna nie była już potrzebna. Zapewne Patrielka otrzymała tę samą wiadomość, a jedynym, co się wydarzy, gdy dojadą do ośrodka, będzie krótka ceremonia wyjścia Vurawna z rodziny Kivu i przyjęcia go w poczet Mitthów.

— Czy coś się stało? — zapytał chłopak.

— Nie, wszystko w porządku — rzekł Thurfian, chowając questisa z powrotem do kieszeni. A więc młody został przyjęty wyłącznie na podstawie opinii Thurfiana, a być może jeszcze szkolnych wyników i raportów?

Bez sensu. Choć chłopak robił wrażenie, to wciąż za mało. Najwyraźniej jakiś wysoko postawiony członek rodu obserwował jego dzisiejszą misję. Zapewne ta sama osoba obserwowała Vurawną i zdecydowała, że przyjęcie go w szeregi Mitthów leży w interesie rodziny.

A zatem skoro decyzja już zapadła, dlaczego Thurfian został w ogóle wysłany do tej szkoły? Jego rekomendacja nie mogła przecież aż tak się liczyć na Csilli.

Oczywiście, że nie. Ta wycieczka miała zaledwie ukryć fakt, że Vurawn już dawno został wybrany do adopcji zasłużonej. Czysta polityka. W końcu, jeśli chodziło o Dziewięć Rodzin Rządzących, polityka była zawsze kluczowa.

Skrzywił się, kiedy w końcu zdołał pozbierać myśli. W żaden sposób nie okazał po sobie zaskoczenia, gdy otrzymał wiadomość — był Arystokrem, stworzeniem politycznym, wystarczająco długo i wiedział, jak nie ujawniać swoich emocji poprzez głos czy też mimikę. Jednak Vurawn w jakiś sposób zorientował się, że wiadomość okazała się wystarczająco niespodziewana, by o nią zapytać.

Przyjrzał się chłopakowi. Rzadko spotykało się taki zmysł obserwacji. Może było w nim więcej, niż dojrzał na pierwszy rzut oka. Jakaś iskra, która kiedyś przyniesie honor i chwałę jemu i jego rodzinie.

Najwyraźniej ktoś w domu myślał podobnie i zdecydował, że rodziną, której ów honor i owa sława przypadną w udziale, będą Mitthowie.

Wciąż otwartym pozostawało pytanie, czy pošlą chłopaka do Akademii Taharim. Jednak biorąc pod uwagę tajemniczego dobrodzieja pociągającego za sznurki, było to zapewne do przewidzenia.

Wbił gniewny wzrok w szybko zmieniający się pod nimi krajobraz. Nie lubił być manipulowany. A już na pewno nie lubił patrzeć, jak ktoś dla kaprysu wyrzuca do kosza porządne i uświęcone wiekami procedury.

Był jednak Arystokrem oraz Mitthem i to nie do niego należało ocenianie decyzji podejmowanych przez jego ród. On miał jedynie wypełniać powierzone mu zadania.

Być może kiedyś to się zmieni.

— Nie, nic się nie stało — powiedział. — Dostałem po prostu informację, że zostałeś zaakceptowany.

— Już? — Vurawn spojrzał na niego szeroko otwartymi oczami.

— Tak — przytaknął Thurfian, skrycie ciesząc się z jego zdziwienia. Zatem dało się go zaskoczyć. I wiedział o polityce przynajmniej tyle, by

dostrzec nienaturalność sytuacji. — Po dotarciu do ośrodka zapewne przejdziemy ceremonię.

— Adopcji zasłużonej, jak rozumiem?

A więc dzieciak coś tam wiedział o Rodzinach Rządzących.

— Tak wszystko się zaczyna — powiedział mu starszy mężczyzna. — Jeśli i kiedy przejdiesz Próby, zostaniesz awansowany na zrodzonego w Próbie.

— A potem na dostojnego krewniaka — powiedział w zamyśleniu Vurawn.

Thurfian westchnął cicho. To z pewnością nigdy się nie wydarzy. Nie, gdy w grę wchodzi ktoś z tak mało istotnej rodziny.

— Być może. Na razie zacznij się przyzwyczajać do nowego imienia, Mitth'raw'nuru.

— Tak jest — wyszeptał chłopak.

Thurfian przyglądał mu się kątem oka. Ba'kif uważał, że chłopak może przynieść chwałę Mitthom. Jednak mógł też sprowadzić na nich wstyd i rozczarowanie. Tak już działał ten świat.

Tak czy siak, dokonano się.

„Vurawn” przestał istnieć. Jego miejsce zajął „Thrawn”.

# Rozdział 1

Ba'kifowi przemknęło przez myśl, że są takie momenty, kiedy dobrze wyrzeć ze względnego bezpieczeństwa Dynastii Chissów i spojrzeć w Chaos. Dawało to szansę docenienia wszystkiego, co uosabiała i znaczyła Dynastia. Porządek i niezłomność. Stabilizację i siłę. Oświecenie, kulturę i splendor. Była wyspą spokoju pośród splątanych nadprzestrzennych szlaków i nieustająco zmieniających się ścieżek, spowalniających podróży i hamujących rozwój handlu między żyjącymi tam istotami.

Jednak legendy mówiły, iż Chaos nie zawsze był taki. Niegdyś, u zarania podróży kosmicznych, między gwiazdami poruszano się równie łatwo, jak czyniono to obecnie w Dynastii. W końcu, tysiące lat temu, cała seria łańcuchowych eksplozji supernowych wyrzuciła olbrzymie masy materii pędzącej z olbrzymią prędkością między gwiazdami. Niszczycielska siła miażdżyła asteroidy, a czasem i całe planety, gdzie indziej zaś rozświetlała kolejne supernowe, zderzając się z gwiazdami z szybkością bliską prędkości światła. Ruch tych wszystkich mas w powiązaniu z obszarami olbrzymich strumieni elektromagnetycznych stworzył niestabilne, nieustająco zmieniające się szlaki nadprzestrzenne. To z kolei sprawiło, że każda podróż dalsza niż o kilka układów planetarnych stała się trudna i niebezpieczna.

Jednak ta niestabilność miała dwie strony. Ograniczenia, które utrudniały podróże i chroniły Chissów przed groźbą inwazji, komplikowały także zwiad i zbieranie informacji. W tym mroku kryły się zagrożenia, ukryte światy i tyrani, żądni podbojów i zniszczeń.

Wyglądało na to, że jeden z tych despotów odnalazł właśnie Dynastię.

– Jesteś pewna, że lecimy we właściwym kierunku? – Ba'kif skierował pytanie do młodej kobiety, siedzącej za sterami ich promu.

– Tak, generale, jestem pewna – odparła. Grymas skrywanego bólu przemknął przez jej twarz. – Byłam częścią zespołu, który to znalazł.

– Oczywiście – przytaknął Ba'kif. Nastąpiła kolejna, krótka chwila ciszy, w trakcie której znów wpatrywał się w odległe gwiazdy...

– Tam – powiedziała nagle pilotka. – Dziesięć stopni na prawą burzę.

– Widzę – potwierdził. – Podprowadź nas od burty.

– Tak jest, sir.

Statek ruszył do przodu, powoli zbliżając się do celu. Ba'kif wyjrzał przez iluminator, czując narastający ciężar w żołądku. Oglądanie holo czy nagrań zniszczonego statku uchodźczego to jedno, ale zobaczenie na własne oczy brutalnej prawdy o rzezi było czymś zupełnie innym.

Starszy kapitan Thrawn poruszył się u jego boku.

– To wcale nie byli piraci – powiedział.

– Dlaczego tak sądzisz? – zapytał generał.

– Uszkodzenia wskazują na chęć zniszczenia, a nie unieruchomienia statku.

– Być może większości zniszczeń dokonano po grabieży.

– Mało prawdopodobne – odparł Thrawn. – Kąt większości śladów po strzałach wskazuje na atak od rufy.

Ba'kif skinął głową. Podążał tym samym tokiem rozumowania, co doprowadziło go do identycznych wniosków.

Rozumowanie i jeden kluczowy, koszmarny fakt.

– Odpowiedzmy najpierw na oczywiste pytania – zaproponował. – Czy ten statek jest w jakikolwiek sposób powiązany z jednostkami, które zaatakowały dwa dni temu Csillę?

– Nie. – Thrawn zareagował natychmiast. – Nie widzę pomiędzy nimi żadnych powiązań artystycznych lub konstrukcyjnych.

Ba'kif znowu pokiwał głową, ponownie dochodząc do takiego samego wniosku.

– A więc możliwe, że oba wydarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Gdyby tak było, stanowiłoby to wyjątkowo ciekawy zbieg okoliczności – powiedział starszy kapitan. – Uważam za bardziej prawdopodobne, że atak na Csillę stanowił jedynie dywersję, mającą skierować naszą uwagę do wewnątrz i z dala od tego incydentu.

– W rzeczy samej – zgodził się generał. – A biorąc pod uwagę koszt dywersji, należałoby założyć, że komuś naprawdę zależy, byśmy nie przyglądali się temu statkowi.

– W rzeczy samej – powiedział z namysłem Thrawn. – Zastanawia mnie, dlaczego pozostawili wrak, zamiast zniszczyć go do końca.

– Mogę to panu wyjaśnić, sir – wtrąciła pilotka. – Służyłam na okręcie patrolowym, który zarejestrował atak. Byli za daleko, byśmy zdołali interweniować czy nawet uzyskać jakieś sensowne dane z sensorów, jednak napastnicy ewidentnie zauważyli naszą obecność i postanowili nie ryzykować konfrontacji. Nim tu dotarliśmy i zaczęliśmy badać statek, skoczyli już w nadprzestrzeń.

– A więc już wiedzieliśmy o ataku – podsumował Ba’kif. – Dywersja miała więc prawdopodobnie odciągnąć naszą uwagę.

– A przynajmniej dać im trochę czasu, nim się nad tym pochylimy – dodał Thrawn. – Jak pan myśli, jak dużo czasu, sir?

Ba’kif pokręcił głową.

– Nie da się tego określić z całkowitą pewnością. Jednak biorąc pod uwagę wściekłość Syndykury po ataku na Csillę, zakładam, że przynajmniej przez trzy albo cztery miesiące będą naciskać na flotę, by ta znalazła im winnych. Oczywiście zakładając, że nie zidentyfikujemy ich wcześniej.

– Nie zidentyfikujemy – powiedział Thrawn. – Przeglądałem nagrania z ataku, statki wyglądają na stare, wręcz przestarzałe. Ktokolwiek je wysłał, wybrał z pewnością te jak najmniej przypominające sprzęt, z którego obecnie korzysta.

Generał uśmiechnął się ponuro.

– Być może nawet niewielkie podobieństwo nam wystarczy.

– Być może. – Thrawn wskazał na wrak statku. – Zakładam, że wejdziemy na pokład?

Ba’kif spojrzał na pilotkę. Miała napiętą twarz, skóra wokół jej oczu zmarszczyła się lekko. Była już raz na tym statku i ewidentnie nie miała ochoty na powtórkę.

– Tak – odparł. – Tylko my dwaj. Załoga promu zostaje tu na straży.

– Przyjąłem – powiedział Thrawn. – Za pozwoleniem, przygotuję skafandry.

– Wykonać – polecił Ba’kif. – Zaraz do ciebie dołączę.

Począł, aż za Thrawnem zamkną się drzwi.

– Rozumiem, że niczego nie ruszaliście? – zapytał pilotkę.

– Nie, sir. Ale...

– Ale?

– Nie rozumiem, dlaczego chciał pan, żebyśmy go zostawili w tym stanie, a nie sprowadzili do bazy i poddali dokładniejszym oględzinom –

powiedziała. – Nie mam pojęcia, jak cokolwiek w środku może się panu przydać.

– Może pani się zdziwi – odparł. – A może oboje się zdziwimy.

Spojrzał w stronę służby, do której udał się Thrawn.

– Właściwie na to liczę.

Ba’kif widział wszystkie holo, które załoga patrolu wysłała do Syndykury na Csilli i kwatery głównej Ekspansyjnej Floty Obronnej na Naporarze.

Rzeczywistość jednak, podobnie jak i sam statek, wyglądała o wiele gorzej.

Zniszczone konsole. Usmażone banki danych i moduły. Rozbite wiązki sensorów i systemy wykrywające.

No i ciała. Te wszystkie ciała.

A przynajmniej to, co z nich zostało.

– To nie był frachtowiec. – Spokojny głos Thrawna dochodził z głośnika w hełmie Ba’kifa. – Jedynie statek uchodźczy.

Ba’kif skinął bez słowa. Dorośli, młodzież, dzieci – zwłoki należały do istot znajdujących się na różnych etapach życia.

Wszyscy zostali zgładzeni z jednolicie brutalną skutecznością.

– Czy udało się coś wyczytać z raportu floty? – spytał Thrawn.

– Prawie nic – przyznał Ba’kif. – Jak już zauważyłeś, takiego typu statku nie ma w naszych bazach. Kod genetyczny ofiar również jest nam nieznany. Sądząc po wielkości, statek nie był przystosowany do dalekich podróży, jednak w Chaosie znajduje się przecież wiele układów planetarnych i ośrodków cywilizacyjnych, których nigdy nie odwiedziliśmy.

– Z kolei ich cechy fenotypiczne... – Thrawn machnął ręką.

– Są trudne do odczytania – przytaknął ponuro Ba’kif, nie zdoławszy powstrzymać dreszczu. Amunicja wybuchowa sprawiła, że nawet najlepsze ekipy rekonstrukcyjne po prostu nie miały za bardzo z czym pracować. – Miałem nadzieję, że może dostrzeżesz coś, co przeoczyli.

– Dostrzegam kilka takich rzeczy – stwierdził Thrawn. – Podstawowa struktura statku odznacza się pewnymi wzorcami, które prawdopodobnie da się odnieść do innych aspektów ich kultury. Również ich stroje są charakterystyczne.

– W jaki sposób? – spytał Ba’kif. – Chodzi o materiał? Wzornictwo? Krój?

– To i więcej. Chodzi o swego rodzaju atmosferę, ogólne odczucie, które składa się w moim umyśle w pewną całość.

– Nie dałbyś rady nam tego kiedyś usystematyzować?

Thrawn zwrócił się w jego stronę i przez wizjer hełmu Ba’kif dojrzał krzywy uśmiech młodszego mężczyzny.

– Doprawdy, generale. Gdybym mógł to po prostu spisać, już dawno bym tak zrobił.

– Wiem – odparł Ba’kif. – Choć byłoby nam wszystkim łatwiej, gdybyś to potrafił.

– Zgadzam się – przytaknął Thrawn. – Proszę jednak być pewnym, że rozpoznam te istoty, jeśli je znowu spotkam. Zakładam, że chce pan się dowiedzieć, skąd pochodzi ten statek.

– W normalnych okolicznościach tak bym właśnie zrobił – rzekł Ba’kif. – Jednak mając na względzie obecne wzburzenie i gniew Syndykury, może być nam trudno wyrwać grupę zadaniową z Sił Obronnych Dynastii.

– W razie potrzeby jestem gotów wykonać tę misję samodzielnie.

Ba’kif pokiwał głową. Oczywiście, spodziewał się, że Thrawn zgłosi się na ochotnika. Jeśli coś sprawiało mu przyjemność, było to właśnie uganianie się za nieznanym i rozwiązywanie trudnych zagadek. Biorąc jeszcze pod uwagę jego wyjątkową zdolność dostrzegania związków przyczynowo-skutkowych tam, gdzie inni nie potrafili ich zobaczyć – i fakt, że zdecydowana większość Arystokrów z radością pozbyłaby się go na jakiś czas z zasięgu wzroku – nadawał się idealnie do tego zadania.

Niestety, nie było to wcale proste.

– Będę potrzebował czegoś odpowiednio wyposażonego na taką misję – ciągnął Thrawn, rozglądając się po wraku. – „Springhawk” nadałby się całkiem nieźle.

– Przeczuwałem, że to powiesz – powiedział kwaśno Ba’kif. – Masz świadomość, że odebrano ci go nie bez powodu, prawda?

– Oczywiście – odparł Thrawn. – Naczelny Admirał Ja’fosk i Rada nie byli zadowoleni z podjętych przeze mnie działań wobec piratów Vagaari. Jestem jednak pewien, że ich gniew już minął.

– Być może – rzekł wymijająco Ba’kif. – Jednakże... cóż. Powiedzmy po prostu, że twoja reputacja wśród pozostałych członków Rady pozostaje wątpliwa.

Spowodowana działaniami Thrawna irytacja Rady Hierarchii Obronnej była niewątpliwie oficjalnym powodem odebrania mu dowództwa nad „Springhawkiem”. I nie chodziło wyłącznie o nieautoryzowaną akcję

przeciwko piratom, ale także o będące jej rezultatem śmierć syndyka Mitth'ras'safisa oraz utratę cennej, obcej technologii.

Jednak istniały także inne, zakulisowe powody. Zwieńczona sukcesem kampania Thrawna, bez względu na jej poparcie ze strony Arystokry czy też jego brak, przysporzyła „Springhawkowi” sławy i chluby, więc rodzina Ufsa uznała, że okręt powinien być dowodzony przez jedno z nich. Potem już wystarczyła tylko dyskretna petycja do Rady, zapewne nawet dyskretniejsza wymiana przysług czy obietnic przyszłych zysków i było po Thrawnie.

Co pozostawało, rzecz jasna, w zupełnej sprzeczności z protokołem. Arystokra nie powinna mieć żadnego wpływu na przydziały wojskowe. Co nie znaczyło, że tak się czasem nie działo.

Cała rzecz w tym, że jak zwykle Thrawn dostrzegał jedynie ogólny zarys sytuacji, zupełnie nie zauważając politycznych niuansów.

Z drugiej strony, pojawiała się szansa na przypomnienie cywilnym przywódcom Dynastii, że to Rada, a nie Syndykura dowodzi wojskiem. Syndycy wzięli sobie „Springhawk”? Nadszedł czas, by Rada odebrała im swoją własność.

– Zobaczą, co da się zrobić – powiedział w końcu. – „Springhawk” ma za kilka dni dołączyć do odwetowego ataku admirał Ar'alani na Paataatusów, ale później będziemy chyba w stanie przywrócić twoje dowództwo.

– Naprawdę sądzicie, że to Paataatusowie stoją za atakiem na Csillę?

– Ja tak nie sądzę. – Generał pokręcił głową. – Ani większość Rady. Ale jeden z syndyków ciągle wraca do tej teorii, a pozostali powoli się do niej przekonują. Poza tym, Paataatusowie i tak znowu szarpali nasze granice, więc zasłużyli sobie na szybkiego klapsa.

– Przypuszczam, że to rozsądne – powiedział Thrawn. – Zamiast jednak czekać do zakończenia operacji, chciałbym wejść na okręt jeszcze przed atakiem. Niekoniecznie jako jego dowódca, ale w celu obserwacji i ewaluacji oficerów i wojowników.

– To możliwe – odparł Ba'kif. – Z drugiej strony, dlaczego nie jako dowódca? Przedstawię temat Ar'alani i zobaczą, czy się zgodzi.

– Jestem pewien, że nie będzie miała nic przeciwko. – Thrawn skinął głową. – Mam rozumieć, że na czas śledztwa zostanie mi przydzielona jakaś gwiazdogatorka?

– Najprawdopodobniej tak. – Szeregi gwiazdogatorek były mocno przerzedzone w ostatnim czasie, ale śledztwo Thrawna może zaprowadzić

go bardzo daleko i nie było sensu zmuszać go do znacznie powolniejszej podróży skokami. – Sprawdzę, które są wolne, gdy wrócimy na Naporar.

– Dziękuję. – Thrawn wskazał w kierunku rufy. – Zakładam, że napastnicy nie zostawili wiele z maszynowni czy magazynów?

– Praktycznie nic – przytaknął ponuro Ba'kif. – Właściwie tylko więcej rozerwanych na strzępy ciał.

– Tak czy siak, chciałbym się tam rozejrzeć.

– Oczywiście – zgodził się Ba'kif. – Tędy.

Kapitan Ufsa'mak'ro przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nowe rozkazy widniejące na questisie, który podał mu jego pierwszy oficer.

Nie. Nie jego pierwszy oficer. Starszy komandor Plikh'ar'illmorf był teraz oficerem starszego kapitana Mitth'raw'nuruodo. I to drugim oficerem.

To sam Samakro został pierwszym Thrawna.

Podniósł wzrok znad questisa i spojrzał na sztywno wyprostowanego mężczyznę. Kharill gotował się z wściekłości, choć sam zapewne sądził, że dobrze to ukrywa.

– Jakieś pytania, starszy komandorze? – zapytał spokojnie Samakro.

Brwi Kharilla drgnęły ledwo zauważalnie. Najwyraźniej spodziewał się, że kapitan „Springhawk” będzie równie zły po otrzymaniu tych nieoczekiwanych rozkazów jak on sam.

– Nie pytanie, a komentarz, sir – wykrztusił przez ściśnięte gardło.

– Niech zgadnę. – Samakro uniósł nieco questis. – Jesteś oburzony faktem, że odebrano mi okręt i przekazano go starszemu kapitanowi Thrawnowi. Zastanawiasz się, czy nie powinniśmy złożyć skargi, osobno lub wspólnie, a jeśli wspólnie, to czy należy się najpierw skontaktować z naszymi rodzinami. Sądzisz, że powinniśmy wnieść także protest do admirała Ar'alani, Naczelnego Admirała Ja'foska oraz Rady Hierarchii Obronnej, przypuszczalnie w tej właśnie kolejności, argumentując, że zmiana struktury dowodzenia na okręcie w przededniu bitwy jest nie tylko niemądra, ale i niebezpieczna. Co więcej, jesteś absolutnie przekonany, że powinniśmy okazać nasze niezadowolenie, wykonując rozkazy Thrawna z tak małą dozą entuzjazmu, jak to tylko możliwe. Czy coś pominąłem?

Szczęka Kharilla zaczęła opadać już przy drugim zdaniu, a teraz była otwarta szerzej, niż starszy komandor kiedykolwiek widział.

– E... nie, niczego pan nie pominął, sir – wybąkał podwładny.

– A zatem – Samakro oddał mu questisa – skoro już to wszystko powiedziałem, ty nie musisz. Wróć na stanowisko i przygotuj okręt do

zmiany dowódcy.

Grdyka Kharilla poruszyła się, ale zdobył się tylko na skiniecie głową.

– Tak jest, sir – powiedział i się odwrócił.

– Jeszcze jedno – rzucił Samakro.

– Sir?

Oczy kapitana zwężyły się niebezpiecznie.

– Jeśli kiedykolwiek przyłapię cię na niewypełnianiu rozkazów – czyichkolwiek rozkazów – lub wypełnianiu prawomocnego rozkazu wolniej lub niedokładniej, osobiście zaciągnę cię przed trybunał. Jasne?

– Bardzo jasne, sir – wycedził przez zęby Kharill.

– Doskonale. Odmaszerować.

Przyglądał się sztywnym plecóm Kharilla, gdy ten kierował się korytarzem w stronę mostka „Springhawk”. Samakro miał nadzieję, że udało mu się przekonać młodszego mężczyznę do choćby udawania entuzjazmu przed nowym dowódcą okrętu, nawet jeśli sam go nie odczuwał.

Miał nadzieję, że dobrze ukrył swoje prawdziwe uczucia.

Był wściekły. Wściekły, oburzony, zdradzony. Jak Rada i Naczelny Admirał Ja’fosk śmieli zrobić to jemu i „Springhawkowi”? Wszyscy wiedzieli, że Ba’kif ślinił się na widok wszystkiego, czego tylko Thrawn dotknął, ale Ja’fosk powinien mieć więcej rozumu.

Mimo to rozkazy zostały wydane i oprotestowanie ich, jak chciał tego Kharill, nie przyniosłoby niczego poza podsyceniem i tak rozpalonego już ognia. Samakro będzie więc wykonywał swoją robotę i dopilnuje, by pozostali oficerowie i wojownicy na okręcie zrobili to samo.

I będzie jednocześnie żywił nadzieję, że w jakikolwiek polityczny bałagan wpakuje się tym razem Thrawn, nie zmiecie ich on wszystkich z pokładu.

## Wspomnienia II

Podróż dobiegała końca, więc Al'iastov zamknęła Trzecie Oko i wróciła do przygaszonych świateł mostka „Tomry”, transportowca Chissańskich Sił Obronnych. Uniosła obie dłonie znad przyrządów nawigacyjnych, czując przemożną pustkę zarówno w sercu, jak i w żołądku.

— Starszy komandorze? — zapytała niepewnie, patrząc na oficera siedzącego obok niej.

— Jesteśmy na miejscu — potwierdził. — Dziękuję. Przejmuję sterowanie.

— Dobra — wymamrotała. Wypięła się z upręży, wstała i ruszyła przez cichy mostek w stronę śluzy.

Przeszła przez właz, a następnie podążyła korytarzem w stronę kajuty kapitańskiej, w której przygotowano miejsce dla niej i jej opiekunki. „Tomra” nie opuściła nigdy dotąd Dynastii, nie miała więc zwyczajowej kajuty gwiazdogatorskiej. Opiekunka Al'iastov, Mafole, dość głośno na to narzekała, natychmiast antagonizując tym samym młodszą kapitan Vorlip.

Na innych statkach, na których służyła, opiekunka zwykle witała ją za mostkiem i odprowadzała do kajuty gwiazdogatorskiej. Jednak po kłótni z Vorlip Mafole oznajmiła, że nie opuści swej kabiny, póki nie dotrą na Naporar i powiedziała Al'iastov, że będzie musiała chodzić po pokładzie sama.

I gdy tak szła samotnie długim korytarzem, czuła, jak łzy napływają jej do oczu.

Nie było żadnego powodu, by wysłać gwiazdogatorkę w tę podróż. Wiedziała o tym. Trasy wewnątrz Dynastii nie przypominały tych w Chaosie. Tu szlaki były proste i piloci wiedzieli, jak dolecieć tam, dokąd chcieli.

Właśnie dlatego flota chciała sprawdzić Al'iastov tutaj. Takie rejsy były bezpiecznym sposobem na zweryfikowanie, czy gwiazdogatorka jest wciąż

w stanie wykonywać swoje obowiązki.

Pilot nie powiedział ani słowa. Młodsza kapitan Vorlip też nie.

Ale Al'iastov wiedziała.

Nie była w stanie utrzymać „Tomry” na właściwym kursie. Pilot musiał korygować go w trakcie rejsu.

Jej Trzecie Oko już właściwie zanikło. Nie mogła już wykonywać tej pracy. Jedyne życie, jakie do tej pory знаła, skończyło się. Jej życie skończyło się cały rok wcześniej, niż się to zwykle działo.

W wieku trzynastu lat.

— Dobrze się czujesz?

Al'iastov zatrzymała się w pół kroku, wycierając szybko łzy, które zasłoniły jej nadchodzącą postać. Kilka kroków dalej stał młody mężczyzna w czarnym mundurze. Na kołnierzu nie miał żadnych oznaczeń, co sugerowało, że jest kadetem, a na jego pagonie widniało wschodzące słońce. Symbol jednej z Dziewięciu Rodzin, choć nie mogła sobie przypomnieć, której.

— Nic mi nie jest — odparła. Jedna z jej opiekunek powiedziała kiedyś, że nigdy nie powinna narzekać na samopoczucie. — Kim jesteś?

— Kadet Mitth'raw'nuru. Lecę do Akademii Taharim. A ty?

— Al'iastov. — Skrzywiła się, gdy przypomniała sobie, że jej tożsamość miała pozostać utajniona przed wszystkimi oprócz najwyższych rangą oficerów. — Jestem córką kapitan — dodała, używając wymówki, z której miała skorzystać w razie nagabywania przez członków załogi.

Thrawn uniósł nieco brwi, a Al'iastov poczuła się jeszcze gorzej. Nie uwierzył. Nie tylko jej życie dobiegało końca, ale i ona sama właśnie pewnie wpakowała się w tarapaty.

— To znaczy...

— Jasna sprawa — rzekł Thrawn. — Co się stało, Al'iastov? Czy mogę ci jakoś pomóc?

Dziewczyna westchnęła. Nie powinna przecież narzekać. Ale chyba po raz pierwszy w życiu nie dbała o to, co powinna, a czego nie.

— Nie sądzę... Ja... martwię się. O... sama nie wiem. O to, co teraz zrobić.

— Rozumiem — powiedział chłopak.

Al'iastov wstrzymała oddech. Czyżby zorientował się, kim jest? Buntowniczy nastrój zniknął, znów była w pełni świadoma, że pakuje się w kłopoty.

— Naprawdę? — zapytała ostrożnie.

— Oczywiście. Każde z nas odczuwa niepewność w trakcie podróży przez życie. Nie wiem, co konkretnie cię martwi, ale zapewniam, że wszyscy kadeci na pokładzie również stoją teraz przed poważnymi, życiowymi zmianami.

Odrobinę jej ulżyło. A więc nie wiedział, że jest gwiazdogatorką.

— Jednak wy wiecie, dokąd zmierzacie. Jesteś kadetem i skończysz w Siłach Obronnych. Ja nie wiem, co będę robiła.

— Jesteś córką kapitan okrętu — odparł. — To z pewnością otwiera wiele możliwości. Co więcej, moja podróż do Akademii nie oznacza, że wiem wszystko o mojej przyszłości. A niepewność może z łatwością stać się jednym z najbardziej przerażających stanów umysłu.

Następnie, ku kompletnemu zdziwieniu Al’iastov, Thrawn przykląkł na jedno kolano, przez co jego twarz znalazła się nieco niżej. Dorośli prawie nigdy tego nie robili. Nawet większość opiekunek Al’iastov zwykle stała prosto, patrząc na nią z góry.

— A jednak choć wszyscy stajemy na wielu rozstajach, możemy wybrać naszą drogę — ciągnął. — Też masz tę możliwość. Wybierz ścieżkę, która jest właściwa dla ciebie.

— No nie wiem. — Al’iastov czuła, jak łzy znów napływają jej do oczu. Jakie niby wybory stały przed trzynastoletnią gwiazdogatorką, która zawiodła? Nikt z nią o tym nie rozmawiał. — Ale dziękuję...

— Co tu się wyprawia? — Ostry głos młodszej kapitan Vorlip dobiegł zza jej pleców. — Kim jesteś i co tu robisz?

— Kadet Mitth’raw’nuru. — Thrawn zerwał się na równe nogi. — Zwiedzałem statek, gdy natknąłem się na pani córkę. Wyglądała na zdenerwowaną, więc zatrzymałem się, by zaoferować pomoc.

— Nie powinno cię w ogóle być w tym korytarzu — sarknęła Vorlip. Minęła Al’iastov i stanęła przed Thrawnem. — Nie widziałeś oznakowania TYLKO DLA PERSONELU?

— Założyłem, że przygotowano go na użytek ruchu cywilnego. Jako kadet byłbym więc właśnie „personelem”.

— No więc nie jesteś — syknęła Vorlip. — Powinieneś być teraz z pozostałymi kadetami.

— Proszę o wybaczenie — powiedział Thrawn. — Pragnąłem tylko poczuć okręt.

Skłonił głowę i zaczął się odwracać.

Vorlip wyciągnęła ramię, zagradzając mu przejście.

— Co masz na myśli, mówiąc „poczuć okręt”?

— Chciałem nauczyć się jego rytmu. Pokład delikatnie wibruje, przekazując informacje o zmianie trybu pracy silników. Naszą podróż przez nadprzestrzeń znaczyły drobne wahnięcia i korekty. Pęd powietrza wskazuje na drobne odchylenia, gdy zmieniamy kierunek. Kompensatory od czasu do czasu spóźniają się z nadążeniem za tymi zmianami, co z kolei znów można odczuć w wibracjach pokładu.

— Doprawdy? — Vorlip nie wyglądała już na zdenerwowaną. — Który to twój lot kosmiczny w życiu?

— Pierwszy, nigdy wcześniej nie opuściłem domu.

— Rozumiem. — Vorlip zrobiła krok w jego stronę. — Zamknij oczy. Nie otwieraj, dopóki nie wydam takiego polecenia.

Thrawn zrobił, jak mu kazano. Vorlip chwyciła go za ramiona i bez ostrzeżenia zaczęła nim obracać.

Zaskoczony, rozłożył ręce. Potykał się, bo stopy nie nadążały za górną częścią ciała. Vorlip nie przestawała nim kręcić, sama również powoli poruszała się dookoła. Gdy pokonała mniej więcej jedną trzecią drogi wokół kadeta, zatrzymała go.

— Nie otwieraj oczu — powiedziała, przytrzymując go w miejscu. — W którym kierunku lecimy?

Przez chwilę nie odpowiadał. Następnie uniósł dłoń i wskazał w stronę dziobu „Tomry”.

— Tam.

Vorlip trzymała go jeszcze przez sekundę. Wreszcie puściła i cofnęła się o krok.

— Możesz otworzyć oczy. — Po chwili dodała: — A teraz wracaj do swoich kwater. I nigdy już nie ignoruj takiego znaku, chyba że masz pewność, że ci wolno.

— Tak, pani kapitan — odparł.

Zamrugał kilka razy, odzyskując równowagę, skinął Vorlip, a także Al’iastov, do której również się uśmiechnął, po czym odwrócił się i odszedł.

— Przepraszam — wyszeptała dziewczyna.

— Nic się nie stało. — Vorlip wciąż patrzyła za odchodzącym Thrawnem.

— Jesteś na niego zła? — zapytała Al’iastov. — Chciał mi tylko pomóc.

— Wiem.

— Jesteś więc zła na mnie?

Vorlip spojrzała na nią, uśmiechając się lekko.

— Oczywiście, że nie — odparła. — Nie zrobiłaś nic złego.

— Ale... — Al'iastov urwała, zmieszana.

— Na nikogo nie jestem zła — powiedziała Vorlip. — Po prostu... Mnie zajęło to piętnaście rejsów na czterech różnych statkach, nim wykształciłam tego rodzaju świadomość. Ten cały Mitth'raw'nuru dokonał tego podczas swojego pierwszego lotu.

— Czy to dziwne?

— Bardzo — przytaknęła Vorlip.

— Wydaje się miły... — urwała Al'iastov, przypominając sobie, co powiedział o ścieżkach. — Co stanie się ze mną po odejściu stąd?

— Zostaniesz adoptowana — odpowiedziała Vorlip. — Zapewne przez jedną z Dziewięciu Rodzin Rządzących. Lubią mieć u siebie byłe gwiazdogatorki.

— Dlaczego?

— Kwestia prestiżu. Z pewnością rozumiesz, jak rzadko pojawiają się dziewczynki o twoich zdolnościach. Adopcja zasłużona to wielki honor dla kogoś takiego jak ty.

Al'iastov poczuła nagły ucisk w gardle.

— Nawet jeśli jesteśmy do niczego nieprzydatne?

— Nie mów takich głupot — zganiła ją Vorlip. — Każdy jest przydatny. Mam na myśli to, że zostaniesz powitana z otwartymi ramionami w rodzinie, która cię adoptuje. Zajmą się tobą, zapewnią dalszą edukację, a w końcu i najlepiej pasującą do ciebie karierę.

— Chyba że mnie wywalą.

— Powiedziałam już, żebyś nie gadała głupot. Nikt cię znikąd nie wywali. Jesteś prestiżowym nabytkiem dla rodziny, tak?

— Tak. — Al'iastov wciąż nie wierzyła w to do końca, ale dalsza rozmowa nie miała już sensu.

Chociaż w sumie, może i miała...

— Czy będę mogła wybrać rodzinę?

Vorlip zmarszczyła brwi.

— Nie wiem. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia na temat szczegółów takiego procesu. A co, interesuje cię jakiś konkretny ród?

— Owszem — powiedziała z przekonaniem Al'iastov. — Mitthowie.

— Och, doprawdy? — Vorlip obejrzała się przez ramię. — Jak kadet Thrawn?

— Tak.

Vorlip powoli wypuściła powietrze.

— Jak mówiłam, nie wiem, jak to się dokładnie odbywa. Ale z pewnością nie ma powodu, dla którego nie miałabyś zapytać. Właściwie, jak się nad tym zastanowić, to była gwiazdogatorka z twoimi wynikami powinna móc prosić, o co tylko zechce.

Stało się. Vorlip powiedziała to na głos. „Była gwiazdogatorka”.

Nawigacyjna kariera Al’iastov oficjalnie dobiegła końca.

Nagle zdała sobie sprawę, że, zaskakująco, zupełnie jej to nie przeszkadzało.

— On też tak powiedział — wyszeptała do Vorlip. — Powiedział, że mogę wybrać swoją ścieżkę.

— Cóż, kadeci mówią różne rzeczy. — Machnięciem ręki zbyła zarówno Thrawna, jak i rozmowę z nim. — A teraz musicie zameldować się z opiekunką w moim biurze. Mamy kilka formularzy do wypełnienia.

„Mitth’raw’nuru” — tak się przedstawił. Al’iastov powtarzała sobie to imię w myślach, idąc obok kapitan. „Mitth’raw’nuru”. Nie zapomni go.

A gdy przyjdzie czas, rodzina Mitthów z pewnością otrzyma odpowiednią prośbę.

## Rozdział 2

Oficer przydziałowy pokręcił głową.

– Prośbie odmawiam – stwierdził krótko. – Miłego dnia.

Mitth’ali’astov zamrugła. Czyżby się przesłyszała?

– Nie rozumiem, jak to „odmawia pan”? – zapytała. – Mam tu przecież całą dokumentację.

– To prawda. – Przydziałowy był niewzruszony. – Jednak należało ją złożyć cztery dni temu.

Thalias zacisnęła zęby. Musiała walczyć z całą biurokratyczną machiną rodziny Mitthów, by się tu dostać. I walczyła, kłami i pazurami! Teraz jednak, gdy było już za późno, pojęła, dlaczego odpuścili i pozwolili jej złożyć prośbę.

– Obawiam się, że nie rozumiem. – Z trudem powstrzymywała gniew na własną rodzinę. Mężczyzna przed nią był kluczem do otrzymania przydziału na „Springhawk”. Musiała go sobie zjednać. – Jestem członkinią rodziny Mitthów, a „Springhawkiem” dowodzi członek rodziny Mitthów. Powiedziano mi, że flota zezwala na obserwację.

– Zgadza się – potwierdził oficer, ale jednocześnie postukał palcem w swój questis. – Jednak takie zezwolenie jest objęte pewnymi ograniczeniami. Jednym z nich jest trzymanie się wyznaczonych terminów.

– Teraz już rozumiem – powiedziała. – Niestety, rodzina nie wyjaśniła mi tego wcześniej. Jak zwykle. Czy jest coś, co mógłby pan w tej sytuacji zrobić?

– Obawiam się, że nie – odparł już nieco łagodniej. Obarczenie kogoś innego odpowiedzialnością za ten bałagan sprawiło, że stał się wobec Thalias nieco bardziej empatyczny. O to chodziło. – Należy wziąć przecież pod uwagę czas potrzebny na przeanalizowanie prośby, zwłaszcza że rodziny pozostałych starszych oficerów mają prawo ją zakwestionować.

– Rozumiem. Wszystko sprowadza się do rodzin, czyż nie?

– To prawda, zwykle tak to właśnie wygląda – przyznał oficer.

– Cóż, skoro nie mogę wejść na pokład tego okrętu jako obserwator, może istnieje inny sposób? – Thalias nie dawała za wygraną. – Może jest jakieś inne stanowisko, które mogę objąć? Jestem biegła w obsłudze komputerów, analizie danych...

– Przykro mi – przerwał jej. – Jesteś cywilem, a „Springhawk” nie ma żadnych stanowisk dla cywili.

Nagle zmarszczył brwi.

– Chyba że... chwileczkę. – Spojrzał na nią ponownie. – No proszę. Może... Jest tu stanowisko, które może mogłabyś objąć. „Springhawkowi” właśnie przydzielono gwiazdogatorkę, ale nie mają jeszcze dla niej opiekunki. Masz jakieś doświadczenie lub kwalifikacje do pracy z dziećmi?

– Niespecjalnie – przyznała. – Ale kiedyś sama byłam gwiazdogatorką. Czy to się liczy?

– Byłaś gwiazdogatorką? – Otworzył szeroko oczy. – Serio?

– Serio, serio – przytaknęła.

– Ciekawe – wymruczał, a jego oczy ponownie się zwężyły, choć patrzył teraz jakby odrobinę w innym kierunku. – Sto lat temu opiekunki rekrutowano wyłącznie spośród byłych gwiazdogatorek. Tak przynajmniej słyszałem.

– Ciekawe – powtórzyła za oficerem Thalias. To była jej szansa.

Jeśli chciała z niej skorzystać.

A to wcale nie było proste czy oczywiste pytanie. Ta część jej życia należała już do przeszłości. Co więcej, wielu wspomnień wcale nie chciała rozrzebywać.

Oczywiście, wiele z nich było związanych z kobietami, którym zlecano na okrętach opiekę nad nią. Niektóre całkiem rozsądne, inne zupełnie jej nie rozumiały. Tym razem znalazłaby się jednak po drugiej stronie tej relacji, co powinno nieco pomóc.

Powinno. Mówiąc szczerze, ona sama pewnie nie okazała się najłatwiejszym przydziałem dla swoich opiekunek. Wiele poszczególnych chwil zlało się w jedną, jednak wyraźnie pamiętała kilka długich fochów i parę pełnoprawnych wybuchów wściekłości.

Gdyby jednak sama miała wziąć tę robotę – i stanąć twarzą w twarz z gwiazdogatorką ze wszystkimi tego konsekwencjami – mogłaby spróbować oszczędzić nieco stresu jakiejś dziewczynce...

Wyprostowała ramiona. Przywołanie własnej mrocznej przeszłości nie będzie łatwe. Ale może być też jej jedyną szansą na ponowne spotkanie Thrawna. A z pewnością najlepszą okazją, by mu się dokładnie przyjrzeć.

– Dobrze – zdecydowała. – Biorę to.

– Hola, hola! – Oficer zgasił jej entuzjazm. – To nie takie proste. Wciąż musisz...

Przerwał, gdy ktoś otworzył drzwi za jej plecami. Thalias odwróciła się i zobaczyła wchodzącego do biura mężczyznę w średnim wieku. Wysoko na żółtej szacie zewnętrznej widniał przypięty herb wschodzącego słońca, symbol syndyka rodziny Mitthów.

– Widzę, że udało mi się zdążyć na czas – skomentował. – Mitth’ali’astov, jak sądzę?

– Zgadza się. – Thalias zmarszczyła czoło. – Z kim mam przyjemność?

– Syndyk Mitth’urf’ianico – przedstawił się, po czym przeniósł wzrok na oficera. – Rozumiem, że ta młoda dama stara się o przydział na „Springhawku”, zgadza się?

– W rzeczy samej, syndyku. – Oczy przydziałowego zwięzły się nieco. – Proszę wybaczyć, ale to sprawy floty, a nie Arystokry.

– Chyba że wybiera się na pokład jako obserwator rodziny Mitthów – sprzeciwił się Thurfian.

– Jej dokumentacja się nie zgadza. – Oficer pokręcił głową.

– Ktoś z rodziny opóźnił cały proces – dodała Thalias.

– Rozumiem – rzekł Thurfian. – I nic nie da się zrobić?

– Szukają opiekunki dla gwiazdogatorki – podsunęła Thalias. – Właśnie zaczęliśmy rozmowę na ten temat.

– Doskonale – ucieszył się Thurfian. – Co musimy zrobić, żeby się udało?

– To nie jest takie proste – zaprotestował przydziałowy.

– Oczywiście, że jest – powiedział syndyk. – Stanowisko wciąż pozostaje nieobsadzone, a rodzina Mitthów wciąż ma prawo do obserwacji.

– Ale przecież nie mamy zebranych wszystkich niezbędnych zgód!

– To ja się właśnie zbiorczo zgadzam – rzekł dobitnie Thurfian.

– Syndyku, z całym szacunkiem... – zaoponował oficer.

– Z całym szacunkiem do pana – przerwał mu syndyk i się wyprostował...

Nagle Thalias odczuła całą prawdziwą potęgę Syndykury, wykraczającą daleko poza znaczenie polityczne, niosąc ze sobą pełen ciężar historii Chissów.

– Nad Dynastią wisi groźba ataku. – Głos Thurfiana był niski i groźny. – Siły Obronne i Ekspansyjna Flota muszą znaleźć się w pełnej gotowości. Na każdym okręcie niezbędna jest gwiazdogatorka, a te nie mogą wejść na pokład bez opiekunki. „Springhawk” za cztery godziny ruszy z Naporara w bój. Nie mamy czasu – pan nie ma czasu – na czele rozważania.

Nabrał powietrza, a Thalias odniosła wrażenie, że zarówno jego postawa, jak i ton głosu nieco złagodniały.

– A zatem. Ma pan tu opiekunkę, która jest gotowa, chętna i zdolna do służby. Ma pan zgodę rodziny na jej wejście na pokład. Z pewnością jest pan w stanie znaleźć sposób na zapewnienie „Springhawkowi” zasobów niezbędnych do wykonania czekających nań zadań.

Przez kilka chwil obaj nie wypowiedzieli ani słowa, mierząc się intensywnie wzrokiem. Ach, ta rywalizacja między flotą i Aristokrą.

Jednak w głosie Thurfiana brzmiały rozsądek i pośpiech, a oficer najwyraźniej doskonale je rozumiał.

– Niech będzie. – Spuścił wzrok i przez chwilę pracował na swoim questisie. – Dobrze. – Spojrzał znów na Thalias. – Twoje rozkazy, instrukcje oraz zezwolenia są już na twoim czytniku. Zapoznaj się z nimi i bądź, gdzie powinnaś być, gdy tam powinnaś być. – Rzucił okiem na Thurfiana. – Jak był łaskaw zauważyć syndyk Thurfian, „Springhawk” wylatuje za cztery godziny.

– Dziękuję – powiedziała.

– Nie ma za co. – Uśmiechnął się do niej lekko. – Witamy w Ekspansyjnej Flocie, opiekunko Thalias. Życzę powodzenia z twoją gwiazdogatorką.

Po chwili Thalias i Thurfian stali już na korytarzu.

– Dziękuję – powtórzyła. – Przybyłeś w ostatniej chwili.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – odparł syndyk z uśmiechem. – Jesteś doprawdy wyjątkową osobką, Thalias.

Poczuła, jak na twarz wypełza jej rumieniec.

– Dziękuję – powiedziała po raz trzeci.

– A skoro ja pomogłem tobie – ciągnął Thurfian – to jest coś, w czym i ty możesz pomóc mnie.

Odruchowo odsunęła się od niego i zatrzymała gwałtownie.

– Słucham?

– Nie ma czasu do stracenia – powiedział starszy mężczyzna, chwytając ją pod ramię i ruszając z miejsca. – Chodź, opowiem ci po drodze na twój okręt.

Thalias ostatni raz musiała zapoznawać się z wojskowym rozkładem lotów jakieś dwie dekady temu, nie mówiąc już o konieczności podporządkowania się takowemu. Na szczęście, gdy tylko minął pierwszy szok, stare nawyki i odruchy zaczęły działać, a na prom dotarła z dużym zapasem czasu.

Gdy przybyła, dziewczynka czekała już na nią w kajucie gwiazdogatorki, gdzie, rozwalona na olbrzymim fotelu w salonie, grała w jakąś grę na swoim questisie, stukając w ekran. Na oko miała dziewięć lub dziesięć lat, ale gwiazdogatorki były raczej niskie, co często okazywało się mylące. Spojrzała na Thalias, gdy ta przeszła przez właz, otaksowała ją podejrzliwie wzrokiem, po czym wróciła do gry. Thalias zaczęła się przedstawiać, jednak przypomniała sobie, jak sama była niegdyś sceptycznie nastawiona do nowych opiekunek, więc przerwała i zaniósła bagaże do swojej części kajuty.

Chwilę zajęło jej zadomowienie się. Gdy wróciła do salonu, dziewczynka odłożyła już questis na krzesło obok fotela i wpatrywała się z grymasem na wyświetlacze umieszczone na grodzi pod barem z przekąskami.

– Ruszyliśmy już? – zapytała Thalias.

– Przed kilkanaście minutami. – Dziewczynka skinęła głową. Zawahała się, po czym spojrzała ukradkiem na Thalias. – Jesteś moją nową nibymatką?

– Jestem twoją nową opiekunką – odparła Thalias, marszcząc lekko brwi. „Nibymatka”? Czy to był nowy oficjalny tytuł osoby na jej stanowisku, czy też coś wymyślonego przez tę dziewczynkę? – Będę się tobą zajmować na pokładzie „Springhawk”. – Podeszła do jednego z wolnych krzeseł i usiadła. – Nazywam się Thalias. A ty?

– Nie powinnaś już tego wiedzieć?

– Dostałam przydział właściwie w ostatniej chwili – przyznała Thalias. – Miałam czas wyłącznie na dotarcie do kosmoportu w takim tempie, by nie spóźnić się na prom.

– Och. – Dziewczynka wyglądała na nieco zmieszaną. Pewnie poprzednie opiekunki przyzwyczyły ją do nieco większej dyscypliny. I kompetencji. – Nazywam się Che’ri.

– Miło cię poznać, Che’ri. – Thalias uśmiechnęła się do niej. – W co grasz?

– Co? Och. – Che’ri dotknęła swojego questisa. – W nic nie grałam. Rysowałam.

– Rozumiem. – Thalias skrzywiła się lekko. Che’ri lubiła rysować, a Thalias ledwie odróżniała jeden koniec rysika od drugiego. Tu raczej nie będą miały o czym rozmawiać. – Nie wiedziałam, że da się go tak wykorzystać.

– To nie do końca sztuka. – Dziewczynka wyglądała na nieco zawstydzoną. – Po prostu korzystam z elementów, które już są w questisie i łączę je ze sobą.

– Ciekawe. Coś jak kolaż? Mogę zobaczyć?

– Nie. – Che’ri odchyliła się nieco i przycisnęła questisa do piersi. – Nie pozwalam nikomu tego oglądać.

– Dobrze, rozumiem – zapewniła ją pospiesznie Thalias. – Jeśli jednak kiedyś zmienisz zdanie, z radością obejrzę, co stworzyłaś.

– A ty lubisz rysować?

– Nie jestem w tym zbyt dobra – odparła opiekunka. – Ale lubię patrzeć na sztukę.

– Nie sądzisz, że rysowanie jest głupie?

– Oczywiście, że nie – zapewniła ją. – Dobrze jest mieć taki talent.

– Tak naprawdę to nie rysuję – przyznała Che’ri. – Już ci mówiłam, po prostu łączę ze sobą różne elementy.

– To wciąż talent – spróbowała ostrożnie Thalias. – A talenty nigdy nie są głupie.

– Poprzednia nibymatka mówiła, że ten jest. – Che’ri spuściła wzrok.

– W takim razie poprzednia nibymatka się myliła.

Che’ri parsknęła cicho.

– Ona uważała, że zawsze ma rację.

– Zaufaj mi – odparła Thalias. – Widziałam w swoim życiu wiele nibymatek i z góry ci mówię: ta się myliła.

– No dobra. – Che’ri przyjrzała się jej uważnie. – Nie jesteś taka jak inne.

– Inne nibymatki? – Thalias zaryzykowała drobny uśmiech. – Pewnie nie. Ile ich już miałaś?

Che’ri znowu wbiła wzrok w podłogę.

– Osiem – szepnęła ledwo słyszalnie.

Thalias skrzywiła się na dźwięk bólu w jej głosie.

– Och – powiedziała łagodnie. – Musiało ci być ciężko.

– A niby skąd ty masz wiedzieć? – Kolejne parsknięcie.

– Bo ja miałam cztery.

Che’ri spojrzała na starszą dziewczynę szeroko otwartymi oczami.

– Jesteś gwiazdogatorką?

– Byłam. I pamiętam, jak bardzo mi było źle za każdym razem, gdy zabierali jedną opiekunkę i wciskali nową.

Ramiona Che’ri opadły, a ona sama wyraźnie posmutniała.

– Nawet nie wiem, co zrobiłam nie tak.

– Pewnie nic – pocieszyła ją Thalias. – Sama się też tym zamartwiałam i nigdy nie byłam w stanie nic wymyślić. No, czasem się z nimi nie dogadywałam i sądziłam, że to może być powód.

– Nie rozumiały – powiedziała Che’ri ze ściśniętym gardłem. – Żadna nie rozumiała.

– Bo żadna nigdy nie była gwiazdogatorką – wyjaśniła Thalias. Choć kiedyś było inaczej, jeśli oficer przydziałowy mówił prawdę. Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego to się zmieniło. – Kiedy opuszczamy program, większość nigdy już nie wraca.

– Dlaczego więc ty to zrobiłaś?

Thalias wzruszyła ramionami. To nie był odpowiedni moment na wyznanie dziewczynce, że chciała spotkać osobę, którą widziała wcześniej raz w życiu.

– Pamiętam, jak ciężko mi było w roli gwiazdogatorki. Pomyślałam, że skoro nią byłam, może uda mi się być lepszą opiekunką.

– Aż mnie opuścisz – wymruczała Che’ri. – Jak one wszystkie.

– Wcale nie musiały tego chcieć – tłumaczyła Thalias. – Za przenosinami opiekunki może stać wiele różnych powodów. Czasami po prostu nie dogaduje się z gwiazdogatorką, jak twoja ostatnia czy też ta moja, o której ci mówiłam. Ale bywają i inne przesłanki. Zdarza się, że potrzebują konkretnej opiekunki dla nowej gwiazdogatorki. Innym razem to kwestie rodziny... Mam na myśli ustalenia między różnymi rodzinami, które też przecież mogą wszystko pomieszać. – Poczowała, jak zaciska usta. – A czasem to kwestia jakiegoś krótkowzrocznego idioty, który ma zarządzać tym bałaganem.

– Krótkowzrocznego, czyli takiego, który kiepsko widzi?

– Krótkowzrocznego, czyli takiego, który ma mózg skoropuchy – stwierdziła sucho. – Z pewnością takich spotkałaś.

Che’ri uśmiechnęła się do niej nieśmiało.

– Nie powinnam tak mówić o innych.

– Masz rację, pewnie nie powinnaś – skwitowała Thalias. – Ja również. Co nie zmienia faktu, że mają mózgi skoropuch.

– Pewnie tak. – Dziewczynka spojrzała na nią spod przymrużonych powiek. – Jak długo byłaś gwiazdogatorką?

– Miałam siedem lat, gdy nawigowałam swój pierwszy statek. Trzynaście, gdy nawigowałam ostatni.

– Mówili, że będę gwiazdogatorką do czternastego roku życia.

– Tak jest zazwyczaj – odparła Thalias. – Moje Trzecie Oko najwyraźniej zdecydowało się wysiąść na wcześniejszym postoj. A ty ile masz lat? – Przesadnie przyglądała się twarzy Che’ri. – Osiem?

– Dziewięć i pół. – Dziewczynka szybko zaczęła przeliczać. – Dziewięć i trzy czwarte.

– Ach, czyli jesteś bardzo doświadczona. To dobrze.

– Chyba tak. Lecimy do bitwy?

Thalias zawahała się. O niektórych sprawach dorośli nie powinni mówić gwiazdogatorkom. O sprawach, które Rada w swej niekonwencjonalnej mądrości uznała za mogące wzbudzić niepokój.

– Nie wiem, ale nie ma się czym martwić – powiedziała w końcu. – A na pewno nie na pokładzie „Springhawka”. Starszy kapitan Thrawn jest naszym dowódcą, a to jeden z najlepszych wojowników Dynastii.

– Bo oni to wcale mi nie chcieli powiedzieć, po co tu jestem – nadąsała się Che’ri. – Nie ma przecież gdzieś bardzo daleko kogoś, z kim musimy stoczyć walkę, nie? Słyszałam, że nie latamy już w tym celu za krańce Dynastii. A skoro mamy walczyć z kimś blisko, to statek nie potrzebuje gwiazdogatorki.

– Słuszne rozumowanie – potwierdziła Thalias, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Nawet jeśli ich grupa zmierzała na jakąś akcję odwetową, podróżowanie skokami pozwoliłoby im pokonać dowolny rozsądny dystans bez niepotrzebnego ryzykowania życiem gwiazdogatorki w bitwie. A więc co Che’ri i ona sama robiły na pokładzie? – Jednakże czego byśmy nie robili, starszy kapitan Thrawn przeprowadzi nas przez to bez szwanku.

– Skąd wiesz?

– Dużo o nim czytałam. – Thalias wyjęła swój questis. – Lubisz czytać? Chcesz się dowiedzieć czegoś o jego karierze?

– Nie trzeba. – Che’ri zmarszczyła nieco nos. – Wolę porysować.

– Rysowanie też jest dobre. – Thalias wysłała akta Thrawna na questis dziewczynki. – To tylko jakbyś miała chęć poczytać później.

– Dobra. – Che’ri niepewnie spojrzała na urządzenie. – Strasznie tu tego dużo!

– Zgadza się – przytaknęła, czując drobne ukłucie wstydu. Uwielbiała czytać, gdy była gwiazdogatorką. Oczywiście uznała, że Che’ri podziela to zainteresowanie. – Wiesz co? Przejrzę te pliki później i przygotuję ci krótszą wersję. Wybiorę te najciekawsze z jego przygód.

– Dobra. – Che’ri sprawiała wrażenie odrobinę bardziej zainteresowanej.

– Umowa stoi. – Przez chwilę Thalias chciała jeszcze coś dodać, jednak wciąż dostrzegała dzielący je dystans i doskonale pamiętała, jak zmienne nastroje miała sama, będąc w wieku dziewczynki. Lepiej nie naciskać. – Muszę się odmeldować pierwszemu oficerowi.

Wstała, po czym rzuciła:

– Możesz sobie teraz jeszcze porysować.

– Dobra. Czy mam sobie sama zrobić obiad?

– Nie, nie, ja ci go przygotuję – zapewniła ją pospiesznie. – Jesteś głodna?

Dziewczynka wzruszyła ramionami.

– Mogę poczekać.

To nie była żadna odpowiedź.

– Chcesz, żebym zrobiła ci coś teraz?

– Mogę poczekać – powtórzyła Che’ri.

Thalias zacisnęła zęby.

– Dobrze. Pójdę się odmeldować, a potem wrócę. Zastanów się przez ten czas, na co masz ochotę.

– To bez znaczenia. – Kolejne wzruszenie ramionami.

– I tak się nad tym zastanów. Niedługo wrócę.

Wyszła z kajuty i ruszyła korytarzem, wściekła na samą siebie. Może niepotrzebnie wzięła tę fuchę.

Z drugiej strony, ledwie zdążyły się poznać. Nic dziwnego, iż dziewczynka trzymała ją na dystans, zwłaszcza że wciąż było jej przykro z powodu tego, co uznawała za porzucenie przez swoje poprzednie opiekunki.

A więc Thalias da jej czas i przestrzeń, a potem jeszcze więcej czasu. Istnieje szansa, że dziewczynka w końcu oprzytomnieje.

A jeśli do powrotu Thalias nie wymyśli, na co ma ochotę, dostanie kanapki z pastą orzechową. Nawet jeśli Che’ri nie przepada za czytaniem, z pewnością lubi kanapki z pastą orzechową.

Thrawn był wyższy, niż Samakro się spodziewał, roztaczał też wokół siebie aurę wdzięku i swoistej pewności siebie. Był również uprzejmy

wobec oficerów i wojowników i doskonale znał rozkład „Springhawk”. Poza tym Samakro nie mógł dostrzec w nim nic nadzwyczajnego.

A teraz także się spóźniał.

– Zbliżamy się do układu docelowego – zameldował Kharill. – Wyjście za trzydzieści sekund.

– Przyjąłem. – Samakro rozejrzał się po mostku. Wszystkie systemy ofensywne świeciły na zielono, łącznie z narowistym komputerem celowniczym sfery plazmowej, który przez kilka ostatnich dni przysporzył im nieco kłopotów. Śluzę zabezpieczono przed ewentualnym abordażem, otulająca kadłub „Springhawk” elektrostatyczna osłona działała na pełnej mocy, a wszyscy wojownicy znajdowali się na swoich stanowiskach.

Imponujące, lecz właściwie zbędne. Z tego, co Samakro wiedział, cała ta misja znajdowała się jedynie o oczko wyżej niż manewry ćwiczebne. „Czujny” był w końcu okrętem typu Nightdragon, a na znajdujący się obecnie pod dowództwem admirała Ar’alani oddział składało się jeszcze pięć krążowników – poza samym „Springhawkiem”. Przy takiej sile ognia, gdy pojawią się niespodziewanie nad macierzystą planetą Paataatusów, nie mogą się spodziewać żadnego skutecznego oporu.

Co nie znaczyło oczywiście, że „Springhawk” i jego cała załoga mieli się zachowywać inaczej niż całkowicie profesjonalnie. Wliczając w to kapitana statku. A jeśli Thrawn nie będzie tu, gdy wyjdą z nadprzestrzeni, Samakro będzie po prostu musiał przejąć...

– Pozostać w gotowości. – Usłyszał za sobą spokojny głos Thrawna.

Samakro odwrócił się, powstrzymując nerwową reakcję. Jak, do cholery, Thrawn zakradł się na mostek tak, że Samakro nie usłyszał otwieranego włazu?

– Kapitanie – powitał przełożonego. – Zaczynałem podejrzewać, że nie usłyszał pan alarmu.

– Jestem tu od godziny. – W głosie Thrawna słyhać było lekkie zdziwienie faktem, że Samakro tego nie zauważył. – Nadzorowałem prace nad komputerem celowniczym sfery.

Samakro spojrział na konsolę sfery w chwili, gdy dwóch techników wyłoniło się spoza urządzenia.

– Och. Widzę, że świeci na zielono.

– Zgadza się – potwierdził Thrawn. – Jakość zespołów naprawczych i konserwacyjnych na „Springhawku” polepszyła się wyraźnie, odkąd przejął pan dowodzenie.

Samakro zmrużył oczy. Komplement? Czy może subtelne przypomnienie, że to Thrawn był teraz kapitanem?

– Czy mamy najnowsze rozkazy z „Czujnego”?

– Nic od ostatniego skoku – odparł Samakro. „Chyba jednak komplement” – zdecydował. Thrawn nie wyglądał na osobę, która lubi się chełpić. – Zwyczajowe przypomnienie Ar'alani, byśmy przygotowali się na każdą ewentualność.

– Sądzę, że jesteśmy przygotowani – rzekł Thrawn. – Wyjście... teraz.

Gwiazdne smugi w iluminatorze błysnęły i skurczyły się do rozmiarów jasnych punktów, co oznaczało, że „Springhawk” wyszedł z nadprzestrzeni.

Prosto w nawałnicę laserowego ognia.

– Wrogie myśliwce! – warknął Kharill. – Namierzam... są wszędzie wokół nas, kapitanie. Zalewają nas. Zalewają wszystkich.

Samakro wysyczał drobne przekleństwo. Kharill miał rację. Wokół zespołu Chissów śmigało przynajmniej pięćdziesiąt myśliwców Paataatusów. Niczym wściekłe muchowazki siekały ogniem laserowym, którego bladozielone rozbłyski przecinały rozrzedzony pył międzyplanetarny.

I jak w przypadku muchowazek, choć jedno użądlenie było zbyt słabe, by uszkodzić elektrostatyczną osłonę „Springhawk”, odpowiednio skoncentrowany ogień z pewnością mógł przebić się przez ich obronę i wgryźć w kadłub.

– Przyjąłem. – Głos Thrawna pozostawał niewzruszony. – Sfera Jeden: otworzyć ogień w stronę najbliższego przeciwnika na moim wektorze.

– Sfera Jeden otwiera ogień. – Sfera plazmowa wystrzeliła z lewoburtowej wyrzutni.

Kompletnie nie trafiając w cel.

– Kontrola sfery – rzucił Samakro. – Rekalibruj i powtórz strzał.

– Zignorować ten rozkaz – powiedział Thrawn. – Ster, zwrot dziewięćdziesiąt stopni na lewą burzę, uruchomić Sferę Dwa, następnie otworzyć ogień.

– Nie, chwila! – krzyknął Samakro.

Zbyt późno. „Springhawk” już skręcał, kierując się w stronę wrogich okrętów na lewej burcie.

Odwracał się od „Czujnego”.

Zanim wyrzutnia sfery plazmowej znalazła się w pozycji do strzału, wrogie myśliwce już zareagowały na manewr i rzuciły się, by wykorzystać

błąd Thrawn i otoczyć „Springhawk”, gdy ten odsuwał się od pozostałych okrętów Chissów.

– „Springhawk”, wracaj na pozycję. – Głos Ar'alani dobiegał z głośnika na mostku. – Thrawn?

– Nie odpowiadać – powiedział kapitan. – Sfera Dwa, ognia.

Tym razem sfera plazmowa nie chybiła i trafiła wprost w wybrany myśliwiec, uwalniając wielokolorową fontannę energii jonowej na kadłubie przeciwnika, która była jasnym sygnałem przeładowania osłony elektrostatycznej jednostki i usmażenia całej elektroniki.

– Przeładować i przygotować się do ponownego otwarcia ognia – rzucił Thrawn.

– Czy nie powinniśmy wrócić do grupy? – Samakro nie odpuszczał. – Admirał Ar'alani...

– Utrzymać kurs – powiedział Thrawn. – Sfera Dwa, strzelać, gdy będziecie gotowi. Obniżyć moc osłon o dwadzieścia procent.

Samakro zmełł w ustach kolejne przekleństwo, tym razem już poważne.

– Czy mogę zasugerować wystrzelenie wabików? – próbował. – Choć trochę odciągnęłyby od nas ich ogień.

– To prawda – zgodził się Thrawn. – Nie zezwalam na wabiki. Ster, jeszcze pięć stopni na lewą burzę, potem trzy stopnie na prawą.

„Springhawk” wykonał zwrot, a potem kolejny. Lasery Paataatusów ostrzeliwały osłabione osłony elektrostatyczne. Przez iluminator Samakro obserwował myśliwce przeciwnika, ponownie ustawiające się w ofensywnej formacji, mającej zadać ostateczny cios.

– Kapitanie, jeśli nie wrócimy do szyku, nie przetrwamy tu zbyt długo – ostrzegł cicho przełożonego, z tyłu głowy zadając sobie pytanie, co się stało z tym Thrawnem, który niegdyś okrył „Springhawk” taką chwałą.

– Przetrwamy wystarczająco długo, kapitanie Samakro – odparł Thrawn. – Nie dostrzega pan tego?

Samakro uniósł dłoń w geście wyrażającym zmieszanie i niezrozumienie.

I zamarł w pół ruchu, gdy wreszcie do niego dotarło. Im więcej statków osaczało „Springhawk”, tym mniej atakowało pozostałe. Mniej nieprzyjaciół oznaczało mniej zamieszania wśród artylerzystów Chissów, ich komputerów celowniczych i obserwatorów triangulacji. To z kolei pozwalało na zorganizowaną, systematyczną destrukcję tych napastników, którzy nie skupiali się na „Springhawk”.

A ta systematyczna destrukcja oznaczała...

Z prawej burty „Springhawk” bluznęła nagle fala ognia laserowego, pocisków penetrujących i rozbłysków sfer plazmowych, która przeorała mrowie myśliwców nieprzyjaciela. Na ekranie Samakro dostrzegł „Czujnego”, który wraz z pozostałymi okrętami Chissów szarżował w ich stronę w pełnej formacji bojowej.

– Osłony na pełną moc. Wszystkie stanowiska bojowe: ognia! – rozkazał Thrawn. – Skupić się na przeciwnikach poza trajektorią pocisków naszych statków.

Teraz lasery i sfery plazmowe „Springhawk” rozpoczęły własny koncert. Szeregi przeciwników gwałtownie przerzedziły się, gdy siły Chissów zmieniały je konsekwentnie w obłoki kosmicznego pyłu. Samakro obserwował bitwę do momentu, w którym zaledwie kilka okrętów Paataatusów uciekało w panice, ściganych przez dwa inne krążowniki Ar'alani. Następnie podszedł do Thrawna.

– A więc udajemy ranne zwierzę i ściągamy przeciwnika na siebie – powiedział. – Dając pozostałym czas na przegrupowanie i kontratak.

– Zgadza się. – Thrawn zdawał się być zadowolony z faktu, że Samakro sam do tego doszedł. Nawet jeśli zrobił to ciut za późno. – Paataatusowie mają mentalność roju. Takie wzorce myślowe predysponują ich do koncentracji uwagi na rannych przeciwnikach.

– Zaczynają od wykończenia najślabszych, a potem gryzą dalej – skwitował Samakro.

– Właśnie – przytaknął Thrawn. – Gdy zobaczyłem, jak duże siły zgromadzili, zrozumiałem, że najlepszą strategią będzie ściągnąć do siebie tak wielu, jak to tylko możliwe, nim uda im się wyrządzić większe szkody pozostałym okrętom.

– Jednocześnie gromadząc ich w ciaśniejszym szyku, co pozwoli naszym strzelcom i komputerom celowniczym zwiększyć efektywność ostrzału.

– Zgadza się. – Thrawn uśmiechnął się cierpko. – Kłopoty z namierzaniem wielu celów to nasza słaba strona. Mam nadzieję, że inżynierowie i instruktorzy floty już nad nią pracują.

– Starszy kapitanie Thrawn? – Z głośnika dobył się głos Ar'alani.

– Tak, pani admirał?

– Dobra robota, kapitanie. – W głosie dowódczyni słyhać było nutę rozdrażnienia. – Uprzejmie proszę o podzielenie się ze mną swoim następnym sprytnym planem, nim go pan wdroży.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy – obiecał Thrawn. – O ile tylko starczy czasu.

– I o ile nie mamy nic przeciwko podzieleniu się nim z przeciwnikami, którzy mogą nas podsłuchiwać – powiedział cicho Samakro.

Najwyraźniej niewystarczająco cicho.

– Jeśli uważa pan to za wystarczającą wymówkę, kapitanie Samakro, pozwolę sobie się nie zgodzić – zripostowała Ar'alani. – Jestem pewna, że w przyszłości kapitan Thrawn znajdzie sposób na przekazanie niezbędnych informacji bez możliwości przejęcia ich przez wroga.

– Tak jest, ma'am. – Samakro się skrzywił. Po flocie krążyła plotka, że oficerowie flagowi mają dostęp do specjalnych ustawień komunikatorów, pozwalających usłyszeć więcej z podległych im jednostek, niż było to normalnie możliwe.

– Kapitanie Thrawn?

– Pani admirał?

– Sądzę, że mamy sytuację pod kontrolą. Możecie rozpocząć swoją kolejną misję, gdy tylko będziecie gotowi.

Samakro zamarł. W rozkazach „Springhawk” nie widniała żadna informacja o dodatkowej misji.

– Dziękuję, pani admirał – odparł Thrawn. – Za pozwoleniem, chciałbym najpierw poświęcić godzinę na przeprowadzenie kontroli statku i rozpoczęcie napraw ewentualnych zniszczeń.

– Ma pan tyle czasu, ile zechce – powiedziała Ar'alani. – My lecimy do środka układu na pogawędkę z dowódcami Paataatusów. Miejmy nadzieję, że nauczyli się, jak nierozważnie jest atakować Dynastię Chissów.

– Jestem tego pewien – rzekł Thrawn. – Porażka tych rozmiarów ukróci ich najeźdźcze zapędy. Nie wypuszczą się poza własne granice przed wpływem tego pokolenia.

– Być może poza jednym lub dwoma wypadami na Csillę?

Thrawn pokręcił głową.

– Nie sądzę, by byli odpowiedzialni za ten atak.

Samakro się skrzywił. Sam też w to nie wierzył, co nie znaczyło, że jako starszy oficer powinien mówić takie rzeczy na głos. Zwłaszcza gdy spory odsetek syndyków dał temu wiarę.

– Być może. – Ton głosu i wypowiedane przez Ar'alani słowa były zdecydowanie bardziej politycznie neutralne. – Badaniem tego jednak

zajmują się inni. Proszę przeprowadzić swoje naprawy i powiadomić, gdy będziecie gotowi nas opuścić. Admirał bez odbioru.

Rozległ się dźwięk sygnalizujący zakończenie połączenia.

– Kapitanie, proszę rozpocząć pełną kontrolę systemów – powiedział Thrawn. – Szczególną uwagę proszę zwrócić na broń i systemy obronne.

– Tak jest, sir. – Samakro poczuł delikatną ulgę. Koniec politykowania. Przynajmniej na razie. Włączył komunikator i powiedział: – Cała załoga: pełna kontrola okrętu! Szefowie sekcji do meldunku po zakończeniu kontroli.

Rozległ się chór potwierdzeń, po którym na mostku zapadła pełna skupienia cisza, gdy załoga rozpoczęła niezbędne skany.

– Mam nadzieję, że ma pan rację w kwestii Paataatusów – dodał Samakro. – Samo to, że napastnicy z Csilli użyli innych statków, nie oznacza wcale, że nie zgarnęli jakiegoś złomu, który miał ukryć ich tożsamość.

– Nie – odparł Thrawn. – Był pan świadkiem ich taktyki tutaj: zalać przeciwnika przeważającymi siłami. Przy takiej strategii nie ma miejsca na to, co widzieliśmy na Csilli, a zwłaszcza na nieprzekonujący atak, który kosztował trzy okręty. Nie, tamten atak został przeprowadzony przez kogoś innego.

– A dlaczego nie mieliby namówić kogoś, by zrobił to za nich? – zasugerował Samakro, w jakiś perwersyjny sposób nie chcąc odpuścić. Nigdy nie lubił wnioskowania w oparciu o przeczucia, a z tego, co widział, tylko tym dysponował Thrawn. – Przecież nietrudno znaleźć piratów, których można wynająć do takiego zadania.

– Przyciągnięcie naszej uwagi z pewnością było celem tej napaści – zgodził się Thrawn. – Ale to nie od tej granicy miał naszą uwagę odciągnąć. – Zacisnął na chwilę usta. – Gdy opuścimy już zgrupowanie, będę mógł przedstawić panu i pozostałym starszym oficerom założenia misji, o której wspomniała admirał Ar'alani.

– Tak jest, sir. – Samakro przyjrzał mu się uważnie. Nie przepadał za tajnymi misjami. – A czy jest jakaś szansa na choćby ogólne informacje?

– Tak, też nie znoszę utajnionych rozkazów. – Thrawn uśmiechnął się lekko. – Mogę panu powiedzieć tylko, że po drugiej stronie Dynastii może czaić się nowe zagrożenie. Naszym zadaniem jest je zlokalizować, zidentyfikować i ocenić, nim skieruje swą uwagę w stronę naszych układów.

– Och – odparł Samakro. A więc to z tego powodu nagle przydzielono im gwiazdogatorkę. Poruszanie się skokami było nieefektywnym sposobem na pokonywanie znaczniejszych odległości w Chaosie, a przy tego typu misji trudno założyć, jak daleko będą musieli weń się zapuścić. – Czy mogę spytać, czy spodziewa się pan bitwy na końcu tego śledztwa? – dodał, gdy przypomniał sobie słowa Thrawna o szczególnym uwzględnieniu systemów obronnych i uzbrojenia „Springhawk”.

– Taka ewentualność zawsze istnieje. – Thrawn dostrzegł wyraz twarzy Samakro i się uśmiechnął. – Proszę się nie martwić, kapitanie. Protokoły dotyczące ataków wyprzedzających zostały mi dokładnie przedstawione.

– Tak jest, sir – odparł Samakro. – Za pańskim pozwoleniem, chciałbym osobiście nadzorować kontrolę osłon.

– Oczywiście, kapitanie – zgodził się Thrawn. – Odmaszerować.

Samakro ruszył w stronę stanowisk obronnych, ale czuł ucisk w żołądku. Osłony elektrostatyczne były pierwszą linią obrony „Springhawk” i jako takie musiały działać perfekcyjnie.

Słyszał bowiem niektóre z opowieści o Thrawnie. I choć kapitan twierdził, iż przedstawiono mu protokoły, to wcale nie oznaczało, że będzie postępował zgodnie z wytycznymi.

## Wspomnienia III

Przez niemal cztery lata spędzone w Akademii Taharim, starsza kadetka Irizi'ar'alani cieszyła się nieskazitelną reputacją. Wyróżniała się, znajdowała na prostej ścieżce do dowódczego stopnia i pozycji, nie otarła się o najmniejszy nawet skandal.

Aż do teraz.

— Starsza kadetko Ziara — zaintonował pułkownik Wevary tonem zarezerwowanym dla najpodlejszych zbrodniarzy występujących przeciwko tradycjom Taharim. — Kadet znajdujący się pod twoją opieką został oskarżony o oszustwo. Czy masz coś do powiedzenia w swojej lub jego obronie?

„Pod twoją opieką”. Ziara sprawowała zaledwie nadzór nad tym cholernym ćwiczeniem w symulatorze, które wykonywał kadet Thrawn.

Jednak to jej imię widniało w rubryczce „dowódca”, więc tu wylądowała.

Nie, żeby wobec niej miały zostać wyciągnięte jakieś poważniejsze konsekwencje. Przynajmniej reprezentant Irizi, siedzący po jednej stronie trójki oficerskiej, nie wyglądał na zmartwionego. Po drugiej stronie stołu...

Poczuła ukłucie współczucia. To Thrawn stał tu nad przepaścią, a jednak reprezentant rodziny Mitthów nie raczył się zjawić. Albo zapomniał o przesłuchaniu, albo po prostu miał je gdzieś. Tak czy siak, nie wróżyło to Thrawnowi niczego dobrego.

Co najdziwniejsze, nic tu nie miało sensu. Ziara sprawdziła akta Thrawna — zawsze znacznie wyprzedzał swoich rówieśników. Ostatnią rzeczą, której potrzebował, było oszustwo podczas ćwiczeń na symulatorze.

A jednak, choć zazwyczaj jego wyniki podczas symulacji pozostawały niezmiennie wysokie, wciąż zaledwie trochę przewyższały te najlepsze. W tym konkretnym ćwiczeniu nikt jednak — w całej historii Taharim —

nie zdobył dziewięćdziesięciu pięciu punktów. Logiczne wytłumaczenie nasuwało się samo i do takiego wniosku doszedł pułkownik Wevary.

Ziara przeniosła wzrok na oskarżonego. Thrawn siedział sztywno na swoim krześle, a jego twarz przypominała niewzruszoną maskę. Nie przyznał się do winy, twierdząc, że nie oszukiwał, a zaledwie wykorzystał parametry zadania, które przed nim postawiono.

Jednak, jak zauważył jeden z członków trójki oficerskiej, właśnie tak broniłby się winny. Niestety, zbyt wielu kadetów w przeszłości oszukiwało system, przygotowując się w tajemnicy do testów z wykorzystaniem zaplanowanych na dane ćwiczenie parametrów. Instruktorzy uniemożliwili więc takie zagrywki, upewniając się, że żadna symulacja nie mogła być nigdy przeprowadzona dwukrotnie. To wbudowane ograniczenie sprawiło niestety, że Thrawn nie mógł odtworzyć swoich działań i udowodnić swej niewinności.

Prawdopodobnie instruktorzy mogliby pogmerać w oprogramowaniu i usunąć blokadę. To jednak zajęłoby dużo czasu, a najwyraźniej nikt nie uważał, że jeden kadet jest wart takiego zachodu.

Ziara pokręciła głową. Kolejnym aspektem problemu pozostawał fakt, że zapis ćwiczenia był ograniczony do punktu widzenia trzech atakujących statków patrolowych. Jedno z nagrań urwało się w kiepskim momencie, nie pokazując ostatecznego starcia, a na pozostałych dwóch statek patrolowy Thrawna zniknął po prostu na kilka kluczowych sekund.

Działające urządzenie kamuflujące od pokoleń znajdowało się w sferze marzeń naukowców Sił Obronnych. Wydawało się mało prawdopodobne, że symulacja jakiegoś kadeta dokonałaby tego nieosiągalnego przełomu. Przynajmniej nie bez zabronionego podkreślenia oprogramowania.

A jednak...

Ziara przyglądała się twarzy Thrawna. Dwukrotnie wyjaśnił swoją taktykę wszystkim obecnym, a jednak wciąż mu nie wierzyli. Teraz nie miał już nic do powiedzenia i postanowił najwyraźniej milczeć. Ziara spodziewała się znaleźć w jego spojrzeniu przekorę, może gniew, ale nie dostrzegła nic takiego. Został sam, nawet rodzina go nie wspierała.

W międzyczasie pułkownik Wevary zadał jej pytanie.

— Nie mam nic do powiedzenia — odparła. Znów spojrzała na Thrawna.

Nagle przyszła jej do głowy dziwna myśl. Coś, co zauważyła kątem oka w aktach Thrawna, historia o tym, jak został wypatrzony w mało znanej rodzinie i jak zakwalifikował się do Taharim...

— Na ten moment — dodała szybko. — Jeśli mogłabym prosić szanowne grono o wyrozumiałość, chciałabym udać się na przerwę obiadową, by jeszcze raz rozważyć sytuację i materiał dowodowy.

— Co to za bzdury? — uniósł się jeden z oficerów. — Widziałaś dowody...

— Biorąc pod uwagę porę bliską obiadowej — przerwał mu spokojnie Wevary — nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy przesunąć podjęcia ostatecznej decyzji na popołudnie. Spotkajmy się z powrotem za półtorej godziny.

Postukał końcówkami palców w wypolerowany, kamienny blat i wstał. Pozostali uczynili to samo i w ciszy opuścili salę. Żadne z nich, jak zauważyła, nie zaszczyciło Thrawna choćby spojrzeniem.

Poza pułkownikiem Wevarem. Wychodząc jako ostatni, zatrzymał się przy krześle Ziary.

— Nie jestem zwolennikiem strategii na przeczekanie, Ziara — mruknął, patrząc na nią surowo. — Więc lepiej, żebyś coś, do cholery, miała, gdy się znowu zbierzemy.

— Zrozumiałam, sir — odparła równie cichym głosem Ziara.

Skinął jej ledwo zauważalnie i wyszedł z sali, pozostawiając Ziare sam na sam z Thrawnem.

— Doceniam twoje wysiłki — powiedział cicho kadet, wciąż patrząc na puste krzesło pułkownika. — Jednak widać, że podjęli już decyzję. Twoje działania nie przyniosą nic prócz ich niezadowolenia, a być może i zdystansowania się twojej rodziny od ciebie.

— Na twoim miejscu bardziej martwiłabym się swoją rodziną — odpowiedziała cierpko. — Właśnie, dlaczego nie ma tu twojego reprezentanta?

— Nie wiem. — Wzruszył ramionami. — Zakładam, że nie lubią, gdy któryś z ich zasłużonych adoptowanych miesza się w skandal.

— Żadna rodzina tego nie lubi — skrzywiła się. Miał oczywiście rację. Jednak nawet zasłużeni adoptowani stanowili część rodziny i jako takim należała im się pomoc i ochrona. Jeśli Mitthowie odcinali się od Thrawna w kluczowym momencie, musiało chodzić o coś jeszcze.

— Tymczasem pułkownik Wevary zarządził lunch — przypomniała mu, wstając. — Zamierzam więc iść coś zjeść. Też powinienes.

— Nie jestem głodny.

— I tak coś zjedz — zawahała się, ale nie chciała przepuścić tej szansy. — W ten sposób, nawet jak cię wykopią, to przynajmniej załapiesz się na jeszcze jeden darmowy posiłek.

Spojrzał na nią i przez chwilę myślała, że wścieknie się przez ten ewidentny brak empatii. Jednak, ku jej uldze, uśmiechnął się.

— To prawda — przyznał. — Masz nadzwyczaj taktyczny umysł, starsza kadetko.

— Staram się jak mogę — odparła. — Zjedz coś naprawdę dobrego i nie spóźnij się z powrotem.

Skinęła mu głową i wyszła.

Jednak nie poszła w stronę stołówki. Zamiast tego znalazła w pobliżu pustą klasę i wślizgnęła się do środka.

„Nadzwyczaj taktyczny umysł”. Tak powiedział. Już jej to mówiono i Ziara nigdy nie znalazła powodu, by się nie zgodzić z tym stwierdzeniem.

Pora sprawdzić, czy mieli rację.

Recepcjonista odpowiedział po trzecim dzwonku.

— Biuro generała Ba’kifa — powiedział do komunikatora.

— Nazywam się starsza kadet Irizi’ar’alani — rzekła Ziara. — Proszę zapytać generała, czy może mi poświęcić kilka minut swojego cennego czasu. Proszę mu przekazać, że chodzi o kadeta Mitth’raw’nuru.

Pułkownik Wevary wszedł z pozostałymi mężczyznami do sali przesłuchań równo półtorej godziny po jej opuszczeniu. Gdy siadali, ani reprezentant Irizi, ani żaden z oficerów nie spojrzał na dwójkę kadetów.

Dzięki czemu osłupiałe wyrazy twarzy całej czwórki były jeszcze zabawniejsze, gdy nagle obok Ziary dostrzegli nowego przybysza.

— Generał Ba’kif? — wykrztusił z zaskoczeniem pułkownik Wevary. — Ja... proszę o wybaczenie, sir. Nie powiadomiono mnie o pańskim przybyciu.

— Nic się nie stało, pułkowniku — odparł Ba’kif, przyglądając się pokrótce wszystkim mężczyznom przy stole. Pozostali dwaj oficerowie byli podobnie jak Wevary nieprzygotowani na widok wojskowego tej rangi, jednak zaskoczenie szybko zastąpił należny szacunek.

Natomiast zdziwienie przedstawiciela rodziny Irizi ewidentnie przerodziło się w podejrzliwość. Najwyraźniej miał własny pogląd na sprawę Thrawna i sądził, że Ba’kif przybył zamieść ją pod dywan.

— Rozumiem, że kadet Mitth’raw’nuru jest podejrzany o oszustwo — ciągnął Ba’kif, zwracając się znów do Wevary’ego. — Sądzę, że razem

z kadetką Ziarą mamy sposób na rozwiązanie tej sprawy.

— Z całym szacunkiem, generale, ale zbadaliśmy cały materiał dowodowy. — W postawie pułkownika dało się zauważyć pojawiającą się sztywność. — Ćwiczenia nie można powtórzyć z uwzględnieniem takich samych parametrów, z jakimi odbyło się za pierwszym razem, a kadet twierdzi, że tylko wtedy jest w stanie powtórzyć swój sukces.

— Rozumiem — odparł Ba'kif. — Są jednak inne sposoby.

— Mam nadzieję, że nie sugeruje pan przeprogramowania symulatora — wtrącił jeden z oficerów. — Zdjęcie zabezpieczeń wprowadzonych po to, by kadeci nie mogli robić właśnie takich rzeczy, zajęłoby całe tygodnie.

— Nie, nie mam zamiaru tego proponować — uspokoił go generał. — Zakładam, pułkowniku, że posiada pan wszystkie wykorzystane w tej symulacji parametry?

— Tak, sir — odparł Wevary. — Jednak, jak mówiłem...

— Sekundkę — przerwał mu generał i spojrzał na Thrawna. — Kadecie Thrawn, masz wylatane dwieście godzin na symulatorze patrolowca. Czy jesteś gotów polecieć prawdziwym statkiem?

Wzrok Thrawna wędrował między Ba'kifem i Ziarą.

— Tak, sir, jestem.

— Chwileczkę — wciął się Irizi. — Co dokładnie pan sugeruje?

— To chyba powinno być oczywiste — powiedział Ba'kif. — Niebezpieczeństwo związane z nauczaniem poprzez symulacje jest takie, że jeśli symulacja różni się od rzeczywistości, możemy tego nie zauważyć, nim będzie za późno. — Wskazał na Thrawna. — Mamy tu szansę na porównanie symulacji z rzeczywistością i powinniśmy z niej skorzystać.

— Akademia Taharim znajduje się pod jurysdykcją pułkownika Wevary'ego — wycedził Irizi.

— To prawda. — Ba'kif spojrzał w stronę Wevary'ego. — Pułkowniku?

— Zgadzam się, generale. — Wevary nie wahał się ani przez chwilę. — Z radością przyjrzę się temu ćwiczeniu.

Irizi rzucił mu nieprzychylnie spojrzenie. Jednak nie powiedział nic, a jedynie zacisnął wargi i pochylił głowę.

— Doskonale — oznajmił Ba'kif. — Panowie, mam na platformie cztery patrolowce gotowe do lotu, a dla naszej szóstki stanowiska na stacji obserwacyjnej. — Wstał i wskazał dłonią na drzwi. — A zatem?

Cztery patrolowce znajdowały się na pozycjach startowych. Thrawn siedział w jednym, a trzech pilotów generała Ba'kifa w pozostałych. Teren

ćwiczeń otoczono kordonem, a punkty startowe zaznaczono na mapach. Stacja obserwacyjna została umieszczona poza strefą walki, jednak wystarczająco blisko, by móc wszystko monitorować i nagrywać.

Ziara siedziała obok Ba'kifa w drugim rzędzie, wyglądając przez iluminator ponad głowami trzech oficerów i Iriziego. Przedstawiła generałowi całą sprawę jako niesprawiedliwy zarzut wobec Thrawna, ilustrując swoje wątpliwości nawiązaniem do doskonałych szkolnych osiągnięć młodszego kadeta. Mówiąc szczerze, Ba'kif nie wydawał się potrzebować długiego przekonywania.

Co nie zmieniało faktu, że Ziara nadstawiała karku i miała wrażenie, że na jej czole widnieje czerwony krzyżyk, oznaczający ją jako cel. Przed wezwaniem Ba'kifa była jedynie pobocznie zaangażowana w sytuację, nie narażała zbytnio ani swojego imienia, ani rodziny Irizi. Jednak teraz, jeśli Thrawn nie udowodni swojej niewinności, ona znajdzie się w tej samej sytuacji co on.

— Patrole Jeden i Trzy, naprzód — rzucił do komunikatora Ba'kif. — Patrol Cztery, naprzód. Patrol Dwa, naprzód. Proszę upewnić się, że wektory podejścia znajdują się dokładnie na wytyczonych trasach.

W oddali przed nimi trzy patrolowce rozpoczęły lot. Patrolowiec numer cztery, pilotowany przez Thrawna, ruszył im na spotkanie spod platformy.

— Powoli — ostrzegł Ba'kif. — Dwójka, zwiększ moc o kilka stopni. Jedyńka i Trójka, idziecie prawidłowo. Kadecie Thrawn?

— Gotów, sir — oznajmił spokojny głos z komunikatora.

Ziara zagryzła wargę. Teraz, gdy to jej żołądek zmienił się w wypełniony kamieniami worek nerwów, on oczywiście był w pełni opanowany.

A może po prostu przestrzeń kosmiczna i walka były dla niego przyjaźniejszym środowiskiem niż sala sądowa pełna oficerów, regulaminów i rodzinnej polityki.

— Czekać... — powiedział generał. — Ćwiczenie rozpoczyna się... teraz.

Cztery patrolowce skoczyły na siebie raptownie, postępując precyzyjnie z parametrami oryginalnego ćwiczenia. Thrawn odbił na prawą burzę, pędząc w stronę Trójki. Jedyńka i Dwójka skrzyły w jego stronę, skracając dystans. Thrawn otworzył ogień, zasypując Jedyńkę i Dwójkę strzałami z niskopoziomowego lasera o ćwiczebnym spektrum. Oba statki zareagowały natychmiast, schodząc z linii ognia, a Dwójka zaatakowała Thrawna z flanki. Wszystkie trzy patrolowce zaczęły strzelać w stronę kadeta. Przez kilka sekund Thrawn ignorował teoretyczną zagładę

własnego poszycia i sunął dalej w stronę Jedyunki i Trójki. Nagle obrócił gwałtownie statek o sto osiemdziesiąt stopni, kierując dysze silników w stronę Jedyunki i Trójki, jakby przygotowywał się do ucieczki.

Zamiast jednak odpalić silniki rufowe, dał pełną moc na dziobowe, kontynuując kurs na Jedynekę i Trójkę.

Ten manewr zbił z tropu trójkę atakujących. Jedyńska i Trójka odsunęły się od siebie, odruchowo uciekając przed groźbą staranowania. Dwójka, mająca właśnie podejść Thrawna z bliskiej odległości, śmignęła mu zamiast tego przed dziobem.

Gdy Dwójka przelatywała tuż przed nim, Thrawn trafił laserami w jej rufę, jednocześnie z całą mocą odpalając tylne silniki w stronę Jedyunki i Trójki.

Ktoś cicho zaklął. Nie wiadomo w jaki sposób, ale atak Thrawna wygasił przyspieszenie Dwójki i posłał ją w przestrzeń w powolnym wirowaniu. Odrzut własnych silników przepchnął jego patrolowiec za rufą Dwójki, znów otwierając mu prostą drogę ucieczki.

Jednak ku absolutnemu zadziwieniu Ziary, zamiast uciekać, odpalił swoje dziobowe silniki, wyhamowując kompletnie i chowając się za Dwójką, co umiejscowiło patrolowiec między jego pojazdem, a oddalającymi się coraz bardziej Jedyneką i Trójką.

I w trakcie wykonywania tego manewru jego statek wszedł w dokładnie ten sam ruch wirowy co Dwójka, idealnie równając do jej prędkości i rotacji.

Ziara wydała z siebie zduszony chichot.

— Zrobił to — wyszeptała. — Zniknął.

— O czym ty mówisz? — zapytał zaskoczony Irizi. — Przecież jest tam.

— Jeszcze nie skończyli — rzucił Ba'kif.

W sekundę później Thrawn przerwał ruch wirowy, a gdy Dwójka przeleciała dalej, odsłaniając jego patrolowiec, wystrzelił z laserów dziobowych i rufowych, trafiając zarówno Jedynekę, jak i Trójkę dokładnie w dziób.

— Stać! — zawołał Ba'kif. — Koniec ćwiczeń. Dziękuję wszystkim. Proszę wrócić na platformę startową. Kadecie Thrawn, czy zdołasz samodzielnie zadokować statek?

— Tak, sir.

— A zatem do zobaczenia w środku. Dobra robota, kadecie — pochwalił, po czym się rozłączył.

— Jak to „dobra robota”? — zdenerwował się Irizi. — Co to niby miało udowodnić? Całkiem zgrabny manewr, przyznaję, ale wszyscy widzieliśmy, że wcale nie zniknął tak, jak twierdził.

— Wręcz przeciwnie. — W głosie Ba’kifa było słychać mieszankę rozbawienia i podziwu. — Widzieliśmy go tylko dlatego, że znajdowaliśmy się nad polem bitwy i ponieważ używaliśmy niskopoziomowych laserów, które wyglądają inaczej niż te prawdziwe. Z drugiej strony symulacja nie ma takich ograniczeń. — Spojrzał na Wevary’ego. — Pułkowniku?

— Tak. — Wevary nie był tak rozbawiony, ale Ziara słyszała w jego głosie identyczny podziw. — Dobra robota, to prawda.

— Generale... — zaczął Irizi.

— Cierpliwości, Arystokrze — odparł Ba’kif.

Następnie zwrócił się do Ziary, czym ją kompletnie zaskoczył.

— Starsza kadetko Ziara, czy byłabyś uprzejma wytłumaczyć?

— Tak, sir — odparła Ziara, czując, że nagle rzucono ją na głęboką wodę. Najmłodsza osoba w pomieszczeniu miała wygłosić coś, co wyglądało na wykład?

Z drugiej strony, być może politycznie najrozsądniejszym było, by to Irizi tłumaczyła coś drugiemu Irizi.

— Pierwszy atak przeciwko Thrawnowi otworzyłby jego rufowe zbiorniki tlenu i baki z paliwem, wypuszczając oba gazy w przestrzeń za nim — powiedziała. — Gdy więc odwrócił się rufą w stronę Jedyneki i Trójki, po czym odpalił silniki, gazy te eksplodowałyby, tymczasowo oślepiając czujniki przeciwników.

— Czcze spekulacje — prychnął Irizi.

— Wcale nie — wtrącił Wevary. — Dokładnie tak przebiegła symulacja, a to jest powód, dla którego tak się stało. Proszę kontynuować, starsza kadetko.

Ziara skinęła głową.

— Jednocześnie Thrawn trafił w rufowe silniki Dwójki, uszkadzając je w konkretny sposób, który nie tylko tymczasowo je wygasił, ale także wprowadził patrolowiec w dający się przewidzieć ruch wirowy. Jedyne, co musiał teraz zrobić, to odwzorować ten ruch za pomocą własnych silników, ustawić się przy burcie Dwójki i tym sposobem schować za przeciwnikiem. Następnie poczekał wystarczająco długo, by Jedyneka i Trójka skupiły swoją uwagę na innych sektorach pola bitwy, usiłując znaleźć jego patrolowiec, a następnie wyłonił się zza Dwójki i zestrzelił ich, nim zdążyli zareagować.

Irizi przez chwilę to przetrawiał.

— Dobrze — przyznał niechętnie. — Ale co z czujnikami Dwójki? W symulacji nie było widać żadnego obrazu z nagrań tego patrolowca z okresu, gdy kadet się za nimi chował.

— Załoga używała burtowych silników, by zminimalizować wirowanie — odparła Ziara z ulgą. Tamten wciąż nie był zadowolony, ale najwyraźniej uznał, że kontynuowanie tematu nie ma sensu. Wyglądało na to, że ani ona, ani jej rodzina nie zostaną jednak wmieszani w żaden skandal. — Czujniki zostały oślepione.

— A zatem — podsumował Ba'kif — rozumiem, pułkowniku, że to kładzie kres śledztwu?

— Zgadza się, generale — odparł Wevary. — Dziękuję za pańską pomoc. Było to bardzo pouczające doświadczenie.

— To prawda — rzekł Ba'kif. — Ster, powrócić do doku, jeśli łaska.

Gdy stacja zawróciła i ruszyła w stronę platformy, Ba'kif rzucił Ziarse spojrzenie z ukosa.

— A oto lekcja dla ciebie, starsza kadetko — powiedział na tyle głośno, by go usłyszała. — Masz dobre odruchy. Ufaj im.

— Dziękuję, sir. Będę się starała.

## Rozdział 3

Korytarz prowadzący do sali przesłuchań Arystokry był długi, nieco ciemny i miał doskonałą akustykę. Ar'alani przysłuchiwała się echem własnych kroków. Bum. Bum. Bum. Każdy z tych stłumionych odgłosów zdawał się z niej drwić. Teatr, zaprojektowany, by wpłynąć na psychikę mówców i świadków kierujących się do sali i to zanim do niej wejdą.

Oczywiście, to Thrawna tak naprawdę chcieli przeczołgać. Jednak on akurat poleciał na jakąś supertajną misję z polecenia Naczelnego Generała Ba'kifa i znajdował się poza zasięgiem. Ktoś więc zdecydował, że pod nieobecność Thrawna, to jego dowódczyni powinna zostać wezwana przed oficjalny trybunał, zapewne w nadziei, że powie coś, co będzie mu można później przykleić.

Tak po prawdzie, kompletna strata czasu. Wszystko, co Ar'alani miała do powiedzenia, zeznała już przed Radą Dowództwa Obrony i wątpiła, by ktoś naprawdę liczył, że zmieni wersję. Co więcej, bez względu na to, co na nią mieli, przynajmniej w teorii Arystokra i Dziewięć Rodzin nic nie mogło zrobić dowódcy jej rangi.

Przynajmniej w teorii.

– To błaga – wysapała starsza kapitan Kiwu'tro'owmis, przebierając krótkimi nóżkami w usilnych próbach dotrzymania kroku wyżej Ar'alani.

– Zupełna błaga. Błaga do potęgi trzeciej, silnia.

– To całkiem spora błaga. – Ar'alani uśmiechnęła się do siebie. Wutroow była nie tylko doskonałą pierwszą, ale miała też prawdziwy dar rozładowywania napięcia i wyłapywania absurdów.

– Zmierzyłam ją dokładnie – powiedziała Wutroow. – Rozwaliliśmy Paataatusów na drobniutkie kawałeczki kosmicznego śmiecia, po czym uzyskaliśmy postanowienia pokojowe, w których płaszcą się tak, że przedtem mogliśmy o tym tylko pomarzyć. A Arystokrom wciąż mało?

– Owszem – zgodziła się admirał. – Ale to nie z nami mają problem. Tak się po prostu złożyło, że jesteśmy najwygodniejszymi w okolicy adresatkami ich irytacji.

– Thrawn – sapnęła Wutroow.

– Thrawn – przytaknęła Ar'alani.

– W takim razie to błaga do dziesiątej, silnia! – powiedziała z przekonaniem Wutroow. – Miał dobry powód, by nie wykonać pani rozkazu. Co więcej, jego plan zadziałał.

I właśnie dlatego Rada nie wniosła oskarżenia ani nie udzieliła mu reprimendy. Zwłaszcza że zarówno Ar'alani, jak i pozostali dowódcy okrętów nie chcieli składać skargi.

Thrawn miał jednak wrogów wśród Arystokry. I bez względu na łaskę Rady, ci wrogowie poczuli teraz krew.

– A więc jaki mamy plan, ma'am?

– Odpowiemy na pytania – odparła Ar'alani. – Oczywiście zgodnie z prawdą. Większość Arystokrów nie wie, jak zapytać o coś, czego już nie wiedzą.

– Zakładam, iż oznacza to, że możemy odrobinę podkreślić nasze odpowiedzi?

– Moja strategia z pewnością to zakłada. – Uśmiechnęła się. – Uważaj tylko, by nie podkreślić ich na tyle, by na końcu spojrzeć w lufę własnego charrica. Niektórzy Arystokrzy zrobili z takich zagrywek prawdziwą sztukę i z pewnością potrafią je rozpoznać.

– Sztukę – zachichotała Wutroow. – Thrawnowi by się to spodobało.

– Obawiam się, że nie jest to typ sztuki, który mu odpowiada – powiedziała admirał. – Po prostu się pilnuj. Skoro nie mogą wyrwać serca jemu, być może spróbują dorwać nas.

– Chyba nie mamy się o co martwić, pani admirał. Jak mówi stare porzekadło: „Niebo jest zawsze najciemniejsze...”

– „...tuż zanim okryje się w całości czernią” – dokończyła za nią Ar'alani.

– Tak, miałam w Akademii tego samego instruktora.

W tym momencie doszły do sali. Strażnicy pociągnęli za pierścienie przymocowane do ciężkich skrzydeł drzwi – kolejna psychologiczna sztuczka – odsłaniając widok na stół i dwa krzesła dla świadków, ustawione tak, by siedzący patrzyli na pogrążone w półmroku półkole oczekujących ich w ciszy syndyków. Wkładając całą swoją pewność siebie

w każdy krok, Ar'alani podeszła do stołu i stanęła za jednym z krzesel. Wutroow zajęła miejsce obok niej.

– Witam was, syndycy Dynastii Chissów! – zawołała admirał, dbając przy tym, by jej głos dorównywał pewnością siebie dziarskiemu krokowi, jakim weszła do sali. – Jestem admirał Ar'alani, obecnie dowódczyni „Czujnego” i Szóstej Eskadry Patrolowej Ekspansyjnej Floty Obronnej. Oto moja pierwsza oficer, starsza kapitan Kiwu'tro'owmis.

– Witajcie, pani admirał, starsza kapitan – powiedział jakiś głos z półkola.

Wtedy nagle mrok zalała fala ostrego światła.

Ar'alani mrugnęła kilkukrotnie, nim jej oczy przyzwyczyły się do nowej sytuacji. W głębi ducha doceniała ten ostatni gambit. Syndycy nie musieli kryć się w ciemnościach. Mogli bez strachu stanąć twarzą w twarz z każdym w Dynastii.

– Usiądźcie, proszę – dodał inny głos. – Chcemy wam zadać kilka pytań.

– Z radością odpowiemy. – Ar'alani odsunęła krzesło, usiadła i rzuciła spojrzenie w stronę półkola. Nie rozpoznawała żadnej twarzy, ale stojące przed syndykami tabliczki z nazwiskami mówiły same za siebie. Do tej konkretnej sprawy wybrano sześć rodzin, jak zwykle mieszankę Dziewięciu i Wielkich: Irizi, dawna rodzina Ar'alani, do tego obecna rodzina Wutroow – Kiwu – oraz Clarr, Plikh, Ufsa i Droc.

Niezwykłą zdawała się nieobecność rodziny samego Thrawna – Mitthów.

Niezwykłą i podejrzaną. Zapewne to nieobecność Thrawna stanowiła wymówkę, pozwalającą na trzymanie Mitthów z dala od tego przesłuchania. Jednak biorąc pod uwagę fakt, że to on znajdował się niewątpliwie w centrum całej sprawy, Mitthowie powinni chociaż powalczyć o obecność.

Możliwe, iż już podjęli wewnętrzną decyzję: Thrawn był obciążeniem i chcieli go rzucić nocołazom na pożarcie. Nie pierwszy raz rozważaliby takie wyjście.

– Pozwólcie, że przejdę od razu do sedna – odezwał się Clarr. – Sześć dni temu wasza eskadra patrolowa została wysłana przeciwko Paataatusom w odwecie za ich naruszanie naszych południowo-zenitowych granic. Podczas wynikłej potyczki, dowódca jednego z pani statków, starszy kapitan Mitth'raw'nuruodo, nie wykonał bezpośredniego rozkazu. Czy to się zgadza?

Ar'alani zawahała się przez chwilę. „Odpowiadaj zgodnie z prawdą. Podkreconą”.

– Nie wykonał pośledniego rozkazu, zgadza się, syndyku.

Clarr uniósł brwi.

– Słucham?

– Powiedziała, że nie wykonał pośledniego rozkazu – powtórzyła Ar'alani. – W tym samym czasie wykonywał jednak znacznie poważniejszy rozkaz.

– To niezwykle fascynujące – wtrącił sucho Irizi. – Rodzina Irizi od pokoleń szczyli się oficerami i wojownikami w Siłach Obronnych, a nie pamiętam, bym kiedykolwiek słyszał o poważnych i poślednich rozkazach.

– Być może lepszym określeniem byłyby „priorytety” – poprawiła się Ar'alani. – Pierwszym priorytetem wojownika jest oczywiście obrona Dynastii. Drugim – wygranie danej bitwy lub wojny. Trzecim – ochrona statku i załogi. Czwartym – wypełnianie konkretnych rozkazów.

– Czy sugeruje pani, że Ekspansyjna Flota Obronna działa na zasadach wolnych sztuk wojennych? – zapytał Droc.

– Raczej sztuk wyzwolonych, jeśli Thrawn jest w to zamieszany – dodał półszepem Ufsa.

W sali rozległo się kilka stłumionych chichotów. Usta Clarra nawet nie drgnęły.

– Zadałem pytanie, pani admirał.

– Z pewnością flota nie działa tak chaotycznie, jak sugeruje pański komentarz – odparła Ar'alani. – W sytuacji idealnej rozkazy oficera dowodzącego pokrywają się z tymi priorytetami. – Przechyliła głowę, jakby uderzyła ją jakaś myśl. – W zasadzie, zaryzykowałabym stwierdzenie, że działa to identycznie jak w waszym przypadku.

– Proszę wyjaśnić. – Oczy Clarra zwięziły się niebezpiecznie.

– Waszym pierwszym obowiązkiem jest ten wobec Dynastii. Dopiero potem wobec waszych rodzin.

– Co dobre dla Dziewięciu Rodzin, jest dobre też dla Dynastii – odparł sztywno Plikh.

– Niewątpliwie – zgodziła się Ar'alani. – Po prostu porównuję hierarchię celów i obowiązków.

– Nawet w ramach rodzin – wtrąciła Wutroow – zakładam, że inaczej traktujecie pokrewieństwo między kuzynami, dalszymi krewnymi, zrodzonymi w Próbie i zasłużonymi adoptowanymi.

– Dziękujemy za stwierdzenie oczywistości, starsza kapitan – rzucił kwaśno Clarr. – Ale nie zostałyście tu sprowadzone na pogawędkę o relacjach rodzinnych. Jesteście tu, by wyjaśnić, dlaczego kapitanowi Thrawnowi zezwolono na niewykonanie bezpośredniego rozkazu swojego dowódcy bez poniesienia żadnych konsekwencji z tego powodu.

– Proszę o wybaczenie, syndyku. – Wutroow odezwała się, nim Ar'alani zdążyła odpowiedzieć. – Ale mam pytanie.

– Admirał Ar'alani, uprzejmie proszę poinformować swoją pierwszą oficer, że ma odpowiadać na pytania, a nie je zadawać.

– Ponownie proszę o wybaczenie, syndyku – broniła się Wutroow. – Ale moje pytanie ma bezpośredni związek z działaniami kapitana Thrawna.

Clarr już miał coś powiedzieć, po czym zawahał się i zacisnął usta.

– Dobrze – powiedział po chwili. – Jednak ostrzegam panią, pani kapitan, nie jestem w nastroju do błahych dygresji.

– Ja również, syndyku – odparła Wutroow. – Jak już ustaliliśmy, powodem, dla którego kapitan Thrawn oddalił się „Springhawkiem” od głównych sił admirał Ar'alani, była próba ściągnięcia na siebie uwagi czekających w pułapce sił wroga, co miało dać reszcie czas na reorganizację i kontratak. Moje pytanie brzmi następująco: dlaczego eskadra dała się tak szybko i całkowicie wciągnąć w pułapkę?

– Ponieważ Paataatusowie wiedzieli, że ich działania przeciwko Dynastii w naturalny sposób ściągną nasze siły odwetowe – odparł Clarr. – Zwłaszcza jeśli to oni stali za atakiem na Csillę. Uprzedzałem panią przed niepoważnymi pytaniami...

– Ale dlaczego tam? – naciskała Wutroow. – Dlaczego w tym konkretnym miejscu? Bo ewidentnie się nas spodziewali.

– Brzmi pani, jakby znała już odpowiedź – wtrącił Kiwu. – Może nas pani oświecić?

– Dziękuję. – Wutroow skłoniła głowę w jego stronę. – Otrzymałam szczegółowy raport na temat misji, którą Syndykura wysłała do Paataatusów wkrótce po tym, gdy zostali zidentyfikowani jako odpowiedzialni za ataki na naszą flankę. Rozmowy były krótkie...

– Wszyscy czytaliśmy ten raport – przerwał jej Clarr. – Do rzeczy.

– Tak, syndyku – powiedziała Wutroow. Ar'alani zauważyła, że na twarzy podwładnej nie pojawił się nawet cień uśmiechu. Starsza kapitan była za sprytna, by dać po sobie choćby poznać, że może sobie pogrywać z Arystokrą, jednak jej spojrzenie mówiło admirał, iż ma w zanadru coś

naprawdę dobrego. – Gdy rozmowy dobiegły końca i emisariusze wracali na statek, jeden z nich powiedział do delegacji Paataatusów... – Wutroow przerwała i zajrzała do swojego questisa. – Cytuję: „Następnym razem, gdy zobaczycie okręty Chissów nadlatujące z tego kierunku, przyniosą wam całkowitą zagładę”. – Podniosła wzrok. – Czy mam określić kierunek, jaki w tym momencie wskazywał emisariusz?

– Bzdury! – warknął Ufsa. – Żaden dyplomata nie zrobiłby czegoś tak głupiego.

– A jednak – ciągnęła Wutroow. – Oczywiście, gdyby admirał Ar'alani o tym wiedziała, z pewnością wybrałaby inny wektor podejścia do ataku. Niestety, nie wiedziała.

– Biorąc pod uwagę wspomniane okoliczności – dodała Ar'alani, korzystając z pięknego otwarcia, które zrobiła dla niej podwładna – jestem pewna, że działania kapitana Thrawna były nie tylko odpowiednie, ale i niezbędne.

– Być może – powiedział Clarr. W jego głosie i spojrzeniu wciąż nie było ugodowości, ale wcześniejsza pewność siebie z pewnością nieco stopniała. – Interesujące. Dziękuję za wasz czas, pani admirał, starsza kapitan. Możecie odejść. Gdy zgłębimy tę kwestię bardziej, zaprosimy was ponownie.

– Tak, syndyku. – Ar'alani wstała. – Jeszcze jedna rzecz. Pragnę podkreślić, że moim zdaniem ten atak w zupełności wystarczył jako nasza demonstracja siły wobec Paataatusów. Ich dyplomaci zdają się być w pełni przekonani do wycofania własnych jednostek w obręb swoich granic i pozostawienia Dynastii w spokoju. Wspominam o tym, gdyby miało to w jakiś sposób wpłynąć na wasze rozważania.

– Dziękuję – powtórzył Clarr. – Miłego dnia.

– Oczywiście nie zrobią tego – powiedziała Wutroow, gdy wracały tym samym długim korytarzem. – W sensie, nie zaproszą nas ponownie. Jak już zrozumieli, co się stało, ostatnim, czego będą chcieli, to przyciągnięcie większej uwagi do takiej gafy.

– Zgadza się – przyznała Ar'alani. – A czy ta historyjka jest prawdziwa?

– Oczywiście – uśmiechnęła się Wutroow. – Blefowanie w obliczu wroga czasem działa. Jednak nie sprawdza się przy Arystokrach. Nie, jeden z emisariuszy był w rzeczy samej wystarczająco durny, by stać tam i wskazywać optymalny wektor ataku.

– Rozumiem, że podsunął ci to ktoś z twojej rodziny?

– Tak, ma’am – potwierdziła Wutroow. – Proszę o wybaczenie, ale nie mogę zdradzić szczegółów.

– Nie zamierzałam o nie pytać – zapewniła ją Ar’alani. – Zakładam, że taki przeciek miał coś wspólnego z jakimiś większymi rozgrywkami między rodzinami, a nie tylko z ratowaniem tyłka Thrawna?

– Tak, po prostu szczęśliwy dla nas efekt uboczny. – Wutroow przyjrzała się admirał z ukosa. – Zauważyłam, że nie powiedziała pani, że to Thrawn przewidział przyszłą bierność Paataatusów.

Ar’alani się skrzywiła. Zwykle nienawidziła tego jakże częstego przypisywania sobie przez oficerów czyichś osiągnięć czy pomysłów. Jednak tym razem...

– Dopilnuję, by za rok czy dwa akta zostały poprawione, zakładając, że te przewidywania się sprawdzą – powiedziała w końcu. – Dzisiaj to mogłoby zostać źle odebrane.

– Ale chciała pani, żeby ta sugestia znalazła się w aktach sprawy. – Wutroow pokiwała głową. – I było to chyba najlepsze wyjście. Chyba trudno sobie wyobrazić, jak ważne są rodzinne koneksje i relacje, dopóki się ich nie straci.

– To prawda. – Ar’alani nagle poczuła stare i odległe doznanie straty. – Więc ciesz się nimi, póki je masz.

– Kto, ja? – Wutroow zaśmiała się cicho. – Doceniam komplement, pani admirał, ale nie ma szans, żebym dochrapała się dowództwa.

– Nigdy nie wiesz, starsza kapitan – odparła Ar’alani. – Nigdy nie wiesz.

## Rozdział 4

Che'ri zamknęła Trzecie Oko, czując lekkie pieczenie oczu, potworne zmęczenie i koszmarny ból głowy. Wyglądało to jak zapowiedź przeciążeńówki.

Miała ogromną nadzieję, że nie była to zapowiedź przeciążeńówki.

Ktoś powiedział:

– Jesteśmy na miejscu.

Che'ri obróciła głowę, pilnując, by nie zrobić tego za szybko. Starszy kapitan Thrawn siedział w fotelu dowódcy, po prawej ręce mając Samakro, a po lewej Thalias.

A to nowina. Większość nibymatek Che'ri odprowadzała ją do mostka i z powrotem, ale pozostawała w kajucie. Zawsze myślała, że po prostu nie wolno im wchodzić do środka.

A może wszystkie mogły z nią zostać, ale po prostu nie chciały. Albo... Thalias jest wyjątkowa, bo była gwiazdogatorką.

Thrawn i Samakro wpatrywali się w planetę widoczną pośrodku iluminatora.

Za to Thalias wpatrywała się w Che'ri.

Dziewczynka szybko odwróciła się do swojej konsoly, nagłym ruchem wywołując jednocześnie potężne uderzenie bólu głowy. „Nigdy nie okazuj słabości” – jak ją wielokrotnie ostrzegano. „Gwiazdogatorka nigdy nie okazuje słabości. Zawsze jest gotowa działać, uśmiechnięta i skuteczna, przygotowana na kolejną podróż, a potem kolejną, dopóki kapitan nie zezwoli jej na odpoczynek”.

– Zero emisji energii – zameldowała kobieta przy stanowisku czujników.

– Zero koncentracji przetworzonych metali, zero aktywności życiowej. Planeta wygląda na martwą.

– Nic dziwnego, biorąc pod uwagę środowisko – rzekł Samakro. – Kolejna do skreślenia. Ruszamy do kolejnego układu?

Nastąpiła pauza. Che'ri wpatrywała się wciąż w swoją konsolę, mając nadzieję, że Thrawn odmówi.

Choć tak naprawdę wiedziała, że się zgodzi. Nikt jej nie powiedział, o co chodziło w tej podróży, ale najwyraźniej szukali czegoś ważnego. A taki kapitan jak Thrawn nie chciałby przecież tracić czasu.

Czy Che'ri mogła nawigować z nadchodzącą przeciążeniówką? Nigdy przedtem nie próbowała. Ale miała przecież zadanie do wykonania, a nikt inny na pokładzie nie mógł tego zrobić za nią. Jeśli kapitan zdecyduje, że lecą dalej...

– Chyba nie – odparł Thrawn. – I wojownikom, i statkowi przyda się kilka godzin odpoczynku.

Napływające do oczu łzy na chwilę przesłoniły jej świat. Łzy ulgi, bo będzie mogła odpocząć. Łzy wstydu, bo była zbyt zmęczona, by kontynuować.

Thrawn wiedział. Słyszała to w jego głosie. Może i powiedział, że wszyscy potrzebują odpoczynku, ale on wiedział. Chodziło tylko o nią. Tylko o Che'ri. To ona była powodem ich postoju.

– Ster, kurs na wysoką orbitę planety – rozkazał.

– Tak jest, sir – zareagował mężczyzna przy konsolcie obok Che'ri.

Pomimo bólu i rozmazującego się obrazu, z fascynacją przyglądała się jego palcom tańczącym na przyrządach. Grywała czasem na swoim questisie w symulatory lotu, ale widok kogoś robiącego to naprawdę był dużo ciekawszy.

– Czujniki, rozszerzyć perymetr poszukiwań do przestrzeni zewnętrznej podczas podejścia – wydawał kolejne polecenia Thrawn. – Gdy już będziemy na orbicie, skup się z powrotem na planecie.

– Tak jest, sir – odparła kobieta.

– Co spodziewamy się znaleźć? – zapytał Samakro.

– Nie spodziewamy się, kapitanie – poprawił go Thrawn. – Zaledwie spekulujemy.

Che'ri zmarszczyła czoło. Spekulujemy? Na jaki temat? Słuchała dalej, mając nadzieję, że Samakro o to zapyta.

Jednak nie zrobił tego.

– Tak jest, sir. – To było wszystko. Po chwili Che'ri usłyszała echo jego oddalających się kroków.

– Dziękuję – powiedziała cicho Thalias.

Che'ri mocno zacisnęła powieki, broniąc się przed bólem i wstydem. Thalias też wiedziała. A Samakro?

Czy wszyscy na statku wiedzieli?

Poczuła na policzku czyjś oddech, ogrzewający jej łyzy.

– Jak się czujesz? – wyszeptała miękko wprost do jej ucha Thalias. – Pomóc ci wrócić do kajuty?

– Mogę tu jeszcze chwilę zostać? – poprosiła Che'ri. – Nie mogę... Nie chcę, żeby mnie ktoś niósł.

– Jak ona się czuje, opiekunko? – zapytał Thrawn.

– Nic jej nie będzie – odparła Thalias, przykładając dziewczynce dłoń do czoła. Chłód jej dotyku był bardzo przyjemny. – Czasami gwiazdogatorki po zamknięciu Trzeciego Oka odczuwają przeładowanie sensoryczne, skutkujące bólem i zaburzeniami widzenia. Jeśli dać się symptomom w pełni rozwinąć, potrzeba nieco czasu, by minęły.

– Jeszcze jeden powód, by się zatrzymać – stwierdził Thrawn.

– Tak – potwierdziła. – Tak czy siak, chciałabym dać Che'ri kilka minut na dojście do siebie, nim wrócimy do kajuty.

Przez falę bólu przemknęła iskierka ulgi. Żadna z poprzednich nibymatek Che'ri nie rozumiała naprawdę przeciążeńówki. Jedna nawet się na nią za to wściekła. Miło było mieć kogoś, kto wiedział, z czym to się je i jak sobie z tym radzić.

– Odpoczywajcie, ile tylko trzeba – powiedział Thrawn. – Nie dziwię się, że tak mocno to odczuła, biorąc pod uwagę parametry układu.

Che'ri zmarszczyła brwi, otworzyła oczy i spojrzała na planetę, w stronę której zmierzał „Springhawk”. Nie różniła się od poprzednich, które widziała podczas tej misji. Co było w niej takiego niezwykłego?

– Nie chodzi o planetę – odpowiedział Thrawn.

Che'ri aż podskoczyła, co sprawiło, że przez jej głowę i ramiona przemknęła kolejna fala bólu. Głos kapitana dobiegał bezpośrednio zza jej pleców.

Kapitanowie zwykle nie zbliżali się do swoich gwiazdogatorek. Nie wiedziała, czy nie było im wolno, czy po prostu tego nie robili. Jednak Thrawn stał tuż przy Thalias. Prawie wystarczająco blisko, by jej dotknąć.

– Spójrz na ekran taktyczny – ciągnął Thrawn, wskazując jeden z dużych ekranów przy iluminatorze. – Daje ci szerszy wgląd w układ rozumiany jako całość.

Che'ri zmrużyła oczy, przypatrując się ekranowi i próbując odczytać pojawiające się na nim proste, krzywe i różne liczby.

Nagle zrozumiała i otworzyła szeroko oczy.

Nie było tu jednej gwiazdy, jak do tej pory sądziła. Były cztery.

– Poczwórne układy gwiazdne jak ten są dość rzadkie – ciągnął Thrawn.  
– Wyobrażam sobie, że wprowadzenie nas do środka jednego z nich może mocno obciążyć Trzecie Oko.

– Tak, chyba tak. – Thalias zmieniła dłonie, przykładając do czoła Che'ri drugą, chłodniejszą. – Dlaczego tu jesteśmy? W sensie tutaj.

– Naprawdę chce pani wiedzieć, opiekunko? – zapytał kapitan.

Przyklejona do czoła Che'ri dłoń Thalias nagle zeszywniała.

– Tak jest, sir – powiedziała. – Chcę.

Thrawn przemieścił się, stając przy drugim boku Thalias.

– W jednym z peryferyjnych układów Dynastii znaleziono dryfujący statek uchodźczy – wyjaśnił cicho. Może Che'ri nie powinna była tego słuchać? – Lecimy po najprawdopodobniejszych wektorach jego kursu w nadziei na identyfikację tego ludu. Ma pan jakieś pytanie, komandorze poruczniku Azmordi?

– Nie, sir. – Słowa komandora porucznika wybrzmiały ciężko w powietrzu. – Ale czy mogę przypomnieć panu kapitanowi, że są pewne tematy, których nie należy poruszać – Che'ri dostrzegła, jak wskazuje na nią – poza gronem starszych oficerów?

– Odnotowałem pańskie zaniepokojenie, komandorze poruczniku – powiedział Thrawn. – Jednakże w pewnym momencie gwiazdogatorka Che'ri i opiekunka Thalias mogą zostać zmuszone do wykonania pewnych określonych zadań. Istotnym jest, by ten zespół wiedział, jaka jest stawka i był psychicznie przygotowany do misji.

Che'ri ponownie zmarszczyła brwi. „Zespół”. Nikt nigdy nie nazwał jej częścią zespołu. Nawet ona sama wcześniej o sobie tak nie myślała. Była gwiazdogatorką, a opiekunka była jej nibymatką i tyle. Che'ri prowadziła okręt tam, gdzie musiał polecieć, a opiekunka przygotowywała jej posiłek i kładła spać. Nie były zespołem.

A może były?

– Tak jest, sir – powiedział Azmordi. Che'ri słyszała w życiu wystarczająco wielu niezadowolonych oficerów, by umieć takiego rozpoznać. W tym przypadku nie miała żadnych wątpliwości.

Ale komandor porucznik nie kontynuował dyskusji.

– Zrozumiałem, że uchodźcy nie chcieliby, żeby ich prześladowcy wiedzieli, dokąd zmierzają – ciągnął Thrawn. – Z kolei z ułożenia jednostek rodzinnych na zniszczonym statku wynika, że mają wysokie poczucie wspólnoty. Wydawało mi się, że taki lud wolałby podróżować w grupach. A jeśli nie w grupach, to przynajmniej w towarzystwie innego statku.

Przerwał, jakby oczekując, że ktoś coś powie. Che’ri ponownie spojrzała na cztery gwiazdy, próbując zebrać myśli mimo bólu głowy.

Nagle zrozumiała.

– Wiem! – powiedziała, unosząc dłoń. – Cztery gwiazdy. Trudno tu się dostać.

– Tak – zachęcił ją Thrawn. – Co oznacza...?

Che’ri zwiesiła ramiona. Nie miała pojęcia, co to oznaczało.

– Co oznacza, że to doskonałe miejsce na spotkanie dla dwóch statków – dokończyła Thalias. – Miejsce, do którego żaden ścigający nie będzie się pchać. Sądzi pan, że możemy tu znaleźć tę drugą jednostkę?

– To możliwe. – Thrawn znowu przerwał, a Che’ri miała wrażenie, że patrzy na nią. – Gwiazdogatorko Che’ri, czy jesteś gotowa powrócić do swojej kwatery?

Cały jej entuzjazm wyparował w jednej chwili. Che’ri nie była już częścią zespołu, a po prostu kimś, kogo się przegania po statku.

– Tak mi się wydaje – westchnęła.

– Pozwól, że pomogę. – Thalias wzięła Che’ri pod ramię, a wolną dłonią wypięła ją z fotela. – Możesz wstać?

– Tak – odparła, po czym wstała i od razu przystanęła na chwilę, gdy zakreśliło się jej w głowie. Odczekała moment, by wszechświat przestał wirować.

– Dobra – powiedziała i obeszła swój fotel. Zbliżyła się do wjazdu mostka z nadal podtrzymującą ją Thalias.

Po chwili szły już korytarzem.

– Jesteś głodna? – zapytała Thalias, gdy dotarły do drzwi ich kabiny. – A może chciałabyś najpierw gorącą kąpiel?

– Kąpiel – odparła Che’ri. – Też miewałaś takie przeciążeniówki?

– Zdarzało się. Najwięcej, gdy dopiero zaczynałam, ale zdarzały mi się i pod koniec. Choć pewnie nigdy tak ciężkiej jak ty teraz. – Potrząsnęła głową. – Układ poczwórny. Najgorszy, jaki mi się trafił, miał trzy gwiazdy. Jesteś naprawdę wyjątkowa, Che’ri.

– E tam. – Che’ri zmarszczyła nos.

Ale dobrze było usłyszeć te słowa. Dobrze było też zobaczyć, jak kapitan Thrawn poświęca swój czas, by z nią pogadać.

Ale gorąca kąpiel... to dopiero będzie dobre!

– Ja mówię, że jesteś – powiedziała Thalias. – Daj, pomogę ci usiąść i pójde przygotować kąpiel. Chcesz swój questis, żeby ci się nie nudziło?

Trzy godziny później, gdy Che’ri się umyła, najadła i wreszcie zasnęła, Thalias wróciła na mostek.

Gdzie dowiedziała się, że „Springhawk” nie był już sam. Pół kilometra od nich dryfował obcy statek z wygaszonymi światłami zewnętrznymi.

Samakro siedział w fotelu dowódcy, rozmawiając po cichu z jednym z oficerów. Zauważył Thalias, wymruczał ostatni komentarz, po czym odwrócił się, a drugi mężczyzna ruszył w stronę jednego ze stanowisk.

– Jak się czuje Che’ri? – zapytał.

– Śpi – odparła Thalias i stanęła obok jego fotela, przyglądając się obcej jednostce. Zdecydowała, że jej kanciaste kształty przypominały bardziej frachtowiec niż okręt floty wojennej. – Gdzie jest starszy kapitan Thrawn?

– Na zewnątrz z zespołem zwiadowczym. – Samakro pokręcił głową. – Niech go cholera.

– Statek?

– Kapitana – odparł. – Skąd wiedział, że tu będzie?

Thalias już chciała mu przypomnieć wcześniejszą analizę Thrawna, po czym zorientowała się, że Samakro nie był przy tym obecny.

– Ma swoje metody – skwitowała. – Gdzie był?

– Orbitował po drugiej stronie tej planety – powiedział Samakro. – Zauważyliśmy go tuż po waszym wyjściu.

Skrzywiła się. Martwy statek, na którego pokładzie pewnie znajdowały się martwe istoty. Czy Thrawn wiedział lub podejrzewał, kiedy wyłoni się z ukrycia? Czy właśnie dlatego tak nagle zasugerował, by Che’ri zeszła z mostka i wróciła do swojej kajuty?

Bo oficer u steru miał rację. Zdecydowanie istniały sprawy, od których małe gwiazdogatorki należało trzymać z daleka.

– A więc jak to było z tobą? – zapytał Samakro.

– Słucham? – Thalias spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Błagam – rzucił lekceważąco. – Była gwiazdogatorka, która zostaje opiekunką? To już się nie zdarza. Z tego, co słyszałem, kiedy gwiazdogatorka skończy służbę, chce uciec od tego życia najdalej jak się da.

– Nie było tak źle. – Thalias skłamała tylko troszeczkę.

– Jasne – parsknął Samakro. – Co więcej, jesteś z rodziny Mitthów oraz trafiłaś na okręt Thrawna? Jeśli naprawdę jesteś tym, za kogo się podajesz, to mamy do czynienia z całą masą zbiegów okoliczności.

Nagle uderzyło ją wspomnienie krótkiej rozmowy z syndykiem Thurfianem. Samakro nie miał pojęcia, jak bliski jest prawdy. Jej wzrok przykuł drobny ruch – jeden z promów „Springhawk” odłączył się od tamtego statku i leciał w ich stronę.

– Jeśli chce pan coś powiedzieć, lepiej się pospieszyć – rzuciła. – Kapitan wraca na okręt.

– Mitthowie przysłali cię, żebyś nas obserwowала – powiedział Samakro.

– Nawet nie zaprzeczaj. Oficer, który cię przydzielił do „Springhawk”, powiedział mi, jak próbowałaś się wkręcić na pokład. Wspomniał też o pojawieniu się syndyka Mitthów, który w ostatniej chwili ci w tym pomógł.

Thalias nie zmieniła kamiennego wyrazu twarzy.

– I?

– Widziałem już, jaki piekielny bałagan tacy obserwatorzy potrafią zrobić na okręcie – ciągnął. – Wszędzie się pchają, nigdy nie wiedzą, gdzie stanąć, w którą stronę się przesunąć i wprowadzają więcej rodzinnej polityki niż to potrzebne.

– Nie jestem tu, by sprawiać kłopoty.

– To nie ma znaczenia. I tak to zrobisz. – Wskazał na dryfujący przed nimi statek. – Oni tam wszyscy nie żyją. Tak jak i wszyscy ze statku zaatakowanego w układzie Dioya. Ktoś im to zrobił. Ktoś, kto może być nam kompletnie nieznany. I w którymś momencie będziemy być może musieli z tym kimś walczyć.

Jego wskazujący palec przesunął się w stronę Thalias.

– Nie chcę umrzeć, ponieważ moja załoga będzie ignorować swoje konsolety i oglądać się przez ramię, czy nie podgląda ich obserwator Mitthów.

– Myślę, że powinniśmy to już mieć za sobą – powiedziała sztywno Thalias. – Zróbmy tak. Ja uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie narobić bałaganu. Pan uczyni wszystko, co w jego mocy, by dać mi znać, jeśli i tak go narobię.

– Obyś mówiła serio – ostrzegł ją Samakro. – Wiesz, mamy tu areszt.

– Proszę nie wygłaszać gróźb, których nie jest pan w stanie spełnić, kapitanie! – prychnęła Thalias. – Proszę nie zapominać, że tylko ja mogę się zająć waszą gwiazdogatorką.

– Niby od kiedy? – zachnął się Samakro. – Gotujesz rosółek, kiedy się gorzej poczuje, tulisz, kiedy płacze i pilnujesz, żeby żaden groźnie wyglądający wojownik jej nie wystraszył.

– Proszę mi wierzyć, tu chodzi o znacznie więcej. – Thalias nie poddawała się narastającej złości. Jeśli Samakro próbował sprowokować ją do narobienia kłopotów, aby potem zamknąć, będzie musiał się bardziej postarać. – A więc co wiemy o tym statku? Mówił pan, że wszyscy zginęli. Jak?

Samakro odetchnął głęboko.

– Na razie udało się jedynie ustalić, że padł ich hipernapęd, przez co tu utknęli. Przynajmniej tych tutaj nie zamordowano, najwyraźniej skończyło im się powietrze. – Na chwilę zacisnął usta. – Przynajmniej mieli nienajgorszą śmierć.

– To oznacza także, że zarówno statek, jak i ciała są nietknięte.

– Zgadza się – odparł Samakro. – Miejmy nadzieję, że pozwoli nam to odnaleźć drogę do ich układu.

– Kapitanie Samakro, mówi kapitan. – Z głośnika na mostku dobiegł głos Thrawna. – Czy sala do badań jest gotowa?

Samakro włączył mikrofon przy swoim fotelu.

– Tak jest, sir – potwierdził. – Przygotowaliśmy cztery stoły w sali odpraw numer dwa, sprzęt i ekipa medyczna czekają na miejscu.

– Doskonale. Proszę do mnie dołączyć, jeśli to nie problem.

– Już idę, sir.

Zdążył zrobić trzy kroki w stronę wejścia na mostek, zanim dogoniła go Thalias.

– A ty dokąd się wybierasz? – zapytał, mierząc ją wzrokiem.

– Do sali odpraw numer dwa – powiedziała. – Cokolwiek znalazł kapitan, będzie miało wpływ na to, dokąd lecimy i jak Che’ri będzie wykonywać swoje zadania. Muszę wiedzieć wszystko, co pozwoli mi ją przygotować na to, co nadchodzi.

– Oczywiście, że musisz – stwierdził kwaśno Samakro. – Dobrze. Prowadź.

– Dobrze – zawahała się Thalias. – No...

– Nie wiesz, gdzie to jest, prawda?

Thalias westchnęła ciężko.

– Nie.

– Tak sądziłem. Dobrze, pójdę przodem. A kiedy już będziemy na miejscu, nie przeszkadzaj. I nie narób bałaganu.

Sala odpraw była mniejsza, niż Thalias się spodziewała, a zastawiona czterema stołami i oblegana przez medyków stała się naprawdę zatłoczona, gdy dotarli tam z Samakro.

Co zrozumiałe, medycy szybko zrobili miejsce pierwszemu oficerowi „Springhawka”. Thalias, co równie zrozumiałe, musiała się między nimi przepychać, usilnie unikając wystających łokci i groźnych spojrzeń. W końcu znalazła sobie miejsce w jakimś niezagospodarowanym kącie.

Wciąż jeszcze się mościła, gdy w sali pojawił się Thrawn z ciałami.

Jak wspomniał Thrawn, była ich czwórka. Troje należało do tej samej rasy – średni wzrost, wyraźnie zaznaczone wypukłości piersi i bioder, jasnoróżowa skóra z fioletowymi plamami wokół oczu, nad którymi górowały umiejscowione na czubkach głów grzebienie z piór. Mieli patykowane, aczkolwiek dobrze umięśnione ręce i nogi. Stroje wyglądały obco, jednakże ich styl i wykończenie sugerowały Thalias, że wkładano je na specjalne okazje.

Czwarte ciało stanowiło ostry kontrast. Wysokie i szczupłe, z dużymi ramionami, łokciami, nadgarstkami, kolanami i kostkami. Miało bladoszara skórę, a na skroniach widniała siatka wytatuowanych na czerwono, zielono i niebiesko blizn. Istota była ubrana w zdecydowanie roboczy, ciemnoczerwony kombinezon.

– Nikogo takiego nie ma w naszej bazie danych. – Thrawn wskazał na trzy różowe ciała. – Jednak ten czwarty... rozpoznaje go pan, kapitanie?

– Tak. – Samakro podszedł bliżej i przyjrzał się zastygłej twarzy. – Nie znam tej rasy, ale blizny na skroniach oznaczają, że jest Przewodnikiem Próżni.

Spojrzał na Thalias.

– To jedna z grup pracujących jako nawigatorzy w długodystansowych podróżach po Chaosie – dodał.

– Wiem – odparła. Służyła kiedyś na okręcie, który eskortował misję dyplomatyczną. Oba statki wynajęły obcych z Gildii Nawigatorów, co miało służyć podtrzymaniu iluzji, jakoby Chissowie nie mieli własnych sposobów na takie podróże. Ona i jej opiekunka były trzymane w ukryciu, ale widziała kilka nagrań przedstawiających nawigatorów przy pracy.

Nie przypominała sobie jednak żadnego, który wyglądałby jak ten martwy Przewodnik Próżni. Z drugiej strony, do Gildii należało wiele różnych grup i ras.

– Prawdę mówiąc, byłbym zaskoczony, gdyby znał pan tę rasę – skomentował Thrawn. – Gildia Nawigatorów dokłada wszelkich starań, by nie dało się zidentyfikować ras i rodzimych układów ich członków. Tak czy siak, jego obecność tutaj to czysty łut szczęścia.

– Dlaczego? – zapytała Thalias.

– Ponieważ niektóre z danych na mostku przetrwały śmierć załogi i pasażerów – odparł. – Oczywiście, dane zapisano w ich języku.

– Którego, jak zakładam, nie znamy – skwitował Samakro.

– Zgadza się – przyznał Thrawn. – Analizatory może coś z tego wyciągną, ale bez podstawy lingwistycznej, od której mogłyby zacząć, nie przewiduję wielkich postępów.

– Musieli jednak porozumiewać się jakoś ze swoim nawigatorem – powiedziała Thalias, gdy zrozumiała, do czego zmierza Thrawn. – A o ile nie znał ich języka, musieli używać mowy handlowej.

– Właśnie. – Thrawn skłonił się lekko w jej stronę. – A ponieważ główny teren operacyjny Przewodników Próżni pokrywa się z naszym, istnieje spora szansa, że będziemy znać ten język.

– Mówił pan, że niektóre dane przetrwały – przypomniał Samakro. – Czy może znajdują się wśród nich dane nawigacyjne?

– Doskonałe pytanie, kapitanie – pochwalił go ponurym głosem Thrawn.

– Odpowiedź brzmi: nie. Wygląda na to, że nawigator umierał jako ostatni i nim nadeszła śmierć, usunął tyle danych, ile tylko zdołał. Zapisy audioostały się wyłącznie dlatego, że były przechowywane w innym miejscu niż pozostałe, przez co najwyraźniej je przeoczył.

Thalias spojrzała na ciało Przewodnika Próżni, czując, jak ogarnia ją niepokój.

– Nie chciał, żeby ktokolwiek się dowiedział, skąd są – powiedziała. – Pracował dla ich wrogów.

– Albo pracował nad tym, by ich wrogowie nie dowiedzieli się, skąd przybyli – zasugerował Samakro.

– Nie – zaprzeczył Thrawn. – Gdyby tak było, kapitan sam by usunął te dane. Jednak sygnatury czasowe jasno dowodzą, że tak nie było. – Spojrzał z powrotem na Samakro. – Pozostanę tu przez kilka godzin, obserwując

sekcję zwłok. Proszę o zrobienie dwóch kopii zapisów audio: jedną dla analizatorów i jedną do moich własnych badań.

– Tak jest, sir – odparł Samakro. – Za pańskim pozwoleniem, chciałbym też zrobić dodatkową kopię dla siebie. Starszy komandor Kharill przejmuje wachtę za pół godziny, więc będę mógł zacząć odsłuchiwanie, gdy pan będzie doglądał sekcji.

– Doskonały pomysł, kapitanie. Dziękuję.

Thrawn spojrzał na ciało Przewodnika Próżni.

– Zadał sobie trochę kłopotu, by ukryć przed nami zarówno te istoty, jak i ich rodzinną planetę. Sprawdźmy zatem, czego uda nam się dowiedzieć pomimo jego wysiłków.

Thalias przyglądała się, jak Thrawn studiował ciała, zauważając szczególną uwagę, jaką poświęcał strojom i ozdobom. Gdy skończył, a medycy przystąpili do pracy i wyjęli swoje przyrządy chirurgiczne, uznała, że ma dość.

Kiedy wślizgnęła się do kajuty i zamknęła za sobą włącz, było tam ciemno i cicho. Przemknęła przez salon, zastanawiając się, czy gorąca kąpiel to dobry pomysł, czy może jednak nie ma siły na nic więcej niż zwinięcie się w łóżku w kłębek...

– Thalias? – Z sypialni Che’ri doszedł ją nieśmiały głos dziewczynki.

– Jestem tutaj – odpowiedziała cicho i ruszyła w stronę wpółotwartych drzwi do jej pokoju. – Obudziłam cię?

– Nie, już nie spałam.

– Przykro mi. Jesteś głodna? Zrobić ci coś do jedzenia?

– Nie. – Che’ri zawahała się. – Miałam koszmar.

– Och, tak mi przykro – powtórzyła, otwierając drzwi na całą ich szerokość i wchodząc do środka. W delikatnym świetle fluorescencyjnych oznaczeń kapsuł ratunkowych dostrzegła Che’ri, która siedziała na swoim łóżku. Przygarbiona, tuliła do piersi poduszkę. No to tyle, jeśli chodzi o gorącą kąpiel. – Chcesz o nim porozmawiać?

– Chyba nie – odparła Che’ri. – Nie trzeba.

Wciąż jednak wtulała się w tę poduszkę.

– Śmiało. – Thalias usiadła w nogach łóżka. – Ty mi opowiedz o swoim, a ja opowiem ci jeden z moich.

– Też miałaś koszmary?

– Wszystkie miałyśmy – potwierdziła Thalias. – Tak jak i przeciążeniówkę. Nie wiem, czy to po prostu związane z Trzecim Okiem,

czy może po prostu kwestia presji, pod jaką pracują gwiazdogatorki. Ale wszystkie przez to przechodziłyśmy. – Przez kocyk poklepała Che’ri po kolanie. – Niech zgadnę. Zgubiłaś się i wszyscy się na ciebie wściekli.

– Prawie. – Dziewczynka skinęła głową. – Zgubiłam się, ale nie byli źli. A przynajmniej nic nie mówili. Tylko tak na mnie patrzyli. Po prostu... patrzyli.

– Tak, też taki miałam. – W głosie Thalias pobrzmiwał żal. – Nikt do mnie nie mówił, nikt nie chciał słuchać. Czasem mnie nawet nie słyszeli.

– Pamiętam uczucie, jakbym utknęła w wielkiej bańce mydlanej – dodała Che’ri.

– Ta część snu pochodzi z twojej kąpieli – uśmiechnęła się Thalias.

– Z czego?

– Z twojej kąpieli – powtórzyła opiekunka. – Bąble kojące. Twój mózg zawiesił się na tym wspomnieniu i wcisnął je do snu.

– Serio? Mózgi tak robią?

– Non stop – potwierdziła Thalias. – Twój wziął bąble kojące, dodał je do strachu przed zgubieniem drogi, podlał sosem z wrażenia, którego doznajesz na mostku, że żadne z dorosłych nie zwraca na ciebie uwagi, a potem upichcił z tego sen. Jak zajrzysz do garnka, nie znajdziesz tam nic innego jak twój koszmar.

– Och. – Che’ri zastanowiła się nad tym, co usłyszała. – Wyjaśnione nie wydaje się już specjalnie straszne.

– Ano nie – zgodziła się Thalias. – Właściwie to nawet całkiem głupiutkie, jak posłuchać tego przy włączonym świetle. Co nie oznacza, że nie może być przerażające, gdy jesteś w środku snu, jednak łatwo poczuć się lepiej, gdy potem przeanalizujesz te wszystkie składowe. Po prostu twój mózg i twoje lęki robią sobie z ciebie żarty.

– No dobrze. – Che’ri przytuliła poduszkę jeszcze mocniej. – Thalias... a czy ty się kiedyś zgubiłaś?

Thalias się zawahała. Jak powinna odpowiedzieć?

– Nie w twoim wieku – odparła w końcu. – Założę się, że ty się nigdy nie zgubiłaś.

– Ale potem się zgubiłaś?

– Tak jakbym się zgubiła raz, może dwa – przyznała. – Ale już po tym, gdy wiedzieli, że moje Trzecie Oko niknie, więc robili mi testy wewnątrz Dynastii. Specjalnie tak robią, bo wiedzą, że jeśli gwiazdogatorka się tam zgubi, to nic się nie stanie okrętowi.

– A potem się skończyłaś – wymruczała dziewczynka.  
– I myślałam, że całe moje życie się właśnie skończyło. – Thalias uśmiechnęła się do niej. – Ale jak widzisz, tak się nie stało. Z tobą będzie podobnie.

– Ale jeśli nas zgubię...?

– Nie zgubisz – zaprzeczyła Thalias stanowczo.

– A jeśli jednak?

– Nie zgubisz. Zaufaj mi. Zaufaj sobie.

– Chyba nie umiem.

– Musisz – powiedziała Thalias. – Niepewność może stać się najtrudniejszym i najbardziej przerażającym stanem umysłu. Jeśli zawsze będziesz się zastanawiać, która droga jest właściwa, możesz zeszywnieć ze strachu i nawet nie ruszyć. Jeśli boisz się coś zrobić, równie dobrze możesz tego nawet nie próbować.

– No nie wiem. – Che’ri pokręciła głową.

– Na szczęście dzisiaj nie musisz nic wiedzieć – uspokoiła ją Thalias. – Jedyne co musisz, to położyć się i spróbować znowu zasnąć. Na pewno nie chcesz, żebym zrobiła ci coś do jedzenia?

– Nie, dzięki. – Che’ri spojrzała na wciąż ściszaną poduszkę, po czym przełożyła ją sobie za plecy. – Może trochę porysuję – dodała, sięgając po leżący na stoliku nocnym questis.

– Brzmi nieźle – rzekła Thalias. – Chcesz, żebym z tobą posiedziała?

– Nie trzeba. Ale dzięki.

– Nie ma za co. – Thalias wstała i ruszyła do wyjścia. – Zostawię otwarte drzwi. Gdybyś czegoś potrzebowała, po prostu mnie zawołaj, dobrze? I spróbuj się przespać.

– Dobrze. Dobranoc, Thalias.

– Dobranoc, Che’ri.

Thalias odczekała jeszcze godzinę, na wypadek gdyby Che’ri zmieniła zdanie i czegoś jednak potrzebowała. Gdy wreszcie wyłączyła światło i położyła się w swoim łóżku, w pokoju dziewczynki było również ciemno, a ona sama z powrotem zapadła w sen.

Oczywiście, po tej całej rozmowie, gwiazdogatorskie koszmary Thalias postanowiły do niej wrócić.

– Właśnie nadeszło, pani admirał – powiedziała Wutroow, podając przełożonej swój questis. – Nie jestem pewna, co to znaczy.

Ar'alani przebiegła wzrokiem treść wiadomości: „Spotkanie ze mną na podanych koordynatach tak szybko, jak to możliwe. Zabrać tylko »Czujnego«. Nie zatrudniać nawigatora”.

– Sprawdziłam te współrzędne – ciągnęła Wutroow. – To naprawdę daleko. Podróż bez nawigatora zajmie od czterech do pięciu dni.

– Nie jest to coś, co Thrawn określiłby jako „tak szybko, jak to możliwe” – zgodziła się Ar'alani. – No dobrze. Zakładam, że powiadomiłaś Naporar i zapytałaś, czy mogą nam przypisać tymczasową gwiazdogatorkę?

– Tak – przytaknęła Wutroow. – I...

– Nie, pozwól, że zgadnę – przerwała jej Ar'alani. – Odbiłaś się od trzech różnych biur, aż wreszcie dotarłaś do kogoś, kto oznajmił ci, że minie miesiąc, nim jakakolwiek będzie wolna?

– Nie do końca – odparła dziwnym głosem podwładna. – Odesłano mnie bezpośrednio do Naczelnego Generała Ba'kifa. – Uniosła palec, podkreślając swoje słowa. – Nie do biura generała. Do generała.

– Ba'kif rozmawiał z tobą osobiście?

– Też byłam tym faktem zszokowana – potwierdziła Wutroow. – Zwłaszcza gdy powiedział, że gwiazdogatorka będzie na nas czekać na Naporarze, gdy tam dotrzemy.

– Trzeba to chyba zapisać dla potomności. – Ar'alani zmarszczyła brwi. – I nie robił żadnych problemów?

– Nie w kwestii gwiazdogatorki – odparła Wutroow. – Ale pojawiła się jedna dziwna sprawa. Gdy spotkamy Thrawna, mamy go zapytać o opiekunkę jego gwiazdogatorki. Najwyraźniej jest jakieś zamieszanie w kwestii tego, kim jest i jak dostała to stanowisko.

– Doprawdy? – Ar'alani jeszcze raz przeczytała wiadomość na questisie. A więc czymkolwiek zajmował się Thrawn, było to na tyle ważne, by interesowali się tym najważniejsi ludzie w Radzie, a jednocześnie za kulisami działo się coś związanego z jego gwiazdogatorką i jej opiekunką.

Oczywiście, Thrawn nie będzie miał pojęcia o żadnej z tych rzeczy.

– Doskonale – powiedziała w końcu. – Ustawić kurs na Naporar. Najwyższa prędkość, jaką możemy rozwinąć.

– Tak jest, ma'am. – Wutroow potwierdziła rozkaz.

– A gdy już ruszymy – dodała Ar'alani, oddając questis właścicielce. – Niech załoga ogniowa rozpocznie pełną diagnostykę uzbrojenia.

– Spodziewa się pani walki na zakończenie tej wycieczki?

– Thrawn tam jest – przypomniawsza admirał. – Więć tak, powiedziałabym, że to raczej pewne.

## Rozdział 5

Gdy „Czujny” przybył na miejsce, „Springhawk” już tam czekał. Szybka podróż promem i w ciągu godziny od dotarcia do układu Ar'alani i Wutroow siedziały już w sali odpraw z Thrawnem i Samakro, przeglądając przygotowane dla nich dane.

Ar'alani długo zapoznawała się z otrzymanymi materiałami. Przeczytała całość dwukrotnie, jak miała w zwyczaju. Następnie, by upewnić się, że naprawdę napisano w nich to, co jej się wydawało, przeczytała jeszcze raz.

Gdy podniosła wzrok znad questisa, zobaczyła, że Wutroow i Samakro też zdążyli je już przestudiować. Oboje wpatrywali się w blat stołu, a na ich twarzach malowała się mieszanka zaskoczenia, niedowierzania i lęku.

Przeniosła spojrzenie na przeciwległy szczyt stołu. Thrawn czekał cierpliwie, próbując ukryć własny niepokój.

– Cóż – odłożyła questis – muszę przyznać, że brzmi pomysłowo.

Część niepokoju Thrawna zniknęła. Najwyraźniej jednym z jego głównych zmartwień była jej reakcja.

– Dziękuję – odparł.

– Z całym szacunkiem, starszy kapitanie, nie jestem pewien, czy to był komplement – odezwał się Samakro. – Być może plan jest pomysłowy, ale nie sądzę, żeby był możliwy do zrealizowania.

– W zasadzie widziałam już, jak to zrobiono, kapitanie – powiedziała Ar'alani. – Jeszcze w Akademii kapitan Thrawn wykonał właśnie taki manewr. – Uniosła brwi. – Z drugiej strony, tam mieliśmy do czynienia z patrolowcem. Tym razem mówimy o ciężkim krążowniku. To spora różnica.

– Nie tak duża, jak mogłoby się wydawać – odrzekł Thrawn. – Jasne, „Springhawk” ma większą masę, jednak jego silniki manewrowe są także odpowiednio mocniejsze. Przy odpowiednim przygotowaniu i ustawieniach, wierzę, że to wykonalne.

– I jest pan pewien, że to właściwy układ?

– Poszlaki na to wskazują – odparł. – Nie mogę jednak stwierdzić tego z całą pewnością, dopóki nie zbadamy stacji wydobywczej.

Ar'alani zacisnęła usta i ponownie uniosła swój questis. Z pewnością nie będzie to łatwe. Miejsce, które Thrawn chciał zinfiltrować, kolokwialnie nazywano „układem pudełkowym”: niezwykle silne pływy elektromagnetyczne opasały jego zewnętrzne granice, a w połączeniu z wiatrem słonecznym stwarzały większą niż zwykle przeszkodę w podróży w nadprzestrzeni. O ile okręt nie był gotów na wyjście z nadprzestrzeni za pasem asteroid i spędzenie dni lub tygodni w podróży przez zwykłą przestrzeń do wnętrza układu, to do środka wiodło zaledwie z tuzin w miarę bezpiecznych szlaków.

Jeszcze bardziej niepokojącym był fakt, że jakiś kataklizm sprzed tysiącleci sprawił, iż wnętrze i większość obrzeży układu roiło się od wielkich meteoroidów, przez co cały obszar wyglądał jak miniaturowa wersja samego Chaosu. Biorąc pod uwagę te dodatkowe problemy nawigacyjne, liczba bezpiecznych szlaków prowadzących na zamieszkałą planetę zmniejszyła się konkretnie do trzech.

Trzy trasy do jednej, odizolowanej planety, nieznannej Dynastii i najwyraźniej niepowiązanej z żadną znaną rasą w okolicy. Nieco większa liczba bezpiecznych dróg wiodła do zewnętrznego pasa asteroid, składającego się z kilku bardzo gęstych gromad skalnych i kilku prawdopodobnie opuszczonych kosmicznych stacji wydobywczych.

Choć stacje jednak mogły być opuszczone, reszta układu pozostawała jak najbardziej aktywna. Krótki zwiad Thrawna wykrył intensywny ruch, głównie pomiędzy planetą i kilkoma koloniami oraz orbitującymi wokół niej stacjami przemysłowymi. Niestety, „Springhawk” był za daleko, by stwierdzić, czy owe jednostki przypominały zniszczone statki uchodźcze, których opis Thrawn dołączył do materiałów.

A jakby tego było mało, wszystkie trzy punkty wejściowe były patrolowane przez niewielkie okręty o zupełnie innym kształcie.

– A więc sądzi pan, że to właśnie z tego układu pochodzą te statki uchodźcze. – Ar'alani ponownie spojrzała na Thrawna. – Co więcej, uważa pan, że zostali objęci blokadą przez tamte okręty.

– Bardziej nadzorem niż blokadą – uściślił Thrawn. – Jak pani widzi, ustawienie patrolowców jest przystosowane głównie do kontrolowania

dostępu do głównej planety. Stacje na asteroidach nie są tak uważnie strzeżone, a więc i łatwiej się do nich dostać.

– Jednak wciąż są strzeżone – zauważyła Wutroow. – A ja doliczyłam się tylko trzech dobrych tras prowadzących do układu i na zewnątrz.

– Ale tylko, jeśli celem jest planeta – odparł Thrawn. – Jeśli jednak celem jest stacja na asteroidzie, o której wspominałem, istnieje kilka innych możliwych wektorów podejścia.

– Przynajmniej dopóki blokujący nie dostaną kilku dodatkowych statków – wtrąciła Ar'alani.

– Zgadza się – przyznał jej rację kapitan. – Z tego właśnie powodu uważam, że jeśli chcemy to zrobić, musimy działać szybko.

– Jak długo obserwował ich pan z obrzeży? – zapytała admirał.

– Zaledwie trzy dni – pospieszył z odpowiedzią Samakro.

– Pełne trzy dni – poprawił go Thrawn. – Wystarczająco długo, bym mógł przeanalizować plan ich patroli i zorientować się, jak je obejść.

– O ile nie dostali dodatkowych okrętów w ciągu ostatnich piętnastu godzin – uzupełniła Ar'alani.

– Zgadza się. – Usta Thrawna lekko drgnęły.

Przez kilka chwil w sali konferencyjnej panowała kompletna cisza. Ar'alani wbiła wzrok w swój questis, udając, że coś sprawdza, a w rzeczywistości zastanawiając się nad sytuacją. Nikt inny, o czym doskonale wiedziała, nie byłby w stanie przeanalizować obcych wzorców patrolowych w trzy dni, a co dopiero wytyczyć między nimi bezpiecznej drogi.

Jednak Thrawnowi trzy dni prawdopodobnie naprawdę wystarczały, choć Samakro mógł sądzić inaczej. Ar'alani nie potrafiłaby tak szybko stworzyć podobnego planu, ale widziała, że pomysł Thrawna miał spore szanse powodzenia.

Z drugiej strony, na pewno nie będzie to przyjemny spacer. Thrawn zaproponował kurs, który powinien zapewnić im przewagę nad ewentualnym pościgiem tych kilku patrolowców przemierzających zewnętrzną część układu, jednak jeśli dowódca blokady pošle za nimi część jednostek do tej pory stacjonujących wokół planety, może złapać oba statki Chissów w kleszcze.

– Jak wygląda strategia wyjścia? – zapytała. – My będziemy potrzebowali takiej od razu, pan koniec końców również.

– Mamy dwie interesujące opcje – powiedział Thrawn.

„Jakby całej tej sprawy nie można było określić mianem interesującej” – pomyślała z niepokojem Ar'alani.

– Typowy układ pudełkowy jest w większości ograniczony przez zewnętrzne wzorce pływowe, współgrające z wiatrem słonecznym. Te dwa punkty – Thrawn popukał w swój questis – oznaczają oba gazowe olbrzymy zewnętrznej części układu.

Ar'alani uśmiechnęła się blado, gdy zrozumiała, co miał na myśli.

– Czyli dwie planety, które zostawiają małe wyrwy w wietrze słonecznym, gdy ten okrąża ich orbity.

– W których można się pojawić i zniknąć bez kłopotania gwiazdogatorki czy używania napędu nadprzestrzennego – powiedziała Wutroow. – Hm. Ciężko jednak utrafić w nie z zewnątrz, chyba że ma się naprawdę doskonałe dane na temat planet.

– Z wewnątrz już nie tak ciężko – wtrąciła Ar'alani. – O ile wie się dokładnie, gdzie znajdują się planety, a co za tym idzie, wyrwy. – Nagle spojrzała na Thrawna ze zrozumieniem. – To tak statki uchodźców przemknęły pod nosem patroli, prawda?

– Tak zakładam – odparł Thrawn.

– A teraz, oczywiście, mamy także dane planetarne, których potrzebujemy – dodała Wutroow. – Więc wchodzimy przez Cień Jeden i wychodzimy przez Cień Dwa?

– Właśnie tak – rzekł Thrawn. – Co z kolei oznacza, że „Springhawk” może wydostać się przez którykolwiek z nich. Są wystarczająco blisko siebie, by posłużyć waszym celom, ale wystarczająco daleko, by okręty blokady nie mogły odpowiednio strzec obu naraz, nawet gdyby tego chcieli.

– Chyba że, jak wszyscy powtarzamy, znajdą więcej statków – przypomniała Wutroow.

– Tak. – Thrawn skinął głową.

– Dobra, czegoś nie rozumiem – powiedziała Wutroow, pochylając się nad questisem. – Nie nakładasz blokady na jakieś miejsce, o ile nie chcesz go przejść. Jestem pewna, że to świetne miejsce do życia, ale po co ktokolwiek obcy miałby sobie ostrzyć na nie zęby?

– Układy pudełkowe mają swoje zalety – powiedział Samakro. – Jak już zauważyliśmy, łatwo ich bronić i rzadko ktoś trafia do nich przypadkiem. Jako takie, są doskonałymi bazami zaopatrzeniowymi, placówkami naprawczymi czy punktami etapowymi.

– Jednak łatwość obrony oznacza jednocześnie, że łatwo je zablokować – zauważyła Wutroow.

– Nasz nieznany przeciwnik przejawia pewien stopień arogancji – powiedział Thrawn. – Fakt, który obrócimy przeciwko niemu, gdy nadejdzie pora. – Spojrzał na Ar'alani. – Jeśli nadejdzie pora – poprawił się. – Pani admirał?

Ar'alani zacisnęła wargi. To było kuszenie losu. Z drugiej strony, czymże innym jest cała sztuka wojenna?

– Dobrze, działamy – oznajmiła. – Proszę podać współrzędne i spotkamy się tam z wami. – Uniosła palec. – Jednak najpierw dwie sprawy. Zanim wyruszymy, chcę, żeby wasza gwiazdogatorka i jej opiekunka przeniosły się na „Czujnego”. Czeka was niebezpieczna misja, a mi zależy na tym, żeby były bezpieczne. Możecie wydostać się skokami i odzyskacie je, gdy się ponownie spotkamy.

– Zgadzam się, że gwiazdogatorka Che'ri powinna przenieść się na pani okręt – odparł Thrawn. – Jednak Thalias musi zostać ze mną.

Ar'alani zmarszczyła brwi.

– Dlaczego?

– Ubrania i ułożenie ciał obcych sugerują, że ich mężczyźni darzą kobiety dużym szacunkiem – wyjaśnił. – Jeśli będę miał przy sobie kobietę...

– Przepraszam, starszy kapitanie – wtrąciła zdumiona Wutroow. – Co ma pan na myśli, mówiąc o ubraniu i ułożeniu ciał?

Thrawn pokręcił głową.

– Chciałbym umieć to wytłumaczyć, starsza kapitan – powiedział. – Dostrzegam to. Umiem to zrozumieć. Ale nie umiem tego opisać. Chodzi mi o to, że jeśli będę miał przy sobie kobietę, sądzę, że ewentualne straże, które napotkamy, może najpierw wysłuchają naszych wyjaśnień, nim zaatakują.

– Przecież mówił pan, że stacje wydobywcze zostały opuszczone.

– Myślę, że tak się stało. Jak jednak zauważyła admirał Ar'alani, od naszego ostatniego patrolu minęło piętnaście godzin. To głównie ostrożność.

– I naprawdę uważa pan, że kobieta może ich przekonać? – naciskała Wutroow. – W jaki sposób?

– Może zostawmy na razie jak i skupmy się na kto – powiedziała Ar'alani. Rozumiała Wutroow, sama w końcu już nie raz była zmuszona

polegać wyłącznie na zaufaniu do Thrawna. Wiedziała jednak, że bywały momenty, w których po prostu nie potrafił opisać swoich umiejętności. – Thalias jest cywilem, co ogranicza pańską władzę nad nią.

– Ufam, że zgłosi się na ochotnika.

– Nie o to mi chodzi. Jeśli chce pan, by towarzyszyła wam kobieta, ma pan całe mnóstwo kobiet oficerów do wyboru.

Thrawn pokręcił głową.

– „Springhawk” musi być w pełnej gotowości bojowej na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Każdy oficer i wojownik musi pozostać na stanowisku.

Ar'alani przeniosła wzrok na Samakro.

– Kapitanie? – zachęciła go.

– Niestety, starszy kapitan Thrawn ma rację – przyznał niechętnie Samakro. – Nie cierpimy na braki w załodze, ale z pewnością mamy na pokładzie wystarczająco dużo niedoświadczonego personelu. Jeśli Thalias tego chce, z pewnością to ona powinna z nami lecieć.

Ar'alani znowu przeniosła wzrok na Thrawna.

– Naprawdę uważa pan, że jeśli wejdzie na pokład tej stacji, uda się udowodnić, że to stąd pochodzili uchodźcy? Nawet jeśli nie będzie tam nikogo, żadnych ciał czy czegokolwiek innego?

– Zdecydowanie – odparł Thrawn. – Znajdą się tam wzory i konstrukcje, które natychmiast wyjaśnią wszelkie wątpliwości.

A wtedy... co? Ar'alani nie miała pojęcia, jakie plany miał Ba'kif, gdy Thrawn już określi pochodzenie zniszczonego statku.

Jednak zastanawianie się nad tym nie należało ani do obowiązków Thrawna, ani jej. Ar'alani miała pracować z Thrawnem i dostarczyć Ba'kifowi dowód, którego potrzebował.

– Dobrze – powiedziała w końcu. – Ale tylko, jeśli Thalias się zgodzi. Jeśli nie, przechodzi na „Czujnego”, a pan wybiera kogoś innego.

– Zrozumiano – potwierdził Thrawn. – Możemy zaczynać, gdy tylko będzie pani gotowa, pani admirał. Przygotowałem już współrzędne punktu zbiórki.

„Springhawk” był gotów. Przynajmniej w takim stopniu, w jakim Samakro mógł go przygotować.

Sam jednak był daleki od gotowości.

Szanował to, że Rada uznała tę misję za ważną. Szanował także i to, że plan Thrawna był zapewne ich najlepszą szansą na wślizgnięcie się do

obcego układu i zebranie potrzebnych danych bez niepokojenia jego mieszkańców ani statków, pilnujących ich niczym psy pasterskie stada.

Co było kluczowe. Zgodnie z polityką Dynastii należało zrobić co tylko się da, by uniknąć ataków wyprzedzających. Naruszenie czyjegoś terytorium, nawet jeśli odbywało się wyłącznie w ramach zwiadu, było niebezpiecznie bliskie złamania tej zasady. Im szybciej Ar'alani będzie w stanie tam wlecieć i wylecieć, tym większą szansę mieli na to, że żaden ze statków Chissów nie użyje broni.

– „Czujny”? – wywołał Thrawn.

– Jesteśmy gotowi. – Dobiegł ich głos Ar'alani. – Wektor podejścia wprowadzony. Silniki manewrowe naładowane. Proszę dać znać, kiedy mamy ruszać.

– Chwileczkę. – Thrawn pochylił się w fotelu dowódcy i przyjrzał ekranowi taktycznemu. – Blokada Cztery musi przesunąć się jeszcze trochę na swojej orbicie... o tak. Odliczam: trzy, dwa, jeden.

Gdy „Springhawk” ruszył do przodu, dało się wyczuć delikatną zmianę w drganiach pokładu. Samakro wyrzwał przez iluminator mostka, potwierdzając, że „Czujny” również leciał z nimi, pozostając w idealnej synchronizacji z mniejszym krążownikiem.

W idealnej synchronizacji i zdecydowanie za blisko, by było to komfortowe.

Samakro się skrzywił. W teorii plan brzmiał prosto: „Springhawk” poleci przy „Czujnym”, pozostając blisko jego burty i kryjąc się w cieniu większego okrętu, co zmyli czujniki przeciwnika. Kiedy doleczą do wyznaczonego miejsca, krążownik wymknie się i przycupnie wewnątrz jednej z gromad asteroid. „Springhawk” przejdzie w tryb maskowania, przy odrobinie szczęścia pozostanie niezauważony i pozwoli „Czujnemu” zająć się ewentualnym pościgiem.

W praktyce cała ta wyprawa była tykającą bombą zegarową. Thrawn nie zgodził się na użycie przewodów holowniczych, twierdząc, że mały błąd w wektorze jednego ze statków spowodowałby widoczną pulsację, którą mógłby dojrzeć operator czujników alarmowych. Promienie ściągające nie nadawały się z tych samych powodów, nie mówiąc o tym, że generowały dającą się rozpoznać sygnaturę energetyczną. Połączenie obu okrętów za pomocą zamków magnetycznych, dzięki czemu większa jednostka mogłaby po prostu przetransportować mniejszą, ujawniłoby rażącą nieprawidłowość, gdyby ktoś postanowił porównać masę i napęd.

Zamiast tego Thrawn postanowił więc, by po prostu lecieli bardzo blisko siebie, co przypominało jarmarczną sztuczkę z pokazów pilotów.

Jednak wykonywał ją przy użyciu krążownika i Nightdragona, a nie mniejszych i znacznie zwrotniejszych raketówek.

– Zmiana kąta podejścia na mój znak – powiedział Thrawn. – Odliczam: trzy, dwa, jeden.

Samakro spał się, oczekując nieuniknionej kolizji. Ku jego uldze i pewnemu zaskoczeniu, nieuniknione nie nastąpiło. Dzioby obu okrętów drgnęły nieco ku górze dokładnie w tej samej chwili i dokładnie w tym samym zakresie, po czym sunęły dalej przez przestrzeń.

– Blokady Jeden i Dwa reagują – rozległ się głos jednego z członków załogi „Czujnego”. – Zwiększają prędkość i przechodzą na kurs przechwytyjący.

– Czas do przechwycenia? – zapytała Ar'alani.

– Szacuję moment przechwycenia... trzy minuty po odłączeniu „Springhawk”.

– Thrawn? – ponagliła admirał.

Ten jednak nie odpowiedział. Samakro spojrział na stanowisko dowodzenia, gdzie dowódca pracował na swoim questisie.

– Sugeruję dwuprocentowe zwiększenie prędkości, pani admirał – powiedział w końcu.

– Dwa procent, potwierdzam. Zmiany kursu?

– Kolejne dwie zgodnie z planem – odparł kapitan. – Muszę przeliczyć pozostałe.

– Zrozumiano – powiedziała Ar'alani. – Zwiększenie prędkości i zwrot przez prawą burtę przygotowane.

– Przyjąłem. Zwiększenie prędkości na mój znak. Trzy, dwa, jeden.

Gdy „Springhawk” zwiększył prędkość, dało się odczuć lekką zmianę w drzeniu pokładu.

– Zwrot przez prawą burtę na mój znak – ciągnął Thrawn, a oba okręty ustawiały się na nowych pozycjach. – Trzy, dwa, jeden.

Ten zwrot był wyraźniejszy niż wcześniejsza drobna korekta kursu i przesunął ich o siedem stopni. Oba okręty wciąż pozostawały w idealnie ciasnym szyku.

– Proszę się pospieszyć z tymi przeliczeniami – ostrzegła Ar'alani. – Za trzy minuty mamy zaplanowany zwrot przez lewą burtę.

– Przyjąłem. – Palce Thrawnna śmigają po questisie. – Będą gotowe, gdy będziemy ich potrzebować.

Samakro znów wyjrzał przez iluminator, czując, jak pot zbiera mu się pod kołnierzem munduru. Im częściej dokonywali korekt kursu, tym większa była szansa, że jeden ze statków popełni błąd i ich skrzętnie tkana iluzja pęknie niczym bańka mydlana.

Jednak Thrawn naciskał na mnożenie komplikacji podczas tej misji, twierdząc, że stała, prosta trajektoria lotu mogłaby wzbudzić podejrzenia co do istnienia drugiego intruza, a wielokrotne zmiany wektora powinny rozwiązać tego typu wątpliwości.

Innym wnioskiem, do jakiego można było dojść, to ten, że ktokolwiek dowodził misją, był niespełna rozumu. Samakro w tym momencie zgadzał się z takim rozumowaniem w całej rozciągłości.

Kolejne minuty mijały. Zmiany, jedna po drugiej, były przeliczane i wprowadzane. Samakro obserwował ekran taktyczny, na którym oba okręty kontynuowały swój kurs wewnątrz układu, słuchając jednocześnie nieprzerwanej litanii komentarzy oficera czujnikowego na temat statusu ścigających ich okrętów blokady. Do pościgu dołączyła teraz trzecia jednostka, podchodząc od strony mogącej ujawnić „Springhawk” na prawie minutę przed planowanym oderwaniem się krążownika. Thrawn i Ar’alani przedyskutowali sytuację, po czym statki Chissów znowu zwiększyły prędkość o kilka procent. Samakro wciąż patrzył i słuchał, obserwując ekrany uzbrojenia i tarcz „Springhawk”, na wypadek gdyby plan Thrawnna nie wypalił i przerodził się w bitwę.

I wtedy, zupełnie nagle, byli na miejscu.

– Gotowość do odłączenia – oznajmił Thrawn. – Pani admirał?

– Gotowi – odparła Ar’alani. – Blokady Jeden i Dwa są obecnie cztery i pół minuty od punktu przechwyty. Blokada Trzy dziewięćdziesiąt sekund od kontaktu wzrokowego. Będziemy kontynuować przez trzy minuty, a potem skierujemy się na Cień Dwa i w nadprzestrzeń. To powinno dać panu wystarczająco dużo czasu.

– Przyjąłem. Damy radę w dwie minuty, jeśli będziecie musieli uciekać wcześniej.

– Odnotowane – powiedziała Ar’alani. – Będziemy czekać w punkcie zbiórki. Powodzenia.

– Ster? – rzucił Thrawn.

– W gotowości, sir – potwierdził Azmordi.

– Przygotować się do odejścia. Na mój znak: trzy, dwa, jeden.

Używając do manewrowania skompresowanego gazu, „Springhawk” przechylił się na lewą burłę, odsuwając od „Czujnego” po kursie idącym brzegiem najbliższej gromady asteroid. Samakro wstrzymał oddech, skupiając się na ekranie taktycznym. Jeśli dostrzegą ich okręty blokady, cała ta maskarada dobiegnie końca.

Wzdrygnął się odruchowo, gdy oddalający się od nich „Czujny” nagle przyspieszył gwałtownie, zmieniając trajektorię lotu, jakby Ar’alani próbowała ostatniego manewru, pozwalającego dotrzeć do odległej planety, nim prześladowcy zbliżą się na dystans bojowy. Jeśli uda się jej przyciągnąć uwagę tamtych okrętów przez jeszcze kilka sekund, plan wypali. Cel, delikatnie kołysząca się asteroida, majaczył już przed nimi.

Kolejny wyrzut zimnego gazu zatrzymał „Springhawk” tuż obok. Z pomocą kolejnego krążownik zrównał prędkość z powolnym obrotem asteroidy. Samakro spojrział na ekran taktyczny, z którego wynikało, że okręty blokady wciąż zainteresowane były wyłącznie pogonią za „Czujnym”.

– Tryb maskowania – zarządził Thrawn.

Wszystkie wyświetlacze i tablice na mostku zamrugały na czerwono i zgasły.

– Zdaje się, że dotarliśmy niezauważenie – powiedział spokojnie Thrawn.

Samakro zrobił głęboki wdech, jeszcze raz rozglądając się i upewniając, że włączone pozostały jedynie niezbędne systemy.

– Tak się wydaje – odparł równie spokojnie. – Jak długo będziemy czekać?

Thrawn spojrział na widoczne za pierwszym oficerem gwiazdy, przesuwające się teraz spokojnie po niebie.

– Pozwolimy „Czujnemu” uciec, a okręty blokady muszą wrócić na swoje stanowiska. Kilka godzin, nie więcej.

Samakro skinął głową. Potem przyjdzie czas, by Thrawn wślizgnął się do opuszczonej stacji wydobywczej, unoszącej się pośrodku gromady asteroid.

Kiedy dowiedzą się, czy to wszystko było warte ryzyka.

Gwiazdogatorka „Czujnego” nazywała się Ab’begh i miała zaledwie osiem lat.

Miała też ciekawe figurki i trochę flamastrów w naprawdę ślicznych kolorach. I bardzo dużo klocków. Znacznie więcej niż Che’ri.

Zaczynały się właśnie nimi bawić, gdy nibymatka Ab'begh kazała im przestać.

– Czas coś poczytać, dziewczęta – powiedziała. – Odłóżcie klocki i weźcie swoje questisy. Już, już, z życiem. Zabawki na bok, questisy do rąk.

– Ale musimy? – zajęczała smutno Ab'begh. – Chcemy się pobawić.

Che'ri się skrzywiła. Jęczybuła. Świetnie. Nie znosiła towarzystwa jęczybuł.

Z drugiej strony, Ab'begh miała rację.

– Właśnie skończyłyśmy trasy – powiedziała Che'ri. – Teraz powinniśmy odpocząć.

– Och, błagam – powiedziała nibymatka, wykonując palcami gest, jakby chciała wyrzucić słowa Che'ri do kosza. – Zrobiłyście dwie trasy, z których żadna nie trwała więcej niż dwie godziny. Widziałam gwiazdogatorki, które robiły dziesięć godzin na raz, po czym z uśmiechem prosiły o więcej.

– Ale... – zaczęła Ab'begh.

– Poza tym czytanie to odpoczynek – rzuciła nibymatka. – No już, już, questisy i fotele. Teraz.

Che'ri spojrzała na Ab'begh. Gdyby przycisnęły ją we dwie, może udałoby się wybłagać jeszcze kilka minut. Che'ri zaczęła naprawdę fajną budowlę i chciała ją skończyć, nim zapomni, gdzie pasują poszczególne klocki.

Ale Ab'begh tylko westchnęła i odłożyła swoją konstrukcję. Wstała smętnie i ruszyła w stronę jednego z foteli.

– Che'ri? Ty też – powiedziała nibymatka.

Che'ri spojrzała na zabawki. Ta kobieta nie była jej nibymatką. Może nie wolno jej mówić gwiazdogatorce innej nibymatki, co ma robić.

Ale Che'ri miała już kilka takich nibymatek. Dyskutowanie z nimi nigdy do niczego dobrego nie prowadziło.

Poza tym Ab'begh patrzyła na Che'ri z błaganiem w oczach. O ile Che'ri sprzeciwianie się tej nibymatce mogłoby się upiec, to na tę małą dziewczynkę spadnie jej cała złość, kiedy tylko Che'ri stąd zniknie. Takich nibymatek też już kilka miała.

Jedynym wyjściem było posłuchanie polecenia. Zrobiła niezadowoloną minę, podeszła do miejsca, w którym zostawiła swoje rzeczy, wygrzebała questis z torby i wspięła na fotel obok Ab'begh.

Nigdy nie przyznałaby się do tego ani przed Thalias, ani przed nikim innym, ale nie znosiła czytać.

– No i proszę – powiedziała nibymatka. Teraz, gdy się jej posłuchały, stała się nieco miłsza. – Czytanie jest bardzo ważne, wicie? Praktyka czyni mistrzynię!

– To nie pora na naukę! – zbuntowała się Ab’begh. – Nie musimy się uczyć, prawda?

– Pora na naukę będzie wtedy, gdy powiem, że jest pora na naukę – oznajmiła sucho nibymatka. – O czym doskonale wiesz. Gdy nasz okręt jest w podróży, nigdy nie wiemy, kiedy wezwą nas na mostek, więc należy się uczyć, kiedy tylko ma się ku temu okazję. – Spojrzała na Che’ri. – Ale skoro mamy gościa, a jej zajęcia są inne niż twoje, to nie, nie będziemy się uczyć. Wciąż jednak musisz czytać – dodała, gdy Ab’begh próbowała coś powiedzieć. – Co tylko chcesz. Pół godziny, a potem możecie się bawić do obiadu.

Rozległ się sygnał przy drzwiach.

– Proszę – powiedziała nibymatka.

Właz rozsunał się i do środka weszła admirał Ar’alani.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Czy Ab’begh jest potrzebna? – zatroszczyła się nibymatka.

– Nie. – Ar’alani uniosła dłoń i uśmiechnęła się do dziewczynki, która odłożyła swój questis. – „Czujny” raczej pozostanie na pozycji przez całą noc, a jeśli będziemy musieli dokądś polecieć, poradzimy sobie skokami. Więc nie, dziewczynki mogą odpocząć.

Przesunęła spojrzenie na Che’ri.

– Właściwie przyszedłam ci powiedzieć, Che’ri, że Thrawn i „Springhawk” dotarli do asteroidy, przy której spędzą następnych kilka godzin. Są bezpieczni i wygląda na to, że nikt ich nie zauważył.

– Okej. – Che’ri nie była do końca pewna, o co chodziło z tym całym skomplikowanym lataniem, ale cieszyła się, że nic nie groziło „Springhawkowi”. – Thalias jest z nimi, prawda?

– Tak. – Głos Ar’alani brzmiał nieco dziwnie. – Obawiam się jednak, że będziesz musiała dzisiaj spać tutaj. Każę przynieść ci dodatkowe łóżko.

– Może spać w moim. – Ab’begh wyprostowała się w swoim fotelu. – Jest wystarczająco duże.

Che’ri się skrzywiła. Nigdy nie musiała dzielić z kimś łóżka. Na dodatek z ośmiolatką?

– Wolałabym spać we własnym – powiedziała, po czym dostrzegła nagle rozczarowanie na twarzy Ab’begh. – Strasznie się kręcę we śnie – dodała.

– Możecie wstawić je do mojego pokoju? – zapytała Ab'begh. – Ja... – urwała i spojrzała na swoją nibymatkę. – Czasem się boję – dokończyła cichutko.

Che'ri ponownie się skrzywiła, tym razem czując ukłucie winy. Po tym, jak sama rozmawiała z Thalias o koszmarach...

– To fajny pomysł – powiedziała. – Pewnie. Możemy wziąć figurki i pobawić się nimi przed snem.

– Opiekunko? – zapytała Ar'alani.

– Jeśli to pasuje Ab'begh, pasuje i mnie – oznajmiła z uśmiechem kobieta. – Pamiętam nocowanki z koleżankami, kiedy byłam w ich wieku. Mogę przyrządzić im jakieś przekąski i zrobimy małe przyjęcie.

– Brzmi rozsądnie. Ale – Ar'alani uniosła ostrzegawczo palec – kiedy opiekunka powie, że czas gasić światło, to się jej posłuchacie, dziewczynki. Musicie być wypoczęte, gdy będziemy was potrzebować, bo inaczej wpakujecie nas niechcący w jakąś supernową.

– Tak, ma'am, będziemy się słuchać – obiecała Ab'begh, której zaczął powracać niedawny entuzjazm.

– Czy możemy jeszcze coś dla pani zrobić, pani admirał? – zapytała nibymatka.

– Nie – powiedziała Ar'alani. – Chciałam tylko powiedzieć wam, co się dzieje. Miłego wieczoru. – Spojrzała na dziewczynki z udawaną groźbą w oczach. – Wyśpijcie się.

Pozwoliła, by na jej twarzy z powrotem zagościł uśmiech i wyszła.

– Ale będzie zabawa! – Ab'begh aż podskakiwała na swoim fotelu. – Bo będzie, prawda?

– Jasne – odparła Che'ri.

– Już my tego dopilnujemy – obiecała nibymatka. – A teraz czytamy. Pół godziny, a im wcześniej zaczniecie, tym wcześniej skończycie.

– Chcesz poczytać bajkę o drzewoludziach? – Ab'begh pokazała swój questis Che'ri. – Ma dużo fajnych obrazków.

Che'ri zmarszczyła nos. Książka z obrazkami? Może i nie lubiła czytać, ale już dawno wyrosła z książek z obrazkami.

– Nie, dzięki – powiedziała do młodszej dziewczynki. – Mam coś, co powinnam przeczytać.

– Powiedziała, że nie musimy się uczyć.

– To nie nauka – zapewniła ją Che'ri. – Dawaj, czytamy. Chcę już wrócić do klocków.

– Dobra. – Ab’begh skrzyżowała nogi w fotelu, oparła czytnik o kolano i zaczęła czytać.

Che’ri wzięła swój questis, ukradkiem spoglądając w stronę stolika, na którym leżały rozrzucone kolorowe pisaki Ab’begh. Jej poprzednia nibymatka powiedziała, że wszystko brudzą i że nie dostanie swoich.

Ale to była poprzednia nibymatka. Może z Thalias będzie inaczej. Zapyta ją, kiedy wróci na „Springhawk”. Jeśli dostanie kilka kolorowych flamastrów i trochę papieru, może da radę narysować coś naprawdę artystycznego.

Spojrzała z powrotem na questis i wywołała listę plików. Obok znanych jej książek z bajkami, z których część czytała już kilkakrotnie, znalazła dłuższy tekst – jakieś opowieści o Mitth’raw’nuruodo.

Zmarszczyła brwi. Kompletnie zapomniała o pliku, który wysłała jej Thalias. Był dość obszerny i na pewno pełen długich i skomplikowanych słów.

Ale skoro Thrawn, Thalias i „Springhawk” byli w niebezpieczeństwie, może czytanie tego jakoś poprawi jej nastrój. W końcu Thalias sądziła, że tak będzie.

A to, że zacznie, wcale nie znaczy, że musi skończyć.

Usiadła wygodnie w rogu fotela, przygotowała się wewnętrznie i otworzyła pierwszą stronę.

## Wspomnienia IV

Generał Ba'kif powiedział Ziarze, że ma dobre odruchy. Szybko jednak nauczyła się, że „dobre” nie znaczy niestety „perfekcyjne”.

Pierwsza taka lekcja nastąpiła bardzo szybko. W weekend po oczyszczeniu z zarzutów Thrawn zaprosił ją na kolację, by wspólnie świętować i podziękować za pomoc. Z entuzjazmu, z jakim opowiadał o nadchodzącym wieczorze, wywnioskowała, że czeka ich noc pełna muzyki i jedzenia, może jakiś występ gimnastyczny lub muzyczny, a z pewnością odrobina alkoholu.

Zamiast tego jednak...

Patrzyła na cichych zwiedzających i mroczne kolory, na równo porozwieszane makatki, obrazy, rzeźby i gobeliny.

— Galeria sztuki — powiedziała sucho. — Przyprowadziłeś mnie do galerii sztuki.

— Oczywiście. — Rzucił jej zdziwione spojrzenie. — A myślałaś, że gdzie pójdziemy?

— Powiedziałaś, że czekają nas przeżycia, dramat i ekscytujące odkrycia — przypomniała.

— Tam jest to wszystko. — Wskazał w dół korytarza. — W tych salach znajduje się historia Dynastii. Niektóre jej elementy pochodzą z czasów, gdy Chissowie brali udział w wojnach pomiędzy Republiką Galaktyczną i Imperium Sithów.

— Z tego, co pamiętam, ta era nie zapisała się szczególnie dobrze w historii Dynastii.

— Zgadza się — powiedział Thrawn. — Ale spójrz, jak nasze taktyki i strategie zmieniły się od tamtych czasów.

— Słucham? — zdziwiła się Ziara.

— Nasze taktyki i strategie — odparł równie zdziwiony Thrawn.

— Usłyszałam za pierwszym razem. Dlaczego omawiamy taktykę w galerii sztuki?

— Ponieważ jedna jest odbiciem drugiej — stwierdził. — Sztuka odzwierciedla duszę, z której wyrasta taktyka. W sztuce da się dostrzec siły i słabości jej twórców. Co więcej, jeśli pozna się wystarczająco wiele rodzajów sztuki, można wnioskować i oszacować słabości, mocne strony oraz taktyki całych kultur.

Nagle Ziara zdała sobie sprawę z tego, że ma szeroko otwarte usta.

— To... bardzo interesujące — wydukała. Może, zaświtało jej w głowie, nie powinna się jednak tak starać, by go zdjąć z widelca.

— Nie wierzysz mi — powiedział. — Dobrze. Dwie sale dalej znajdują się dzieła sztuki obcych. Wybierz którąkolwiek z tych kultur, a ja pokażę ci, jak to działa.

Ziara nigdy nie była w skrzydle sztuki obcych, w tej galerii czy w jakiegokolwiek innej. Szczerze mówiąc, najbliższy kontakt z niepochozącymi z Dynastii artefaktami miała, gdy oglądała powykręcany kawałek poszycia okrętu Paataatusów, który wystawiono w domostwie jej rodziny, Irizi, jeszcze na Csilli.

— Skąd to wszystko się wzięło? — zapytała, przyglądając się różnym rzeźbom i przedmiotom, gdy Thrawn przeszedł wraz z nią pod łukiem znajdującym się przy wejściu do sali.

— Większość kupiono od różnych kupców i handlarzy, a potem przekazano galerii — wyjaśnił. — Niektóre stworzyły rasy, z którymi wciąż utrzymujemy kontakt, ale większość pochodzi z obcych cywilizacji, z którymi zetknęliśmy się w trakcie wojen Sithów, zanim ukryliśmy się z powrotem w naszych granicach. Jesteśmy na miejscu.

Zatrzymał się przed przeszkloną gablotą, zawierającą przezroczyste butelki i talerze.

— Oficjalna zastawa Scoftich, wyprodukowana na zlecenie rządowego reżimu sprzed stu lat — opisał eksponaty Thrawn. — Co widzisz?

Ziara wzruszyła ramionami.

— Całkiem ładne. Zwłaszcza te wewnętrzne spirale kolorów.

— A ich trwałość? — zapytał. — Czy wyglądają na wytrzymałe?

Ziara przyjrzała się uważniej. Jak już o tym powiedział...

— O ile materiał nie jest dużo trwalszy, niż na to wygląda, zdecydowanie nie.

— Właśnie. Scofti zmieniają rządy i przywódców dość często, zwykle przemocą lub pod groźbą jej użycia. Ponieważ każdy nowy przywódca zazwyczaj wprowadza swoje zmiany w pałacu prefektury, łącznie z dekoracjami i zastawą, rzemieślnicy nie widzą sensu w robieniu czegoś, co ma przetrwać dłużej niż rok. Wręcz przeciwnie, ponieważ nowy władca często czerpie dużą przyjemność z publicznego niszczenia osobistych rzeczy swojego poprzednika, mają silną motywację, by tworzyć kruche przedmioty.

— Akurat. — Ziara przyjrzała mu się podejrzliwie. — Czy to prawda? A może tylko zgadujesz?

— Przez ostatnie dwadzieścia lat utrzymujemy z nimi znikomy kontakt — odparł Thrawn. — Ale nasze zapiski potwierdzają te wnioski. Jednak przyjąłem takie założenie na podstawie tych artefaktów, zanim sprawdziłem dane historyczne.

— Mhm. — Ziara poświęciła eksponatom jeszcze jedno spojrzenie. — Dobrze, co dalej?

Thrawn rozejrzał się po sali.

— To jest ciekawe. — Wskazał na kolejną gablotę. — Nazywali siebie Brodih.

— Nazywali w czasie przeszłym? — zapytała, podchodząc do wystawy. — Wszyscy już nie żyją?

— W zasadzie nie wiemy. Te artefakty pozyskano z wraku zestrzelonego statku około trzysta lat temu. Wciąż nie wiemy, kim byli, skąd przybyli i czy wciąż istnieją.

Ziara pokiwała głową, przyglądając się zawartości gabloty. Kolejne naczynia — talerze i trochę podłużnych sztuców, wszystkie udekorowane zakrzywionymi, tęczowymi paskami, a do tego kilka narzędzi. Z tyłu znajdowało się zdjęcie przedstawiające obcego z długim pyskiem i głową zwieńczoną parą rogów, a obok umieszczono krótki opis tych istot i okoliczności ich odkrycia.

— Więc co mi możesz o nich powiedzieć?

— Spójrz na te łukowate, kolorowe pasy na sztucach — powiedział Thrawn. — By linie pasowały, noże, widelce i łyżki muszą być ułożone najpierw w stronę środka stołu, a potem do jego krawędzi.

Ziara pokiwała głową.

— Jak para wzniesionych ptasich skrzydeł.

— Albo...? — zachęcił ją Thrawn.

Ziara zmarszczyła brwi i ponownie przyjrzała się zdjęciu obcego.

— Albo jak ich rogi.

— Tak właśnie pomyślałem — zgodził się Thrawn. — Zauważ również, że choć łyżki i widelce muszą wskazywać na środek stołu, noże powinny być ułożone w stronę krawędzi, jeśli kolorowe pasy mają do siebie pasować. Co ci to mówi?

Ziara przyjrzała się wystawionym eksponatom, próbując zwizualizować sobie jedno z tych stworzeń, siedzące w miejscu, w którym stała z Thrawnem, i czekające na podanie jedzenia.

— Noże to znacznie lepsza broń niż łyżki i widelce — powiedziała powoli. — Ułożenie ich ostrzem w twoją stronę sugeruje, że nie masz żadnych uprzedzeń i wrogich planów wobec współbiesiadników.

— Bardzo dobrze — pochwalił ją. — A teraz dodajmy fakt, że jeśli obrócisz noże, wzory wskazują środek stołu podobnie jak pozostałe sztucce, a nie krawędź. Co nam to mówi?

Ziara się uśmiechnęła. Struktura ich własnej kultury Chissów dawała odpowiedź na to pytanie.

— Że mamy do czynienia z określoną społeczną lub polityczną hierarchią — odparła. — W zależności od twojej rangi względem pozostałych przy stole, układasz swój nóż do wewnątrz lub na zewnątrz.

— Sam również tak pomyślałem. I jeszcze jedno. Zważ na długość sztucców, ewidentnie dostosowaną do wkładania pożywienia kilka centymetrów wewnątrz paszczy, a nie u samego jej otwarcia.

— To dziwne — powiedziała. — Zakładałabym, że receptory smakowe większości ras powinny znajdować się z przodu, przy ustach, na języku lub jego odpowiedniku.

— Wydaje się, że tak zwykle jest — potwierdził. — Co skłania mnie do założenia, że ich zewnętrzny krąg zębów stanowił tradycyjnie broń, a szczęki rozwinęły się tak, by móc ugryźć przeciwnika bez smakowania jego krwi i ciała.

Ziara zmarszczyła nos.

— To obrzydliwe.

— Zgadza się — powiedział Thrawn. — Jednak jeśli spotkalibyśmy kiedyś tę rasę, mielibyśmy względne pojęcie o ich taktyce. Zęby i noże, będące bronią bezpośrednią, powinny się przełożyć na preferowanie starć bezpośrednich, a broń długodystansowa byłaby zapewne drugorzędna i uważana za niehonorową.

— A sztywna hierarchia i czająca się zawsze groźba użycia przemocy powiedziałyby nam, z kim i gdzie negocjować. — Pokiwała głową. — Ciekawe. No dobrze. Dokąd teraz?

— Chcesz zobaczyć więcej? — zapytał Thrawn z lekkim zdziwieniem. Wzruszyła ramionami.

— Doszliśmy aż tutaj. Możemy równie dobrze spędzić tu wieczór.

Szybko pożałowała tych słów. Gdy godzinę później poprosiła, by się zatrzymali, w głowie kręciło się jej od nazw, obrazów i odniesień do taktyki.

— Dobrze, to wszystko jest bardzo ciekawe — podsumowała. — Ale z tego, co widzę, prawie wszystko to czysta teoria. Tam, gdzie mamy dostęp do historii obcych, mogłeś ją po prostu sprawdzić i uzupełnić swoje analizy tak, by do niej pasowały.

— Już mówiłem, że tego nie zrobiłem.

— Ale mogłeś natknąć się na coś, kiedy byłeś młodszy i tego nie pamiętać — wytknęła mu. — Mnie się to zdarzało. A tam, gdzie nie mamy dostępu do żadnych informacji o historii danej rasy, zapewne nigdy się nie dowiemy, czy masz rację, czy nie.

— Rozumiem. — Entuzjazm Thrawna wyraźnie przygaśł. — Ja... Myślałem, że to cię zainteresuje. Przepraszam, jeśli zmarnowałem twój czas.

— Tego nie powiedziałam — zaprotestowała, przyglądając mu się. Nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. — Jestem jednak osobą praktyczną i gdy słyszę nową teorię, chcę ją przetestować.

— Powinniśmy poprosić Dynastię o wypowiedzenie komuś wojny?

— Myślałam o czymś mniejszym. Chodź.

Ruszyła w stronę wyjścia.

— Dokąd idziemy? — zapytał, gdy ją dogonił.

— Do mojej kwatery — odparła. — W ramach odpoczynku tworzę rzeźby z drutu. Możesz je obejrzeć i zobaczymy, jak dobrze odczytasz moje osobiste strategie i taktyki.

Thrawn milczał przez kilka kroków.

— Zakładasz, że kiedyś znajdziemy się ze sobą w stanie wojny?

— Tak, i to szybciej, niż myślisz. — Uśmiechnęła się. — Bo jak skończysz, idziemy na dół do dojo na parę rundek.

— Rozumiem. Pałki czy walka wręcz?

Ziara pozwoliła mu wybrać. Wybrał pałki.

— Dobra. — Zrobiła kilka próbnych kroków na macie i przećwiczyła młynki dwiema pałkami, by rozluźnić nadgarstki. Delikatne osłony twarzy i piersi nie przeszkadzały jej w poruszaniu się, a pokryte miękką otoczką pałki mocno leżały w dłoni, zachowując jednocześnie wagę i wyważenie prawdziwych pałek bojowych. — A jeśli znalazłeś jakieś nagrania z zapisem moich walk, to lepiej przyznaj się teraz, nim nazwę cię oszustem.

— Nigdy nie widziałem, jak walczysz — zapewnił ją. — Możesz zdecydować, kiedy pojedynek dobiegnie końca.

— Dziękuję — powiedziała. — A to był twój pierwszy... błąd! — krzyknęła, ruszając do przodu. Szybkie kombo głowa-zebra-głowa powinno zakończyć walkę, nim pozbawi go zbyt dużo godności.

Tyle że tak się nie stało. Thrawn zablokował każdy z jej trzech ciosów, układając pałki w odpowiednich miejscach i w odpowiedniej kolejności. Ten sam los spotkał kombo zebra-głowa-łokieć-finta-zebra, jak również jej popisowe finta-finta-biodro-zebra-głowa-finta-brzuch.

Skrzywiła się, robiąc krok w tył, by się ponownie ustawić i zastanowić. Niewątpliwie chodziło tu o szczęście początkującego, choć zaczynało ją nieco martwić. Póki co po prostu tam stał, z łatwością blokując jej ataki, ale sam nie wyprowadził żadnego. To się jednak mogło wkrótce zmienić. Musiała nieco podkręcić tempo, przebić się z atakiem, zmusić do kontry albo przynajmniej przesunięcia cholernych stóp. Skoczyła do przodu, wyprowadzając fintę-zebro-fintę...

Jednak tym razem, przy drugiej fencie, nagle zrezygnował z bierności i wyprowadził cios. Wślizgując się w otwarcie stworzone przez fintę, wybił jej pałkę nieco dalej, obrócił w ciasnym piruecie wewnątrz otwarcia, po czym machnął własną bronią, stukając ją lekko w bok osłony głowy. Gdy próbowała uderzyć go obiema pałkami naraz, wykręcił odwrotny piruet i długim krokiem wyszedł spoza jej zasięgu.

Skoczyła naprzód, próbując dorwać go, gdy był wciąż odwrócony do niej plecami. Okazał się jednak szybszy, ustawił się do niej przodem i ponownie zablokował podwójny atak.

Znowu się wycofała, wykorzystując okazję do zaczerpnięcia kilku haustów powietrza. Nie poszedł za nią, został na swoim miejscu.

Najwyraźniej jej ulubione techniki bojowe nie działały. Musiała coś zmienić. Lubiła taką taktykę, ale to nie znaczyło, że nie nauczono jej innych. Wraz z ostatnim głębokim wdechem zaatakowała.

Tym razem jednak, zamiast używać kombinacji fint i ataków, uderzyła prosto w niego, dźgając obiema pałkami w przód, jedną mierząc w twarz, a drugą w klatkę piersiową. Pierwszą zablokował, druga jednak grzmotnęła w jego napierśnik z satysfakcjonującym trzaśnięciem. Poruszyła się do przodu, zginając ramiona, by wyprowadzić identyczny atak.

Thrawn znowu był szybszy. Wycofał się gwałtownie, wychodząc z jej zasięgu. Zrobiła kolejny krok w przód, dźgając ponownie i znów jeden z dwóch ataków sięgnął celu. Jeszcze raz, postanowiła, i zakończy pojedynek. Ruszyła przed siebie...

I nagle znalazła się w środku nawałnicy ciosów, gdy skoczył do ataku. Tym razem to ona musiała się wycofać, przeklinając w duchu, gdy blokowała, parowała i próbowała obrócić jego atak przeciw niemu. On jednak nie dawał jej żadnego otwarcia. Stopami wyczuła zmianę w teksturze maty, ostrzegającą przed bliskim krańcem pola.

Thrawn też to dostrzegł. Zatrzymał się, pozwalając na wyhamowanie, nim uderzyłaby w ścianę.

Kolejny błąd. Ta pauza wystarczyła jej idealnie do przejęcia inicjatywy. Zaszarżowała więc na niego ponownie.

Powoli się wycofywał, ewidentnie znowu koncentrując się na defensywie. Jednak z rozczarowaniem stwierdziła, że jej ataki trafiają w pustkę, a on blokuje każdą fintę i wypad.

Przerwała atak i się wycofała. Przez dłuższą chwilę stali, przyglądając się sobie. „Nim pozbawi go zbyt dużo godności” — jej własne próżne myśli zdawały się teraz drwić z niej samej.

— Czy jest sens to ciągnąć? — zapytała.

— Twój wybór. — Thrawn wzruszył ramionami.

Przez dłuższą chwilę duma i determinacja prawie przeważyły, ale w końcu zwyciężył zdrowy rozsądek.

— Jak? — Opuściła pałki i podeszła do niego.

— Twoje rzeźby ukazują przywiązanie do rozległych kombinacji — odparł, obniżając broń. — Zwłaszcza trzy- i czterokrotnie złożonych. Twój ulubiony temat — płazolwy, smoczawki i drapieżne ptactwo — sugerują szybkie ataki, udające wahanie finty i agresję. Specyficzny kształt wolnych przestrzeni wskazuje, jak konstruujesz swoje finty, a łukowaty styl sugeruje, że atak obrotowy będzie nieoczekiwany i wystarczająco dekoncentrujący, by cię spowolnić.

Co, jak pamiętała, było dokładnym opisem jego pierwszego ataku.

— Ciekawe — powiedziała.

— Jednak równie pouczające było to, co nastąpiło później — ciągnął. Uniósł delikatnie brwi w oczywistym geście zachęty.

Ziara poczuła narastającą irytację. Ona była starszą kadetką, a nie on. Jeśli ktoś miał tu recytować nauki i przedstawiać analizy do sprawdzenia, to on, nie ona.

Co, jak natychmiast zrozumiała, było chyba najgłupszym, co jej w życiu przyszło do głowy. Tylko głupiec odrzuca okazję do nauki.

— Zrozumiałam, że rozpracowałeś moją technikę i zmieniłam taktykę — powiedziała. — Co podziało, przynajmniej na kilka ataków. Potem ty zaatakowałeś i nie byłam już cię w stanie dorwać.

— A wiesz dlaczego?

Zmarszczyła brwi, analizując starcie.

— Wróciłam do mojej starej taktyki. — Uśmiechnęła się krzywo. — Tej, przed którą już potrafiłeś się obronić.

— Właśnie. — Odwzajemnił uśmiech. — A to lekcja dla nas wszystkich. W chwilach stresu i niepewności mamy tendencję do chowania się za tym, co znamy i z czym czujemy się dobrze.

— Tak — wymruczała Ziara, nagle zorientowawszy się, jak blisko niego stała. Zdecydowanie w zasięgu ataku... i nie ogłosiła przecież, że pojedynek się zakończył.

Nie dała się jednak ponieść pokusie. To, że oficjalnie nie przerwała walki, nie znaczyło, że byłoby w porządku jednostronnie rozpocząć ją ponownie. Thrawn zachował się honorowo. Nie mogła tego nie odwzajemnić.

— A dbałość, z jaką stworzyłaś swoje rzeźby, mówi mi, że jesteś zbyt honorowa, by bawić się w brudne sztuczki ze swoim sparingpartnerem — dodał.

— Jesteś tego pewien? — Poczuła, jak na jej policzkach pojawia się rumieniec.

— Tak.

Pokusa znów prawie okazała się od niej silniejsza. Po chwili jednak odwróciła się na pięcie, przeszła przez matę i odłożyła pałki na stojak.

— Dobra — rzuciła przez ramię, zdejmując jednocześnie zbroję treningową. — Oficjalnie jestem pod wrażeniem. Serio sądzisz, że możesz zrobić coś takiego z kulturą i taktyką jakichś obcych?

— Mogę — odparł Thrawn. — Mam nadzieję, że będę miał szansę kiedyś to udowodnić.

## Rozdział 6

Pięć godzin po tym, jak „Springhawk” przeszedł w tryb maskowania, Thrawn i Thalias zapięli pasy w fotelach jednego z promów krążownika i pomknęli przez gromadę asteroid w stronę unoszącej się w przestrzeni stacji.

– Droga może być nieco nużąca – ostrzegł ją Thrawn, gdy rozpoczęli podróż między przemieszczającymi się dookoła skałami i kosmicznym pyłem. – Będziemy używać wyłącznie silników manewrowych, by uniknąć emisji śladów gazowych, które mogliby wykryć nasi przeciwnicy. Przez to będziemy poruszać się wolniej.

– Rozumiem – odparła Thalias.

– Z drugiej strony, pozwoli nam to na prywatną rozmowę – ciągnął. – Jak podoba ci się praca opiekunki?

– Jest pełna wyzwań – przyznała, a w jej głowie rozległ się nagle cichy alarm. Thrawn mógł wezwać ją do swojego biura w dowolnym momencie po opuszczeniu Dynastii, jeśli chciał porozmawiać na osobności.

Czy wiedział o rozmowie z Thurfianem, która nie dość, że odbyła się w ostatniej chwili, to jeszcze zakończyła się wymuszeniem tamtej umowy?

– Che’ri to całkiem przyjemna towarzyszka, jednak pewne sprawy, którym musi stawić czoło każda gwiazdogatorka, potrafią być trudne.

– Koszmary?

– Oraz bóle głowy i sporadyczne wahania nastroju – dodała. – Pomijając fakt bycia dziewięciolatką.

– Zwłaszcza taką, która jest kluczowa dla funkcjonowania okrętu i doskonale o tym wie?

– Właśnie. Te wszystkie bajki o arogancji i żądaniach gwiazdogatorek...

– W głosie Thalias było słycać żal. – Wszystko wyssane z palca. Nigdy nie spotkałam kogoś, kto byłby świadkiem takich zdarzeń. Każda gwiazdogatorka, jaką znam, zachowywała się odwrotnie.

– Niedowartościowanie – podsunął Thrawn. – Strach, że nie sprosta wymaganiom, które stawiają przed nią kapitan i jego okręt.

Thalias przytaknęła bezgłośnie. Podobnie jak koszmary, te uczucia również pamiętała aż nazbyt dobrze.

– Gwiazdogatorki zawsze martwią się, że zgubią statek albo coś innego pójdzie nie tak.

– Chociaż dane historyczne mówią o bardzo nielicznych przypadkach tego typu – powiedział kapitan. – A większość okrętów, którym się to przydarzyło, bezpiecznie wróciła do domu skokami – urwał. – Zakładam, że Che’ri nie zмага się z żadnymi wyzwaniem, których tobie nie udało się pokonać?

– Nie – westchnęła cicho. Nie sądziła, że Thrawn wpuści ją na pokład bez sprawdzenia akt, ale do tej pory tliła się w niej nadzieja, że jakoś przeoczy ten fakt z jej przeszłości. – Oczywiście poza wlatywaniem w prawdopodobne niebezpieczeństwo.

– Niebezpieczeństwo stanowi nieodzowną część naszej pracy.

– Tylko, że wy wszyscy zgłosiliście się na ochotnika – odparła. – My, gwiazdogatorki, jesteśmy pozbawione luksusu wyboru.

Przez chwilę milczał.

– Masz oczywiście rację – rzekł w końcu. – Większe dobro Dynastii to wystarczające uzasadnienie. A także prawda, oczywiście. Co nie zmienia waszej sytuacji.

– Nie. Może to niewiele zmienia, ale nie sądzę, żeby którakolwiek z nas miała coś przeciwko służbie. To znaczy poza koszmarami, strachem i całą resztą. Poza tym, Dynastia faktycznie nas potrzebuje.

– Być może – rzucił Thrawn.

– Tylko „być może”? – Łypnęła na niego groźnie.

– To rozmowa na inną okazję – powiedział. – Ekran Cztery. Widzisz go?

Skupiła uwagę na panelu kontrolnym, znajdującym się przed nimi. Ekran Cztery... tutaj.

Na środku wyświetlacza pojawiło się małe źródło ciepła. Źródło ciepła znajdujące się obecnie w pobliżu zamieszkałej planety układu.

Źródło ciepła, które, zgodnie z wyliczeniami komputera, leciało prosto na nich.

– Zauważyli nas – wyszeptała, czując, jak serce podchodzi jej do gardła.

– Być może – przyznał w zamyśleniu Thrawn. – Z pewnością wskazywałyby na to moment pojawienia się sygnatury, ponieważ okręt ten

zwiększył moc silników do obecnego poziomu zaledwie trzydzieści sekund temu.

– Idzie prosto na nas. – Nagle poczuła silną falę klaustrofobii, duszącą ją w żelaznych objęciach ciasnego kokpitu. Siedzieli w promie, nie na okręcie. Nie mieli uzbrojenia, osłon, a zwrotnością dorównywali ślimakowi bagiennemu. – Co robimy?

– To może zależeć od tego, kim są i dokąd zmierzają.

Thalias spojrzała na wyświetlacz.

– Co masz na myśli? Idą przecież prosto na nas, czyż nie?

– Mogą też kierować się w stronę „Springhawk” – powiedział Thrawn. – Albo odbywają zwykły, planowy patrol na stację wydobywczą i jest to zbieg okoliczności. Z tej odległości i na tym etapie ich podróży nie da się precyzyjnie określić ostatecznego celu.

– No to co robimy? – zapytała. – Zdążymy wrócić na „Springhawk” na czas?

– Prawdopodobnie – rzekł Thrawn. – Bardziej palące pytanie brzmi jednak: czy tego chcemy?

– Czy tego chcemy? – Thalias gapiła się na niego z niedowierzaniem.

– Przybyliśmy sprawdzić, czy to stąd przybył nieszczęsny statek uchodźców – przypomniał jej Thrawn. – Moim celem było zbadanie stacji wydobywczej, jednak bezpośrednia konwersacja może być szybsza i efektywniejsza.

– O ile nas najpierw nie zestrzelą.

– Mogą spróbować – przyznał. – Powiedz proszę, strzelałaś kiedyś z charrica?

Thalias przełknęła głośno ślinę.

– Kilka razy ćwiczyłam na strzelnicy – odparła. – Ale tylko na niskiej mocy, nigdy na wysokiej.

– Używa się go niemal identycznie. – Stuknął w kilka klawiszy na swojej konsoli. – Cóż, o ile ten okręt nie zwiększy prędkości w ciągu najbliższych dwóch godzin, powinniśmy dotrzeć na stację dwadzieścia trzy minuty przed nim.

– A jeśli jego celem jest „Springhawk”? – zapytała Thalias. – Nie powinniśmy ich ostrzec?

– Jestem pewien, że kapitan Samakro już ich dostrzegł – zapewnił ją Thrawn. – Nawet jeśli wypatrzyli „Springhawk”, a jest spora szansa, że tak

się nie stało, sędzę, że mamy sposób, by nasi goście najpierw odwiedzili jednak stację.

– Jaki?

Thrawn się uśmiechnął.

– Zaprosimy ich na nią.

Stację wydobywczą wyposażono w kilka luków dokujących, zgrupowanych w różnych punktach na jej powierzchni. W jednym znajdowały się dwa tak zwane „luki uniwersalne”, przystosowane przez wiele ras w regionie do przyjmowania statków różnej wielkości. Thrawn zadokował prom przy jednym z nich, odczekał, aż systemy biochemiczne przeprowadzą standardową analizę toksyn i zagrożeń biologicznych w powietrzu stacji, a następnie poprowadził ich do środka.

Thalias spodziewała się, że będzie tam pachnieć kurzem, może z domieszką ostrej woni zgniłego jedzenia, a w najgorszym wypadku, także gnijących ciał. Jednakże, choć dało się wyczuć wyraźną nutę stęchlizny, zdecydowanie nie była przeważająca. Bez względu na to, kiedy właściciele opuścili stację, zrobili to najwyraźniej w spokojny, uporządkowany sposób.

– To tutaj – powiedział cicho Thrawn, oświetlając wnętrza i pokoje, które mijali, idąc korytarzem. – To stąd przybyli.

– Uchodźcy? – upewniła się.

– Tak – potwierdził. – Nie da się pomylić tego stylu.

– Mhm. – Widziała to samo co on, jednak nie miała pojęcia, o czym mówił. – Co teraz?

– Idziemy do głównego centrum kontroli. – Thrawn przyspieszył kroku. – To właśnie zapewne tam zadokują nasi goście.

– Jak znajdziemy to centrum?

– Odkąd zesliśmy z promu, minęliśmy już dwa schematy pokładowe. – Przyjrzał się jej z odrobiną zdziwienia. – Centrum dowodzenia i centra kontroli były wyraźnie zaznaczone.

Skrzywiła się. Nie jedna mapa, ale dwie?

No dobra, może nie widziała jednak tego samego co on.

Centrum kontroli odnaleźli dokładnie w miejscu, do którego prowadził ich Thrawn. Konsolety i ekrany opisano w nieznanym alfabecie, jednak wszystko układało się w logiczny sposób. Kilka prób i błędów przy przełącznikach i pomieszczenie wypełniło się światłem.

– Tak lepiej – powiedziała Thalias, odkładając swoją latarkę. – I co dalej?

– To. – Thrawn wcisnął kilka małych przycisków. – Jeśli dobrze odczytałem ułożenie konsoli, właśnie włączyliśmy zewnętrzne światła stacji.

Thalias wbiła w niego wzrok.

– Włą... Ale przecież ten okręt nas teraz zauważy!

– Mówiłem ci, że zamierzam ich zaprosić – przypomniał. – Co więcej, światła powinny odwrócić ich uwagę od „Springhawka”, jeśli to właśnie jego kryjówka była ich pierwotnym celem.

– Rozumiem. – Thalias nagle wyraźniej odczuła ciężar wiszącego jej u biodra charrica. – Nie spodziewasz się jednak walki, prawda?

– Mam nadzieję jej uniknąć, tak – odparł. – Ładownia zaopatrzeniowa z największym lukiem znajduje się na lewoburtowym krańcu stacji. Tam na nich zaczekamy. – Rzucił ostatnie spojrzenie na centrum kontroli, po czym skierował się do włazu prowadzącego we wskazanym kierunku.

Thalias zrobiła kilka głębokich, uspokajających wdechów, po czym ruszyła za nim.

Ładownia zaopatrzeniowa była większa, niż się spodziewała, choć wszystkie dźwigi, podnośniki, okablowanie i wszechobecne stojaki na części i narzędzia zajmowały więcej miejsca, niż sądziła. Razem z Thrawnem zatrzymali się na wprost głównego luku, gdy usłyszeli głośny świst wentylowanego powietrza, towarzyszący procesowi dokowania.

– Nadchodzą – wymruczała, spoglądając nad ramieniem Thrawna, który stanął przed nią, częściowo zasłaniając jej widok. „Darzą kobiety dużym szacunkiem”. Tak Thrawn mówił o obcych, których śledzili. Jeśli miał rację, jego ochronna postawa wobec niej powinna przemówić do tego aspektu ich kultury.

– Tak. – Thrawn przechylił głowę, jakby nasłuchiwał.

Następnie, ku jej zaskoczeniu, wślizgnął się za nią, przez co teraz to ona stała z przodu.

– Co robisz? – zapytała, czując, jak ogarnia ją zupełnie nowe uczucie kompletnej bezbronności. Ci obcy mieli tu się zaraz pojawić i kto wie, w co byli uzbrojeni...

Właz rozsunał się i do środka weszły cztery istoty.

Średni wzrost, wypukłości piersi i bioder, jasnoróżowa skóra, grzebienie z piór. Identyczne jak u ciał, które Thrawn przetransportował na „Springhawka” z drugiego wraku uchodźców.

Naprawdę ich znalazł.

Obie grupy przyglądały się sobie przez chwilę. W końcu jedno z nowo przybyłych odezwało się w zgrzytliwym, niezrozumiałym języku.

– Czy mówisz w minnisiat? – odpowiedział Thrawn w jednym z języków handlowych.

Obcy ponownie odezwał się w swojej mowie.

– Czy mówisz w taarja? – zapytał Thrawn, zmieniając narzecze.

Nastąpiła chwila przerwy, po czym inny obcy zrobił krok naprzód.

– Mówię w tym – powiedział. – Co tu robisz?

– Jesteśmy odkrywcami – oznajmił Thrawn. – Mam na imię Thrawn.

Stuknął ją łokciem.

– Powiedz im, jak masz na imię.

– Jestem Thalias. – Zrozumiawszy wskazówkę, podała tylko swoje imię rdzeniowe. Z jakiegoś powodu Thrawn nie chciał przedstawiać się pełnymi imionami.

Oczy obcego rozszerzyły się i wyglądały, jakby je wytrzeszczała. Przez chwilę się jej przyglądał.

– Jesteś samicą?

– Tak – potwierdziła.

Obcy wydał z siebie nieco piskliwe parsknięcie.

– A więc ty, Thrawn, chowasz się za swoją samicą?

– Wcale nie – odparł Thrawn. – Osłaniam ją swoim ciałem przed tymi, których wysłaliście, by strzelili nam w plecy.

Thalias wciągnęła głośno powietrze.

– Żartujesz, prawda? – wymruczała.

Poczuła, jak kręci głową.

– Wyczułem ruch powietrza, gdy otworzyli awaryjny właz za nami.

Thalias skinęła głową. Tak jak lata temu wyczuł ruchy „Tomry”, tak i teraz błyskawicznie odczytał subtelne sygnały stacji obcych.

– Nie planujemy używać przemocy – zapewnił ich szybko obcy. – To tylko środki ostrożności. Wasze przybycie było niespodziewane i obawialiśmy się o nasze bezpieczeństwo.

– Zatem przepraszam za niespodziewane najście – powiedział Thrawn. – Myśleliśmy, że stacja jest opuszczona. Dlatego tu przybyliśmy.

Obcy wydał z siebie kolejny pisk, tym razem krótszy.

– Jeśli chcecie wybudować tu dom, wybraliście niemądrze. Nawet teraz może być już za późno, by naprawić ten błąd.

– Nie przybyliśmy, by tu się osiedlać. Jak wspominałem, jesteśmy odkrywcami. Przemierzamy Chaos w poszukiwaniu dzieł sztuki stworzonych przez zaginionych i zapomnianych.

Cętkowany wzór na skórze obcego zmienił się.

– Szukacie sztuki?

– Sztuka to zwierciadło duszy danej rasy – rzekł Thrawn. – Chcemy zachować to echo dla tych, którzy nie mogli zrobić tego sami.

Jeden z pozostałych obcych powiedział coś w ich języku.

– On mówi, że tu nie ma sztuki – przetłumaczył mówca.

– Być może w architekturze można odnaleźć więcej artystycznych elementów, niż mu się wydaje – odparł Thrawn. – Jednak jestem zdziwiony. Nie widzę tu śladów katastrofy czy zniszczenia. Wręcz przeciwnie, stacja zdaje się być w pełni sprawna. Dlaczego ją opuściliście?

– Nie opuściliśmy jej. – Głos przemawiającego stał się wyraźnie głębszy.

– Odesłali nas ci, którzy chcą dominacji nad Rapakkiem i Paccoshami.

– A więc wasza planeta zwie się Rapacc? – zapytał Thrawn. – A wy jesteście Paccoshami?

– Owszem – przytaknął mówca. – Przynajmniej póki co. Paccoshowie mogą przestać istnieć. Przyszłość każdego Pacca leży teraz w rękach Nikardunów, a my lękamy się o niej myśleć.

– Czy to Nikardunowie lecieli za nami przez wasz układ?

Kolejny pisk.

– Jeśli sądzicie, że tylko za wami lecieli, wasza ignorancja jest zaprawdę ogromna. Ich zamiarem było pochwycenie lub zniszczenie was.

Thalias poczuła przechodzący ją dreszcz. Nigdy przedtem nie spotkała się choćby ze wzmianką o tej rasie. Musieli pochodzić spoza ich bezpośredniego sąsiedztwa, a najprawdopodobniej nawet spoza obszaru zbadanego przez Ekspansyjną Flotę.

A oto, w jaki sposób się przedstawili – blokując dostęp do całych układów oraz ścigając i mordując każdego, komu udało się z nich uciec. Nie wyglądało na to, żeby mieli w najbliższej przyszłości zostać przyjaciółmi Dynastii.

– Jednak chyba nie pilnują was i waszego świata zbyt mocno – zauważyła, a kanciaste słowa taarja raniły jej język. Był to najmniej lubiany przez nią w szkole język, jednak rodzina Mitthów naciskała, by zasłużeni adoptowani uczyli się wszystkich najpopularniejszych form komunikacji w regionie. – Jak inaczej moglibyście z nami rozmawiać?

– Sądzisz, że przybyliśmy tu z własnej woli? – rzucił mówca, pochylając nieco głowę w jej stronę. – Myślisz, że sami usunęliśmy broń i osłony z okrętu, którym przybyliśmy? Nie. Broniące dostępu do Rapacc okręty Nikardunów nie rozpoznały typu waszego okrętu. Myśleli, że na stacji mogą jeszcze działać czujniki, które zarejestrowałyby ważne detale, kiedy wasz okręt tędy przelatywał. Rozkazano nam sprawdzić, czy faktycznie znajdziemy takie odczyty.

– Mieli rację? – zapytał Thrawn.

– Rację co do czujników? – Mówca przerwał na chwilę, a jego wzrok wędrował między dwójką Chissów. – Dlaczego pytasz? Życzysz sobie, by informacje na temat waszego statku pozostały tajemnicą?

– Mówi się, że są tacy, którzy mogą rozpoznać pochodzenie statku po jego budowie i stylu lotu – rzekł Thrawn. – Nieznany przywódca Nikardunów może być jedną z takich osób.

– Ich przywódca jest dobrze znany. – W głosie Pacc dało się wyczuć nutę obrzydzenia. – Generał Yiv Dobroczyńca osobiście przybył na Rapacc, by przedstawić swoje żądania i pysznić się swoimi osiągnięciami przed naszymi przywódcami.

– Taki czyn świadczy o wielkiej pewności siebie – powiedział Thrawn. – Czy spodziewacie się jego rychłego powrotu?

– Nie wiem – odparł Pacc. – Ale na pewno przyleci więcej Nikardunów, a jeśli nie wykonamy rozkazów tych, którzy już tu są, źle się to dla nas skończy.

„A jeśli Paccoshom nie uda się schwycić obcych, którzy przemknęli przed ich patrolowcami i zakradli się na stację, skończy się to dla nich jeszcze gorzej” – pomyślała Thalias.

– Co z nami zrobicie? – zapytała.

Mówca odwrócił się do pozostałych i przez chwilę rozprawiali o czymś we własnym gronie.

– Dobra robota – szepnął Thrawn.

– Co masz na myśli?

– Lepiej, by to pytanie padło z twoich ust niż z moich – wyjaśnił. – Szacunek do kobiet może wpłynąć na ich odpowiedź i zmienić decyzję na naszą korzyść.

– A jeśli tak się nie stanie?

– W takim wypadku mamy charriki. – Głos Thrawna był cichy, ale zdecydowany. – Ty zajmiesz się tymi przed nami, a ja tymi z tyłu.

Thalias nagle zaschło w ustach.

– Chcesz ich po prostu zastrzelić?

– Jest nas dwoje – odparł Thrawn. – Ich czwórka, plus niewiadoma liczba ukrywających się za naszymi plecami. Jeśli zechcą nas uwięzić, naszą jedyną szansą będzie natychmiastowy i śmiertelny atak.

Kolejny dreszcz przebiegł Thalias po kręgosłupie. Zostać wciągniętą w strzelaninę, strzelać i być ostrzeliwaną – cóż za przerażająca perspektywa! Wolałaby jednak ruszyć do prawdziwej walki ze względnie czystym sumieniem.

To, o czym mówił Thrawn, było prostym, wyrachowanym morderstwem.

Paccoshowie zakończyli dyskusję.

– Nie mamy żadnych rozkazów co do intruzów – oznajmił mówca. – Wysłano nas jedynie w celu sprawdzenia czujników. – Inny obcy powiedział kilka słów. – Zakładamy przy tym, że Nikardunowie chcieliby waszego pochwycenia, gdyby o was wiedzieli.

– Być może – zgodził się Thrawn. – Ważniejszym pytaniem jest jednak, czego chcieliby Paccoshowie?

Mówca odwrócił się do pozostałych. Thalias uniosła dłoń, udając, że poprawia niesforny lok, mając nadzieję, że przyciąga tym samym nieco dodatkowej uwagi.

– Jeśli pozwolicie nam odejść, upewnię się, że Nikardunowie nas nie wykryją. – Słowa Thrawna przerwały ciszę, która zapanowała w ładowni.

– Jak możesz być tego pewien?

– Nie wykryli naszego przybycia na stację. Wątpię, by teraz byli czujniejsi.

– Z pewnością widzieli, jak włączacie światła na stacji.

– Z pewnością mogliście zdalnie uruchomić te systemy – odbił piłeczkę Thrawn.

Mówca zastanowił się, po czym pochylił głowę.

– Tak, mogliśmy. – Wypuścił z sykiem powietrze. – Dowódca zdecydował. Możecie odejść w pokoju.

Thalias odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Dziękujemy – powiedziała.

– Nie odpowiedzieliście na moje pytanie – wtrącił Thrawn. – Czy czujniki stacji są sprawne?

Mówca zapiszczał.

– Kilka tygodni temu Nikardunowie kazali nam wyłączyć stację przed jej opuszczeniem – wyjaśnił. – Mając na względzie leżące na szali życie każdego Pacca, wykonaliśmy rozkazy co do joty. Nie ma działających czujników.

– Bardzo dobrze – rzekł Thrawn. – Żegnajcie zatem i obyście odnaleźli wolność i pokój.

Kapitan dotknął ramienia Thalias i skinął głową w stronę wjazdu prowadzącego z powrotem do ich promu.

– Czekajcie.

Odwróciła się. Pacc mówiący wcześniej w niezrozumiałym dla niej języku, ten, którego odruchowo zidentyfikowała jako przywódcę grupy, szedł w ich stronę. Zaczęła robić krok w tył, ale zatrzymała się, gdy Thrawn ponownie dotknął jej ramienia.

– To Uingali – przedstawił go mówca, gdy Pacc zatrzymał się przed Thrawnem. – Ma coś, co chce wam dać.

Przez chwilę Uingali stał bez ruchu. Następnie, z wyraźnym wahaniem, uniósł przed siebie obie dłonie, palcami jednej przesuwając po palcach drugiej. Chwilę później ściągnął podwójny pierścień. Bliźniacze kręgi łączyła krótka, giętka siatka. Po kolejnej chwili wahania podał klejnot Thrawnowi.

– Uingali foar Marocsaa – rzekł.

– Podwójny pierścień to cenione dziedzictwo podklanu Marocsaa – wyjaśnił cicho mówca. – Uingali życzy sobie, byście go zabrali i dodali do swoich dzieł sztuki, by lud podklanu Marocsaa nie został zapomniany.

Po raz pierwszy, odkąd Thalias poznała Thrawna, wydawał się być prawdziwie zaskoczony. Spojrzał na Uingaliego, potem na pierścień, a potem znowu na Uingaliego. Wreszcie wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

– Dziękuję – powiedział. – Będę go strzegł na honorowym miejscu.

Uingali pochylił głowę w lekkim ukłonie i umieścił podwójny pierścień w ręce Thrawna. Wyprostował się i odszedł do pozostałych Paccoshów. Ci odwrócili się jednocześnie, gdy ich mijał i cała czwórka ruszyła w stronę wyjścia. Thalias poczuła za plecami powiew powietrza i podskoczyła, gdy trójka innych Paccoshów, stanowiąca najwyraźniej zabezpieczenie Uingaliego, minęła w ciszy dwójkę Chissów i dołączyła do swoich towarzyszy. Zniknęli, gdy zamknął się za nimi właz.

Thalias wpatrywała się w klejnot trzymany przez Thraw-na. Został wykonany ze srebrzystego metalu, a u podstawy wyrzeźbiono kilka zakrzywionych łuków. Ze środka łuków wyrastało kilka kształtów przypominających węże, oskrzydłone przez dwa znacznie większe gady, które wyginały się w górę i dookoła pierścienia. Ich głowy skierowane były wyzywająco ku górze, szczerząc otwarte paszcze.

Wciąż przyglądała się węzom, gdy nagle światła wokół nich zgasły.

– Co...? Och – zrozumiała po chwili. – Zdalne sterowanie.

– Uingali kontynuuje przedstawienie dla ewentualnych obserwatorów Nikardunów – powiedział Thrawn, włączając latarkę. – Chodź.

Odwrócił się i ruszył w stronę wjazdu.

– Już wracamy? – zapytała, gdy się z nim zrównała.

– Mamy wszystko, po co przysłał nas Naczelny Generał Ba'kif. Zamordowani uchodźcy byli Paccoshami z układu Rapacc, ich prześladowcy zwą się Nikardunami, a przywódcą Nikardunów jest generał Yiv Dobroczyńca – przerwał na chwilę. – Uzyskaliśmy też kilka dodatkowych informacji, których generał Ba'kif się nie spodziewał.

– Na przykład?

Thrawn milczał przez kilka kolejnych kroków.

– Odnaleźliśmy Paccoshów częściowo dzięki temu, że statek uchodźców przybył mniej więcej z tego kierunku. Założyliśmy też, że Nikardunowie podążyli za nimi lub w jakiś inny sposób przewidzieli ich przybycie do Dynastii, a następnie wydali rozkaz ataku na Csillę, by odwrócić naszą uwagę od eksterminacji Paccoshów.

Thalias pokiwała głową.

– To by się zgadzało.

– Jednak to prowadzi nas do kolejnego pytania – ciągnął Thrawn. – Skąd Nikardunowie wiedzieli, by zastawić pułapkę w tym konkretnym miejscu?

– Cóż. – Thalias próbowała się zastanowić. – Wiemy, że dwa paccoshańskie statki spotkały się w układzie poczwórnym, nim jeden z nich ruszył do Dynastii. Może kapitan uznał, że to ich najlepsza szansa na uzyskanie pomocy, zwłaszcza jeśli jeden z okrętów nie był w stanie kontynuować podróży. Nie wiem jednak, skąd wiedzieli, gdzie nas znaleźć.

– Wiele obcych ras o nas wie lub ma przynajmniej względne pojęcie, gdzie można nas znaleźć – odparł Thrawn. – Jednak nasza reputacja często wyprzedza konkretną wiedzę na nasz temat. Zauważ, że Paccoshowie raczej nie rozpozнали w nas Chissów. Jednak nie dostrzegłaś najważniejszej

części mojego pytania. Statek uchodźczy wyszedł z nadprzestrzeni w naszym układzie dużo dalej, niż musiał. Na tyle daleko, że potrzebowaliby kilku godzin podróży w normalnej przestrzeni, nim znaleźliby się wystarczająco blisko, by podjąć jakąkolwiek próbę wstępnej komunikacji – przerwał na chwilę. – Także wystarczająco daleko, by móc odkryć ich masakrę, jednak bez szansy na to, by jakikolwiek patrol mógł zareagować na czas.

Thalias zakłęta pod nosem, gdy nagle wszystko stało się jasne.

– Jedynym wytłumaczeniem tego, że Nikardunowie mogli czekać na ten statek w miejscu ich wyjścia z nadprzestrzeni, jest nawigator, który specjalnie wyprowadził ich właśnie tam. – Zmarszczyła brwi. – Bo mieli nawigatora, prawda?

– Tak sędzę. Zapewne Przewodnika Próżni, jak na drugim statku. Zauważ też, że nie znaleźliśmy takiego ciała na pierwszym.

Znowu przerwał, ewidentnie oczekując, że Thalias podąży za jego tokiem rozumowania.

– Nikardunowie zabrali go ze sobą? – zaryzykowała.

– W rzeczy samej – odparł. – Żywego czy martwego?

Thalias przygryzła wargę. Skąd niby miała to wiedzieć?

W zasadzie dlaczego Thrawn w ogóle bawił się z nią w te logiczne zgadywanki, zwłaszcza w taki sposób? Przypominało to szkolne zajęcia, na które musiała uczęszczać jako nieco oporna gwiazdogatorka albo te, które musiała teraz wymuszać na nawet bardziej odpornej Che’ri.

– Paccoshowie na drugim statku zginęli znacznie później niż ci, których zaatakowano w Dynastii – odpowiedział.

Thalias skinęła głową, gdy wreszcie zrozumiała, do czego zmierzał. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że druga grupa się udusiła, a nie została zamordowana jak pierwsza.

– Był martwy – powiedziała. – Gdyby żył, powiedziałby Nikardunom, gdzie znaleźć drugi statek. Wtedy by go znaleźli i również wymordowali wszystkich na pokładzie, zamiast pozwolić im umrzeć w samotności.

– Doskonale – pochwalił ją Thrawn. – Możemy zatem także uznać, że to Paccoshowie, a nie Przewodnicy Próżni wybrali poczwórny układ na miejsce spotkania.

– No dobrze. – Thalias zmarszczyła brwi. – Ale w czym to nam pomaga?

– Może w niczym – zgodził się kapitan. – Jednak czasami drobne fragmenty informacji wracają do nas w niespodziewany sposób. – Wskazał

przed siebie. – Tak czy siak, sądzę, że wiemy już wszystko, czego mogliśmy się tu dowiedzieć. Przed nami dyskretny powrót na „Springhawk”, po którym czeka nas, miejmy nadzieję, niczym niezakłócone opuszczenie układu.

– Nikardunowie będą czuwać – zauważyła.

– Zgadza się. Jednak po wizycie „Czujnego” sądzę, że Nikardunowie przesunęli wszystkie swoje posterunki bliżej wnętrza układu. Nasza ucieczka nie powinna być więc trudna, tak samo jak spotkanie z „Czujnym” i odzyskanie naszej gwiazdogatorki.

– A potem ruszamy z powrotem do Dynastii?

Thrawn spojrział na podwójny pierścień, lśniący w jego dłoni.

– Nie od razu – odparł. – Nie, sądzę, że udamy się do siedziby Gildii Nawigatorów i wynajmiemy sobie nawigatora.

Thalias zmarszczyła brwi.

– Przecież powiedziałeś, że wracamy po Che’ri.

– Na wypadek, gdybyśmy jej potrzebowali. Jednak Paccoshowie przyznali, że w najbliższej przyszłości może się tu pojawić więcej okrętów Nikardunów. Chciałbym coś zrobić, nim to nastąpi.

– Ach – mruknęła ostrożnie Thalias. O ile flota nie zmieniła zasad, odkąd skończyła służbę jako gwiazdogatorka, kapitan, który chciał poszerzyć założenia misji, powinien wprawdzie uzyskać zezwolenie.

Ale w końcu to nie była jej sprawa.

– Szukasz Przewodnika Próżni?

– Nie – zaprzeczył Thrawn. Po raz ostatni przesunął palcem po pierścieniu, po czym ostrożnie schował go do kieszeni. – Nie, sądzę, że jest ktoś, kto będzie dla nas znacznie bardziej przydatny.

## Wspomnienia V

— Nadlatuje dyplomatyczny krążownik Chissów. — Głos Pracka, dyspozytora Tropicieli, wzniósł się ponad szmerem rozmów wypełniającym salę Gildii Nawigatorów. — Kto ich weźmie?

Rozmowy urwały się gwałtownie, a wszyscy obecni starali się zachowywać, jakby przebywali gdzieś indziej.

Qilori z Uandualonu robił dokładnie to samo. Siedział nieruchomo na ławce, zgarbiony, wciąż ściskając uchwyt swojego kubka. Chissowie. To było właśnie całe jego parszywe szczęście — mieć dyżur, gdy napataczają się Chissowie.

— Gdzie jesteś, Qilori? — ciągnął dyspozytor. — Dawaj, Qilori, wiem, że tu jesteś.

— Tam siedzi. — Z pomocą przyszedł ktoś siedzący dwa stoliki dalej.

Qilori posłał tamtemu nawigatorowi złe spojrzenie.

— No, jestem! — warknął.

— I dobrze — odparł dyspozytor. — Łap hełm, pakuj sprzęt i wypad na dół. Dzisiaj zgarniasz gorące krzesło.

— Tia — warknął ponownie. Skrzydełka policzkowe obijały mu się o twarz, gdy z obrzydzeniem wstał i podszedł do dyspozytora. Pozostali Tropiciele chcieli ponaigrywać się z jego beznadziejnego zlecenia, wiedział o tym doskonale — sam wielokrotnie szydził z pozostałych w podobnych sytuacjach.

Jednak żaden z nich nie śmiał tego zrobić. Prackowi zdarzało się już zmieniać przydziały, gdy ktoś, kto był wyżej na jego czarnej liście, rzucił mu się w oczy.

— Dokąd lecą? — zapytał Qilori.

— Na Bardram Scoft — odparł dyspozytor.

— A niby po co?

— Nie wiem i mam to gdzieś. Bramka numer pięć, piętnaście minut. — Uśmiechnął się drwiąco do Qiloriego. — Baw się dobrze.

Piętnaście minut później Qilori czekał w wyznaczonym miejscu ze swoją torbą podróżną przewieszoną przez ramię. Po chwili bramka otworzyła się i wyszło z niej kilkoro niebieskich w czarnych uniformach.

— To ty jesteś naszym Tropicielem? — zapytał jeden z nich w minnisiat, języku handlowym.

Przynajmniej ci tutaj nie spodziewali się, że każdy w Chaosie będzie gadać w cheunh.

— Zgadza się. — Qilori machnął swoją szarfą identyfikacyjną. — Nazywam się Qilori z Uandualonu. Jestem piątej klasy...

— Tak, dobrze — przerwał mu niebieski. — Chodź, spieszy się nam.

Odwrócił się i ruszył z powrotem przez bramkę. Qilori poszedł za nim, w duszy przeklinając Pracka za ten przydział.

Nikt tutaj nie lubił Chissów. A przynajmniej nikt, kogo Qilori znał i z kim pracował.

Nie chodziło tylko o to, że uważali się za lepszych niż wszyscy dookoła. W końcu większość ras miała o sobie podobne mniemanie. Nie, sprawy wyglądały tak, że Chissowie nie widzieli tu nawet nikogo, wobec kogo mogliby się wywyższać. Jeśli chodziło o resztę Chaosu, zachowywali się w tak dziwny i wkurzający sposób, jakby wszystkie inne rasy składały się wyłącznie z inteligentnych zwierząt lub też powstały jedynie po to, by służyć dobru Dynastii.

Mało kogo w ogóle dostrzegali. A z pewnością nikt ich nie obchodził.

Mostek wyglądał właściwie tak samo, jak na każdym innym handlowym statku czy krążowniku dyplomatycznym Chissów, które widział Qilori: mały i dobrze zaprojektowany, ze stanowiskami steru, nawigacji, obrony i komunikacji. Kapitan siedział na fotelu zlokalizowanym tuż za konsolami steru i nawigacji. Na wszystkich stanowiskach znajdowali się Chissowie. Oprócz nawigacji, oczywiście, ten fotel czekał na Qiloriego.

— Tropicielu. — Kapitan skinął mu na powitanie. — Ruszamy, jak tylko zajmiesz miejsce.

Skrzydełka policzkowe Qiloriego opadły, gdy usiadł i przesunął palcami po konsolce.

„Tia. Baw się dobrze”.

Podróż przebiegła bez przeszkód. Na rozkaz kapitana Qilori założył swój hełm stymulujący deprywację sensoryczną i zapadł w trans, pozwalając

Wszechobecności szeptać do, wokół i przez niego.

Wszechobecność jak zwykle poskąpiła mu Jej wiedzy i mądrości, przez co podróż była nieco wolniejsza, niż Qilori by sobie życzył. Na szczęście przestrzeń w tej części Chaosu była raczej spokojna, z zaledwie kilkoma anomaliami, które dawały takim nawigatorom jak Tropiciele pracę podczas długich podróży międzygwiazdnych. Dolecieli do Bardram Scoft na kilka minut przed wyznaczonym przez kapitana czasem i zdecydowanie szybciej, niż zajęłaby podróż skokowa. Koniec końców, zdecydował Qilori zdejmując hełm, zasłużył na swoje wynagrodzenie.

Zamrugął kilkakrotnie, otrząsając się z oszołomienia po transie i rozprostował zeszywniałe palce. Planeta widniała za iluminatorem w całej swej okazałości, a okręt ustawił się na jej orbicie. Na mostku nie było nikogo, nie licząc Qiloriego i pilota.

— Gdzie są wszyscy? — zapytał.

— Przygotowują ambasadora do ceremonii powitalnej — odparł pilot. — Scoftyjski protokół dyplomatyczny wymaga, by towarzyszył mu najwyższy rangą oficer, a poza tym mogą być jeszcze jakieś inne zasady, których trzeba pilnować.

— Mogą być? — Qilori zmarszczył brwi, obserwując niebo. Widniało na nim mnóstwo statków, znacznie więcej, niż można się było spodziewać po takiej dziurze. — Myślałem, że wy, Chissowie, lubicie być na wszystko przygotowani zawczasu.

— Lubimy. Jednak na Scoft znowu zmienił się rząd, a wraz z nim i protokół. Nasz ambasador musi teraz zapoznać się z nim na nowo.

— Ach. — A więc o to chodziło. Pojawił się kolejny rząd i wszyscy w okolicy wysyłają emisariuszy, by powitać i ocenić nowych graczy. — Nie wiedziałem, że poprzedni prefekt podupadł na zdrowiu.

— Bo tak nie było — odparł pilot. — Został zamordowany. Co to za okręt?

— Co? — Skrzydełka Qiloriego zafurkotały z zaskoczenia. „Zamordowany?” — I nikt nie ma z tym problemu?

— Na Scoft to dość powszechne. Ten okręt. Do jakiej nacji należy?

Qilori wyjrzał przez iluminator, wciąż próbując sobie jakoś poradzić z przejściem do porządku dziennego nad czymś morderstwem.

— Chyba Lioaoin.

— To jakiś nowy model?

— Nie mam pojęcia, skąd miałbym to wiedzieć?

— Jesteś nawigatorem — odparł Chiss. — Widziałeś już wiele statków wielu ras.

— Tak, ale głównie od środka. — Qilori zmarszczył brwi. — A czemu tak cię to interesuje?

— Ta jednostka wykazuje wiele podobieństw do okrętów pirackich, których grupa atakuje ostatnio frachtowce na zewnętrznych krańcach Dynastii Chissów.

— Doprawdy? — Qilori starał się udawać zaskoczonego. Dotarły do niego krążące między różnymi grupami nawigatorów mroczne plotki o tym, że Reżim Lioaoin zaczął parać się piractwem, by podreperować nieco swą upadającą gospodarkę. Większość tych opowieści pochodziło od Przewodników Próżni, którzy częściej pracowali na tym konkretnym obszarze, jednak słyszał też, jak rozmawiali o tym także jego Tropiciele.

Oczywiście, nie mógł o tym powiedzieć pilotowi. W Gildii Nawigatorów zasady dotyczące poufności i neutralności były nienaruszalne.

— Brzmi mało prawdopodobnie.

— Nie wierzysz, że grupa piratów mogłaby nabyć okręty od lokalnego producenta?

— Och. — Qilori poczuł delikatną ulgę. A więc ten Chiss nawet nie podejrzewał, że Lioaoini mogli być w to oficjalnie zamieszani. — Okej, teraz rozumiem, co masz na myśli. Pewnie to możliwe.

— Tak — powiedział pilot. — Byłeś kiedyś w przestrzeni Lioaoin?

— Raz czy dwa.

— Potrafiłbyś tam znowu trafić?

— Z Dynastii Chissów? Oczywiście. Potrafiłbym trafić do dowolnego układu, jaki wskażesz. Na tym polega robota nawigatora.

— Póki co wystarczy mi Reżim Lioaoin — rzekł Chiss. — A gdybym chciał nadlecieć z innego kierunku niż Dynastia? Na przykład stąd, z Bardram Scoft?

— Lecimy tam?

Pilot przez chwilę przypatrywał się czemuś przez iluminator.

— Jeszcze nie. — W jego głosie słychać było zastanowienie. — Może później. Jak ci na imię?

— Qilori z Uandualonu. — Nawigator zmarszczył brwi. Co ten Chiss chciał osiągnąć tym całym przesłuchaniem?

— Czy zwykle można cię znaleźć na stacji Gildii Nawigatorów, w której cię zatrudniliśmy?

— Bywam na różnych stacjach Gildii — odparł Qilori. — Co chyba zrozumiałe. Ale tak, Hala Cztery-Czterdzieści-Siedem to moja oficjalna jednostka bazowa.

— Dobrze. — Chiss skinął głową. — Być może będziemy jeszcze kiedyś razem pracować.

— Byłoby cudownie. — Qilori przyglądał się teraz Chissowi z boku. Niewielu z nich chciało się nauczyć jego imienia, a co dopiero dowiedzieć, gdzie go znaleźć. Jeszcze mniej interesowałyby się wyglądem statku innej rasy.

Kim w ogóle był ten Chiss?

— A ty? Jak się nazywasz? — spytał w końcu. — Wiesz, gdybyś kiedyś o mnie pytał.

— Młodszy komandor Thrawn — przedstawił się cicho Chiss. — I tak, zdecydowanie o ciebie zapytam.

## Rozdział 7

Qilori nie spodziewał się, iż Chiss imieniem Thrawn jeszcze kiedyś przesłoni mu niebo. A na pewno miał nadzieję, że tak się nie stanie. A jednak był tu, w Hali Cztery-Czterdzieści-Siedem, prosząc konkretnie o usługi Qiloriego z Uandualonu.

Co więcej, teraz był starszym kapitanem. Qilori nie znał się za bardzo na stopniach wojskowych czy zasadach awansów, ale miał nieodparte wrażenie, że Thrawn był młodszy od większości Chissów w tej randze.

Biorąc pod uwagę, co wydarzyło się kilka lat temu nad Kinossem, pewnie nie powinien być właściwie zaskoczony.

– Dobrze cię znowu widzieć, Qilori z Uandualonu – przywitał Thrawn nawigatora, gdy doprowadzono go już na mostek.

– Dziękuję – odparł Qilori, rozglądając się dokoła. Nigdy przedtem nie był na okręcie Chissów, a różnica pomiędzy tym, co tu zastał, a ich frachtowcami czy dyplomatycznymi krążownikami, na których zdarzało mu się służyć, była jak różnica między słodkim i kwaśnym. Ekranu uzbrojenia, obrony, monitory sytuacyjne, dziesiątki wyświetlaczy, pełna załoga niebieskich w czarnych mundurach...

– Czy znasz układ Rapacc? – zapytał Thrawn.

Qilori oderwał wzrok od kontrolek i ekranów, usilnie starając się utrzymać skrzydełka policzkowe na miejscu. „Rapacc”. Czy nie było to jedno z miejsc, które Yiv Dobroczyńca objął blokadą?

Tak, był tego pewien. Qilori nie znał całego planu Yiva, nie wiedział, czy Dobroczyńca przyłączy układ, czy też pozostawi Paccoshów jako wasali. Ale tak czy siak, Nikarduni z pewnością już tam byli.

Czego, na Wszechobecność, Thrawn tam szukał?

– Tropicielu? – ponaglił go Thrawn.

Nagle Qilori przypomniał sobie, że zadano mu pytanie.

– Tak, znam ten układ – odparł, ponownie próbując okiełznać skrzydełka. – Trudno się tam dostać, a jak już się uda, jest tam raczej nudno.

– Zdziwiłbyś się. Tak czy siak, to cel naszej podróży. – Thrawn gestem wskazał stanowisko nawigatora. – Rozgość się.

I to by było na tyle. Pomijając już nawet zasady Gildii, Qilori po prostu nie mógł powiedzieć Thrawnowi, że Nikardunowie z radością posiekają okręt Chissów na drobniutkie kawałeczki – zresztą tak samo zrobiliby z każdym innym intruzem. Poza wszystkimi innymi konsekwencjami takiego ruchu, podobne ostrzeżenie mogłoby skłonić Thrawna do zastanowienia się, skąd Qilori wiedział tak wiele o Yivie i Nikardunach oraz gdzie tę wiedzę zdobył.

Zatem zgodnie z rozkazem Qilori zabierze tego Chissa na Rapacc. Pozostaje mu tylko ufać Wszechobecności, że nikarduński nadzorca układu zada sobie trud wyciągnięcia wartościowego i zupełnie niewinnego Tropicieła z wraku, nim zetrze jego resztki na proch.

Tak więc ufał. Bardzo, bardzo ufał.

Gdy Samakro wszedł na mostek, panowała na nim zupełna cisza. Zajęte były wyłącznie stanowiska dowódcy, steru, podstawowego uzbrojenia i podstawowej obrony. No i oczywiście ten obcy Tropicieł siedział przy nawigacji, oskrzydłony przez dwóch uzbrojonych w charriki strażników, którzy uważnie mu się przyglądali.

Komandor Elod'al'vumic znajdowała się na stanowisku dowódcy, bezgłośnie bębniąc palcami po oparciu fotela i przyglądając się przez iluminator zniekształconej nadprzestrzeni. Spojrzała na Samakro, który stanął obok niej.

– Kapitanie – przywitała się.

– Komandorze – odparł w podobny sposób. – Coś godnego uwagi?

– Tropicieł wyszedł z transu około godziny temu, zrobił dziesięciminutową przerwę, po czym z powrotem założył hełm – zameldowała Dalvu. – Powiedział, że powinniśmy dotrzeć na Rapacc w ciągu jego kolejnej trzygodzinnej zmiany. Odczytaliśmy koordynaty, gdy byliśmy w normalnej przestrzeni i wygląda na to, że jesteśmy w odpowiednim miejscu.

– Zakładam, że zdała pani z tego raport kapitanowi?

Ramiona Dalvu uniosły się nieznacznie.

– Wysłałam mu wiadomość. Musi pan jego zapytać.

Oczy Samakro się zwięzły. Lekceważący komentarz, który jednak nie był wystarczająco obraźliwy, by wymagał jego reakcji.

Dalvu nie była typem osoby wpadającej samodzielnie na takie pomysły, a już na pewno nie takim, który głośno mówi takie rzeczy. Najwyraźniej Kharill podzielił się już z oficerami swoim niezadowolaniem z nowej struktury dowodzenia.

– Jestem pewien, że kapitan Thrawn ma wszystko pod kontrolą – odezwał się w końcu. – Utrzymać stanowisko przez kolejną godzinę, następnie rozpocząć przygotowania do zarządzania alarmu bojowego na „Springhawk”. Chcę, byśmy byli w pełni gotowi do bit...

– Alarmu bojowego? – Dalvu przerwała mu z szeroko otwartymi oczami. – Spodziewamy się kłopotów?

– Chcę, byśmy byli w pełni gotowi do bitwy na trzydzieści minut przed dotarciem do układu Rapacc – dokończył.

– Ale... bitwa?

– Prawdopodobnie – odparł Samakro. – Czy sądziła pani, że mamy jakiś inny powód do powrotu na Rapacc?

Usta Dalvu zacisnęły się w grymasie niebezpiecznie przypominającym gniew.

– Założyłam, że kapitan Thrawn o czymś zapomniał i teraz po to wracamy.

Samakro spojrział na nią z góry, odliczając w duchu do pięciu. Po pierwszych dwóch sekundach grymas zniknął z twarzy Dalvu, a po pięciu zaczęła wyglądać wyraźnie niekomfortowo.

– Sugeruję zatrzymać podobnie uwłaczające sądy na temat kapitana dla siebie – powiedział cicho Samakro. – Stan jego pamięci nie należy do pani zmartwień, tak samo jak jego umiejętności dowódcze czy też autorytet i zdolność do wydawania rozkazów na tej jednostce. Czy to jasne, komandorze?

– Tak jest, sir. – Głos Dalvu przybrał zdecydowanie łagodniejszy ton. – Ale... czy mamy choćby pozwolenie na walkę z tym ludem?

– Mamy pozwolenie na to, by się bronić – przypomniał jej. – A biorąc pod uwagę reakcję okrętów blokady na naszą ostatnią wizytę, sądzę, że nie będziemy musieli długo czekać na okazję do obrony.

– Tak jest, sir – wymruczała Dalvu, spuszczać wzrok.

Samaro zacisnął usta. Czuł, jak jego rozdrażnienie powoli ustępuje. Niestety, miała rację. Ostatnim razem, gdy weszli do tego układu, udało im

się, ale tym razem nie mieli za plecami Nightdragona. Byli sami.

– Nie służyłaś na „Springhawk”, gdy Thrawn objął dowodzenie po raz pierwszy, prawda?

– Nie, sir – odparła. – Ale słyszałam opowieści na temat jego... lekkomyślności.

– Sugeruję potraktować je z dystansem – poradził Samakro. – Sam fakt, że Thrawn nie tłumaczy się wszystkim ze swoich planów zanim wprowadzi je w życie, nie oznacza, że ich nie ma. A cokolwiek nam na dzisiaj zaplanował, wyciągnie nas i z tego.

Zrobił głęboki wdech i spojrzał przez iluminator.

– Proszę mi zaufać.

Nadszedł czas.

Lśniący dysk Wszechobecności widniał w całej swej krasie przed niewidzącymi oczami Qiloriego. Zniekształcony grzmot odbijał się echem w jego niesłyszących uszach. Na ślepo sięgnął do dźwigni hipernapędu u swojego prawego boku, wcisnął przycisk blokady i objął palcami drążek. Wyczekał, aż dysk wypełnił wszystko w zasięgu wzroku, po czym delikatnie popchnął dźwignię naprzód. Odczekał jeszcze chwilę, smakując to doświadczenie po raz ostatni, po czym wyłączył osłonę dźwiękową swojego hełmu.

Wszechobecność zniknęła, gdy cichy szum głosów Chissów wypełnił jego uszy. Zdjął hełm i zamrugał, dostosowując wzrok do przygaszonych świateł na mostku, po czym wyjrzał przez iluminator.

Przybyli.

Rozejrzał się dookoła. Załoganci stali przy wszystkich stanowiskach, ale żaden z Chissów go chyba nie obserwował. Pilnując, by nie poruszać się zbyt gwałtownie, sięgnął powoli do jednej z sakiewek wszytych w jego szarą identyfikacyjną i wcisnął przycisk komunikatora. Spędził ostatnie trzy okresy, nagrywając wiadomość do okrętów Nikardunów czających się w tym układzie i rozpracowując, jak wpiąć się do krótkodystansowej anteny statku.

Czyjś podniesiony głos dobiegł od stanowiska czujników, przecinając szmer rozmów na mostku. Qilori szybko przebiegł wzrokiem po ekranach, odnalazł taktyczny i...

Jego skrzydełka zatrzepotały. Trzy okręty skręcały właśnie w stronę „Springhawk”, jeden od prawej burty, a dwa od rufy. Oznaczenia na

ekranie wyświetlały się w nieczytelnym dla Qiloriego cheunh, ale wiedział, że to musieli być Nikardunowie.

Skrzydełka załopotaly mocniej. Jeśli napastnicy otrzymali jego wiadomość – i jeśli dowódca blokady uznał, że warto ratować Tropiciele – może potraktują ofiarę łagodniej, przynajmniej do momentu, w którym postanowią ją wreszcie unicestwić.

Jeśli jednak dowódca nie był tak łaskawy, to Qilori oglądał dzisiaj swój ostatni wschód gwiazdy.

Pokład nagle zadrżał. Qilori również poruszył się gwałtownie, spodziewając się rozbłysku lasera lub ściany ognia z przebijającej ściany mostka rakiety. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Spojrzał z powrotem na ekran taktyczny i zmarszczył brwi.

A potem zeszywniał. Drżenie nie było wynikiem ataku Nikardunów, a odrzutu promu odrywającego się od burty „Springhawk”. Wyraźnie widział, jak jednostka mknie w stronę wnętrza układu i planety Rapacc z niewiarygodnym przyspieszeniem.

Zacisnął zęby. Jeśli Thrawn miał nadzieję, że załoga promu umknie prześladowcom, mógł się już z nią pożegnać. Dwa okręty od strony rufy zawróciły i zaczęły przyspieszać w pogoni za uciekającą jednostką. Qilori nie był w stanie odczytać oznaczeń na wektorach prędkości i przechwycenia, ale nie miał wątpliwości, że oba nikarduńskie statki dopadną prom na długo przedtem, nim ten dotrze do układu Rapacc czy choćby w pobliże względnego bezpieczeństwa gromady asteroid. Dorwą go, po czym usmażą za pomocą zaporowego ognia laserowego albo po prostu złapią emiterem promienia ściągającego.

Na ekranie taktycznym było widać, jak „Springhawk”, który ewidentnie zrealizował już swój cel, odbijał teraz w kierunku przeciwnym do wnętrza układu i umykającego promu. Próbowali najwyraźniej opuścić zajętą przez orbitujące szczątki przestrzeń układu i dotrzeć do punktu, z którego można było bezpiecznie skoczyć w nadprzestrzeń – wszystko, zanim ostatni ze ścigających nie zbliży się na odległość strzału. Na ekranie dostrzegł, że Nikardunowie zaczęli gwałtownie przyspieszać.

Zmarszczył brwi. Ostatni ścigający. Jedyne z trzech nikarduńskich okrętów, które czekały w punkcie wejścia „Springhawk”, gotowe do rozpoczęcia bitwy.

Punkcie, który Thrawn celowo wybrał spośród kilku innych bezpiecznych wektorów podejścia. Czy była to kwestia zwykłego pecha, że

trafili akurat na miejsce z trzema nikarduńskimi okrętami?

Może. Może niebieski po prostu nie wiedział wystarczająco wiele na temat tego układu.

Ale w takim razie dlaczego nie wyszedł z nadprzestrzeni wystarczająco daleko, by wykonać szybki zwiad, zanim powierzył los swój i swojego okrętu wybranemu na ślepo kursowi? Wtedy miałyby przynajmniej czas wytyczyć trasę, która dałaby jego promowi choćby drobną szansę dotarcia gdziekolwiek, nim zostanie zniszczony.

Po plecach Qiloriego przebiegł nagle zimny dreszcz. Thrawn nie mógł być przecież tak nieprzewidyujący. Nie ten Thrawn, którego styl walki Qilori miał pecha oglądać osobiście.

Pozostawała więc tylko jedna opcja. Thrawn przybył tym kursem, ponieważ chciał, by Nikardunowie go zaatakowali.

Qilori przyglądał się kolejnym ekranom, próbując zrozumieć, co się dzieje. Czyżby „Springhawk” był tylko zmyłką, dywersją, która miała pozwolić prawdziwemu intruzowi pojawić się w układzie Rapacc niezauważenie? Może ktoś właśnie podlatywał do gromady asteroid, poruszając się w trybie maskowania, w nadziei, że skupieni na nich Nikardunowie nie zauważą drugiej jednostki, nim będzie za późno?

Nie widział jednak niczego takiego na żadnym ekranie. Żadnych dodatkowych wektorów, żadnego śladu obecności kogokolwiek innego w układzie. Chissowie przecież oznaczyliby własne jednostki, nawet te zamaskowane i niewykrywalne dla Nikardunów. Prawda?

Ścigający ich nikarduński okręt jeszcze bardziej przyspieszył. Qilori nerwowo przyglądał się, jak wreszcie osiągnął zasięg strzału.

Nagle, jakby Thrawn dopiero zauważył zagrożenie, „Springhawk” wykonał gwałtowny zwrot, odbijając od napastnika, który wystrzelił z laserów spektralnych. Od burty okrętu Chissów odpadł duży odłamek i odleciał w tył. „Springhawk” delikatnie zmienił kierunek, a Nikardunowie dostosowali do niego swój kurs.

Wtedy Qilori zrozumiał. Od „Springhawk” wcale nie odpadł fragment okrętu. Był to tak naprawdę kolejny prom Chissów.

A Nikardunowie, goniący teraz z pełną prędkością za „Springhawk”, zaraz wleczą prosto w niego.

Pierwszą straszną myślą Qiloriego była ta, że prom wbije się w olbrzymi iluminator mostka, charakteryzujący wszystkie bojowe jednostki Yiva.

Jednak kapitan Nikardunów zauważył przeszkodę odpowiednio wcześniej, by umknąć z jej trasy.

Niestety, niewystarczająco daleko. Prom ominął wprawdzie iluminator, ale wbił się w lewoburtowe gniazda broni, rozwalając działa laserowe i wyrzutnie rakiet oraz wprawiając cały okręt w gwałtowny ruch obrotowy.

Sekundę później gwiazdy za iluminatorem „Springhawk” zawirowały szaleńczo, gdy okręt Chissów sam wszedł w rotację wzdłuż swojej pionowej osi. Qilori chwycił gwałtownie za podłokietniki, próbując zwalczyć zawroty głowy, a tymczasem na iluminatorze pojawiła się rufa wirującego okrętu Nikardunów. Nastąpił gwałtowny rozbłysk laserów, a ogniście żółty błysk nikarduńskich dysz mignął po raz ostatni, po czym zgasł, gdy uszkodzone silniki wysiadły. Qilori wstrzymał oddech, czekając na salwę, która zmieniłaby bezradny okręt w garść kosmicznego pyłu.

Ta jednak nie nadeszła. Zamiast tego „Springhawk” zwolnił, czekając, aż bezwładny pęd przybliży do nich Nikardunów. Okręt Chissów przesunął się w stronę przeciwnika, ustawiając nad grzbietowym pasem nikarduńskich czujników, poza zasięgiem ognia nieuszkodzonych jeszcze dział burtowych. Na ekranie taktycznym rozbłysły dwa zielone promienie ściągające, łącząc oba okręty. Mglisty okrąg sieci unieruchamiającej wyleciał z kadłuba „Springhawk”, przeleciał między promieniami ściągającymi i owinał się wokół jednostki Nikardunów, wysyłając przez cały okręt wyładowania wysokiego napięcia i pozbawiając załogę przeciwnika możliwości uruchomienia systemów autodestrukcji.

A kiedy „Springhawk” zwrócił się w stronę nadprzestrzeni, wszystkie kawałki układanki w końcu wylądowały na swoich miejscach.

Uciekający prom, lecący na autopilocie, co Qilori zrozumiał dopiero teraz, faktycznie stanowił element dywersji. Ale nie dla drugiego statku Chissów, a tylko dla Thrawna, który sprowadził ich w to konkretne miejsce, ponieważ chciał, by Nikardunowie go ścigali. W całym tym zamieszaniu nie chodziło o śmierć, zniszczenie, szpiegostwo czy nawet przesłanie Yivowi jakiejś wiadomości. Thrawn po prostu zajrzał do układu w nadziei na przechwycenie okrętu Nikardunów.

A potem to zrobił.

– Tropicielu? – Głos Thrawna dobiegł dokładnie zza jego pleców.

Qilori aż podskoczył.

– Tak, kapitanie? – wydukał w końcu.

– Kierujemy się do pobliskiego układu w celu przekazania zdobyczy – powiedział Chiss. I powiedział to tak normalnym głosem, jakby chodziło o kolejny zwyczajny dzień na służbie. – Następnie wracamy do Hali Cztery-Czterdzieści-Siedem. Czy będziesz potrzebował czasu na odpoczynek, zanim ruszymy?

– Nie, ani trochę – odparł Qilori. Thrawn może i nie sprawiał wrażenia, jakby spieszyło mu się do opuszczenia tych okolic, ale Qiloriemu, na Wszechobecność, tak.

– Dobrze – oznajmił Thrawn. – Mam nadzieję, że nasze małe ćwiczenie było dla ciebie interesujące?

Qilori z wielkim wysiłkiem uspokoił skrzydełka.

– Tak, kapitanie – odpowiedział. – Bardzo interesujące.

Załatwienie statku w celach prywatnych nie było łatwe nawet dla Tropiciela, jednak Qilori przebywał w Hali Cztery-Czterdzieści-Siedem wystarczająco długo, by zebrać sporą kolekcję nieodwzajemnionych przysług.

Co ważniejsze, zebrał też odpowiednio dużo haków na kilka kluczowych osób na stacji, by móc je skutecznie zaszantażować. Wykorzystawszy zarówno przysługi, jak i groźby, oddalał się właśnie od Hali, kierując do układu Primea, stolicy Kombinatów Vak.

Po trzydziestu pięciu godzinach drogi był wreszcie na miejscu.

Primea znajdowała się na wczesnym etapie podboju przez Nikardunów, co oznaczało, że Yiv wciąż jeszcze spotykał się i rozmawiał z przywódcami planety, opowiadając o korzyściach płynących z przyłączenia się do Przeznaczenia Nikardun. Jego orbitujące wokół Primei okręty stanowiły ciche ostrzeżenie przed tym, co może się wydarzyć, gdyby jednak odrzucili zaproszenie. Qilori podał swoje imię i priorytet misji pierwszemu odźwiernemu, drugiemu odźwiernemu i wreszcie trzeciemu. Sześć godzin po przybyciu został wreszcie wprowadzony do sali tronowej Yiva na „Nieśmiertelnym”, jego pancerniku.

– Ach, Qilori! – zawołał Yiv, a jego wesoły, gromki głos odbił się echem w nieprzyjemnie cichej przestrzeni olbrzymiego pomieszczenia. Na jego ramionach znajdowały się grzybopodobne pasma dziwnych istot, symbiontów przypominających potworne, żywe epolety. Otworzył otwór gębowy, co u Nikardunów miało uchodzić za uśmiech, choć Qilori zawsze uważał, że przypominało bardziej przygotowującego się do ataku drapieżnika.

„Przynajmniej jest w dobrym nastroju” – pomyślał z ulgą Qilori. – Rozmowy z Vakami musiały układać się po jego myśli”.

– Chodź, chodź. Mówże, jakież to wieści przynosisz mi z ust samej Wszehobecności.

Qilori się skrzywił, przechodząc przez podwójny szpaler przyglądających mu się nikarduńskich żołnierzy. Yiv oczywiście z niego kpił, jak czynił to z każdym, kto nie wierzył całkowicie w boskość samego Yiva. Jednak to nie słynne ego Dobroczyńcy martwiło Tropicielea. Przynajmniej na pewno nie tak, jak jego równie słynny temperament.

Qilori nigdy przedtem nie przyniósł Yivowi złych wiadomości. Nie miał pojęcia, jak przywódca traktował takich posłańców.

– Przynoszę wieści z Rapacc, Wasza Dobroczyńność – oznajmił, zatrzymując się między ostatnimi dwoma strażnikami w szpalerze, po czym opadł na kolana i uderzył czołem o zimny pokład u stóp Yiva. – Wieści i ostrzeżenie.

– Już słyszałem te wiadomości – odparł Yiv, a jego jowialne nastawienie zniknęło niczym poranna rosa spod bliźniaczych słońc. – Czy masz zamiar tracić mój czas na opowieści, które już znam?

– W żadnym wypadku, Wasza Dobroczyńność. – Qilori czuł na plecach spojrzenia żołnierzy i miał świadomość, że noszą broń, w której zasięgu niewątpliwie się znajdował. – Domyślałem się, że wiesz już o uprowadzeniu jednej z fregat z twojej blokady. Przybyłem tu jednak, by do tej opowieści dodać imię tego, kto jest za ten czyn odpowiedzialny.

– Byłeś nawigatorem na tym statku?

– Tak, Wasza Dobroczyńność. W Gildii poprosił konkretnie o mnie.

Przez dłuższą chwilę Yiv nic nie mówił. Qilori nie ruszał się, próbując zignorować przerażające uczucie rozchodzące się po całym ciele.

– Wstań, Tropicieleu – powiedział w końcu Yiv. – Wstań i wszystko mi opowiedz.

Qilori wstał powoli z poczuciem narastającej ulgi. Coś szybko, lecz stanowczo stuknęło go w ramię. Pospiesznie opadł na kolana.

– Ten Chiss przybył i wynajął mnie...

– Jego imię, Qilori – wycedził cichym i morderczo zimnym głosem Yiv. – Już wiem, że okręt był chissański. Chcę jego imię.

Skrzydełka Qiloriego zatrzepotały gwałtownie.

– Thrawn. Starszy kapitan Thrawn.

– Jego pełne imię.

Skrzydółka zamarły z przerażenia.

– Nie wiem – wyszeptał. – Nigdy go nie poznałem.

– I nie chciało ci się tego dla mnie dowiedzieć.

– Przepraszam. – Qilori gapił się na stopy Yiva, nie śmiąc unieść wzroku na wesołą, choć nieustępliwą twarz. Dzisiaj miał umrzeć, wiedział to, wyczuwał mrocznym zmysłem swej kruchej śmiertelności. Wszechobecność już na niego czekała.

Czy zostanie wchłonięty i zniknie na zawsze? A może zostanie uznany za godnego przemierzania nadprzestrzennych szlaków i prowadzenia przyszłych pokoleń Tropicieli przez Chaos?

W sali przez dłuższą chwilę panowała cisza.

– Spotkasz się z nim ponownie – powiedział w końcu Yiv. – A gdy to zrobisz, poznasz dla mnie jego pełne imię.

– Oczywiście, Wasza Dobroczynność, oczywiście – wymamrotał szybko Qilori, bojąc się poddać zalewającej go nagle nadziei. Łaska? Od Yiva Dobroczyńcy?

Nie, oczywiście, że nie. Yiv nie znał litości. Nie znał łaski. Qilori był po prostu narzędziem, którego nie warto było jeszcze wyrzucać.

Jeszcze.

– Wróć na swoją stację – rozkazał Yiv. – Prowadź swoje statki. Wykonuj swoją robotę. Żyj tym swoim żalonym, nędznym życiem. I przynieś mi jego imię.

– Tak zrobię – obiecał Qilori. – Póki oddycham, nigdy nie przestanę ci służyć.

– Właśnie. – Cień jego zwykłego humoru wreszcie przebił się przez mrok otaczający Yiva. – Póki oddychasz.

## Wspomnienia VI

Generał Ba'kif skończył czytać dokument, po czym podniósł wzrok znad swojego questisa.

— Mówi pan poważnie, młodszy komandorze — powiedział bezbarwnym głosem.

— Całkiem poważnie, generale — potwierdził młodszy komandor Thrawn. — Jestem przekonany, że rząd Lioaoin ma związek z piratami, którzy w ostatnich miesiącach atakowali nasze transporty ze Schesy i Pesfavri.

— I uważasz, że ten Tropiciel o tym wie?

— Qilori — odparł Thrawn. — Tak, wie, a przynajmniej podejrzewa.

— Trudno byłoby utrzymać coś takiego w tajemnicy przed Gildią Nawigatorów — zgodził się Ba'kif, ponownie przyglądając się wyliczeniom. Podróż skokami z przestrzeni Lioaoin do napadanych regionów Dynastii byłaby z pewnością bezpieczniejsza dla istot o niecznych zamiarach — nie zakładała obecności żadnych świadków. Jednak jednocześnie trwałaby przynajmniej trzy tygodnie w jedną stronę. W tych okolicznościach można by założyć, że piraci wybraliby raczej prędkość i skuteczność, ufając zasadom Gildii dotyczącym nieujawniania tajemnic biznesowych. — Jest pan pewien, że okręty są takie same?

— Ich wygląd różni się wystarczająco, by uniemożliwić bezpośrednie porównanie — rzekł Thrawn. — Cechują je jednak wyraźne podobieństwa, wykraczające poza samą funkcjonalność.

Ba'kif pokiwał głową. Odbył już kilka rozmów z kapitan Ziarą na temat Thrawnowych teorii łączących sztukę i strategię, podczas których niechętnie przyznali, że żadne z nich nie miało tej iskry geniuszu czy przenikliwości — a może szaleństwa — pozwalającej na wyciąganie wniosków, które Thrawnowi najwyraźniej przychodziły z intuicyjną łatwością.

A to, że sami nie widzieli tych zależności, nie znaczyło przecież, że muszą być fałszywe.

— Załóżmy, że ma pan rację — powiedział w końcu. — Następnie załóżmy, że umie pan to udowodnić. Co dalej?

Na czole Thrawna pojawiła się pozioma zmarszczka.

— Zaatakowali okręty Dynastii — mówił, jakby spodziewał się ukrytej w słowach Ba'kifa pułapki. — Wymierzmy więc karę.

— A jeśli sami Lioaoini nie są bezpośrednio zaangażowani? Jeśli piraci po prostu kupili od nich statki?

— Nie sugerowałem ataku na Reżim Lioaoin czy ich planety — odpowiedział Thrawn. — Jedynie na piratów.

— Jeśli umie pan odróżnić ich od niewinnych podróżnych. — Ba'kif uniósł palec w ostrzegawczym geście. — Niewiele wiemy na temat obecnego wyglądu okrętów Lioaoin. Prawdę mówiąc, Lioaoini i piraci mogli kupić jednostki od tej samej, niezależnego dostawcy.

— Rozumiem. Sądzę jednak, że będę w stanie ustalić, które okręty należą do wrogów, a które do przyjaciół.

— Wystarczy mi podział na okręty wrogie i neutralne. — Ba'kif uśmiechnął się krzywo. — Dynastia ledwie zauważa obecność innych ras poza swymi granicami, nie mówiąc o zabieganiu o ich przyjaźń.

— A zatem wrogie i neutralne — poprawił się Thrawn. — Jeśli nie będę w stanie dokonać wyraźnego rozróżnienia, powstrzymam się przed podejmowaniem jakichkolwiek działań.

Ba'kif przyglądał mu się przez chwilę. Ten mężczyzna był wystarczająco mądry, a Ba'kif znał jego zdolności w zakresie taktyki i strategii.

Pozostawało pytanie, czy nie jest przypadkiem odrobinę zbyt pewny siebie. Jeśli tak było i jeśli doprowadzi go to do przekroczenia pewnych granic, niektóre działania mogą kiedyś wrócić do niego bolesnym rykoszetem. Być może nawet te, których podjęcie właśnie proponował.

Z drugiej strony, ta konkretna grupa piratów stała się już czymś więcej niż tylko niedogodnością. Należało coś z nimi zrobić, nim ktoś zacznie sądzić, że Dynastię można atakować bezkarnie. Jeśli Thrawn uważał, że wie, jak to zrobić, warto było dać mu szansę.

— Dobrze, młodszy komandorze — powiedział. — Ilu okrętów będzie pan potrzebował?

— Tylko dwóch, sir. — Thrawn przez chwilę się nad czymś zastanawiał. — Nie, właściwie byłoby lepiej, gdybym dostał trzy.

Uczucie obcowania z Wszechobecnością rozmyło się i Qilori zdjął hełm. Dotarli na miejsce. Główna planeta Reżimu Lioaoin unosiła się przed nimi, otoczona chmurą frachtowców, statków kurierskich, stacji dokujących i naprawczych, jak również czujnych wojskowych patrolowców.

Kątem oka zauważył nachylającego się Thrawn.

— No i? — zapytał ostrożnie Qilori.

Przez kilka sekund Thrawn nic nie mówił. Wreszcie skinął głową.

— Tak — potwierdził. — To te okręty.

Qilori skrzywił się, a jego skrzydełka zeszywniały.

— Jesteś pewien?

— Zdecydowanie — odparł Chiss. — Konstrukcja tego patrolowca jest wystarczająco podobna do statków pirackich, by nie pozostawiać żadnych wątpliwości.

— Rozumiem — powiedział Qilori. Tak naprawdę wcale nie rozumiał, z jego punktu widzenia patrolowce niczym nie przypominały okrętów, na których latali piraci Lioaoin.

Ale jego zdanie nie miało żadnego znaczenia. Thrawn był pewien swego i jeśli da znać Dynastii, odpowiedź Chissów będzie szybka i zabójcza. A to oznaczało, że spora liczba Tropicieli znajdzie się w samym środku tej burzy.

Oczywiście to, czy Thrawnowi uda się przekazać informację komukolwiek istotnemu, stanowiło kluczowe pytanie. Ich frachtowiec znalazł się już w studni grawitacyjnej planety, więc napęd nadprzestrzenny był bezużyteczny, a obecny kurs prowadził jeszcze głębiej. Jeśli Thrawn nagle odbiłby teraz i ruszył z powrotem w stronę pustej przestrzeni, być może uda im się uciec, nim ktoś zada sobie pytanie, dlaczego chissański frachtowiec nagle zmienił zdanie i nie ma już ochoty na interesy z Lioaoinami.

Jednak Qilori nie miał zbyt wielkich nadziei na to, żeby Thrawn nagle okazał się wystarczająco sprytny i po prostu zwiął.

Oczywiście słusznie.

— Muszę się lepiej przyjrzeć — powiedział Thrawn, siadając za sterem i podążając głębiej w studnię grawitacyjną w stronę dwóch patrolowców, unoszących się obok jednego z doków naprawczych. — Przypuszczam, że okręt znajdujący się na tej stacji to jeden z tych, które ostatnio zaatakowały układ Massoss.

— Kiepski pomysł — ostrzegł Qilori, którego skrzydełka były teraz ciasno przytulone do policzków. — Jeśli Reżim Lioaoin ma związek z piratami, ryzykujesz poruszenie naprawdę wielkiego gniazda żądłaków.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że Reżim ma z tym coś wspólnego? — zapytał spokojnie Thrawn, spoglądając błyszczącymi, czerwonymi oczami na Qiloriego.

Ten odwzajemnił spojrzenie, przeklinając swój niewyparzony język. Pierwszą lekcją, jaką dostawała każda grupa nawigatorów dołączająca do Gildii, był zakaz rozmowy o klientach z innymi klientami. Nawet najobrzydliwsza aktywność przestępcza musiała mieć zapewnioną taką samą dyskrecję, jak najbardziej niewinny przelot frachtowca czy ćwiczenia wojskowe.

Jednak w tym konkretnym momencie złamanie protokołu było najmniejszym ze zmartwień Qiloriego. Tuż przed przybyciem do układu, gdy jeszcze wybudzał się z transu, wyczuł poprzez Wszechobecność, że gdzieś w okolicy znajdowali się inni Tropiciele. Jeśli znajdowali się na pokładach okrętów pirackich i jeśli któraś z tych jednostek była przygotowana do lotu, mogli bez wysiłku podążyć za Qilorem przez nadprzestrzeń, bez względu na liczbę zmyłek i zmian kursu zarządzonych przez Thrawna.

I żaden z piratów nie będzie raczej przejmował się tym, że uciszenie kłopotliwego Chissa wiąże się ze śmiercią niewinnego Tropiciała.

— Nie wiem, czy Reżim jest w to wplątany — powiedział. — Ale proszę mi zaufać, to nie jest bezpieczne miejsce.

Thrawn go nie słuchał. Wpatrywał się w statki i doki, lekko zwięziwszy błyszczące oczy.

— Mówię serio. — Qilori postanowił spróbować po raz ostatni. — Jeśli podejrzewają, że polujecie na piratów...

— Uważasz, że tylko podejrzewają? — powtórzył Thrawn, po czym przechylił głowę. — Zgoda, masz rację. Pozbądźmy się ewentualnych wątpliwości.

Wcisnął przycisk komunikatora.

A potem najwyraźniej po prostu oszalał.

— Alarm! — krzyknął. — Znalazłem tych piratów! Powtarzam: znalazłem ich. Wracajcie i zdajcie raport!

Qilori westchnął. Co do...

— Thrawn?

Thrawn wyłączył komunikator.

— I po sprawie. — Jego głos i wyraz twarzy stały się na powrót normalne. — Teraz wiedzą już na pewno.

— Coś ty, na Głębie, narobił? — wykrztusił Tropiciel umęczonym głosem. — Wydałeś właśnie na nas wyrok śmierci. Będą nas ścigać...

— Oto i on. — Thrawn wskazał na jakiś punkt na ekranie.

Qilori spojrział na monitor w idealnym momencie, by zobaczyć, jak jeden z okrętów migocze i znika w nadprzestrzeni.

— Mój drugi okręt — stwierdził Thrawn. — Na pokładzie jest jeden z moich kolegów, razem z jednym z twoich, nawigującym teraz z powrotem do Dynastii.

Następnie odwrócił wolant steru, a frachtowiec płynnie odbił od planety.

— Teraz zaś, jak sugerowałeś, nadszedł czas, by opuścić to miejsce.

— Tak, zrobmy to — wymamrotał Qilori, zapadając się w swym fotelu, gdy Thrawn przełączył silniki na pełną moc. Patrolowce ruszyły ze swoich pozycji, a po chwili Qilori dostrzegł trzy okręty wylatujące ze stacji dokującej na wysokiej orbicie planety. Ich silniki pracowały pełną parą i szybko skierowali się w stronę frachtowca Thrawna i Qiloriego, chcąc przechwycić go, nim będzie mógł uciec w nadprzestrzeń.

Thrawn albo ich dostrzegł, albo przewidział taki ruch. Sprawnie zmienił kurs frachtowca, prowadząc ich z dala od potencjalnej pułapki.

Nie mogło mu to jednak pomóc. Piraci już lecieli, a jeśli na pokładzie mieli Tropicieli, Thrawn nie był w stanie w żaden sposób ich powstrzymać przed podążaniem za nimi do przestrzeni Chissów. Dorwą jego i ten drugi okręt, który już tak sprytnie odleciał, a potem okręty Lioaoin dalej będą napadać i plądrować wszystko, co lata w regionie.

Może piraci spróbują uratować Qiloriego i tego drugiego Tropiciała, zanim zniszczą chissańskie jednostki. Choć pewnie nie.

Jednak w tym momencie pozostawała mu już tylko nadzieja.

— Dokąd lecimy? — zapytał, gdy dotarli do granicy studni.

— Na Kinoss — odpowiedział Thrawn. — Jest najbliżej i powinni tam stacjonować kurierzy, którzy przekażą wieści na Csillę i Naporar.

— Dobrze. — Qilari położył dłonie na przyrządach. Może choć jeden z dwóch chissańskich frachtowców będzie w stanie wysłać wiadomość, nim piraci zablokują ich transmitery, a potem zniszczą.

Choć pewnie nie.

Ten trans był jednym z najtrudniejszych w całym życiu Qiloriego. Poza normalnymi zawilościami samego lotu, czuł otaczającą go sieć mrocznych i nieprzyjemnych obrazów, wizji ścigających go statków z Tropicielami na pokładach. Więcej razy, niż przyznałby to sam przed sobą, prawie zgubił drogę, a dwukrotnie musiał wracać do zwykłej przestrzeni, by odzyskać połączenie z Wszechobecnością.

Thrawn milczał w trakcie tych przystanków. Prawdopodobnie marzył o chwale, która przypadnie mu w udziale za ukrócenie pirackiej zarazy, a może nawet sądził, że te przerwy pozwoliły im zgubić ogon.

Gdy dotarli wreszcie do układu Kinoss, drugi frachtowiec Chissów był już na miejscu. Qilori widział dysze jego silników daleko przed nimi, jednostka kierowała się ku planecie. Gdy Tropiciel wyszedł wreszcie do końca z transu, Thrawn przejął ster i podążył za drugim okrętem.

Wszystko na nic. Jeszcze nim silniki rozgrzały się do pełnej mocy, cztery lioaoińskie statki pirackie pojawiły się w przestrzeni na ekranie rufowym.

— Ach — stwierdził Thrawn tym swoim doprowadzającym do szaleństwa spokojnym głosem. — Nasi goście już tu są.

— Nigdy bym się nie spodziewał — wymruczał Qilori.

— Wątpię — odparł Chiss. — Trochę przeczytałem o Tropicielach po naszym pierwszym spotkaniu. Twój koledzy mogą cię wyśledzić w nadprzestrzeni, prawda?

Qilori rzucił mu zaskoczone spojrzenie. To miał być głęboko skrywany, mroczny sekret.

— To... nie. Nieprawda.

— A ja myślę, że jednak prawda. — Thrawn wskazał na ekran rufowy. — Styl Tropicieli było widać bardzo wyraźnie podczas ostatniego ataku piratów. Miałem nadzieję, że dolecę z tobą do stolicy Lioaoin, zanim ci nawigatorzy wrócą do swoich baz.

— Chciałeś, żeby nas śledzili?

— Nie inaczej. — Głos Thrawna brzmiał, jakby stwierdzał coś oczywistego. — Gdyby nawigował ktokolwiek inny, można by mieć wątpliwości co do ich punktu wyjścia, jednak z Tropicielami na pokładach mogłem być pewny, że piraci pojawią się dokładnie tam, gdzie chciałem.

— W sensie tuż za nami? — odciął się Qilori. Ponownie spojrzał na rufowy ekran.

I poczuł, jak jego skrzydełka zamierają w bezruchu. Za nimi, tam, gdzie jeszcze przed chwilą były cztery statki, teraz doliczył się pięciu. Cztery

pirackie z Lioaoin, które już widział i... chissański okręt.

— Kapitan Ziarno, tu młodszy komandor Thrawn — powiedział do komunikatora. — Zdaje się, że cele znajdują się przed panią.

— Zgadza się, komandorze — potwierdził delikatny, kobiecy głos. — Sugeruję utrzymywać obecny kurs. Powinno to zapewnić panu najlepszy widok na ich zniszczenie.

## Rozdział 8

Ciekawe – skomentował Naczelny Generał Ba'kif, odkładając swój questis na bok. Dwukrotnie przeczytał raport, co nie uszło uwadze Ar'alani, która obserwowała, jak co rusz wracał do wcześniejszych fragmentów tekstu. Pierwszy raz w życiu widziała, żeby postępował w ten sposób. Albo próbował wchłonąć tak dużo informacji, jak tylko mógł, albo specjalnie opóźniał odpowiedź, próbując zrozumieć, co właściwie miałyby teraz powiedzieć i uczynić. – Rozumiesz, oczywiście, że kradzież czyjegoś statku, w dowolnych okolicznościach, jest poważnym złamaniem regulaminu.

– Statek Nikardunów nas zaatakował, sir – odrzekł Thrawn. – Jak rozumiem, regulamin pozwala na samoobronę.

– Zdecydowanie. I gdybyś rozerwał to cholerstwo na strzępy, nikt by nawet nie splunął. Ale pojmanie go? – Potrząsnął głową. – A pani? Wiem, że łączy panią z Thrawnem długa historia, ale jestem nieco zaskoczony, że zgodziła się pani na udział w tym wszystkim.

– W zasadzie, panie generale, postanowiłam odświeżyć sobie regulamin przed zaakceptowaniem propozycji kapitana Thrawna – powiedziała Ar'alani, zaciskając kciuki. – Nie ma tam nic, co definiowałoby pochwycenie statku napastnika jako złamanie zasad.

– Sądzę, że znajdzie to pani w rozdziale poświęconym uderzeniom prewencyjnym – odparł Ba'kif. – A właśnie w ten sposób pewni Arystokrzy będą interpretować te działania, gdy o nich usłyszą. Niektórzy mogą nawet zażądać, byśmy zwrócili okręt.

– Bez załogi? – spytał Thrawn. – To może być nieco dziwne.

Ar'alani poczuła, jak coś znowu ściska ją w gardle. Bardziej niż nieco dziwne, biorąc pod uwagę fakt popełnienia zbiorowego samobójstwa przez całą nikarduńską załogę na kilka minut przed tym, jak chissańskie oddziały przebiły się przez śluzy. Przez jakiś czas łudziła się, że było to morderstwo i samobójstwo, że być może oficerowie otrzymali rozkazy zgładzenia

swoich wojowników, a następnie odebrania sobie życia. Świadczyłoby to, iż jedynie niektórzy Nikardunowie byli fanatykami. Jednak medycy potwierdzili zbiorowe samobójstwo.

Cóż za bezwzględny i dominującym władcą musiał być ten Yiv Dobroczyńca, że dobrowolnie uciekli się do tak brutalnej ostateczności?

– To prawda – zgodził się Ba’kif. – Cóż. Dopóki syndycy nie postanowią umieścić konkretnych przypadków w aktach prawnych, zapewne możemy potraktować to jako szarą strefę. – Postukał w ekran questisa. – W międzyczasie, w cóż to za piekielne gniazdo nocołazów postanowiłeś wdepnąć?

– Gniazdo nocołazów, które, jak sądzę, wkrótce będą na nas polować. – Głos Thrawna był ponury. – Zdecydowanie wiedzą o Dynastii. Czują się też wystarczająco pewnie i silnie, by dokonać masakry na uchodźcach na naszym progu. Co więcej – wskazał questis – już zaczęli wchodzić na podwórka naszych sąsiadów.

Ba’kif wypuścił głośno powietrze, znów przyglądając się danym, jakby miały nagle zmienić się w coś mniej niepokojącego.

– Jesteś pewien, że są w kontakcie z Reżimem Lioaoin? – zapytał. – Przyjrzałem się wszystkim poszlakom, które wskazałeś i muszę przyznać, że nie widzę tego, co tu dostrzegasz.

– Ale to tam jest – powiedział Thrawn. – Ukryte, ale jest.

– Nie wiemy tego – wtrąciła Ar’alani – czy faktycznie byli w stolicy Lioaoinów, czy może po prostu natrafili kiedyś na ich sztukę albo odniesienia do niej u kogoś zupełnie innego.

– Dlatego musimy osobiście polecieć do Lioaoin – rzekł Thrawn. – Muszę zbadać sytuację na miejscu, a nie mogę tego zrobić, analizując przechwycone transmisje czy choćby na podstawie raportów szpiegowskich z drugiej ręki.

– Zdajecie sobie przecież sprawę, co Syndykura powie na temat czyjejkolwiek wyprawy na tereny Reżimu Lioaoin – ostrzegł go Ba’kif. – Zwłaszcza jeśli chodzi o was dwoje.

– Dlatego chcieliśmy zrobić to po cichu – odparła Ar’alani. – A Ekspansyjna Flota może być przecież do pewnego stopnia elastyczna przy wykonywaniu swoich obowiązków.

– Flota, którą już bezpośrednio nie dowodzę – przypomniał Ba’kif, rzucając dziwnie nieprzyjazne spojrzenie na swoje nowe biuro na Csilli.

Ar'alani rozumiała go doskonale. Pomieszczenie było większe niż jego stare w siedzibie Ekspansyjnej Floty Obronnej na Naporarze, co miało sens, skoro został właśnie awansowany na stanowisko głównego generała Dynastii.

Jednak to biuro mieściło się na Csilli, a więc nie tylko pod zamarzną powierzchnią planety, ale także bardzo blisko Syndykury i reszty rządowego establishmentu Dynastii.

A to, że Arystokrzy nie powinni się mieszać do spraw wojskowych, nie oznaczało, że miło się wśród nich żyło.

– Jednak jest pan zwierzchnikiem całego personelu floty – wytknął Thrawn. – Pańska dyrektywa z pewnością zostanie uznana i wykonana.

– „Springhawk” przechodzi teraz naprawy poszycia, jednak możemy wziąć „Czujnego” – powiedziała Ar'alani. – Thrawn może wejść na pokład jako oficer lub nawet jako zwykły pasażer i szybko rzucić okiem, nie zwracając na siebie uwagi.

Ba'kif parsknął.

– Wiecie, co niektórzy syndycy myślą o waszej definicji „niezwracania na siebie uwagi”. – Spojrzał na monitor na biurku i zachichotał cicho. – A zupełnym zbiegiem okoliczności – albo i nie – dwóch z nich właśnie pojawiło się w moim wewnętrznym biurze.

Ar'alani instynktownie chciała poprosić generała, by nie wpuszczał gości. Nie miałyby to jednak sensu. Najwyraźniej ktoś zauważył ich przybycie. Co równie oczywiste, żaden z syndyków nie odszedłby tylko dlatego, że kazałby im to zrobić Naczelnym Generałem Sił Obronnych.

Bez względu na oficjalną politykę rozdziału kompetencji, do konfrontacji, dla której tu przybyli, najwyraźniej miało dojść. Równie dobrze można było to już mieć z głowy.

Ba'kif chyba doszedł do tego samego wniosku. Nacisnął guzik i drzwi się otworzyły.

– Witajcie, syndycy – odezwał się energicznie, gdy wszyscy troje wstali ze swoich miejsc. – Czym mogę wam służyć?

Ar'alani obróciła się, żeby spojrzeć na nowo przybyłych. Przodem szedł Mitth'urf'ianico, jeden z syndyków rodziny Thrawna. Stanowiło to standardową procedurę, gdy jakaś rodzina chciała porozmawiać na temat jednego ze swoich bez pociągania za którąkolwiek ze splątanych nici pajęczyny międzyrodzinnych powiązań politycznych.

Tuż za nim do pokoju wparował Irizi'stał'mustro, syndyk z byłej rodziny Ar'alani.

Zmrużyła oczy. No nie była to standardowa procedura. Thurfian mógł tu przyjść, żeby w imieniu Mitthów porozmawiać o Thrawnie, jednak ona nie należała już do rodziny Irizi, więc Zistalmu nie miał żadnego powodu, by mówić o niej z Ba'kifem.

W całej tej sytuacji pojawił się jednak jeszcze jeden ciekawy podtekst. Biorąc pod uwagę silną rywalizację między Irizi i Mitthami, to syndycy z tych rodzin raczej umówiliby się z Ba'kifem osobno, nie razem.

A może właśnie o to chodziło? Czy Thurfian i Zistalmu ustawili spotkanie, by podkreślić sięgający najwyższych kręgów sprzeciw wobec ostatnich działań Thrawna? Sprzeciw wykraczający poza rodzinną politykę?

– Dzień dobry, generale. – Zistalmu skinął głową Ba'kifowi. – Pani admirał, starszy kapitanie – dodał, powtarzając gest i wobec nich. – Czy przeszkadzamy w czymś ważnym?

– Omawiałem właśnie najbliższą misję z dwójgim najlepszymi oficerów Ekspansyjnej Floty – odparł Ba'kif.

– Doprawdy? – Udawany entuzjazm Thurfiana nie zwiódłby nawet dziecka. – Biorąc pod uwagę obecność kapitana Thrawna, możemy założyć, że ta misja ma jakiś związek z raportem, który Syndykura otrzymała od floty przed trzema dniami?

Ar'alani przełknęła przekleństwo. Zwykle raporty floty potrafiły zalegać na questisach syndyków całymi dniami albo i tygodniami, nim przeczytał je ktokolwiek oprócz asystentów czy niższych rangą Arystokrów. W tej chwili było to jeszcze bardziej aktualne, przynajmniej jeśli chodziło o sprawozdania niewiążące się ze śledztwem w sprawie ataku na Csillę.

Najwyraźniej u tej dwójki imię Thrawna wywoływało jednak natychmiastowe zainteresowanie.

– Tamtego dnia wysłaliśmy kilka raportów – rzekł Ba'kif. – Czy macie na myśli jakiś konkretny?

– Doskonale pan wie, który – odparł Zistalmu, przesuując spojrzenie na Thrawna. – Nieautoryzowane wtargnięcie do obcego układu, czego rezultatem był atak na statki obcych w tymże układzie.

– Po pierwsze, misja „Springhawka” w układzie Rapacc nie była nieautoryzowana – powiedział Ba'kif. – Jak wam wiadomo, odnotowano atak na obrzeżach układu Dioya...

– Atak przeciwko obcym – przerwał mu Zistalmu. – Tymczasem sprawa ataku na Csillę, ataku wymierzonego przeciwko prawdziwym obywatelom Dynastii Chissów, wciąż pozostaje nierozwiązana.

– Wierzę, że nie sugerujesz, iż flota jest niezdolna do prowadzenia więcej niż jednego śledztwa naraz. – W głosie Ba’kifa zabrzmiała stal.

– W żadnym wypadku – odpowiedział Zistalmu. – Jeżeli jednak celem wypadu było przeprowadzenie śledztwa, twierdzę, że atak kapitana Thrawna w układzie Rapacc dalece przekroczył jego mandat i otrzymane rozkazy. Nie widzę żadnych informacji, mówiących o zbierającym się lub choćby zaplanowanym trybunale.

– To „Springhawk” został zaatakowany – odparł Ba’kif. – Rozkazy zezwalają na prawo do obrony.

– W ściśle określonych i wąskich ramach – wtrącił Thurfian. – Ale to już przeszłość i będzie przedmiotem badań trybunału. Naszym głównym zmartwieniem jest przyszłość. Więc zapytam ponownie: czy wspomniana misja wiąże się jakoś z atakiem na układ Rapacc? – Obrzucił Thrawna oskarżycielskim spojrzeniem. – Nie minęło w końcu wiele czasu, a nasza pamięć nie jest na tyle krótka, byśmy zapomnieli o jego starej porażce w Lioaoin.

– Ja zdecydowanie o niej nie zapomniałem – powiedział cicho Thrawn.

Jednak nie dość cicho, by Ar’alani nie usłyszała skrywanego wstydu i bólu w jego głosie.

– Zapewne nie przyszliście tu tylko po to, by rozdrapywać stare rany – wtrąciła, mając nadzieję, że ściągnie tym gniew Zistalmu na siebie.

Jej wysiłek poszedł na marne. Thurfian rzucił jej zaledwie krótkie, nieprzeniknione spojrzenie, po czym z powrotem skupił się na swojej głównej ofierze.

– Jak już wspomniałem, patrzymy w przód, nie w tył. Twierdzicie, iż znaleźliście lioaoińskie obrazy, rzeźby czy coś takiego na jakimś nielegalnie przechwyconym statku. Wierzę, Naczelnny Generale, że nie myśli pan poważnie o dopuszczeniu kapitana Thrawna chociażby w pobliże Reżimu Lioaoin.

– Dlaczego nie? – zapytał Ba’kif. – Lioaoini są zdecydowanie współwinni temu, co się wtedy stało.

– A więc wysyłacie go do ich stolicy. – Każde słowo Zistalmu brzmiało jak uderzenie łapy płazolwa. – Oszalał pan?

– Uważam, że Nikardunowie są już w Reżimie Lioaoin – powiedział Thrawn. – Musimy wiedzieć, czy Lioaoini zostali całkowicie ujarzmieni czy może wciąż są skłonni powstać przeciwko tym, którzy wkrótce ich podbiją.

– Niczego takiego nie musimy wiedzieć! – warknął Thurfian. – Co dzieje się poza naszymi granicami, to nie nasz interes. Choć myślałem, że wyraziłem się na ten temat dość jasno, gdy po raz pierwszy wmieszał się pan w sprawy tego regionu.

– A gdy Nikardunowie pojawią się w Dynastii? – zapytał Thrawn.

– Jeśli Nikardunowie pojawią się w Dynastii – poprawił go Thurfian.

– Właśnie – zawtórował mu Zistalmu. – Doprawdy, kapitanie Thrawn. Jako osoba tak bardzo szcycąca się swoją ekspertyzą taktyczną, z pewnością dostrzeżę pan, że gdybyśmy faktycznie stanowili taki atrakcyjny cel, już by nas zaatakowali. Dla mnie oczywistym jest, że krążące po Chaosie opowieści na nasz temat skutecznie ich od tego odwiodły.

– Chyba że zbierają siły, by móc nas pokonać – sprzeciwił się Ba’kif.

– Dobrze – westchnął Zistalmu. – Przyjrzyjmy się zatem tej możliwości, dobrze? Twierdzicie, że Nikardunowie podporządkowują sobie inne rasy i budują imperium. Zgadza się?

– Widzieliśmy dowody takich działań, tak – odparł Ba’kif.

– A kontrolowanie podbitych ras wymaga siły i obecności wojskowej, czyż nie?

Ar’alani poczuła nieprzyjemny posmak na języku. Rozumiała, do czego zmierza Zistalmu.

Ba’kif najwyraźniej również.

– Może wymagać mniej sił, niżby się mogło wydawać – powiedział generał. – Jeśli planeta została odpowiednio ujarzmiona, w zupełności wystarczy zaledwie kilka monitorujących sytuację okrętów i mały kontyngent naziemny.

– Zwłaszcza gdy korzysta się z systemu zakładników lub wymuszeń – dodała Ar’alani.

– Co nie zmienia faktu, że gdy przemieszczają się w naszą stronę, tracą okręty i wojsko – ciągnął Zistalmu. – A więc im dłużej czekają, tym mniejszym są zagrożeniem.

– To nie zawsze tak wygląda. – Ba’kif pokręcił głową.

Jednak przegrywał dzisiejsze starcie. Ar’alani widziała to na twarzach syndyków. Może i miał swoje racje, ale tę dyskusję przegrywał.

– Cóż, to też jest rozmowa na kiedy indziej – powiedział Thurfian. – Skoro okręt kapitana Thrawn znajduje się w doku naprawczym, a admirał Ar'alani zaraz odlatuje na misję dyplomatyczną, zdaje się, że nikt nie wybierze się do Reżimu Lioain.

– Słucham? – Ba'kif rzucił zaskoczone spojrzenie Ar'alani. – Jaką misję dyplomatyczną?

– Dynastia wysyła nowego ambasadora do stolicy Urchivków na Urch – odparł syndyk. – A ponieważ „Czujny” jest jednym z najlepszych okrętów Ekspansyjnej Floty, a jego dowódczyni jedną z najlepszych oficerów tejże floty – skłonił głowę w stronę Ar'alani – zdecydowano, że to właśnie ten okręt i jego dowódczyni będą mieli okazję gościć ambasadora Boadil'par'gasoi.

– Rozumiem. – Głos Ba'kifa stał się nagle bardzo chłodny. – A kiedy zamierzano poinformować nas o tej decyzji?

– Właśnie został pan poinformowany, generale – odpowiedział takim samym tonem Zistalmu. – „Czujny” wylatuje za trzy dni.

Ba'kif spojrzał na Ar'alani.

– Czy będziecie gotowi w tak krótkim czasie?

– Tak. – Ar'alani skinęła głową, usilnie starając się nie okazać swojej irytacji. Syndykura nie powinna wycinać takich numerów.

Z drugiej strony, może o czymś zapomnieli. Naprawa „Springhawk” miała potrwać jeszcze dwa tygodnie, a Zistalmu ewidentnie spodziewał się, że do tego czasu Thrawn pozostanie bez przydziału. Jednak większość uszkodzeń statku wymagała zaledwie kosmetycznych poprawek, więc Thrawn jako kapitan mógł zadeklarować, że „Springhawk” jest gotowy do lotu bez wykonania tych konkretnych prac. Jeśli tak zrobi do czasu, gdy „Czujny” odleci na Urch, może być prawie gotów do wyciągnięcia swojego okrętu z doku naprawczego i szybkiej, dyskretnej wizyty w Reżimie Lioain.

– Niestety, gwiazdogatorka Ab'begh dostała inny przydział – ciągnął Zistalmu. – Skoro jednak „Springhawk” nie wybiera się nigdzie przez przynajmniej dwa tygodnie, gwiazdogatorka Che'ri i opiekunka Thalias zostały przeniesione pod pani komendę.

– Tak samo jak kapitan Thrawn – dodał Thurfian. – Już pod panią służył i jestem pewien, że jego wkład będzie równie mile widziany i tym razem.

Ar'alani powstrzymała westchnienie. A więc jednak o niczym nie zapomnieli.

– Z pewnością tak będzie – powiedziała tylko. – Będę zaszczycona jego obecnością na pokładzie.

Che’ri nagle zaczerpnęła głęboko powietrza, a jej ręce po raz ostatni zatrzępotały nad przyrządami i gdy Thalias spojrzała przez iluminator, ujrzała, jak rozmazane gwiazdy znikają i stają się normalną przestrzenią, zasłoniętą przez biało-niebieskie półkole przed nimi.

Dotarli na Urch.

Thalias skrzywiła się na widok planety. Wielkie rzeczy.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Thrawn, który stał obok ambasadora Ilparga za kapitańskim fotelem Ar’alani. Thrawn był nieruchomy i spokojny. Ilparg wręcz przeciwnie, otwierał i zaciskał pięści, bujając się delikatnie w przód i w tył na piętach. Najwyraźniej nie mógł się już doczekać swojego nowego dyplomatycznego stanowiska i nie wykazał się cierpliwością, gdy okazało się, że dotarcie na miejsce zajmie „Czujnemu” nieco więcej czasu.

Thalias stanęła za Che’ri, delikatnie rozmasowując napięte mięśnie ramion dziewczynki i w duszy śląc zrzedliwemu ambasadorowi złe spojrzenie. Che’ri musiała wykonać drobny dodatkowy skręt w ostatniej części Chaosu prowadzącej do układu Urch, a nieprzewidziany manewr opóźnił przylot „Czujnego” o kilka godzin. Z doświadczenia Thalias wynikało, że do takich wypadków dochodziło stosunkowo często i ani Ar’alani, ani Thrawn w najmniejszym stopniu nie winili Che’ri za opóźnienie. Nikt rozsądny by tego nie zrobił.

Ilparg niestety nie zaliczał się do tej kategorii. Najwyraźniej przyzwyczał się do właściwie zdefiniowanych parametrów podróży w Dynastii i nie rozumiał, że określenie „Chaos” nie było po prostu czymś losowym pomysłem na ciekawą nazwę.

To definiowało go jako idiotę. W dodatku godnego pogardy idiotę, o czym świadczył fakt, że nie krył się z wygłaszaniem swojej krytyki w zasięgu uszu Che’ri. Zeszłej nocy Thalias musiała pocieszać Che’ri przez dwie godziny, zaserwować jej dobrą kolację i gorącą kąpiel oraz wykorzystać wszystkie kołysanki ze swego mocno ograniczonego repertuaru, by podpieczna wreszcie zasnęła.

– A teraz to konkretnie czemu jesteśmy spóźnieni? – zbulgotał Ilparg.

– Czekamy, aż kontroler Urchivków wyda nam pozwolenie na start promu.

– Tak, to rozumiem – rzekł gniewnie Ilparg. – Czy nie byłoby jednak lepiej, gdybym był już wewnątrz promu, gdy to pozwolenie zostanie wydane?

– Cierpliwości, ambasadorze – powiedział Thrawn.

Thalias się skrzywiła. Ze wszystkich argumentów, których Thrawn mógł użyć do uspokojenia ambasadora, odniesienie się do jego „cierpliwości” było najgorszym pomysłem.

– Cierpliwości jest u mnie pod dostatkiem, starszy kapitanie – rzucił zjadliwie Ilparg, spoglądając nieprzyjaźnie na Thrawna. – Brakuje mi rezultatów. Działania i rezultaty. Skoro nie wygląda na to, żeby nas zauważyli, drugie wezwanie wydaje się być wskazane...

– Tam. – Thrawn wskazał jakiś punkt na ekranie rufowym. – Widzicie?

– Tak – potwierdziła Ar'alani. – Jesteś pewien, że to Lioaoini?

Thalias poczuła, jak oddech więźnie jej w gardle. Coś tu się działo. Widziała to po twarzach Ar'alani i Thrawna, wyczuwała poprzez identyczne napięcie ich głosów. Coś się działo, a w dodatku nic dobrego.

– Nie na sto procent – odparł Thrawn. – Konstrukcja statków zmieniała się, odkąd widzieliśmy ich po raz ostatni. Jednak widać wystarczająco dużo podobieństw, by uznać to za prawdopodobne.

– O czym pan mówi? – zapytał Ilparg. – Co z tym mają wspólnego Lioaoini? To Urch. – Rzucił okiem na Che'ri. – O ile nasza nawigatorka znowu się nie zgubiła.

Thalias zrobiła głęboki wdech. Miarka się przebrała.

– Pan wybaczy, ambasadorze...

– Tu Planetarna i Przestrzenna Kontrola Lotów Urch. – Z głośnika na mostku dobył się obcy głos, a jego wymowa słów w taarja była tak zniekształcona, że ledwie dawało się go zrozumieć. – Nie zezwala się na start promu z okrętu Chissów. Powtarzam: okręt Chissów nie otrzymuje pozwolenia na start promu. Ambasador Chissów nie jest mile widziany przez Urchivków, na ich planetach i w ich przestrzeni.

– To niemożliwe! – wykrztusił Ilparg. – Zatwierdzono traktat... Syndykura go zaakceptowała... – W końcu wyprostował się na całą swoją wysokość. – Admirał Ar'alani, proszę go znowu wywołać – rozkazał. – Proszę mu powiedzieć, że chce pani rozmawiać ze starszym członkiem Wymiaru Wieży...

– Cisza! – ucięła Ar'alani, wbijając wzrok w ekran taktyczny.

– Nie życzę sobie, by do mnie w ten sposób...

– Powiedziała: cisza – powtórzyła Ar'alani. Nie uniosła głosu, ale zimny dreszcz nagle przebiegł Thalias po plecach.

Ilparg najwyraźniej także usłyszał groźbę w jej głosie. Otworzył usta, po czym przemyślał to i zamilkł.

– Co sądzisz? – zapytał Thrawn.

– Doliczyłam się ośmiu widocznych okrętów – odparła Ar'alani. – Ci Lioaoini, sześć zapewne urchivskich... i ten.

– Fregata Nikardunów – oznajmił Thrawn.

– Tak właśnie myślałam – zgodziła się Ar'alani, a w jej głosie pojawił się mrok. – Tego idiotycznie wielkiego iluminatora mostka nie da się z niczym pomylić. Pytanie, czy Urchiv-kowie zostali całkowicie podbici, czy też pozostają jeszcze w tej samej przejściowej fazie jak Paccoshowie.

– Zgadywałbym, że to drugie – powiedział Thrawn. – Jednak z praktycznego punktu widzenia, tak długo, jak zgadzają się wykonywać polecenia generała Yiva, ich dokładny status jest bez znaczenia.

– To prawda – przytaknęła Ar'alani. – Jednak jeśli chcą nas zniszczyć, z pewnością nie jest im do tego spieszno.

– Nas zniszczyć? – sapnął Ilparg.

– W sumie nie mają co się spieszyć – Thrawn zignorował ambasadora. – Jesteśmy już za głęboko w ich studni grawitacyjnej, by uciec szybko, a ich szyk pajęczynowy ładnie się schodzi za naszymi plecami.

– Osobiście sądzę, że chodzi im o lustrzany odwet – wtrąciła starsza kapitan Wutroow.

– Ciekawa myśl – powiedziała Ar'alani. – Raczej ambitny pomysł.

– Czym jest lustrzany odwet? – wyszeptała Che'ri, patrząc na Thalias.

Ta jednak pokręciła głową.

– Nie wiem.

– To kontruderzenie jednej strony, mające dokładnie odpowiadać poprzedniemu uderzeniu drugiej – wyjaśnił im Thrawn. – W tym przypadku kapitan Wutroow sugeruje, że Nikardunowie zamierzają złapać „Czujnego” w ten sam sposób, w jaki my złapaliśmy jeden z ich patrolowców.

Mięśnie ramion Che'ri stwardniały jak kamienie pod palcami Thalias.

– Nie – wyszeptała. – Oni... nie.

– Nie martw się, nie uda im się – zapewniła ją Ar'alani. Przez chwilę się nad czymś zastanawiała, po czym wstała ze swojego kapitańskiego fotela i podeszła do stanowiska nawigacyjnego Che'ri. – Miałaś kłopoty

z dostaniem się do tego układu, gwiazdogatorko Che'ri – powiedziała cicho.

– Przepraszam – wyszeptała dziewczynka. – Ja po prostu...

– Tak, tak, wiem. – Głos Ar'alani był w dziwny sposób jednocześnie kojący i napięty. – Nie winię cię za to, w tej części Chaosu nawiguje się wyjątkowo okropnie. Pytam tylko, jak bardzo jesteśmy zablokowani?

– Mówiąc inaczej – dodał Thrawn, stając obok Ar'alani – czy są tu jakieś wektory wyjścia, które wyprowadzą nas stąd szybciej i łatwiej niż inne?

– Zastanów się na spokojnie, Che'ri – powiedziała Thalias. – Dobra odpowiedź jest lepsza niż szybka odpowiedź.

Poczuła, jak Che'ri robi głęboki wdech, a dłonie dziewczynki przesuwają się z wahaniem nad przyrządami i małymi ekranami jej stanowiska.

– Tędy. – Wskazała palcem linię znajdującą się około trzydzieści stopni od obecnego kursu „Czujnego”.

– To nie tędy wlecieliśmy – zauważyła Ar'alani.

– Ponieważ wtedy musielibyśmy krążyć jeszcze bardziej – odparła Che'ri, a w jej głosie było słycać nutę usprawiedliwienia. – No i po drodze są całkiem duże asteroidy. Ambasador Ilparg już był na mnie zły, że to tyle zajmuje...

– Już dobrze, Che'ri, już dobrze. – Tym razem głos admirała brzmiał naprawdę uspokajająco. – Musimy po prostu się stąd wydostać, najlepiej szybciej i dalej, by nie mogli za nami zbyt łatwo polecieć. Nieważne, czy zboczymy z trasy powrotnej do Dynastii. Ster, masz ten wektor?

– Tak, ma'am – potwierdził pilot.

– Mamy problem – wtrąciła Wutroow. – Będziemy musieli odbić na zewnątrz, żeby wejść na ten kurs. Jeśli to zrobimy, polecimy prosto w ich sieć.

Ar'alani zacisnęła usta.

– Niekoniecznie.

– Niekoniecznie wlecimy w ich sieć? – Wutroow zmarszczyła brwi.

– Niekoniecznie musimy odbić na zewnątrz – poprawiła ją Ar'alani. Wyciągnęła swój questis i szybko coś na nim napisała. – Thrawn? – zapytała, podając mu urządzenie.

Thrawn spojrzał na jej komentarz.

– „Czujnego” właściwie nie zaprojektowano do wykonywania takich manewrów – ostrzegł, przekazując questis Wutroow. – Ale myślę, że wytrzyma obciążenie.

– Jakie obciążenie? – zagadał Ilparg, w którego głosie podejrzliwość mieszała się ze strachem. – Co proponujecie?

– Proszę się tym nie martwić – poradziła mu Wutroow, przeliczając coś na questisie. Kątem oka Thalias dostrzegła obraz i dane pojawiające się na jednym z ekranów steru. – Komandorze Octrimo?

– Widzę, ma'am – odparł z wahaniem pilot. – Czy jest pani tego pewna?

– Chcą dostać „Czujnego” w całości – przypomniała mu Ar'alani. – To gwarantuje, że go w takim stanie nie dostaną. W ten czy inny sposób. Wykonać.

– Tak, ma'am. – Octrimo wyprostował się, a potem zaczął wduszać przyciski.

Nagle usłyszeli stłumiony ryk silników działających z pełną mocą i „Czujny” skoczył do przodu.

Celując prosto w planetę przed nimi.

Ilparg wydał z siebie dziwny pisk.

– Pani admirał! – zaskamlał. – Co pani robi?

– Pierwsza zmiana kursu! – Ar'alani przekrzykiwała hałas. – Trzy, dwa, jeden.

Za iluminatorem Urch przesunęła się w lewą stronę, gdy „Czujny” zmieniał kurs. „Przynajmniej teraz kierowali się w stronę krawędzi planety, a nie w sam jej środek” – ta myśl dotarła do Thalias przez koszmarny ból wywołany pulsowaniem krwi w skroniach. W ten sposób ich niechybna katastrofa wydarzy się odrobinę później.

– Statki Urchivków ruszyły w pościg! – zawołała Wutroow ze stanowiska czujników. – Lioaoini zostali z tyłu. Nikardunowie... podkrecają moc, zdaje się, że będą nas próbowali odciąć.

– Zwiększyć prędkość o pięć procent – rozkazała Ar'alani. – Druga zmiana kursu. Trzy, dwa, jeden.

Urch przesunęła się jeszcze bardziej w bok i teraz wyglądało na to, że ledwie przetną skraj jej atmosfery. Thalias próbowała sobie przypomnieć, czy słyszała kiedyś o chissańskim Nightdragonie przelatującym z pełną prędkością przez atmosferę jakiegokolwiek planety, ale nie była w stanie.

– Statki Urchivków zwiększają prędkość – obwieściła Wutroow. – Jednak o ile nie ukryli ich gdzieś więcej, nie ma opcji, żeby nas dogonili. O, sami na to wpadli. Zostają w tyle.

– Jakies ślady okrętów przechwytyjących nad powierzchnią albo za dyskiem? – zapytała Ar'alani.

– Nic wykrywalnego. W tym momencie...

Wutroow przerwała, gdy „Czujnym” gwałtownie wstrząsnęło.

– Wchodzimy w atmosferę, pani admirał – powiedział Octrimo. – Schodzimy niżej. Temperatura poszycia zaczyna wzrastać. Póki co nie ma zagrożenia.

Ale Thalias wiedziała, że się pojawi. Lekcje fizyki były ledwie mglistym wspomnieniem, pamiętała jednak wystarczająco wiele, by wiedzieć, że istnieją solidne powody, dla których statki nie przechodziły przez atmosferę planetarną z taką prędkością.

– Co z Nikardunami? – zapytała Ar'alani.

– Niepewny odczyt, turbulencje zakłócają pracę czujników – zameldowała Wutroow. – Sądzę jednak, że również zostali z tyłu.

Wstrząsy przybierały na sile. Thalias wiedziała, że powinna znaleźć sobie fotel i się przypiąć, ale wyczuła strach Che'ri i nie chciała zostawić jej samej. Prawie słyszała, jak „Czujny” jęczy, nieprzyzwyczajony do takich naprężeń, temperatury i ciśnienia.

Oczywiście, to tylko jej wyobraźnia. Wciąż jednak słyszała ból okrętu...

– Ostatnia zmiana kursu – rzuciła nagle Ar'alani pośród przytłumionej kakofonii dźwięków. – Gwiazdogatorko, pełna gotowość.

– Gotowa. – Głos Che'ri drżał.

– Zmiana kursu: trzy, dwa, jeden.

Octrimo przycisnął coś na swojej konsoli i „Czujny” odbił od planety po raz ostatni. Łoskot zaczął cichnąć.

I nagle rozmazany widok za iluminatorem ustabilizował się, a jęk przeciążonego okrętu umilkł. Znowu lecieli przez upragnioną pustkę przestrzeni, pędząc wprost kursem, który wskazała im Che'ri. Mijały sekundy, „Czujny” mknął w stronę odległych gwiazd.

– Możemy wejść w nadprzestrzeń – ogłosił Octrimo.

– Gwiazdogatorko?! – zawołała Ar'alani.

– Gotowa! – odkrzyknęła Che'ri. – Jak daleko chce pani lecieć?

– Tak daleko, jak możesz nas zabrać bez przeciążania się – odparła admirał. – Ruszaj... teraz.

Gwiazdy rozmyły się i zniknęły w nadprzestrzennym wirze, a oni znów byli bezpieczni.

– Możesz już puścić – powiedział Thrawn.

Thalias zamrugała i zorientowała się, że w międzyczasie puściła ramiona Che'ri i chwyciła za zagłówek jej fotela. Z pewnym wysiłkiem rozwarła

dłonie i zrobiła krok w tył.

– Udało się. – Wyglądała na zaskoczoną.

– Tak – zgodził się Thrawn. – We flocie lubimy myśleć o sobie jako bohaterach. Często jednak prawdziwymi herosami są projektanci i budowniczy okrętów, na których ruszamy w bój.

– Miało tu nie być żadnego boju – warknął Ilparg. Gdy tylko niebezpieczeństwo minęło, natychmiast stał się na powrót wyniosły. – Co to wszystko znaczy?

– Nikardunowie atakują inne światy... – zaczął Thrawn.

– Co to znaczy? – przerwała mu Ar'alani. – To znaczy, ambasadorze, że to była pułapka. Ktoś chciał porwać chissański okręt i zaproszono cię na Urch właśnie w tym celu.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

– Byłeś przynętą.

– Nie jestem przynętą – syknął Ilparg. – Dla nikogo. Nie dla Urchivków, nie dla tych... jak pan ich nazwał?

– Nikardunowie – podsunął Thrawn.

– Ani nie dla Nikardunów! – Ostatnie słowo Ilparg wręcz wypluł.

– A dla Lioaoinów? – zapytała Ar'alani.

Ilparg spojrział na nią z ukosa.

– A co niby Lioaoini mają z tym wspólnego?

– Jeden z ich okrętów tam był – odparła dowódczyni „Czujnego”. – I z pewnością nie zrobili ani nie powiedzieli nic, by ściągnąć nam Urchivków z karków.

– W zasadzie dla mnie wyglądali raczej jak część formacji, którą Urchivkowie rozstawiali za naszymi plecami – dodała Wutroow.

– Och, doprawdy? – Ilparg wbił wzrok w wirujące spirale nadprzestrzeni za iluminatorem.

– Według mnie tak to właśnie wyglądało – odparła Wutroow.

– Być może powinniśmy zawitać do stolicy Lioaoinów przed powrotem do Dynastii – podsunęła Ar'alani. – Porozmawiać z nimi, może poprosić o wyjaśnienie.

Ilparg spojrział na nią zimno.

– Sądzi pani, że tak właśnie powinniśmy zrobić?

Ar'alani uniosła dłoń.

– Ja zaledwie podsunęłam sugestię.

– I jest to doprawdy doskonała sugestia – powiedział Ilparg. – Tylko ja nie zamierzam prosić o wyjaśnienie. Ja zamierzam go zażądać.

Wskazał dramatycznie na rozmyte w nadprzestrzeni gwiazdy.

– Do stolicy Lioaoinów, admirał Ar'alani. Z największą możliwą prędkością! – Utrzymał swą dramatyczną pozę przez moment, po czym odwrócił się w równie teatralny sposób i wymaszerował z mostka.

– Ciekawe – wymruczał Thrawn. – Zakładam, że zrobiłaś to celowo?

– Chciałeś zobaczyć ich stolicę – przypomniała Ar'alani. – No to lecimy.

– Proszę zapamiętać, starszy kapitanie – dodała Wutroow. – Można prosić, sugerować i objaśniać, dlaczego pańskie pomysły mają sens. Ale gdy w sprawę zamieszani są politycy – machnęła w stronę iluminatora, udatnie naśladowując wcześniejszą pozę Ilparga – tak to się robi.

## Rozdział 9

Gwiazdne rozbłyski zgasły po raz kolejny i „Czujny” znalazł się z powrotem w normalnej przestrzeni.

– Planeta Lioaoin dwadzieścia stopni po lewej burcie, dwanaście stopni w dół – ogłosił Octrimo ze stanowiska steru. – Dotarliśmy dokładnie do celu, jak zawsze z chissańskimi gwiazdogatorkami.

– Przyjęłam – odparła Ar'alani, powstrzymując uśmiech na dźwięk tego ostatniego, zdecydowanie niestandardowego komentarza. Cała załoga mostka skrycie wściekała się na Ilparga za jego pogardliwe komentarze na temat tego, jak Che'ri poprowadziła ich na Urch. Oficerowie i wojownicy floty bardzo cenili gwiazdogatorki – większość jednak nie ujawniała swoich uczuć. Octrimo, który jako sternik pracował najbliżej z Che'ri, postanowił najwyraźniej zaryzykować reprimendę, by móc delikatnie dogryźć ambasadorowi.

Tej opiekuńczej postawie z pewnością nie przeszkadzał fakt, że jego rodzina, Droc, mocno rywalizowała z rodziną Ilparga, Boadil.

Lecz Ilparg nawet nie zauważył komentarza. Stał obok siedzącej w kapitańskim fotelu Ar'alani, skupiając wzrok na odległej planecie, a jego myśli krążyły z pewnością gdzieś daleko poza mostkiem „Czujnego”.

Ar'alani również spojrzała na planetę i otaczające ją okręty, a cień uśmiechu zniknął z jej twarzy. Większość jednostek niewątpliwie pochodziła z Lioaoin: frachtowce, patrolowce, dwie niskoorbitalne stacje naprawcze, być może także jeden czy dwa okręty. Stare dane sugerowały obecność jeszcze jednej stacji dokującej na wysokiej orbicie, co zwiększało szanse na pojawienie się kolejnego okrętu w okolicy, choć jeśli znajdował się obecnie w naprawie, można go było zapewne zignorować.

Pozostawało pytanie, czy są tu jakieś jednostki Nikardunów, mające pilnować tubylców.

– Przeszukiwanie przestrzeni zakończone – zameldował starszy komandor Obbic'lia'nuf ze stanowiska kontroli czujników. – Żadnych odczytów przypominających nikarduńską jednostkę, którą widzieliśmy na Urch.

Co niczego jeszcze nie dowodziło, jak doskonale wiedziała Ar'alani. Poza przerośniętymi iluminatorami i konkretnym umiejscowieniem gniazd uzbrojenia, żaden z nikarduńskich statków, na które natknęli się z Thrawnem, nie przypominał z wyglądu pozostałych. Najwyraźniej Yiv nie dbał o ujednolicenie swojej floty.

– Wzywa nas kontrola lotów, pani admirał – powiedziała Wutroow.

– Nie przejmujcie się nimi – odparł Ilparg, zanim Ar'alani zdążyła się odezwać. – Dajcie mi kogoś z Reżimowego Biura Dyplomatycznego. Jeśli mają coś wspólnego z tym bałaganem na Urch, niech mi to powiedzą tu i teraz.

– Chwileczkę, ambasadorze. – Ar'alani obejrzała się w stronę wejścia na mostek. Thrawn ewidentnie się spóźniał. – Czekamy na przybycie starszego kapitana Thrawna.

– A do czego on nam potrzebny?

„Bo tylko on może stwierdzić, czy są tu jakieś nikarduńskie okręty – przez głowę Ar'alani przemknęła oczywista odpowiedź. – Bo ma zmysł taktyczny, który będzie niezbędny, jeśli to wszystko pójdzie w diabły. Bo ma za sobą historię tylu starć, że większość chissańskich komandorów i admirałów oddałaby za nią krew swoich pierworodnych”.

Miała jednak więcej taktu niż komandor Octrimo. Nie musiała się także przejmować rywalizacją między rodzinami.

– Ponieważ chcę, żeby tu był, a jestem admirałem – oznajmiła po prostu. Ilparg sapnął cicho.

– Dobrze – odparł. – Ale lepiej niech tu szybko trafi.

Właz rozsunał się i Thrawn wszedł na mostek.

– Proszę o wybaczenie, pani admirał – powiedział, podchodząc do niej i Ilparga. – Pana również, ambasadorze. Moje badania trwały dłużej, niż sądziłem.

– Jakież to badania, starszy kapitanie? – zapytał podejrzliwie Ilparg.

– Danych taktycznych – odparła Ar'alani.

– Danych taktycznych? – powtórzył ze złością ambasador. – Czy tak Ekspansyjna Flota nazywa w obecnych czasach sztukę?

Ar'alani zacisnęła zęby.

– Pierwszą zasadą strategii jest poznanie swego przeciwnika, ambasadorze – rzekła. – Czyli ich taktyki bojowej, ale także historii, filozofii oraz, tak, czasem również sztuki.

– Akceptuję pierwsze dwie rzeczy. – W głosie Ilparga było słychać pogardę. – Jednak trzeci punkt ma znikomą lub żadną wartość. Jednakże, skoro starszy kapitan Thrawn już nas zaszczycił swoją obecnością, może byłaby pani tak dobra i skontaktowała się zgodnie z moją prośbą z biurem dyplomatycznym?

– Oczywiście, ambasadorze. – Wutroow stanęła przy Ilpargu i zgrabnie odciągnęła go od Thrawna i Ar'alani. – Łatwiej będzie nam ich wezwać ze stanowiska komunikacji. Tędy, proszę.

– Dziękuję, że próbowałaś – powiedział cicho Thrawn, stając obok Ar'alani.

– Nie przejmuj się. Czasami dobrze, gdy nasze talenty pozostają niedoceniane. – „Choć nie wtedy, gdy ktoś ocenia twoją karierę”. – Co ustaliłeś?

– Nasze dane na temat Lioaoinów są bardzo skąpe. Jednak powinny wystarczyć.

– Dobrze to słyszeć. – Ar'alani wskazała na iluminator. – Oto twoje płótno. Namaluj mi coś.

Przez chwilę Thrawn stał w milczeniu, a jego oczy śledziły sytuację nad planetą. Ar'alani patrzyła to na niego, to na ekran taktyczny, zastanawiając się, kiedy Lioaoini zrobią jakiś ruch. Jeśli Nikardunowie faktycznie tu byli, wszyscy w tym układzie musieli już wiedzieć o incydencie na Urch.

Czy Urchivkowie mogli nie zidentyfikować „Czujnego”, nim uciekł z obławy? Niemożliwe. A czy na całej centralnej planecie Urchivków nie znalazła się ani jedna triada komunikacyjna, zdolna przesłać wiadomość na taką odległość? Jeszcze mniej prawdopodobne.

A więc na co czekali Nikardunowie?

No chyba że cała ta sprawa była wyłącznie efektem paranoi i wybujałej wyobraźni. Obce rasy w tych stronach od zawsze się ze sobą ścierały, Ar'alani wiedziała o tym najlepiej. Jeśli Nikardunowie byli tylko jakąś pomniejszą rasą, na którą Chissowie po prostu nigdy dotąd się nie natknęli, a te ich bitewki to zwykłe lokalne utarczki...

– Te dziewięć myśliwców. – Thrawn wskazał na grupę niewielkich statków, wyłaniających się właśnie zza planety. – Same jednostki to jeden

z wariantów lioaoińskich projektów, jednak formacja i tor lotu są nietypowe.

– Może od czasu, kiedy widziałeś ich po raz ostatni, zmienili swoją taktykę – zasugerowała Ar'alani.

– Nie – odparł powoli Thrawn. – Lioaoini lubią pionowe formacje. Ich sztuka jasno na to wskazuje. Ustawiliby dziewięć takich myśliwców w trójpoziomowy klin. Ta formacja jest płaska i znacznie bardziej rozłożysta.

Ar'alani pokiwała głową. To z pewnością nie była formacja wielopoziomowego klina.

– Wyglądają, jakby szykowali się do manewru okrążającego.

– Zgadza się – przytaknął Thrawn. – Tylko atak, żadnej obrony. Co ponownie jest niezgodne ze zwyczajowym nastawieniem Lioaoinów. Jednak nie chodzi wyłącznie o szyk. Piloci zdają się być... jakby niepewni. Jakby nie byli przyzwyczajeni do takiego latania.

– Może to świeży rekruci.

– Cała dziewiątka? – Thrawn pokręcił głową. – Nie. To jednoosobowe kanonierki. Lioaoini nigdy nie obsadziliby samych niewypróbowanych pilotów bez bardziej doświadczonego okrętu i załogi w pobliżu na wypadek kłopotów. Z pewnością nie tak głęboko w studni grawitacyjnej.

– Przyznaję, że tak postępowali wcześniej – powiedziała. – Jednak floty bez przerwy zmieniają swoje doktryny. Może nie aż tak drastycznie, ale jednak dostosowują się i przyzwyczajają do nowych technologii i sytuacji.

– Tu Kontrola Orbitalna Lioaoin – odezwał się w głośniku czyjś głos.

Ar'alani zamrugała. Była tak skupiona na odległych okrętach i analizie Thrawna, że prawie zapomniała o pozornym powodzie ich obecności w układzie.

– Mówi ambasador Boadil'par'gasoi z Dynastii Chissów – odpowiedział Ilparg z całą godnością i arogancją, jakiej Ar'alani nauczyła się spodziewać po członkach korpusu dyplomatycznego, a już Ilpargu w szczególności. – Życzę sobie mówić z kimś z biura dyplomatycznego w sprawie agresywnego traktowania, z jakim spotkaliśmy się kilka dni temu nad Urch, stolicą Urchivków.

– Skąd pomysł, że Reżim Lioaoin ma cokolwiek wspólnego z Urchivkami? – zapytał głos.

– Ponieważ statek Lioaoin był obecny przy tym, jak Urchivkowie próbowali przejąć nasz okręt – odparł ambasador.

Ar'alani syknęła przez zęby. Co Ilparg, do cholery, wyprawiał? Dzielenie się takimi informacjami, zwłaszcza bez otrzymania niczego w zamian, było szczytem głupoty.

– Ambasadorze...

– Nie, zostaw go. – Thrawn położył jej ostrzegawczo dłoń na ramieniu. – Zobaczmy, jak zareagują na to, kim jesteśmy.

Skrzywiła się. Tak, to brzmiało jak plan Thrawna: szturchnąć Lioaoinów i zobaczyć, jak zareagują. Wszystko dobrze, o ile tą reakcją nie będzie rzucenie wszystkich sił przeciwko intruzom.

Z drugiej strony, „Czujny” był w pełni uzbrojonym Nightdragonem, a przecież nie weszli jeszcze zbyt głęboko w studnię grawitacyjną planety. Bez względu na to, czym dysponowali Lioaoini, Ar'alani nie miała wątpliwości, że da radę wydostać okręt z co najwyżej minimalnymi uszkodzeniami. Jej spojrzenie przykuł ruch przy jednym z doków naprawczych.

Nagle otworzyła szeroko oczy.

– O-o – wydukał ktoś na mostku.

Poczuła, jak jej dłonie odruchowo zaciskają się w pięści. To był okręt.

Wielki okręt – co najmniej pancernik, o połowę większy od „Czujnego”. Burty były najeżone gniazdami uzbrojenia, łukowate wykończenie zdradzało elementy ciężkiego pancerza, a gęsto osadzone szeregi metalicznych sfer świadczyły o obecności silnych osłon elektrostatycznych.

Miał też przesadnie duży iluminator – arogancko, prowokująco za duży – co było znakiem rozpoznawczym Nikardunów.

– Pani admirał? – W głosie Wutroow było słycać zniecierpliwienie.

Ar'alani przyjrzała się nikarduńskiemu okrętowi, poświęcając szczególną uwagę pozycjom i wektorom ruchu otaczających go jednostek, następnie długo spoglądała na ekran taktyczny.

– Utrzymać kurs – nakazała Octrimo. – Nie wykonują żadnych groźnych ruchów.

– Co może zmienić się w każdej chwili – ostrzegła Wutroow.

– Nie – powiedział Thrawn. – Mogliby przejść w tryb bojowy, ale to zajmie im dłużej niż chwilę.

– Zgadza się – przytaknęła Ar'alani. – Przy tej odległości i ustawieniu, każdy ruch będzie bardzo jednoznaczny.

– Tak, ma'am. – Wutroow opanowała się.

– Biuro dyplomatyczne nie rozumie, o czym mówicie. – Z głośnika dobiegł tym razem głos innego Lioaoina. – Jednak cieszymy się wzajemnym szacunkiem i przyjaźnią z Dynastią Chissów. Czy zbliżycie się, ambasadorze, byśmy mogli porozmawiać? A może mamy wysłać po pana transport? Pies

Ilparg obejrzał się na Ar'alani.

– Pani admirał? – zapytał.

– Cóż, z pewnością się nie zbliżymy – stwierdziła. – A biorąc pod uwagę okoliczności, pana też tam nie puszcze.

– A więc po prostu odlecimy?

– Czemu nie? Mamy już wszystko, po co przybyliśmy.

– A co takiego właściwie mamy? – Ilparg zmarszczył brwi.

– Obecność nikarduńskiego okrętu – odparł Thrawn.

– Który nie podjął przeciwko nam żadnych działań – odparował ambasador.

– A także fakt, że Lioaoini nie chcą rozmawiać o Urch – dodała admirał.

– To chyba – parsknął Ilparg – nazywa się negatywnym wynikiem testu.

– Wciąż jest to jakiś wynik – powiedziała Ar'alani. – Tak czy siak, niczego więcej się nie dowiemy. Proszę zatem przeprosić, pożegnać się i ruszamy. Oczywiście, może pan to przetłumaczyć na język dyplomatyczny.

– Chwileczkę, pani admirał. – Thrawn się nad czymś ewidentnie zastanawiał. – Za pani pozwoleniem, chciałbym przeprowadzić jeszcze jeden eksperyment. Te dziewięć kanonierek wykazuje niezwykle zainteresowanie naszym okrętem.

Admirał ponownie skupiła uwagę na zauważonych wcześniej jednostkach. Ich szyk kleszczowy rozszerzył się nieco, poza tym jednak chyba nic się nie zmieniło.

Gdy w końcu dostrzegła to, o czym mówił Thrawn, zmrużyła oczy. Szuk rozszerzył się, ponieważ kanonierki zatrzymały się w połowie manewru i teraz tylko dryfowały z wyłączonymi silnikami, a pole grawitacyjne planety powoli je od siebie oddalało.

– Są co najmniej zainteresowani możliwością wejścia do akcji w dowolnej chwili – oznajmiła. – I w dowolnym kierunku.

– Właśnie – potwierdził Thrawn. – Poza obecnością „Czujnego” nie widzę powodu, dla którego mieliby być tak... czujni.

Ar'alani podrapała się po policzku. Nikarduński pancernik ani drgnął, ale myśliwce ustawiły się w gotowości. Czyżby ktoś próbował się zabezpieczyć?

A może było w tym coś więcej? Czyżby mieli do czynienia z dwoma różnymi łańcuchami dowodzenia?

Tak czy siak, warto to było sprawdzić.

– Mam nadzieję, że cokolwiek ci chodzi po głowie, nie zakłada otwarcia ognia?

– W żadnym wypadku – zapewnił ją Thrawn. – Po prostu chciałem im dać znać, że tu jestem.

– I co chcesz tym osiągnąć?

– Nie wiem. Dlatego to eksperyment.

Rzuciła mu spojrzenie mówiące jasno, że nadużywa jej cierpliwości. Jednak przeczucia Thrawna zwykle dobrze było sprawdzać.

– W porządku. Ster, gotowość do zwrotu i zabrania nas stąd.

– Jak szybko? – zapytał Octrimo.

– Miejmy nadzieję, że nie za bardzo – odparła. – Wygląda na to, że próbują zgrywać niewiniątka i byłoby dobrze, żebyśmy odchodząc nie pokazali, że przejrzelismy ten teatrzyk. Chcę jednak mieć do dyspozycji moc i prędkość, gdybyśmy ich potrzebowali. Gwiazdogatorko Che'ri?

– Jestem gotowa. – Głos dziewczynki był odrobinę roztrzęsiony, ale mówiła głośno i wyraźnie.

Ar'alani wskazała na Thrawna.

– Gotów?

– Tak. – Zrobił krok w stronę jej kapitańskiego fotela. – Proszę obserwować kanonierki.

Skinęła głową i przełączyła włącznik komunikatora.

– Proszę.

– Tu starszy kapitan Thrawn, opiekun ambasadora Ilparga – powiedział.

– Dziękujemy za zainteresowanie, jednak na ten moment ambasador nie jest gotów do pełnych rozmów dyplomatycznych. Dynastia Chissów pozostanie z wami w kontakcie w tej kwestii.

Odpowiedź Lioaoinów zawierała mnóstwo słów, jednak mało znaczenia. Ar'alani ich tak naprawdę nie słuchała. Siedem z dziewięciu kanonierek, które Thrawn kazał jej obserwować, uruchomiło swoje silniki, gdy tylko padło jego imię. Wysunęły się z szyku, dzioby kierując w stronę „Czujnego”.

Nie zaczęły jeszcze manewru na dobre, gdy nagle cofnęły się, porzucając swoje nowe pozycje i ustawiając się z powrotem z dwoma kanonierkami, które trzymały swój kurs. Całość nie trwała dłużej niż pięć sekund i wszystkie dziewięć kanonierek znów stało w szyku, zanim Thrawn skończył mówić.

Ta połowa jej mózgu, która skupiała się na rozmowie, odnotowała fakt, że dobiegła końca. Przycisnęła z powrotem włącznik komunikatora i skinęła na Octrimo.

– Ster, zabierz nas stąd – rozkazała. – Miło, spokojnie i powoli. Gwiazdogatorko, w gotowości.

Przeniosła uwagę na pancernik, zastanawiając się, czy jego kapitan postanowi teraz zrzucić maskę niewiniątka. Jednak Nikardunowie dalej leniwie orbitowali, a „Czujny” odwrócił się i wyleciał ze studni grawitacyjnej. Che’ri pochyliła się nad swoimi przyrządami i po chwili gwiazdne rozbłyski obwieściły, że znaleźli się z powrotem w bezpiecznej nadprzestrzeni.

Wutroow podeszła do Ar’alani.

– A więc czego się właściwie dowiedzieliśmy? – zapytała.

– Nie obserwowałaś kanonierek?

– Pani i Thrawn się tym zajęli. Pomyślałam, że ktoś powinien mieć oko na pancernik.

– Tak. Mądra decyzja. – Ar’alani spojrzała na Thrawna. – To był pański pomysł, starszy kapitanie. Bardzo proszę, słuchamy.

– Siedem z dziewięciu kanonierek zareagowało na moje imię i ruszyło w naszą stronę – powiedział do Wutroow. – To sugeruje zarówno, że Nikardunowie mnie znają oraz że mają względem mnie jakieś rozkazy. Jednak chwilę później cała siódemka wróciła do szyku.

– A więc ktokolwiek dowodził myśliwcami, był gotów przybyć w pełnej szarży i pomścić straszliwą zniewagę, jakiej dopuścił się pan na Rapacc. – Wutroow wolno wymawiała słowa. – Jednak ktoś wyżej w łańcuchu dowodzenia odwołał ten rozkaz.

– Tak to odczytuję – potwierdziła Ar’alani. – Co z kolei od razu implikuje wnioski, o których wspomniałam wcześniej. Nawet sprowokowani, nawet mając swoje rozkazy, bardzo starają się udawać, że nie są dla nas zagrożeniem.

– Jeden problem. – Wutroow uniosła palec wskazujący. – Myślałam, że uznaliśmy kanonierki za lioaoińskie. Czemu mieliby się przejmować

Thrawnem? To znaczy, poza oczywistymi względami.

– To już wcale nie jest takie oczywiste – odparła admirał. – Z pewnością po tych wszystkich latach nie mają już żadnych rozkazów dotyczących kapitana. Przynajmniej nie są to rozkazy pochodzące z Lioaoin.

– Zapewne nie – powiedziała Wutroow. – A zatem...

– A zatem myliliśmy się wcześniej. – Ar'alani poczuła ukłucie lęku. – Myśleliśmy, że Lioaoini po prostu uczą się nowych manewrów bitewnych. I tak, robią to, ale pod nikarduńskim nadzorem.

– Lioaoini w kanonierkach znali nikarduńskie rozkazy dotyczące mojej osoby – skomentował Thrawn. – Tych siedmiu pilotów, którzy zareagowali, zrobiło to zdecydowanie za szybko, by mogło być inaczej. Szczegóły rozkazów tego typu nie są zwykle przekazywane podbitym ludom. Co więcej, te kanonierki były uzbrojone, widzieliśmy zarówno ich przednie lasery obrotowe, jak i wyrzutnie rakiet. Wiemy od Paccoshów, że Nikardunowie usuwają uzbrojenie z jednostek podbitych ras.

– Co mocno wskazuje na to, że Lioaoini nie zostali podporządkowani przez Nikardunów – dokończyła cicho Ar'alani, spoglądając na rozmazany widok za iluminatorem. – Są sojusznikami.

Przez chwilę nikt nic nie mówił. W końcu Wutroow wypuściła głośno powietrze.

– No to bomba – rzuciła. – Co teraz?

– Potrzebujemy więcej danych – odparł Thrawn. – Pani admirał, czy może pani skierować „Czujnego” na Solitaira, zanim powrócimy do Dynastii?

– W żadnym wypadku – oznajmił Ilparg, podchodząc żwawym krokiem.

– Najpierw Reżim Lioaoin, a teraz chcecie lecieć do Zjednoczenia Garwiańskiego? Jak jeszcze chcecie się wpakować w kłopoty? – Rzucił Thrawnowi wściekłe spojrzenie. – Właściwie to nieważne. Jak jeszcze chcecie wpakować w kłopoty mnie? Już i tak przekroczyłem swoje uprawnienia.

– Pańska pozycja i uprawnienia nie są moim zmartwieniem, ambasadorze – oznajmiła Ar'alani, przyglądając się twarzy Thrawna. – „Czujny” to mój okręt i leci tam, dokąd rozkażę. Jeśli zdecyduję, że musimy zebrać dodatkowe dane, jestem zobligowana zrobić wszystko, by je pozyskać.

– Chyba że Syndykura uzna pani decyzje za niewłaściwe – ostrzegł ją Ilparg.

– Jeśli tak się stanie, trudno. Ale nawet syndycy mają zaledwie ograniczoną władzę nad starszymi oficerami floty.

– Żadne z was nie powinno mieć teraz zbyt dużych kłopotów – zauważył Thrawn. – Mogę wziąć prom, a „Czujny” wróci do Dynastii. Nie powinno to wydłużyć waszej podróży o więcej niż kilka godzin.

– Nie chcesz, żebyśmy zaczekali? – Ar’alani zmarszczyła brwi. – A jeśli Garwianie nie będą chcieli z tobą rozmawiać?

– Sądzę, że będą – odpowiedział Thrawn. – Jeśli mogę mieć prośbę, pani admirał, chciałbym skorzystać z pani biura przez godzinę lub dwie.

– Oczywiście – zgodziła się. – Bez pośpiechu. Opiekunko Thalias, proszę zamknąć Trzecie Oko gwiazdogatorki Che’ri tak szybko, jak to możliwe dla jej wygody i bezpieczeństwa. Następnie ma nas poprowadzić na garwiańską stolicę, planetę Solitair.

– Tak, pani admirał – odparła Thalias. Jak zauważyła Ar’alani, z całej rozmowy opiekunce nie umknęło ani jedno słowo, ale nawet się nie zająknęła, by zakwestionować tę decyzję. – Nim będę mogła przeszkodzić Che’ri, minie jeszcze kilka minut.

– Gdy tylko będzie pani uważała moment za odpowiedni, opiekunko – uspokoiła ją admirał. – Kapitanie Thrawn, moje biuro należy do pana.

## Wspomnienia VII

Thrawn pokręcił głową.

— Nieakceptowalne — oznajmił. — Absolutnie nieakceptowalne.

Lata spędzone w Ekspansyjnej Flocie Obronnej wyrobiły u Ziary umiejętność wyrażania dezaprobaty bez okazywania towarzyszących temu emocji w wyrazie twarzy czy postawie. Tym razem jednak ledwie się jej to udało. Młodszy komandor, nawet taki, który właśnie otrzymał imponujące wyróżnienie, nigdy nie powinien odzywać się w ten sposób do starszego oficera. Dobrze by mu zrobiło, gdyby Ba'kif rąbnął nim teraz o podłogę.

Szczęśliwie dla Thrawna Ba'kif odznaczał się ponadprzeciętną cierpliwością.

— Czy mam przypomnieć szczegóły protokołów dotyczących ataków wyprzedzających? — zapytał spokojnie.

— Nie, sir.

„Tym razem przynajmniej udało mu się wtrącić »sir«” — pomyślała Ziara.

— Po prostu nie widzę, jakie miałyby zastosowanie w tej sytuacji — odparł Thrawn. — Statki zostały zaprojektowane na lioaoińską modłę, piraci używali lioaoińskich stacji dokujących i ścigali nas z centralnego świata Reżimu. Wydaje się niepodważalnym faktem, że działają pod bezpośrednią kontrolą i nadzorem Lioaoin.

— Oczywiście, że to podważalne — odparł Ba'kif. — Reżim temu kategorycznie zaprzeczył.

— Więc kłamią.

— Być może. Jednak mamy tylko to, co mamy: poszlakowe dowody i oficjalne zaprzeczenie.

— A więc pozwolimy im dalej działać bezkarnie? — naciskał Thrawn.

— A co mamy, twoim zdaniem, zrobić? — zapytał Ba'kif. — Wysłać całą flotę wojenną, która ma spaść na ich stolicę oraz zniszczyć każdy rządowy

i wojskowy obiekt, jaki znajdziemy?

Thrawn zacisnął na chwilę usta.

— Wcale nie potrzebowalibyśmy do tego całej floty — wycedził w końcu.

— Unikasz odpowiedzi — powiedział Ba'kif. — Wyjaśnijmy coś zatem. Czy zniszczyłbyś własność tych istot i skazał je na śmierć za możliwe posunięcia, możliwe posunięcia ich rządu?

— A co z naszymi obywatelami? — odparował Thrawn. — Oni również potracili życia i dobytek.

— Odpowiedzialni za to zostali zabici lub ukarani.

— Być może ci, których rękoma to zrobiono. Ale nie ci, którzy ich nastali.

— Ponownie, nie masz dowodów.

Thrawn przeniósł wzrok na Ziare.

— A więc je zdobędę — zaproponował. — Proszę pozwolić mi polecieć do Reżimu pod przykrywką handlarza czy dyplomaty, a ja już znajdę sposób na dojście do ich archiwów. Znajdę oficjalne rozkazy, może po prostu zapiski na temat dystrybucji łupów...

— Dosyć! — warknął Ba'kif, którego cierpliwość najwyraźniej w końcu się wyczerpała. — Zapamiętaj, komandorze, i zapamiętaj to dobrze. Dynastia nie atakuje innych układów, o ile nie ma wyraźnych dowodów ich uprzedniego ataku. Nie atakujemy militarnie, dyplomatycznie, dywersyjnie, potajemnie czy psychologicznie. Ci, którzy nas nie atakują, nie będą zaatakowani przez nas. Czy to jasne?

— Bardzo jasne, generale. — Głos Thrawna był równie sztywny, jak jego całe ciało.

— To dobrze — powiedział Ba'kif, po czym odetchnął głęboko. — A teraz chciałem porozmawiać z wami o czymś innym. — Spojrzał na Ziare, a potem z powrotem na Thrawna. — Za wybitne osiągnięcia w planowaniu i wykonaniu tej misji, zostaje pan, młodszy komandorze Thrawn, awansowany na starszego komandora.

— O dwa stopnie, sir? — Przez twarz Thrawna przemknął wyraz zaskoczenia.

— O dwa stopnie — zachichotał cicho Ba'kif. — Tak, wiem. Ale zrobiłeś porządek z piratami i to sprawia, że zrobiło się o tobie głośno, a Dynastia docenia swoich bohaterów. No i, oczywiście, jesteś Mitthem.

Uśmiech na twarzy Thrawna nieco przygasł.

— Tak. Dziękuję, sir.

Ba'kif skłonił lekko głowę i odwrócił się do Ziary.

— A pani, kapitan Ziara, zostaje niniejszym awansowana na starszego kapitana.

— Dziękuję, sir — odparła. Serce o mało co nie wyskoczyło jej z piersi. Starsza kapitan. Jeszcze jeden awans i zostanie komodorem.

Od tego stopnia wszystko ulegało zmianie.

— Gratuluję wam obojgu — rzekł Ba'kif. — Możecie odebrać swoje nowe emblematy i dokumenty w biurze kwatermistrza. Możesz odejść, Thrawn. Ziara, potrzebuję cię jeszcze przez chwilę.

W milczeniu zaczekał, aż Thrawn opuści pokój.

— Co sądzisz, starsza kapitan? — zapytał, wskazując podbródkiem zamknięte drzwi.

— Jest genialny, sir — odparła. — Doskonały strateg i taktyk.

— A jego instynkt polityczny?

— Między słabym a nieistniejącym.

— Zgadza się — powiedział. — Będzie potrzebował kogoś, kto nim pokieruje i jednocześnie uchroni przed nieustannym łapaniem za zły koniec płonącego kija.

Ziara powstrzymała grymas.

— Czy mam zgadywać, sir?

— Nie ma potrzeby. — Ba'kif uśmiechnął się lekko. — Przydzielam go na twój okręt jako trzeciego oficera. — Spojrzał na swój questis. — Teraz będziesz latać na krążowniku patrolowym o nazwie „Parala”.

— Tak jest, sir. — Ziara wyprostowała się. Krążowniki patrolowe zwykle latały daleko poza granice Dynastii, zbierając informacje i wyglądając potencjalnych zagrożeń. Ciekawy i bardzo pożądany przydział. — Dziękuję, sir.

— Zasłużyłaś na to. Wiem, że zrobisz, co tylko będzie trzeba, by chronić i obronić Dynastię. — Wstał i stanął na baczność. — Odmaszerować, starsza kapitan. I powodzenia.

Spodziewała się, że Thrawn już sobie poszedł, lecz on czekał na nią na zewnątrz generalskiego biura.

— Kłopoty? — zapytał.

— Nie — odparła. — Dostałam „Paralę”, a ty jesteś moim nowym trzecim.

— Serio? — Ponownie wyglądał na zaskoczonego.

— Serio. — Ruszyła korytarzem. — Biuro kwatermistrza jest w tamtą stronę.

Zrównał się z nią.

— Gratulacje. Słyszałem, że „Parala” to doskonały okręt.

— Też tak mi mówiono. No i gratulacje dla ciebie. Prawie nigdy nie słyszy się o awansach o dwa stopnie.

— Też mi tak mówiono — odparł Thrawn, ale jego głos jakby przycichł.

— Choć, oczywiście, co darowano, można i odebrać.

Ziara pochyliła się, by spojrzeć mu w oczy.

— Coś się stało?

Spojrzał na nią z ukosa, a potem znów zwrócił wzrok przed siebie.

— Reżim Lioain nie zaczął parać się piractwem, bo im się nudziło — powiedział. — Ewidentnie mają poważne problemy finansowe.

— No i co, mamy zrobić dla nich zrzutkę?

Znowu na nią spojrzął, ale tym razem w jego wzroku pojawiło się rozdrażnienie.

— Nie zadrą ponownie z Dynastią — odparł. — Jednak problem sam nie zniknie, nie zniknie też ich sposób na radzenie sobie z nim. Jak się przegrupują i znajdą nowe okręty na miejsce tych, które zniszczyłaś, wrócą, tym razem atakując handlarzy z innych układów. Co się stanie z tymi układami?

Ziara wzruszyła ramionami.

— Będę musieli sobie sami poradzić.

— A co, jeśli nie starczy im sił? — naciskał. — Powinniśmy usiąść wygodnie i przyglądać się ich cierpieniu?

Tym razem spojrziała mu prosto w oczy.

— Tak.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Thrawn spasował pierwszy.

— Bo nie mieszamy się w sprawy innych.

— Wolałbyś, żeby Dynastia została strażnikiem całego Chaosu? — zapytała. — Bo w tę stronę zawiodłaby nas ta ścieżka. Uratowalibyśmy jednych, potem drugich, trzecich, aż wreszcie stalibyśmy się ostatnim szansem przeciwko tysiącom różnych napastników. Uważasz, że właśnie to powinniśmy zrobić?

— Nie, oczywiście, że nie. Ale musi być jakaś pośrednia droga.

W milczeniu przeszli kilka następnych kroków.

— Jeśli to ci pomoże, to wiedz, że cię rozumiem — powiedziała w końcu Ziara. — Powiem ci tak. Jak już zaczniesz przewodzić Arystokrze i Dynastii, pomogę ci znaleźć rozwiązanie.

Thrawn parsknął cicho.

— Nie musisz być sarkastyczna.

— Kto mówi, że jestem? — zapytała Ziara. — Mitthowie to ważna rodzina i jak zauważył generał Ba'kif, cieszysz się ich uznaniem. Chodzi o to, że obecna polityka Dynastii zakłada nieangażowanie się w takie sprawy. O ile to się nie zmieni, musimy akceptować nasze rozkazy i wypełniać obowiązki.

Złapała go za ramię, zatrzymując w miejscu i spojrzała mu prosto w oczy.

— I to wszystko, co zrobimy. Jasne?

Na jego ustach pojawił się nikły uśmiezek.

— Oczywiście, starsza kapitan Ziara.

— I już się tak nie zamartwiaj, że niby to wpływ twojej rodziny dał ci awans o dwa stopnie. Nie zaprzeczaj, widziałam twoją minę. Jestem pewna, że powiązania Mitthów nie zaszkodziły, ale Rada nie robi czegoś tylko dlatego, że jakiś syndyk tego od nich chce. Jakby tak było, ja przeskoczyłabym o trzy stopnie.

— Zasłużyłaś na to — powiedział.

Teraz to ona zaczęła się uśmiechać. Przestała natychmiast, gdy zrozumiała, że Thrawn mówi poważnie.

— Raczej nie.

— Nie zgadzam się. — Thrawn zastanawiał się przez chwilę. — Z całym szacunkiem, nie zgadzam się — poprawił się po chwili. — Pewnego dnia na pewno zostaniesz pełnym admirałem. Rada mogłaby po prostu awansować cię już teraz i oszczędzić sobie trochę czasu.

— Doceniam twoją wiarę. — Odwróciła się i ruszyła dalej. — Jednak zadowala mnie spokojna, powolna ścieżka kariery.

„Admirałem”. W sumie brzmiało to nieźle. Oczywiście, zakładając, że naprawdę jest tak dobra, jak sądzi Thrawn.

I zakładając, że gdy będzie pod nią służył, nie zrobi niczego, co zrujnuje jej szanse na zawsze.

## Rozdział 10

Drzwi do biura admirała Ar'alani się otworzyły. Thalias weszła do środka, zastanawiając się, co mogło oznaczać to nagłe wezwanie.

– Chciał mnie pan widzieć, starszy kapitanie? – zapytała.

– Tak. Wejdź, proszę, chcę ci coś pokazać.

Thalias zrobiła kolejny krok, a drzwi zasunęły się za jej plecami. Rozejrzała się dookoła. Biorąc pod uwagę to, z czego sływał, a może raczej – co o nim mówiono, spodziewała się zastać biuro wypełnione hologramami garwiańskich rzeźb i malowideł. Ku jej pewnemu zaskoczeniu, zamiast tego siedział pośrodku trójwymiarowej mapy, ukazującej gwiazdy i szlaki międzygwiazdne.

– Oto Dynastia – powiedział, wskazując palcem na znajomą gromadę gwiazd blisko środka mapy. – To Reżim Lioain. – Wskazał znacznie mniejszą grupę znajdującą się na północ i w górę od Dynastii. – Rapacc. – Przesunął palec nieco na wschód i w dół. – Urch. – Jeszcze dalej w lewo, w dół i nieco na południe. – A tutaj jest świat Paataatusów. – Po raz ostatni powiódł palcem do miejsca na południowo-wschodnio-górnej granicy Dynastii. – Co widzisz?

– Pierwsze trzy są na północ i północny wschód od nas – odparła, zastanawiając się, dlaczego wspomniał o Paataatusach. Byli bardzo daleko od pozostałych, a poza tym już się z nimi uporano.

– To prawda – przytaknął. – Trzy różne nacje, zaatakowane lub oblężone przez Nikardunów, każda z nich na krańcach Dynastii.

Thalias zmarszczyła nos. W sumie nie byli tak blisko. Z pewnością nie na tyle, by stanowić zagrożenie.

– Póki co żaden z nikarduńskich podbojów nie dotyka bezpośrednio Dynastii – ciągnął, jakby czytał w myślach i dostrzegał jej milczące wątpliwości. – Jednak schemat jest problematyczny. Jeśli Yiv ma nas na celowniku, to doskonały sposób na otwarcie.

– No dobrze – powiedziała ostrożnie. – Ale czy gdy zaatakuje, to nie możemy załatwić go tak, jak zrobiliśmy to z Paataatusami?

– Interesujące, że o nich wspomniałaś – odparł. – Ich sztuka i cała kultura silnie sugerują, że porażka, której doświadczyli z rąk admirała Ar'alani, powinna na całe pokolenia wyhamować jakikolwiek opór z ich strony. Jednak raporty z Naporara wskazują, że zbroją się do kolejnej ofensywy. Uważam, że oni również mogą znajdować się pod wpływem i kontrolą Yiva.

Thalias ponownie przyjrzała się mapie. Jeśli była to prawda, Nikardunowie już nie brnęli po prostu przez Chaos, a Dynastia nie stanęła na ich drodze przez zwykły przypadek. Jeśli podbili lub podporządkowali sobie również Paataatusów, istniała spora szansa, że celowo okrążali Chissów. Wyglądało to, jakby Yiv celowo podburzał cały Chaos przeciwko nim.

– Co możemy zrobić?

– Jak wspomniałem pani admirał, potrzebujemy więcej informacji – rzekł. – Przez ostatnią godzinę badałem mapę i dostrzegam cztery inne rasy, których obecny status, jak sądzę, może wyjaśnić sprawę. Mam nadzieję, że przekonam Garwian, by zabrali mnie do jednej z nich pod odpowiednim pretekstem.

– To brzmi... bardzo niebezpiecznie.

– Być może niebezpiecznie, ale nie bardzo. Garwianie... powiedzmy, że są mi coś winni za pewne wydarzenia z przeszłości.

Thalias skrzywiła się nieco. Słyszała co nieco o tych wydarzeniach i raczej nie zaliczano ich do najjaśniejszych momentów w historii Dynastii.

– Czy pani admirał wyraziła na to zgodę?

– Owszem. – Uśmiechnął się blado. – Nie mogę powiedzieć, żeby przyjęła mój plan z entuzjazmem, ale zgadza się na jego wykonanie.

Innymi słowy, czy plan się jej podoba czy nie, Ar'alani była skłonna nadstawić karku razem z Thrawnem.

– Rozumiem. Zakładam, że jestem tu, ponieważ chce pan także czegoś ode mnie.

– Tak. Chciałbym, żebyś towarzyszyła mi w tej podróży.

Thalias trochę się domyślała, dokąd będzie zmierzać ta rozmowa. Wróciła myślami do umowy, jaką zawarła z syndykiem Thurfianem.

– Jako dodatkowy obserwator, jak rozumiem?

– Tak – urwał. – I jako mój rodzinny zakładnik.

Oczy Thalias rozszerzyły się gwałtownie.

– Jako... co?

– Mój rodzinny zakładnik – powtórzył.

– Czyli co?

Thrawn zacisnął usta.

– W pewnych okolicznościach rywalizacja pomiędzy rodzinami Chissów może być tak silna, że zgadzają się na wymianę zakładników. Jeden członek rodziny z każdej strony zostaje przyjęty jako zasłużony adoptowany i służy członkowi tej drugiej rodziny jako asystent i zakładnik. Jeśli pomiędzy rodzinami dojdzie do agresji, zakładnicy zostaną natychmiast zabici – i o tym wiedzą.

Thalias wpatrywała się w niego.

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– Oczywiście, że nie. – Thrawn uśmiechnął się do niej lekko. – Bo właśnie to wymyśliłem.

Potrząsnęła głową.

– Dobra, zgubiłam się.

– To bardzo proste – odparł cicho. – Sadzę, że Nikardunowie dysponują rozległą wiedzą na temat Dynastii i kultury Chissów. By pokonać przeciwnika, należy go poznać, a oni są najwyraźniej doświadczeni w podbojach... – przerwał. Na jego twarzy malowało się oczekiwanie.

Thalias się skrzywiła. Znowu udawał nauczyciela, jak na stacji wydobywczej Paccoshów. Teraz powinna podać prawidłową odpowiedź. Przynajmniej tym razem była oczywista.

– A więc jeśli nagle zorientują się, że jest coś, czego o nas nie wiedzą, coś naprawdę ważnego, mogą uznać, że powinni przemyśleć całą strategię?

– Właśnie tak. W najlepszym wypadku, Yiv porzuci swoje plany wobec nas. W najgorszym, kupi nam to nieco czasu. – Uniósł brwi. – Prawdziwe pytanie brzmi jednak: czy zechcesz odegrać taką rolę?

Oczywista odpowiedź – tak – natychmiast pojawiła się w jej głowie. Gdy jednak otworzyła usta, by wypowiedzieć owo krótkie słowo, zrozumiała, że to wcale nie było takie proste.

Nie miała pojęcia, jak mówiła, myślała czy zachowywała się zakładniczka. Pewnie w jej ruchach powinno pojawić się wahanie, szczypta nieustannego lęku o własne życie, być może chęć zadowolenia osoby, od której zależy jej byt. Czy potrafiłaby to wszystko odegrać w wiarygodny sposób?

Co więcej, pójście z Thrawnem oznaczało pozostawienie Che'ri samej na pokładzie „Czujnego”. Dziewczynka z pewnością poradzi sobie z powrotem do Dynastii – Ar'alani mogła przecież przydzielić jednego ze swych oficerów do tymczasowej opieki nad gwiazdogatorką.

Jednak Che'ri straciła już tyle innych opiekunek w trakcie swojej służby we flocie! Czy uzna wylot Thalias za kolejne porzucenie, bez względu na powód? Thalias mogła jej wytłumaczyć sytuację przed odlotem, ale to wcale nie oznaczało, że Che'ri ją wysłucha czy zrozumie. Kogo tak naprawdę dotyczyły obowiązki i zobowiązania Thalias?

Spojrzała na mapę, na kolejne gromady układów przeciwnika, zaciskające się wokół Dynastii niczym pętla. I nagle cała jej niepewność, wygoda, czy nawet szacunek do samej siebie stały się dużo mniej istotne. Jeśli chodzi o Che'ri, będzie musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, by to wyjaśnić.

– Nie wiem, jak być zakładniczką. – Spojrzała na Thraw-na. – Ale jestem gotowa się nauczyć.

Kapitan lekko skłonił głowę.

– Dziękuję – odparł, po czym podszedł do biurka i wcisnął jakiś przycisk. – Pani admirał, tu Thrawn. Opiekunka Thalias zgodziła się mi towarzyszyć. Czy może pani powiadomić gwiazdogatorkę Che'ri i upewnić się, że ktoś przejmie nad nią opiekę w czasie naszej podróży na Solitaira?

– Sama chciałabym jej o tym powiedzieć – wtrąciła Thalias. – Może łatwiej jej będzie przyjąć tę informację, gdy usłyszy ją ode mnie.

– Brzmi rozsądnie – zgodziła się Ar'alani. – Czy chciałaby pani zarekomendować kogoś na swoje miejsce?

Thalias się zawahała. Większość czasu na pokładzie „Czujnego” spędziła z Che'ri lub na mostku. Czy знаła tu kogoś wystarczająco godnego zaufania, by powierzyć mu taką odpowiedzialność?

Zwłaszcza że musiał być to ktoś o odpowiedniej pozycji i wzbudzający szacunek, przynajmniej jeśli nie chciała, by Che'ri uznała, iż wcisnęła ją pierwszej lepszej osobie, którą spotkała na korytarzu.

Tak naprawdę tylko jedna osoba spełniała te kryteria.

– Tak... Czy mogę się jeszcze chwilę nad tym zastanowić? – Wykręciła się od odpowiedzi.

– Oczywiście – potwierdziła admirał. – Che'ri powinna ukończyć ten kurs za około pół godziny. Oczekuję pani wtedy na mostku z gotową rekomendacją.

– Tak jest, pani admirał.

– Do zobaczenia za pół godziny. Bez odbioru.

Thrawn wyłączył komunikator.

– Czy wiesz, kogo chcesz poprosić o opiekę nad Che’ri? – zapytał, gdy podchodziła do drzwi.

– Tak – rzuciła przez ramię. – Ale nie jestem pewna, czy to się spodoba pani admirał.

„Pani admirał to się zdecydowanie nie spodobało” – pomyślała z goryczą Ar’alani.

Jednak się zgodziła, by to Thalias wybrała nową opiekunkę Che’ri i własny honor nakazywał jej teraz zmierzyć się z konsekwencjami tej obietnicy.

Poza tym przemawiały do niej argumenty Thalias.

Che’ri zwinęła się w kłębek na jednym z za dużych na drobną dziewczynkę foteli, dokładnie tam, gdzie zostawiła ją Ar’alani, gdy z powierzchni dotarły wreszcie sygnał i ostatnie instrukcje Thrawna.

– Wróciłam! – obwieściła radośnie i podeszła do dziewczynki, przemierzając całą kajutę. – Udało ci się przespać? Jesteś głodna?

– Jest okej – odparła bardzo cicho i ostrożnie dziewczynka.

Ar’alani skrzywiła się, przyglądając się twarzy małej. Gdy była w jej wieku, miała skłonność do dramatyzowania, gdy tylko czegoś chciała lub czuła, że jest traktowana niesprawiedliwie albo gdy po prostu chciała zwrócić na siebie czyjąś uwagę. Jednak coś w spojrzeniu Che’ri mówiło jej, że nie o to chodziło.

– Jesteś zła, że Thalias cię zostawiła?

Warga Che’ri zadrżała nieznacznie, ale wystarczająco, by Ar’alani się zorientowała, że trafiła w dziesiątkę.

– Powiedziała, że musiała lecieć – wymamrotała mała. – Nie powiedziała dlaczego.

Ar’alani pokiwała głową.

– Tak, mnie to też zawsze doprowadzało do szału.

Che’ri spojrzała na nią gwałtownie, marszcząc brwi.

– Byłaś gwiazdogatorką?

– Nie, ale miałam dziesięć lat – odparła admirał. – Dorośli wciąż szeptali i dzielili się sekretami. Nie znosiłam tego. Ale czasem tak trzeba.

Che’ri spuściła wzrok.

– Ona może się znaleźć w niebezpieczeństwie, prawda? Kapitan Thrawn zabiera ją tam, gdzie coś im grozi.

– Och, wszędzie może być niebezpiecznie – powiedziała Ar'alani, próbując nadać głosowi lekki ton. – To nic takiego.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że nie mogła gorzej trafić. Nagle, bez ostrzeżenia, oczy Che'ri wypełniły się łzami i dziewczynka schowała twarz w dłoniach.

– Ona umrze – wyszlochała. – Ona umrze.

– Nie, nie – zaprotestowała Ar'alani, podchodząc szybko i przyklękając obok przestraszonej dziewczynki. – Nic jej nie będzie. Thrawn jest z nią i nie dopuści, żeby stało się jej coś złego.

– To moja wina! – jęknęła Che'ri. – To moja wina. Krzyknęłam na nią. Krzyknęłam na nią i ona teraz umrze!

– Spokojnie – powiedziała cicho Ar'alani. – No już. Kiedy na nią krzyknęłaś?

Jednak gdy tylko zadała pytanie, od razu zrozumiała oczywistą odpowiedź. Wszystkie te przeciągające się pożegnania i wyjaśnienia, mające miejsce w zaciszu kajuty gwiazdogatorki. Zachowanie Thalias i jej postawa, kiedy szła z Thrawnem w stronę promu. Zachowanie, które Ar'alani zauważyła i które wydawało jej się nieco zbyt ponure, nawet biorąc pod uwagę powagę nadchodzącej misji. Fakt, że Che'ri odmówiła wyjścia z sypialni, kiedy Ar'alani po raz pierwszy przyszła do jej apartamentu po odlocie promu.

Ar'alani złożyły to na karb nerwów – zarówno gwiazdogatorki, jak i jej opiekunki. Najwyraźniej jednak pożegnania okazało się być bardziej wybuchowe, niż sądziła.

A teraz dziewczynka przepracowała już swój gniew i wpadła w otchłań strachu, depresji i poczucia winy.

– Spokojnie – powtórzyła. – Wszyscy wciąż na siebie krzyczą. To nie znaczy, że im na sobie nie zależy.

– Ale przecież powiedziałam jej, że jej nienawidzę! – szlochała dalej Che'ri.

– Ona nie umrze – zapewniła stanowczo Ar'alani, ostrożnie kładąc dłoń na ramieniu Che'ri. – Wypowiedzenie czegoś na głos nie sprawia, że to się wydarzy.

– Nie chciałam na nią nakrzyczeć. – Che'ri pociągnęła nosem. Opuściła ręce, a płacz nieco ucichł. – Chciałam tylko kilka flamastrów. Żeby

porysować. Ale powiedziała, że nie ma żadnych i że nie znajdzie ich przed odlotem, a ja powiedziałam, że Ab'begh takie ma i że jest okropną niby-matką... – Znów zakryła twarz i szloch przybrał na sile.

Ar'alani delikatnie poklepała ją po ramieniu, czując się jak świeża rekrutka na pierwszej misji szkoleniowej. Z chęcią podjęłaby walkę z przeważającym wrogiem, żeby tylko nie musieć uspokajać przerażonego dziecka.

– Posłuchaj – powiedziała i natychmiast skrzywiła się, słysząc rozkazujący ton własnego głosu. – Posłuchaj – powtórzyła, tym razem starając się zabrzmieć delikatniej – to nie jest tak, jak w książkach czy nagraniach. To prawdziwe życie. Jeśli ktoś wylatuje na misję zaraz po kłótni, to wcale nie oznacza, że musi od razu umierać.

Che'ri nie odpowiedziała. Ar'alani miała jednak wrażenie, że nieco się uspokoiła.

– Coś ci powiem – oznajmiła. – Przyszykuję ci gorącą kąpiel, Thalias powiedziała, że je lubisz, a kiedy będziesz się moczyć, przygotuję ci do jedzenia cokolwiek, na co masz ochotę. Może być?

– Okej – powiedziała Che'ri.

– Okej – powtórzyła jak echo Ar'alani. – Pójdę teraz do łazienki i naleję wody, a ty się zastanów, na co masz chętkę.

Che'ri skinęła głową.

– Admirał Ar'alani... Thalias mówiła, że często współpracowałaś z kapitanem Thrawnem.

– Trochę razem przeszliśmy. – Ar'alani uśmiechnęła się krzywo. – A Thalias ma rację. Okolice Thrawna to jedno z najbezpieczniejszych miejsc, w których można się znaleźć.

– Może mi pani opowiedzieć o waszych przygodach? – zapytała z wahaniem dziewczynka. – Ona dała mi trochę dawniejszych raportów, ale są takie oficjalne i sztywne, a ja... Nie czytam najlepiej. Thalias lubi czytać, ale ja nie umiem... – Wstrząsający szloch powrócił bez ostrzeżenia.

Ar'alani zamknęła oczy i westchnęła cicho. Zapowiadała się długa, długa noc.

Garwianie dość szybko pozwolili promowi wylądować. Równie szybko nakazali mu też odlecieć, powołując się na kwestie bezpieczeństwa związane z pobytem ewidentnie chissańskiego statku na ich terytorium. Obiecali też, że petenci zostaną szybko przyjęci.

Jednak podczas przedłużającego się oczekiwania w biurze ochrony, Thalias zaczęła się zastanawiać, czy ktoś jednak nie zmienił zdania. Wyglądało na to, że nikt ze Zjednoczenia nie palił się do rozmowy z nimi.

Thrawn powiedział wcześniej, iż Garwianie są mu winni przysługę. Jednak sposób, w jaki istoty krzątające się po biurze zdawały się unikać kontaktu wzrokowego, sprawiał, że Thalias miała poważne wątpliwości co do wymiaru tej wdzięczności.

Miała też wątpliwości co do grubej warstwy przypominającego gips makijażu, który według Thrawna stanowił ważną część jej wizerunku. Pojmowała rozumowanie stojące za uczynieniem statusu rodzinnego zakładnika widocznym dla każdej patrzącej na nią osoby, ale pokrywająca jej twarz wypukła warstwa skomplikowanych wzorów uniemożliwiała jej w zasadzie jakąkolwiek ekspresję.

Co mogło w sumie być powodem nałożenia takiego makijażu. Zakładnicy jako istoty podrzędne czy coś w tym rodzaju. Mimo to, gdy siedziała tak w ciszy i bezruchu, czując obcy ciężar gipsu na szyi i ramionach, nie mogła przestać się zastanawiać, jak to wszystko wpłynie na jej skórę.

Wreszcie, cztery godziny po ich przybyciu, jeden z Garwian zatrzymał się przed nimi.

– Drugi Dowódca Obrony Frangelic was teraz przyjmie – powiedział w minisiat. – Proszę za mną.

Garwianin siedzący za biurkiem w pomieszczeniu, do których ich wprowadzono, był młodszy, niż spodziewała się Thalias, sądząc po tytule, pasującym do raczej prestiżowego stanowiska. Pozostał nieruchomy i cichy, gdy podchodzili do dwóch, przeznaczonych dla gości krzeseł i gdy na nich siadali. Obcy spojrział nad głową Thalias, dał znak ich przewodnikowi i po chwili drzwi do pomieszczenia się zamknęły.

– Widzę, że awansowałeś, Drugi Dowódco Obrony – rzekł spokojnie Thrawn. – Gratulacje.

– Tak jak i ty, starszy kapitanie Thrawn – odparł Frangelic, pochylając głowę. – A twoja towarzyszka?

– Moja zakładniczka – poprawił go Thrawn.

Wydawało się, że Frangelic odsunął się nieco.

– Od kiedy Chissowie trzymają zakładników?

– Od dawna, od czasów przed sięgnięciem gwiazd – odpowiedział Thrawn. – Czasami sięgamy do tej tradycji, gdy potrzebujemy pewnej formy zabezpieczenia między rodzinami. Rzadko rozmawiamy o tym

otwarcie z obcymi, ale skoro już tu jest, będę musiał zaufać ci w tej kwestii. Wierzę, że dochowasz tajemnicy?

– Oczywiście. Czy ma imię?

Thrawn spojrział na Thalias, jakby próbował je sobie przypomnieć.

– Thalias.

– Thalias – powtórzył z powagą Frangelic. Przyglądał się jej przez chwilę. Jego oczy zdawały się śledzić niektóre spirale i wzory makijażu pokrywającego jej twarz, po czym przeniósł uwagę na Thawna. – Pozwolę sobie mówić od razu bez ogródek. W ciągu ostatniej godziny Ruleri zebrali się na specjalnej sesji i poinformowali mnie, że mają mieszane uczucia względem twojego powrotu na Solitaira. Mają wrażenie, że twoje ostatnie spotkanie z ludem Garwian... Słowo zdrada wprawdzie nie padło, ale ich myśli i uczucia podążały w tym kierunku.

– Inaczej pamiętam tamte wydarzenia – stwierdził Thrawn. – Jednak to już przeszłość. W tej chwili zarówno Dynastia, jak i Zjednoczenie stają w obliczu niepewnej i niebezpiecznej przyszłości. Przedstawiam propozycję, która ma na celu rozwiązanie obu tych problemów.

– Interesujące. – Frangelic spojrział na niego. – Kontynuuj.

– Wierzę, że wszyscy mamy do czynienia z nowym wrogiem, niejakimi Nikardunami – oznajmił Thrawn. Włączył swój questis i podał obcemu ponad blatem biurka. – Wiemy o trzech, a może czterech rasach w regionie, które zostały po cichu podbite albo są obecnie oblegane.

– Wiemy o tych rasach – powiedział Frangelic, przeglądając dane na questisie. – A także o dwóch innych, które najwyraźniej gwałtownie postanowiły zmienić rządy i swoją postawę wobec obcych.

– Więc zgadzasz się, że zagrożenie istnieje?

– Zgadza się, że coś się zmieniło – odparł Frangelic. – Ruleri są jednak podzieleni względem tego, czy te zmiany stanowią zagrożenie.

– A co ty myślisz?

Frangelic się zawahał.

– Myślę, że sytuacja wymaga głębszego zbadania – rzekł w końcu. – Zakładam, że twoja propozycja jest zbieżna z moim tokiem rozumowania?

– Owszem – potwierdził Thrawn. – Wymienione tu cztery rasy mogą, jak sądzę, posiadać użyteczne informacje. Każdy Nikardun w ich układach natychmiast dowiedziałby się jednak o obecności Chissów, co uniemożliwia mi prowadzenie śledztwa w jakikolwiek oficjalny sposób. Mam więc

nadzieję, że będę mógł porozumieć się z jedną z tych ras niezauważony. Na pokładzie jednego z garwiańskich okrętów.

Szczęki Frangelica otworzyły się szeroko, odsłaniając na chwilę rzędy ostrych zębów, nim skryły się z powrotem za wargami. Garwiańska wersja uśmiechu. Thalias przypomniała sobie, że o tym czytała.

– Trudno mi uwierzyć, że Chiss na pokładzie jednego z naszych statków może naprawdę pozostać niezauważony – powiedział. – Tak się jednak składa, że Ruleri zaplanowali dyplomatyczną misję, która wyrusza za dwa dni do jednego ze światów na twojej liście. Na Primeę, macierzysty świat Vaków.

– Byłoby idealnie – rzekł Thrawn. – Możesz mi pomóc dostać się na pokład?

– Mogę spróbować. – Frangelic wbił wzrok w Thalias. – Twojej zakładniczce również, jak przypuszczam?

– Oczywiście. Tylko proszę, byś od teraz określał ją jako moją towarzyszkę, zwłaszcza w miejscach publicznych.

– Oczywiście. – Frangelic spojrział na questis. – Ruleri nigdy nie pozwolą ci jednak podróżować bez eskorty – kontynuował, jakby mówił do siebie. – Niestety, żaden z moich podwładnych nie zrozumie ani ciebie, ani twoich metod. – Uniósł wzrok i ponownie się uśmiechnął. – Ani nie będą cię pamiętać tak dobrze jak ja. – Zawahał się, po czym pchnął questis z powrotem w stronę Thrawna. – Jeśli więc masz lecieć na Primeę, wygląda na to, że i ja muszę. Porozmawiam z posłem zarządzającym misją i poczynię niezbędne przygotowania.

– Dziękuję – powiedział Thrawn. – Będziesz musiał jakoś wyjaśnić obecność Chissa w składzie garwiańskiej misji dyplomatycznej. Proponuję, abyś opisał mnie jako międzygwiazdowego eksperta w dziedzinie sztuki, którego wasi naukowcy zaprosili do udziału w misji, aby wspólnie badać dzieła sztuki Vaków.

– Brzmi trochę naciąganie – mruknął powątpiewająco Frangelic.

– Wcale nie – zaproponował Thrawn. – W środowisku akademickim znane są teorie, zgodnie z którymi Vakowie i Garwianie zetknęli się dwadzieścia do trzydziestu tysięcy lat temu. Znalezienie śladów potwierdzających taki kontakt, być może w nakładających się stylach lub tematach artystycznych, pomogłoby potwierdzić te tezy i być może pozwolić historykom na prześledzenie szlaków nadprzestrzennych w tej części Chaosu.

– Interesujące – oznajmił Frangelic. – Czy cokolwiek z tego jest prawdziwe, czy właśnie to wymyśliłeś?

– Teorie są całkowicie prawdziwe – zapewnił go Thrawn. – Nieco niejasne i gorąco dyskutowane, ale ktoś na Primei będzie mógł zlokalizować zapiski na ich temat, gdybyśmy byli sprawdzani.

– Mam nadzieję, że masz rację – powiedział Frangelic. – Dobrze więc. Mój przyboczny znajdzie ci kwaterę, a ja spróbuję załatwić nam pozwolenie na wejście na statek dyplomatyczny.

– Dziękuję – odparł Thrawn, wstając. – Muszę przesłać te informacje admirał Ar'alani, zanim zniknie z „Czujnym” z orbity. Ach, czy mogę też prosić o zorganizowanie średniej wielkości kontenera transportowego na pokładzie statku?

– Kontenera transportowego? – powtórzył za nim Frangelic, którego głos stał się nagle podejrzliwy. – Co ty zamierzasz tam ze sobą zabrać?

– Właściwie bardzo niewiele – zapewnił go Thrawn. – Kontener będzie potrzebny podczas drogi powrotnej.

– Rozumiem. – Głos Frangelica nadal brzmiał podejrzliwie. – Może uda ci się to lepiej wyjaśnić przed odlotem.

– Albo podczas podróży – zaproponował Thrawn. – Zobaczymy, jak wyjdzie.

– Owszem, zobaczymy. – Frangelic zgrzytnął zębami. – Tymczasem wyślij wiadomość do swojej admirał. Tak szybko, jak to możliwe – dodał, nieco ciszej. – Ruleri posiadają wyjątkową zdolność ignorowania ludzi i rzeczy, które uznają za nieprzyjemne, jednak niemądrze byłoby wystawić ich cierpliwość na próbę.

– Oczywiście – przytaknął Thrawn. – Jak tylko otrzymam szczegółowe dane na temat misji, „Czujny” zniknie. W międzyczasie chodź, towarzyszko. Gdy ja będę rozmawiał z panią admirał, ty możesz iść do naszych kwater i przygotować obiad.

## Wspomnienia VIII

Po tych wszystkich miesiącach spędzonych na pokładzie „Parali” Ziara rozwinęła swoistą wrażliwość na każdy niuans i każdy, nawet najsubtelniejszy ruch jej statku, zmianę w brzmieniu silników i rozmaite inne parametry.

To, co się działo teraz, było mniej więcej tak mało subtelne, jak to tylko możliwe.

Szła pięć kroków za kapitan Roscu, gdy obie, ona i pierwsza oficer, zbliżyły się do mostka. Roscu dotarła tam przed nią i zajrzała do środka przez właz.

— Thrawn, co ty, do cholery, wyprawiasz! — warknęła, a jej głos poniósł się echem po korytarzu.

Krzywiąc się, Ziara podążyła za nią do środka. Rozpoczął się kolejny cudowny dzień na pokładzie „Parali”.

Jednak tym razem od razu stało się jasne, że nie chodzi tylko o Roscu, obsztorcowującą młodszego rangą oficera z konkurencyjnej rodziny. Nocna załoga mostka siedziała sztywno na stanowiskach, a Thrawn z rękoma splecionymi za plecami stał za gwiazdogatorką i pilotem. Wir nadprzestrzeni wypełniał cały iluminator. Szybkie spojrzenie na ekrany pokazało, że zarządził pełną gotowość układów broni i osłon elektrostatycznych, zaledwie o stopień poniżej systemów gotowości bojowej.

— Zadałam ci pytanie, starszy komandorze — wypluła Roscu, idąc w jego kierunku.

— Spocznij, kapitanie! — zawołała stanowczo Ziara. — Status, starszy komandorze?

— Odebraliśmy pilne wezwanie o pomoc z garwiańskiej kolonii Stivic — powiedział Thrawn. — Oficer ochrony Frangelic twierdzi, że są atakowani — obrócił się, rzucając Ziarse znaczące spojrzenie — przez piratów.

— Znasz protokół — oznajmiła Ziara, przechodząc obok ciskającej gromy z oczu Roscu i podchodząc do Thrawna. Czuła, jak zaciska się jej żołądek. Było boleśnie oczywiste, co takiego podejrzewał Thrawn.

I prawdopodobnie miał rację. Światy Garwian stanowiły centra handlu dla wielu lokalnych ras, a Stivic znajdował się w zasięgu łatwego uderzenia Reżimu Lioain.

Zatrzymała się u jego boku.

— Wiesz, że nie możemy tego zrobić — powiedziała, ścisząc głos. — Przepisy zabraniają interwencji.

— Mam nadzieję, że akcja bezpośrednia nie będzie tutaj konieczna.

Ziara spojrzała w dół na dziewięcioletnią dziewczynkę w fotelu gwiazdogatorki. Jej dłonie poruszały się niemal same z siebie, gdy z pomocą Trzeciego Oka prowadziła „Paralę” przez kręte ścieżki nadprzestrzeni.

— Blef?

— Może nawet nie — odparł Thrawn. — Nagłe pojawienie się okrętu Chissów może wystarczyć, aby ich odstraszyć.

— A jeśli nie?

Zacisnął usta.

— W takim wypadku nic nie zrobimy.

— Zgoda — powiedziała. Podniosła głos. — Do całej załogi: na stanowiska bojowe. Mostek, przygotować się do wyjścia z nadprzestrzeni.

Dziesięć sekund później widok za iluminatorem się zmienił, rozbłyśki gwiazd zgasły i przybyli na miejsce.

Na skraj straszliwej bitwy.

Ziara poczuła ucisk w żołądku. Dwa garwiańskie patrolowce dzielnie dawały odpór trzem większym napastnikom, starając się trzymać ich z dala od dużej, orbitalnej stacji handlowej. W pobliżu dryfował czwarty najeźdźca, połączony służą z małym frachtowcem. Piraci zapewne właśnie szybko plądrowali ładownie swojej ofiary. Kilka innych statków handlowych pospiesznie oddalało się w stronę bezpiecznej nadprzestrzeni.

— Oficer ochrony Frangelic potwierdza nasze przybycie — zameldował oficer łączności. — Prosi o pomoc.

Ziara westchnęła. Ale nic nie mogła zrobić.

— Nie odpowiadać! — rozkazała. — Powtarzam: nie odpowiadać.

— Szkoda — skomentowała Roscu, podchodząc do Ziary i Thrawna. — Na tej stacji było kilka fajnych knajpek. Czy mogę przypomnieć pani

kapitan, że nie mamy żadnego powodu, by tu przebywać?

— Odnutowałam — powiedziała Ziara. — Przeprowadź kontrolę osłon elektrostatycznych. Chcę być gotowa na wypadek, gdybyśmy zostali zaatakowani.

Roscu milczała przez chwilę. Wystarczająco długo, by okazać niezadowolenie i podejrzliwość, a jednocześnie na tyle krótko, by uniknąć zarzutów o niesubordynację.

— Tak jest, starsza kapitan — odparła w końcu. Odwróciła się i podeszła do stanowiska obrony.

— Ona ma rację — przypomniała Ziara. — To jest konflikt pomiędzy dwiema grupami obcych. Zdarzają się tutaj cały czas. Nic, w co moglibyśmy się zaangażować. — Wskazała głową iluminator. — A jeśli chodzi o odstraszenie ich, nie jestem pewna, czy napastnicy nas choćby zauważyli.

— Zauważyli — powiedział Thrawn. — Dwóch z trzech napastników przesunęło się, aby umożliwić sobie szybką ucieczkę, a ten złączony służą z frachtowcem zaczął powoli się obracać, by zwrócić swoje główne działa przeciwko nam. — Potrząsnął głową. — Mogę ich pokonać, Ziara. Mogę zdjąć wszystkich czterech, tu i teraz, bez poważnego uszkodzenia „Parali”.

— Poważne to bardzo względne określenie — zauważyła Ziara. — Nawet jeśli możesz, nie mamy żadnego usprawiedliwienia. Terytorium Chissów nie zostało najechane, a my nie zostaliśmy zaatakowani.

— Może zostaniemy, jeśli się zbliżymy.

— Umyślna prowokacja jest również niedozwolona.

Thrawn ponownie pokręcił głową.

— Widzę wszystko — mówił z dużym wysiłkiem. — Ich taktykę, wzorce zachowań, słabości. Mogę tu i teraz powiedzieć ci, jak ich pokonać.

— Nawet przy przewadze cztery do jednego?

— Przewaga nie ma znaczenia — odparł Thrawn. — Studiuję sztukę Lioaoinów od naszego pierwszego spotkania z piratami. Znam ich taktykę i schematy bitewne. Wiem, jak wykorzystują broń i systemy obronne oraz błędy wroga.

Odwrócił się, a Ziara uderzyła intensywność jego spojrzenia.

— Żadnych uszkodzeń — powiedział cicho. — Żadnych uszkodzeń.

Ziara oderwała od niego wzrok, by ponownie spojrzeć na iluminator. Brak uszkodzeń... z wyjątkiem końca jego kariery. I jej, jeśli wyrazi na to zgodę.

Istoty walczyły tam i umierały. Tak, nie były Chissami, ale kupcy Chissów handlowali z nimi i uznali ich za wystarczająco rozsądnych. Nawet Garwianie, którzy dziś nie zginą, na przykład ci na stacji handlowej, przez resztę swojego życia będą odczuwać nieodwracalne skutki tego wydarzenia. Być może „Parala” mogłaby ukrócić to zniszczenie, może nawet sprawić, by Lioaoini nigdy nie wrócili.

Koszttem jej kariery.

Wiedziała, że jeszcze nie jest za późno. Jeśli reszta obsady mostka da się przekonać do milczenia...

Oczywiście, nie będą milczeć. Nie wtedy, gdy w grę wchodziła rodzinna polityka i rywalizacja, rzutująca na wszystko, co robili.

Chyba że nie będą mieli o czym mówić.

— Twierdzisz, że możesz mi powiedzieć, jak ich pokonać — mruknęła, wciąż przypatrując się bitwie. — Czy możesz wyjaśnić to komukolwiek?

Kątem oka dostrzegła subtelną zmianę w jego postawie.

— Tak — potwierdził. — Czy wolno mi przypomnieć pani kapitan, że lasery pomiarowe nie były ostatnio kalibrowane?

— Myślę, że masz rację — przyznała. Nie, żeby niskiej mocy lasery namierzające, zbierające dane dotyczące odległości i prędkości podczas walki, kiedykolwiek się rozkalibrowały.

— Proszę o zezwolenie na przejście na zapasowy mostek i przeprowadzenie kontroli.

Ziara przełknęła ślinę. Jej kariera...

— Zezwalam — oznajmiła. — Kiedy już tam będziesz, lepiej sprawdź, czy pozostałe systemy również są w stanie gotowości bojowej.

— Tak jest, pani kapitan. — Wypuścił powietrze z płuc, odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia.

Roscu stanęła obok Ziary.

— Mam nadzieję, że zdejmuje go pani z mostka? — zapytała.

— Wysłałam go, by sprawdził systemy czujników broni.

Roscu prychnęła.

— I nie sądzi pani, że będzie go kusiło, by z nich skorzystać? Nie spodziewałabym się po nim niczego innego.

— Starszy komandor Thrawn rozumie protokół.

— Doprawdy? — odparowała Roscu. — Ja nie odpowiedziałabym na wezwanie pomocy od obcych, gdybym pełniła obowiązki oficera pokładowego. Śmiem twierdzić, że pani też nie, kapitanie.

— Może nie — przyznała Ziara. — Z drugiej strony, jeśli bitwa się skończyła, kiedy przybyliśmy, wolno nam udzielić pomocy.

— Przecież bitwa jeszcze się nie skończyła. — Roscu urwała. Ziara czuła ciężar jej spojrzenia. — Zakładam, że zdał stanowisko oficera pokładowego, kiedy zszedł z mostka?

Innymi słowy, skoro Ziara znowu dowodziła, dlaczego „Parala” wciąż tu była?

— Ci piraci należą chyba do tej samej grupy, z którą walczyłam w zeszłym roku nad Kinossem — rzekła w zamyśleniu. — Chcę obejrzeć ich atak, zobaczyć, czy mają jakąś nową broń lub taktykę, której powinniśmy być świadomi.

— Ale nie zamierzamy interweniować? — Roscu nie dawała za wygraną.

— Czy odczuwasz potrzebę cytowania mi ustępów protokołu? — spytała łagodnie Ziara.

— Nie, oczywiście, że nie — odparła Roscu zdecydowanie pokorniej. — Przepraszam, pani kapitan.

— Pani kapitan! — zawołał oficer operacyjny ze swojego stanowiska. — Wykrywam aktywność laserów pomiarowych.

— W porządku — powiedziała Ziara. — Zleciłam sprawdzenie kalibracji.

— Rozumiem. — Oficer wyglądał na zdziwionego. — Czy kazała też pani modulować częstotliwości?

— Jak modulować? — spytała Roscu, marszcząc brwi.

— Po prostu modulować — odparł operacyjny. — Nie dostrzegam żadnego szczególnego wzorca.

— Prawdopodobnie sprawdza cały ich zakres — wyjaśniła Ziara, skupiając się na bitwie. Okręty patrolowe Garwian schodziły ze swoich pozycji i przechodziły w coś na kształt korkociągu. Wyglądało to, jakby próbowały oskrzydlić trzy pirackie statki. Te z kolei odwróciły się w odpowiedzi tak, by mieć przeciwników na celownikach.

Tyle że obrócili się za daleko, nadmiernie rotując i odsłaniając dolne partie poszycia Garwianom. Obrońcy otworzyli ogień, szyjąc szybkimi, precyzyjnymi uderzeniami laserów spektralnych prosto w odsłonięte elementy jednostek napastników...

— Wielokrotne trafienia — rzucił ze stanowiska czujników starszy komandor Ocpior. — Zniszczone dolne wyrzutnie broni piratów. Tracą powietrze...

I nagle oboma ostrzelanymi statkami pirackimi wstrząsnęły ogniste eksplozje, gdy wybuchły ich pokładowe składy amunicji.

Trzeci napastnik, który zaczynał właśnie własny obrót, szarpnął się gwałtownie, próbując umknąć przed odłamkami, lecącymi teraz w jego stronę z ogromną prędkością. Udało mu się uniknąć większości fragmentów złomu, kiedy jeden ze statków Garwian przebił się przez pirackie osłony i posłał niszycielską salwę. Okręt obrońców ledwie zdążył odlecieć, gdy na poszyciu wrogiego statku także pojawiły się płomienie wybuchów.

Roscu wymruczała coś pod nosem.

— A niech mnie cholera! — rzuciła. — To było... Jak im się to, do cholery, udało?

— Piraci się wycofują! — zameldował Ocpior. — Odpalają hipernapędy.

— Przyjęłam — powiedziała Ziara. Trzy okaleczone statki odlatywały w głęboką przestrzeń, próbując uciec, nim Garwianie ich dopadną. Czwarty pirat zrozumiał aluzję, oderwał się od pładrowanego frachtowca i także rzucił się do ucieczki.

Czwarty statek bezpiecznie zniknął w nadprzestrzeni.

Żadnemu z jego towarzyszy się to nie udało.

Ziara wzięła głęboki oddech.

— Teraz, jak sądzę, możemy odlecieć. Ster, ustawić kurs z powrotem na naszą trasę patrolową.

Zwróciła się do Roscu.

— Rozumiem, że odczuwasz ulgę, kapitan Roscu?

Roscu wciąż wpatrywała się w pozostałości po bitwie, a na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

— Ulgę, pani kapitan? — zapytała mechanicznie.

— Te knajpki, o których wspominałaś — wyjaśniła Ziara. — Chyba będą działać dalej.

## Rozdział 11

Thalias nigdy wcześniej nie była na statku skonstruowanym przez obcą rasę. W sumie nic dziwnego – większość podróży poza Dynastię odbyła jako gwiazdogatorka, a Syndykura nie miała najmniejszego zamiaru dopuścić, by tak cenny zasób znalazł się poza kontrolą Chissów.

Bywała jednak na jednostkach, które gościły obcych z Gildii Nawigatorów. Zwykle były to statki dyplomatyczne lub okręty wojskowe, a należało podtrzymać złudzenie, że Chissowie nie mieli własnych nawigatorów, jednocześnie unikając zdania się na łaskę obcych, gdyby szybka podróż stała się konieczna.

Zapytała kiedyś jednego ze starszych oficerów, co by się stało, gdyby zwykła gwiazdogatorka musiała przejąć kontrolę i obcy nawigator poznałby ten sekret Dynastii. Odpowiedź była niejasna, ale chłód w oczach oficera powstrzymał ją przed dalszym dociekaniami.

Jednak to, że obcy nie mogli jej zobaczyć, nie oznaczało, że ona nie mogła przyglądać się im. Podczas większości takich kursów dowódca statku z radością zezwalał jej na obserwację jednego z monitorów na mostku, dzięki czemu mogła sprawdzić, jak inni nawigatorzy wykonywali swoją pracę.

Nigdy nie było to jednak tak ekscytujące, jak się spodziewała. Przeważnie nawigatorzy po prostu siedzieli w swoich fotelach, czasem z zamkniętymi, a kiedy indziej z szeroko otwartymi oczami. Niekiedy delikatnie korygowali kurs, gdy przed okrętem pojawiała się jakaś przeszkoda. Minęło naprawdę dużo czasu, nim zorientowała się, że jej własne działania jako gwiazdogatorki były prawdopodobnie równie nudne dla postronnego obserwatora.

Ale tutaj, na statku Garwian, gdzie jej tożsamość i dawny status nikogo nie interesowały, miała okazję przyjrzeć się nawigatorowi naprawdę

z bliska. Może dowie się, czy z jej Trzeciego Oka pozostało wystarczająco dużo, aby wyczuć, co on właściwie robi.

Rzecz jasna, nie mogła na to specjalnie liczyć. Jej szanse równały się praktycznie zeru. Trzecie Oko zawsze opuszczało gwiazdogatorkę, gdy ta kończyła czternaście lub piętnaście lat. W jej przypadku było to zdecydowanie dawno temu.

Jednak z tego, co wiedziała, nikt nigdy nie próbował umieścić eksgwiazdogatorki obok pracującego obcego nawigatora. Już samo to sprawiało, że chciała spróbować. Jak powiedział jej kiedyś Thrawn, negatywne informacje nadal były informacjami.

Nocna załoga mostka okazała się jeszcze mniejsza niż jej odpowiednik na statkach chissańskich: tylko trójka Garwian oraz, oczywiście, nawigator. Jedna z Garwian, przypuszczalnie dowódczyni, uniosła wzrok, gdy Thalias przeszła przez właz.

– Co tu robisz, Chissie? – zapytała.

– Jestem towarzyszką mistrza sztuki Svorno. – Thalias skłoniła się nisko i zgarbiła ramiona. Długo dyskutowali z Thrawnem, jaki nacisk powinni położyć na ujawnienie jej przybranej tożsamość zakładniczki: za mało i Nikardunowie mogą się o niej nie dowiedzieć, za dużo, a rzekomo skrywany element chissańskiej kultury może okazać się mało wiarygodny. Uznali, że sama będzie się nazywać towarzyszką, jednocześnie zachowując postawę i sposób bycia kogoś, czyje życie znajdowało się w cudzych rękach.

Okazało się, że ta rola była niepokojąco łatwa do odegrania.

– Prosił, abym obejrzała i zapamiętała artystyczne tatuaże na twarzy naszego nawigatora.

– Twój pan jest źle poinformowany – powiedziała cierpko Garwianka. – To nawigatorzy Wektora Jeden mają tatuaże. Dzisiaj lecimy z Tropicielem.

– Nie mają tatuaży? – Thalias zmarszczyła brwi. – Jesteś pewna?

Oficer machnęła w kierunku stanowiska nawigatora.

– Sama zobacz.

Skrywając uśmiech, Thalias przeszła przez mostek, skupiając się na wskazanej postaci i wyęzając wszystkie zmysły. Poczowała aromat czegoś korzennego. Z jakiegoś powodu nic, co czytała o Tropicielach, nie mówiło o charakterystycznym zapachu. Poza tym nie wyczuwała jednak nic więcej. Stała za plecami nawigatora. Wciąż nic.

Informacje negatywne. Mimo wszystko warto było spróbować. Obeszła fotel z boku, pamiętając, że ma przecież sprawdzić, czy Tropiciele nie tatuowali sobie twarzy...

Ledwie powstrzymała się przed okrzykiem zaskoczenia i przerażenia. Siedzący tam obcy... jego rysy twarzy, kształt skrzydełek policzkowych, układ włosów nad oczami... Widziała go wcześniej. W zasadzie...

– Mówiłam ci – oznajmiła Garwianka, a w jej głosie pobrzmiwała mieszanka satysfakcji i pogardy.

Thalias skinęła głową, próbując odnaleźć właściwe słowa, gdy rzucała obcemu ostatnie, boleśnie uważne spojrzenie. Nie miała żadnych wątpliwości.

– Miałaś rację – zgodziła się.

Odsunęła się od fotela i ponownie skłoniła Garwiance.

– Przepraszam za najście.

Gdy wróciła, Thrawn siedział w biurowej części przeznaczonego dla nich apartamentu.

– Mamy kłopoty – powiedziała bez zbędnych wstępów.

Odłożył questis, nie odrywając od niej wzroku.

– Wyjaśnij.

– Pamiętasz tego Tropiciele, którego wynająłeś na „Springhawku”? Podczas rajdu na Rapacc? – spytała.

– Oczywiście. Qilori z Uandualonu.

– Tak – przytaknęła Thalias. – Jest teraz na mostku.

Thrawn uniósł brew.

– Doprawdy?

– To wszystko, co masz do powiedzenia? – zachnęła się Thalias. – „Doprawdy?” Wydaje mi się, że sytuacja wymaga nieco mocniejszej reakcji.

– Co, twoim zdaniem, powinniśmy zrobić? – spytał spokojnie Thrawn. – Poprosić Frangelica, by zatrzymał statek, żebyśmy mogli wysiąść? Skłonić go do uwięzienia Qiloriego w chwili, gdy opuścimy nadprzestrzeń, co może skutkować bojkotem Zjednoczenia Garwiańskiego przez całą Gildię Nawigatorów?

– Nie, oczywiście, że nie – wycedziła Thalias. Nienawidziła, gdy rozmówcy przechodzili natychmiast do najgorszego scenariusza. – A jeśli nas zobaczy? Lub raczej jeśli zobaczy ciebie? A jeśli Nikardunowie są teraz

na Primei? Oni już na ciebie polują. Wystarczy, by Qiloriemu wymyknęło się jedno słówko na twój temat i znajdziemy się w śmiertelnych tarapatach.

– Być może. – Thrawn zmrużył oczy. – Z drugiej strony...

– Co z drugiej strony?

– To chyba niezbyt właściwy ton dla zakładniczki, przemawiającej do swojego pana – oznajmił Thrawn.

– Zapamiętam. Z drugiej strony: co?

– Naszym celem jest zebranie informacji na temat Nikardunów i ich planów – powiedział powoli Thrawn, wciąż mrużąc oczy. – Rozdrażniliśmy ich nad Rapakkiem i Urch. Być może nadszedł czas, aby zrobić to samo na Primei.

– To brzmi niebezpiecznie – ostrzegła Thalias. – A jeśli Frangelic się nie zgodzi?

– Planowałem mu o tym nie mówić.

Thalias się skrzywiła.

– Tak myślałam.

– Nie martw się – uspokoił ją Thrawn. – Jeśli zrobimy to dobrze, Garwianie nie odczują żadnych konsekwencji naszych działań.

– Świetnie – powiedziała ciężko Thalias. Doceniała troskę Thrawna o ich gospodarzy.

Ale szczerze mówiąc, to nie o Garwian się martwiła.

Qilori od zawsze nienawidził przyjęć obcych. Przyjęcia dyplomatyczne były jeszcze gorsze. Nieznane głosy i dźwięki, dziwne i często obrzydliwe twarze i ciała, osobliwe zapachy – zwłaszcza osobliwe zapachy – wszystko razem tworzyło mieszankę wystarczającą do zmarnowania wieczoru, dnia, a czasem i całego bolesnego tygodnia. W sumie wolałby pozostać na orbicie, na statku Garwian.

Ale Yiv tu był i kazał Qiloriemu pojawić się i zdać raport na temat sytuacji w części Chaosu eksplorowanej przez Tropiciele. A więc i Qilori tu był, cierpiąc przez obce zapachy. Obserwował i w pewnym oddaleniu czekał na swoją kolej, gdy Dobroczyńca prowadził jowialne rozmowy z kilkoma obcymi dyplomatami w jednym z rogów pomieszczenia. Jeśli Yiv skończy odprawę wystarczająco szybko, może Qiloriemu uda się namówić pilota garwiańskiego promu, by odstawił go z powrotem na statek, podczas gdy reszta delegacji będzie gadać, upijać się do nieprzytomności lub robić cokolwiek innego.

– Twój makijaż jest w nieładzie. – Zza pleców dobiegł go czyjś cichy, surowy głos. – Rodzinny zakładnik musi pilnować przyzwoitego wyglądu. Idź gdzieś i to popraw.

Znał ten głos. Qilori odwrócił się, marszcząc brwi.

Para Chissów, mężczyzna i kobieta, stała kilka metrów od niego. Wysoki mężczyzna miał wyniosłą postawę i nosił pełny, formalny strój chissański, łącznie z udrapowaną na ramionach szatą. Kobieta była niższa, ubrana w znacznie mniej wyszukany sposób. Na jej twarzy widniała gruba skorupa wielowarstwowego, choć teraz rozmazanego makijażu. Zgarbiła się, spuściła wzrok, a jej mina przywodziła na myśl ulubionego zwierzaka, którego ktoś uderzył. Qilori obserwował, jak kłania się nisko i wymyka przez tłum rozgadanych dygnitarzy.

Spojrzał z powrotem na mężczyznę, zastanawiając się, kim była ta kobieta i dlaczego tak mocno zareagowała na naganę. Twarz, widziana teraz z profilu, wydawała się równie niejasno znajoma jak głos.

Poczuł, jak jego skrzydełka policzkowe sztywnieją. Ta twarz, ten głos...

To był Thrawn.

Chiss odwrócił się, ale przez pierwsze kilka sekund Qilori nie mógł się nawet poruszyć. Powiedziano mu, że na pokładzie garwiańskiego statku, którym nawigował, znajduje się dwóch Chissów. Miał to jednak być jakiś nadęty typ z akademii i jego towarzysz czy służący.

Tylko że tak nie było. To był Thrawn. Ubrany w cywilny strój, ukrywający się pod przybranym nazwiskiem. To mogło oznaczać tylko jedno.

Duży, tłuściutki bonus.

Pod wpływem pierwszego impulsu chciał udać się prosto do Dobroczyńcy, przerwać dowolną rozmowę, którą prowadził i przekazać mu wieści. Jednak uratowały go zdrowy rozsądek i wrodzona ostrożność. Nawet jeśli Yiv nie kazałyby go wychłostać za zwykłą bezczelność, łamiąc w ten sposób protokół, mógł przyciągnąć niechcianą uwagę. Lepiej – i bezpieczniej – będzie poczekać, aż Dobroczyńca nie będzie już zajęty.

A czekając na ten moment...

Gdy Qilori ruszył w kierunku Thrawna, Chiss stał przy umieszczonych w tej części stołu słodko-kwaśnych potrawach i przyglądał się różnym daniom.

– Trzymałbym się z dala od kiki – ostrzegł Tropiciel, wskazując na mieszanek czerwonych, pomarańczowych i jasnoniebieskich półksiężyców.

- Potrzeba określonych soków trawiennych, aby sobie z nimi poradzić.
- Interesujące – rzekł Thrawn, przyglądając się uważniej misce. – Dziwne, że nasi gospodarze podali nawet tak wyszukane danie.
- Może – powiedział Qilori. – Ale zdziwiłbyś się, ile osób chętnie zapłaci kłopotami żołądkowymi za ulotną chwilę wyśmienitego smaku. Wydaje mi się, że byłeś na pokładzie mojego statku.
- Twojego statku? – Thrawn zmarszczył brwi, a potem na jego twarzy odmalowało się zrozumienie. – Ach! Masz na myśli to, że jesteś nawigatorem posła Proslisa. Jestem Svorno, mistrz sztuki, główny kurator Kolekcji Sztuki Nunech.
- Miło mi cię poznać – odparł Qilori, zastanawiając się przez chwilę, czy powinien podać swoje imię lub zamiast tego wymyślić coś fikcyjnego.
- „Ani to, ani to” – zdecydował. Nawet jeśli Thrawn nie rozpoznał twarzy Qiloriego, mógł pamiętać jego imię, a taka przykrywka mogła zbyt łatwo zostać spalona.
- Co sprowadza cię na Primeę?
- Nadzieja na ostateczne obalenie absurdalnej teorii, że Vakowie i Garwianie nawiązali stosunki handlowe w erze midoriańskiej – powiedział Thrawn. – Osiemdziesiąt lat temu taką tezę wysnuł ten idiota, profesor... – przerwał. – Ale oczywiście nie interesują cię takie tematy.
- Obawiam się, że historia i teoria sztuki znacznie przewyższają moją inteligencję. – We wzroku Qiloriego pojawiło się cyniczne rozbawienie. Thrawn mógł zmienić imię i bawić się w przebieranki, ile tylko chciał, ale nigdy nie będzie mógł uchodzić za prawdziwego naukowca, dopóki nie zrozumie, że tacy ludzie uwielbiają głądzić o swoich specjalnościach bez względu na to, czy publiczność chciała o nich słuchać czy nie.
- Jestem pewien, że znajdziesz w zapiskach Vaków wszystko, czego potrzebujesz. Czy chcesz, żebym cię komuś przedstawił?
- Rozmawiałem już ze wszystkimi, z którymi chciałem – oznajmił Thrawn, rozglądając się. – Znam też większość obecnych tu ras. Niewiele z nich może pochwalić się sztuką godną tego miana. – Uniósł palec. – Tych nigdy wcześniej nie widziałem. Znasz ich?
- Qilori poczuł, jak sztywnieją mu skrzydełka. Thrawn wskazywał prosto na Yiva.
- Wydaje mi się, że nazywają się Nikardunami.
- Doprawdy? – rzucił Thrawn. – Słyszałem o nich jakieś niejasne i śmieszne plotki. Pewnie nie mógłbyś mnie z nimi zapoznać?

– Mógłbym – powiedział ostrożnie Qilori. Czy to naprawdę będzie aż tak proste? – Wydaje mi się, że Tropiciele mieli już z nimi do czynienia. Gdybyś zechciał tu poczekać, mógłbym pójść sprawdzić, czy znajdzie czas na rozmowę.

– W porządku, ale pospiesz się – rzucił niecierpliwie Thrawn. – Mam umówione spotkanie wcześniej rano, więc nie zostanę już długo na tym przyjęciu.

– Oczywiście. – „Spodziewa się, że wszyscy będą naginać swoje plany do jego potrzeb. Teraz już brzmiał zdecydowanie bardziej jak prawdziwy profesor akademicki”.

Gdy Qilori podszedł, Yiv śmiał się właśnie z jakiegoś żartu. Dobroczyńca obrzucił go szybkim spojrzeniem, a symbionty na jego ramionach zafalowały, ostrzegając przybysza, by poczekał na swoją kolej. Qilori zrobił kolejny krok naprzód, poczekał, aż Yiv zaczerpnął tchu przed kolejnym zdaniem i wtedy odchrząknął znacząco.

– Jest tutaj – powiedział cicho.

– Kto tu jest? – Jeden z Vaków zachichotał, wywołując kolejny wybuch śmiechu. Albo Qilori nieświadomie dorzucił dodatkową puentę do opowiadanego właśnie żartu, albo grupa była już tak pijana, że śmiałyby się z czegokolwiek.

Z twarzy Yiva zniknęło jednak natychmiast całe rozbawienie.

– On jest tutaj? – zapytał.

Qilori skinął głową.

Nagle to Yiv wybuchnął śmiechem. Zrobił to tak nagle, że reszta zamilkła, zaskoczona.

– Chwila przerwy, moi wspaniali przyjaciele – powiedział z uśmiechem, który nie sięgał oczu. – Muszę was na moment przeprosić. Proponuję, abyście skorzystali z rozrzutnej obfitości stołów, którą uhonorowali nas gospodarze.

Qilori odczekał, aż tłumek się rozejdzie. Yiv wykonał drobny gest i nawigator podszedł do fotela Dobroczyńcy.

– Thrawn? – zapytał Yiv, a jego ton głosu sugerował, że byłoby lepiej, gdyby Qilori nie przerywał mu z jakiegokolwiek innego, mniej ważnego powodu.

– Tak, Wasza Dobroczyńność – potwierdził Qilori. – Stoi kilkanaście kroków za moimi plecami, ubrany w formalny strój chissański. – Pozwolił sobie na radosne drgnięcie skrzydełek. – Podróżuje pod przykrywką

eksperta w dziedzinie sztuki, pod przybranym imieniem Svorno. Słyszał też o Nikardunach i bardzo chciałby jednego poznać.

– Och, doprawdy... – odparł Yiv. Symbionty spoczęły na jego ramionach w układzie przypominającym epolety. – Nie rozczarujmy go w takim razie. Przyprowadź go, proszę.

– Tak jest, Wasza Dobroczynność.

Qilori odwrócił się i wrócił do miejsca, w którym czekał Thrawn.

– Chodź ze mną – powiedział. – Generał Yiv Dobroczyńca przyjmie cię teraz.

– Generał Yiv. – Thrawn się skrzywił. – Wojskowy. Prawdopodobnie mało więc wie cokolwiek o sztuce swojej rasy.

– Naprawdę nie wiem. – Skrzydełka Qiloriego wyraźnie się napięły. Thrawn chyba nie zamierzał teraz wycofać się ze spotkania? Konsekwencje tak jawnego afrontu mogłyby być katastrofalne i to nie tylko dla Thrawna i Chissów. – Ale kto wie. Nigdy nie wiadomo, jakie okruchy wiedzy posiadają wojskowi. Powinieneś przynajmniej poświęcić mu chwilę i zapytać.

Thrawn zastanowił się, po czym lekko wzruszył ramionami.

– Dobrze zatem. Choćby i dlatego, że nie mogę powrócić do swoich kwater, dopóki moja... towarzyszka... nie wróci.

– Tak, to... Na pewno uznasz generała za interesującą postać – rzucił Qilori. Towarzyszka... Czy przed chwilą nie nazwał tej kobiety zakładniczką?

To jednak było pozbawione sensu. Jaki zakładnik podróżował dobrowolnie ze swoim porywaczem? Zresztą od kiedy kultura Chissów ma cokolwiek wspólnego z zakładnikami?

– Chodź ze mną.

Yiv czekał w milczeniu, gdy Tropiciel i Chiss się zbliżyli. Na twarzy Nikarduna malował się delikatny uśmiech, z oczu wyzierało nieruchome spojrzenie.

– Wasza Dobroczynność, czy mogę przedstawić mistrza sztuki Svorno z Dynastii Chissów? Mistrzowi Svorno, generał Yiv Dobroczyńca z Przeznaczenia Nikardun.

– Generale. – Thrawn skłonił głowę na powitanie. – Jak rozumiem, jesteś wojskowym?

– Zgadza się, mistrzu sztuki – odrzekł Yiv. – Jak rozumiem, ty nie.

Na ustach Thrawna pojawił się cień uśmiechu.

– Rzeczywiście – powiedział. – Szkoda. Wojskowi rzadko interesują się sztuką. – Gestem wskazał dużą, dekoracyjną tkaninę zwisającą z sufitu i sięgającą prawie aż do posadzki. – Na przykład ten gobelin. Założę się, że nawet nie zwróciłeś na niego uwagi.

– Oczywiście, że zwróciłem – oznajmił Yiv. – Wisi między stołem z mocnymi trunkami i prywatnym wejściem do gabinetu premiera.

– Doprawdy? – Thrawn spojrział na gobelin i skromne drzwi obok. – Skąd wiesz, że to prywatne przejście premiera?

– Ponieważ byłem w tym biurze, oczywiście – odparł Yiv. – On i ja mamy za sobą wiele długich i interesujących rozmów. Czy byłbyś tak dobry i podał mi drinka?

Thrawn odwrócił się w kierunku, z którego akurat nadchodził kelner i zrećźnie zdjął z tacy jeden z rzeźbionych pucharów.

– I premier zaprosił cię do wejścia tymi drzwiami? – zapytał.

– Nie, zawsze byłem wprowadzany przez główne wejście po drugiej stronie – wyjaśnił Yiv. – Mam jednak pewną smykałkę do architektury, było więc dla mnie jasne, że drzwi oznaczone jako prywatne wychodzą do sali zgromadzeń.

– Przypuszczam, że premier chce mieć zapewniony szybki odwrót z nudnych spotkań. – Thrawn powąchał napój, a potem zrobił krok w przód i podał go Yivowi. – Sądzę, że będzie ci smakować.

– Z pewnością – przytaknął Dobroczyńca. Podniósł szklanę do lewego ramienia, obserwując z niedbałym zainteresowaniem, jak wyrostki jednego z symbiontów wślizgują się do środka i próbują płynu. – Tak, mogę sobie wyobrazić, że premier może chcieć od czasu do czasu przemieszczać się niezauważenie pomiędzy publicznymi i prywatnymi spotkaniami. Osobiście uważam za bardziej interesujący fakt, że przejście między tymi dwoma pomieszczeniami jest za długie.

– Co masz na myśli?

– Jest dłuższe, niż powinno, biorąc pod uwagę, jak zaprojektowano te pomieszczenia – stwierdził Yiv. – Mam nadzieję, że moje małe zwierzątko cię nie obraża?

– Absolutnie nie – zapewnił go Thrawn. – Rozumiem, że to wykrywacz trucizn?

– Trucizn i innych niedogodności. – Yiv wzruszył ramionami. Odsunął szklanę od symbionta, przyglądał mu się przez chwilę, obserwując, jak faluje, po czym upił łyk napoju. – Są szybsze i dokładniejsze niż większość

testów nieorganicznych tego typu. Gwarantują również ciekawy temat do rozmowy, gdy zabraknie innych pomysłów.

– Ciekawe, że mówisz o „nich” – powiedział Thrawn. – Zakładałbym, że „to” byłoby właściwszym określeniem.

Yiv zachichotał.

– Widzisz? Już mamy pretekst do dyskusji. Gdybyś miał zgadywać, jak sądzisz, dlaczego premier potrzebuje zbyt długiego korytarza?

– Nie mam zielonego pojęcia – odparł Thrawn. – Być może w ścianę wbudowano ukryte drzwi, prowadzące do dodatkowych pomieszczeń lub schronu. A może dodatkowa przestrzeń jest przeznaczona na posterunek straży, mającej uniemożliwić postronnym korzystanie ze skrótu. Powiedz mi, co widzisz w projekcie gobelinu?

– Nie jestem ekspertem – zaprotestował łagodnie Yiv.

– Przed chwilą pytałeś o moje przemyślenia na temat prywatnych przejść premiera – przypomniał mu Thrawn. – Wydaje się sprawiedliwym, byś teraz ty zaspokoił moją ciekawość

Yiv pociągnął kolejny łyk i przyjrzał się tkaninie.

– Wzór jest symetryczny – zaczął. – Widać kontrastujące ze sobą kolory. Różne zestawy kontrastujących kolorów stają się jaśniejsze, a im niżej się znajdują, przechodzą stopniowo w czerwień i błękit. Frędzle po lewej stronie krawędzi wydają się krótsze od swoich odpowiedników z prawej.

– Krótsze, a ich nitki są też nieco grubsze niż te z prawej – dodał Thrawn.

– Naprawdę? Z tej odległości trudno mi to stwierdzić.

– Przyjrzałem się im wcześniej z bliska.

– Ach – powiedział Yiv. – Całość jest wyraźnie stara, co prawdopodobnie wyjaśnia niedociągnięcia zarówno w projekcie, jak i wykończeniu.

– Z pewnością jest stary – zgodził się Thrawn. – Jednak chciałbym podkreślić, że nieprawidłowości zaprojektowano celowo. Został wyraźnie stworzony przez dwóch różnych tkaczy, jednocześnie ze sobą współpracujących i rywalizujących. To sugeruje, że Vakowie honorują oba te aspekty swojego istnienia i pracując na rzecz jedności, w tym samym czasie celebrują swoją odmienność i wyjątkowość.

– Powiedziałbym, że to uczciwa ocena – przyznał Yiv. – Interesujące. Doszedłeś do tego, przyglądając się zaledwie jednemu gobelinowi?

– W żadnym wypadku – zaprzeczył Thrawn. – Jest tu przecież wiele innych dzieł sztuki. Wszystkie opisują i definiują etos kulturowy Vaków.

A co ty w nich widzisz?

– Widzę to, co wszystkie istoty widzą w innych. Możliwości. Dla ciebie to możliwość poszerzenia swojej wiedzy o sztuce. Dla mnie możliwość poznania nowych przyjaciół we wzburzonym morzu życia, które tworzy Chaos.

– A jeśli Vakowie nie zechcą być przyjaciółmi Nikardunów?

Uśmiech Dobroczynnego przygasł.

– Uznalibyśmy takie odrzucenie za zniewagę.

– Zniewagę, którą trzeba by pomścić?

– Z którą trzeba coś zrobić – poprawił go Yiv. – „Pomsta” to zbyt brutalne słowo. Twoje umiejętności obserwacyjne są imponujące.

– Niektóre rzeczy są oczywiste – powiedział Thrawn. – Na przykład wąsy twojego symbionta, ich wewnętrzna warstwa jest cieńsza niż tych na zewnątrz. Na podstawie ich rytmicznych ruchów zakładam, że te wewnętrzne testują powietrze w ten sam sposób, w jaki zewnętrzne sprawdzają pokarm i napoje?

– To prawda. – Uśmiech Yiva poszerzył się, choć jego oczy pociemniały nieco. – Niewiele osób kiedykolwiek pojęło ten fakt i różnicę między nimi. A nikt nie zrozumiał tego tak szybko.

Qilori dostrzegł kątem oka poruszającą się istotę. Odwrócił się w samą porę, by dostrzec przemykającą obok Chisskę. Thrawn spojrział na nią, przyglądając się uważnie twarzy.

– Lepiej – powiedział. – Ale nie idealnie. Wstaniesz jutro rano godzinę wcześniej i poćwiczysz.

Skłoniła się nisko.

– Tak, panie – powiedziała cicho.

– Kto to jest? – Yiv wskazał na kobietę.

– Osoba bez znaczenia – uciął Thrawn. – Teraz, skoro w końcu powróciła, pora udać się na spoczynek. Dziękuję za twój czas, generale Yiv. Być może będziemy mieli okazję wrócić do tej rozmowy innym razem.

– Tak, mistrzu sztuki Svorno. – Yiv skłonił głowę. – Będę wyczekiwał tej okazji z niecierpliwością.

W milczeniu przyglądał się, jak Chissowie lawirują przez tłum. Wreszcie znów skinął na Qiloriego.

– A więc to on ukradł mój statek z Rapacc – powiedział w zamyśleniu. – Ciekawe.

– Jest bardziej kompetentny, niż się wydaje. – Qilori skrzywił się lekko. Cała ta rozmowa wydawała mu się bezcelowa. Jeśli Yiv miał Qiloriemu za złe zmarnowanie jego czasu...

– Myślisz, że ten pokaz świadczył o niekompetencji? – rzucił pogardliwie Dobroczyńca, wciąż obserwując Chissów. – Że tylko dlatego, iż nie było słychać podniesionych głosów ani wystrzałów, nie stoczyliśmy właśnie bitwy?

– Ale... – Qilori spojrzał w stronę Thrawna, który właśnie wychodził przez sklepienie wrota.

– Zaufaj mi, Tropicielu. – W głosie Yiva pobrzmiwał mroczny ton, a symbionty falowały w niemym wzburzeniu. – Teraz rozumiem tę osobę i jest on dokładnie tak niebezpieczny, jak mi powiedziałaś. Mądrze postąpiłaś, zwracając na niego moją uwagę i przyprowadzając go do mnie.

– Dziękuję, Wasza Dobroczyńność – powiedział Qilori. Wciąż nie miał pojęcia, co się właśnie wydarzyło, ale jeśli Yiv był zadowolony, to na pewno nie zamierzał się wyklócać. – Co zamierzasz z nim zrobić?

Yiv pociągnął łyk swojego drinka.

– Są trzy wyjścia: dorwać go, gdy będzie opuszczał tę imprezę, zrobić to kiedy indziej podczas jego pobytu na Primei lub też wtedy, gdy garwiański poseł będzie wyruszał z powrotem na Solitaira. Wszystkie trzy obarczone są jednak trudnościami i ryzykiem, a ponadto odczuwam w tym momencie niechęć do otwartego wystąpienia przeciwko Vakom czy Garwianom.

– Albo Chissom – ostrzegł Qilori.

– Chissowie są nieistotni – stwierdził pogardliwie Yiv. – Oni reagują wyłącznie wtedy, gdy sami zostają zaatakowani.

– Schwytnie lub zabójstwo starszego oficera mogą odebrać jako taki właśnie atak.

– Tylko jeśli dany oficer ma stopień flagowy, komodorski lub wyższy – wyjaśnił Yiv.

– Naprawdę? – Qilori zmarszczył brwi. – Nie wiedziałem o tym.

– Nie dziwi mnie to – odparł Yiv. – To nie jest coś, o czym mówią otwarcie.

– Zapewne nie chwalą się też podróżowaniem z zakładnikami – dodał Qilori. – A wygląda na to, że tak właśnie robią.

Dobroczyńca ponownie parsknął.

– Wyobrażasz sobie dziwne rzeczy.

– Doprawdy? – bronił się Qilori. – Słyszałem, jak kazał jej iść i poprawić makijaż, który tradycyjnie nakłada właśnie rodzinny zakładnik.

Yiv machnął ręką.

– Oczywiście blef, chce, żebym myślał, że nie wiemy wszystkiego o Chissach. Specjalnie powiedział to tak, żebyś go usłyszał.

– Nie wiedział, że go słyszę.

– To był blef – upierał się Yiv.

Ale w głosie Dobroczyńcy dało się słyszeć wahanie. Thrawn z pewnością mógł przecież go rozgrywać, dokładnie tak, jak wcześniej powiedział.

Ale jeśli nie, jeśli Chissowie naprawdę skrywali przed światem tradycję zakładników rodzinnych, być może istniały też inne, ważniejsze elementy ich kultury, których nie znał.

– Co zatem zamierzasz? – zapytał Qilori.

Yiv spojrzał na niego lodowato.

– Czy stałeś się nagle moim powiernikiem? – zapytał. – Albo też awansowałeś na taktycznego dowódcę Przeznaczenia?

– Błagam o wybaczenie Waszej Dobroczynności. – Qilori aż się skulił. – Pytam jedynie, gdyż decyzja o pochwyceniu go podczas odlotu Garwian może wymagać mojej wiedzy lub zaangażowania.

Yiv przyjrzał mu się z namysłem.

– Masz rację – przyznał. – Dobrze więc, Tropicielu. O ile nie zdecyduję inaczej, nasz plan zakłada przechwycenie garwiańskiego statku pod dowolnym pretekstem, gdy będą opuszczać Primeę. – Skupił wzrok na Qilorim. – Upewnisz się, że nie uciekną w nadprzestrzeń, nim moje statki nie wejdą do akcji.

– Tak, mój panie. – Serce Qiloriego ścisnęło się boleśnie. Dla Tropiciała zostanie częścią takiej operacji stanowiło olbrzymie naruszenie każdej zasady i wytycznej z kodeksu Gildii Nawigatorów. Jeśli to kiedykolwiek wyszłoby na jaw, byłby nie tylko skończony jako Tropiciel, ale w zależności od wyniku operacji, mógłby się równie dobrze znaleźć w rękach kata.

Nie miał jednak wyboru. Jego ciągłe, bardzo prywatne kontakty z Yivem zdążyły już zaprowadzić go niebezpiecznie daleko, poza wszelkie granice. Jeśli Dobroczyńca zdecydowałaby, że jego oswojony Tropiciel nie jest już mu przydatny, Qilori bardzo szybko znalazłby się na kursie prowadzącym do swojego niewątpliwego i ostatecznego końca.

Poza tym, usunięcie Thrawna z drogi byłoby z pewnością dobre. Nikardunów nic i tak nie powstrzyma, a im mniej śmierci i zniszczenia, które będą towarzyszyć ich wyprawie ku chwale, tym lepiej dla wszystkich.

„Tak. Cokolwiek Yiv będzie ode mnie chciał, zostanie wykonane” – zdecydował Qilori.

## Rozdział 12

Ar'alani rzadko widywała wściekłego generała Ba'kifa. A przynajmniej rzadko kiedy wściekał się na nią.

Teraz nadrabiał to z nawiązką.

– O czym pani, do cholery, myślała?! – warknął, a jego spojrzenie mogło stopić ją swoją intensywnością na żużel. – Już samo zezwolenie na oddzielenie gwiazdogatorki od jej opiekunki było wystarczająco złe, a zorganizowanie takiej separacji czyni całą sprawę jeszcze bardziej nielegalną.

– Nieważne – wycedził syndyk Zistalmu, robiąc, co w jego mocy, by dopomóc Ba'kifowi w jego gromiących staraniach. W przeciwieństwie do generała, Ar'alani dobrze znała gniew Zistalmu. – To są drobne sprawy wojskowych i to nie z ich powodu ja i syndyk Thurfian tu jesteśmy. Chcemy wiedzieć, jak mogła pani pozwolić starszemu kapitanowi Thrawnowi, by wtrącił się – ponownie – do polityki Garwian.

– W rzeczy samej – potwierdził Thurfian. W przeciwieństwie do ognistej wściekłości emanującej z pozostałych dwóch przesłuchujących, ton i twarz Thurfiana były lodowate niczym zmrożona powierzchnia Csilli. – Czy Arystokra nie przekazała swojej woli wystarczająco zrozumiale?

– Kapitan Thrawn nie zaangażował się w politykę. – Głos Ar'alani nawet nie drgnął. Nigdy nie wierzyła staremu powiedzeniu, utrzymującemu, że łagodne słowa w końcu pokonają ostre, ale z pewnością nie chciała rozgniewać Ba'kifa lub Zistalmu jeszcze bardziej.

Zwłaszcza gdy Zistalmu dzieliły jedynie nanosekundy od zebrania całej Syndykury w celu rozpatrzenia zarzutów przeciwko niej. W przeciwieństwie do swojej pierwszej oficer, Ar'alani nie miała dostępu do tego rodzaju rodzinnych intryg, które mogłyby jej zapewnić właściwą pozycję do kontraktaku lub chociaż strategię wyjścia.

– Och, doprawdy? – Głos Zistalmu ociekał sarkazmem. – Podróżuje na pokładzie statku dyplomatycznego Garwian, w towarzystwie garwiańskiego posła, do świata, z którym sami nie mamy żadnych powiązań politycznych. I to nie ma nic wspólnego z polityką? Czy Garwianie postanowili zamienić swój korpus dyplomatyczny w kółko rękodzielnicze?

– To misja wywiadowcza – odparła Ar'alani. – Kapitan Thrawn próbuje ustalić, gdzie jeszcze Nikardunowie mogli zdobyć przyczółki...

– Czy ci Nikardunowie zaatakowali Dynastię? – przerwał jej Thurfian. – Czy wykonali jakiegokolwiek ruchy, świadczące o tym, że mogą zaatakować Dynastię?

– Zniszczyli statek uchodźców w jednym z naszych układów.

– Wy tak twierdzicie! – syknął Zistalmu. – Syndykura nie widziała jeszcze żadnych twardych dowodów mogących potwierdzić fakt, że to Nikardunowie są za ten atak odpowiedzialni.

– Wszystko to i tak jest nieistotne – wtrącił Thurfian. – Jeśli nie mamy do czynienia z żadnym atakiem ani bezpośrednim zagrożeniem, nie jest to sprawa wojskowa, ale, jak zauważył syndyk Zistalmu, polityczna. – Przeniósł spojrzenie na Ba'kifa. – Chyba że jest pani gotowa twierdzić, że generał Ba'kif osobiście autoryzował tę misję.

– W żadnym wypadku – odparła szybko Ar'alani. Przynajmniej znała tę taktykę: Zistalmu zarzuca swoją sieć szeroko, w nadziei, że złapie w nią tak wiele osób, jak to tylko możliwe. Ona i Thrawn już się złapali, ale nie miała zamiaru pozwolić, by i Ba'kif został w nią zaplątany. – Jestem jednak pewna, syndyku, że zdajesz sobie sprawę, iż czasami zdarzają się sytuacje, gdy wydarzenia przebiegają zbyt szybko, aby można je skonsultować z przełożonymi.

– Ciekawe stwierdzenie – powiedział Thurfian, a temperatura jego głosu opadła o kolejnych kilka stopni. – Proszę mi powiedzieć, czy Solitairze stracił każdą ze swych triad? Czy Dynastia straciła wszystkie ze swoich triad? Jestem skłonny uwierzyć, że statek w głębokiej przestrzeni może dysponować wyłącznie jednostronną komunikacją, ale gdy Thrawn wylądował na Solitairze, ta wymówka także się zdezaktualizowała. Jeśli nie przekazał raportu na Csillę lub Naporar i nie poprosił o rozkazy, to dlatego, że dokonał takiego wyboru.

– Albo dlatego, że Garwianie postanowili mu to uniemożliwić – wtrącił Ba'kif. Ar'alani wiedziała, że wciąż był zły, ale dostrzegał też, jak obaj syndycy próbują wściubić nos w sprawy wojskowych, a najwyraźniej nie

miał zamiaru wpuszczać któregokolwiek z nich na swoje terytorium. – Syndykura słusznie kwestionuje decyzje kapitana Thrawna...

– Kwestionuje? – warknął Zistalmu.

– ...jednakże ta dyskusja może poczekać, aż kapitan wróci i będzie mógł się sam bronić – kontynuował Ba'kif. – Problem, przed którym stoimy tu i teraz, to pytanie, jak go bezpiecznie stamtąd wyciągnąć.

– Dlaczego mielibyśmy to robić? – zaoponował Zistalmu. – Jego działania są całkowicie nieautoryzowane. Sam się w to wpakował. Sam może więc się z tego wykaraskać.

– Jesteś pewien, że tego chcesz, syndyku? – zapytał Ba'kif.

– Dlaczego nie?

– Bo mówimy o Thrawnie – stwierdził kwaśno Thurfian. – Generał sugeruje, że konsekwencje zarówno polityczne, jak i dyplomatyczne mogą być jeszcze gorsze, jeśli pozwolimy mu postawić na swoim. Lepiej po prostu tam polecieć i go zabrać.

– Cóż, przynajmniej przestałby nas nieustannie zawstydząć – zauważył Zistalmu.

– Nie bądź taki pewien – powiedział Thurfian, przenosząc wzrok na Ar'alani. – Jak dokładnie by to pani zrobiła, pani admirał?

– Bezpardonowo – odparła Ar'alani. – Zabrałbym „Czujnego” na Primeę, skontaktowała się z Vakami i umówiła na odbiór. Jeśli wylecę natychmiast, powinnam zmieścić się w określonych przez Thrawna ramach czasowych.

– A jeśli odmówią oddania go?

– Niby dlaczego mieliby to zrobić? – zdziwił się Ba'kif. – Nie jesteśmy skłóceni z Vakami.

Ar'alani zachowała kamienną twarz. To było prawdą... o ile Vakowie nie znaleźli się już pod kontrolą Nikardunów. W takim przypadku prosta misja, którą proponowała, mogła bardzo szybko stać się bardzo, bardzo nieprzyjemna.

– Co nie oznacza, że oni nie będą skłóceni z nami – zauważył Zistalmu. – Zwłaszcza jeśli uznają Thrawna za szpiega. Ale mniejsza o nich. Co jednak, jeśli ci wasi Nikardunowie przejęli władzę?

– Wiemy już, że nie są jeszcze gotowi na konflikt z Dynastią – przypomniała mu Ar'alani.

Thurfian prychnął.

– Nie ma żadnej potrzeby rozpoczynania konfliktu z nami, skoro mogą po prostu zdmuchnąć statek Garwian z Thrawnem na pokładzie

i stwierdzić, że to wypadek.

– Kolejny powód, by „Czujny” dotarł tam, nim dojdzie do takowego „wypadku” – sapnął ponuro Ba’kif. – Prosimy teraz o wybaczenie, ale musimy przygotować tę misję.

– Oczywiście – uśmiechnął się Thurfian. – Jak tylko rozwiążemy problem gwiazdogatorki „Czujnego”.

Ar’alani się skrzywiła. Miała nadzieję, że o tym zapomnieli.

– Obiecałam opiekunce Che’ri, że się nią zajmę – stwierdziła dobitnie. – Nie widzę powodu, dla którego nie miałabym tego dalej robić.

– Nie widzi pani? – zdziwił się Thurfian. – Jest pani admirałem i dowódcą okrętu klasy Nightdragon i sądzi, że będzie mieć czas na cackanie się z potrzebami dziecka? – Potrząsnął głową. – Nie. Nim będzie pani mogła opuścić Csillę, musimy znaleźć nową opiekunkę.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – wtrącił Ba’kif. – Wszystkie gwiazdogatorki i opiekunki mają już inne przydziały.

– Pan pozwoli, że zaproponuję rozwiązanie – zaoferował się z pomocą Zistalmu. – Moja żona służyła jako opiekunka przez dwa lata, jeszcze zanim się pobraliśmy. Jej akta z tego czasu są nieskazitelne. Proszę przywrócić ją do służby, a razem wejdziemy na pokład „Czujnego”.

– Thalias wybrała mnie – rzekła stanowczo Ar’alani. – Jako oficjalna opiekunka Che’ri, miała ostateczne prawo do przekazania tego obowiązku, gdy dziewczynka znajduje się na pokładzie mojego statku.

– Ale teraz jej nie ma na pani statku, prawda? – odparował Zistalmu.

– Była, kiedy wyznaczyła mnie na swoją zastępczynię – odparła Ar’alani.

– Nie mam zamiaru rezygnować z tego zadania, a ty nie masz władzy, by mi go odebrać.

– Mam wszelkie uprawnienia...

– Dość! – wtrącił Ba’kif. – Syndyku Zistalmu, jak daleko w tej chwili znajduje się pańska żona?

– Może tu być za dwie godziny.

– Proszę ją zatem niezwłocznie wezwać – rozkazał Ba’kif. – Pani admirał, zgadzam się z tym, że zgodnie z regulaminem ma pani słuszność. Ale syndyk Thurfian słusznie przypomina nam o pani innych obowiązkach. Dlatego nakazuję, by żona syndyka Zistalmu dzieliła z panią obowiązki opiekunki i przejmowała je, gdy będzie pani zajęta czymś innym. Jakies pytania?

Ar'alani stłumiła grymas. Ostatnią rzeczą, której pragnęła, była obca kobieta nagle wkraczająca w życie Che'ri – dziewczynka miała już dość problemów w kontaktach z innymi, by rzucać jej kolejne kłody pod nogi.

I absolutnie nie chciała, by jakiś syndyk na jej mostku obserwował każdy jej ruch i niewątpliwie zbierał amunicję do użycia przeciwko niej w przyszłości. Czy Ba'kif nie dostrzegał, że ze strony Syndykury była to kolejna próba wtrącenia się w sprawę floty?

– Żadnych pytań, generale – odparła sztywno.

– Dobrze – powiedział Ba'kif. – Dziękuję za zainteresowanie i wasz wkład, syndycy. Syndyku Zistalmu, ty i twoja żona zgłosicie się na prom admirał Ar'alani za trzy godziny w celu natychmiastowego transportu na „Czujnego”. Pani admirał, czy mogę jeszcze prosić o chwilę twojego czasu?

Ar'alani została tam, gdzie była, z oczami utkwionymi w Ba'kifie, a Zistalmu i Thurfian wyszli z pomieszczenia. Odczekała, aż zamkną się za nimi drzwi...

– Nic nie mów – uprzedził ją Ba'kif, zanim zdążyła się odezwać. – Nie, nie jest idealnie. W zasadzie jest tak daleko od ideału, jak to tylko możliwe.

– Więc dlaczego się na to zgodziłeś?

– Ponieważ nie miałem wyboru – odpowiedział. – Bo gdybym spróbował utrzymać Zistalmu z dala od „Czujnego”, wiązałyby nam ręce procedurami, dopóki Thrawn nie umarłby ze starości. – Przerwał. – I ponieważ wcale nie przekazano ci oficjalnie obowiązków... bo Thalias wcale nie jest oficjalną opiekunką.

Ar'alani zmrużyła oczy.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, jak się wkręciła na pokład „Springhawk”. Sama jest byłą gwiazdogatorką, co ułatwiło jej zadanie, ale nie posiada oficjalnych papierów.

– Ale przecież jest Mitthką. – Ar'alani próbowała uporządkować fakty. – Czy próbujesz mi powiedzieć, że ktoś z powiązaniem i podejrzeniami Thurfiana jeszcze na to nie wpadł?

– Wręcz przeciwnie – stwierdził ponuro Ba'kif. – Najwyraźniej właśnie on pojawił się w ostatniej chwili, by pomóc jej zdobyć to stanowisko.

– Naprawdę? – zdziwiła się Ar'alani. – A czego zażądał w zamian?

– Nie wiem. Ale na pewno czegoś zażądał albo jeszcze zażąda w przyszłości. W przypadku Thurfiana jest to praktycznie pewne. Mógł

przywołać ten fakt w trakcie naszej rozmowy i po sprawie. Jednak tego nie zrobił. Pytanie brzmi: dlaczego?

– Prawdopodobnie dlatego, że wolałby, żeby to ja była związana z naszą gwiazdogatorką, niż przekazać ją całkowicie żonie syndyka Irizi.

– Normalnie bym się z tobą zgodził – powiedział Ba’kif. – Ale na pewno zauważyłaś, że pomimo rywalizacji między ich rodzinami, on i Zistalmu wykazują niezwykłą solidarność w swoich próbach pozbycia się Thrawna z floty, a przynajmniej pozbawienia go jakichkolwiek wpływów. Nie sądzę, by miał problem z tym, że żona Zistalmu przejmie kontrolę nad Che’ri.

– Z kolei pozostawienie Thrawna samego na Primei stanowiłoby trwałe rozwiązanie ich ewidentnego problemu.

– Właśnie – przytaknął Ba’kif. – Nie, sądzę, że cię nie zdradził, ponieważ w takim wypadku Thalias zostałaby wyrzucona ze „Springhawka” po swoim powrocie, a on wciąż chce, żeby coś dla niego zrobiła. Prawdopodobnie jest to właśnie związane z kosztem wprowadzenia jej na pokład. – Machnął dłonią. – Ale to może poczekać. Teraz musimy zabrać Thrawna z Primei, zanim sytuacja się zbyt zaogni.

– Nie martwiłabym się o Thrawna, sir – rzekła Ar’alani. – Oczekuje mnie, oczywiście, ale jeśli się nie pojawię, na pewno sam znajdzie drogę do domu.

– To nie o Thrawna się martwię – rzucił cierpko Ba’kif – lecz o Dynastię, bo możemy znaleźć się w sytuacji, której nie będziemy w stanie odkręcić.

– Rozumiem, sir. – Ar’alani się skrzywiła. – Wutroow już przygotowuje okręt do lotu. Będziemy gotowi, nim Zistalmu i jego żona dotrą na pokład.

– Dobrze – powiedział Ba’kif. – Pilnuj go, Ar’alani. Obserwuj bardzo uważnie. Znam Zistalmu i wiem, że nie naraziłby się dobrowolnie na możliwe niebezpieczeństwo, gdyby nie sądził, że istnieje sposób, aby przełożyć to na korzyść jego i rodziny.

– Proszę się nie martwić, sir – zapewniła go Ar’alani. – W jakąkolwiek grę gra, może odkryć, że jego karty nie są tak dobre, jak sądził.

„Można było postępować właściwie albo niewłaściwie” – zżymał się Qilori, spiesząc w stronę mostka. W tym przypadku, właściwym sposobem postępowania było dotrzymanie harmonogramu, odpowiednie przygotowanie statku i upewnienie się, że kapitan, załoga, a zwłaszcza nawigator poruszali się w stałym, ale zrelaksowanym tempie. Zły sposób stanowił dokładne przeciwieństwo wszystkich tych punktów.

A teraz właśnie wszystko odbywało się w zły sposób.

– Tropiciel?! – zawołał ktoś z korytarza przed nim. – Tropiciel!

– Idę! – odkrzyknął Qilori, przeklinając pod nosem. Cały plan wyeliminowania Thrawna zakładał pojawienie się statku Garwian dokładnie tam, gdzie miał się pojawić i kiedy miał się tam pojawić. Zadaniem Qiloriego było sprawienie, by Garwianie nie zakłócili przebiegu zasadzki.

Ale nawet on nie potrafił przeciągnąć wylotu o cały dzień tylko dlatego, że garwiański poseł postanowił nagle skrócić negocjacje i wcześniej wrócić do domu.

Co miał teraz zrobić?

Gdy przybył na mostek, zastał tam kompletny chaos. Kapitan wykrzykiwał rozkazy, oficerowie i załoga zajmowali swoje stanowiska, przygotowywali i uruchamiali ekrany. W jednym kącie...

Qilori poczuł, jak jego skrzydełka spłaszczają się, gdy szedł w kierunku fotela nawigatora. W jednym kącie stał jeden z Garwian, którego pozostali nazywali po prostu oficerem Frangelikiem. Milczał, obserwując zamieszanie niczym reżyser nadzorujący występ na scenie.

– Jesteś wreszcie! – warknął kapitan, gdy Qilori mościł się na swoim stanowisku. – Jak szybko możesz być gotowy?

Qilori spojrzał na ekrany. Wciąż byli głęboko w studni grawitacyjnej Primei. Przynajmniej kilka minut, żeby odejść wystarczająco daleko, by móc wejść w nadprzestrzeń, około kwadransa, jeśli nie będą się z tym zbyt spieszyc. Gdyby należał na dodatkowe sprawdzenie statusu hipernapędu, silników i systemów środowiskowych zyskałby trochę więcej czasu.

Skrzydełka zeszywniały mu z frustracji. Trochę więcej czasu, jednak w żadnym wypadku nie tyle, ile potrzebował. Jeśli Yiv nie zauważył jeszcze przygotowań do odlotu, Dobroczyńca stracił już jakiegokolwiek szanse na schwytanie lub zabicie Thrawna.

Co niewątpliwie było powodem nagłej zmiany w harmonogramie. Thrawn, poseł, Frangelic – może wszyscy trzej – postanowili wydostać Thrawna z Primei, nim Dobroczyńca rozpocznie swój atak.

W tym momencie uwagę Qiloriego przykuł ruch na wyświetlaczu rufowym. Na horyzoncie za nimi pojawił się okręt flagowy Yiva, „Nieśmiertelny”, lecąc po niższej orbicie i od niechcienia doganiając jednostkę Garwian.

Poczuł, jak jego skrzydełka rozluźniają się nieznacznie. Więc Yiv jednak nie zasnął. Doskonale. Teraz Qilori mógł pozwolić, by Garwianie wychodzili ze studni grawitacyjnej zgodnie z ich własnym harmonogramem. Potem wystarczyło tylko upewnić się, że nie wejdą w nadprzestrzeń, dopóki Yiv nie wykona swojego ruchu...

– Oficerze Frangelicu? – odezwał się Garwianin ze stanowiska łączności.

– Vakowie przysłali odpowiedź na twoje zapytanie. Zakończyli przeszukanie biur dyplomatycznych i kwater gościnnych. Nie znaleźli nigdzie ani mistrza sztuki Svorno, ani jego towarzyszkę.

– Powiedz im, że się mylą – rzucił krótko Frangelic. – Skoro nie ma ich tutaj, to muszą być tam.

Skrzydełka Qiloriego znieruchomiały. Thrawna nie ma na pokładzie? Niemożliwe. Musiał tu być. Skoro jednak nie...

To Yiv na darmo zaatakuję garwiański statek i prawie na pewno zabije wszystkich na jego pokładzie.

– Vakowie są bardzo stanowczy – powiedział oficer łączności. – Szukali wszędzie, gdzie mógł być Chiss. Nie ma po nim śladu.

Qilori wpatrywał się w wyświetlacz, obserwując, jak pancernik Nikardunów stopniowo osiąga zasięg strzału. Musiał zawiadomić Yiva i musiał to zrobić szybko.

Ale nie mógł. Przy tylu Garwianach kręcących się wokół, nie było mowy, żeby mógł niezauważony dostać się do któregoś z paneli komunikacyjnych. A bez dostępu do komunikacji nie dało się rozmawiać z „Nieśmiertelnym”.

A konkretniej, on nie dałby rady rozmawiać z „Nieśmiertelnym”.

– Oficerze Frangelicu! – zawołał, odwracając się do oficera. – Przepraszam, ale pamiętam, że mistrz sztuki Svorno długo rozmawiał z generałem Yivem Dobroczyńcą podczas przyjęcia pierwszej nocy naszego pobytu na Primei. Pamiętam, że pośród spraw, o których dyskutowali, była sztuka Vaków i galerie artystyczne. Być może Dobroczyńca będzie miał jakiś pomysł, dokąd Chiss się mógł udać.

– Być może – powiedział Frangelic. – Komunikacja, słyszałeś?

– Tak, oficerze Frangelicu.

– Połącz się z generałem Yivem – rozkazał Frangelic. – Zapytaj go o Thrawn.

Qilori zrobił głęboki wdech, jego skrzydełka wreszcie się rozluźniły. Thrawn mógł wymknąć się z pułapki Yiva, choć tak naprawdę tylko

odroczył wykonanie wyroku. Nawet jeśli Vakowie nie znaleźli się jeszcze pod pełną dominacją Nikardunów, Yiv miał wystarczająco dużo sił w regionie, aby szybko odizolować Primeę i zatrzymać uciekinierów na planecie. Wcześniej czy później albo on, albo Vakowie ich dopadną.

A poza tym, jak długo para niebieskoskórych może ukrywać się na planecie obcej rasy?

## Rozdział 13

Thalias od początku wiedziała, że plan Thrawna był skazany na porażkę. Ich niebieska skóra w niczym nie przypominała bladobursztynowej karnacji i czarnych, krótkich włosów lokalnej ludności, nie mówiąc już o kontraście między świecącymi czerwonymi oczami Chissów, a łagodnym brązem Vaków. Płaszcz z kapturami, noszone tutaj przez wiele osób, sprawia, że będą się mniej rzucać w oczy, ale Thalias nie miała złudzeń, jak to zadziała na dłuższą metę. W końcu ilu mieszkańców faktycznie używało kapturów, pytała Thrawn, zamiast pozwolić, by promienie słoneczne i wiatr obmywały ich twarze?

Okazało się, że odpowiedź brzmiała: prawie wszyscy.

– Masz po prostu szczęście, że dzisiaj pada – powiedziała, gdy szli z Thrawnem ulicą, a lekka mżawka delikatnie moczyła wierzch ich kapturów. Zbierające się na nich krople skapywały od czasu do czasu.

– Wcale nie – odparł. – Do tej pory zawsze poruszaliśmy się po mieście różnymi pojazdami, w których kaptury były zbędne. Jednak podczas tych kursów zauważyłem, że większość pieszych nosi je przez prawie cały czas, chroniąc się nie tylko przed deszczem, ale i słońcem.

– Więc tak naprawdę jedynym niebezpieczeństwem, w jakim się znajdowaliśmy, było to, że dzisiaj okaże się zaledwie pochmurnie?

Zachichotał.

– Celna uwaga. Ale nawet wtedy noszenie kapturów nie byłoby na tyle niezwykle, by przyciągnąć czyjąś uwagę.

Thalias zajrzała ukradkiem do mijanej restauracji. Wewnątrz, jak zauważyła z niepokojem, wszyscy Vakowie zdejmowali kaptury.

– Tutaj jesteśmy bezpieczni – stwierdziła. – Ale w końcu będziemy musieli wejść do jakiegoś pomieszczenia. Co się stanie wtedy?

– Przekonajmy się – powiedział Thrawn. Złapał ją za ramię i poprowadził w kierunku drzwi ozdobionych wyblakłym szyldem. – Tutaj.

– Co tu jest? – spytała Thalias, wpatrując się w widniejący nad wejściem znak. W ciągu ostatnich dni próbowała nauczyć się pisma Vaków, ale daleko jej jeszcze było do płynnego czytania.

– Mam nadzieję, że odpowiesz – odparł Thrawn.

Znaleźli się przy wejściu, a Thrawn wprowadził Thalias do środka. Zamrugła i pochyliła głowę do przodu, próbując strząsnąć wodę z kaptura na matę pod stopami, po czym uniosła wzrok.

I odkryła, że są w galerii sztuki.

Thrawn szedł już powoli do przodu, a tył jego kaptura poruszał się rytmicznie, gdy obracał głowę, chłonąc wszystko dookoła. Thalias szła wolniej, ukradkiem przyglądając się garstce vackich klientów, przechadzających się wśród sztalug i cokołów lub oglądających draperie i obrazy. Wszyscy mieli odsłonięte głowy – czy widzieli, że ona i Thrawn wciąż nie zdjęli swoich kapturów? Co ważniejsze, czy nie zastanawiali się, dlaczego?

Czyjś ostry głos rzucił kilka słów za ich plecami. Najwyraźniej widzieli i zastanawiali się nad tym.

– Dzień dobry – odparł spokojnie Thrawn w minnisiat, nie odwracając się. – Obawiam się, że nie rozumiem twojego języka. Czy znasz może ten?

Thalias się skrzywiła. Teraz wszyscy się im przyglądali. Tyle, jeśli chodzi o prześlizgnięcie się niezauważonym.

– Znam – odezwał się głos. – Kim jesteś? Czego tu szukasz?

– Przyszedłem zobaczyć sztukę Vaków, a tym samym zrozumieć lud Vak – powiedział Thrawn. – Jeśli chodzi o to, kim jesteśmy... – Zatrzymał się, zsunął kaptur i obrócił się. – Jesteśmy przyjaciółmi.

Ktoś wydał z siebie zduszony dźwięk. Dwóch lub trzech innych wypowiedziało kilka słów, w których pobrzmiwało zaskoczenie, a Thalias usłyszała wyraźnie czyjś szept: „Chiss”.

– Vakowie nie mają przyjaciół – rzekł głos, który odezwał się jako pierwszy. – Ani teraz, ani nigdy przedtem

Thalias odwróciła się, również odsłaniając swoją twarz. Vak, który z nimi rozmawiał, okazał się kobietą, co Thalias wstępnie określiła po rozcięciu jej luźnej spódnico-tuniki – na piersi miała szeroką szarfę, zdobioną podwójnym rzędem misternie rzeźbionych drewnianych kołków. Czy tego typu dodatkowe zdobienia oznaczały, że była kuratorką tej galerii?

– Z pewnością to nieprawda – powiedział Thrawn. – A co z Yivem Dobroczyńcą? Twierdzi, że jest waszym przyjacielem.

– Ludzie twierdzą wiele rzeczy – odparła kustoszka. – Ty też właśnie stwierdziłeś, że jesteście przyjaciółmi. Jednak nie widzę na to żadnych dowodów.

– A widzisz jakieś dowody przyjaźni u Yiva?

– Dlaczego pytasz? – odparowała kustoszka. – Czy chcesz siać niezgodę wśród Vaków?

Thrawn potrząsnął głową.

– Szukam informacji. Przywódcy Kombinatów Vak wydają się być pod wrażeniem Yiva. Widzą jego potęgę i wyobrażają sobie, iż Nikardunowie są szanowani i doceniani. Wierzą, że dołączenie do nich przyniesie Vakom taki sam szacunek. – Podniósł rękę. – Chcę tylko wiedzieć, czy zwykli obywatele podzielają ten pogląd.

– Co możesz wiedzieć o zwykłych obywatelach? – parsknęła kuratorka.

– Tylko trochę – przyznał Thrawn. – Widzę to, co widać w waszej sztuce: że Vakowie dążą do jedności, a jednocześnie pragną uszanować jednostkę. To dobra i właściwa filozofia. Ale ja staram się zrozumieć, jak wpływa na życie zwykłych Vaków.

– Więc staraj się gdzie indziej. To jest miejsce medytacji i sztuki. Nie dam się wciągnąć w dyskusje z obcymi na tematy ważne dla Vaków.

– Rozumiem i spieszę zadośćuczynić twemu życzeniu – odparł Thrawn, biorąc Thalias pod ramię. – Niech twoja przyszłość będzie pełna słonecznego światła i pokoju.

Minutę później dwójka Chissów wróciła na deszcz.

– Cokolwiek chciałeś osiągnąć – zauważyła Thalias – chyba nie wyszło.

– Jak powiedziałem, miałem nadzieję dowiedzieć się więcej o Vakach – powiedział Thrawn. – I być może uświadomić im, że decydując o swoich relacjach z Nikardunami, powinni brać również pod uwagę Chissów.

Thalias prychnęła cicho.

– Nie żeby Syndykura kiedykolwiek kiwnęła choćby palcem, aby im pomóc. Zdajesz sobie również sprawę, że jeśli będziemy spacerować w ten sposób po mieście, równie dobrze moglibyśmy skomunikować się z Yivem i się zapowiedzieć?

– Prawdopodobnie nadejdzie jakaś odpowiedź – zgodził się Thrawn – która również może okazać się korzystna dla nas. Jeśli Nikardunowie będą wystarczająco brutalni w poszukiwaniu nas, Vakowie mogą dostrzec w ich obecności na Primei nieco mniej przyjaźni i ciut więcej dominacji.

– Tylko jeśli dostrzegą to ich przywódcy – powiedziała Thalias. – Wątpię, by klienci galerii sztuki mieli wiele do powiedzenia w sprawach swojego narodu.

Thrawn wychylił się spod kaptura i rzucił jej zdziwione spojrzenie.

– Nie widzisz tego?

– Czego?

Znów schował twarz w cieniu kaptura i przez kilka kroków nic nie mówił.

– Słyszałaś, jak mówiłem kuratorce galerii, że Vakowie szukają jedności, podczas gdy wciąż szanują jednostkę. To prawda. Problem w tym, że ich przywódcy posunęli tę filozofię za daleko. Spędzają tak dużo czasu na rozważaniu wszystkich punktów widzenia – jak rozumiem, nazywają je „liniami myślowymi” – że mają przez to trudności z podejmowaniem decyzji.

– Nie mówisz chyba o wszystkich liniach myślowych – zauważyła Thalias. – Vaków muszą być miliardy. Wszyscy nie mogą być jednakowo ważni.

– Teoretycznie właśnie tak jest – oznajmił Thrawn. – W praktyce jednak liczba ta musi być z pewnością ograniczona. Ale nadal sprawia, że Vakowie podejmują decyzję znacznie dłużej niż większość ras. To wahanie, gdy zbierają się i ważą wszystkie opinie, sprawia, że ich przywódcy wydają się słabi.

– Cóż, pozbędą się tego problemu, jeśli wpuszczą do siebie Nikardunów – skonstatowała ponuro Thalias. – Jediną linią myślową, mającą jakiegokolwiek znaczenie, będzie ta należąca do Yiva.

– To prawda – zgodził się Thrawn. – Właśnie tę myśl spróbujemy zaszcześcić kilku innym obywatelom, zanim Yiv lub służby specjalne Vaków nas wyśledzą. Później – lub wcześniej, jeśli wyda się to rozsądne – wycofamy się do kryjówki, którą przygotowałem dwa dni temu, i zaczekamy tam na admirał Ar'alani.

– Mam nadzieję, że znajduje się w jakimś miłym i cichym miejscu, z dala od kosmoportu – przyznała Thalias. – Yiv prawdopodobnie założy, że pierwszą rzeczą, którą spróbujemy zrobić, będzie kradzież statku.

– Z pewnością tak zrobi – przytaknął Thrawn.

– Więc dokąd idziemy?

Thrawn pochylił się do przodu, posyłając jej uśmiech spod swojego kaptura.

– Do kosmoportu. Ukraść jakiś statek.

Thalias myślała, że albo będą się ukradkiem przemykać, albo może przebiegną w szalonym pędzie przez obszar magazynu poza ogrodzeniem portu kosmicznego. Jednak w obu przypadkach nie umiała sobie wyobrazić, jak ominą sam płot.

Okazało się, że ani się nie skradali, ani nie pędzili. Zamiast tego weszli do dużej skrzynki.

Nie byle jakiej skrzynki. Skrzynka – a właściwie kontener – stała sobie spokojnie z tuzinem jej podobnych przy bramie wjazdowej. Thrawn rozejrzał się uważnie dookoła, gdy do niej dotarli, a potem otworzył jeden z bocznych paneli i wprowadził Thalias do środka.

Jeszcze przed wejściem, po rozmiarze oceniła, że wewnątrz jest dość miejsca, aby pomieścić ich oboje. Nie spodziewała się jednak foteli, zapasów żywności i wody, a nawet prymitywnego, ale sprawnego, choć potencjalnie niewygodnego pomieszczenia higienicznego.

– Przepraszam za jakość zakwaterowania – powiedział Thrawn, uszczelniając wejście. Wewnątrz nie było żadnej lampy, ale starannie ukryte szczeliny umieszczone we wszystkich czterech ścianach przepuszczały zarówno powietrze, jak i światło. – Nie byłem pewien, jak szybko będziemy mogli się tu dostać i czy nie będziemy musieli unikać lub przeczekiwać patroli, więc umówiłem nasz odbiór na pojutrze.

– W porządku. – Thalias przyglądała się pomieszczeniu. – I tak lepsze to niż bycie więźniem na nikarduńskim statku.

– Lub dryfowanie martwo w przestrzeni.

Thalias się skrzywiła.

– Tak, zdecydowanie lepsze. Myślisz, że Yiv właśnie to dla nas zaplanował?

Thrawn wzruszył ramionami.

– Jest z pewnością bardzo pewny siebie. To by sugerowało, że chciałby mnie przed śmiercią przesłuchać. Z drugiej strony, zdobyliśmy jeden z jego statków, a Nikardunowie mogą mieć dość ściśle zasady dotyczące zemsty. Potrzebuję więcej informacji, nim zdołam to ustalić na sto procent.

– Jak dla mnie, lepiej przesadzić z ostrożnością, niż się srodze zawieść – przyznała. – Jak w takim razie znalazłeś ten kontener?

– Nie znalazłem go, zrobiłem – odparł. – A raczej, zrobiliśmy, razem z Dowódcą Obrony Frangelikiem. Pamiętasz, jak poprosiłem go o przesłanie kontenera transportowego na pokład naszego statku?

– Ach. – Teraz sobie przypominała. – Powiedziałeś, że będziemy go potrzebować podczas podróży powrotnej.

– I tak właśnie jest – zauważył. – Złożyliśmy to wspólnie podczas podróży na Primeę, a kiedy poznaliśmy protokoły wysyłkowe Vaków, przygotowaliśmy go do transportu.

– Robiłeś już takie rzeczy wcześniej?

Thrawn się uśmiechnął.

– Nie. Ale nie wyglądało to na nic trudnego.

„O ile zadziała” – pomyślała Thalias.

– Więc dokąd nas wysyłają?

– Po prostu przewiozą nas przez ogrodzenie – wyjaśnił. – Statek, na który mamy być dostarczeni, jeszcze tu nie dotarł, ale kiedy tak się stanie, będzie musiał szybko odlecieć w dalszą drogę. Standardowy wzorzec zachowania Vaków w takich okolicznościach zakłada zebranie wszystkich kontenerów transportowych w pobliżu wyznaczonego obszaru lądowania, aby załadunek zajął jak najmniej czasu.

– Dobrze. – Zmarszczyła brwi. – Więc lecimy na jakąś obcą planetę?

– Wcale nie – zapewnił ją. – Kiedy minimy zabezpieczenia, wybierzemy odpowiedni moment i wejdziemy na pokład jednego z myśliwców patrolowych ustawionych tuż za ogrodzeniem. Są przeznaczone do patroli dalekiego zasięgu, więc na pokładzie powinno być dużo miejsca. Tam możemy poczekać na admirała.

– A potem co? Po prostu lecimy i się z nią spotykamy?

– Zasadniczo tak – przytaknął Thrawn. – Chociaż po drodze może pojawić się jakaś komplikacja czy dwie.

– Na przykład, gdyby na pokład wszedł ktoś inny i chciał polecieć patrolowcem?

– Jeśli tak się stanie, zachęcimy ich do opuszczenia jednostki.

– Czy tego zechcą, czy nie?

– Nie martw się, nikogo nie skrzywdzimy – zapewnił ją. – Twoja powściągliwość w takich sprawach dobrze o tobie świadczy.

– Po prostu nie lubię atakować kogoś na jego własnej planecie – mruknęła. – Szczególnie biorąc pod uwagę całą tę nieinterwencyjną politykę Dynastii.

– To właśnie miałem na myśli, mówiąc o twojej powściągliwości – odparł Thrawn. – Tak czy siak, nie będzie to problemem. Mam odrobinę mgiełki tava w aerozolu, więcej niż trzeba, by wypełnić kokpit patrolowca.

Thalias zmarszczyła brwi.

– To ten narkotyk do lunatykowania?

Tym razem to Thrawn zmarszczył brwi.

– Kto to tak nazywa?

– Ludzie w mojej starej szkole – wyjaśniła Thalias, przewracając oczami na samo wspomnienie. – Kiedyś kilkoro wypuściło mgiełkę w klasie tylko po to, żeby zobaczyć, jak wszyscy zachowują się niczym śliniace się głupki. Kilka godziny nieszkodliwej zabawy, jak sędzę.

– Efekt nie utrzymuje się przez wiele godzin – zapewnił ją Thrawn. – Najwyżej godzinę. I jest zupełnie nieszkodliwy.

– Chyba że robisz coś trudnego. Na przykład latasz myśliwcem patrolowym?

– Wyniesiemy ich na zewnątrz i z dala od patrolowca na długo przed odlotem – obiecał Thrawn. – A dla nas mam filtry nosowe, dzięki czemu mgiełka nas nie otumani.

– Nieźle – uznała Thalias, przyglądając mu się uważnie. – Czy zawsze nosisz takie rzeczy przy sobie?

– W obliczu nieznanego zawsze warto przygotować zabezpieczenie – odparł. – Wiedziałem, że będziemy musieli ukraść statek, więc odpowiednio się przygotowałem. Nie martw się, damy radę.

– Dobrze – powiedziała Thalias. Sama nie czuła się aż tak pewnie, ale była gotowa mu zaufać. – Czy mogę już zmyć ten makijaż? Musi ważyć z pół kilo.

– Właściwie to raczej jedną trzecią – poprawił ją. – I nie, lepiej go zostaw. Zawsze istnieje ryzyko, że zostaniemy odkryci, a wtedy będziesz musiała dalej grać swoją rolę.

– Dobrze – zgodziła się niechętnie. Pomijając ciężar, zaczęła już się przyzwyczajać do wzorzystej skorupy. Tym, czego naprawdę nienawidziła, była sama koncepcja reprezentowana przez makijaż, a także rola nerwowej zakładniczki, którą musiała odgrywać, gdy go nosiła. – A więc przed nami półtora dnia. Pewnie nie przyniosłeś kart.

– Właściwie to owszem – odparł. – Ale pomyślałem, że najpierw porozmawiamy.

– O czym?

– O tym, dlaczego poprosiłaś o wejście na pokład „Springhawk”.

Ostrzegawczy dzwonek zabrzmiał w głowie Thalias.

– Przybyłam, żeby opiekować się Che’ri – powiedziała ostrożnie.

– Dlatego znalazłaś na pokładzie. Ale to nie z tego powodu poprosiłaś o zezwolenie. Jeden z moich oficerów poinformował mnie, że Mitthowie wysłali cię do zbadania mojej wydajności jako dowódcy „Springhawk”. Czy to prawda?

Poczuła, jak jej dłoń zaciska się mimowolnie w pięść.

– Zakładam, że tym oficerem był kapitan Samakro?

– Czy ma znaczenie, skąd pochodzą informacje?

– Może – powiedziała Thalias. – Czy podał powód, dla którego ci o tym powiedział?

– Nic konkretnego – przyznał Thrawn. – Wydaje mi się, że martwi się o spójność w strukturze dowodzenia, gdy w grę wchodzi sprawy rodzinne.

– Może tak twierdzi. Ale zgaduję, że sam ma nadzieję na jakąś rodzinną ingerencję.

– W jakim celu?

– By Mitthowie uznali, że nie chcą, abyś dowodził „Springhawkiem” i by Ekspansyjna Flota przesunęła cię gdzieś indziej – rzuciła. – To otworzyłoby Samakro drogę do odzyskania dowództwa.

– Twoja analiza zawiera kilka błędów logicznych. Po pierwsze, Dziewięć Rodzin nie ma wpływu na decyzje wojskowe. Po drugie, kapitan Samakro nie ma powodu, by życzyć sobie dowodzenia „Springhawkiem”. Przy jego doświadczeniu i możliwościach, z pewnością dostanie bardziej prestiżowy okręt niż zwykły ciężki krążownik.

– „Springhawk” jest dość prestiżowy – zauważyła. – Być może bardziej, niż sądzisz. Ale nawet gdyby tak nie było, rodzina Ufsa nadal chce go z powrotem. Został im odebrany, a oni słyną z tego, że czują urazę do wszystkiego, co postrzegają jako polityczną porażkę.

– Rozumiem.

Thalias przyjrzała mu się uważnie w przyćmionym świetle wpadającym przez szczeliny w ścianach kontenera. Po drobnych zmarszczkach przy brwiach widać było, że nie, zupełnie nie rozumie.

– Ale odpowiadając na twoje pytanie, to nie, Mitthowie mnie tu nie przysłali. – Ostrożnie dobierała słowa. – Tak naprawdę to rodzina przez cały czas rzucała mi kłody pod nogi. Po prostu miałam szczęście, że udało mi się dołączyć do statku jako opiekunka, a nie obserwator rodzinny.

– Ciekawe. Czy podali jakiś powód, dla którego nie chcieli cię jako obserwatorki?

– Właściwie niczego nie wyjaśnili, w taki czy inny sposób – przyznała. – Po prostu cały czas piętrzyli przede mną nowe przeszkody. Kolejne formularze, które nagle musiałam wypełnić, coraz to inne osoby, które musiałam gonić, aby zatwierdziły moją prośbę, jeszcze inne na Csilli lub Naporarze, które trzeba było wprowadzić w temat. Coś w tym rodzaju.

– Być może myśleli, że nie masz kwalifikacji do zostania obserwatorką – zasugerował Thrawn. – A może inne rodziny się w to wmieszały.

– Jeśli chodzi o inne rodziny, nigdy ich nie widziałam – stwierdziła kwaśno. – Jeśli chodzi o kwalifikacje, mam pełen zestaw: oczy, uszy, mózg. Czego jeszcze potrzebuję?

– To już pytanie do rodziny. Co z kolei prowadzi do kolejnego pytania. Jeśli to nie rodzina zainicjowała twoje przybycie, zrobiłaś to sama. Dlaczego?

Thalias zebrała się w sobie. Przez cały ten czas miała nadzieję, że uniknie tego pytania, ale w głębi duszy wiedziała, że kiedyś się pojawi i uderzy ją z całą mocą.

Oczywiście przygotowała sobie kilka prawdopodobnie brzmiących kłamstw i przez moment kusiło ją, by użyć jednego z nich. Jednak siedząc tutaj i słuchając jego wyważonego głosu wiedziała, że kłamstwa nie przejdą.

– To zabrzmiałoby głupio – ostrzegła.

– Odnutowałem. Kontynuuj.

Przez chwilę milczała.

– Chciałam cię tylko znów zobaczyć – wyznała w końcu. – Ty zmieniłeś moje życie, a ja... Chciałam cię znowu zobaczyć, to wszystko.

Zmarszczył brwi.

– Doprawdy? Jak dokładnie zmieniłem twoje życie?

– Spotkaliśmy się już kiedyś. – Czuła się coraz bardziej niezręcznie. Oczywiście nie pamiętałaby tak nieznaczącego spotkania. – To było dawno temu, pod koniec mojej ostatniej podróży w roli gwiazdogatorki.

– Ach, tak – powiedział Thrawn, wciąż marszcząc brwi. – Na pokładzie „Tomry”, gdy jeszcze byłem kadetem.

– Zgadza się – odetchnęła nieco lżej. Więc jednak ją pamiętał. To nieco łagodziło niezręczność sytuacji. – Rozmawialiśmy, weszła kapitan Vorlip...

– I zakreśliła mną, żeby zobaczyć, czy naprawdę czuję statek tak, jak twierdziłem.

– Tak. Zrobiłeś na niej wrażenie.

– Doprawdy?

– Oczywiście – odparła. – Powiedziała mi później, że...

– Ponieważ wysłała również na Taharim pięćdziesiąt nagan.

Thalias otworzyła szeroko oczy.

– Co zrobiła? Dlaczego?

– Za nieautoryzowane wtargnięcie na obszar dowodzenia „Tomry” – wyjaśnił. – Odrabiałem te nagany przez trzy miesiące.

– Ale... – wykrztusiła. – Ale przecież była pod wrażeniem.

– Być może była pod wrażeniem nawet jako osoba – przyznał. – Być może nawet jako osoba spędzająca całe życie na statkach przemierzających przestrzeń. Ale jako oficer Dynastii Chissów miała obowiązek egzekwowania przepisów.

– Przecież nie zrobiłeś nic złego umyślnie.

– Intencje i motywacje są nieistotne – stwierdził. – Osąd powinien skupiać się wyłącznie na działaniach.

– Pewnie tak – mruknęła, czując, jak skręcają się jej wnętrzności. Więc jego wspomnienie na jej temat już zawsze będzie się wiązało z nieprzyjemnym epizodem w karierze? Wspaniale.

– W jaki dokładnie sposób nasze spotkanie zmieniło twoje życie?

Thalias westchnęła. Ostatnią rzeczą, na którą miała teraz ochotę, było rozwijanie tego tematu. Ale postanowiła powiedzieć prawdę i nie miała już wyjścia.

– Dałeś mi nadzieję. – Te słowa brzmiały dużo głupiej, gdy już wypowiedziała je na głos, niż gdy jeszcze próbowała uporządkować swoje myśli. – To znaczy... Miałam trzynaście lat. Myślałam, że moje życie się skończyło. Powiedziałeś mi, że znajdę nową ścieżkę i że mogę wybrać, jak potoczy się mój los.

– Tak – potwierdził zamyślnym głosem. Nie sympatycznym, nie zachęcającym, nawet właściwie niespecjalnie zaangażowanym. Po prostu zamyślnym.

Thalias długo wyobrażała sobie tę chwilę. Zastanawiała się, co on powie, jak ona odpowie i czy otworzy to nowe perspektywy na jej życie i przyszłość.

A teraz nic. Był zamyślony. Po prostu zamyślony.

Zamknęła oczy, żałując, że nie znajduje się w jakimkolwiek innym miejscu w galaktyce. Nigdy, przenigdy nie powinna była tego robić.

– Miałem starszą siostrę. – Jego głos był niemal za cichy, by go usłyszeć.  
– Miała pięć lat, kiedy zniknęła. Moi rodzice nigdy nie powiedzieli mi, dokąd poszła.

Thalias otworzyła oczy. Wciąż siedział w mroku, dalej pogrążony we własnych myślach.

Ale teraz w jego oczach pojawiło się coś nowego. Odległy, dobrze ukryty, ale nieprzemijający ból.

– Ile miałeś lat?

– Trzy – odparł. – Przez długi czas zakładałem, że umarła i że już jej nigdy nie zobaczę. Dopiero gdy osiągnąłem rangę oficera mostkowego i gdy w końcu powiedziano mi o gwiazdogatorkach, zrozumiałem, co musiało się z nią stać. – Posłał jej blady uśmiech, zabarwiony tym odległym żalem. – I nadal wiem, że jej nigdy więcej nie zobaczę.

– Przecież możesz. – Thalias poczuła niejasne pragnienie pocieszenia go.  
– Gdzieś muszą być jakieś informacje.

– Z pewnością tak jest – przyznał. – Ale większość gwiazdogatorek chce po zakończeniu służby po prostu zniknąć, a Dynastia od dawna honoruje ich życzenia. – Podniósł rękę. – Wszyscy czegoś żałujemy, podobnie jak żywimy różne nadzieje, które jednak nigdy się nie spełnią. Kluczem do satysfakcjonującego życia jest zaakceptowanie tych rzeczy, których nie można zmienić oraz zrobienie czegoś dobrego z tymi, na które mamy wpływ.

– Tak – odparła. Ale tylko dlatego, że czegoś nie można było zmienić, nie oznaczało, że nie należało o to walczyć. Sekrety można było kiedyś odkryć, a nawet Thrawn mógł się mylić.

– Tymczasem możemy odpocząć i zastanowić się nad naszymi dalszymi ruchami. – Wyciągnął z kieszeni talię kart. – Możesz wybrać pierwszą grę.

## Rozdział 14

Czy jest pani pewna – zapytał Zistalmu – że wie pani, co ma zrobić?

Ar'alani odetchnęła głęboko, próbując sięgnąć po resztkę cierpliwości, jaka jeszcze jej została

– Tak, syndyku – zapewniła. – Myślę, że przerabialiśmy to już wystarczająco wiele razy.

– Mówię poważnie – ciągnął, jakby jej nie słyszał. Lub, co bardziej prawdopodobne, nie uwierzył. – Jeśli albo Garwianie, albo Vakowie odmówią wydania go albo zaprzeczą, jakoby cokolwiek wiedzieli na jego temat, zawracamy okręt i wracamy do domu.

– Rozumiem – potwierdziła Ar'alani.

Co nie oznaczało, że się z nim zgadzała. Albo że miała zamiar wykonać tak idiotyczny rozkaz.

Oczywiście, przeciwstawienie się syndykowi Arystokry mogło oznaczać koniec jej kariery. Ale wcześniej tyle razy kładła ją na szalę, że już nawet jej to nie dziwiło.

Tym, co ją zdecydowanie dziwiło, był powód, dla którego zarówno Zistalmu, jak i Thurfian tak jednomyślnie zdecydowali się zniszczyć Thrawna. Rozmyślała nad tym, odkąd tylko opuścili tereny Dynastii i nic nowego nie wymyśliła.

Może nadszedł czas, by coś z tym zrobić.

Spojrzała na stanowisko nawigatora. Che'ri siedziała w swoim fotelu, oddychała powolnie i miarowo, głęboko pogrążona w transie, prowadząc okręt w kierunku Primei. Obok niej stała żona Zistalmu, która nigdy nie podała Ar'alani swojego prawdziwego imienia, zamiast tego nalegając, by wszyscy na pokładzie nazywali ją Babcią. W opinii Ar'alani stanowiło to dość irytującą pozę. Być może dlatego kobieta przetrwała tylko dwa lata na stanowisku opiekunki.

Ale w tej chwili liczyło się tylko to, że przez następną minutę ani ona, ani nikt inny nie mógł się im przysłuchiwać.

– Mam pytanie, syndyku – rzuciła Ar'alani, gdy Zistalmu zaczął się od niej odwracać. – Z czystej ciekawości.

– Tak?

Spojrzała mu prosto w oczy.

– Z jakiego powodu zarówno ty, jak i syndyk Thurfian tak bardzo nienawidzicie Thrawna?

Oczekiwała po nim jakiejś reakcji, jednak, ku jej zaskoczeniu, żaden mięsień w jego twarzy nawet nie drgnął.

– Nareszcie – powiedział spokojnie. – Spodziewałem się, że poruszy pani temat, odkąd opuściliśmy Csillę.

– Przepraszam, miałam inne rzeczy na głowie – odparowała. – Czy mogę zatem poznać odpowiedź?

– Najpierw proszę zadać właściwe pytanie. Nie nienawidzimy Thrawna. Właściwie obaj podziwiamy jego wojskowe zdolności. Opieramy się mu, ponieważ stanowi zagrożenie dla Dynastii.

– Dla Dynastii? – zdziwiła się. – Czy dla rodziny Irizi?

Zistalmu potrząsnął głową.

– Pani tego nie dostrzega, prawda? W takim razie nie ma sensu kontynuować tej rozmowy.

– Wybacz, syndyku, ale mam wszelkie powody, by ją kontynuować – naciskała. – Znajdujesz się na pokładzie „Czujnego”, pod moim zwierzchnictwem i jesteś zobowiązany odpowiedzieć na każde uzasadnione pytanie i być posłusznym wszelkim rozsądnym rozkazom. O ile nie planujesz powołać się na oficjalnie tajne przedsięwzięcia Syndykury – a ja to sprawdzę, jeśli spróbujesz – powiedz mi, w jaki sposób Thrawn stanowi zagrożenie dla Dynastii.

– Wyjście za trzydzieści sekund, ma'am – rzucił ostrzegawczo zza steru Octrimo.

– Przyjęłam. – Ar'alani uniosła brwi, spoglądając w kierunku Zistalmu. – Mów szybko.

– Nie ma czasu na właściwe wyjaśnienia – powiedział syndyk. – Ale doprawdy, pani ich nie potrzebuje. Wystarczająco długo była pani świadkiem kariery Thrawna, by to zrozumieć. Jeśli nie, to dlatego, że postanowiła pani tego nie dostrzegać.

Ar'alani pokręciła głową.

– Nie postarałeś się wystarczająco.

– Tyle wystarczy. – Zistalmu skinął w stronę iluminatora. – Jesteśmy na miejscu.

Ar'alani odwróciła się i zobaczyła, jak wir nadprzestrzeni zamienia się w rozbłyśki gwiazd, a potem w same gwiazdy. Bezpośrednio przed nimi widniała skąpana częściowo w świetle swego słońca planeta, wokół której poruszało się całe mnóstwo statków rozmaitej wielkości.

– Primea, pani admirał – oznajmił Octrimo.

– Widzę czterdzieści siedem widocznych jednostek – dodał starszy komandor Biclian ze stanowiska czujników. – Sprawdzam ich konfiguracje pod kątem czegokolwiek przypominającego garwiańskie konstrukcje.

– Przyjęłam – powiedziała Ar'alani. – Starsza kapitan Wutroow, nadaj sygnał do planetarnego biura dyplomatycznego. Zidentyfikuj nas i przekaz im, że próbujemy dotrzeć do mistrza sztuki Svorno.

– Tak jest, pani admirał – odparła Wutroow. Pochyliła się nad ramieniem oficera łącznościowego i zaczęła cicho mówić.

– Nie mam niczego, co wygląda jak garwiańska jednostka – zgłosił Biclian. – Może po drugiej stronie planety.

– Pani admirał, centralne dowództwo Primei odpowiedziało – przekazała Wutroow. – Twierdzą, że statek dyplomatyczny Garwian odleciał trzy dni temu z całym personelem na pokładzie.

– Proszę bardzo – oznajmił wesoło Zistalmu. – Wygląda na to, że Thrawnowi udało się wydostać bez robienia zamieszania i dramatów. Teraz, jeśli łaska, pożegnajmy się i wracajmy do Dynastii...

– Pani kapitan, poproście o wyjaśnienie – rozkazała Ar'alani. – Chcę dostać wykaz całego personelu tamtego statku. Chcę też kopie wszystkich transmisji wysyłanych do garwiańskiego statku i stamtąd, zanim odlecieli.

– Dlaczego myśli pani, że mają dostęp do tych wszystkich danych? – zapytał Zistalmu. – Albo że nam je przekażą?

– Pani kapitan? – ponagliła Ar'alani.

– Wiadomość dostarczona – potwierdziła Wutroow. – Czekamy na odpowiedź.

– Mamy ruch w przestrzeni – wtrącił Biclian. – Pięć małych jednostek opuszcza orbitę i leci w naszym kierunku, a z powierzchni startuje kolejne osiem patrolowców. Poprawka, dziewięć z powierzchni.

– Statki patrolowe? – Zistalmu był wyraźnie zdezorientowany. – Co oni robią?

– Powinieneś uważniej zapoznać się z raportami Sił Obronnych, syndyku – powiedziała Ar'alani, spoglądając na małe statki ustawiające się pomiędzy „Czujnym” a planetą. – Małe myśliwce to linia nakreślona patykiem na ziemi, ostrzeżenie, że obrońcy mają poważne zamiary.

– Tak, rozumiem tę część – warknął Zistalmu. – Zastanawiam się, dlaczego uważają, że czternaście myśliwców stanowi jakiegokolwiek zagrożenie. Sądzą, że nas odstraszą?

– Oczywiście, że nie – odparła Ar'alani. – Ale wystawienie kilku myśliwców nie wyda się tak prowokacyjne, jak zgrupowanie okrętów. To ułatwia obu stronom wycofanie się, jeśli żadna z nich nie chce walczyć. A jeśli intruz jednak ma ochotę na konfrontację, to obrońcy nie tracą wiele, gdy zniszczy im zaledwie kilka myśliwców.

– Ale nie mamy zamiaru walczyć, prawda? – zapytał Zistalmu mrocznym i złowieszczym głosem.

– Nie, chyba że zostaniemy zaatakowani jako pierwsi – powiedziała Ar'alani. – Kapitanie? Jakaś odpowiedź na moją prośbę?

– Centralne dowództwo twierdzi, że nie posiadają takich informacji – zameldowała Wutroow. – Mówią, że muszą przekierować mnie do ich korpusu dyplomatycznego.

– Mam nadzieję, że właśnie to robią?

– Tak twierdzą. – Wutroow wskazała na ekran taktyczny. – Wygląda na to, że ustawiają się w formacji soczewkowej.

Ar'alani też to widziała. A przynajmniej widziała trzynaście statków patrolowych ustawiających się w formacji. Czternasty posuwał się naprzód, ignorując ostrożniejszą postawę swoich towarzyszy.

– Octrimo, ten myśliwiec na skraju prawej burty zdaje się palić do walki – powiedziała. – Wprowadź nas w dryf w jego stronę. Powoli i spokojnie, niech to nie będzie zbyt czytelne.

– Myśli pani, że to on? – zapytała Wutroow.

– Dowiemy się za minutę – powiedziała Ar'alani, sprawdzając odległość. Patrolowiec znajdował się już prawie w zasięgu. Jeszcze kilka sekund...

Nagle podwójny rozbłysk laserowego ognia wystrzelił z myśliwca wprost w „Czujnego”.

– Trafienie w gniazdo uzbrojenia na prawej dolnej burcie – zameldował zwięźle Biclian. – Niska moc strzału, bez uszkodzeń.

– Przyjęłam.

Zistalmu gwałtownie wciągnął powietrze.

– Co oni robią? Mówiłaś przecież, że nie chcą nas sprowokować.  
– Czujniki celownicze w trybie szybkiego rejestrowania – zameldowała Wutroow.

– Nadciąga modulowany ogień laserowy... – zaczął Biclian.

– Dziękuję, starszy komandorze – przerwała mu Ar'alani. Wiedziała, co wymyślił Thrawn, gdy tylko otworzył ogień do gniazda czujników i miała nadzieję, że zdoła to ogarnąć, nim Zistalmu się zorientuje.

Nie miała tyle szczęścia.

– Jak modulowany? – zapytał syndyk. – Pani admirał? Jak jest modulowany ten laser?

– Jeszcze nie mam pewności, syndyku – zapewniła go Ar'alani. – Będziemy musieli zobaczyć, co pokaże komputer.

– Niech zgadnę. – Zistalmu zmrużył podejrzliwie oczy. – To Thrawn, prawda? W jakiś sposób przekalibrował laser myśliwca tak, by przesłać wiadomość. Czy o to chodzi?

Ar'alani stłumiła przekleństwo. To by było na tyle w kwestii utrzymania syndyka w niewiedzy wystarczająco długo, by sprowadzić Thrawna na pokład.

O utrzymaniu w sekrecie ulubionej metody komunikacji Thrawna też można było już zapomnieć. Do tej pory tylko ona i Thrawn wiedzieli, jak poradził sobie z przekazaniem informacji Garwianom podczas ataku piratów Lioaoin na Stivic lata temu. Oczywiście postanowił wykorzystać tę samą sztuczkę i teraz, wiedząc, że Ar'alani rozpozna ją i będzie w stanie odczytać wiadomość.

Tym, czego nie mógł przewidzieć, była obecność Zistalmu na pokładzie.

Kwestia możliwej roli Thrawna w tamtym incydencie sprzed lat już dawno została zapomniana. Ale wystarczy, że Zistalmu poskłada kawałki układanki, by ktoś sobie przypomniał o tamtej stacji. A skoro Zistalmu i Thurfian we dwóch szukają haków na Thrawna, to może okazać się poważnym problemem.

W tej chwili Ar'alani miała jednak pilniejsze sprawy na głowie. Dwa ze statków patrolowych Vaków wyłamały się z formacji soczewkowej i ściagały teraz statek Thrawna. Póki co nie strzelali, ale najwyraźniej zorientowali się, że ktoś przejął ich myśliwiec i chcieli go powstrzymać. Tymczasem od jej lewej burty, znad planety wyłoniły się dwa znacznie większe okręty Vaków, przesuając się powoli w kierunku „Czujnego”.

Następnie, z prawej burty na ekranie pojawiła się znacznie większa jednostka.

Okręt Nikardunów.

– Okręty Vaków zbliżają się od lewej burty! – zawołała Wutroow. – Dystans bojowy za sto osiemdziesiąt sekund. Statki patrolowe poruszają się w defensywnym szyku soczewkowym. Dystans bojowy za dziewięćdziesiąt sekund.

– Mam obraz – zameldował Biclian. – Drugi czujnik.

Ar'alani spojrzała na wskazany wyświetlacz. Wysyłane przez Thrawna dane zdawały się być schematem jednego z patrolowych statków Vaków.

Uśmiechnęła się szeroko. Schemat zawierał rozmieszczenie całej broni i systemów celowniczych. Wszystko, czego potrzebowała, by wyeliminować patrolowce z walki bez narażania życia ich załóg lub poważnego uszkodzenia samych statków.

– Przygotować lasery – rozkazała. – Celować w czujniki uzbrojenia statków patrolowych. Celuj bardzo ostrożnie, nie chcę żadnych dodatkowych zniszczeń.

– Chwileczkę – wtrącił Zistalmu. – Oszalała pani? Nie może pani zaatakować niesprovokowana.

– Ale przecież nas sprowokowali – zauważyła Wutroow. – Jeden z nich do nas strzelił, pamięta pan?

– To był Thrawn.

– To twoja sugestia – powiedziała Ar'alani spokojnie. – Dopóki to nie zostanie potwierdzone, zakładamy, że zaatakowali nas Vakowie. Kapitan Wutroow, wybierz trzy statki patrolowe i wystrzel...

– Odwołuję ten rozkaz! – warknął Zistalmu. – Zabraniam wszelkich działań. Przygotuj się do wycofania...

– Kontakt! – rzucił Biclian. – Cztery ciężkie krążowniki wychodzą z nadprzestrzeni za nami.

– Przyjęłam – potwierdziła Ar'alani, czując się lekko oszołomiona, gdy zrozumiała, co widzi na ekranie. Faktycznie były to ciężkie krążowniki, ustawione w szyku diamentowej formacji bojowej.

Tyle że to nie były statki Vaków ani nawet Nikardunów.

To byli Lioaoini.

– Zmiana kursu, jeden osiemdziesiąt – rozkazała. – Skierować lasery i sfery plazmowe na nowe cele.

– Statek flagowy Lioaoin nadaje, pani admirał – zawołał oficer łącznościowy. Ar'alani dotknęła przełącznika...

– ...do intruza. – Z głośnika dobiegł głos Lioaoina, jego minnisiat był jasny i zrozumiały. – Zagrożasz pokojowi i bezpieczeństwu Kombinatów Vak. Odleć natychmiast lub zostaniesz zestrzelony.

– Pani admirał – zaczął Zistalmu.

– Cisza! – przerwała mu Ar'alani, stukając w przełącznik komunikacji. – Mówi admirał Ar'alani z pokładu „Czujnego”, okrętu Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej – powiedziała. – Nie mamy złych zamiarów wobec Primei ani Kombinatów. Jeden z naszych ludzi zaginął, jesteśmy tutaj, aby zapytać o jego miejsce pobytu.

Ledwie skończyła mówić, gdy wszystkie cztery krążowniki Lioaoinów otworzyły ogień.

– Osłony w górę! – rzuciła Wutroow. – Cel: lasery wroga.

– Przygotować sfery plazmowe – dodała Ar'alani. W głowie się jej kotłowało, gdy usilnie próbowała zrozumieć, co się, do cholery, właśnie dzieje. Co Lioaoini właściwie robili na Primei, nie wspominając już o otwartym ataku na okręt Chissów?

Wtedy zrozumiała.

Niech szlag trafi Nikardunów.

– Sfery, ognia, gdy tylko będziecie gotowi! – warknęła. – Celować we wszystkie statki Lioaoinów, skoncentrujcie się na gniazdach uzbrojenia.

– Wrogi lasery trafiają w kadłub – poinformowała Wutroow głosem napiętym, ale spokojnym. – Osłony rozprzestrzeniają wiązki w około osiemdziesięciu procentach. Sfery przygotowujemy.

Ar'alani skinęła głową. Odpowiednia liczba wystrzałów plazmowych oraz wystarczająca ilość rozbłysków wgrzających się w elektronikę jonów, a okręty napastników zostaną zneutralizowane.

Jednak nadal potrzebowała pół tuzina strażów, żeby wystarczająco unieszkodliwić którąkolwiek z wrogich jednostek, a ona musiała sobie poradzić z czterema. „Czujny” miał natomiast ograniczoną liczbę sfer.

Chyba że...

– Kontynuuj namierzanie gniazd broni – rozkazała, przeszukując wyświetlacze. Patrolowiec Thrawna wciąż tam był i szybko się do nich zbliżał. Zauważyła, że oba myśliwce Vaków, które go ściagały, zostały w tyle. Widocznie nie chcieli go dorwać wystarczająco mocno, by wlecieć w strefę walki.

Doskonale.

– Octrimo, najlepszy kurs wyjścia?! – zawołała.

– Nie! – zaprotestował Zistalmu. – Teraz, kiedy faktycznie zostaliśmy zaatakowani... teraz chce pani uciekać?

– Zamknij się! – warknęła Ar'alani. – Octrimo?

– Najlepsza trasa wyjścia na lewej burcie – poinformował Octrimo. – Ale ten wektor wrzuci nas w bezpośredni zasięg Trójki i Czwórki.

Okręt Lioaoinów oznaczony numerem cztery był najdalej wysunięty na lewą burtę. Musiała zaryzykować.

– Skoncentrować ogień sfer na Trójce – rozkazała. – Octrimo, poprowadź nas na swój wektor.

– Na Trójce? – wtrącił Zistalmu. – Ale Czwórka jest bliżej...

– Jeśli jeszcze raz będę musiała cię uciszyć, usunę cię z mostka – ostrzegła go.

Zistalmu wybełkotał coś, ale zamilkł.

Ogień laserowy z czterech okrętów Lioaoinów nasilał się, w miarę jak „Czujny” leciał w stronę otwartej przestrzeni na lewo od ich formacji. Napastnicy Trzy i Cztery zaczęli przesuwac się na boki, by zablokować Chissom drogę ucieczki, chociaż wysiłki Trójki były spowalniane przez kaskadę uderzających w jej kadłub kul plazmowych.

Jednak biorąc pod uwagę oskrzydlający ogień z Jedyńki i Dwójki, które nie przestawały ostrzeliwać prawej części kadłuba „Czujnego”, nawet jeden lioaoiński krążownik przed dziobem uczyniłby ucieczkę problematyczną. Prawdopodobnie zarówno Lioaoini, jak i ich nikarduńscy panowie zdawali sobie z tego sprawę i liczyli na to, że Chissowie sobie nie poradzą.

Na ich nieszczęście wszyscy zapomnieli o Thrawn. Vacki patrolowiec przeleciał obok „Czujnego” z pełną prędkością, mknąc przez rozproszony ogień laserowy dochodzący z lioaoińskich okrętów i szarżując prosto w stronę Czwórki. Działa myśliwca bluzgały wiązkami laserowymi. Ar'alani wstrzymała oddech, czekając na odpowiedź Lioaoinów i zastanawiając się, czy zarówno ona, jak i Thrawn poprawnie odczytali sytuację.

Okazało się, że tak. Przez te pierwsze kluczowe sekundy Lioaoini nie odpowiadali ogniem. Najwyraźniej otrzymali rozkaz strzelania do okrętu Chissów, ale mieli unikać starcia z Nikardunami i lokalnymi siłami Vaków. Mogła sobie wyobrazić szaleńcze komunikaty wysyłane przez Lioaoinów na Primeę, pytania pnące się w górę łańcucha dowodzenia, przesyłane następnie na nikarduński okręt, wściekłe korekty rozkazów płynące od

generała głównodowodzącego, prawdopodobnie kierowane bezpośrednio do Lioaoinów, zapewne wysyłane komunikatami zwrotnymi, aby nie dać Chissom potwierdzenia, że Nikardunowie byli w to jakkolwiek zaangażowani...

I gdy cały ten teatrzyk się rozegrał, okręty Lioaoinów otworzyły w końcu ogień.

Ale było już za późno. Chirurgicznie precyzyjny atak Thrawna zdążył unieszkodliwić Czwórkę, rozdzierając skupiska ciężkich laserów statku i oślepiając ich czujniki kontroli ognia. Przez chwilę pozostałe trzy lioaoińskie okręty nadal strzelały, ale gdy „Czujny” wleciał w cień Czwórki, ich broń zamilkła w obawie przed trafieniem towarzysza. Myśliwiec Thrawna zakończył swój szaleńczy rajd i zawrócił w stronę „Czujnego”...

Szarpnął się nagle, gdy ostatni strzał laserowy osmalił jego silniki rufowe.

– Trafienie w patrolowiec! – warknęła Wutroow.

– Wiązka holownicza! – odpowiedziała Ar'alani. – Sprowadź go tutaj!

– Tak jest – potwierdziła Wutroow. – Wiązka włączona... Mam go... Ściągam go.

– Sfery na sterburcie, ostatnia salwa – rozkazała Ar'alani. – Trzymać ich z daleka.

– Okręty Vaków właśnie ruszają w naszą stronę – ostrzegł Biclian.

Był to jednak daremny wysiłek i wszyscy o tym wiedzieli. „Czujny” w ciągu dwudziestu sekund znajdzie się wystarczająco daleko poza studnią grawitacyjną Primei, a Thrawn będzie na jego pokładzie za pół minuty. Jedynymi statkami, pozostającymi wystarczająco blisko, by ich zatrzymać, były krążowniki Lioaoinów, a po połączonym ataku jej i Thrawna również nie mieli ich jak dopaść.

– Gwiazdogatorko Che'ri, przygotuj się! – zawołała.

– Jest gotowa – odparła żona Zistalmu.

Ar'alani się skrzywiła.

– Gwiazdogatorko Che'ri? – zapytała dosadnie.

– Jestem gotowa, pani admirał – odezwała się dziewczynka. Jej potwierdzenie brzmiało ciszej i może trochę bardziej niepewnie niż Babci, ale to ono utwierdziło Ar'alani w przekonaniu, że Che'ri jest faktycznie gotowa.

Ar'alani widziała już opiekunki, które koniecznie chciały wypowiadać się w imieniu swych młodych podopiecznych, zamiast pozwolić im mówić za

siebie. Już wtedy tego nie lubiła.

– Dobrze – powiedziała. – Jak tylko potwierdzimy, że kapitan Thrawn jest na pokładzie, ruszamy. Kapitan Wutroow?

– Już prawie – odparła Wutroow. Dało się słyszeć głuchy łoskot, gdy odłamki kilku rozbitych pocisków Lioaoinów odbiły się od kadłuba „Czujnego” gdzieś w pobliżu iluminatora. Ostatni, desperacki, beznadziejny atak. – Na pokładzie – zameldowała. – Sieci lądowania awaryjnego wystrzelone... potwierdzone przechwycenie... zamykanie wjazdu zewnętrznego... wjazd zewnętrzny uszczelniony.

– W porządku, Che’ri, mamy go – powiedziała Ar’alani. Przebył długą drogę, na której końcu czekały go ogień i huk. Mogła tylko mieć nadzieję, że Thrawn znalazł wszystko, po co tu przybył. – Zabierz nas do domu.

## Wspomnienia IX

— Długo jeszcze? — spytała starsza kapitan Ziara.

— Dwie minuty — odpowiedział spięty oficer siedzący za sterem.

Ziara skinęła głową, krzywiąc się w duchu. Dwie minuty. Od sygnału alarmowego Thrawna minęły dwie godziny bez możliwości komunikacji w nadprzestrzeni, a teraz jeszcze dwie długie minuty. W zależności od tego, jak głęboko w planetarnej studni grawitacyjnej znajdował się liniowiec wycieczkowy, gdy dotarł do niego Thrawn w swoim nowo przydzielonym patrolowcu, Ziara i „Parala” mogły przybyć akurat w samą porę, aby dołączyć do Thrawna i bezradnie obserwować, jak osiem tysięcy istot znajduje ognistą śmierć w gęstej atmosferze planety.

— Wiązki holownicze w gotowości? — zapytała.

— Tak jest, pani kapitan.

— Gotów do wyjścia — oznajmił pilot. — Trzy, dwa, jeden.

Wir nadprzestrzenny zniknął...

A w odległości dziesięciu kilometrów przed nimi rozgrywał się dramat.

Strata tego rodzaju statku była w dzisiejszych czasach rzadkością, co nie sprawiało, że stawała się mniej przerażająca. Wycieczkowiec miał formę ściśniętego cylindra ozdobionego rozpościerającymi się po przeciwnych burtach kadłuba szerokimi skrzydłami w kształcie litery D, gdzie znajdowały się droższe apartamenty. Zanurzał się właśnie głęboko we wzburzoną górną atmosferę trójpłaszczyznowego gazowego olbrzyma, obok którego przelatował. Zostawiał za sobą widoczny ślad, gdy przedzierał się przez rozrzedzone gazy, a ich opór zmniejszał jego prędkość orbitalną i groził spiralnym upadkiem w miążdzące głębiny. Kilkaset metrów przed nim, zostawiając mniejszy ślad, sunął „Boco”, z całych sił starając się ustabilizować liniowiec.

Starął się i przegrywał. Nawet bez sprawdzania liczb Ziara widziała, że sama różnica w masie obu statków uniemożliwiała „Boco” oswobodzenie

wycieczkowca. Tak naprawdę nawet z wiązkami „Parali” mogło się to nie udać.

— Starsza kapitan Ziara. — Głos Thrawna dobiegał z głośnika na mostku. — Dziękuję za szybką reakcję. Dołączysz do mnie przy dziobie liniowca?

— W drodze — odpowiedziała Ziara, gestem wydając sternikowi odpowiedni rozkaz. Ekran czujników rozbłysnął wynikami obliczeń.

Tego się obawiała.

— Ale to nic nie da — dodała cicho. — Nawet razem nie jesteśmy w stanie go wyciągnąć. Czy pasażerowie już opuścili statek?

— Niestety nie — odparł Thrawn. — Gdy silniki siadły, liniowiec był już zbyt głęboko zanurzony w pasach radiacyjnych i magnetycznych, by wystrzelić kapsuły ratunkowe.

— Nadal są na pokładzie?

— Wszystko jest w porządku. Pasażerowie i załoga zebrali się w centralnym punkcie pokładu, za odpowiednimi osłonami.

Ziara syknęła przez zęby. Zupełnie nie to miała na myśli.

— Dobiłeś się do kogoś innego? — zapytała, przebiegając wzrokiem liczby. Jeszcze godzina i nawet cały Nightdragon nie będzie w stanie pomóc wycieczkowcowi.

— Nikt inny nie przyleci — poinformował ją Thrawn. — Proszę, pośpiesz się. Czasu jest niewiele.

— Niewiele? — mruknął ktoś. — Chyba raczej już się skończył.

— Po prostu ustaw nas równolegle do niego — powiedziała Ziara, zastanawiając się, co Thrawn mógł mieć na myśli.

— Na pozycji, pani kapitan! — zawołał pilot.

— Wiązki holownicze włączone — dodała oficer zbrojeniowa. — Status... Nie jest dobrze. Wycieczkowiec wciąż się...

Chwilę później przerwała ze zdumionym westchnieniem, gdy coś gwałtownie szarpnęło „Paralą”.

— „Boco” wyłączył swoje wiązki!

— Zwiększ ciąg — rozkazała Ziara, wpatrując się w wyświetlacz.

„Boco” nie tylko wyłączył wiązki, ale także odwrócił się od „Parali” i wykonywał właśnie ciasny zwrot z powrotem w kierunku wycieczkowca.

A gdy „Boco” ustawił się na pozycji obok liniowca, jego lasery spektralne błysnęły, uderzając w punkty, w których luksusowe skrzydło na lewej burcie łączyło się z centralnym cylindrem.

— Pani kapitan, on ich atakuje! — krzyknął oficer ze stanowiska czujników.

— Nie reagować! — rozkazała Ziara. — Przygotować przekazanie zasilania awaryjnego do silników.

— Ale pani kapitan...

— Powiedziałam: nie reagować! — warknęła Ziara. — Nie rozumiesz? On odciąża statek.

Ledwie skończyła mówić, gdy skrzydło na lewej burcie liniowca oderwało się od kadłuba. Nagła zmiana masy wycieczkowca spowodowała ponowne szarpnięcie wiązek holowniczych, a w efekcie i całej „Parali”. „Boco” już obleciał statek od drugiej strony, ostrzeliwując miejsca łączeń prawoburtowego skrzydła. Ziara patrzyła, przygotowując się...

Skrzydło odpadło i zniknęło w atmosferze planety.

— Zasilanie awaryjne! — rozkazała Ziara. — Zabierz nas stąd.

I choć „Parala” drżała i skrzypiała pod dodatkowym obciążeniem, liniowiec w końcu zaczął się odrywać od planety. Chwilę później nastąpił kolejny, mniejszy wstrząs, gdy „Boco” wrócił na pozycję u boku Ziary i dodał własną wiązkę holowniczą i silniki do wspólnego wysiłku. Powoli, ale systematycznie wyciągali liniowiec z atmosfery i studni grawitacyjnej planety.

Piętnaście minut później było już po kryzysie.

— Dziękuję za pomoc, starsza kapitan Ziara. — Głos Thrawna rozległ się na mostku, gdy oba statki w końcu wyłączyły silniki i odłączyły się od wycieczkowca. — Bez ciebie liniowiec rzeczywiście by przepadł.

— To ja dziękuję za szybkie myślenie — powiedziała Ziara, przyglądając się cywilnemu statkowi. Zniknęły piękne zewnętrzne skrzydła z ich wymyślnymi apartamentami. Bez wątpienia wymyślne rzeczy ich mieszkańców zniknęły wraz z nimi. — Muszę cię jednak ostrzec. Na twoim miejscu nie oczekiwałabym wielu podziękowań od kogokolwiek innego.

— Nigdy nie byłeś na Csilli, prawda? — zapytała, gdy prom skierował się w dół, w kierunku migoczącej, niebiesko-białej powierzchni ojczystej planety Chissów.

— Nie — przyznał Thrawn, spoglądając przez iluminator. — Wszystkie moje szkolenia i odprawy odbywały się w kompleksie Ekspansyjnej Floty na Naporarze.

Ziara spojrzała na jego profil. Mięśnie wokół jego oczu i ust były widocznie napięte.

— Wydajesz się zmartwiony.

— Zmartwiony?

— To taki stan, w którym widzisz wielkie nocołazy czające się na ciebie w przyszłości — wyjaśniła Ziara. — Wiesz, że nie masz się czym martwić, prawda? Właściciele liniowca mogą skrzeczeć, ile chcą, ale faktem pozostaje, że uratowałeś osiem tysięcy istnień. Gdyby nie ty, oni wszyscy byłiby teraz rozmazaną papką.

— Zakładam, że wszystko, co przypomina papkę, dawno już zmieniłoby się w długie pasma rozdrobionych cząsteczek organicznych w prądach atmosferycznych.

— Och, to doskonałe — powiedziała Ziara. — Mogę sobie pożyczyć?

— Bardzo proszę. — Thrawn wskazał planetę. — Nie, po prostu rozmyślałem. Miałem już wcześniej kłopoty, ale nigdy nie zostałem wezwany na przesłuchanie na tak wysokim szczeblu.

— Ponieważ wszystkie twoje nieczne wyczyny miały zasadniczo wojskowy charakter — przypomniała mu Ziara. — Ta dotyczy cywili. Co ważniejsze, jest związana z jedną z Dziewięciu Rodzin. Samo to sprawia, że pojawiaasz się natychmiast na wszystkich politycznych radarach.

— A jednak sugerujesz, że nie muszę się martwić?

— Nie, ponieważ na liście pasażerów znaleźli się Arystokrzy z co najmniej pięciu pozostałych Dziewięciu Rodzin — oznajmiła dobitnie. — Jeśli miałoby dojść do jakichś przepychanek, pięć do jednego to całkiem przyzwoite szanse w boju.

— Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. — Thrawn wskazał głową w stronę iluminatora. — Czy to Csaplar?

Ziara wyciągnęła szyję. Ledwo widoczny zarys wyłaniający się z bezkształtnej powierzchni planety okazał się być ogromnym miastem zanurzonym w lodowej pokrywie.

— Tak — potwierdziła. — Stolica Dynastii Chissów, niegdyś rozkwitające centrum kultury i elegancji. Wylądujemy w kosmoporcie na południowo-zachodnim skraju miasta i przejedziemy kolejką podziemną na zachód, do centrali floty. Nie zobaczysz stąd tego kompleksu, znajduje się głównie pod ziemią.

— Tak, wiem. Mówisz, że Csaplar był kiedyś centrum kultury. Już nim nie jest?

— Niestety nie — odparła Ziara. — Ale kiedyś był naprawdę wspaniały.

— Dziwne. — Thrawn sprawiał wrażenie nieco zdezorientowanego. — Sądziłbym, że siedmiomilionowa populacja miasta z nawiązką wystarczy, by wesprzeć zarówno administrację, jak i sztukę.

— Można by tak pomyśleć — zgodziła się Ziara, rozglądając się od niechcienia po wnętrzu promu. Zbyt wiele osób. Później jednak będzie mnóstwo czasu, by powiedzieć mu prawdę. — Ale nie martw się. Jestem pewna, że znajdziemy sobie tam jakieś zajęcie.

Rozprawa, zgodnie z przewidywaniami Ziary, była krótka i pobieżna. Rodzina Boadilów, do której należał skazany na zagładę wycieczkowiec, wysłała przedstawiciela, który głośno nalegał, by Thrawna ukarano, zdegradowano, a najlepiej w ogóle wyrzucono z Ekspansyjnej Floty Obronnej. Trzy z pięciu rodzin, których członkowie zostali uratowani od śmierci, również mieli tam swoich reprezentantów, sprzeciwiających się oskarżeniom i twierdzących, że Thrawn zasłużył na awans, a nie naganą. W końcu wszystko się zrównoważyło i Thrawn pozostał dokładnie tam, gdzie znajdował się na samym początku.

Z jednym istotnym wyjątkiem. Z jakiegoś powodu, zapewne przez nieokreśloną polityczną przysługę, którą ktoś był komuś winien, patrolowiec Thrawna, pierwsza jednostka pod jego dowództwem, został mu odebrany.

— Tak mi przykro — pocieszała go, gdy jechali kolejką z powrotem do miasta. — Nigdy się nie spodziewałam po flocie, że wyrażą na to zgodę.

— W porządku — powiedział Thrawn spokojnym głosem, ale Ziara słyszała w nim rozczarowanie. — Biorąc pod uwagę, ile milionów kosztowałam Boadilów, żadne z nas nie powinno być zaskoczone ich mściwością.

— Nikogo nie kosztowałeś — wycedziła Ziara. — To nie ty podleciałeś liniowcem zbyt blisko tej planety. Nie ty zignorowałeś inżynierów, którzy ostrzegali, że elektronika może sobie nie poradzić z wiązkami pola magnetycznego. Wreszcie nie ty żyłowałeś silniki i nie ty rozwaliłeś dysze. Na miejscu Boadilów linczowałabym kapitana liniowca, a nie ciebie.

Na to jednak nie było szans. Zdawała sobie z tego sprawę, czując zalewającą ją falę goryczy. Boadilowie mieli polityczne powiązania zarówno z rodziną Ufsa, jak i jej własną — Irizi, a kapitan liniowca był Ufsą. Thrawn okazał się więc jedynym kozłem ofiarnym i stał się celem oraz powodem zakłopotania Boadilów.

— Dziękuję — odparł. — Ale nie musisz się wściekać w moim imieniu. Razem uratowaliśmy osiem tysięcy żyć. I właśnie to jest tu ważne.

Ziara skinęła głową.

— Tak. Bez wątpienia.

— A więc — głos Thrawn znowu przybrał rzeczowy ton — skoro zostałem pozbawiony dowództwa, nie mam już dogodnego sposobu na opuszczenie Csilli. Zakładam, że flota to zauważy i znajdzie dla mnie transport tam, gdzie przydzielą mi kolejne stanowisko.

— Mam nadzieję, że nie będą musieli się przesadnie starać w tej kwestii — powiedziała Ziara. — Już złożyłam wniosek o przeniesienie cię na „Paralę” jako jednego z moich oficerów. Jeśli to zatwierdzą, odleczisz ze mną.

— Dziękuję. — Pochylił głowę w jej stronę. — Zauważyłem kilka hoteli przy kosmoporcie. Mogę sobie tam znaleźć kwatere w oczekiwaniu na nowe rozkazy.

— Mógłbyś — przyznała, w zamyśleniu zaciskając usta. Coś jej właśnie przyszło do głowy...

Wiedziała, że rodzina nie byłaby z tego zadowolona. Ale teraz jej to nie obchodziło. Thrawn został potraktowany niesprawiedliwie, a jeśli nie mogła tego naprawić, chciała mu przynajmniej pokazać, że nie cała Dynastia myśli o nim źle.

— Przyszło mi do głowy coś lepszego — powiedziała. — Mamy przynajmniej kilka dni, a prawdopodobnie nawet tydzień. Dlaczego nie miałbyś udać się wraz ze mną do siedziby Irizi?

— Do waszej siedziby? — powtórzył Thrawn. — Czy obcym w ogóle wolno tam wchodzić? — Mięsień w jego policzku drgnął. — Zwłaszcza obcym z rywalizujących rodzin?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to. Jestem zrodzoną z krwi Irizi oraz zasłużonym członkiem floty, który właśnie pomógł uratować osiem tysięcy istnień. Nie wiem, jak daleko mogę na tym zajechać, ale chętnie się dowiem. Pomożesz mi to sprawdzić?

— Nie wiem — odparł z wahaniem. — Nie chcę, żebyś wpakowała się przeze mnie w kłopoty.

— Tym się nie martwię — rzuciła Ziara. — Czy wspominałam, że mój dziadek był zagorzałym kolekcjonerem sztuki?

Thrawn się uśmiechnął.

— Być może ostatnio o tym nie wspomniałem, Ziara, ale masz talent do wyszukiwania i wykorzystywania słabości przeciwników. Dobrze więc. Czyli jeszcze raz rzucimy się prosto w objęcia niebezpieczeństwa?

— Zdecydowanie — przytaknęła Ziara. — Poza tym właśnie przeżyliśmy spotkanie ze złośliwym olbrzymem gazowym. Serio, jak zła może być moja rodzina?

Teren wokół kosmoportu Csaplar był głośny i ruchliwy, wypełniony Chissami, hotelami, restauracjami i wszelkiego rodzaju centrami rozrywki. Siedziba Irizi znajdowała się około trzystu kilometrów na północny wschód, po drugiej stronie miasta. Ziara załatwiła im dwuosobową ekspresową kolejkę naziemną i wyruszyli.

Przez miasto. Nie — jak zwykle — wokół niego.

Wiedziała, że nie powinna tego robić. Thrawn nie powinien poznać prawdy o stolicy Dynastii — nikt poza starszymi syndykami, oficerami flagowymi i patriarchami Dziewięciu Rodzin nie znał całej prawdy, a wiele tuneli kolejki całkowicie unikało odcinków naziemnych.

Jednak po raz kolejny miała to gdzieś. Flota i Arystokra potraktowały Thrawna po prostu haniebnie, a jej niegasnący gniew z tego powodu przerodził się w osobliwą, ale zaskakująco przyjemną potrzebę buntu.

Poza tym, przypomniawszy sobie, gdy opuszczali port kosmiczny i kluczyli wśród budynków i parków oraz w płataninie pozostałych tuneli naziemnych, ciekawe — oczywiście ze strategicznego punktu widzenia — ile czasu zajmie Thrawnowi zorientowanie się w sytuacji.

Jak się okazało, nie potrzebował go zbyt wiele. Przemierzyli może jedną trzecią rozległej metropolii. Bacznie obserwowała jego wyraz twarzy, gdy patrzył przez okno. Nagle zmrużył oczy.

— Coś jest nie tak — mruknął.

— Co masz na myśli?

— Tu chyba nikogo nie ma — powiedział Thrawn. — Nie od momentu, w którym opuściliśmy kosmodrom.

— Oczywiście, że ktoś tu jest — odparła Ziara, wskazując na inny wagonik kolejki, jadący w oddali równoległe do nich. — Tam są dwie osoby.

— To wyjątek — stwierdził Thrawn. — Inne wagony, które mijaliśmy, były puste.

— Może są po prostu za daleko, abyś mógł zajrzeć do środka. — Ziara czuła się jednocześnie winna i zaskoczona tym, jak bardzo bawiła ją ta gra.

— Widzisz przecież, że zewnętrzne powłoki wagonów odbijają światło.

— Nie — zaprzeczył. — Puste wagony suną po szynach wyżej niż pełne. Minęliśmy też trzy stacje przesiadkowe, na których nie było ani wagonów, ani oczekujących pasażerów. — Odwrócił się, wpatrując się w nią tak nagle i intensywnie, że odruchowo cofnęła się odrobinę. — Co się stało z naszą stolicą, Ziarno?

— To samo, co z całą planetą — odparła cicho. — Przepraszam, nie powinnam była ci tego robić. Ale nie powinieneś o tym wiedzieć.

— O czym? Że mieszkańcy Csilli zniknęli?

— Och, nie zniknęli — wyjaśniła. — Cóż, tak, większość odeszła, ale wielki exodus wydarzył się ponad tysiąc lat temu. To, czego uczyli cię w szkole o tym, jak zmiany natężenia promieniowania słonecznego i powolne zamarzanie powierzchni zmusiło populację Csilli do zejścia do podziemi, jest w większości prawdziwe. Nie mówi się o tym, że liczba osób, które zostały przeniesione pod ziemię, była bardzo daleka od czterech miliardów, które w tamtym czasie tu mieszkały.

— Gdzie oni się podziali?

— Na innych planetach. Głównie na Rentorze, Avidichu i Sarvchi. Syndykura i siedziba floty zostały tutaj, wraz z wieloma obiektami towarowymi i handlowymi. Niektóre rodziny przeniosły swoje siedziby na światy, na których już i tak były silnie obecne, ale większość nie chciała całkowicie opuścić Csilli.

— Przenieśli się też pod ziemię?

— Zgadza się — przytaknęła. — Nowa siedziba mojej rodziny... cóż, nowa od tysiąca lat, znajduje się w ogromnej jaskini około dwa kilometry pod powierzchnią. Wciąż na tym samym obszarze, oczywiście. Irizi mają drobną obsesję na punkcie terytorium i historii.

— Więc ile osób faktycznie mieszka na Csilli?

— Sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt milionów — odparła. — Chociaż wszystkie urzędowe dane mówią o ośmiu miliardach. — Wskazała na otaczające ich miasto. — Cała reszta jest tylko na pokaz.

— Dla kogo?

— Naszych gości — wyjaśniła. — Naszych obcych partnerów handlowych. — Poczła nagły ucisk w gardle. — Naszych wrogów.

— Więc nieliczni nadal żyją na powierzchni, aby podtrzymać iluzję — mruknął Thrawn. — Są zaopatrywani w światło i ciepło. Wagony kolejki nadal jeżdżą po pozostałych miastach, pozorując ruch uliczny kwitnącej

populacji. — Spojrzał na Ziare. — Zakładam, że po drugiej stronie miasta nasz wagon wjedzie do jednego z tuneli?

Skinęła głową.

— W Csaplarze jest w każdej chwili kilkaset osób. Często się zmieniają, by nie musieć zbyt długo radzić sobie z panującymi tu warunkami. Reszta miasta, prawdziwe miasto, znajduje się w jaskiniach, skupionych głównie wokół kompleksu Syndykury. Jeszcze więcej iluzji dla naszych gości.

— I oczywiście większość cywilnych gości i kupców pozostaje blisko jednego z kosmoportów — powiedział Thrawn, kiwając głową. — Ruch tam i wokół kompleksu rządowego ukrywa ziejącą pustkę reszty miasta.

— Zgadza się. Teraz zapewne zapytasz, dlaczego to wszystko stanowi tak wielką tajemnicę.

— Wcale nie — zapewnił ją Thrawn. — Rozumiem strategiczne zalety wmanewrowania potencjalnego wroga w marnowanie ogromnej ilości siły na zdobycie tego, co jest właściwie pustą skorupą. — Spojrzał jej prosto w oczy. — Moje następne pytanie brzmi: dlaczego mi to wszystko powiedziałaś? Moja pozycja nie jest wystarczająco wysoka, by mieć dostęp do tego rodzaju niejawnych informacji. Zwłaszcza po dzisiejszym dniu.

— Powiedziałam ci, bo żyjesz informacjami — odparła. Jej dyktowany gniewem bunt zaczynał wygasać, ustępując miejsca odrobinie dyskomfortu. Przepisy były jasne: oficerowie w takim stopniu, jakim obecnie mógł się pochwalić Thrawn, nie mieli prawa wiedzieć o tym, co mu właśnie pokazała. — Im więcej wiesz o sytuacji, tym lepiej opracowujesz strategię i taktykę niezbędną, by sobie z nią poradzić. I tak już niedługo dochrapiasz się odpowiednio wysokiego stanowiska. — Wydeła usta. — Kiedy tak się stanie, spróbuj udawać zaskoczonego.

— Tak zrobię — obiecał. — Mówiąc o niespodziankach, czy twoja rodzina wie, że przyprowadzasz gościa?

Ziara pokręciła głową.

— Nie, ale to nie będzie problemem.

Thrawn uniósł lekko brwi.

— Tak sądzisz.

— Tak — przyznała Ziara. — Tak sądzę.

## Rozdział 15

Przepisy były jasne.

„Czujny” został zaatakowany przez siły Reżimu Lioaoin. Napastnicy przedstawili się sami, usuwając wszelkie wątpliwości dotyczące tego, czy mogli być piratami, korsarzami czy jeszcze jakąś inną nieoficjalną i nieautoryzowaną grupą. Rada Hierarchii Obronnej przewidziała pewne konkretne odpowiedzi na taką sytuację, podobnie jak Arystokra i Syndykura. Przepisy były jasne.

Co nie znaczyło, że którakolwiek z tych grup wykazywała się nadmiernym entuzjazmem, wykonując swoje obowiązki.

– To szaleństwo – powiedział drugi oficer Kharill.

Samakro spojrział przez iluminator na kłębiący się wir nadprzestrzeni. Osobiście nie mógł bardziej zgadzać się z oceną swojego podwładnego.

Ale Kharill był jego podwładnym, a Samakro pierwszym oficerem „Springhawka” i do jego obowiązków należało tłumienie takich rozmów na pokładzie okrętu.

– Starożytni filozofowie zgodziliby się z tobą – przyznał. – Z drugiej strony większość tych samych filozofów powiedziałyby, że wszystkie wojny to szaleństwo. Doprowadź to do logicznego ekstremum i wszyscy zostajemy bez pracy.

– Być może – odparł Kharill. – Nie mogę jednak powiedzieć, że miałbym coś przeciw kilku latom pokoju.

– To zależy od bezpośredniej przyczyny takiego pokoju – rzekł Thrawn zza ich pleców. – Dzień dobry, panowie.

– Dzień dobry, starszy kapitanie – przywitał go Samakro, pospiesznie wstając z fotela dowódcy i odwracając się, gdy Thrawn wchodził na mostek.

Ku jego lekkiemu zdziwieniu, Thrawn nakazał gestem, by usiadł z powrotem.

– Nie przejmuję twojej wachty, kapitanie – powiedział. – Zajrzałem tylko, aby sprawdzić nasze postępy.

– Lecimy zgodnie z planem, sir – zameldował Samakro, spoglądając na stanowisko nawigatora. Che’ri siedziała wyprostowana na swoim miejscu, nie wykazując żadnych subtelnych oznak gwiazdogatorskiego zmęczenia, które wymagałoby powrotu do normalnej przestrzeni i pozwolenia jej na odrobinę odpoczynku.

Natomiast Thalias, trzymająca straż za plecami dziewczynki, chwiała się na nogach, najwyraźniej zasypiając na stojąco.

Jednak ona poleciała z Thrawnem na ojczystą planetę Vaków, Primeę, i była świadkiem wszystkiego, co się tam wydarzyło. To sprawiło, że znalazła się w samym środku tych samych nużących posiedzeń Rady i przesłuchań Syndykury, przez które musieli przejść Thrawn i Ar’alani. W tej sytuacji Samakro był lekko zaskoczony, że młoda kobieta w ogóle trzymała się jeszcze na nogach.

– Doskonale – pochwalił go Thrawn. Kątem oka Samakro widział, jak i on przygląda się Che’ri, dokonując własnej wizualnej oceny jej stanu i dochodzi do tych samych wniosków. – Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że taki pokój może mieć różne odcienie?

– Sir? – Samakro zmarszczył brwi.

– Nawiązuję do tematu poruszonego przez starszego komandora Kharilla – wyjaśnił Thrawn. – Jeżeli Dynastia zostałaby podbita, a nasze miasta obrócone w pył, mielibyśmy pokój.

– Nie to sugerowałem, sir – rzekł sztywno Kharill.

– Wiem o tym – zapewnił go Thrawn. – Ale to byłaby koncepcja pokoju jednego zdobywcy. Inny zdobywca może wolałby, by Chissowie pozostawali pod jego nieustającą kontrolą, by słuchali jego rozkazów bez pytania. Dla niego też byłaby to jakaś wersja pokoju.

– Chodziło mi raczej o taki pokój, podczas którego nikt do nikogo nie strzela – powiedział Kharill.

– Takiego pragnie większość cywilizowanych ludów – odparł Thrawn. – Ale jak go osiągnąć?

– Nie wiem, kapitanie – stwierdził Kharill. – Nie jestem filozofem.

Przez chwilę Thrawn przyglądał mu się w milczeniu. Następnie lekko skłonił głowę.

– Rozumiem. Sprawdź, proszę, stan magazynowy sfer plazmowych. Podejrzewam, że w najbliższym czasie będziemy ich potrzebować.

– Tak jest! – Kahill z wyraźną ulgą ruszył przez mostek w kierunku stanowiska uzbrojenia.

– To dobry oficer, sir – powiedział cicho Samakro.

– Wiem – zgodził się Thrawn. – Jego główną wadą jest brak ciekawości.

– Powiedziałbym, że nie ma wyobraźni.

– Wszystkie istoty posiadają wyobraźnię w tym czy innym stopniu – skomentował starszy kapitan. – Można ją podsycać i pielęgnować, a czasem można nią zabłysnąć w stresujących momentach. Ale ciekawość to kwestia wyboru. Niektórzy chcą ją posiadać. Inni nie. Jak osiągnąć pokój, którego on pragnie?

– Oczywiście poprzez wzajemny szacunek i dobrą wolę wszystkich istot.

– Samakro pozwolił sobie na ironiczny uśmiezek.

Thrawn odwzajemnił uśmiech.

– A jak osiągnąć ten szacunek?

Samakro spowaźniał.

– Udowadniając ponad wszelką wątpliwość, że Dynastia może zareagować i zareaguje na atak z przytłaczającą mocą.

– To prawda – zgodził się dowódca – Właśnie dlatego ta misja nie jest szaleństwem, ale raczej koniecznością.

– Tak jest, sir – odparł Samakro. – Sądzę jednak, że komandor Kharill miał na myśli nie tyle filozofię, ile wątpliwość, dlaczego na misję wysłano zaledwie dwa statki.

– Nie wierzysz, że „Springhawk” i „Czujny” okażą się godnym przeciwnikiem dla sił obronnych macierzystego świata Lioaoinów?

Samakro się zawahał.

– Szczerze mówiąc: nie, sir.

– Być może pomoże pełniejsze zrozumienie sytuacji – rzekł Thrawn. – W grze biorą udział cztery różne grupy, z których każda ma własne interesy i cele. Pierwsza to Nikardunowie, którzy chcieli schwytać lub zniszczyć admirała Ar'alani nad Primeą, ale nie chcieli, by zemsta Dynastii spadła na nich lub na Kombinat Vak. Dlatego generał Yiv wezwał siły z Reżimu Lioaoin, aby dokonały ataku i poniosły owo ryzyko.

– Sądziłem, że nie ma dowodów na ich sojusz.

– Skoro tak, to musisz założyć, że Lioaoini przebyli całą drogę na Primeę, by zaatakować okręt Chissów, o którego przybyciu nie mogli wiedzieć.

Samakro się skrzywił.

– No tak, rozumiem, co ma pan na myśli.

– W ten sposób Yiv osiągnął pierwszy ze swoich celów, choć ryzykował przy tym stratę sojusznicznych sił Lioaoi-nów – ciągnął Thrawn. – Teraz jego drugim celem, gdy już zwrócił nasz gniew na Lioaoinów, jest sprawdzenie, jak daleko Dynastia posunie się w działaniach odwetowych. To pomoże mu w ewentualnej rewizji własnych planów, zakładających ostateczną wojnę przeciwko nam.

– Co oznacza, że wysłanie tylko dwóch statków nie było dobrym posunięciem Rady – zauważył Samakro. – Sprawia, że będziemy wyglądać na słabych lub niezdecydowanych.

– Yiv może rzeczywiście tak właśnie to zinterpretować – zgodził się Thrawn. – Ale może także uznać to za przejaw naszej niezachwianej pewności, że dwa okręty Chissów wystarczą, by przekazać tę niezbędną wiadomość. Dodatkowo pamiętajmy o Lioaoinach, w których interesie leży ograniczenie wyrządzonych Reżimowi szkód do minimum.

– Ale ich interes nas nie obchodzi.

– Może nie – przyznał Thrawn. – Jeśli jednak uda nam się zachować równowagę między maksymalizacją przekazu i minimalizacją naszych szkód, Lioaoini mogą zapamiętać tę zachowawczość na przyszłość.

– Zakładając, że po prostu nie zwrócą przeciwko nam tych okrętów, których im nie zniszczymy – ostrzegł Sa-makro.

– To tylko kolejny powód, by pokonać Yiva i pozbawić go kontroli nad regionem tak szybko, jak to możliwe – stwierdził ponuro Thrawn. – Przecież Lioaoini nie ruszyliby przeciwko nam bez presji ze strony Nikardunów.

– Ale Syndykura musi najpierw uznać Yiva za prawdziwe zagrożenie – zauważył Samakro. Choć, szczerze mówiąc, sam nie był do końca przekonany, czy ze strony Nikardunów groziło im prawdziwe niebezpieczeństwo. Od pożerania młodych kociaków, takich jak Reżim Lioaoin, była długa droga do ścierania się z nocołazem pokroju Dynastii Chissów. – Jeśli mamy zatem zrealizować oba cele strategiczne, musimy wyrządzić trochę szkód, samemu nie dając się zestrzelić.

– Tak jest – zgodził się Thrawn. – admirał Ar'alani wierzy, że jesteśmy w stanie osiągnąć taką równowagę.

– Chwileczkę. – Samakro zmarszczył brwi. – Chce pan powiedzieć, że admirał Ar'alani sama poprosiła tylko o dwa statki? Myślałem, że to syndycy podjęli taką decyzję.

– Och, byli wniebowzięci, mogąc zgodzić się na taką propozycję. Ale wystosowała ją admirał.

– Cieszę się, że choć ona w nas wierzy – mruknął Sa-makro.

– Wierzy. – Thrawn przechylił głowę. – Istnieje jednak jeszcze jeden powód, aby nasze siły były tak niewielkie, ale tym razem to powód taktyczny. Jak myślisz, jaki?

– Nie mam pojęcia.

– Pomyśl – nalegał Thrawn. – Masz wiedzę i perspektywę. Użyj ich do rozwiązania problemu.

Samakro stłumił grymas. A więc tak obracała się przeciwko niemu sugestia, że Kharillowi brakuje wyobraźni.

Choć trzeba było przyznać, że samo pytanie brzmiało intrygująco. Dwa okręty Chissów... nieznana liczba przeciwników... powód taktyczny...

– Z pewnością będzie łatwiej ocenić taktykę Lioaoinów, jeśli będą strzelać tylko do dwóch celów – odpowiedział, ociągając się i próbując zyskać na czasie. Dwa okręty Chissów...

– Właśnie. – Thrawn skinął głową. – Dobra robota, kapitanie.

Samakro zamrugął.

– I to tyle?

– Oczywiście. Kwestia minimalizacji zmiennych. Byłoby jeszcze łatwiej, gdybyśmy przylecieli tylko jednym okrętem, ale nie sądzę, by Rada mogła zaakceptować taki pomysł.

– Twierdzi pan jednak, że Syndykura w pełni popiera tę misję?

Wzrok Thrawna odpłynął gdzieś w dal.

– Niektórzy syndycy byli niechętni, by w ogóle zezwolić na jakiegokolwiek natarcie, uważali bowiem, że Ar'alani i ja celowo sprowokowaliśmy incydent nad Primeą. Inni, jestem pewien, wierzą, że dwa okręty w zupełności wystarczą. Inni...

– Inni? – dociekał Samakro.

Thrawn wzruszył ramionami.

– Podejrzewam, że kilkoro z nich ma nadzieję, że zarówno Ar'alani, jak i ja zginiemy w bitwie, kładąc w ten sposób kres potencjalnemu wstydowi, jaki w przyszłości moglibyśmy przynieść Dynastii.

Samakro wpatrywał się w niego w osłupieniu.

– To...

– Paranoja? – podsunął Thrawn.

– Chciałem powiedzieć „skandal”. Jeśli flota ma jakikolwiek problem z panem lub admirał Ar’alani, Rada może pana zdyscyplinować lub zdegradować. Wtrącanie się w te decyzje nie leży w zakresie kompetencji Syndykury.

– Jednak robienie tego, co jest najlepsze dla Dynastii, leży w niej jak najbardziej – odparł dowódca. – Czasami obowiązki i ograniczenia nakładają się na siebie.

– Cóż, jeśli sądzą, że zwiniemy się w kłębek i umrzemy dla ich psychicznego komfortu, rozczarują się – stwierdził stanowczo Samakro. – To jest „Springhawk”. Nie przegrywamy bitew. Z nikim. Bezdyskusyjnie.

– Nie mogę się doczekać, aby ponownie tego dowieść – zgodził się Thrawn. – Zostawiam ci teraz mostek, kapitanie. Daj mi znać, gdyby nasza gwiazdogatorka potrzebowała przerwy na odpoczynek. W przeciwnym razie wrócę przed naszym spotkaniem z „Czujnym”. – Skinął głową na pożegnanie, odwrócił się i opuścił pomieszczenie.

Po jego wyjściu Samakro przez dłuższą chwilę wpatrywał się jeszcze we właz, czując, jak buzuje w nim wzburzenie. Nieszczerólnie lubił Thrawna. Na pewno nie podobał mu się sposób, w jaki balansował na granicy, a czasem po prostu przez nią przeskakiwał. Czasami zostawiał po sobie chaos i bałagan, który inni musieli sprzątać, czego Samakro również nienawidził.

Ale z pewnością nie miał żadnej cholernej sympatii dla Arystokry, syndyków lub kogokolwiek innego spoza łańcucha dowodzenia floty, kto próbował ingerować w sprawy wojskowe. „Springhawk” i „Czujny” zgodnie z rozkazem wleczą do macierzystego układu Lioaoinów, przekażą wiadomość od Dynastii i wrócą. W całości.

A przy odrobinie szczęścia wrócą okryci chwałą. Ponieważ tak właśnie działał „Springhawk”.

Bezdyskusyjnie.

Dwa okręty dotarły do wyznaczonego punktu spotkania w układzie pozwalającym na łatwy skok do serca Reżimu Lioaoin. Dowódcy i ich starsi oficerowie spotkali się na pokładzie „Czujnego”, by przeprowadzić ostatnią odprawę i poczynić ostatnie ustalenia.

Samakro zastanawiał się, czy Ar’alani albo Thrawn wspomną o swym prywatnym celu: o dostarczeniu wiadomości od Chissów przy jak najmniejszych szkodach wyrządzonych Lioaoinom. Żadne z nich nie podjęło jednak tematu.

„Pewnie to i lepiej” – zdecydował. Cała ta sprawa była wystarczająco zagmatwana bez dorzucania dodatkowych komplikacji w ostatniej chwili.

Konferencja się skończyła i oficerowie „Springhawk” wrócili na swój statek. Che’ri i gwiazdogatorka „Czujnego” zostały odprowadzone z obydwu mostków i natychmiast skryły się w kajutach, by zminimalizować ryzyko zranienia w czasie bitwy. Ar’alani wydała rozkaz i okręty skoczyły w nadprzestrzeń po raz ostatni.

A potem byli na miejscu.

– Raport sytuacyjny! – polecił spokojnie Thrawn z fotela dowódcy.

– Wszystkie systemy w gotowości – rzucił Samakro, przechadzając się miarowym krokiem między stanowiskami steru, uzbrojenia, obrony i czujników. – Odczyt: dwanaście średniej klasy okrętów Lioaoin na niskiej orbicie. „Czujny” na wektorze do wnętrza układu.

– Komandorze poruczniku Azmordi, utrzymuj nas w formacji – rozkazał Thrawn. – Zobaczymy, jak długo im zajmie, zanim nas dostrzegą.

– Cztery okręty ruszają z orbity – zameldowała Dalvu ze stanowiska czujników, stukając palcami w klawisze. – Poprawka, sześć. Nie, poprawka, wszystkie dwanaście.

– Najwyraźniej niedługo – powiedział Thrawn konwersacyjnym tonem.

– Można by sądzić, że powinni mieć wyrzuty sumienia – skomentował Samakro, starając się zachować spokojny ton głosu. Dwa okręty tej wielkości byłyby dla „Czujnego” i „Springhawk” igraszką. Cztery byłyby absolutnie do przyjęcia. Sześć wymagałoby już wysiłku. Dwanaście...

– Próbują nas odstraszyć. – Thrawn jakby wyczuł nagłe obawy Samakro. Albo, co bardziej prawdopodobne, wyczuł obawy całej załogi mostka. – Nie martwcie się, nie wszyscy po nas przylecą.

– Jasne, tak to właśnie wygląda – wymamrotała pod nosem Dalvu.

– Proszę uważać na słowa – upomniał ją cicho Samakro. – Starszy kapitan wie, o czym mówi.

– Może powinieneś jej wyjaśnić, dlaczego wyślą przeciwko nam nie więcej niż cztery jednostki – zachęcił go Thrawn.

Samakro zmarszczył brwi, przyglądając się okrętom. Co widział Thrawn, czego on sam nie dostrzegął?

Nagle uśmiechnął się. Nie było tam niczego, co jego dowódca mógł zobaczyć, chodziło jedynie o prostą logikę taktyczną.

– Ponieważ Chissowie mają pewną reputację – wyjaśnił. – Naczelne dowództwo Lioaoinów zna ją doskonale i nie uwierzy, że Dynastia wysłała

tylko dwa okręty, aby ukarać ich za atak nad Primeą. Założą, że jesteśmy albo dywersją, albo częścią większego zgrupowania. Tak czy inaczej, będą chcieli zachować większość sił do późniejszej ochrony planety.

– Pełna zgoda – poparł go Thrawn. – Pilnujcie tych czterech jednostek, które będą lecieć w naszym kierunku. Reszta rozstawi się w defensywnej formacji na wysokiej orbicie.

Na konsoli komunikacyjnej zamigotało światełko.

– Admirał ich wywołuje – zameldował Samakro.

Thrawn skinął głową.

– Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

Oficer łączności dotknął przełącznika.

– Mówi admirał Ar'alani z Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej, dowódczyni „Czujnego”. – Z głośnika na mostku popłynął czysty głos Ar'alani. – Siły Reżimu Lioaoin świadomie i z premedytacją zaatakowały okręt Dynastii Chissów. Czy macie nam do zaoferowania jakieś wyjaśnienie, nim wydamy wyrok?

Cisza.

– Powtarzam – powiedziała Ar'alani, po czym ponownie nadała wiadomość.

– Nikardunowie są tutaj – powiedział cicho Thrawn.

– Nie widzę niczego oprócz okrętów Lioaoinów – zaprzeczyła Dalvu.

– W takim razie są na powierzchni lub na pokładzie lioaoinskich statków. Reżim z pewnością próbowałby usprawiedliwić swoje działania nad Primeą, gdyby nie bali się odwetu ze strony sojuszników.

Samakro wrócił myślami do tego, co Thrawn powiedział o Nikardunach poświęcających Lioaoinów, aby utrzymać siebie i Vaków jak najdalej od chissańskiego celownika.

– Więc Nikardunowie po prostu im pozwolą iść na rzeź? – zapytał w końcu. – Wiele to mówi o tym, jak mało dla nich znaczą.

– Prawdopodobnie wskazuje to na jeszcze większą wartość, jaką generał Yiv przypisuje Kombinatowi Vak – powiedział Thrawn. – Zbliżają się do nas cztery okręty.

Samakro spojrział na Dalvu i zauważył jej skrzywiony grymas. Thrawn podał dokładną przewidywaną liczbę nadlatujących okrętów Lioaoinów i z jakiegoś powodu ten niewymuszony pokaz kompetencji ją zdenerwował.

– Potwierdzam, starszy kapitanie – przyznała niechętnie.

Thrawn dotknął przełącznika przy fotelu dowódcy.

– Pani admirał, wygląda na to, że nasi przeciwnicy są w drodze.  
– Zgadzam się, starszy kapitanie. – Na mostku rozległ się głos Ar'alani. –  
Gotowa do wypuszczenia sondy.

– „Springhawk” również w gotowości – potwierdził Thrawn. –  
Wypuszczać bez rozkazu.

Samakro wyciągnął szyję, by spojrzeć przez iluminator na „Czujnego”,  
sunącego w bliskiej odległości od lewej burty „Springhawk”. Dostrzegł  
migotanie silnika strumieniowego i sonda opuściła większy okręt.

– Wypuszczono sondę – przekazał Thrawnowi.

– Przyjąłem.

Samakro obserwował, jak obiekt przyspiesza w kierunku czterech  
lioaoińskich okrętów, które teraz ustawiły się w pionowej formacji  
diamentowej. Cały ten scenariusz był, przynajmniej pozornie, dokładnie tą  
samą sztuczką, której Thrawn użył w układzie Rapacc, aby przygotować  
„Springhawk” do przechwycenia tamtego statku patrolowego  
Nikardunów. Ta sonda – a tak naprawdę jeden z promów „Czujnego” –  
grała rolę wabika, dając Lioaoinom coś, na czym mogli się skupić, podczas  
gdy prawdziwe zagrożenie czaiło się zupełnie gdzie indziej.

A przynajmniej taką nadzieję żywili Thrawn i Ar'alani. Pytanie brzmiało:  
iloma szczegółami z incydentu nad Rapakkim Nikardunowie uznali za  
stosowne podzielić się ze swoimi sojusznikami.

A co ważniejsze, czy podzielili się także pomysłami na rozwiązanie  
problemu, które zdołali wymyślić na ewentualność ponownego zmierzenia  
się z tym posunięciem.

Najwyraźniej jednak się podzielili.

– Sonda gubi kurs – zgłosiła Dalvu. – „Czujny” wydaje się tracić nad nią  
kontrolę.

– Nasilają się zakłócenia komunikacji – potwierdził Samakro, spoglądając  
na ekran stanowiska łączności. – Lioaoini próbują zagłuszyć sygnał  
kontrolny „Czujnego”. Zagłuszyć i przejąć kontrolę.

Spojrzał na ekran taktyczny. Oryginalny wektor sondy prowadził do  
najniżej rozstawionego okrętu w formacji Lioaoinów. Teraz parametry  
kursu wahały się tam i z powrotem, gdy „Czujny” i Lioaoini walczyli  
o kontrolę nad promem.

Lioaoini wygrali. Sonda z ostatnim szarpnięciem ustabilizowała kurs  
i skierowała się na wektor, który miał nieszkodliwie przeprowadzić ją

przez centrum formacji Lioaoinów, skąd miała odlecieć w nieskończoną pustkę Chaosu.

– Przynajmniej wiemy teraz, że potrafią się uczyć – skomentował Samakro.

– Rzeczywiście – zgodził się Thrawn. – Jednak, kapitanie, może być to zarówno dobra, jak i zła wiadomość.

– Tak jest, sir – odparł Samakro. Sonda prawie doleciała już do lioaoińskich okrętów. Poruszała się teraz stabilnie pod kontrolą swoich nowych panów. Weszła w otwartą przestrzeń w centrum formacji...

– Ognia! – rozkazał Thrawn.

Samakro wiedział, że atak laserem spektralnym przy takim dystansie i przeciwko okrętom wyposażonym w osłony elektrostatyczne byłby nie tylko daremny, ale i wręcz śmieszny. Ale to nie okręty stanowiły cel Thrawna. Zamiast tego lasery „Springhawk” błysnęły energetyczną wiązką w stronę małego, niezabezpieczonego promu.

A gdy jego kadłub się rozpadł, cztery pociski przeciwpancerne, które wcześniej załadowano na pokład, wystrzeliły na zewnątrz, po jednym w kierunku każdego z lioaoińskich okrętów.

Lioaoini oczywiście dostrzegli nadciągające zagrożenie i nawet na tak małym dystansie mieli wystarczająco dużo czasu, aby nań zareagować. Jednak bezpośrednio za każdym z nadlatujących pocisków znajdowała się ich własna jednostka i żaden z okrętów nie mógł odpalić broni na poziomie niezbędnym do pełnego zażegnania niebezpieczeństwa. Oddano kilka strzałów z dział laserowych i nawet trafiono jeden z pocisków, w efekcie czego ten się rozpadł. Ale to tylko uwolniło z głowicy kule kwasu, a śmiertelna substancja kontynuowała lot w kierunku celu. Sekundę później, gdy okręty na próżno próbowały uciec z zagrożonego obszaru, pociski trafiły w ich burty.

Rzeczywiste uszkodzenia były prawdopodobnie minimalne. Nawet niewiarygodnie silny kwas, którym wypełniono rakiety, mógł tylko do pewnego stopnia spenetrować kadłub okrętu i szybko rozprzestrzeniający się pojedynczy ładunek nie był w stanie samodzielnie wyrządzić zbyt wielkich szkód. Elektronika, czujniki i uzbrojenie znajdujące się na obszarze trafienia uległyby niejakiemu uszkodzeniu, ale szkody te byłyby jednak zdecydowanie miejscowe.

Jednak efekt psychologiczny zrekompensował to z nawiązką. Wszystkie cztery okręty Reżimu Lioaoin gwałtownie szarpnęły się, wyłamując

z formacji. Sekundę później chwilowa, instynktowna panika została opanowana, a jednostki Lioaoinów zaczęły systematycznie oddalać się od statków Chissów, obracając się tak, by ich nowe słabe punkty znalazły się poza zasięgiem laserów wroga.

Każdy z nich zdołał wykonać zwrot o około czterdzieści stopni, gdy bluznęły lasery „Czujnego”.

A drugi prom – ten mroczny, cichy, zimny, praktycznie niewykrywalny drugi prom, potajemnie holowany przez pierwszy – rozpadł się i posłał własne pociski przeciwpancerne w stronę skręcających okrętów wroga.

– Reżim Lioaoin, wciąż czekam na wasze wyjaśnienia. – Z głośnika dobiegł głos Ar'alani. – Może powinniście zacząć od przeprosin i zobaczymy, dokąd nas to zaprowadzi.

– Okręty Lioaoin się wycofują – zameldowała Dalvu. – Dwa kolejne ruszają z orbity.

– Pani admirał? – zapytał Thrawn.

– Najwyraźniej nie są jeszcze gotowi do kapitulacji – odparła Ar'alani lodowatym głosem. – W porządku. Jesteśmy tutaj, aby przekazać wiadomość. Przekażmy ją zatem.

– Przyjąłem – powiedział Thrawn. – „Springhawk”, przygotować się do bitwy.

Gdzieś w pobliżu rozległo się stłumione, podwójne uderzenie. Che'ri, która siedziała w swoim fotelu i udawała, że rysuje, drgnęła gwałtownie.

– Co to było? – wyszeptała.

– Nic takiego – uspokoiła ją Thalias z kanapy stojącej naprzeciwko fotela Che'ri, gdzie sama udawała, że czyta. – Prawdopodobnie tylko jakiś zbłąkany odłamek pocisku, który zniszczyły nasze lasery.

– A co z kwasem? – zapytała Che'ri, spoglądając w stronę górnego rogu kajuty.

– Nie ma żadnego kwasu – odparła Thalias, surowo nakazując własnemu sercu, by się uspokoiło. – Tylko my używamy kwasowych pocisków przeciwpancernych. Wszyscy inni używają materiałów wybuchowych. Gdy nasze lasery je zniszczą, nic więcej nie leci w naszą stronę. – Rozległa się kolejna seria stuknięć, tym razem sześciu. – Z wyjątkiem ewentualnych odłamków – doprecyzowała.

– A co się stanie, jeśli te odłamki przedostaną się przez kadłub?

– Nie dadzą rady – zapewniła ją Thalias. – Po pierwsze, osłony elektrostatyczne je trochę spowolnią, ale co istotniejsze, „Springhawk” ma

naprawdę porządny, gruby pancerz.

– W porządku – powiedziała Che’ri. Ale jej niespokojny wyraz twarzy wskazywał na to, że nie była do końca usatysfakcjonowana. – Dlaczego nikt inny nie używa kwasu?

– Nie wiem – przyznała Thalias. – Przypuszczam, że nie jest tak imponujący jak materiały wybuchowe. Prawdopodobnie też trudniej takie kwasowe pociski właściwie wykorzystać.

– To dlaczego my z nich korzystamy?

– Ponieważ kiedy działają, działają naprawdę dobrze – oznajmiła Thalias, czując ukłucie współczucia. Kiedy była w wieku Che’ri, oficerowie i opiekunki nigdy nie odpowiadali na jej pytania dotyczące takich spraw. Dopiero później dowiedziała się, że zakazano im rozmawiać z gwiazdogatorkami o tego typu szczegółach.

Prawdopodobnie nadal tak było, co oznaczało, że Thalias prawdopodobnie wpadnie w tarapaty, jeśli ktoś się o tym dowie. Jednak dobrze pamiętała swoje własne przerażenie podczas bitew jej okrętów, gdy siedziała sama z opiekunką i zastanawiała się, co się dzieje.

Wiedza o tym, jak działa uzbrojenie statku, być może nie dodawała zbyt wiele otuchy. Ale z drugiej strony, kto wie?

– Jeśli pocisk znajdzie się dostatecznie blisko, zanim trafią w niego lasery wroga, kwas polecą dalej jako wielka kula – kontynuowała. – Dość trudno zestrzelić kulę płynu. Osłony elektrostatyczne niewiele mogą zrobić, by ją spowolnić, więc kiedy uderza, zaczyna wgryzać się w metal kadłuba.

– A więc robi dziurę w kadłubie?

– Nie, chyba że jest bardzo cienki lub został już wcześniej uszkodzony – wyjaśniła Thalias. – Ale może zniszczyć wszelkie czujniki lub systemy kontroli uzbrojenia, a także przeżreć łącza komunikacyjne, biegnące przez ten obszar. A co z naszego punktu widzenia nawet ważniejsze, uszkadza metal kadłuba i tworzy nierówności. Obie te rzeczy sprawiają, że metal w tym miejscu staje się podatniejszy na następną salwę z laserów spektralnych.

– A to robi dziurę w kadłubie?

– Zdecydowanie może – przytaknęła Thalias. – Oczywiście nie zniszczy całego okrętu, widziałas, ile grodzi awaryjnych znajduje się w korytarzach „Springhawk”. Ale stanowi ostrzeżenie dla wroga, że to my mamy przewagę.

Kolejne podwójne uderzenie, tym razem gdzieś dalej.

– Co się stanie, jeśli jeden z tych odłamków trafi w iluminator? – zapytała Che’ri.

– Prawdopodobnie nic – odparła Thalias. – Obrona punktowa wokół mostka jest całkiem niezła, a jeśli widać, że nadlatuje coś dużego, można podnieść osłonę przeciwuderzeniową. Zresztą sam materiał, z którego wykonano iluminator, jest dość mocny i gruby.

– To znaczy fajnie widzieć, co jest na zewnątrz, kiedy gdzieś lecimy. – Che’ri zadumała się. – Ale zawsze się martwię, że na coś wpadniemy.

– Istnieje takie ryzyko – przyznała Thalias. – Ale iluminatorów nie montuje się tylko dlatego, że lubimy patrzeć w gwiazdy. Czujniki i elektronika mogą zostać uszkodzone, zakłócone lub zablokowane na wiele sposobów. Oficerowie na mostku muszą wtedy być w stanie zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz. Istnieje również kilka technik triangulacji, w których inni wojownicy na okręcie mogą pomóc w wycelowaniu i skupieniu ognia.

– Pewnie ma to sens. – Che’ri przyjrzała się jej uważnie. – Dlaczego nikt mi tego wcześniej nie powiedział?

– Nie powinni byli – przyznała Thalias. – Właściwie istnieje wiele spraw, o których nie powinno się mówić gwiazdogatorom.

– Mhm. – Che’ri się skrzywiła. – Traktują mnie jak... – urwała.

– Jak dziecko? – dokończyła za nią Thalias.

– Nie jestem dzieckiem! – krzyknęła Che’ri. – Mam prawie dziesięć lat!

W pierwszej chwili Thalias omal nie odpowiedziała odruchowo, że dziesięciolatka ewidentnie jest jeszcze dzieckiem. Potem jednak kojąco wyszeptała „No już, już”, którym opiekunki tak często próbowały ją uspokoić.

Kiedy spojrzała dziewczynce w oczy i zobaczyła cały jej strach i niepewność, zdała sobie sprawę, że żadne z tych podejść tu się nie sprawdzi. Były do siebie znacznie bardziej podobne, niż Thalias do tej pory sądziła, a jedyną rzeczą, która mogła złagodzić jej strach, okazała się wiedza.

– Wiem. – Kiwnęła głową, uznając samoocenę Che’ri. – Co więcej, przez ostatnie trzy lata zaznałaś więcej presji i stresu niż większość Chissów w całym swoim życiu.

Che’ri odwróciła wzrok

– To nic takiego – mruknęła.

– To nic takiego – i wszystko będzie dobrze – ponieważ jesteś silna – oznajmiła Thalias. – Jesteś gwiazdogatorką, a Trzecie Oko wydaje się nieść ze sobą szczególną odporność psychiczną.

– No nie wiem – szepnęła Che’ri, a jej wzrok skupił się na czymś odległym od nich o lata świetlne, co tylko ona mogła zobaczyć. – Nie czuję się twardzielką.

– Cóż, jesteś nią – stwierdziła zdecydowanie Thalias. – Zaufaj mi. I jeśli to w czymś pomoże, większości rzeczy, o których ci nie mówią, nie mówią też nikomu poza innymi wojskowymi. W zasadzie do większości z tego, co ci powiedziałam, musiałam sama się dokopać po odejściu z służby.

– Czy wpakowałaś się przez to w kłopoty?

– Niespecjalnie. Dostałam jednak kilka ostrzeżeń. – Thalias zmarszczyła nos, udając zamyślenie. – Chociaż przypuszczam, że mogłam kogoś wpakować w kłopoty.

Tą uwagę zdobyła niepewny uśmieszek dziewczynki.

– Czy na to zasłużyli?

– Lubię myśleć, że w galaktyce panuje pewna równowaga – odparła Thalias. – Ci, którzy zasługują na kłopoty, trafiają na nie, a ci, którzy nie zasługują, wręcz przeciwnie.

– Naprawdę myślisz, że to działa w ten sposób?

Thalias westchnęła.

– Praktycznie wcale – przyznała. – Niestety. Słyszysz to?

Che’ri spojrzała w górę, marszcząc brwi.

– Nie.

– Właśnie. – W głosie Thalias było słycać ulgę. – Żadnych nowych odłamków. Myślę, że bitwa się skończyła.

– Mam taką nadzieję – powiedziała Che’ri, wyęzając słuch. – Nienawidzę bitew.

– Wszyscy ich nienawidzą – zauważyła Thalias. – No dobrze. Teraz prawdopodobnie będzie trochę gadania, potem kapitan Thrawn powiadomi Lioaoinów, że jeśli zechce, może zniszczyć całą ich planetę, a potem będzie jeszcze więcej gadania. W pewnym momencie zostaniemy wezwane z powrotem na mostek, a ty zaprowadzisz nas do domu.

– Mam taką nadzieję. – Che’ri przeszył wyraźny dreszcz.

– Zaufaj mi, tak będzie – zapewniła Thalias. – Więc pozostają nam teraz już tylko dwie sprawy.

Che’ri zmarszczyła brwi.

– Jakie?

– Co chcesz na obiad? – zapytała Thalias. – I czy chcesz zjeść teraz, czy też poczekać do pierwszej przerwy?

## Wspomnienia X

„Służba rekrutacyjna — pomyślał Arystokr Zistalmu, czekając na swojego gościa — to jeden z najbardziej żmudnych obowiązków, jakimi można obarczyć członka rodziny”. Żmudnym i zwykle denerwującym. Najczęściej rekruter nawet nie wiedział, dlaczego ta konkretna osoba została wskazana.

Przynajmniej w tym przypadku Zistalmu wiedział dokładnie, dlaczego wybrano Mitth'raw'nuru. I zastanawiał się właśnie, czy rodzina Irizi doszczętnie oszalała.

Oczekiwane pukanie dobiegło od strony wejścia dokładnie o umówionym czasie.

— Wejść! — zawołał Zistalmu.

Drzwi się rozsunęły.

— Starszy komandor Mitth'raw'nuru zgłasza się na rozkaz — wypowiedział oficjalną formułkę jego gość, jak tylko wszedł do pokoju.

— Starszy komandorze Thrawn. — Zistalmu skinął głową i wskazał na krzesło przed nim. — Jestem Arystokr Irizi'stal'mustro.

— Arystokrze Zistalmu. — Thrawn w odpowiedzi również skinął głową i usiadł. — Byłem zaskoczony twoim zaproszeniem.

— Tak — odparł Zistalmu, zachowując neutralny ton głosu. — Jak rozumiem, kilka tygodni temu na krótko odwiedziłeś siedzibę rodziny Irizi?

— Zgadza się — przytaknął Thrawn. — Nie przypominam sobie, żebym cię tam widział.

— Niestety, nawał obowiązków związany z interesami Syndykury uniemożliwił mi dotarcie do domu — wyjaśnił Zistalmu. — W ciągu ostatnich kilku lat rozślawiłeś swoje imię.

— Czasem to imię zdaje się być raczej przekłete.

Przynajmniej rozumiał, że zarówno on, jak i jego kariera potrafiły być dyskusyjne. Zistalmu nie miał dotychczas pewności, czy Thrawn w ogóle

zdawał sobie z tego sprawę.

— Niektórzy czasem nie doceniają twoich talentów i umiejętności. Rozumiem, że miałeś pewne problemy z niektórymi członkami rodziny Mitthów.

Oczy Thrawnna zwężyły się lekko.

— Sądziłem, że rodzina nadal mnie wspiera.

— Być może. — Zistalmu czuł w ustach gorzki posmak niechęci. Było dla niego zupełnie niezrozumiałe, dlaczego rodzina Irizi go chciała, a to, z jakiej racji właśnie jego obarczyli misją rekrutacyjną, stanowiło już kompletną zagadkę. Jednak, skoro już dostał takie zadanie, nie mógł zrobić nic poza sumiennym wypełnieniem swojego obowiązku. — Po prostu zauważam, iż ci, którzy uznają twoje czyny za działające na niekorzyść rodziny, nie mają oporów, by mówić o tym na głos.

— Przykro mi, że są niezadowoleni — powiedział Thrawn. — Jednocześnie muszę wypełniać swoje obowiązki wobec Ekspansyjnej Floty Obronnej najlepiej, jak tylko potrafię.

— Nie przeczę — odparł Zistalmu. — Jednak zaprosiłem cię tutaj, aby zapewnić, że bez względu na to, czy Mitthowie doceniają twoje oddanie, rodzina Irizi z pewnością je szanuje.

— Dziękuję. — Thrawn pochylił głowę. — Jednak biorąc pod uwagę napięcia między naszymi rodzinami, wątpię, by twoje wsparcie mogło mi pomóc.

— Sądzę, że rodzina Irizi myślała o wzmocnieniu twojej pozycji w bardziej bezpośredni sposób.

Na czole Thrawnna pojawiła się zmarszczka.

— Jak to?

Zistalmu miał ochotę potrząsnąć głową. W sferze militarnej Thrawn wykazywał spory talent i zdolności taktyczne. Ale w sferze politycznej był naiwny jak dziecko.

— Sugeruję, żebyś porzucił Mitthów — wyjaśnił — i przyjął pozycję pośród Irizi.

— Jako zasłużony adoptowany?

— Nie — powiedział Zistalmu, przygotowując się wewnętrznie na to, co ma powiedzieć. To była najbardziej ohydna część całej oferty. — Być może Mitthom taka pozycja wystarczy, ale nie Irizi. Jesteśmy gotowi zaoferować ci tytuł zrodzonego w Próbie.

— To... bardzo interesujące. — Thrawn był wyraźnie wstrząśnięty. — I... niezwykle hojne.

— Po prostu na to zasługujesz — odparł Zistalmu. Taka oferta bez wątpienia musiała przykuć jego uwagę. Zasłużony adoptowany, włączony do rodziny poprzez służbę wojskową, automatycznie tracił z nią związek, gdy jego służba dobiegała końca. Zrodzony w Próbie nie tylko utrzymywał relacje rodzinne, ale także, gdyby został uznany za wystarczająco godnego, mógł awansować do pozycji dostojnego krewniaka, co oznaczało, że jego linia krwi zostałaby następnie włączona do rodziny. — I oczywiście przystając na naszą propozycję, nie będziesz musiał przechodzić samych Prób. Twoja wzorowa służba została najwyraźniej uznana za ich odpowiedni substytut.

— Jestem zarówno zaszczycony, jak i onieśmielony — oznajmił Thrawn. — Nie jestem pewien, jakie korzyści przyniesie rodzinie Irizi porzucenie przeze mnie Mitthów.

— Posłużyłoby nam to na wiele sposobów — przyznał Zistalmu. — Wzmocniłoby naszą pozycję w wojsku — cóż, to kwestia polityczna. Nie musisz się o nic martwić. Po prostu powiedzmy, że zawsze przyda się nam kolejny wyróżniający się, wysoko postawiony oficer, a Irizi uważają, że jesteś najlepszym wyborem.

— Rozumiem. — Thrawn powoli pokiwał głową, zatopiony we własnych myślach.

Zistalmu wstrzymał oddech. Jeśli to zadziała — jeśli Thrawn zaakceptuje ofertę — sprawa będzie załatwiona. Irizi będą go mieć, a Mitthowie nie.

Czy Irizi będą tego kiedyś żałować, było oczywiście pytaniem na przyszłość. Ale to już ich problem. Zistalmu musiał teraz skupić się wyłącznie na tym, jak ta rekrutacja tu i teraz — czy Thrawn się zgodzi, czy nie — może pomóc mu podnieść prestiż w rodzinie.

— Doceniam twoje zainteresowanie — rzekł w końcu Thrawn. — Ale nie mogę podjąć takiej decyzji bez zastanowienia.

— Myśl tak długo, jak chcesz — powiedział Zistalmu, zachowując neutralny wyraz twarzy i starając nie okazać irytacji, a także żalu i ulgi. Czy Thrawn naprawdę był takim głupcem, że nie dostrzegął, jak cenny mógłby się okazać taki ruch? — Pamiętaj tylko, że jeśli będziesz zbyt długo zwlekał z odpowiedzią, jakiś inny obiecujący oficer może przykuć uwagę rodziny.

— Rozumiem — przytaknął Thrawn. — Dziękuję za twój czas i ofertę. — Wstał, by odejść, po czym się zatrzymał. — Co do twojego komentarza o wyróżniających się oficerach wysokiego stopnia... Wydaje mi się, że w waszej rodzinie już taki jest: starsza kapitan Ziara.

— Tak, jest — powiedział ze smutkiem Zistalmu. — Jednak obawiam się, że już niedługo.

— Starsza kapitan Irizi'ar'alani — zaintonował Naczelny Admirał Ja'fosk. — Wystąp.

A więc nadszedł czas. Przygotowując się wewnętrznie i próbując utrzymać równy oddech, Ziara weszła w jasno oświetlony krąg naprzeciwko Ja'foska i pozostałych dwóch starszych oficerów.

— Podaj swoje imię — powiedział Ja'fosk tym samym, śmiertelnie poważnym tonem.

— Starsza kapitan Irizi'ar'alani — odparła Ziara. „Czy on próbował mnie zastraszyć — zastanawiała się — czy był to tylko efekt uboczny jego wyjątkowo formalnego tonu?”

— Ta osoba już nie istnieje — oznajmił Ja'fosk. — To imię już nie istnieje. Nie jesteś już Irizi. Nie należysz już do żadnej rodziny.

Ziara wytrzymała jego spojrzenie, czując ucisk w żołądku. Od tygodnia wiedziała, że ta chwila nadejdzie, a spodziewała się jej znacznie dłużej. Ale choć się nań przygotowała, był to dla niej niespodziewanie emocjonalny moment. W przeciwieństwie do wielu Irizi, ona urodziła się w rodzinie, bez żadnych zasług do wykazania, żadnych wyzwań, przenosin czy Prób do zaliczenia. Była córką zrodzoną z krwi, ze wszystkimi wiążącymi się z tym przywilejami i całym szacunkiem należnym tej pozycji.

Jednak już nigdy więcej.

— Dynastia jest twoją rodziną — ciągnął Ja'fosk. — Dynastia jest twoim domem. Dynastia jest twoją przyszłością. Dynastia jest twoim życiem.

Ziara słyszała te słowa wielokrotnie w ciągu minionego tygodnia, kiedy przygotowywała się do ceremonii. Ale dopiero teraz, słysząc je wypowiedane tubalnym głosem Ja'foska, wydały się jej prawdziwe. „Dynastia jest twoim życiem”.

Choć czy nie zawsze tak było? Kiedy podjęła decyzję o wstąpieniu do Sił Obronnych, czy w zasadzie nie poświęciła swej przyszłości na rzecz większego dobra swojego ludu?

A skoro oddała swoje życie, to czy poświęcenie także więzów z własną rodziną było aż takim wyrzeczeniem?

— Nie ma już starszej kapitan Irizi'ar'alani — powtórzył Ja'fosk. Sięgnął do stolika za swoimi plecami i podniósł płaskie pudełko. — Zamiast niej — wyciągnął je w stronę Ziary — stoi tu teraz komodor Ar'alani.

Zebrawszy się w sobie, Ziara podeszła do niego i przyjęła oferowany dar. Przez przezroczystą pokrywkę zobaczyła, że skrywa jej nowy mundur komodora, lśniąco biały zamiast czarnego, który nosiła przez całą swoją karierę. Insignia przypięto już na właściwym miejscu, na kołnierzu, a zamiast pagonu z herbem rodziny Irizi, widniał złożony z wielu okręgów symbol Dynastii Chissów.

— Czy akceptujesz ten mundur i to nowe życie? — zapytał Ja'fosk.

Ziara zrobiła głęboki wdech. Nie. Nie Ziara. Już nigdy więcej.

— Tak — powiedziała Ar'alani.

Ja'fosk skłonił głowę... a gdy to zrobił, Ar'alani zdawało się, że dostrzega blady, słodko-gorzki uśmiech.

Być może przypomniał sobie, jak sam stał na jej miejscu. I stracił własną rodzinę.

Impreza z okazji awansu Ar'alani dobiegała już końca i tłum życzących jej wszystkiego najlepszego gości stopniał do ociągających się niedobitków, kiedy wreszcie pojawił się Thrawn.

— Gratulacje, pani komodor — powiedział, skinąwszy głową w jej stronę. — Przypominam, że powiedziałem kiedyś, iż w końcu do tego dojdzie.

— Właściwie, o ile się nie mylę, zasugerowałeś, że pewnego dnia dochrapię się stopnia admirała — przypomniała mu Ar'alani. — Wciąż mam więc wiele do zrobienia.

— Tak się stanie — odparł. — Rozumiem, że przydzielono ci „Destramę” i Szóstą Eskadrę Patrolową.

— Owszem — potwierdziła Ar'alani. — Poprosiłam też o przydzielenie cię na stanowisko pierwszego oficera.

— Naprawdę? — Thrawn był wyraźnie zaskoczony. — Myślałem, że twoje obowiązki opiekunki należą już do przeszłości.

— Myślisz, że znalazłeś się na pokładzie „Parali”, ponieważ generał Ba'kif chciał, żebym się tobą zajęła?

— Myślę, że raczej chciałaś upewnić się, że nie zrobię niczego niewłaściwego — urwał na chwilę. — Znowu.

— Może i trochę tak było — przyznała Ar'alani. — To jednak bez znaczenia. Poprosiłam o cię, ponieważ jesteś po prostu dobrym

oficerem. — Uśmiechnęła się lekko. — Podejrzewam też, że gdzieś w tym wszystkim może znaleźć się awans i dla ciebie.

— Dziękuję — powiedział Thrawn. — Postaram się sprawić, że nie pożałujesz swojej decyzji. — Zawahał się. — Jeśli możesz poświęcić mi chwilę, potrzebuję porady, pani komodor.

— Jeśli nie miałabym dla ciebie chwili, znalazłabym ją i tak — zapewniła go, zerkając przez ramię. Żaden z pozostałych gości nie przebywał na tyle blisko, by móc ich usłyszeć. — A kiedy jesteśmy sami we dwoje, to Thrawn i Ar'alani w zupełności wystarczą.

Uśmiechnął się z wahaniem.

— Dziękuję ci. To... Jestem zaszczycony.

Odwzajemniła uśmiech.

— A więc czego potrzebujesz?

— Niedawno zostałem zaczepiony przez pewnego Irizi. — Ściszył nieco głos. — Powiedział mi, że niektórzy Mitthowie są ze mnie niezadowoleni i mogą chcieć się mnie pozbyć z floty.

W pierwszym odruchu Ar'alani chciała skierować rozmowę na inne tory. Polityka rodzinna była zawsze drażliwym tematem. Ale przecież jej nie dotyczyła już polityka rodzinna. Już nigdy więcej nie będzie jej dotyczyć.

— Jak się nazywał?

— Arystokr Irizi'stal'mustro.

Ar'alani pokiwała głową.

— Zistalmu. Nigdy go nie spotkałam, ale słyszałam o nim. Niech zgadnę, pomyślał, że powinieneś poprosić o dołączenie do Irizi?

— Właściwie jego ton i sformułowania sugerowały, że przeniesienie jest już pewne — wyjaśnił Thrawn. — Z pewnością nie pojawił się temat rozmów kwalifikacyjnych czy innych przeszkód dla mojego przyjęcia. Zasugerował również, że stanę się od razu zrodzonym w Próbie, a nie zasłużonym adoptowanym.

— Interesujące — przyznała Ar'alani. — Mówisz, że to wszystko zostało jedynie zasugerowane, ale nie wypowiedziane wprost?

— Nie pojawiło się żadne oficjalne zaproszenie, jeśli o to ci chodzi.

— Tak. — Ar'alani zacisnęła usta, błędząc spojrzeniem po pomieszczeniu. Dwóch Irizi, którzy byli tu wcześniej, dawno zniknęło i dostrzegała już tylko reprezentantów kilku pomniejszych rodzin. — W porządku, oto, co jest istotne. Irizi zawsze mocno wspierali wojsko, a zwłaszcza Siły Obronne. Lubią mieć w rodzinie oficerów wyższych

stopniem, daje im to poczucie dodatkowego prestiżu, co jest oczywiście jedną z walut wśród Arystokrów.

— Prestiż jest walutą?

— W pewnym sensie — przyznała Ar'alani. — Istnieje wiele czynników wpływających na pozycję i zakres władzy rodziny. Niektóre mają charakter finansowy lub historyczny, inne zaś są nieco bardziej mgliste, na przykład prestiż i reputacja.

— Rozumiem — rzekł Thrawn, chociaż sądząc po jego wyrazie twarzy, Ar'alani była przekonana, że nie rozumie. — A co to ma wspólnego z Mitthami i ze mną?

— Mitthowie mają ogólnie silniejszą pozycję niż Irizi, przynajmniej w tej chwili — wyjaśniła Ar'alani. — W ciągu ostatnich kilku lat Mitthowie także próbowali ograniczyć siłę militarną Irizi, rekrutując obiecujących kadetów i oficerów.

— Takich jak ja?

— Bardzo możliwe — zgodziła się Ar'alani. — W Akademii od początku było jasne, że masz przed sobą obiecującą karierę. Chodzi o to, że Irizi, być może z pewnym opóźnieniem, docenili twój potencjał i mają nadzieję wykraść cię Mitthom.

— A sądzisz, że miał rację, twierdząc, że Mitthowie chcą się mnie pozbyć?

Ar'alani pokręciła głową.

— Nie umiem tego ocenić. Nie znam się tak dobrze na polityce i strukturach Mitthów, jak na Irizi. Domyślam się, że jeśli uda ci się uniknąć zrobienia czegokolwiek... kontrowersyjnego... w przyszłości, nie musisz się bać. Zasłużeni adoptowani są na nieustannym okresie próbnym, przynajmniej dopóki się nie sprawdzą. Ale jak już to zrobią i przejdą Próby, zyskują znacznie bezpieczniejszy status. I oczywiście, jeśli i kiedy awansujesz na dostojnego krewniaka, będziesz w zasadzie nietykalny.

— Rozumiem — powiedział Thrawn. — Jednak jeśli to Irizi są bardziej związani z wojskowością, czy nie byłoby lepszą rodziną dla kogoś takiego jak ja?

Ar'alani się zawahała. „Nie masz rodziny. Nie masz rodziny”.

— Szczerze powiedziawszy, nigdy nie czułam się komfortowo w kwestii tego, jak Irizi zdominowali personel Sił Obronnych. Wiem, że powinniśmy ignorować przynależność rodzinną podczas służby, ale wszyscy

widzieliśmy, jak rywalizacja między rodzinami potrafi wpłynąć na rozmowy, a nawet przydział obowiązków.

— Więc twoim zdaniem powinienem pozostać wśród Mitthów?

— To decyzja, którą musisz podjąć sam. — Ar'alani wzruszyła ramionami. — Fakt, że byłam urodzoną Irizi, doskonale wpłynął na przebieg mojej kariery, zresztą rodzina zrobiła to samo dla wielu innych osób. Ale co dobre dla mnie, może nie być dobre dla ciebie.

— Rozumiem — odparł Thrawn. — Dziękuję ci. Jestem twoim dłużnikiem.

— Nie ma za co. — Ar'alani pozwoliła sobie na uśmiech. — I wiesz, to nie pierwszy raz. Lubię myśleć, że przyczyniłam się do niewyrzucenia cię z Akademii z powodu oskarżeń o oszustwo.

— Twój wkład był znacznie większy, niż być może pamiętasz — zapewnił ją Thrawn. — A twoja pomoc na pewno nie ogranicza się tylko do odległej przeszłości. Nigdy właściwie nie podziękowałam ci za wsparcie po incydencie nad Stivikiem.

— Akurat tam moje wsparcie było całkowicie niepotrzebne. — Ar'alani spojrzała mu prosto w oczy. — Garwianie zeznali w protokole, że to oficer bezpieczeństwa Frangelic zauważył słabość taktyki piratów i znalazł sposób, aby ją wykorzystać. Biorąc pod uwagę fakt, jak go chwalili, prawdopodobnie został już awansowany.

— W pełni zasłużył na wszelkie pochwały, jakie otrzymał.

— Zgadzam się. — Ar'alani przechyliła głowę. — Z czystej ciekawości, zastanawiałam się nad tym później i nie mogłam znaleźć oczywistego sposobu na połączenie komunikatora z laserem pomiarowym.

— Bo takowego nie ma — przyznał Thrawn. — Ale da się do niego podłączyć questisa w celu pobierania i analizy danych.

— A takie łącza mogą zwykle działać w dowolnym kierunku. — Ar'alani pokiwała głową. — Więc podłączyłeś swój questis do modulatora częstotliwości lasera i użyłeś rozpoznawania mowy?

— Wyłącznie przekazu tekstowego — odparł Thrawn. — Jeśli później odbyłoby się dochodzenie, nagranie głosowe nieco za bardzo zawęziłoby potencjalne grono sprawców.

Ar'alani ponownie pokiwała głową.

— Garwianie są ci coś winni. Mam nadzieję, że zdają sobie z tego sprawę.

— Nie zrobiłem tego dla ich wdzięczności. — Thrawn sprawiał wrażenie trochę zdziwionego faktem, że Ar'alani mogłaby w ogóle myśleć takimi kategoriami. — Zrobiłem to dla dobra ich ludzi i dla wszystkich, którzy musieliby się później mierzyć z tymi samymi napastnikami.

— Szlachetna pobudka — przyznała Ar'alani. — Szkoda, że Dynastia nie docenia jej nieco bardziej.

Thrawn się uśmiechnął.

— Nie zrobiłem tego też dla naszej wdzięczności.

— W rzeczy samej. — Ar'alani ponownie rozejrzała się po sali. Sześć osób nadal się ociągało z wyjściem, ale były pogrążone w rozmowie i nie wyglądało na to, że ktoś będzie tu za nią tęsknić. — Wiesz co? Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce, gdzie będziesz mógł postawić mi jakiegoś uroczystego drinka.

Dotknęła jego ramienia.

— A kiedy będziemy pić — dodała — możesz mi powiedzieć o wszystkich innych swoich dążeniach, za które Dynastia będzie udawać, że nie jest wdzięczna.

## Rozdział 16

Brygadzysta doku naprawczego potrząsnął głową, gdy dotarł wzrokiem do końca listy.

– Naprawdę nie wiem, o co z wami chodzi – jęknął. – To już drugi raz w ciągu dwóch miesięcy. Czy celowo ładujecie się w sam środek tych waszych bitew?

– Oczywiście, że nie – odparł sztywno Samakro. – To nie wina „Springhawka”, że Rada i Arystokra wciąż wysyłają nas do walk w Chaosie.

– To z kolei nie ich wina, że nie wygrywacie tych bitew szybciej – odgryzł się brygadzysta, odwracając się, by spojrzeć przez iluminator na unoszącego się w pobliżu „Springhawka”. Jego sylwetka wyraźnie rysowała się na niebiesko-białym tle dysku zamrażonej powierzchni Csilli, który wypełniał połowę nieba.

– Wygraliśmy ją wystarczająco szybko – zapewnił go Samakro. – I nie popadajmy w nadmierny dramatyzm, dobrze? Uszkodzenia nie są aż tak wielkie.

– Tak ci się wydaje, prawda? – stwierdził kwaśno majster. – Cóż, pewnie to właśnie dlatego ty jesteś sobie tam, wlatując okrętem w kolejne salwy rakietowe, a ja siedzę tu i składam ci łajbę z powrotem do kupy. – Uniósł palec. – Węzły czujników wymagające wymiany: siedem. Płyty kadłuba wymagające wymiany: osiemdziesiąt dwie. Lasery spektralne wymagające naprawy lub remontu: pięć. I co to za bzdury o dodatkowym zbiorniku płynu do sfer plazmowych?

– Używamy wielu sfer plazmowych.

– A gdzie dokładnie starszy kapitan Thrawn chce, żebym umieścił ten zbiornik? – dociekał brygadzysta. – W jego kajucie? W twojej kajucie?

– Nie mam pojęcia – stwierdził Samakro. – Dlatego właśnie to ty jesteś tutaj i dokonujesz cudów przy naprawie okrętów, a my jesteśmy tam, dbając, żeby różne typki gorąco żałowały zadzierania z Dynastią Chissów.

– To faktycznie wymaga cudu! – burknął brygadzysta, ponownie przyglądając się liście napraw. Mimo to wydawał się zadowolony z drobnego komplementu Samakro. – Mógłby przynajmniej osobiście pofatygować się, by poprosić o te cuda.

– Ma teraz spotkanie z generałem Ba'kifem.

Brygadzysta pociągnął nosem.

– Bez wątpienia planuje, jak by tu was znowu wpakować w kłopoty. W porządku. Zajmę się tym i zobaczę, czy znajdę wystarczająco dużo miejsca dla tych niemożliwych do zamontowania zbiorników plazmy, których tak potrzebujecie.

– Jeśli komukolwiek ma się to udać, to tylko tobie – zapewnił go Samakro. – Na jaki czas naprawy mamy się przygotować?

– Co najmniej sześć tygodni, może siedem – odparł brygadzysta. – Jeśli dostanę rozkaz przyspieszenia prac od Ba'kifa lub Naczelnego Admirała Ja'foska, może uda mi się skrócić go o tydzień.

– Cóż, zatem zaczynaj, a ja dopilnuję, żebyś dostał ten rozkaz – powiedział Samakro. – Dziękuję ci.

– Podziękuj mi, nie rozwalając swojego statku ponownie.

– No wiesz, żeby Rada zaczęła się zastanawiać, po co jej tacy ludzie jak ty? – spytał uprzejmie Samakro.

– Chciałbym zobaczyć, jak członkowie Rady próbują swoich sił w naszej robocie! – sarknął brygadzysta. – Nikt by już nigdy nigdzie nie poleciał. Dobra, wynoś się stąd, mam pracę do wykonania.

Piętnaście minut później Samakro siedział już na pokładzie promu zmierzającego na powierzchnię. Czuł w żołądku olbrzymi ciężar. „Czy celowo ładujecie się w sam środek tych waszych bitew?” – zapytał brygadzysta. Samakro przecież zbył jego sarkazm... ale w głębi serca nie był aż tak pewien odpowiedzi. W trakcie potyczki z Lioaoinami przynajmniej dwukrotnie, a może i trzykrotnie Thrawn wprowadził „Springhawk” znacznie głębiej w strefę ognia nieprzyjaciela, niż musiał. Prawie wszystkie uszkodzenia, na które narzekał brygadzysta, pojawiły się w wyniku tych konkretnych wypadów.

Czy Thrawn, jak sam twierdził, próbował zebrać dodatkowe informacje na temat nowej taktyki Lioaoinów? A może zaczynał tracić swoją przenikliwość i taktyczną intuicję, które tak bardzo przyczyniły się do wzrostu jego znaczenia we flocie?

Thrawn zasugerował, że to on zainicjował spotkanie z Ba'kifem. Może jednak było odwrotnie. Może Ba'kif zauważył ten niepokojący podtekst raportów z misji i podzielał niektóre wątpliwości Samakro. Może wezwał Thrawna, by się dowiedzieć, co się dzieje.

A jeśli generał uzna, że Thrawn nie jest już w stanie dowodzić „Springhawk”...

Zrobił głęboki wdech. „Przestań” – nakazał sam sobie. Choćby i Thrawn został pozbawiony dowództwa, to wcale niekoniecznie oznaczało, że zostanie ono z powrotem oddane Samakro. „Springhawk” wciąż cieszył się niemałą renomą, a rodzina Ufsa nie była jedyną, która chciałaby, by to ich przedstawiciel dowodził okrętem.

Choć była to ciekawa myśl.

– Ciekawa myśl. – Generał Ba'kif zacisnął usta. – Pytanie brzmi, czy ta myśl jest niebezpieczna czy zaledwie karygodnie wariacka.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby pan użyć któregośkolwiek z tych określeń, sir. – W głosie Thrawna słychać było charakterystyczną dla niego mieszankę szacunku do przełożonego i pewności siebie. – Ten mały statek zwiadowczy, jaki proponuję...

– Nie rozumiesz? – przerwał mu Ba'kif.

– Nie, sir – odparł spokojnie Thrawn. – Statek zwiadowczy może z łatwością przemycić naszą trójkę pod nosem wszystkich strażników i obserwatorów, których generał Yiv mógłby umieścić po drodze. Zebrane dane nie tylko dadzą nam lepsze wyobrażenie o tym, jak duże jest owo tak zwane Przeznaczenie Nikardun, ale także udzielą wskazówek względem tego, jak ściśle Yiv kontroluje tych, których zostawia za plecami.

– W jakim celu?

– Istnieje kilka możliwości – zaczął Thrawn. – Możemy wzniecić bunt wśród niektórych z podbitych ludów...

– Działania wyprzedzające – przerwał mu Ba'kif ponownie. – Syndykura nigdy na to nie zezwoli.

– ...wydzierżawić od nich bazy lub magazyny zaopatrzeniowe...

– Jeszcze więcej działań wyprzedzających.

– ...lub, jeśli znajdują się wśród nich jakieś niepodbite jeszcze rasy, moglibyśmy od nich się dowiedzieć, jak zdołali przeciwstawić się Nikardunom.

Ba'kif zmarszczył brwi w zamyśleniu. To ostatnie mogło być rzeczywiście całkiem pouczające. Co więcej, prosta misja rozpoznawcza nie wywołałaby

wśród Arystokry takiego oburzenia, jak pozostałe pomysły Thrawn.

Ale nawet w tym wypadku sprawa wydawała się bardzo ryzykowna i niepewna.

– Niełatwo równocześnie zachować niepodległość i stawiać opór najeźdźcy – zauważył. – Żaden, choćby w połowie kompetentny zdobywca nigdy do tego nie dopuści.

– Chyba że Yiv nie zdaje sobie sprawy z sytuacji – podpowiedział Thrawn. – W zasadzie, zgodnie z tym, co pan powiedział, to jedyna możliwość, żeby coś takiego w ogóle miało miejsce.

– A więc niepodległość, opór i stuprocentowa tajemnica – wycedził Ba’kif. – Szanse na istnienie tych teoretycznych sojuszników wyglądają coraz lepiej. Czy chciałbyś, żeby odznaczyli się czymś jeszcze? Może biegłością w posługiwaniu się bronią ręczną?

– Nie, niczego więcej nie trzeba – odparł Thrawn. Albo nie zauważył sarkazmu Ba’kifa, albo postanowił go zignorować. – Z pewnością uda się nam wykorzystać ich pozostałe umiejętności. Naszym głównym celem jest teraz ich odnalezienie.

– O ile w ogóle istnieją.

– O ile istnieją – przyznał Thrawn. – Tak czy siak, rozmawiałem już z opiekunką Thalias i gwiazdogatorką Che’ri. Obie wyraziły chęć polecenia wraz ze mną.

– Rozmawiałeś o sprawach niejawnych z nieuprawnionym personelem? – Ton Ba’kifa stał się złowieszczy.

– Gwiazdogatorki i ich opiekunki wiedzą wiele rzeczy, o których czasem nawet starsi oficerowie nie mają pojęcia – zauważył Thrawn. – To powiedziawszy, nie, nie podzieliłem się z nimi żadnymi zastrzeżonymi informacjami. Zapytałem tylko, czy towarzyszyłyby mi w długiej podróży do nieokreślonego miejsca przeznaczenia i w niesprecyzowanym celu.

Przez kilka sekund Ba’kif patrzył na niego, rozważając opcje, możliwości i oceniając ryzyko. Nic w tym szalonym planie nie napawało go nadmierną pewnością.

Ale jeśli informacje, które zdobyli Thrawn i Ar’alania na temat cichej infiltracji kolejnych światów przez Nikardunów były choć w połowie prawdziwe, coś należało zrobić. Im szybciej, tym lepiej.

– Niektórzy członkowie Syndykury porównują cię do nieustabilizowanego lasera – powiedział, popychając questis z powrotem w stronę Thrawn. – Czasami jestem skłonny się z nimi zgodzić.

– Nikardunowie są poważnym zagrożeniem, generale – zauważył cicho Thrawn. – Prawdopodobnie najpoważniejszym, z jakim Dynastia mierzyła się w swojej najnowszej historii. Generał Yiv jest kompetentny i charyzmatyczny, potrafi zarówno podbijać, jak i werbować tych, którzy staną mu na drodze.

– A jeśli znajdziemy tych potencjalnych sojuszników, na których tak liczysz? Jak chcesz przekonać Syndykurę do zawarcia sojuszu? Syndykurę, która sprzeciwiała się takim pomysłom przez całe stulecia?

– Najpierw ich znajdziemy – odparł Thrawn. – Zajmiemy się Arystokrą, kiedy i jeśli będziemy musieli.

Ba’kif westchnął. „Nieustabilizowany laser”.

– Jesteś pewien, że nie potrzebują cię tutaj?

Thrawn skinął głową.

– Kapitan Samakro nadzoruje remont „Springhawk”. Wymaga to wystarczającej ilości pracy, aby utrzymać go w doku naprawczym przez co najmniej sześć tygodni.

– Jak udało ci się zaaranżować aż tyle uszkodzeń? – Ba’kif podniósł rękę.

– Nie, w zasadzie nie chcę wiedzieć. W porządku, przydzielę ci statek zwiadowczy i go zaopatrzę. Ale ani słowa Thalias lub Che’ri na temat rzeczywistego celu misji, dopóki nie będziecie w drodze. Zrozumiano?

– Tak jest, sir.

– W takim razie ostatnia uwaga. – W głosie Ba’kifa wybrzmiał cały ciężar jego długiej kariery. – Nie ryzykujesz wyłącznie swoim życiem. Stawiasz na szali życie dwóch kobiet, w tym jednej wyjątkowo cennej gwiazdogatorki. Jeśli to wszystko się zawali, jesteś gotów mieć ich śmierć na sumieniu?

– Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. – Thrawn spojrzał mu prosto w oczy. – Nigdy nie chciałbym nieść ciężaru takiej żałoby. Ale wolałbym wiedzieć, że zginęły przez moje czyny, niż narazić Dynastię na to samo ryzyko przez moją beczynność.

Ba’kif skinął głową. Spodziewał się, że Thrawn odpowie mniej więcej w ten sposób. I, niestety, musiał się z nim zgodzić.

– Statek zostanie przygotowany, nim zbierzesz pozostałych podróżnych i zapasy – powiedział. – Twoje rozkazy zostaną wypisane, ale zabezpieczone. Nikt oprócz mnie nie będzie wiedział o twojej misji.

– Dziękuję, sir. – Thrawn wstał. – Dziękuję też za to, iż nie wspomniał pan również o tym, że i pańska kariera leży na szali.

– Martw się o swoją gwiazdogatorkę i Dynastię! – warknął Ba’kif. – O moją karierę będę się martwić sam. A teraz wynoś się stąd. I niech szczęście wojownika sprzyja ci w twoich wysiłkach.

– Ciekawe, o czym rozmawiają – mruknęła Che’ri, podnosząc wzrok znad questisa i obrazka, który rysowała. Wyciągnęła szyję w kierunku znajdujących się w połowie ruchliwego korytarza, zamkniętych drzwi gabinetu generała Ba’kifa, jakby przesunięcie głowy o te kilka centymetrów bliżej dawało jej w magiczny sposób zdolność widzenia lub słyszenia przez ściany.

– Nie wiem – odparła Thalias, opierając się chęci przypomnienia dziewczynce, że już dwukrotnie zadawała to pół-pytanie, pół-komentarz i że odpowiedź nie zmieni się, dopóki Thrawn nie pojawi się w drzwiach.

Jednak temat toczącej się tam rozmowy nie był trudny do odgadnięcia. Enigmatyczne pytanie Thrawna, czy ona i Che’ri zechcą udać się z nim na specjalną misję, zaintrygowałyby ją, nawet jeśli nie padłoby tuż przed spotkaniem z Ba’kifem. Ale padło i jedynym rozsądnym wnioskiem było to, że dyskutowali o szczegółach tej misji.

– Nadchodzą – powiedziała nagle Che’ri.

Thalias spojrzała na wciąż zamknięte drzwi, czując ulotny dotyk słodko-gorzkiego wspomnienia. Kiedy była w wieku Che’ri, też potrafiła przy wykorzystaniu Trzeciego Oka zrobić tę samą sztuczkę – dowiedzieć się kilka sekund wcześniej o czymś, zanim się jeszcze wydarzyło. Większość ludzi – a przynajmniej ci, którzy wiedzieli, kim były gwiazdogatorki – uznawała to za część ich talentu. Jednak znajdowali się i tacy, którzy nigdy się do tego nie przyzwyczaili. Straszanie ich stanowiło połowę zabawy.

Drzwi otworzyły się i wyszedł z nich Thrawn. Ba’kif pojawił się tuż za nim, ale zatrzymali się w przejściu i przez chwilę obaj mężczyźni kończyli jeszcze rozmowę. Thrawn w końcu skinął głową i ruszył korytarzem w kierunku Thalias i Che’ri...

– Dzień dobry, opiekunko Thalias.

Thalias się odwróciła. Stał przed nią syndyk Thurfian, prezentując uśmiech, który widziała na jego twarzy już zbyt wiele razy. Nigdy nie wyglądał specjalnie przyjaźnie i prawie zawsze zapowiadał złe wieści.

– Dzień dobry, syndyku – przywitała się. – Co mogę dla ciebie zrobić?

– Miałem nadzieję, że będziesz na tyle dobra, by na parę minut zajrzeć do mojego biura – powiedział Thurfian. – Mam z tobą do omówienia pewną sprawę.

Thalias poczuła ucisk w żołądku. „Nie. Nie teraz”. Nie mógł wybrać gorszego momentu.

– Przepraszam, ale mój dowódca jest w drodze. – Siliła się na neutralny ton, wskazawszy głową na Thrawn. – Jestem pewna, że ma wobec nas jakieś oficjalne plany.

– Jestem całkowicie pewien, że wręcz przeciwnie. – Thurfian wciąż się uśmiechał. – Widocznie zapomniałaś, że wasz statek wszedł do doku, by przejść kilka dość rozległych napraw. O ile generał Ba’kif nie wykopał skądś zapasowego okrętu, starszy kapitan Thrawn prawdopodobnie nie będzie cię potrzebował.

– Kapitan Thrawn może cię zaskoczyć swoją pomysłowością. – Thalias czuła, jak pot zbiera się pod jej kołnierzykiem. A więc to już. Najgorszy możliwy moment, więc właśnie teraz musiał się zjawić. – W każdym razie to on jest moim dowódcą, nie ty.

– W takim razie jego zapytajmy, dobrze? – Thurfian spojrzał ponad jej ramieniem. – Starszy kapitanie Thrawn – powiedział, a w jego głosie brzmiał ten sam fałszywy entuzjazm, jaki bił z jego uśmiechu – muszę na godzinę pożyczyć twoją opiekunkę. Z pewnością nie będziesz miał nic przeciwko?

– W żadnym razie – odpowiedział Thrawn, spoglądając na Thalias. – Zakładam, że nie będziesz potrzebował także Che’ri?

Thurfiana zmarszczył brwi.

– Nie, tylko Thalias. Dlaczego miałbym potrzebować Che’ri?

– Nie wiem – stwierdził Thrawn. – Dlatego spytałem. Cieszę się, że jej nie zabierasz, ponieważ ma nieco zaległości w nauce. Mam nadzieję, że harmonogram napraw „Springhawk” da jej czas na ich nadrobienie.

Czoło Thurfiana się wygładziło.

– Ach. Oczywiście.

– Powinam jej w tym pomóc – spróbowała Thalias, myśląc gorączkowo. Gdyby tylko udało jej się z tego wykaraskać...

– To nie potrwa długo – obiecał Thurfian. – Do zobaczenia, kapitanie Thrawn.

– Do zobaczenia – pożegnał się Thrawn.

Kompleks Syndykury był oddalony o około sto kilometrów od centrali floty, co przekładało się na dwadzieścia minut podróży kolejką. Ani Thalias, ani Thurfian nie odzywali się po drodze, choćby ze względu na pół

tuzina oficerów i Arystokrów w wagonie, którzy mogliby usłyszeć ich rozmowę.

Prawie dojechali już na miejsce, gdy Thalias wreszcie nakreśliła w głowie plan.

Niezbyt dobry plan. Prawdopodobnie nawet dość desperacki. Nie mogła jednak wymyślić nic innego.

Dwie minuty w zaciszu toalety wystarczyły jej, by poczynić odpowiednie przygotowania. Dwie minuty i dużo więcej odwagi, niż myślała, że posiada. W końcu jednak wszystko było gotowe, a ona pozostała zdeterminowana i pełna nadziei, że nie wydała właśnie na siebie wyroku.

Gdy dotarli do kompleksu, Thurfian, nadal milcząc, poprowadził ją do swojego biura korytarzami budynku, stanowiącego centrum władzy Dynastii.

– No dobrze, przyprowadziłeś mnie tutaj – powiedziała, gdy Thurfian wprowadził ją do gabinetu i wskazał jej krzesło. – O co w tym wszystkim chodzi?

– Och, proszę – zaprotestował łagodnie Thurfian. Zamknął drzwi, obszedł ją i usiadł przy biurku. – Nie udawaj, że nie wiesz. Obiecałaś mi raport. Czas go dostarczyć.

Aktywował questis i pchnął go w jej kierunku po blacie biurka.

– Teraz powiesz mi wszystko, co wiesz, wszystko, czego się dowiedziałas, po prostu wszystko o starszym kapitanie Thrawn.

Młoda kobieta przez dłuższą chwilę po prostu tam siedziała. Twarz jej znieruchomiała, ciało zeszywniało. Bez wątpienia rozpaczliwie szukała wyjścia z pułapki.

Oczywiście pułapki, w którą wpadła z własnej woli. Gdyby nie złożyła mu wtedy tej obietnicy, Thurfian odwróciłby się, poszedł z powrotem do biura personalnego i odwołał jej przydział jako opiekunki gwiazdogatorki na „Springhawku”. Wiedząc o wiszącej nad nią groźbie, nie miała innego wyjścia, musiała się zgodzić.

Nie zrobiła tego dobrowolnie, w żadnym wypadku. Nawet teraz, widząc jej wyraz twarzy i mowę ciała, doskonale wiedział, że miała nadzieję jakoś wyplątać się z zawartej umowy.

Szkoda. Jej nadzieje pozostawały bez znaczenia, podobnie jak powściągliwość. Jedyne, co się liczyło, to fakt, że Thrawn znowu coś knuł, a Thurfian był zmęczony jego wybrykami. Potrzebował broni, której

mógłby użyć przeciwko temu ekscentrykowi, a szczegółowa wiedza Thalias na temat ostatnich poczynań Thrawna mogła okazać się tą bronią.

– No już, nie mam całego dnia – przerwał pełną napięcia ciszę. – Im szybciej skończysz, tym szybciej będziesz mogła wrócić do nadskakowania twojemu wielkiemu bohaterowi.

– Sądziłam, że to może poczekać, aż skończy się cała kampania – odparła Thalias, nie wykonując żadnego ruchu w stronę questisa.

– Nigdy nie przedstawiłem ci żadnego harmonogramu – przypomniał jej Thurfian. – Umowa była jasna: wsadzę cię na pokład „Springhawk”, a ty zostaniesz moim szpiegiem.

Thalias wzdrygnęła się wyraźnie na dźwięk tego określenia. Tym też się nie przejął.

– Wszystko, co powinieneś wiedzieć o starszym kapitanie Thrawnie, znajduje się w oficjalnych aktach – powiedziała. – Kiedy je przeczytasz, mogę odpowiedzieć na wszelkie pytania, jakie przyjdą ci do głowy.

– Już je przeczytałem – sprzeciwił się Thurfian. – A ty się ociążasz.

– Nie ociążam się. – Thalias wstała. – Tak się składa, że mam spotkanie w innym miejscu. Jeśli mi więc wybaczysz...

– Usiądź! – W głosie Thurfiana rozbrzmiewał cały chłód skutej lodem powierzchni Csilli. – Nie chcesz rozmawiać o Thrawnie? Dobrze. Porozmawiajmy o twojej rodzinie.

– Chciałeś powiedzieć naszej rodzinie?

– Mam na myśli twoją pierwotną rodzinę – wyjaśnił. – Rodzinę, w której się urodziłaś i do której należałaś, zanim cię zabrano, byś mogła zostać gwiazdogatorką.

Thalias zatrzymała się w połowie drogi między krzesłem a drzwiami. Na jej twarzy malowała się cała gama emocji. Thurfian wiedział, że nie pamiętała tak wczesnych lat swojego życia, co czyniło ten środek nacisku idealnym.

– Co z nimi? – zapytała w końcu.

Thurfian ukrył uśmiech. Próbowana brzmieć spokojnie i beznamiętnie, ale napięte mięśnie gardła i policzków zdradzały nagłe zainteresowanie i niepewność.

– Pomyślałem, że możesz chcieć dowiedzieć się o ich obecnej sytuacji – stwierdził. – A być może nawet im pomóc – przerwał, czekając na jej reakcję.

Milczała. „Opanowana osóbką – musiał przyznać – niełatwa do zmanipulowania”. Thurfian miał jednak sporo doświadczenia w rozgrywaniu takich ludzi.

– Widzisz, nie wiedzie im się najlepiej – ciągnął. – Zawsze byli ubodzy, ale niedawne wahania cen niektórych minerałów szczególnie mocno dały im w kość. Rodzina Mitthów ma wiele zasobów, z których część można by skierować w ich stronę.

– Nawet ich nie pamiętam.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Thurfian. – Byłaś zbyt młoda, kiedy im cię odebrano. Ale czy to naprawdę ma znaczenie? To twoi ludzie. Twoja krew.

– Teraz to Mitthowie są moim ludem.

– Być może. – Thurfian lekko wzruszył ramionami. – A może nie.

Oczy Thalias się zwięzły.

– Co to ma znaczyć? Jestem pełnoprawnym członkiem rodziny Mitthów.

– Prawie – zauważył. – Jesteś zasłużoną adoptowaną i to stosunkowo nową. Przed tobą długa droga do osiągnięcia pozycji innej niż tymczasowa.

Thalias spojrzała na questis.

– Sugerujesz, że moja pozycja w rodzinie Mitthów zależy od tego, czy zdradzę Thrawna?

– Zdradzisz? Oczywiście, że nie – powiedział Thurfian, dbając o to, by w jego głosie wybrzmiało nieco sprawiedliwego oburzenia. – Thrawn jest członkiem naszej rodziny. – „Przynajmniej na razie” – przypomniał sobie w duchu. – Rozmowę o nim trudno określić jako zdradę. Wręcz przeciwnie, zdradą byłoby niezgłoszenie jego jakichkolwiek budzących wątpliwości działań.

– W takim razie nic prostszego – odparła Thalias. – Nigdy nie widziałam, by zrobił cokolwiek wątpliwego, nielegalnego lub nieetycznego. Na pewno nigdy nie widziałam, by w jakikolwiek sposób działał przeciwko Mitthom. Czy to wystarczy?

Thurfian westchnął teatralnie.

– Rozczarowujesz mnie, Thalias. Miałem nadzieję, że twoja przyszłość wiąże się z rodziną Mitthów. Ale jeśli nie możemy ci zaufać nawet wtedy, kiedy możesz pomóc nam dostrzec potencjalne zagrożenie dla rodziny, nie widzę, jak moglibyśmy cię zatrzymać. Jednak to twoja decyzja. Sam mogę pilnować Thrawna

Uniósł lekko brwi.

– Zacznę od tego, co knuje teraz. Widziałem, że znowu rozmawiał z generałem Ba'kifem, więc prawdopodobnie temu właśnie powinienem się przyjrzeć. Być może poświęcę na to godzinę lub dwie, nim uruchomię procedurę twojego przeniesienia.

Thalias próbowała ukryć swoją reakcję, ale nie potrafiła. Jego rzucona mimochodem groźba przeniesienia jej z powrotem do byłej rodziny załatwiła sprawę. Teraz poczeka jakąś godzinę, by zastanowiła się, jak będzie wyglądać życie bez Mitthów, a następnie uruchomi procedurę.

Nagle wyjęła własny questis i przyjrzała mu się.

– No dobrze – powiedziała. – Wygrałeś.

Thurfian ponownie musiał ukryć triumfalny uśmiech. Naprawdę, czasami to było po prostu zbyt łatwe.

– Świetnie – powiedział, znowu wskazując jej krzesło. – Choć zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby pojechać od razu na wspólną rozmowę z generałem Ba'kifem. Możesz zacząć zdawać raport po drodze.

– Zgoda, jedźmy – przytaknęła Thalias. – Ale nie do kwatery głównej floty. – Uniosła questis. – Masz mnie zabrać do siedziby Mitthów.

Poczucie triumfu Thurfiana zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Co? – zapytał ostrożnie.

– Sam to powiedziałaś – odparła. – Nie mam stabilnej pozycji w rodzinie. Poczyliłam więc odpowiednie starania, by to zmienić.

– Jak? – Poczul, jak krew nagle zastyga mu w żyłach. Jeśli zdradziła jego zainteresowanie Thrawnem niewłaściwym osobom... Nie, to nie mogło być to. Nie mogła wiedzieć wystarczająco dużo o splątanej sieci zależności wśród wyżej postawionych członków rodziny. – Jeśli sądzisz, że możesz się odwołać do kogoś znajdującego się wyżej mnie...

– Nie mam zamiaru się do nikogo odwoływać – stwierdziła. – Zamierzam wziąć udział w Próbach.

Teraz się już na nią po prostu gapił.

– Próbach?

– Zasłużeni adoptowani mogą w każdej chwili poprosić o wzięcie udziału w Próbach – odparła. – Jeśli im się powiedzie, stają się zrodzonymi w Próbie.

– Bądź łaskawa nie pouczaj mnie w kwestii zasad mojej własnej rodziny – rzekł sztywno. – Staje się tak wyłącznie wtedy, gdy im się uda. Jeśli nie, tracą nawet swój status zasłużonych adoptowanych.

– Zdaję sobie z tego sprawę – powiedziała Thalias. Głos drżał jej lekko, ale szczękę miała mocno zaciśniętą. – Jednak i tak zamierzałeś mnie wyrzucić z szeregów Mitthów. – Znowu uniosła swój questis. – Złożyłam petycję do Biura Patriarchy i została przyjęta.

– W porządku! – warknął przez zaciśnięte zęby Thurfian. Niech będzie przeklęta! – Wytłumaczę ci, jak dostać się do siedziby...

– Biuro Patriarchy poprosiło, abyś mi towarzyszył.

Thurfian wysyczał przekleństwo. To ostatecznie przekreślało jego zamiary. Całkowicie go wymanewrowała.

Ona... lub Thrawn.

Czy mógł przewidzieć tę konfrontację? Z pewnością Thalias nie mogła sama wymyślić tak niebezpiecznego planu. A jeśli to był Thrawn, jak udało mu się ją przekonać, żeby zaryzykowała dla niego całą swoją przyszłość w rodzinie?

Kolejny powód, dla którego należało się go pozbyć.

– Oczywiście – powiedział, wstając. – Nie przepuściłbym tego nawet za wszystkie skarby Dynastii.

Che’ri nigdy nie była dobra w odczytywaniu wyrazu twarzy dorosłych. Ale mimo to bez trudu zauważyła, że Thrawn wydawał się zaskoczony i zaniepokojony, gdy odłożył swój questis.

– Czy coś jest nie tak? – zapytała niespokojnie.

Wahał się przez chwilę, nim wreszcie odpowiedział.

– Wygląda na to, że opiekunka Thalias do nas nie dołączy – wyjaśnił.

– Och – westchnęła Che’ri, patrząc nad jego ramieniem na mały statek, do którego ich przyprowadził. Dokerzy właśnie wnosili na pokład ostatnie skrzynie z zapasami, a Thrawn mówił, że odlecą, jak tylko przybędzie Thalias.

Więc jednak nie odlatywali?

– To co robimy?

Thrawn odwrócił się i spojrzał na statek.

– Ta misja jest niezwykle ważna, Che’ri – powiedział cicho. – Thalias nie przekazała mi wiele, zakładam, że nie mogła swobodnie rozmawiać, ale dała do zrozumienia, że będzie zajęta przynajmniej przez kilka następnych dni.

– Więc zostajemy? – zapytała Che’ri, wciąż usiłując odczytać wyraz jego twarzy.

– To zależy od ciebie. – Odwrócił się, by na nią spojrzeć. – Czy jesteś skłonna polecieć ze mną, tylko we dwoje, w głąbiny Chaosu?

Przez chwilę Che’ri miała wrażenie, że jej usta, język i mózg ściał lód. Gwiazdogatorka nigdy nie ruszała się nigdzie bez statku i otaczającej ją załogi. To była pierwsza zasada i obietnica, którą złożono jej, gdy rozpoczęła szkolenie. Dziewczyнки takie jak ona były zbyt rzadkie, by ryzykować je dla czegoś mniejszego niż okręt lub krążownik dyplomatyczny. Tego, o co prosił Thrawn, nie robiono po prostu nigdy. Przenigdy.

Powiedział, że to ważne. Czy jednak wystarczająco ważne, aby złamać wszystkie możliwe zasady?

– Czy możemy to zrobić? – zapytała z wahaniem.

Wzruszył ramionami, a na jego ustach pojawił się blady uśmiech.

– Fizycznie i taktycznie oczywiście – odparł. – Ja umiem latać, ty nawigować, a sam statek jest na tyle dobrze uzbrojony, aby wyciągnąć nas z wszelkich kłopotów, na które możemy się natknąć w trakcie podróży.

– Chodziło mi o to, czy będziemy mieć przechlapane.

– Ty nie – zapewnił ją. – Gwiazdogatorki są właściwie nietykalne i nie da się ich ukarać. Możesz zostać zbesztana, ale to wszystko – przerwał. – Jeśli to coś zmienia, Thalias nie sugerowała, byśmy na nią czekali lub kompletnie porzucili misję.

– A jeśli nie polecę z tobą, to co się stanie?

– W takim wypadku będę musiał zostać – powiedział Thrawn. – To, co z pomocą gwiazdogatorki zajmie kilka dni, wymagałoby tygodni lub miesięcy pojedynczych skoków. Nie mogę sobie pozwolić na podróż trwającą miesiące. – Jego usta zacisnęły się gwałtownie. – Obawiam się, że Dynastia też nie.

Przynajmniej tę grę Che’ri znała aż nazbyt dobrze. Dorosły rzucał niejasnymi groźbami lub jeszcze bardziej niejasnymi obietnicami, zgodnie z którymi miały wydarzyć się jakieś straszne rzeczy, jeśli nie poleciałyby przez dodatkową godzinę, nie pominęłyby jednego ze swoich wolnych dni czy nie zrobiłyby czegokolwiek innego, czego od niej żądano.

Jednak gdy patrzyła Thrawnowi w oczy, miała niesamowite wrażenie, że on nie grał w tę grę. W zasadzie nie była pewna, czy w ogóle wiedział, jak w nią grać.

A jeśli Thalias naprawdę chciała, żeby z nim poleciała...

– Dobrze – powiedziała w końcu. – A czy możesz... Nieważne.

– Co takiego?

– Zastanawiałam się tylko, czy mógłbyś zorganizować mi trochę więcej flamastrów, to wszystko. – Che’ri czuła, jak wstyd rozpała jej twarz. Ze wszystkich głupich rzeczy, o które mogła prosić...

– Właściwie – stwierdził Thrawn – na pokładzie są już dwa nowe pudełka. I cztery segregatory z arkuszami do rysowania.

Che’ri zamrugła.

– Och – powiedziała. – Jestem... Dziękuję.

– Nie ma za co. – Thrawn wskazał na statek. – To jak, lecimy?

– Jesteś zmartwiona. – Thrawn przerwał ciszę panującą na mostku statku zwiadowczego.

Che’ri nie odpowiedziała, skupiając wzrok na gwiazdach połyskujących w iluminatorze, próbując sobie w myślach poradzić z niestosownością całej sytuacji.

Gwiazdogatorki nie latały same. Nigdy. Zawsze miała przy sobie jakąś nibymatkę, kogoś, kto się nią zaopiekuje, przygotowuje jej posiłek i pocieszy, gdy przebudzi się z koszmaru. Zawsze.

Thalias tu nie było. Che’ri miała nadzieję, że wpadnie do środka w ostatniej chwili i zażąda, by Thrawn zabrał ją ze sobą.

Jednak właz został zamknięty, a kontroler dał pozwolenie do startu i Thrawn zabrał ich z zimnego błękitu atmosfery Csilli w jeszcze zimniejszą czerń kosmosu.

Tylko ich dwoje. Żadnych oficerów. Żadnych wojowników.

Żadnej nibymatki.

Che’ri nie zawsze dogadywała się ze swoimi opiekunkami. Niektórych naprawdę, ale to naprawdę nie lubiła. Teraz chciała jednak, by była tu choć najgorsza z nich.

– Nigdy cię nie rozumieli, prawda? – Thrawn znowu przerwał milczenie.

Che’ri się skrzywiła. Jakby on miał o tym jakiegokolwiek pojęcie.

– Chcesz czegoś więcej niż to, co ci dano – ciągnął. – Nie wiesz, co będziesz robić, gdy przestaniesz już być gwiazdogatorką i to cię martwi.

– Wiem, co się stanie – prychnęła Che’ri. – Powiedzieli mi. Zostanę adoptowana przez jakąś rodzinę.

– Tym będziesz – zgodził się Thrawn. – Ale to nie odpowiada na pytanie, co będziesz robić. Chciałabyś latać, prawda?

Che’ri zmarszczyła brwi.

– Skąd wiedziałeś?

– Z obrazków, które rysujesz, odkąd opiekunka dała ci flamastry – odparł. – Lubisz rysować ptaki i błyskovażki.

– Są ładne – odparła sztywno Che’ri. – Wiele dzieci rysuje błyskovażki.

– Rysujesz także pejzaże i morza widziane z góry – ciągnął spokojnie Thrawn. – Niewiele osób w twoim wieku to robi.

– Jestem gwiazdogatorką – mruknęła. Thalias nie powinna pokazywać Thrawnowi jej prac. – Cały czas widzę rzeczy z góry.

– Właściwie to nie. – Thrawn przerwał i dotknął jakiegoś klawisza na swoim panelu sterowania.

Nagle wszystkie światła i klawisze na jego panelu zgasły, a ten przed Che’ri się rozświecił.

Odskoczyła do tyłu. Co do...?

– Przed tobą są dwa drążki – powiedział Thrawn. – Chwyć je obiema dłońmi.

– Co? – zapytała Che’ri, wpatrując się tępo w drążki i świecące kontrolki.

– Nauczę cię latać – oznajmił Thrawn. – To jest twoja pierwsza lekcja.

– Nie rozumiesz – wyszeptała, a w jej głosie pojawiły się strach i błaganie. – Mam o tym koszmary.

– Koszmary o lataniu?

– O spadaniu. – Serce Che’ri biło jak szalone. – Spadaniu, rzucaniu przez wiatr, tonięciu...

– Umiesz pływać?

– Nie – przyznała. – Może trochę.

– Właśnie – powiedział Thrawn. – To strach sprowadza te koszmary. Strach i bezradność.

Gdzieś przez wzbierającą falę paniki przebiło się ukłucie irytacji. Najpierw Thalias, a teraz Thrawn. Czy wszyscy myśleli, że wiedzą o jej koszmarach więcej niż ona sama?

– Czujesz się bezradnie w wodzie, więc śnisz o utonięciu. Czujesz się bezradnie w powietrzu, więc śnisz o upadku. – Wskazał na drążki. – Zwalczmy nieco tej bezradności.

Che’ri spojrzała na niego. Nie żartował, uświadomiła sobie. Mówił śmiertelnie poważnie. Spojrzała z powrotem na drążki, próbując podjąć decyzję.

– Chwyć je.

Nagle zdała sobie sprawę z czegoś zupełnie innego. Nie rozkazywał jej. On jej składał propozycję.

A ona naprawdę zawsze chciała latać.

Zaciskając zęby i tłumiąc strach, wyciągnęła ręce i ostrożnie zacisnęła dłonie na drążkach.

– Dobrze – pochwalił ją Thrawn. – Przesuń prawy w lewo, tylko odrobinę.

– Na lewą burzę – poprawiła go Che’ri. Przynajmniej tyle wiedziała.

– Na lewą burzę – przytaknął z uśmiechem. – Widzisz, jak zmieniły się pozycje gwiazd?

Che’ri skinęła głową. Ich statek skręcił trochę w lewo, zgodnie z kierunkiem, w którym poruszyła drążkiem.

– Tak.

– Ekran tuż nad nim, o ten, przedstawia dokładny kąt twojego zwrotu. Teraz przesuń tę samą dźwignię nieco do przodu.

Tym razem zmieniające się położenie gwiazd świadczyło o tym, że dziób statku nieco opadł.

– Czy nie zbaczamy z kursu?

– Bez trudu nań wrócimy – zapewnił ją Thrawn. – No dobrze, drążek lewej dłoni kontroluje stery strumieniowe. W tej chwili jest ustawiony na najdelikatniejszy poziom, dzięki czemu mały ruch przekłada się na niewielki wzrost lub zmniejszenie ciągu. Obrócenie drążka to zmieni, jednak nie będziemy sobie tym teraz zawracać głowy. Pchnij go do przodu, tylko trochę, i spójrz, jak zmienia się nasza prędkość na tym ekranie, o tamtym.

Gdy pół godziny później skończyli lekcję, Che’ri kręciło się w głowie. Ale były to dziwnie ekscytujące zawroty. Prawie się nie zmęczyła, gdy przez kilka następnych godzin używała Trzeciego Oka, prowadząc statek na skraj Chaosu.

Gdy skończyła nawigować i zjedli razem obiad, zapytała, czy udzieliliby jej kolejnej lekcji.

Tej nocy, po raz pierwszy, odkąd pamiętała, śniła sen o lataniu, który nie był koszmarem.

## Rozdział 17

Thrawn powiedział Che'ri, że tuż poza Chaosem, w regionie Podrzędnej Przestrzeni, znajduje się grupa obiecująco wyglądających planet. Do tej pory jednak nie znaleźli nic ciekawego. Jeden ze światów zapowiadał się interesująco, ale poza lokalnymi jednostkami patrolowymi wydawał się nie posiadać żadnych sił obronnych. Trzy kolejne były słabo zasiedlone, choć jeden z nich okazał się przynajmniej na tyle zaawansowany, by mieć triadę dalekiego zasięgu.

Jednak piąty świat...

– Czym one są? – zapytała Che'ri, wpatrując się w niewielkie obiekty, przemykające tam i z powrotem na ekranie czujnika dalekiego zasięgu. Wyglądały jak promy, pociski lub myśliwce, ale wydawały się zbyt małe choćby dla pilota, nie mówiąc już o pasażerze czy dwóch.

– Sądzę, że to automatyczne jednostki bojowe – odpowiedział Thrawn, który w skupieniu wpatrywał się w wyświetlacz. – Zasilane i obsługiwane przez sztuczną inteligencję zwaną droidami.

– Maszyny kierują ich okrętami?

– Niektórymi z nich tak – potwierdził Thrawn. – Właściwie, jeśli nasze raporty są prawdziwe, jedna strona wielkiej wojny toczącej się w Podrzędnej Przestrzeni jest w dużej mierze prowadzona przez takie droidy.

Che'ri zastanowiła się nad tym.

– Wydaje się to trochę głupie – skonstatowała. – A jeśli ktoś przejmie nad nimi kontrolę i je wyłączy? Lub dostanie się do fabryki i zmieni całe oprogramowanie?

– Albo jeśli w oprogramowaniu celowo pozostawi się błędy i martwe punkty, które można wykorzystać? – podsunął Thrawn. – Pragnienie zminimalizowania liczby zgonów wojowników jest daremne, jeśli wojna

zostanie przez to przegrana. Zwiększ czułość na czujniku numer cztery, proszę.

Che'ri skinęła głową i wcisnęła właściwy przycisk, mimowolnie zauważając z satysfakcją, jak dobrze zaczęła się czuć w tym kokpicie przez kilka ostatnich dni. Thrawn okazał się dużo lepszym nauczycielem, niż się spodziewała.

A może to ona była po prostu naprawdę dobrą uczennicą.

– Co tam widzisz? – zapytał Thrawn.

Che'ri zmarszczyła brwi. W centralnej części ekranu, na który właśnie spoglądała, widniało coś dziwnego. Sygnatura była idealnie okrągła i dawała odczyt mocnej, ale obcej energii.

– Nie wiem – odparła. – Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałam.

– A ja owszem – powiedział Thrawn z namysłem. – Ale tarcza energetyczna, którą widziałem, znajdowała się na pokładzie okrętu. Ta zdaje się ochraniać jakiś budynek.

– To tarcza? – zdziwiła się Che'ri. Teraz, kiedy o tym wspomniał, faktycznie to jej przypominało tarcze wojowników z przeszłości, których wizerunki widziała w książkach. – Coś w stylu naszych barier elektrostatycznych?

– Pełni taką samą funkcję ochronną, ale jest znacznie silniejsza i bardziej wszechstronna – wyjaśnił Thrawn. – Dynastia mogłaby zrobić bardzo dobry użytek z tej technologii.

Che'ri spojrzała na niego z ukosa. Nie myślał chyba o próbie zejścia na dół? Nie z tymi wszystkimi maszynami krążącymi dookoła.

Chyba wyczuł jej spojrzenie i nagłą obawę.

– Nie martw się, nie wparujemy tam sami – zapewnił ją. – Choć mając pełen zestaw wabików na pokładzie, przedostanie się przez ich strażę byłoby banalne. Mimo to obecność sił powietrznych implikuje podobne siły lądowe, a ty i ja nie jesteśmy przygotowani na spotkanie z takimi przeciwnikami.

– W porządku – powiedziała ostrożnie Che'ri. W jego oczach wciąż czał się ten intensywny błysk. – W takim razie... co robimy?

– Naszą misją od początku było znalezienie sojuszników. – Thrawn sięgnął do przodu i przestawił jedną z kontrolerek sterujących czujnika. – Ale może nie potrzebujemy ich całej armii.

– To ilu osób nam trzeba?

Wskazał na jeden z pozostałych ekranów.

– Zaczniemy od jednej.

Che’ri zamruwała ze zdziwienia. Na środku ekranu pojawił się inny statek, mniej więcej tego samego rozmiaru co ich własny. Unosił się w przestrzeni, ciemny i cichy, w trybie niskiego zużycia energii. Wyraźnie obserwował te same przelatujące automatyczne statki, którym przyglądali się z Thrawnem.

– Kto to?

– Nie mam pojęcia – przyznał Thrawn. – Ale jego wygląd i profil energetyczny nie pasują do żadnego z innych statków, które widzieliśmy od opuszczenia Chaosu.

– Nie wygląda też jak statek-droid – podsunęła Che’ri.

– Doskonała obserwacja – pochwalił ją Thrawn, a Che’ri poczuła, jak na jej twarzy pojawia się rumieniec, wywołany otrzymanym komplementem. – Możliwe, że pilot jest zwiadowcą przeciwnej strony. Jeśli tak jest, być może znaleźliśmy sprzymierzeńca... tam!

Che’ri zeszywniała. Profil energetyczny drugiego statku zmienił się gwałtownie. Otworzyła usta, by zapytać, co się dzieje, gdy statek obrócił się o kilka stopni, zamigotał i zniknął w nadprzestrzeni.

– Szybko – powiedział Thrawn, a tablica Che’ri pociemniała, gdy przejął stery. – Przygotuj Trzecie Oko.

– Lecimy za nim?

– Właściwie to mam nadzieję go wyprzedzić – stwierdził Thrawn, przełączając zasilanie do silników i hipernapędu. – Pierwszy świat, który odwiedziliśmy, był najbardziej zaludniony, a zatem jest najbardziej prawdopodobnym miejscem, gdzie będzie chciał wysłać wiadomość lub spotkać się z sojusznikami.

– Czy w tym celu nie lepsza byłaby jedna z mniej zamieszkałych planet?

– Teoretycznie tak. Ale zwiadowca chciałby uniknąć zwracania na siebie większej uwagi niż to konieczne. Im mniej mieszkańców, tym bardziej wzrasta poziom nieufności wobec obcych.

– Okej – odparła Che’ri, krzywiąc się, gdy aktywowała pulpit nawigatora. Zanim będą gotowi, ten drugi statek zyska już dobre dziesięć minut przewagi. Jak Thrawn chciał go wyprzedzić?

– Nic się nie stanie, jeśli pojawimy się na miejscu po nim – uspokoił ją. – Ale chociaż odleciał pierwszy, nie mam wątpliwości, że przybędziemy tam wcześniej. Statek tej wielkości raczej nie jest wyposażony w hipernapęd

i system nawigacyjny mogący mierzyć się z chissańskim statkiem i jego chissańską gwiazdogatorką.

Che'ri przygarbiła się nieco, sięgając do panelu kontrolnego. Miał cholerną rację. Byli Chissami i nie przegrają żadnego wyścigu. Z nikim.

– Jestem gotowa – powiedziała. – Na twój znak.

W pierwszej chwili po zamknięciu Trzeciego Oka i wyjściu z transu Che'ri sądziła, że jednak przegrali. Drugiego statku nigdzie nie było widać, nie zbliżał się do planety ani nie orbitował wokół niej. Westchnęła i przyłożyła dłoń do pulsującej skroni. Tak się starała, a jednak...

– Tam! – rzucił Thrawn.

Che'ri otworzyła szeroko oczy, natychmiast zapominając o bólu głowy. Miał rację. Statek, który obserwował tamte maszyny, właśnie wyłonił się z nadprzestrzeni.

– I co teraz?

– Sprawdźmy, czy są zainteresowani rozmową. – Włączył komunikator. – Do niezidentyfikowanej jednostki, tu starszy kapitan Mitth'raw'nuruodo z Dynastii Chissów – powiedział w minnisiat. – Rozumiesz mnie?

Cisza. Thrawn powtórzył pozdrowienie w taarja, a następnie w meese caulf, a potem jeszcze w sy bisti. Che'ri próbowała sobie przypomnieć, czy w ogóle istnieją jakieś inne języki kupieckie, o których by słyszała, gdy z komunikatora dobiegł sygnał nadchodzącej odpowiedzi.

– Witam, starszy kapitanie Mitth'raw'nuruodo – przemówił kobiecy głos w meese caulf. – W czym mogę ci pomóc?

– Uznaje się za uprzejme, by jedna ze stron rozmowy przedstawiała się drugiej – powiedział Thrawn.

– Myślisz, że będziemy rozmawiać?

– Wydawało mi się, że właśnie to robimy – zauważył Thrawn. Nastąpiła krótka pauza. Drugi statek, jak zauważyła Che'ri, zmierzał w kierunku planety i nic nie wskazywało, żeby jego pilotka była zainteresowana bliższym przyjrzeniem się chissańskim gościom.

– Mów mi Duja – odparła w końcu. – Moja kolej. Dynastia Chissów sprzyja Republice czy separatystom?

– Ani jednym, ani drugim. Nie stoimy po żadnej stronie w waszej wojnie.

– W takim razie nie widzę powodu, żeby z tobą rozmawiać. Bez urazy – dodała Duja – Nie widziałeś przypadkiem, by lądował tu ostatnio Nubian, nie?

– Jak wygląda taki statek?

– Błyszczący, srebrzystometaliczny. Dużo łuków, żadnych kątów, bliźniacze dysze silników.

– Nie widzieliśmy go.

– No to koniec gadki – stwierdziła Duja. – Miło się rozmawiało. – Gdy zerwała połączenie, rozległ się kolejny sygnał.

Che’ri spojrzała na Thrawna, spodziewając się, że ponownie wywoła Duję i spróbuje ją przekonać, może zaproponować współpracę. Ale, ku jej zaskoczeniu, po prostu wyłączył komunikator.

– Pozwolisz jej tak po prostu odejść? – zapytała.

– Nie jest wojownikiem – odparł zamyślony. – Zwiadowcą, może szpiegiem, najwyraźniej kimś odpowiednio przeszkolonym. Ale nie wojownikiem.

– Skąd wiesz, że przeszła jakieś szkolenie?

– Jej statek jest uzbrojony – wyjaśnił. – A gdy rozmawialiśmy, lekko go obróciła, żeby w razie czego móc szybciej użyć broni.

– Och – powiedziała Che’ri. Niczego takiego nie zauważyła. – To co dalej?

– Czekamy – odparł. – Jak już wspomniałem, ona jest zwiadowcą lub szpiegiem. Prędzej czy później nadejdzie więc wojownik.

Wyglądało na to, że wojownikowi się nie spieszyło. Thrawn i Che’ri czekali już od trzech dni, kiedy pojawił się srebrzysty statek, o którym mówiła Duja. Zniknął między drzewami, w znacznej odległości od osady wybudowanej pośród grupy czarnych, kamiennych lub drewnianych iglic. Kilka godzin później statek Dui wystartował z lasu i oddalił się, ścigany krótko i bezskutecznie przez kilka patrolowców planety. Che’ri czekała, aż Nubian podąży za nim, jednak drugi statek wciąż pozostawał w ukryciu.

A potem znowu nic. Thrawn spędzał dni na studiowaniu wszystkich informacji na temat planety – która, jak dowiedziała się Che’ri, nazywała się Batuu – i udzielaniu dziewczynce kolejnych lekcji pilotażu, korzystając z trybu symulatora zainstalowanego na jej panelu kontrolnym. Ona zaś stale powtarzała te ćwiczenia. Thrawn nigdy nie powiedział tego wprost, ale miała silne podejrzenie, że gdy pojawi się wreszcie ten oczekiwany przez Thrawna wojownik, kapitan będzie chciał jej zostawić pilotowanie statkiem. Była zdecydowana go nie zawieść, gdy wreszcie do tego dojdzie.

I gdy Che’ri w skrytości ducha porzuciła już nadzieję na to, że ktokolwiek przybędzie, pojawił się.

– Do niezidentyfikowanej jednostki, mówi generał Anakin Skywalker z Republiki Galaktycznej. – Głos pilota dobiegał z głośnika statku zwiadowczego. Trochę przekręcał słowa wypowiedziane w meese caulf, ale dało się go zrozumieć. – Naruszasz sprzęt będący własnością Republiki i przeszkadzasz mi też w wykonywaniu ważnej misji w jej imieniu. Rozkazuję ci się wycofać i natychmiast zidentyfikować.

– Pozdrawiam cię – powiedział z kolei Thrawn. – Czy przedstawiłeś się jako generał Skywalker?

– Owszem. Czyżbyś o mnie słyszał?

Thrawn uchwycił spojrzenie Che’ri, wyciszając na chwilę nadajnik.

– Interesujący zbieg okoliczności – skomentował.

Che’ri skinęła głową. Pilot wypowiedział to słowo, jakby było jego imieniem, ale prawdopodobnie po prostu pokręcił słownictwo.

Thrawn ponownie odezwał się do rozmówcy.

– Nie, wcale – zaprzeczył. – Jestem tylko zaskoczony. Zapewniam, że nie mam złych zamiarów ani wobec ciebie, ani twojego wyposażenia. Chciałem tylko przyjrzeć się bliżej temu interesującemu urządzeniu.

– Dobrze wiedzieć – skwitował pilot. – Przyjrzałeś się. A teraz wycofaj się zgodnie z rozkazem.

Thrawn zacisnął usta w zamyśleniu. Następnie bardzo ostrożnie odsunął ich statek od pierścienia, do którego wcześniej podlecieli, by go dokładniej obejrzeć.

– Czy mogę spytać, co sprowadza wysłannika Republiki do tej części kosmosu? – rzucił.

– Czy mogę zapytać, co cię to obchodzi? – odparował tamten. – W każdej chwili możesz ruszać w swoją stronę.

– W moją stronę?

– Kontynuować swoją podróż. Lecieć, dokąd zmierzałeś, nim postanowiłeś obejrzeć mój pierścień hipernapędu.

Thrawn ponownie wyciszył urządzenie.

– Co sądzisz?

Che’ri zamrugnęła. Pytał ją, co myśli na ten temat? Pytał o jej opinię?

– Nie znam się na takich sprawach.

– Jesteś Chisską – przypomniał jej Thrawn. – W związku z tym masz instynkt i zdrowy rozsądek, być może nawet więcej, niż sądzisz. Uważasz, że będzie dobrym sojusznikiem?

Che'ri zmarszczyła nos. Nie znała tej osoby. Słyszała tylko, jak wypowiada kilka zdań.

A jednak wyczuwała w nim pewność siebie, siłę i zaangażowanie.

– Tak – zdecydowała. – Tak sędzę.

Thrawn skinął głową i włączył komunikator.

– Tak, mógłbym ruszyć w swoją stronę – przyznał. – Ale być może lepiej zrobić, pomagając ci w twojej wyprawie.

– Już ci mówiłem, to misja Republiki. Nie żadna wyprawa.

– Tak, pamiętam, co powiedziałaś – odparł Thrawn. – Ale trudno mi uwierzyć w to, że znajdująca się w stanie wojny Republika wysłałaby samotnego człowieka w pojedynczym myśliwcu na jakąś misję. Bardziej prawdopodobnym jest, że podróżujesz w celach osobistych.

– Mam misję – upierał się pilot. – Wykonuję bezpośredni rozkaz samego Najwyższego Kanclerza Palpatine'a. I nie mam czasu na te ciche rozmowy.

– Masz rację – przyznał Thrawn. – Może najlepiej byłoby więc, gdybym po prostu wskazał ci położenie statku, którego szukasz.

Nastąpiła krótka pauza.

– Wyjaśnij – rzekł cicho pilot.

– Wiem, gdzie wylądował Nubian – oznajmił Thrawn. – I że zaginął ich pilot.

– Przechwyciłeś prywatną transmisję?

– Mam własne źródła. Podobnie jak ty, szukam informacji o rozmaitych rzeczach. Podobnie jak ty, jestem sam, bez zasobów pozwalających na samodzielne śledztwo. Być może we dwóch odnajdziemy odpowiedzi, których obaj szukamy.

– Ciekawa oferta. Mówisz, że tylko we dwóch?

– Tak. – Thrawn spojrzał na Che'ri. – Oraz oczywiście z moim pilotem i twoim droidem.

– Nie wspomniałeś o pilocie.

– A ty o swoim droidzie. Ponieważ żadne z nich nie dołączy do naszej wyprawy, nie sądziłem, że stanowią część tej umowy.

– Artoo zwykle towarzyszy mi podczas misji.

– Doprawdy? – Thrawn uniósł brew. – Interesujące. Nie słyszałem o innych zastosowaniach maszyn nawigacyjnych. Czy jesteśmy zatem sojusznikami?

Pilot się zawahał. Che'ri dała znak głową, a Thrawn wyłączył mikrofon.

– Pilot drugiego statku zaginął?

– Nie mam stuprocentowej pewności. Ale ich brak aktywności sugeruje, że może tak być. – Wzruszył lekko ramionami. – Poza tym, generałowi Skywalkerowi wyraźnie na nim zależy. Przypomnienie o tym, że to pilne, powinno pomóc mu w szybkim podjęciu decyzji

– Więc jakich odpowiedzi szukasz? – odezwał się Skywalker.

Thrawn dotknął klawisza.

– Chcę lepiej zrozumieć konflikt, w który jesteś uwikłany. Chcę poznać odpowiedzi dotyczące dobra i zła, porządku i chaosu, siły i słabości, celu i reakcji. – Thrawn znowu spojrzął na Che'ri, po czym nagle się wyprostował w swoim fotelu. – Pytałeś o moją tożsamość. Teraz jestem gotów, aby ci ją ujawnić. Jestem komandor Mitth'raw'nuruodo, oficer Ekspansyjnej Floty Obronnej, sługa Dynastii Chissów. W imieniu mojego ludu proszę o pomoc w zrozumieniu tej wojny, zanim jej tragiczne skutki dotkną i naszych światów.

Che'ri zmarszczył brwi. Komandor? Przecież był starszym kapitanem. Zdegradowali go?

Pewnie nie. Bardziej prawdopodobne, że po prostu z jakiegoś powodu umniejszał swoje znaczenie, może po to, żeby generał Skywalker nie poczuł się zagrożony większym doświadczeniem wojskowym Thrawna. Skywalker zdecydowanie sprawiał wrażenie dużo młodszego od niego.

– Rozumiem – odparł tamten. – Zgoda więc. W imieniu kanclerza Palpatine'a i Republiki Galaktycznej przyjmuję twoją ofertę.

– Doskonale – ucieszył się Thrawn. – Być może zacząłbyś więc od wyjawienia mi prawdziwego powodu twojej wyprawy.

– Myślałem, że już wiesz. Wiesz przecież o statku Padme.

– O Nubianie? – Thrawn wzruszył ramionami. – Jego projekt i system zasilania nie przypominały niczego, co widziałem w tym regionie. Twój statek wykazuje podobną charakterystykę. Logicznym było, że jeden nieznanomy szuka drugiego.

– Ach. Masz rację, Nubian jest przecież nasz. Podróżowała nim ambasadorka Republiki, która przybyła tu na spotkanie z informatorem. Kiedy urwał się z nią kontakt, wysłano mnie, żebym jej poszukał.

Che'ri zmarszczył brwi. Czy to Duja była informatorem, o którym mówił Skywalker? W takim razie czy nie powinni mu powiedzieć, że opuściła już Batuu?

– Rozumiem – odparł Thrawn. – Czy ten informator był godny zaufania?

– Tak.

– Jesteś tego pewien?

– Ambasadorka była.

– W takim razie zdrada jest mało prawdopodobna. Czy ten informator się z tobą skontaktował?

– Nie.

– W takim przypadku najbardziej prawdopodobnymi scenariuszami są wypadek lub porwanie. Musimy udać się na powierzchnię, aby ustalić, z którym mamy do czynienia.

– Właśnie tam zmierzałem, kiedy się pojawiłeś – wyjaśnił Skywalker. – Mówiłeś, że wiesz, gdzie jest jej statek?

– Mogę ci wysłać jego lokalizację – powiedział mu Thrawn. – Ale może wygodniej będzie, jeśli najpierw wejdiesz na mój pokład. Mam dwuosobowy prom, którym możemy polecieć razem.

– Dzięki, ale polecę swoim. Jak mówiłem, na dole możemy potrzebować Artoo.

– Jak sobie życzysz – zgodził się Thrawn. – Wskażę zatem drogę.

– Dobrze. Możemy ruszać, kiedy tylko będziesz gotów.

– Natychmiast poczynię przygotowania – zapewnił go Thrawn. – Przyszło mi do głowy jeszcze jedno. Dla wielu ras imiona Chissów są trudne do wymówienia. Proponuję, abyś zwracał się do mnie moim rdzeniowym imieniem: Thrawn.

– W porządku, Mitth'raw'nuruodo. Myślę, że jakoś dam radę.

– Mitth'raw'nuruodo.

– Właśnie to powiedziałem. Mitth'raw'nuruodo.

– Wymawia się Mitth'raw'nuruodo.

– Tak. Mitth'raw'nuruodo.

– Mitth'raw'nuruodo.

Che'ri ostatkiem sił powstrzymywała się od wybuchnięcia niepowstrzymanym chichotem. Słyszała różnicę równie dobrze jak Thrawn, ale obcy najwyraźniej nie zdawał sobie z niej sprawy.

Ale przynajmniej nie był na tyle uparty, by walić głową w mur.

– Dobrze! – warknął. – Thrawn.

– Dziękuję, to wszystko ułatwi. Mój prom jest gotów do lotu. Możemy ruszać.

Wyłączył komunikator i zaczął wypinać się z fotela.

– Poradzisz tu sobie sama? – Przyjrzał się Che'ri uważnie.

Głośno przełknęła ślinę. Czy w ogóle miała wybór?

Nagle uświadomiła sobie, że tak, miała. Najwyraźniej Thrawn był gotów wycofać się z zawartej właśnie umowy, gdyby Che'ri poprosiła, by z nią został.

Ale przybyli tutaj szukać sojuszników w wojnie przeciwko Nikardunom. Skywalker mógł być ich największą nadzieją.

Wyprostowała się.

– Nic mi nie będzie – stwierdziła stanowczo. – Powiedz, co mam w tym czasie robić.

– Wróć do układu z tarczą energetyczną – odparł. – Trzymaj się z daleka od statków-droidów. Na mój sygnał polecisz do tarczy, używając wabików, aby odwrócić uwagę maszyn od swojego kursu.

– W porządku – przytaknęła Che'ri. Używała wabików tylko w symulacjach, ale nie wyglądało to na nic trudnego. – Ilu powinnam użyć?

– Tylu, ilu będziesz potrzebować. W zasadzie równie dobrze możesz użyć wszystkich. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, potem wrócimy prosto do Dynastii, bez narażania się na inne zagrożenia.

– Jasne. – Zrobiła głęboki wdech. – A czy tobie nic nie będzie?

– Oczywiście. – Uśmiechnął się z przekonaniem. – Będę uzbrojony i jestem pewien, że generał Skywalker okaże się potężnym sojusznikiem.

Wyjrzał przez iluminator.

– Poza tym założę też kombinezon bojowy. Na wszelki wypadek.

## Rozdział 18

Nawet w jednym z wagonów superszybkiej kolejki ekspresowej, zarezerwowanych dla wyłącznego użytku Dziewięciu Rodzin, podróż do siedziby Mitthów zajęła prawie cztery godziny. W tym czasie Thalias i Thurfian rozmawiali tylko raz, gdzieś w połowie drogi, gdy Thurfian zapytał, czy chce coś zjeść. Odmówiła. Nie dlatego, że nie była głodna, ale ponieważ nie chciała mieć wobec niego żadnych zobowiązań. Reszta podróży upłynęła w ciszy.

Thalias nigdy nie odwiedziła ogromnej jaskini, w której mieściła się siedziba rodziny Mitthów na Csilli. Oglądała jednak zdjęcia i mapy, więc gdy zbliżyli się do stacji końcowej, była przekonana, że jest w pełni przygotowana na widok starożytnej rezydencji swojej przybranej rodziny.

Myliła się. Całkowicie i bezgranicznie.

Jaskinia była większa, niż się spodziewała. Dużo większa. Wystarczająco duża, by na panoramicznym, błękitnym niebie unosiły się autentyczne chmury i była gotowa przysiąc, że to prawdziwe niebo nad rzeczywistą powierzchnią planety. Zza obłoków wyłaniała się płonąca tarcza słońca. Ono też wyglądało na całkowicie realne. Po obu stronach torów rozciągały się zasilane strumieniami jeziora, a to po prawej okazało się na tyle duże, by mierzwiący sady i ogrody lekki wiatr był w stanie wzbić małe fale na jego powierzchni.

Dookoła jezior i pod lasem, ciągnącym się daleko za akwenem po lewej stronie, postawiono kilkanaście budynków. Niektóre zostały najwyraźniej przeznaczone do przechowywania sprzętu, inne wydawały się być domami, wystarczająco dużymi, aby w każdym mogły się swobodnie pomieścić dwie lub trzy rodziny. W oddali, w pobliżu najdalszego końca jaskini, widniało spowite mgłą pasmo górskie. Nie potrafiła powiedzieć, czy szczyty wyrastały ze ściany jaskini, czy też wznosiły się bezpośrednio z jej dna.

A pośrodku jaskini, na łące, między sklepieniami łukami żywopłotów wznosiła się majestatycznie sama rezydencja.

Była ogromna, miała co najmniej osiem pięter, a jej boczne skrzydła rozpościerały się na kilkaset metrów. Wyglądała trochę jak jedna ze starych fortec, wznoszonych w czasach, zanim Chissowie nauczyli się podróżować do gwiazd. Projekt wydawał się jednak nieco bardziej nowoczesny i brakowało w nim rozlicznych gniazd broni, charakterystycznych dla starożytnych, mających wywoływać przerażenie twierdz. Całość została wykonana z wzorzystego kamienia, szkła i polerowanej stali, z małymi, kanciastymi wieżyczkami obserwacyjnymi na rogach i asymetrycznym, mozaikowym dachem, błyszczącym w świetle sztucznego słońca.

– Zakładam, że jesteś tu po raz pierwszy? – odezwał się Thurfian.

Thalias w końcu odzyskała głos.

– Tak – przyznała. – Wszystkie moje dotychczasowe kontakty z rodziną miały miejsce na Avidichu. Zdjęcia nie oddają sprawiedliwości temu miejscu.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Thurfian. – Zdjęcia w wysokiej rozdzielczości mogłyby zdradzić dokładne położenie siedziby. Nie możemy na to pozwolić.

– Sądziłam, że to stare ziemie Mitthów.

– I tak jest. Ale te ziemie zajmują ponad sześć tysięcy kilometrów kwadratowych i obejmują wiele innych, podobnych tej jaskiń, z których każda ma połączenie z kolejką. Uwierz mi, gdy mówię, że nikt nie dociera do siedziby Mitthów bez ich zgody. To twoja ostatnia szansa, aby zmienić zdanie w kwestii Prób.

Thalias zebrała się w sobie.

– Jestem gotowa.

– Być może. Wkrótce się tego dowiemy, czyż nie?

Wagon zatrzymał się sto metrów przed posiadłością, przy rozległej, osadzonej w ziemi mozaice.

– Oto twoja pierwsza Próba – powiedział Thurfian, gdy zadaszanie wagonu się zwinęło. – Musisz znaleźć swoją ścieżkę. Jeśli ci się uda, zostaniesz zaproszona do środka. Jeśli nie, wróc do wagonu i zostaniesz odwieziona z powrotem do kosmoportu. – Wysiadł, przeszedł wzdłuż krawędzi mozaiki i skierował się w stronę rezydencji.

Thalias ostrożnie wyszła z wagonu, przyglądając się mozaice z uwagą. Wyglądała znajomo...

I wtedy to dostrzegła. Całość stanowiła stylizowaną mapę Dynastii.

Tfurfian oznajmił, iż musi znaleźć swoją ścieżkę. Czy to oznaczało, że miała prześledzić swoje nadzieje na przyszłość?

Nie, oczywiście, że nie. Całe istnienie tej siedziby stanowiło jeden wielki ukłon wobec historii rodziny Mitthów. Nie miała wypatrywać swojej przyszłości. Musiała namierzyć ścieżkę, która przywiodła ją aż do tego miejsca.

Zrobiła głęboki wdech. Ledwo pamiętała swoje życie sprzed służby gwiazdogatorskiej, ale wiedziała, że urodziła się na Stacji Kolonialnej Camco. To było... tam. Idąc ostrożnie po mapie, tak, by po drodze nie dotknąć żadnych innych planet, nadepnęła na płytkę przedstawiającą Camco.

Przez chwilę nic się nie działo. Myślała już, że może powinna się pochylić i dotknąć jej ręką, gdy nagle tabliczka rozjarzyła się na chwilę zieloną poświatą.

Gdy blask zniknął, wypuściła z ulgą powietrze. W porządku. Stamtąd udała się do kompleksu Ekspansyjnej Floty na Naporarze, gdzie przeszła szkolenie na gwiazdogatorkę. Ponownie uważając, aby nie dotknąć żadnej z innych planet, podeszła do Naporara i stanęła na nim. I znów została nagrodzona zielonym blaskiem. Następnie...

Zamarła. Następnie, już jako gwiazdogatorka, odbyła serię podróży poza Dynastię, prowadząc wojskowe i dyplomatyczne statki do obcych światów i ludów.

Tylko żaden z tych światów nie widniał na tej mapie. Czy powinna zatem pójść do najbliższego im układu Chissów?

Nie, to nie mogło tak działać. Mozaika była płaską projekcją trójwymiarowego obszaru przestrzeni i nie dało się w żaden sposób stwierdzić, która planeta Chissów była najbliższa danemu obcemu układowi. Co w takim razie powinna zrobić?

Spojrzała na dom. Chodziło o historię. Ale przecież o... historię Dynastii.

Spojrzała ponownie na mapę. Ostatnia podróż, którą odbyła jako gwiazdogatorka, ta, podczas której poznała Thrawna, prowadziła z Rentora na Naporar. Podeszła do Rentora i nadepnęła na niego ostrożnie.

Ku jej uldze, mozaika pod jej stopami znów zaświeciła na zielono. Przeszła do Naporara i ponownie się nie myliła.

W porządku. Następna była wycieczka na Avidich na spotkanie z Arystokrem Mitthów, który wprowadził ją do rodziny. Następnie na

Jamironie, gdzie zdobyła formalne wykształcenie...

Nadepnęła jeszcze na trzy inne światy, a każdy zielony rozbłysk przywoływał wspomnienia widoków, dźwięków i zapachów, które już prawie zapomniała. Kiedy nadepnęła na Csillę, czuła się prawie, jakby faktycznie odwiedziła te miejsca.

Posadzka znów zaświeciła na zielono.

– Witaj, Mitth’ali’astov. – Pozbawiony ciała głos dobiegał z samej mozaiki. – Przejdź do naszego starożytnego domu, aby rozpocząć kolejną Próbę.

Thalias wzięła głęboki oddech.

– Jestem posłuszna – powiedziała na głos. Przeszła powoli przez mozaikę z głową wciąż pełną wspomnień, zeszła na miękką, szeleszczącą trawę i skierowała się w stronę rezydencji.

Było wiele Prób.

Pierwsze cztery lub pięć należało do stosunkowo łatwych: testy pisemne obejmujące wiedzę ogólną, logikę, umiejętność rozwiązywania problemów i historię Dynastii. Czuła się trochę jak z powrotem w szkole, a chociaż Thalias była ledwie dobrą uczennicą, to zawsze lubiła czytać. Zdała więc testy z łatwością, zastanawiając się, czy pozostałe Próby pójdą równie szybko.

A jednak nie.

Następnie sprawdzono, czy da radę suchą stopą przedostać się przez szeroki na trzy metry kanał wodny, korzystając jedynie z dwuipółmetrowych desek. Potem musiała wspiąć się na drzewo o gładkiej korze, aby dotrzeć do punktu, z którego mogła poznać odpowiedź na pradawną mitthańską zagadkę. Kolejna rodzinna łamigłówka wymagała od niej dostrzeżenia subtelnego wzoru w kwiatowych łukach otaczających rezydencję.

Niejednokrotnie gdy głowiła się nad rozwiązaniami, zastanawiała się, czy Próby zostały wymyślane po przeniesieniu siedziby pod powierzchnię Csilli, czy może były starsze. Jeśli były starsze, oznaczało to, że wszystko, co kiedyś znajdowało się na powierzchni, zostało skopiowane w naprawdę drobiazgowy sposób.

Jednak ten stopień dokładności specjalnie jej nie zaskoczył.

Założyła, że Próby skończą się wraz z zachodem sztucznego słońca. Ponownie okazało się, że jest w błędzie. Krótka, sześciogodzinna przerwa

na sen i wróciła do kolejnej serii pisemnych testów oraz kilku innych logicznych zagadek, rozmieszczonych na zewnątrz.

Przez cały ten czas, od momentu, w którym Thurfian zostawił ją na mozaikowej mapie, nie widziała żadnej innej żywej istoty. Wszystkie instrukcje przekazywał jej ten sam bezcielesny głos, który usłyszała po pokonaniu pierwszej Próby, a posiłki i pokój czekały na nią w wyznaczonych miejscach.

W końcu, dwie godziny po skromnym lunchu, została wysłana na ostatnią Próbę. Miała się wspiąć na szczyt góry wznoszącej się za rezydencją.

Na początku nie wyglądało to na zbyt trudne zadanie. Droga wiodła wyraźnie wytyczonym szlakiem, początkowe nachylenie stoku wynosiło zaledwie kilka stopni, a kępy krzewów i szpalery drzew dawały wystarczająco dużo osłony przed palącym słońcem. Założyła się sama ze sobą, że wróci na dół na wczesną kolację, po czym zaczęła się wspinać.

Łagodne zbocze skończyło się jednak tuż poza pierwszą linią drzew. Na szczęście, gdy stok stał się stromy, ścieżka zaczęła prowadzić zygzakiem, prowadząc ją wzdłuż zbocza, a nie stromo pod górę.

Oznaczało to mniej wymagającą wspinaczkę, ale także znacznie dłuższą. W duchu zrewidowała oczekiwania względem czasu trwania wędrówki i ruszyła w dalszą drogę.

Wspinała się po ścieżce może od godziny i gdy po raz trzeci skręciła ostro w przeciwną stronę, zaczęła dostrzegać wysokie kolce, wyrastające z ziemi tuż przy szlaku. W pierwszej grupie kolców naliczyła ich sześć. Jeden miał około metra wysokości i pięciu centymetrów średnicy, pozostałych pięć było o połowę niższych i proporcjonalnie cieńszych. Thalias przyjrzała się im, gdy przechodziła obok, zastanawiając się, czy nie stanowiły wprowadzenia do kolejnej zagadki. Wyższy kolec wydawał się mieć chropowatą, może rzeźbioną powierzchnię i przez chwilę rozważała opuszczenie ścieżki i obejrzenie go z bliska.

Jednak chociaż jej polecenia nie zakazywały przyglądania się kolcom, nie wspominały też o takiej możliwości. Zdecydowała, że na tak późnym etapie Prób lepiej będzie zachować ostrożność.

Chyba że sprawdzali jej inicjatywę?

Thalias się skrzywiła. Gierki psychologiczne wewnątrz gierki psychologicznych.

A jednak między drzewami dostrzegła znajdujące się wyżej kolejne skupiska kolców. Szła więc dalej i wypatrywała jakiegoś wzoru, który, jak miała nadzieję, podpowiedziałyby jej, co robić dalej.

Założyła, że zaraz natknie się na kolce widziane pośród gałęzi. Ku jej lekkiemu zdziwieniu wkrótce napotkała na znacznie krótsze, ułożone wzdłuż ścieżki zaraz po pierwszej grupie. Niektóre wydawały się trwać samotnie, podczas gdy inne tworzyły niewielkie skupiska. Zwykle pośrodku znajdował się nieco wyższy kolec, choć żaden nie cechował się rozmiarem lub skomplikowaną teksturą pierwszego, z jakim się zetknęła. Marszczyła brwi, mijając każdy z nich, szukając wciąż nieuchwytnego wzoru, bo wiedziała, że jakiś musi tam być.

Dwa zakręty później pojawiły się nagle w dużo większej grupie. Dostrzegła wśród nich kolejny wysoki kolec, jeszcze dłuższy i rzeźbiony w bardziej wyszukany sposób niż pierwszy. Był odsunięty o piętnaście metrów od ścieżki i wyrastał z niewielkiego wzniesienia. Wokół niego znajdowało się co najmniej pięćdziesiąt innych, ponownie o różnych rozmiarach. Znowu nie mogła dostrzec żadnego porządku w ich rozmiarze i położeniu.

Od tego momentu kolce towarzyszyły jej już na każdym kroku. Wysokie, niskie, czasem ogromne – były wszędzie, oddalone od ścieżki, a czasem położone tuż obok.

Jeszcze dwa zakręty, zdecydowała, po raz kolejny zmieniając kierunek. Jeszcze dwa zakręty i jeśli nie odnajdzie wzoru, podejdzie bliżej, by się im przyjrzeć.

– Robią wrażenie, prawda?

Thalias prawie skrzyła kostkę, gwałtownie odwracając w kierunku głosu. Dziesięć metrów od ostatniego zakrętu na ścieżce, poniżej delikatnie falujących gałęzi rosnącej tam grupy drzew, znajdowała się rzeźbiona drewniana ławka. Na jednym jej końcu siedział stary mężczyzna o skórze wyblakłej z wiekiem. Gdy spoglądał na nią z cienia, jego oczy wydawały się niezwykle błyszczące. Złożone ręce położył na szczycie łaski, wyrzeźbionej równie misternie jak kolce, które wcześniej widziała.

– Rzeczywiście – odpowiedziała, czując przyspieszone bicie serca. Pierwsza osoba, którą widziała od zniknięcia Thurfiana...

Równie dobrze mógł czytać w jej myślach.

– Nie, nie jestem częścią Prób – rzekł z rozbawionym i nieco konspiracyjnym uśmiechem. – Oni nawet nie wiedzą, że tu jestem.

Prawdopodobnie wyrywają sobie włosy z głowy, próbując mnie znaleźć. Ale chciałem porozmawiać z tobą na osobności i wydawało mi się, że tak najłatwiej to zaaranżować.

– Jestem tu już od dwóch dni – przypomniała mu Thalias, chcąc przeniknąć oślepiające światło przechodzące przez liście, by lepiej mu się przyjrzeć. Już gdzieś widziała tę twarz.

– Och, wiem – powiedział. – Obserwowałem cię. Ale chociaż może wyglądało na to, że jesteś sama, ani przez moment tak nie było. Przynajmniej dopóki nie wysłali cię tutaj. – Machnięciem wskazał otaczający ich krajobraz. – Poza tym, z tej góry aż emanuje historia rodziny Mitthów. Co sprawia, że jest najlepszym miejscem do omówienia jej przyszłości. – Wyciągnął palec, by wskazać największy kolec w grupce, której Thalias przyglądała się przed chwilą. – Co sądzisz?

– Nie wiem... – urwała nagle. Wyglądał tak znajomo... – To całkiem imponujące, ale ja nie...

– Imponujące? – prychnął starzec. – Dobre sobie. Był zwykłym pozerem, który zawsze przedkładał własną chwałę ponad interes rodziny. Widzisz, w pewnym momencie sprowadzanie zrodzonych w Próbie i zamienianie ich w kuzynów przestaje być kwestią potrzeb rodziny, a bardziej potrzebą imponowania tym, których olśniewają same liczby.

– Tak, oczywiście – odparła Thalias. Nagle, gdy zrozumiała, na co patrzy, poczuła, jak przeszywa ją prawie elektryczny wstrząs. Ktoś z rodziny Mitthów, jakiś syndyk, członek Rady lub jakiś inny wyższy rangą Arystokr, został tu upamiętniony. Przedstawiał go największy kolec, a ten z kolei otaczały wspomnienia tych, których przeniósł do Mitthów z innych rodzin.

Gdy w końcu rozpoznała stojącego przed nią staruszką, przeszył ją kolejny dreszcz.

– Jesteś Mitth'oor'akiord – wyszeptała. – Patriarcha.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Thooraki. – Zwróciłaś uwagę na szereg symulobrazów w wielkim hallu. Imponujące. – Wzruszył ramionami. – Niestety, ten poziom zdolności obserwacyjnych nie ma nic wspólnego z Próbnami, bo inaczej właśnie zdobyłabyś dodatkowe punkty.

– Dziękuję, Wasza Czcigodność – rzekła Thalias. – Ale szczerze mówiąc, nie sądzę, abyś był kimś, kogo olśniewają same liczby.

– Bardzo dobrze, moja droga Thalias. – Uśmiech Patriarchy stał się nieco szerszy. – Rzeczywiście nie. Ja lubię jakość i spryt. – Przechylił lekko głowę. – A skoro o tym mowa, miałem akurat inne sprawy na głowie, gdy

stanęłaś przed zadaniem z kanałem wodnym i nie miałem jeszcze okazji zobaczyć nagrania. Czy byłabyś tak dobra i oświeciła mnie, jakie zastosowałaś rozwiązanie?

– To nie było takie trudne. – Thalias wzruszyła ramionami. – Kanał ma tylko metr głębokości, więc wzięłam dwie deski, zsunęłam je razem, ustawiając końcami na środku kanału, a następnie popchnęłam jedną deskę na przeciwną stronę, po czym opuściłam tę po mojej. Mając te dwie ustawione pod kątem na brzegach kanału, ułożyłam na nich kolejną, tym razem poziomo.

– Nie wierzę, by taka konstrukcja wystawała odpowiednio wysoko nad wodę – zauważył Patriarcha.

– Nie, Wasza Czcigodność – zgodziła się Thalias. – Dodałam więc dwie kolejne, ułożone pod kątem deski, opierając je na tej ułożonej poziomo, a na nich z kolei położyłam kolejną, znowu poziomo.

– Bardzo ładnie – powiedział Patriarcha. – Pamiętam jednego zrodzonego w Próbie, który zaczął tak jak ty, ale potem po prostu ułożył więcej desek na pierwszym poziomie, aż cały stos znalazł się nad wodą.

Thalias poczuła, jak drży jej warga. Tak bardzo skoncentrowała się na kątach i inżynierii, że to rozwiązanie nawet nie przyszło jej do głowy.

– Równie skuteczne, ale nie aż tak eleganckie – dodał Patriarcha. – Zawsze lubiłem elegancję, a twoje akta z czasów służby gwiazdogatorskiej sugerowały, że możesz mieć odpowiednią konstrukcję psychiczną. Właściwie to właśnie dlatego podjąłem decyzję, by wprowadzić cię do rodziny.

– To ty wprowadziłeś mnie do rodziny Mitthów? Ty?

– A dlaczego by nie? – odparł. – Opiekowanie się rodziną oznacza również rozglądanie się za tymi, którzy mogą ją wzmocnić.

– Czuję się zaszczycona. – Thalias nagle poczuła, jak przytłaczają ją własne porażki i niedociągnięcia. – Mogę mieć tylko nadzieję, że pewnego dnia okażę się godna okazanego zaufania.

– Pewnego dnia? – prychnął ponownie. – Doprawdy, moje dziecko. Już wielokrotnie odwdzięczyłaś się za moje zaufanie. Nawet teraz bronisz mojego największego osiągnięcia przed tymi, którzy są zdeterminowani, by je zniszczyć.

– Nie rozumiem... – urwała. – Masz na myśli... Thrawna?

Patriarcha skinął głową.

– Kolejny, którego osobiście wybrałem.

– Naprawdę? – Thalias zmarszczyła brwi. – Myślałam, że to generał Ba'kif wskazał go Mitthom.

– A jak myślisz, kto wskazał go Ba'kifowi? – zapytał Patriarcha. – O, tak. Labaki – tak się wtedy nazywał – Labaki i ja znamy się od dawna. To ja mu o powiedziałem o Thrawn i zachęciłem, by wskazał go temu głupcowi Thurfianowi – westchnął. – Dostrzegłem w nim wielkość, Thalias – powiedział, a wzrok mu się zamglił i głos przycichł. – Wielkość, umiejętności i lojalność. Będzie ukoronowaniem mojego życia, łaską pośmiertną, która niegdyś stanie blisko mojej własnej. – Poklepał swoją łaskę, a jego wzrok zachmurzył się wyraźnie. – O ile przeżyje.

– Widziałam go w bitwie, Wasza Czcigodność – pospieszyła z zapewnieniem Thalias. – Przeżyje.

– Myślisz, że boję się jego przegranej na wojnie? – Patriarcha potrząsnął głową. – Nie. O ile nie wydarzy się coś nieprzewidzianego lub niekontrolowanego, Thrawn nigdy nie posmakuje czegoś dotkliwszego niż chwilowa porażka. Nie, Thalias, groźba czyha na niego wewnątrz Dynastii. Prawdopodobnie w samej rodzinie. – Skinął na nią. – Chodź. Usiądź obok mnie, jeśli możesz. Obawiam się, że mam już niewiele czasu.

Ostrożnie i niepewnie Thalias przeszła po trawie i usiadła na ławce obok niego.

– Co mogę dla ciebie zrobić? – zapytała.

– Już to robisz – zapewnił ją. – Słuchasz mnie, co czyni niewielu innych członków rodziny. Co ważniejsze, czuwasz nad Thrawnem jako jego niezachwiana sojuszniczka i pomocnica. Strzeżesz go przed wrogami.

Machnął dłonią w stronę góry.

– Przeniesienie przywództwa z jednego Patriarchy na drugiego zostało zaplanowane tak, by przebiegało płynnie. I zwykle tak jest. Czasami jednak dzieje się inaczej. Nawet teraz, gdy tu rozmawiamy, niektórzy przygotowują swoje zarzuty i argumenty, oczekując chwili, kiedy moja łaska zostanie przekazana historykom i rzeźbiarzom, by mogli stworzyć wersję, która zostanie umieszczona w ziemi naszej siedziby. Niektórzy z nich postrzegają Thrawna jako wielki atut Mitthów. Inni nie widzą nic poza groźbą i niebezpieczeństwem. – Potrząsnął głową. – Jeśli któreś z nich zdobędzie Siedzisko Patriarchy... – nie dokończył zdania.

– Nie rozumiem tego – przyznała Thalias. – Jest wspaniałym wojownikiem. Jak mogą widzieć w nim niebezpieczeństwo?

– Obawiają się, że prześcignie samego siebie lub zaprowadzi Mitthów w miejsce, które okaże się polityczną pułapką. Jeśli tak się stanie, rywale z pewnością wykorzystają naszą chwilową słabość. Ci konkretni pretendenci do stanowiska Patriarchy zamiast potencjalnej chwały, jaką Thrawn może przynieść rodzinie, wolą zapewnienie, że w takim samym stopniu nas nie zhańbi.

Thalias skinęła głową.

– Szukają pozbawionej ryzyka, bezpiecznej ścieżki.

– Co jest głupie. – Patriarcha wykrzywił pogardliwie usta. – Bezpieczna ścieżka gwarantuje jedynie powolne przejście do niebytu. Mitthowie muszą podejmować ryzyko – skalkulowane i dobrze zaplanowane, ale mimo to ryzyko – jeśli mamy utrzymać naszą pozycję wśród Rodzin Rządzących.

Przez chwilę jedynym słyszalnym dźwiękiem był szelest wiatru wśród drzew.

– Co możemy zrobić? – zapytała w końcu Thalias.

– Szczerze mówiąc, to nie wiem – przyznał Patriarcha. – Zrobiłem wszystko, co mogłem. Teraz moje życie dobiega końca, a moja moc i władza słabną. – Uśmiechnął się smutno. – Nie patrz tak na mnie, dziecko. Tak powinno i tak musi być. Władza musi pozostać skupiona w silnej dłoni, by móc przekazać ją następcy bez żadnego opóźnienia lub niepewności. Inaczej inne rodziny wykorzystająby takie zamieszanie na naszą niekorzyść.

– Rozumiem. – Thalias zadrżała. Widziała, jak polityka wpływała na relacje nawet wśród profesjonalnych wojowników na okrętach floty. W Syndykurze musiała być o wiele bardziej niszczycielska. – Powiedz mi, jak go chronić.

– Ma przyjaciół – przypomniał Patriarcha. – Sojuszników. Może nie wiedzieć, jak w razie potrzeby przeciągnąć ich na swoją stronę. To będzie twoje zadanie. – Pokręcił głową. – Od początku wiedziałem, że polityka nie jest jego mocną stroną. Ale nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jest ślepy na jej niuanse.

– Zrobię, co w mojej mocy – przyrzekła Thalias. – Zakładając, że pod koniec dnia wciąż będę należeć do rodziny Mitthów.

– Wciąż należeć do rodziny? – powtórzył Patriarcha, marszcząc brwi. – O czym ty mówisz, dziecko? Oczywiście, że jesteś w rodzinie. Podczas swojej podróży przez Próby być może nie wykazałaś się specjalną błyskotliwością, ale zrobiłaś więcej, niż od ciebie wymagano. Jesteś

oficjalnie zrodzoną w Próbie, Thalias, zaledwie o jeden krok od awansu na dostojną krewniaczkę.

– Dziękuję. – Thalias skłoniła głowę, czując, jak zalewa ją fala ulgi.

– O ile oczywiście nie ogłoszą, że najwyraźniej spadłaś z tej góry. – Patriarcha najwyraźniej odzyskał część humoru, strząsając z siebie mrok wcześniejszych ostrzeżeń. – Najlepiej kontynuuj drogę na szczyt. Podczas wspinaczki obserwuj laski. Zwróć uwagę na wzór i przebieg historii rodziny. Medytuj na temat życia i triumfów Mitthów.

– A co z ich sporadycznymi niepowodzeniami?

Patriarcha pokiwał głową, a jego dobry humor znów zniknął.

– Na ich temat medytuj przede wszystkim – powiedział cicho. – Zwróć uwagę na luki w zapisie, asymetrie, obrazujące nieudane wysiłki syndyka lub Arystokra. Porażka może być surowym, ale dobrym nauczycielem.

– Jednak tylko wtedy, gdy jesteśmy zdolni do nauki poprzez obserwację.

– W rzeczy samej. – Patriarcha zwrócił w jej stronę i ścisnął jej dłoń. – Dziękuję za rozmowę, Thalias, Mitthko zrodzona w Próbie. I czuwaj nad swoim dowódcą. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że trzyma on klucz do przyszłości Dynastii, bez względu na to, czy niesie ona triumf czy ostateczne zniszczenie.

– Będę nad nim czuwać – obiecała Thalias. – Na moje życie lub śmierć, będę nad nim czuwać.

Słońce już dawno zaszło, ale na zachodniej części nieba wciąż jeszcze było widać poświatę, gdy Thalias w końcu ukazała się na końcu ścieżki. Thurfian najwyraźniej się wszystkiemu przyglądał, bo gdy szła w kierunku rezydencji, pojawił się w drzwiach i wskazał jej drogę do wagonu kolejki czekającego przy mozaikowej mapie.

– Zmiana planów! – zawołał, gdy znalazła się w zasięgu słuchu. – Jestem potrzebny w Syndykurze, a Patriarcha powiedział, że mam zabrać cię ze sobą.

– Jakież kłopoty? – spytała Thalias.

– Żadnych, których byłbym świadom – odparł. – Ale admirał Ar'alani wysłała wiadomość, prosząc o twój jak najszybszy powrót na „Czujnego”. – Rzucił jej podejrzliwe spojrzenie. – Doszły mnie także słuchy, że Thrawn skorzystał z dogodnej okazji, gdy byłem tu zajęty i udało mu się wymknąć.

– Z pewnością nie taki był mój zamiar. – Thalias doskonale zdawała sobie sprawę, że go nie oszukała. – Ale skoro wspominasz o Próbach, kiedy dowiem się, czy je przesłałam?

– Myślisz za bardzo jak uczennica. – Thurfian skrzywił się wyraźnie. – Próby nie są wypracowaniem, które nauczyciel ocenia, a ty musisz je oddać po zajęciach. – Wydał usta. – Tak, zdałaś. Jesteś teraz zrodzoną w Próbie Mitthką. Gratulacje. Włóż.

– Dziękuję – mruknęła Thalias.

Gdy wyjeżdżali, siedziała bokiem i patrzyła na posiadłość, górę i rezydencję znikające w oddali aż do chwili, gdy nagle zasłoniła je ściana tunelu. Nigdy jej się nawet nie śniło, że spotka Patriarchę swojej przybranej rodziny, nie mówiąc o przeprowadzeniu z nim długiej i poważnej rozmowy. To spotkanie i obietnice już na zawsze pozostaną z nią, zamknięte w jej sercu.

I gdy tak zaczynała nowy rozdział swojego życia, pewna era w historii rodziny Mitthów dobiegała końca.

## Wspomnienia XI

Mówiono, że kiedyś Kolumnada Milczenia w Sali Zgromadzeń była wykorzystywana przez przywódców Rodzin Rządzących do osądzania, przetrzymywania lub tracenia wrogów. Jej konstrukcja i akustyka powodowały, że rozmowa prowadzona w więcej niż cztery czy pięć osób stawała się doskonale słyszalna przez znajdujących się na obrzeżu komnaty.

Tak jednak było tysiące lat temu. Teraz, wraz z oświeceniem, będącym przejawem dojrzałości politycznej, Kolumnada stała się miejscem spotkań Mówców i syndyków, chcących przedyskutować rozmaite sprawy polityczne bez zmuszania jednego z oponentów do okazania słabości poprzez przybycie do biura drugiego.

Gdy radny Thurfian obserwował zbliżającego się z drugiego końca Kolumnady radnego Zistalmu, zastanawiał się, czy Irizi docenią ironię propozycji, którą miał im przedłożyć.

Zistalmu ostrożnie kluczył między pozostałymi grupkami tak, aby uniknąć niezamierzonego podsłuchiwania. Wreszcie dotarł do Thurfiana i stanął obok.

— Arystokrze Thurfianie. — Skinął głową.

— Arystokrze Zistalmu. — Thurfian odwzajemnił pozdrowienie. — Pozwól, że od razu przejdę do rzeczy. Rozumiem, że Irizi zwrócili się do starszego komandora Mitth'raw'nuru w sprawie jego odejścia od Mitthów i dołączenia do ich rodziny.

Przebłysk zaskoczenia i podejrzliwości pojawił się na chwilę na zazwyczaj kamiennym obliczu Zistalmu.

— Miałem wrażenie, że takie oferty są poufne, dopóki nie zostaną sfinalizowane.

— Została niechcący podsłuchana — odparł Thurfian. — Rozumiem też, że odrzucił twoją ofertę.

— Nieoficjalnie. — Zistalmu uchylił się od jasnej odpowiedzi. — Oferta pozostaje aktualna.

— Nie, odmówił — stwierdził Thurfian. — Widziałeś akta Thrawna. Nie waha się, gdy widzi korzyść taktyczną. Jeśli do tej pory się nie zgodził, odpowiedź brzmi: „Nie”.

— Być może. — Zistalmu przyjrzał mu się uważnie. — Przypuszczam jednak, że nie zaprosiłeś mnie tutaj, by po prostu napawać się naszą nieudaną próbą.

— W żadnym wypadku — zaprzeczył Thurfian. — Zaprosiłem cię tutaj, aby dowiedzieć się, czy miałeś jakikolwiek interes w ściąganiu go do siebie.

Tym razem wyraz twarzy rozmówcy pozostał niewzruszony. Ale Thurfian wiedział, że był blisko.

— Nie rozumiem.

— To dość proste — wyjaśnił Thurfian. Zistalmu mógł przysporzyć mu kłopotów, jeśli powtórzyłyby choćby część jego słów któremuś z radnych lub syndyków Mitthów. Ale Thurfian dość dobrze rozumiał cele oraz politykę Zistalmu i był prawie pewien, że tak się nie stanie. — Też widziałem akta Thrawna. Ma potencjał, by dokonać wielkich czynów we flocie. Ma równie wielką szansę zniszczyć rodzinę Mitthów, a prawdopodobnie i całą Dynastię.

Zistalmu obdarzył go szyderczym uśmiechem.

— Zniszczenie rodziny Mitthów nie brzmi tak źle. — Uśmiech zniknął z jego twarzy. — Ale Dynastia to inna sprawa.

— A więc zgadzasz się ze mną?

— Nie wiem, jak doszedłeś do tego wniosku, słysząc zaledwie krótki komentarz na temat dobra Dynastii — powiedział Zistalmu. — Ale jeśli mamy mówić szczerze... Tak, widzę ten sam potencjał, może doprowadzić Dynastię zarówno do wielkiej chwały, jak i katastrofy.

— Chociaż reszta Irizi najwyraźniej tego nie dostrzega.

Zistalmu machnął ręką.

— Oferta rekrutacyjna była próbą podkradzenia Thrawna Mitthom. Wątpię, by któreś z nich zadało sobie wystarczająco dużo trudu, aby wczytać się wystarczająco głęboko w jego akta i dostrzec to, co widzimy tam ty i ja. Więc co dokładnie proponujesz?

— W tym momencie nic prócz czujności — odparł Thurfian, odprężając się nieco. — To powinno być łatwe, biorąc pod uwagę fakt, że nasze rodziny i tak przydzieliły nas do pilnowania spraw wojskowych. Po prostu

wykonujemy nasze zadanie, współpracując jednak, jeśli spostrzeżemy coś niebezpiecznego.

— To nie będzie łatwe — ostrzegł Zistalmu, mrużąc oczy w zamyśleniu. — Z jakiegoś powodu ma wiernych sojuszników w generale Ba'kifie i komodor Ar'alani. To potężne i wpływowe osoby.

— Zgadza się — przyznał Thurfian. — Ba'kif jest prawdopodobnie nietykalny, ale Ar'alani była kiedyś Irizi. Być może nadal pozostaje podatna na rodzinne naciski.

— Wątpię — stwierdził kwaśno Zistalmu. — Rozmawiałem z nią raz czy dwa od czasu awansu i widzę, że stara się utrzymać swój nowy, pozarodzinny status.

— W takim razie skupmy się na Thrawn. Oraz może na niektórych jego niżej postawionych sojusznikach.

— Wiedziałbyś o nich więcej niż ja — przyznał Zistalmu. — Zgoda. Będziemy się przyglądać, czekać i zobaczymy, co się stanie. — Rozejrzał się dookoła. — I oczywiście nikomu o tym nie powiemy.

— Absolutnie — zgodził się Thurfian. — Dziękuję, Arystokrze. Mam nadzieję, że nigdy nie będziemy musieli podejmować żadnych działań. Jeśli jednak do tego dojdzie...?

— To będziemy działać. — Zistalmu wskazał dłonią pomieszczenie, w którym się znajdowali. — Zakładam, że zauważyłeś ironię związaną z naszą dyskusją, biorąc pod uwagę rzekomą historię Kolumnady Ciszy.

— Zauważyłem — odparł Thurfian. — Jeszcze się zobaczymy, Arystokrze.

— Zaprawdę, tak będzie. — Zistalmu skinął głową i odszedł w kierunku swojego biura.

A gdy Thurfian ruszył w drugą stronę, przyszła mu do głowy spóźniona myśl. Historia Kolumnady wspominała o Arystokrach, którzy byli sądzeni nawet za tak mroczne czyny jak zdrada. Pytanie brzmiało, czy to Thrawn będzie kiedyś podsądnym w takim procesie, czy będą to raczej Thurfian oraz Zistalmu.

Czas pokaże.

## Rozdział 19

Thrawna i Che’ri nie było już od prawie pięciu tygodni, a z każdym mijającym dniem Thalias czuła, jak po trochu umiera. Wiedziała, że powinna być tam z nimi, stawiając czoło tym samym niebezpieczeństwom, z jakimi i oni musieli się mierzyć. Fakt, że jej niebezpieczne zagranie z Próbami zdjęło im z pleców Thurfiana, nie liczył się przecież na poczet przydatności podczas misji.

Rozkaz Patriarchy, by czuwać nad Thrawnem, sprawił tylko, że jej poczucie winy pogłębiało się z dnia na dzień.

Dlatego odczuła ogromną ulgę, gdy Ar’alani w końcu odezwała się z informacją, że ich statek zwiadowczy wszedł do układu Csilla i że na razie trzyma się z dala od samej stolicy, a po Thalias wysłano już prom, mający zabrać ją na „Czujnego”.

Okazało się, że cichy i niezapowiedziany powrót podróżników był jedynie pierwszą niespodzianką.

– To może wszystko zmienić – stwierdziła Ar’alani.

Thalias skinęła głową, a myśli i możliwości wirowały w jej głowie, gdy wpatrywała się w swój questis, zapoznając ze szczegółami dotyczącymi tarczy energetycznej Republiki, którą Thrawn i Che’ri przywieźli ze sobą. Dodatkowo nie mogła nadziwić się temu, iż Thrawn i Ar’alani ufali jej na tyle, by podzielić się swoim sekretem.

Z drugiej strony, Che’ri też o wszystkim wiedziała, a gwiazdogatorki i ich opiekunki spędzały ze sobą dużo czasu. Dwoje oficerów prawdopodobnie zdecydowało, że Thalias równie dobrze może usłyszeć całą historię od razu, zamiast poznawać ją, wypaczoną i w kawałkach, z ust dziewięciolatki.

– To wyprzedza nasze osłony elektrostatyczne o całe lata świetlne! – ciągnęła Ar’alani. – Będziemy musieli przemyśleć naszą taktykę, ustawienie floty, całą równowagę sił. Wszystko.

– Nasza przewaga jest jedynie tymczasowa – ostrzegł Thrawn. – I choć możemy odtworzyć to, co tu przywieźliśmy...

– Możemy – przytaknęła Ar'alani. – I zrobimy to.

– Nawet jeśli nam się uda – kontynuował Thrawn – żadnej technologii nie da się utrzymać na wyłączność przez dłuższy czas. Gdy inni się o niej dowiedzą, stworzą jej własne wersje. Albo po prostu ją ukradną.

– Nie od nas. – Ar'alani wydeła usta. – Ale pozyskanie takiej tarczy z sektorów Republiki nie powinno być trudne. – Dotknęła questisa w zamyśleniu. – Prawdziwe pytanie brzmi, dlaczego Yiv jeszcze nie ma takich tarcz. Mówiłeś, że do Separatystów dołączyła jakaś grupa obcych, prawda?

– Tak, ale nie ma powodu sądzić, że są powiązani z Nikardunami – zauważył Thrawn. – A nawet jeśli, mogą podzielać nasze obawy. Jeśli ktokolwiek w Chaosie dowie się o istnieniu takich tarcz, wkrótce będzie z nich korzystać zarówno Dynastia, jak i wszyscy pozostali

– Więc planują użyć ich jako niespodzianki kiedyś w przyszłości?

– Podobnie jak my – przypomniał Thrawn. – Ale w przeciwieństwie do nich, nie możemy sobie pozwolić na czekanie. Musimy ich użyć przeciwko Yivowi już teraz, zanim się zorientuje, że je mamy.

– Może już o tym wiedzieć – ostrzegła Ar'alani. – Z tego, co mówiłeś, ty i ten generał Skywalker narobiliście tam niezłego bałaganu. – Potrząsnęła głową. – Skywalker. Co za dziwny zbieg okoliczności.

– Z tego, co zrozumiałem, w niektórych regionach Podrzędnej Przestrzeni to nie jest wcale takie rzadkie imię – wyjaśnił Thrawn. – Ale masz całkowitą rację. Nie ma mowy, by incydenty na Batuu i Mokivj nie wyszły szybko na jaw.

Thalias się skrzywiła. Bitwy, przesłuchania, zniszczenia na skalę planetarną. „Incydenty”.

– No dobrze. – Ar'alani odłożyła questis na bok. – Najwyraźniej masz jakiś plan. Posłuchajmy go.

Thrawn milczał przez chwilę, zbierając myśli, a Thalias skorzystała z okazji, by ukradkiem spojrzeć na Che'ri. Dziewczynka przywitała ją uściskami i łzami, płynącymi zarówno z radości, jak i rozładowanego wreszcie napięcia. Pod tym względem była wciąż bardzo małą dziewczynką, która opuściła Dynastię, by wziąć udział w tej przygodzie.

Ale gdy Thalias patrzyła na nią teraz, spostrzegła, że podróż najwyraźniej sprawiła, że dziewczynka zachowywała się poważniej niż na

swój wiek. Nie chodziło ani o prawdziwe starzenie się, ani o dodatkowy stres czy obciążenie, które mogły pojawiać się przez całe tygodnie niebezpieczeństw, strachu i wyczerpania. Odnosiła po prostu wrażenie, jakby dziecku przybyła nowa warstwa dojrzałości i pewności siebie.

– Przede wszystkim wiemy, że Yiv nie jest gotowy do przejęcia władzy – zaczął Thrawn. – Było to jasne od naszej pierwszej wizyty w macierzystym układzie Lioaoin. Otoczony przez sojuszników, mierzący się z wrogiem, którego bardzo chciał schwytać lub zabić...

– Tobą? – zasugerowała Ar'alani.

– Mną – potwierdził Thrawn. – Mimo to wstrzymał ogień i pozwolił nam odejść w pokoju.

– Może była to po prostu kwestia tamtego czasu i miejsca – zauważyła Ar'alani. – Ale założmy, że masz rację. Kontynuuj.

– Wiemy też, że Yiv wciąż pracuje nad podporządkowaniem sobie Vaków – dodał Thrawn. – O tej ostrożności świadczy fakt, że mając prawdopodobnie do dyspozycji siły Vaków, nie użył ich, tylko sprowadził okręty Lioaoinów, by to one stanęły do walki, gdy przybyłaś po mnie i Thalias na Primeę.

– Zgadzam się – przytaknęła Ar'alani. – I biorąc pod uwagę twoją obserwację na temat obsesji, jaką Vakowie mają względem poznania wszystkich linii myślowych, zdobycie poparcia wszystkich przywódców, a co dopiero całej planety, może okazać się trudniejsze, niż sądził.

– Właśnie – powiedział Thrawn. – I na tym polega nasza szansa. Jeśli damy radę przeciągnąć niektórych Vaków na naszą stronę, a pozostałym pokazać, że intencją Yiva nie jest zwiększanie ich prestiżu, a jedynie wykorzystywanie do walki w jego bitwach, może uda się wbić między nich klin. Jeśli nawet nie pokrzyżuje to całkowicie jego planów, powinno przynajmniej kupić nam wystarczająco dużo czasu, byśmy zdołali przekonać Syndykurę, że Nikardunowie są zagrożeniem, którym trzeba się zająć.

– Przepraszam – odezwała się z wahaniem Che'ri, unosząc rękę.

Thrawn i Ar'alani spojrzeli na nią.

– Tak? – zachęcił ją Thrawn.

– A jeśli po prostu opuści Primeę i poleci gdzie indziej? – zapytała dziewczynka. – W okolicy jest wielu innych obcych.

– Tak, mógłby to zrobić – zgodził się Thrawn. – Ale poświęcił już dużo czasu i wysiłku, by przeciągnąć Vaków na swoją stronę. Nie sądzę, by

porzucił swoje zamiary bez poważnego powodu.

– Nie chodzi tylko o samych Vaków – dodała Ar'alani. – Primea stanowi centrum dyplomacji i handlu w całym regionie, jest miejscem, do którego przylatują wszystkie inne, wspomniane przez ciebie obce rasy. Chcą tam rozmawiać i prowadzić interesy. Jeśli Yiv zdoła sprawić, by przywódcy Vaków go poparli lub przynajmniej pozwolili mu się kręcić w pobliżu i spotykać z ich gośćmi, będzie miał wpływ na nie wszystkie.

– Wiemy już, że lubi podbijać za pomocą połączenia siły i perswazji – przypomniał Thrawn. – Nawet jego tytuł, generał Yiv Dobroczyńca, wydaje się ukazywać oba te aspekty. Nie, sędzę, że jeśli spróbujemy wykurzyć go z Primei, będzie wolał zostać i walczyć.

– Albo zaatakuje pierwszy – ostrzegła Ar'alani. – Nawet jeśli nie będzie to dla niego odpowiedni moment, może stwierdzić, że musi uderzyć na Dynastię.

– Nie zrobi tego bezpośrednio – powiedział Thrawn. – Bardziej prawdopodobne, że ponownie wyśle przeciwko nam Paataatusów.

– A w jaki sposób to ma być lepsze wyjście?

– Jest lepsze dla niego, ponieważ nie zmarnuje własnych sił – odparł Thrawn. – Lepsze dla nas, ponieważ już wiemy, jak ich pokonać.

– Cóż, ty wiesz, jak ich pokonać – mruknęła Ar'alani. – I czasami wydaje mi się, że tylko ty.

– Możemy ich pokonać – zapewnił ją Thrawn. – Jednak kluczowa bitwa rozegra się nad Primeą. Jeśli zdołamy zademonstrować słabość Yiva i jego zdradliwe zamiary wobec Vaków, ci mogą ponownie rozważyć dobór sojuszników.

– Naciągane. – Ar'alani się skrzywiła. – Ale jeśli wykluczemy wszelkiego rodzaju bezpośrednią interwencję, niczego lepszego chyba nie mamy. Więc jak się za to zabierzemy?

Thrawn zebrał się w sobie.

– Poprosimy Vaków, by nam pomogli.

Kiedy przedstawiał swój plan, Thalias odkryła, że starszy kapitan miał dla niej kolejną niespodziankę.

– Nie podoba ci się to – stwierdził Thrawn.

Ar'alani spojrzała w jego kierunku. Wciąż kręciło się jej w głowie po wysłuchaniu pomysłu, który im przedstawił.

– Oczywiście, że mi się nie podoba! – warknęła. – Cała ta sprawa jest całkowicie nielegalna i to co najmniej z trzech powodów. Nie wspominając

o tym, że zakrawa na czyste szaleństwo!

– Zgoda – przyznał. – Pytanie, czy chcesz w tym wziąć udział?

– Czy mam jakiś wybór?

– Oczywiście – zapewnił ją Thrawn. – Jeśli nie, powiedz nam teraz i zrobimy to sami.

– Jak? – zapytała Ar'alani. – Jeśli Yiv zachowa się tak, jak się tego po nim spodziewasz, wasza trójka stanie samotnie przeciwko wszystkim jego siłom na Primei.

– Vakowie przyjdą nam z pomocą.

– O ile wiadomość do nich dotrze i nie postanowią jej zignorować.

– Ewidentnie są tam osoby, które nie ufają Yivowi. Nasza wiadomość przedstawi alternatywę i mam nadzieję, że ich mentalność będzie wymagać przynajmniej rozważenia jej. A jeśli dobrze odczytuję Yiva, wkrótce znajdzie się w większych tarapatkach, niż może to sobie wyobrazić.

– Jeśli dobrze go odczytujesz – wycedziła Ar'alani, akcentując pierwsze słowo. – Daj spokój, Thrawn, to szaleństwo. Nawet jak na ciebie.

– A widzisz jakąś alternatywę? – Thrawn odbił piłeczkę. – Nie możemy po prostu siedzieć z założonymi rękoma, pozwalając Nikardunom nas okrażać i zbierać sojuszników, wyczekując momentu, w którym staniemy sami przeciwko całemu Chaosowi. Yiva trzeba powstrzymać, a to najlepszy czas i miejsce na nasz ruch.

– Zapytam ponownie: a jeśli się mylisz? – zapytała Ar'alani. – Jeśli wszystko, co, jak sądzisz, wiesz o Yivie i Vakach, okaże się nieprawdą? Myliłeś się już wcześniej, pamiętasz?

Natychmiast zrozumiała, że nie była to najbardziej dyplomatyczna rzecz, jaką mogła powiedzieć, i od razu jej pożałowała na widok przemykającego przez jego twarz przeblysku starego bólu.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie, masz rację – odparł. – Moja porażka z Garwianami... Ale to co innego. To wojna, a nie polityka.

– Które są tylko dwiema stronami tego samego medalu – nie dawała za wygraną Ar'alani. – Nigdy tego nie rozumiałeś i nie potrafiłeś sobie z tym poradzić.

– Wiem – przyznał Thrawn. – Dlatego musimy teraz postawić na bezpośrednie starcie.

Ar'alani westchnęła. Raz już się pomylił – i to spektakularnie – wiele go kosztowało. Ale teraz nie było sensu do tego wracać.

Poza tym miał rację. Należało rzucić wyzwanie Yivowi i Nikardunom, a uczynienie tego w układzie, na którym zależało przeciwnikowi, stanowiło ich najlepszą szansę.

– Nie jestem pewna, czy inżynierowie już skończyli badać vacki myśliwiec, który sprowadziliśmy z Primei, ale Ba’kif prawdopodobnie będzie potrafił przekonać Ja’foska, by nam go oddali. Jesteś pewien, że Che’ri potrafi nim latać?

– Absolutnie – zapewnił ją Thrawn. – Udowodniła, że ma smykałkę do latania naszym statkiem zwiadowczym, a ten myśliwiec ma podobne parametry. Muszę po prostu pozmieniać tabliczki znamionowe niektórych elementów sterujących, przeprowadzić z nią jedną lub dwie sesje treningowe i będzie gotowa.

– Zakładam, że Ba’kif ani Ja’fosk nie zostaną wtajemniczeni w tę część planu?

– Nie jestem aż tak szalony. – Thrawn uśmiechnął się blado.

– W końcu się jednak o tym dowiedzą – zauważyła. – Myślałeś już o tym, co ci wtedy zrobią?

Jeden z mięśni na szyi Thrawna wyraźnie stężał.

– Jeśli wyeliminujemy groźbę, jaką stanowi Yiv, to, co mi zrobią, nie będzie miało żadnego znaczenia. – Przechylił głowę. – Moim prawdziwym zmartwieniem jesteś ty. Co stanie się z tobą, gdy będzie już po wszystkim.

– Jestem admirałem – przypomniała mu Ar’alani. – Nie tak łatwo się mnie pozbyć.

– Będą próbować.

– Tylko jeśli nam się nie uda. A jeśli tak... – Wzruszyła ramionami. – Nie mamy kontroli nad przyszłością. Zajmijmy się więc teraźniejszością. A zatem pierwsze zadanie: wydobyć myśliwiec Vaków z rąk inżynierów i przygotować go do lotu. Drugie zadanie: nauczyć Che’ri, jak nim latać. Trzecie zadanie: zacząć przerabiać ten twój frachtowiec. Czwarte zadanie: opracować wiadomość, którą chcesz dostarczyć Vakom. Piąte zadanie: przygotować tarczę Republiki, byśmy mogli sprawić im drobną niespodziankę podczas ataku. Szóste zadanie: przyszykować moją flotę do drogi.

– To raczej siódme – wtrącił Thrawn. – Szóste zadanie to prawdopodobnie zmuszenie Ba’kifa i Ja’foska, żeby się pod tym podpisali.

– Chcę z tym poczekać do wylotu Che’ri i Thalias – wyjaśniła Ar’alani. – To nie będzie przyjemna rozmowa. Lepiej, żeby było już późno na

odwołanie myśliwca. Ósme zadanie... – zebrała się w sobie – puścić to wszystko w ruch i zobaczyć, co się stanie.

– Miejmy nadzieję, że moja ocena generała Yiva jest trafna.

– Tak – przyznała Ar'alani. – Naprawdę miejmy taką nadzieję.

– Wywołują nas – oznajmiła Che'ri. – To światełko tam, widzisz?

– Widzę. – Głowę Thalias dosłownie rozsadzało napięcie, niemające nic wspólnego z dodatkowym ciężarem twardej skorupy makijażu. Znowu musiała wyglądać jak zakładniczka, czyniąc to za pomocą skomplikowanej mapy gipsowych warstw nałożonych na jej twarz. Biorąc pod uwagę obecność zarówno Nikardunów, jak i Vaków, cały układ Primea stanowił terytorium wroga.

A ona i Che'ri znalazły się tylko we dwie dokładnie w samym jego środku.

Spojrzała na dziewczynkę, pochylającą się w skupieniu nad panelem kontrolnym myśliwca. Co najmniej połowę jej twarzy pokrywał taki sam makijaż, jaki nosiła Thalias, ale nie widać po niej było żadnego napięcia. Czy współodczuwała choć część lęków Thalias?

– Jesteś przerażająco spokojna – zauważyła.

– A nie powinnam być? – Che'ri rzuciła Thalias zdziwione spojrzenie. – Wszystko jest pod kontrolą, prawda?

– Cóż... pewnie, chyba tak – odparła Thalias. – Ja tylko...

– Ufasz mu, prawda? – naciskała Che'ri.

– Tak, chyba tak.

– Bo wiesz, obie widziałyśmy, jak robi różne niesamowite rzeczy – ciągnęła Che'ri, wciąż marszcząc brwi. – Znalazł tę tarczę, wyciągnął cię z Primei, te wszystkie bitwy i inne sprawy. Też to wszystko widziałaś, prawda?

– No tak – przyznała Thalias. – Tylko tym razem...

– Naprawdę, teraz jest tak samo – powiedziała Che'ri. – Wszystko jest pod kontrolą.

– Oczywiście że nie! Wtedy, za każdym jednym razem, Thrawn był z nami. Gdyby coś poszło nie tak, mógł wymyśleć nowy plan lub dostosować obecny. – Wskazała dłonią ciasny kokpit. – Tutaj, Che'ri, jesteśmy zdane na siebie.

– Przecież dał nam instrukcje – zauważyła Che'ri. – Wiemy, co mamy tu zrobić.

– Wiem o tym. Po prostu mówię, że to nie to samo.

– Och! – Na widocznej części twarzy Che’ri pojawiło się nagle zrozumienie. – Nie chodzi o to, że nie ufasz Thrawnowi. Nie ufasz sobie.

– Oczywiście, że nie – odparła Thalias, krzywiąc się, gdy usłyszała nutę goryczy we własnym głosie. Była tego mgliście świadoma, odkąd Thrawn po raz pierwszy zaproponował ten plan. Ale do tej pory nigdy nie odważyła się tak nawet pomyśleć. Teraz, gdy zostało to wypowiedziane na głos, poczuła nagle olbrzymi ciężar strachu, wątpliwości i swojej niedoskonałości. – Niby czemu miałabym? Co takiego zrobiłam, żeby on czy ktokolwiek inny mógł mi powierzyć tak poważne zadanie?

– Cóż, jesteś tutaj – stwierdziła Che’ri. – A skoro tak, to znaczy, że ci ufa.

– Pytałam o powód.

– Nie zawsze istnieją jakieś powody – powiedziała poważnie Che’ri. – Cokolwiek w tobie dostrzegł, wystarczyło mu. On ci ufa. – Urwała na chwilę. – Ja też, jeśli to coś zmienia.

Thalias zrobiła głęboki wdech, patrząc Che’ri w oczy. Ta rozwinięta dojrzałość, którą dostrzegła w dziewczynce na pokładzie „Czujnego”, wciąż z niej biła, i Thalias dostrzegła w tym pewną ironię: dziewięcioletka pocieszała dorosłą.

– Wiesz, pamiętam, że kiedy byłam w twoim wieku, moja przyszłość mnie zupełnie przerażała – przyznała. – Wszystko wydawało się takie ogromne, kompletnie nieznanne i nie miałam pojęcia, jak się w tym odnajdę.

– Też tak miałam – powiedziała Che’ri. – Ale teraz jest lepiej.

– Co samo w sobie jest szalone – zauważyła Thalias. – Przyszłość, przed którą stoisz – a w zasadzie przyszłość, przed którą obie stoimy – jest o wiele bardziej niebezpieczna niż wszystko, co mogłam sobie wtedy wyobrazić.

– O, widzisz. Wyobrażenia, marzenia. Nigdy nie wiedziałam, o czym marzyć. To znaczy byłam tylko gwiazdogatorką. Nie umiałam sobie wyobrazić niczego innego, co mogłabym robić. – Wskazała na panel kontrolny przed sobą. – I wtedy Thrawn nauczył mnie latać. W zaledwie kilka tygodni nauczył mnie latać. – Uśmiechnęła się. Cała jej twarz promieniała szczęściem i dumą. – Jeśli to mi się udało, tak samo będzie ze wszystkim innym. Teraz rozumiesz?

– Tak – odparła Thalias. – I cieszę się twoim szczęściem. – Zrobiła kolejny głęboki wdech, próbując się choć trochę odprężyć. Thrawn, doskonały wojownik, Che’ri, świetna pilotka. Skoro oni jej ufają, to jak

mogło się nie udać? – Powiedziałaś, że Vakowie nas wywołali. Czy powinniśmy im odpowiedzieć?

– Kiedy tylko będziesz gotowa. – Che’ri wskazała na mikrofon. – Masz gotową przemowę?

– Mam gotową przemowę Thrawna. – Thalias zmusiła się do bladego uśmiechu. – Wystarczy?

– Wystarczy. – Che’ri dotknęła przełącznika. – Słyszają cię.

Thalias zebrała się w sobie. To było to.

– Pozdrawiam lud Primei! – zawołała w minnisiat. – Nazywam się Thalias, jestem towarzyszką starszego kapitana Thrawna z Dynastii Chissów. Jakiś czas temu, gdy uciekał z waszego świata, niechcący zabrał ten myśliwiec. Naprawiliśmy go, a moja pilotka i ja przybyliśmy, by go zwrócić.

– Okradliście Kombinat Vak – odpowiedział w tym samym języku czyjś szorstki głos. – Skąd myślisz, że nie zostaniecie ukarane za swoją zbrodnię?

– Błagam Kombinat o uznanie mojej wizyty i zwrotu statku za gest dobrej woli – powiedziała Thalias. – Jestem pewna, że na podstawie linii myślowych Thrawna mogę wyjaśnić powody jego działań.

Nastąpiła pauza.

– Kradzieży nie da się niczym wyjaśnić – odparł Vak, ale Thalias usłyszała w jego głosie odrobinę niepewności. Zgodnie z przewidywaniami Thrawna.

– Ponownie pokornie błagam o waszą pobłażliwość – wyrecytowała. – Przynoszę pisemne wyjaśnienia oraz ofertę pokoju i pojednania od starszego kapitana. Czy pozwolisz mi wylądować i zanieść dokumenty waszemu wojskowemu przywódcy?

Kolejna pauza.

– Możesz wylądować – zgodził się Vak. – Aktywowałem latarnię nawigacyjną, która cię poprowadzi.

– Che’ri? – mruknęła Thalias.

Dziewczynka skinęła głową.

– Przyjęłam. Zmieniam kurs.

– Dziękuję – powiedziała głośniej. – Przywiozę ze sobą dokumenty, które kazano mi dostarczyć do rąk własnych waszego wojskowego przywódcy. Błagam, pozwól wypełnić mi mój obowiązek.

– Najpierw wyląduj – stwierdził Vak. – Po zbadaniu statku i ocenie jego uszkodzeń porozmawiamy o twoich dokumentach.

– Dziękuję – powiedziała Thalias. – Z niecierpliwością wyczekuję naszego spotkania.

Gdy Vak zakończył transmisję, rozległo się kliknięcie.

– Póki co jest dobrze. – Thalias starała się brzmieć swobodnie.

– Wszystko się uda – zapewniła ją Che’ri, gdy myśliwiec ruszył w stronę znajdującego się dużo niżej rozświetlonego miasta. – Thrawnowi się uda. Nam się uda.

Thalias skinęła głową. Nadal nie była skłonna sobie do końca zaufać, ale ufała umiejętnościom Thrawna.

Poza tym, czy on się kiedykolwiek pomylił?

## Wspomnienia XII

Ar'alani zapewniono, że zaproszenie oficera Chissów przez obcy rząd to wielki zaszczyt. To, że szef bezpieczeństwa Frangelic wyraźnie zaznaczył fakt obecności Rulerich, dodawało zaproszeniu tylko kolejnej warstwy splendoru.

Gdy więc opuścili z Thrawnem swój prom i szli w stronę grupy oczekujących na nich Garwian, musiała się bardzo pilnować, by mieszanka setek nieznanych zapachów, wirujących wokół niej niczym poranna mgła, nie zawróciła jej w głowie. Było tego tak wiele i były tak intensywne, że omal się nie odwróciła i nie pobiegła z powrotem na prom, by znaleźć się znowu w zaciszu bezpiecznej dla węchu „Destramy”.

Ku jej zaskoczeniu, przykre doznania minęły, nim ceremonia powitalna dobiegła końca, a ona i Thrawn zostali wprowadzeni do czekającego na nich pojazdu naziemnego. Najwyraźniej jej nos i płuca przystosowały się do nowych warunków. Gdy jechali przez miasto w kierunku planetarnego centrum bezpieczeństwa, zapachy jeszcze bardziej straciły na intensywności, a zanim pojazd się zatrzymał i Frangelic wyprowadził ich na ulicę, stały się właściwie neutralne, a nawet prawie przyjemne.

Chociaż możliwe, że mieszanka woni po drodze uległa zmianie. Z pewnością nad rozpościerającym się przed nimi dużym, okrągłym i zatłoczonym placem widniało wiele smug dymu, unoszącego się z otwartych palenisk, na których coś gotowano, a takie aromaty zawsze lubiła.

— To nie może być centrum bezpieczeństwa — skomentowała, gdy Frangelic zamknął za nimi drzwi pojazdu.

— Centrum jest tam. — Mężczyzna wskazał biały, kamienny budynek po drugiej stronie placu. — Jednak, jak być może widzisz, pojazdy miałyby trudności w manewrowaniu po weekendowym Rynku Twórców.

— Czy nie mogliśmy zatem podlecieć? — zapytał Thrawn.

— Mogliśmy — zgodził się Frangelic. — Jednak Rynek Twórców to jeden z najwspanialszych przejawów garwiańskiej kultury i chciałem wam go pokazać.

Thrawn spojrział na Ar'alani.

— Pani komodor?

Ar'alani wzruszyła ramionami, wyczuwając kolejny przyjemny zapach, gdy tylko zmienił się wiatr. Kiedy była dzieckiem, świąteczne bankiety przy ogniskach należały do jej ulubionych posiłków.

— Czemuż by nie? — stwierdziła. — Prowadź dalej, szefie bezpieczeństwa.

— Dziękuję. Tędy.

Frangelic ruszył na skraj placu. Rynek był, jak już zauważyła Ar'alani, pełen krzątających się istot, ale te na obrzeżach szybko zauważyły obce twarze i zeszły im z drogi. Niektórzy z mijanych wystawców kłaniali się Frangelicowi i w pierwszej chwili Ar'alani sądziła, że to gest uległości lub nawet strachu na widok munduru. Ale Frangelic niezmiennie im się odkłaniał i w końcu doszła do wniosku, że była to po prostu forma wyrażania szacunku, przyjęta między obywatelami.

— Jak widzicie, stragany są ustawione w koncentrycznych kręgach — powiedział Frangelic, gdy zbliżyli się do pierwszej grupy stoisk. — Zewnętrzne są zarezerwowane dla tych, którzy potrzebują więcej miejsca na swoje towary i sprzęt, podczas gdy te bliżej środka służą twórcom z mniejszymi kramami.

— Nazwałeś ich „twórcami” — zauważył Thrawn. — Co takiego tworzą?

— Cokolwiek zechcesz — odparł Frangelic. — Jest tu mężczyzna, który tworzy niepowtarzalne przybory kuchenne dla osób uwielbiających gotować. Tam stoi kobieta tworząca kostiumy historyczne na imprezy wspomnieniowe. Zapewne wyczuwacie aromat unoszący się znad ognisk? Tam przygotowuje się jedzenie dla tych, którzy szukają konkretnie przyrządzonych potraw lub wyjątkowych zestawień przypraw i sosów.

— Nie wydaje się to szczególnie efektywne — stwierdziła Ar'alani.

— Och, produkujemy też masowo przedmioty codziennego użytku, jak na wszystkich innych planetach — zapewnił ją Frangelic. — Targi są dla tych, którzy pragną czegoś niezwykłego i niepowtarzalnego. Jeśli umiesz nazwać lub opisać, czego chcesz, ktoś tutaj zrobi to dla ciebie. Tu lub na jednym z tysięcy innych Rynków Twórców w całym Zjednoczeniu.

— Wspomniałeś o imprezach wspomnieniowych — przypomniał Thrawn.  
— Czym one są?

— Ach — rzekł Frangelic, zmieniając nieco kierunek marszu. — To, jak sądzę, element kultury, który wyróżnia Zjednoczenie spośród innych ras. Uczestnicy takich wydarzeń noszą wyszukane stroje, wykorzystujące elementy garderoby odtworzone zgodnie z realiami historycznymi, utkane i połączone w subtelny oraz wyjątkowy sposób. Celem każdego uczestnika jest stworzenie najpiękniejszego i najbardziej misternego połączenia, a jednocześnie odkrywanie i rozpoznawanie elementów innych strojów. Pokażę ci.

Poprowadził ich do długiego stołu, przy którym jakaś kobieta pracowała na niewątpliwie leciwej maszynie do szycia. Po jej bokach piętrzyły się schludne stosy materiałów, nici i przyborów, podczas gdy na stojakach za nią wisały dziesiątki próbek tkanin, skór, jedwabi i innych materiałów, których Ar'alani nie potrafiła zidentyfikować.

— To jest Dama Mimott, jedna z naszych projektanckich mistrzyń. — Frangelic kiwnął jej głową na powitanie. — Dama Mimott, nasi goście chcieliby dowiedzieć się czegoś na temat twojej pracy.

Kobieta patrzyła na Ar'alani i Thawna w sposób, w którym admirał nie mogła nie dostrzec podejrzliwości.

— Nie wybieracie się przypadkiem na imprezę u Kimbples w następane śródwiośnie, prawda? — zapytała.

— Doprawdy, Mimott. — W głosie Frangelica pojawiła się nuta delikatnej reprimendy. — Nie sugerujesz, że nasi honorowi goście znizyliby się do oszukiwania, prawda?

Przez chwilę kobieta tylko na niego patrzyła. W końcu jej twarz rozświetlił promienisty uśmiech.

— Twoi szanowni goście z pewnością nie. — Mrugnęła do nich. — Ty, z drugiej strony... — Przekręciła głowę na bok i dotknęła policzka opuszkami palców.

— Zapewniam cię, Mimott, że jeśli przypadkiem zostanę zaproszony na przyjęcie Kimbples, uprzejmie odmówię. — Wskazał na materiał, nad którym pracowała. — Może zechciałabyś nam wyjaśnić, na czym polega twoja sztuka.

— Z przyjemnością. — Kobieta rozłożyła sukno. — Ta tkanina jest oczywiście nowoczesna, ale ma ten sam wzór i fakturę co te używane w Dwunastej Erze. Styl szycia pochodzi z Czternastej, a tych konkretnych

barwników po raz pierwszy użyto w Siedemnastej. Styl obrzeży zaczerpnęłam z Osiemnastej. — Dotknęła maszyny. — Ten sprzęt to odnowiony antyk z Piętnastej.

— I tego wszystkiego potrzebujesz do uszycia jednego stroju? — spytała Ar'alani.

— Och, to tylko warstwa spodnia. — Mimott posłała jej kolejny uśmiech. — Będą jeszcze dwie warstwy zewnętrzne plus chusta na ramię, rękawiczki i czapka.

— I to wszystko na jedną imprezę — powiedział Frangelic. — Choć odzież, która najbardziej zadziwi uczestników, jest potem wystawiana i podziwiana przez całe miasto.

— Jeżeli strój jest odpowiednio zaprojektowany, może być też łatwo przekształcony w inne, uroczyste odzienie — dodała Mimott. — A czasami nawet w codzienne ubrania. Czy macie jeszcze pytania?

— Nie — odparła Ar'alani. — Dziękujemy za pokazanie nam twojej pracy. To bardzo imponujące.

— Jestem zaszczycona — powiedziała Mimott. — Niech promienie słońca ogrzeją twój dzień.

Frangelic gestem wskazał im kierunek i odeszli od stoiska.

— I co o tym sądzicie? — zapytał.

— Piękna robota — oznajmiła Ar'alani. — Moja ciocia lubiła trochę szyć, gdy byłam dzieckiem, ale nie było to nic tak wyszukanego.

— Jesteśmy dumni z naszego kunsztu — przyznał Frangelic. — Jednak czas się nam powoli kończy. Może później będę mógł przedstawić wam pozostałych rzemieślników. — Przyspieszył, a tłum ponownie rozstał się, by ich przepuścić.

Thrawn przysunął się bliżej Ar'alani.

— Jakiś problem? — zapytał cicho.

— Problem? — powtórzyła w zamyśleniu. — Nie. Po prostu... Nigdy wcześniej nie postrzegałam obcych w ten sposób. Nie tak jak Chissów. Zawsze myślałam o nich jak o czymś pomniejszym, czymś w stylu bardzo inteligentnych zwierząt. Niektóre są przyjazne, inne nieszkodliwe, a jeszcze inne niebezpieczne. — Spojrzała na niego. — Ty zapewne zawsze widziałeś ich takimi, jacy są?

— Jako osoby? — Thrawn potrząsnął głową. — Niespecjalnie. Oczywiście, dostrzegam jednostki. Ale ich podmiotowość rzadko zajmuje moje myśli.

— Więc jak ich postrzegasz?

Jego wzrok przesunął się po tłumie, a Ar'alani pomyślała, że widzi w jego oczach zarówno nutę zamyślenia, jak i smutku.

— Jako możliwych sojuszników. Możliwych wrogów. Zasoby.

Ich grupka prawie dotarła już do centrum bezpieczeństwa planetarnego Solitaira, gdy powietrze nad Rynkiem Twórców przeszło nagle wycie syren alarmowych.

— Co się dzieje? — Ar'alani próbowała przekrzyczeć jazgot.

— Ktoś atakuje Solitaira! — warknął Frangelic, rzucając się do biegu. — Pospieszcie się!

Do czasu, gdy ich trójka dotarła do podziemnej sali odpraw, znajdującej się w podziemiach budynku, alarmy ucichły.

— Szef bezpieczeństwa Frangelic zgłasza się po rozkazy! — zawołał Frangelic, gdy pospieszyli w stronę niewielkiej grupy Garwian stojących przed dużym ekranem ściennym. Ar'alani zauważyła, że byli tu także obecni trzej Ruleri. Stali obok, przy zestawie mniejszych wyświetlaczy, i rozmawiali ze sobą. Oznaczenia na ekranach wyświetlały się oczywiście w garwiańskim alfabecie, kompletnie dla niej nieczytelnym.

Nie dało się jednak nie rozpoznać przyczyny alarmu. Na głównym ekranie wyraźnie było widać dwa lioaoińskie okręty, zmierzające w kierunku planety. Na oczach Ar'alani znalazły się w zasięgu strzału i najbliższa z orbitalnych platform defensywnych Solitaira otworzyła do nich ogień laserowy i raketowy.

— Szefie bezpieczeństwa. — Jeden z oficerów powitał Frangelica z napięciem w głosie. Z tak bliska rozpoznała w nim generała z jednego z wcześniejszych spotkań, choć nie mogła sobie przypomnieć, jak się nazywał. — Komodor Ar'alani, starszy komandorze Thrawn — wskazał na ekrany — jak widać, zakulisowe rozmowy, które mieliśmy nadzieję przeprowadzić w imieniu naszych dwóch ras, zostały brutalnie przerwane.

— Rzeczywiście — stwierdził ponuro Frangelic.

— Obawialiśmy się, że tak się stanie — kontynuował generał. — Skoro wysłaliśmy nasze siły do obrony pięciu zewnętrznych światów, Lioaoini postanowili właśnie teraz zaatakować z zaskoczenia. Pomogłaś nam kiedyś, komodor Ar'alani. Czy możesz pomóc nam również w odparciu i tej agresji?

Ar'alani potrząsnęła głową, czując zalewającą ją falę bezradności. Ta kobieta z Rynku Twórców, z takim zaangażowaniem szyjąca swoje

historyczne stroje...

— Przepraszam, generale, ale nie możemy — odparła. — Według wszystkich standardowych protokołów nie powinno nas nawet być w twojej sali odpraw.

— Jesteście naszymi gośćmi i jako takim należy się wam ochrona — powiedział po chwili generał. — Jeśli najeźdźcy przebiją się, możecie się znaleźć w takim samym niebezpieczeństwie, jak nasi bezbronni obywatele.

— To mało prawdopodobne — zapewnił go Thrawn. — Wasze platformy defensywne powinny z naddatkiem ochronić was przed dwoma okrętami.

— A jeśli czyha ich więcej? — rzucił Frangelic. — Wszystko, co powiesz nam o napastnikach, może stanowić dla nas różnicę między przetrwaniem a całkowitym zniszczeniem. Proszę.

Przez chwilę Thrawn w milczeniu obserwował ekrany. Ar'alani widziała, jak przygląda się im uważnie, obserwując, oceniając i obliczając. Jeśli istniał jakiś słaby punkt, który Garwianie mogliby wykorzystać, znajdzie go.

— A więc? — ponaglił go generał.

— Dostrzegam dwa słabe punkty — powiedział Thrawn. — Ale komodor Ar'alani ma rację. Dynastii nie wolno się do tego mieszać.

— Raz już nam pomogłeś — przypomniał Frangelic. — Czy te okoliczności nie są jeszcze bardziej naglące?

Thrawn spojrzał na Ar'alani, a po chwili z powrotem na generała.

— Z taktycznego punktu widzenia, Lioaoini posiadają pewne słabe punkty — zaczął. — Po pierwsze...

— Chwileczkę! — przerwała mu Ar'alani. Wszyscy garwiańscy oficerowie wpatrywali się w Thrawna. Żaden nawet nie obserwował monitorów. Nikt nie kierował ich obroną. Z drugiej strony, dlaczego mieliby to robić? Statki Lioaoinów zatrzymały się w pewnej odległości od platformy defensywnej, nie ruszając się naprzód, cały wysiłek wkładając najwyraźniej w obronę przed zaporowym ogniem Garwian.

— Proszę — powiedział Frangelic, przenosząc uwagę na Ar'alani. — Proszę, nie stawaj na drodze przetrwania Garwian.

— Czy to właśnie robię? — spytała Ar'alani. Wyciągnęła komunikator i wywołała „Destramę”.

Cisza. Nie brak odpowiedzi. Po prostu cisza.

Teraz wszyscy oficerowie patrzyli na nią.

— Komandorze Thrawn, proszę skontaktować się z „Destramą” — rozkazała. — Wygląda na to, że z moim komunikatorem jest jakiś problem.

— Doprawdy? — Głos i spojrzenie Thrawna nagle stwardniały. Też słyszał ciszę dobiegającą z jej komunikatora. — Generale, uprzejmie proszę o wyłączenie zagłuszania.

— Nic nie zagłuszamy — wtrącił szybko Frangelic. — Na tej głębokości...

— Uprzejmie proszę o wyłączenie zagłuszania — powtórzył Thrawn.

Jego głos i wyraz twarzy nie uległy żadnej zmianie. Pomimo to po plecach Ar'alani przebiegł nagły dreszcz. Generał odwrócił się bez słowa i machnął ręką w stronę jednego z oficerów przy konsolach. Ten dotknął pary przełączników.

— ...pytają o warunki poddania się Reżimu Lioaoin. — Z komunikatora Ar'alani dobiegł zdenerwowany głos. — Garwianie jednak je ignorują. Pani komodor, czy mnie pani słyszy?

— Tak, komandorze — odparła Ar'alani. — Teraz słyszę. Czekać na rozkazy.

Wyciszyła komunikator.

— No ładnie. — W wypowiedzianych przez nią słowach było tyle chłodu, ile tylko potrafiła w nie włożyć. — Twierdzicie, że zostaliście napadnięci przez piratów i wmanewrowujecie nas w naginanie naszych protokołów, abyśmy mogli wam pomóc. Teraz, gdy Lioaoini stracili wystarczająco wiele okrętów, to wy zaatakowaliście... właściwie kogo? Starych rywali? Nowych konkurentów w handlu lub kontraktach produkcyjnych?

— Mówisz tak, jakby Lioaoini byli jakimiś niewiniątkami — odparł wyniośle generał. — A wcale tak nie jest. Pamiętasz, jak wspominałem wcześniej o naszych pięciu światach zewnętrznych? Kiedyś było ich sześć. — Jego usta rozszerzyły się w uśmiechu. — Teraz znowu będzie sześć.

— A może siedem? — spytała Ar'alani.

— Możliwe — zgodził się generał. — Jedna ze znajdujących się pod ich kontrolą planet wygląda bardzo interesująco.

Spojrzał na Thrawna.

— Lepsza analiza słabych stron naszych przeciwników bardzo by się nam przydała. No, ale trudno się mówi. Twoja wcześniejsza pomoc w tym względzie była wystarczająca i bardzo ją doceniamy.

Thrawn przez chwilę patrzył mu w oczy. Następnie powoli odwrócił się do Ar'alani.

— Pani komodor, proszę o pozwolenie na wydanie „Destramie” rozkazu otwarcia ognia do garwiańskich platform defensywnych.

Tłum obcych poruszył się niespokojnie.

— Kusząca sugestia, komandorze — oznajmiła Ar'alani. — Ale obawiam się, że protokoły zabraniają takiego działania. Choć byłoby to w pełni uzasadnione.

— Generale, Lioaoini odlatują! — zawołał któryś z wojskowych.

— Pewnie wezwano ich do obrony swoich światów — skwitował generał. — Bezcelowy gest, ale przynajmniej nie będzie wątpliwości, która strona dzisiaj zwyciężyła. — Ponownie zwrócił się do Ar'alani. — Przypuszczam, że będziecie chcieli odlecieć tak szybko, jak to możliwe?

— Och, tak, odlecimy — powiedziała Ar'alani. — A wy lepiej trzymajcie mocno kciuki, żebyśmy tu nigdy nie wrócili. Bo jeśli tak się stanie... Powiedzmy, że spostrzeżenia komandora Thrawna dotyczące taktycznych słabych stron, nie ograniczają się do lioaoińskiej floty.

Zrobiła krok w przód i odczuła drobną, choć bezsensowną satysfakcję, widząc, jak generał cofa się nerwowo.

— Zapamiętajcie to sobie. Wszyscy.

## Rozdział 20

Gdy Thalias i Che'ri wyszły z myśliwca, czekało na nie dziesięciu strażników.

– Pozdrawiam wojowników Kombinatoru Vak! – zawołała Thalias, szybko oceniając ich mundury. Wzorem przypominały te zaobserwowane na przyjęciu dyplomatycznym, w którym brała udział z Thrawnem. Wojownicy stojący przed myśliwcem nosili jednak nieco inne – prostsze i o bardziej utylitarnym charakterze. Nie było to więc formalne powitanie, ale poważna sytuacja wojskowa. – Przynoszę przeprosiny od starszego kapitana Thrawna i chcę zaoferować zapłatę za jego czyny.

– Mówiłaś, że masz wiadomość – odezwał się jeden z żołnierzy. – Daj mi ją.

– Poinstruowano mnie, abym oddała ją bezpośrednio wojskowemu przywódcy Kombinatoru – przypomniała Thalias. – Z radością poczekam tu na jego przybycie lub udam się tam, gdzie zechce mnie przyjąć.

– Nie wątpię. – Żołnierz skinął głową. – Jednak ja to wezmę. – Wyciągnął dłoń, a wszystkie jej pięć pazurów było skierowanych ku górze. – I to już.

Thalias się zawahała. Nic jednak nie mogła zrobić. Poza tym Thrawn ostrzegał, że prawdopodobnie tak się stanie. Wyciągnęła kopertę i wręczyła mu ją.

– Przypuszczam, że twoi przywódcy będą chcieli zapytać nas o okoliczności, które doprowadziły do tego niefortunnego zdarzenia – powiedziała, gdy wsunął dokumenty do bocznej kieszeni kurtki. – Jestem do ich całkowitej dyspozycji.

– To nie będzie konieczne – odparł żołnierz. – Przygotowaliśmy statek i mamy nawigatora, który zabierze was z powrotem do Dynastii Chissów. Zaraz tu będzie.

Thalias zmarszczyła brwi.

– Nikt nie chce z nami rozmawiać?

Żołnierz nie odpowiedział. Zamiast tego zasalutował otwartą dłonią i skinął na swoich towarzyszy. Cała grupa wymaszerowała z lądowiska i zniknęła w jednym z wielu włazów.

– Czy nadal trzymamy się planu? – zapytała Che’ri.

Thalias się zawahała. Tak było, ale pewne jego części Thrawn i Ar’alani postanowili zachować w tajemnicy przed dziewczynką.

– Zobaczymy – powiedziała wymijająco.

– Och, Thalias z Dynastii Chissów. – Zza ich pleców dobiegał wesoły głos.

Thalias odwróciła się, czując nagły ucisk w żołądku, gdy zobaczyła znajomą istotę, idącą w ich kierunku z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Nie będziesz mnie pamiętać – powiedział. – Ale spotkaliśmy się...

– Jesteś Qilori z Uandualonu – przerwała mu. – Byłeś z generałem Yivem na przyjęciu.

– Ach, więc pamiętasz – ucieszył się Qilori. – Świetnie. Chodźcie ze mną, nasz transport już tu jest.

Kilka minut później siedzieli już w przedziale pasażerskim promu, zmierzając przez rzednącą atmosferę w kierunku grupy statków na orbicie Primei.

– Primea to ruchliwe miejsce – rzekł Qilori, wyglądając przez iluminator.

– Tu szczególnie cieszy mnie fakt, że nie muszę przejmować sterów, dopóki nie wydostaniemy się poza studnię grawitacyjną planety i będziemy gotowi do wejścia w nadprzestrzeń. Musiałś mieć niezłą przeprawę z przebijaniem się przez tutejsze korki.

– Che’ri to zrobiła – wyjaśniła Thalias, rozglądając się po pustym przedziale. – To ona jest pilotem. Gdzie pozostali pasażerowie?

– Och, są już na pokładzie naszego transportu – oświadczył Qilori. – Jesteście ostatnie, a i to dzięki uprzejmości rządu Kombinat. Musieli się ucieszyć z powrotu swojego myśliwca.

– Nigdy nie mieliśmy zamiaru go zatrzymać – zwróciła mu uwagę Thalias. – Który to nasz transport?

– Zaraz zobaczysz – odpowiedział Qilori. – Jest... O, proszę, teraz go widać.

– Thalias? – zapytała Che’ri niepewnym głosem. – To mi nie wygląda jak transport.

– Jeśli transportem nazywasz coś, co zabiera cię z miejsca na miejsce, to oczywiście, że jest to transport – rzekł Qilori. – Jeśli jednak masz na myśli

transport cywilny, obawiam się, że nie dzisiaj. – Wskazał na iluminator. – Oto, moje szlachetne zakładniczki Chissów, „Nieśmiertelny”, pancernik i okręt flagowy generała Yiva Dobroczyńcy z Przeznaczenia Nikardun.

Thalias spojrzała na niego, w myślach mierząc dzielącą ich odległość. Oboje byli przypięci pasami, ale jeśli uwolni się wystarczająco szybko...

– Proszę, nie – ostrzegł ją Qilori. – Dobroczyńca zdecydowanie wolałby mieć cię w nieuszkodzonym stanie, gdy przekaże cię Thrawnowi.

– Odda nas z powrotem Thrawnowi? – zapytała z nadzieją Che’ri.

– Oczywiście – zapewnił ją. – Wyśle Thrawnowi wiadomość, on przyleci i spotkają się na mostku tego okrętu, a Yiv mu cię odda. A potem, oczywiście, go zabije.

„Zdrada”.

„Nie dało się tego po prostu inaczej nazwać” – pomyślał z goryczą Thurfian, gdy szedł spieszonym krokiem do Sali Zgromadzeń na nadzwyczajne spotkanie Syndykury. „Zdrada”.

I to po tych wszystkich środkach ostrożności, jakie przedsięwziął... Spotkania i porównywanie notatek z Zistalmu, uważne czytanie każdego skrawka akt ze wszystkich misji i działań Thrawna... A mimo to był całkowicie zaskoczony.

Często obserwował, jak arogancki wojownik zbliżał się do pewnej granicy, a nawet od czasu do czasu ją przekraczał. Ale nic nie przygotowało go na sytuację, w której Thrawn po prostu z rozpędu nad nią przeskoczy.

Mieli go. Tym razem, na każde zło Chaosu, mieli go.

Ale za jaką cenę? Jak straszliwą, straszliwą cenę?

Sala Zgromadzeń była już wypełniona po brzegi, gdy Thurfian wszedł do środka, a idąc w stronę części przeznaczanej dla Mitthów, szybko policzył obecnych. Na miejscu znaleźli się Mówcy wszystkich Dziewięciu Rodzin, podobnie jak większość wyższych stopniem syndyków. Swoich przedstawicieli przysłało także kilkanaście innych pomniejszych rodzin, głównie mających bliskie powiązania z Dziewięcioma lub aspirujących, aby pewnego dnia dołączyć do nich we władzy nad Dynastią. Sala aż wibrowała od cichych rozmów, gdy ci, którzy znali jedynie część sytuacji, byli uświadamiani przez pozostałych.

Przy stole świadków, stanowiącym wyspę ciszy w burzy rozmów, siedzieli Naczelnny Generał Ba’kif, Naczelnny Admirał Ja’fosk, admirał Ar’alani i Thrawn.

Thurfian właśnie siadał w swoim fotelu, gdy Ja'fosk wstał. Hałas błyskawicznie ucichł.

– Mówcy i syndycy Dynastii – rzekł Ja'fosk, rzucając zgromadzeniu szybkie, oceniające spojrzenie. – Otrzymałem przekaz od generała Yiva z Przeznaczenia Nikardun. – Uniósł swój questis. – Cytuję: „Mam dwie zakładniczki rodzinne starszego kapitana Thrawna, który wysłał je na Primeę z ofertą dla Kombinatów Vak. Ofertą zawierającą propozycję sojuszu i zdrady pokojowych nacji Przeznaczenia Nikardun. Jeśli życzy sobie uwolnienia kobiet bez szwanku, pojawi się samotnie w nieuzbrojonym frachtowcu z równowartością dwustu tysięcy uniwersjali w miejscu wskazanym na załączonych współrzędnych”. – Ja'fosk opuścił questis. – Podane współrzędne wskazują na wysoką orbitę nad Primeą.

Zwykły protokół przewidywał, by to jeden z Mówców odezwał się jako pierwszy lub zadał pierwsze pytanie. Ale Thurfian nie przejmował się w tej chwili protokołem. Co więcej, musiał mieć pewność, że cała sala rozumie w pełni tę przerażającą sytuację.

– Pozostawiając na razie kwestię tego, dlaczego Yiv uważa, że Chissowie mają coś takiego jak zakładnicy rodzinni – powiedział, wstając – chciałbym wiedzieć, kim są te dwie kobiety. – Uniósł brwi. – Czy w ogóle obie są kobietami, a może jedna z nich jest zaledwie dziewczynką?

– Jedna z nich to kobieta. – Ja'fosk wyraźnie wysiłał się, by nie stracić kontroli nad głosem. – Nazywa się Mitth'ali'astov. Druga to faktycznie dziewczynka, Che'ri. – Jeden z mięśni na jego policzku drgnął. – Jedna z naszych gwiazdo-gatorek.

Przez zgromadzoną w sali Arystokrę przebiegł szmer niedowierzania i oburzenia. Najwyraźniej większość z nich nie słyszała całej historii.

– Zakładam, że Yiv nie wie o jej statusie? – zapytał Thurfian.

– Wierzymy, że tak – powiedział Ja'fosk. – Z pewnością nic nie wskazuje na to, by wiedział w ogóle o programie gwiazdogatorek, nie mówiąc już o szczegółach.

– Zakładam, że nic też nie wskazuje na sytuację odwrotną – szorstko wtrąciła Mówczyni Plikhów. – Chciałabym dokładnie wiedzieć, jak starszy kapitan Thrawn mógł popełnić błąd, skutkujący pojmaniem jednej z naszych gwiazdogatorek przez wroga.

– Nikardunowie nie są naszymi wrogami – przypomniał jej Ja'fosk. – Co się zaś tyczy toku myślenia kapitana Thrawna w tej kwestii... – Spojrzał na Thrawna.

– Oczywiście nigdy nie zamierzałem narażać żadnej z nich na jakiegokolwiek ryzyko – rzekł Thrawn. – Ich misją było zwrócenie pożyczonego przeze mnie myśliwca Vaków i przekazanie przywódcom Primei niepokojących wieści na temat posunięć Yiva wobec innych ras w regionie. Thalias miała dostarczyć wiadomość, a następnie wrócić pasażerskim transportem do Hali Nawigacyjnej Cztery-Czterdzieści-Siedem, skąd zostałaaby sprowadzona z powrotem do Dynastii.

– A dlaczego gwiazdogatorka w ogóle znalazła się na pokładzie?

– Che’ri potrafi pilotować myśliwiec. Thalias nie.

Thurfian poczuł, jak usta wykrzywają mu się w grymasie złości. Kłamca. Thrawn ewidentnie wiedział, a przynajmniej podejrzewał, co robi Yiv, jeśli Thalias i Che’ri znajdą się w jego zasięgu. Wszystko to pachniało próbą podpuszczenia Syndykury do zarządzenia ataku odwetowego.

A nastroje w komnacie sugerowały, że mogło mu się to udać. Jeśli istniał jeden zasób, którego Dynastia strzegła z szaleńczą zazdrością, niewątpliwie były nim gwiazdogatorki.

– Ta rozmowa się jeszcze nie skończyła! – ostrzegł Mówca Irizi. – Będziemy chcieli poznać szczegóły tej sytuacji – wszystkie szczegóły – w określonym momencie w przyszłości. Jeśli na jaw wyjdą błędy lub oczywiste oszustwa, Syndykura nie zawaha się przed wyciągnięciem odpowiednich konsekwencji.

– Rozumiem – odparł Ja’fosk. – Na razie jednak liczy się czas. Musimy użyć wszelkich środków niezbędnych do odzyskania tych dwóch kobiet.

– Zakładam – odezwał się szorstko Zistalmu – że oznacza to atak militarny.

– Przeciwno tym, którzy, jak przyznał już Naczelny Admirał Ja’fosk, nie są naszymi wrogami – dodał Thurfian.

– Porwali naszą gwiazdogatorkę – powiedział Thrawn. – Wydaje mi się, że już ten akt sam w sobie stanowi atak na Dynastię.

– Nawet jeśli nie są świadomi swojej zbrodni?

– Porwali naszą gwiazdogatorkę – powtórzył Thrawn.

Thurfian uchwycił spojrzenie Zistalmu znajdującego się po drugiej stronie sali i zobaczył w nim odbicie własnego cynicznego rozbawienia. Nie było cienia wątpliwości, to wszystko zostało wcześniej zaaranżowane. Ja’fosk i Ba’kif mogli nie znać wszystkich szczegółów planu, ale Thrawn i Ar’alani siedzieli w tym po uszy.

„I zostaną za to rozliczeni” – przyrzekł sobie Thurfian. Ale na razie to musiało poczekać. Yiv porwał gwiazdogatorkę i było zupełnie jasne, że Arystokra wywróci do góry nogami cały Chaos, jeśli właśnie tego będzie trzeba, by ją odzyskać.

Mimo to, jeśli dopisze im szczęście – jeśli im naprawdę dopisze – Thrawn mógł się w końcu przeliczyć. W takim wypadku Thurfian z radością i z pełną szczerością dołączy do rodziny Mitthów w hymnach pochwalnych na cześć ich poległego bohatera.

– Myślę, że powodem, dla którego najbardziej będzie mi brakować Thrawna – rzucił od niechcienia Yiv z fotela dowódcy na mostku – jest sposób, w jaki zawsze wydawał się zdolny do odczytania swojego przeciwnika i zaplanowania odpowiednich posunięć. To z kolei zmuszało do zachowania czujności i próby odgadnięcia jego toku myślenia.

Thalias milczała, skupiając się na tym, by nie drapać się po ramionach pomimo koszmarnego swędzenia wywoływanego przez bezkształtne szaty, które Nikardunowie kazali założyć jej i Che’ri. Podejrzewała, że są to uniformy więźniów i zostały celowo zaprojektowane tak, aby sprawiać dyskomfort, ale wolałaby się dać pokroić, niż dać Yivowi jakąkolwiek satysfakcję.

– Na przykład ta buteleczka – ciągnął Yiv, wyciągając mały, płaski pojemnik, wcześniej ukryty w sprzączce paska Thalias. – Trudno określić bez otwierania, ale analiza głębokiego spektrum sugeruje, że to jakiś środek nasenny. Może nawet zabójczy?

– Nie jest zabójczy – odparła Thalias. – To narkotyk o nazwie tava, wprawiający w stan oszołomienia. Mój pan użył go na załodze myśliwca Vaków, kiedy go zarekwirowaliśmy.

– I akurat miałaś przy sobie jeszcze porcyjkę?

– Lubi mieć plany awaryjne – powiedziała. – Myślę, że umieścił buteleczkę w moim pasie na wypadek, gdyby potrzebował więcej narkotyku.

– Nie wiedziałaś, że tam jest?

Thalias zgarbiła się nieco.

– Nie. Ale czy miałoby to jakiegokolwiek znaczenie, gdybym wiedziała? Dopóki pozostajemy zakładnikami rodzinnymi, nasz pan jest naszym właścicielem. Ma nasze serce, duszę i życie. I może z nimi zrobić, co tylko zechce.

– Nazwałbym to barbarzyństwem – powiedział Yiv, a dziwne wąsy na jego ramionach zafalowały nieco bardziej niż zwykle – gdyby nie fakt, że w zasadzie tego samego żądam od podbitych przeze mnie ludów. Być może on i ja jesteśmy bardziej do siebie podobni, niż myślałem. Czy powiedział ci, jaką wiadomość kazał dostarczyć?

Thalias pokręciła głową.

– Nie.

– Była całkiem interesująca – powiedział Yiv, ustawiając buteleczkę z tawą na poręczy fotela i wyciągając kopertę, którą Thalias oddała vackiemu żołnierzowi na lądowisku. – Oferuje im sojusz z Dynastią Chissów w zamian za pozwolenie na przybycie na Primeę i rzucenie mi wyzwania – parsknął i położył kopertę obok buteleczki. – A także nieznośnie naiwna. Czy on naprawdę sądził, że Vakowie podejmą taką decyzję bez przestudiowania jej każdego aspektu i niuansu?

– Mój pan bardzo dobrze odczytuje obce kultury – odparła Thalias.

– Naprawdę? – zachichotał Yiv. – Kiedy wrócisz na Csillę, musisz odnaleźć historię jego kontaktów z Garwianami i Lioaoinami. Tę prawdziwą, nie wersję dostępną publicznie.

– Dlaczego? – spytała Thalias. – Czym się różnią?

– Och, nie chciałbym ci zepsuć niespodzianki – odrzekł wesoło Yiv. – Ale całej prawdy dowiedziałem się od Lioaoinów. Powiedzmy, że twój pan nie jest tak dobry, jak mu się wydaje. – Zamyślił się. – Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie w tym konkretnym przypadku, bo nikt w Kombinacie nigdy nie przeczyta jego oferty. List, który Vakowie faktycznie otrzymali, zawierał jedynie przeprosiny i szczerą nadzieję, że cała sytuacja nie wpłynie na postrzeganie Dynastii Chissów przez Kombinat. Powinni być zadowoleni, że nie będą musieli teraz nad tym bez końca debatować, jak sądzę.

Thalias spojrzała na Che'ri. Dziewczynka starała się zachować kamienną twarz, ale Thalias widziała, że podwójny manewr Yiva z tawą i podrobionym listem nią wstrząsnął.

Yiv też to zauważył.

– Ojej, chyba zdenerwowałem twoją towarzyszkę – powiedział z udawaną troską. – A może po prostu nie jest tak dobra w ukrywaniu swych uczuć jak ty.

– Jesteśmy zakładniczkami – odparła Thalias. – Nasze uczucia również należą do naszego pana i jego rodziny.

– Bez wątpienia nauczyłaby się tego wraz z wiekiem i praktyką – rzucił Yiv. – Cóż, być może twój następny pan będzie ją dalej szkolił. Czy byłybyście tak dobre i udały się teraz do swojego miejsca odpoczynku? Będę was tu potrzebował, gdy Thrawn się pojawi. Jestem pewien, że będzie chciał was zobaczyć, ale to jeszcze kwestia kilku godzin.

– Albo dni – odparła Thalias. – Primea leży daleko od Dynastii, gdy podróżuje się skokami.

– Spokojnie. – Yiv ponownie uśmiechnął się szeroko. – Do tak ważnej podróży na pewno zechce zatrudnić nawigatora. Myślę, że nawigator – mój nawigator – jest już prawdopodobnie na pokładzie jego frachtowca. Kilka godzin, może trochę mniej i będzie po wszystkim.

– Cieszę się, że byłeś dostępny na tym kursie – powiedział Thrawn, wręczając Qiloriemu parujący kubek.

– Ja również – odparł Qilori, z aprobatą wdychając aromat. Herbata galara, jego ulubiony napój. – Właśnie wróciłem do Hali i przeglądałem listę ofert, kiedy nadeszła twoja wiadomość.

– Cieszę się, że zechciałeś poczekać na moje przybycie.

– I ja cieszę się, że to zrobiłem – przyznał Qilori. – Po pierwsze, podróże z tobą nigdy nie są nudne. Po drugie... – Podniósł wymownie kubek.

– Herbata?

– Tak – odparł Qilori. – Niewielu zleceniodawców Tropicieli pamięta o preferencjach nawigatorów. Wielu nawet nie zawraca sobie głowy zapamiętywaniem naszych imion.

– Uznałem, że tak będzie właściwie – powiedział Thrawn. – Ponieważ prawdopodobnie będzie to już nasz ostatni wspólny rejs.

– Naprawdę? – spytał Qilori, marszcząc brwi, gdy spojrzał na Chissa nad krawędzią kubka. – Jak to?

– Lecę na Primeę, aby wykupić dwie zakładniczki z rąk generała Yiva – wyjaśnił Thrawn. – Nie przypuszczam, by ta wymiana miała się dobrze skończyć.

– Och! – Qilori spróbował przybrać odpowiednio zaskoczony i zatroskany wyraz twarzy. – Z pewnością nie spodziewasz się zdrady? Yiv Dobroczyńca zawsze wydawał mi się prawy i honorowy wobec innych. Przynajmniej wtedy, gdy druga strona też zachowywała się honorowo. Nie planujesz żadnych sztuczek, prawda?

– Chciał, żebym przyleciał sam na nieuzbrojonym frachtowcu. – Thrawn powiódł ręką dookoła. – Widzisz tu kogoś jeszcze? Albo jakąś broń?

– Cóż, na pewno nie stąd. – Qilori wzruszył ramionami. Choć biorąc pod uwagę fakt, że dokładnie zbadał kadłub frachtowca przed wejściem na pokład i spędził ostatnią przerwę, ukradkiem szukając stanowiska uzbrojenia, był tego znacznie pewniejszy, niż wskazywałby na to jego lekceważący komentarz.

Jednak w kształcie frachtowca było coś dziwnego; coś, co przykuło jego uwagę, gdy wcześniej krążył wokół statku. Jak na ten typ jednostki, nie prezentował się jakoś nadzwyczajnie, ale Qilori nie potrafił jednak wskazać niepasującego elementu. Choć minęło już kilka godzin, wciąż go to gryzło.

– Możesz zatem potwierdzić, że postępowałem zgodnie z jego instrukcjami – zauważył Thrawn.

– W takim razie nie powinieneś się niczego obawiać – odparł Qilori.

– Być może. – Thrawn nie wyglądał na przekonanego. – Czy jesteś gotowy na ostatni odcinek trasy?

– Jestem – potwierdził Qilori, biorąc ostatni łyk liściastej herbaty i odstawiając kubek na bok. Thrawn miał rację, to miała być ich ostatnia wspólna podróż. Qilori będzie musiał później podziękować Dobroczyńcy za to, że pozwolił mu osobiście obejrzeć śmierć tego aroganckiego, mordującego Tropicielei Chissa. – Jeszcze jakieś pół godziny i będziemy na miejscu.

– Dobrze – powiedział Thrawn, siadając w swoim fotelu. – A więc zakończmy to, Qilori z Uandualonu. W ten czy inny sposób.

## Rozdział 21

Co składało się na sukces kampanii wojskowej? „Rozpoznanie. Tak naprawdę – pomyślała Ar'alani – wszystko sprowadzało się do rozpoznania”. Potem była analiza, następnie ekstrapolacja i przeciwnatarcie. Ale wszystko zaczynało się rozpoznania.

A jeśli ono było błędne, reszta rozpadała się jak lodowa konstrukcja nad ogniskiem.

Thrawn twierdził, że rozumie Yiva. Twierdził, że rozumie Vaków.

Ale sądził też, że rozumie Lioaoinów i Garwian. Tamto niepowodzenie przebudziło stare animozje i konflikty polityczne, doprowadziło grupę obcych do śmierci, a pośrodku tego całego ambarasu znalazła się Dynastia i to z brudem na rękach. Jeśli tym razem się mylił, życie straci jeszcze więcej istot.

Tyle że tym razem umrze wielu Chissów.

Dostrzegła ruch po swojej lewej stronie i uniosła wzrok. To Wutroow podeszła do fotela dowódcy.

– Wyjście za pięć minut – zameldowała pierwsza oficer „Czujnego”. – Wszystkie systemy i stanowiska zgłaszają gotowość.

– Dziękuję, starsza kapitan. Coś jeszcze?

Wutroow zacisnęła usta.

– Zakładam, że pani admirał zdaje sobie sprawę, że stąpamy tu po kruchym lodzie – powiedziała po chwili. – Jedyne, czym dysponujemy, to założenie poczynione przez starszego kapitana Thrawna, że Vakowie nie przeszli całkowicie na stronę Nikardunów. Jeśli się pomylił, skończymy, walcząc z jednymi i drugimi. I o ile Vakowie nie zaatakują nas bezpośrednio, nie mamy nawet upoważnienia, by do nich strzelać.

– Jest jeszcze gorzej – zauważyła Ar'alani, myśląc o myśliwcach Lioaoinów, które widzieli nad macierzystym światem Reżimu. – Jeśli Kombinat dołączył do Yiva, być może na pokładzie vackich okrętów

stacjonują już nikarduńskie załogi. Nie będziemy wiedzieć, kto jest kim, dopóki nie otworzą ognia.

– A do tego czasu mogą manewrować, ile chcą, zasłaniać okręty Nikardunów, a nawet pomagać im nas namierzać – dodała ponuro Wutroow. – Z prawnego punktu widzenia nie możemy zrobić nic, póki nie wystrzelą.

– Cóż, może nam się poszczęści i Vakowie wypowiedzą wojnę Dynastii, gdy tylko zobaczą, że się zbliżamy – powiedziała Ar'alani. – Wtedy wszystko byłoby łatwiejsze.

– Tak jest, ma'am. – Wutroow się zawahała. – Ta tarcza energetyczna Republiki, którą Thrawn sprowadził z krawędzi Chaosu... Jak dobra jest tak naprawdę?

– Nie wiem – przyznała Ar'alani. – Byłam obecna przy niektórych testach, na przykład wtedy, gdy zastanawiali się, jak podłączyć ją do chissańskich systemów zasilania. Wyglądało to całkiem imponująco. Ale jaką ma moc i jak długo przetrwa pod ciągłym ogniem... – Potrząsnęła głową. – Nie mam pojęcia. Pewnie wkrótce się przekonamy.

– Pewnie tak – sapnęła Wutroow. – Za pozwoleniem, pani admirał, myślę, że nakazę obsłudze dział przeprowadzenie jeszcze jednej, ostatecznej kontroli systemu. Zakładam, że poczyniła pani przygotowania, aby gwiazdogatorka Ab'begh zeszła z mostka, gdy tylko dotrzemy nad Primeę?

– Przydzieliłam jej dwóch wojowników, którzy mają zabrać ją z powrotem do kajuty – przytaknęła Ar'alani. – Zostaną tam z nią i jej opiekunką aż do końca bitwy.

– Dobry pomysł – zgodziła się Wutroow. – To, że Thrawn zgubił swoją gwiazdogatorkę, było wystarczająco złe. Gdyby wróg przypuścił abordaż i zgubilibyśmy swoją, do końca życia by nam o tym przypominano.

Ar'alani nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

– Jeśli to jedyna rzecz, która cię dzisiaj martwi, starsza kapitan, musisz mieć wyjątkowo przyjemne życie.

– Dziękuję, pani admirał – odparła niewinnie Wutroow. – Staram się. Za pani pozwoleniem, zacznę teraz sprawdzać broń.

Przybyli na miejsce wraz z ostatnim tchnięciem Wszechobecności i ostatnim drgnięciem palców Qiloriego.

– Cóż – skomentował Thrawn, gdy Qilori zdjął z głowy hełm stymulujący deprivację sensoryczną. – Widzę, że generał Yiv ma dla nas jeszcze jedną

niespodziankę.

Qilori zamrugał, zwilżając oczy, suche po wyjściu z transu. Około trzydzieści kilometrów od dziobu frachtowca znajdowała się formacja czterech potężnych pancerników liniowych.

– Czyżby powiedział, że też będzie nieuzbrojony? – zapytał, starając się ukryć zdenerwowanie. Było tu naprawdę dużo wojskowego sprzętu, dobra połowa sił, jakie Nikardunowie mieli w tym regionie.

Założył, że Yiv zadowolony się po prostu przyprowadzeniem na spotkanie „Nieśmiertelnego”. Najwyraźniej Dobroczyńca uznał, że przezorność będzie rozsądniejsza.

– Nie. Oczywiście założyłem też, że zabierze ze sobą dodatkowe okręty – odparł Thrawn. – Miałem na myśli fakt, że to nie są współrzędne z jego wiadomości.

– Jak to nie są? – zapytał Qilori, udając zaskoczenie. Owszem, były to współrzędne, które on sam dostał od Yiva, ale przecież Thrawn nie musiał o tym wiedzieć. – Nie rozumiem. Sam załadowałeś je do komputera pokładowego, nim opuściliśmy Halę.

– Widocznie ktoś je podmienił po tym, jak przekazałem je dyspozytorowi. – Thrawn wskazał na lewo, gdzie w oddali widniała mała kropka – Primea. – Mieliśmy wyjść na wysokiej orbicie planetarnej. Najwyraźniej generał chciał przeprowadzić naszą transakcję w nieco mniej widocznej części układu.

Sięgnął do panelu kontrolnego i włączył komunikator.

– Generale Yiv, mówi starszy kapitan Thrawn. Ufam, że moim towarzyszkom nic nie jest?

Ekran komunikatora rozbłysnął, gdy pojawiła się na nim przekazywana transmisja. Yiv siedział w fotelu dowódcy, a jego naramienne symbionty falowały w swym zwykłym, niepokojącym rytmie. Przed nim na pokładzie klęczały dwie więźniarki. Jedną z nich była kobieta, którą Qilori widział na przyjęciu dyplomatycznym na Primei, gdzie Thrawn i Yiv spotkali się po raz pierwszy – ta, którą Thrawn nazwał zakładniczką rodzinną. Druga wyglądała na znacznie młodszą, nawet nie była nastolatką, choć nosiła ten sam groteskowy makijaż. Jeśli chodziło o tych zakładników, Chissowie najwyraźniej nie przejmowali się ich nawet bardzo młodym wiekiem.

– Sam się przekonaj, w jakim stanie są twoje zakładniczki. – Yiv mocno zaakcentował ostatnie słowo, machając niedbale w stronę kobiet. – Masz okup?

– Tak – potwierdził Thrawn. – Pieniądze są w kapsule transportowej, gotowe do wysłania na twój okręt, gdy moje towarzyszki znajdą się na promie. Oba statki oczywiście jednocześnie wyruszą w przestrzeń.

– Obawiam się, że źle mnie zrozumiałeś, kapitanie – powiedział Yiv, a Qilori wzdrygnął się, słysząc zarozumiałą złośliwość w jego głosie. – To nie pieniądze są okupem. Ty nim jesteś.

– Rozumiem – odparł spokojnie Thrawn. Nawet jeśli nagła zdrada go zaskoczyła, nie można było tego poznać po jego twarzy ani głosie. – Czy planujesz strzelać do mnie stamtąd?

– Ukradłeś jeden z moich statków i zabiłeś jedną z moich załóg. – Samozadowolenie zniknęło z głosu Yiva. – Już tym automatycznie zasłużyłeś na śmierć z moich rąk. Wolałbym zabrać cię na pokład „Nieśmiertelnego”, żebym mógł patrzeć, jak umierasz, ale jeśli będziesz się upierać, z pewnością mogę zabić cię i stąd.

– Nie upieram się – zapewnił go Thrawn. – Chcę się tylko upewnić względem pozostałych ustaleń naszej umowy. Zakładam, że skoro miejsce naszego spotkania się zmieniło, cała reszta oryginalnych ustaleń już nie obowiązuje?

– Prawdopodobnie – przyznał Yiv, a jego samozadowolenie wyraźnie wróciło. Mając już za sobą wydanie wyroku śmierci, Dobroczyńca mógł teraz umościć się w fotelu i przyglądać ostatnim podrygom przeciwnika. – Czy chciałbyś ponownie omówić któreś konkretne ustalenia?

– Pozwól najpierw, że pochwalę cię za wycucie w kwestii zmiany miejsca spotkania – odparł Thrawn. – Przypuszczam, że odniosłeś wrażenie, iż orbita Primei może być zbyt publicznym miejscem? Zwłaszcza że nie chcesz, aby Vakowie zobaczyli, jakimi siłami dysponujesz w tym regionie?

– To nie byłoby dla nich żadną niespodzianką – zapewnił go Yiv. – Widzieli już te okręty, zresztą nie tylko te. To niesamowite, jak obecność pancerników liniowych może przyspieszyć rundkę negocjacji.

– Być może tak jest zazwyczaj – przyznał Thrawn. – Nie wiem jednak, czy także w przypadku ludu takiego jak Vakowie. Byłeś również na tyle mądry, by pozostać w układzie Primea, zamiast przenosić nas gdzie indziej. W ten sposób możesz obliczyć i wykonać skok na orbitę planety w kilka minut.

– Nie spodziewam się żadnego powodu, dla którego miałbym się tam spieszyć. – W głosie Yiva pojawiła się jednak nuta zaniepokojenia, uczucia,

które Qilori, niestety, właśnie zaczął podzielać. Jeśli ktoś miał się tu niepokoić swoją sytuacją, był to Thrawn. Dlaczego zamiast tego prowadził więc niezobowiązującą rozmowę na nieistotne tematy? – Czy sądzisz, że przywódcy Kombinatów nagle zapragną ze mną porozmawiać?

– Niekoniecznie – odparł spokojnie Thrawn. – Pytałeś, do której części naszej umowy chciałem wrócić.

– No i?

– Tylko jednej – wyjaśnił Thrawn. – Tej zakładającej, że przybędę na Primeę sam.

Wir nadprzestrzeni przeszedł w rozbłyśki gwiazd, następnie pojawiły się już same gwiazdy i „Springhawk” przybył na miejsce.

– Dalvu, skan czujników! – rozkazał Samakro, jednocześnie samemu przyglądając się sytuacji. Panował tu duży ruch, statki wszystkich kształtów i rozmiarów wylatywały, przylatywały lub po prostu orbitowały wokół Primei, czekając na swoją kolej. Nic dziwnego w przypadku ośrodka kontaktów handlowych i dyplomatycznych, ale sprawiało, że trudniej było zidentyfikować wroga.

A mogło być to wręcz niemożliwe, jeśli analiza Thrawna dotycząca parametrów nikarduńskich okrętów okazałaby się nieadekwatna do stojącego przed nimi zadania. Gdyby grupa uderzeniowa nie była w stanie wyłuskać z tego mrowia okrętów Yiva, misja dobiegłaby końca, zanim by się nawet zaczęła.

Pozostawiając Thrawna, aby samotnie zmierzył się z Yivem.

– Przybył „CzuJNI”, kapitanie – oznajmiła Dalvu.

– Przyjąłem – potwierdził Samakro, patrząc na Nightdragona, który właśnie pojawił się w pewnej odległości przed „Springhawkiem”. Na jego oczach reszta sił Ar’alani wyskoczyła z nadprzestrzeni. Krążowniki, niszczyciele i łodzie raketowe szybko zbliżyły się do flagowca, ustawiając w formacji osłaniającej. – Kharill, czy mamy już jej sygnał?

– Nadchodzi, sir – potwierdził Kharill. – Otwarty kanał na Primeę i do całej reszty floty.

Rozległo się podwójne kliknięcie.

– Do Centralnego Dowództwa Primei, mówi admirał Ar’alani z Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej – przedstawiła się Ar’alani. – Czy mogę założyć, że otrzymaliście wiadomość od mojego kolegi, starszego kapitana Thrawna?

– Tu Dowództwo – odpowiedział natychmiast urzędowo brzmiący głos. – Otrzymaliśmy.

– A czy ją rozważyliście?

– Owszem – odparł Vak. – Czekamy na potwierdzenie twojej tożsamości i lokalizacji nikarduńskich okrętów.

– Przyjęłam – powiedziała Ar'alani. – Nasi oficerowie w tej chwili zbierają te dane.

– Dalvu? – ponaglił Samakro. – Każda sekunda się liczy.

– Dokładność też się liczy – dodał Kharill.

– Zgoda – przytaknął Samakro, powstrzymując zniecierpliwienie. Orbitujące tu okręty Nikardunów niewątpliwie nawet w tym momencie zgłaszały Yivowi, że przybyła flota Chissów i prosiły o rozkazy. Im dłużej potrwa analiza skanu czujników, tym większe prawdopodobieństwo, że Yiv zleci atak i to Nikardunowie będą strzelać pierwsi.

Normalnie byłaby to dobra rzecz, wymówka, której potrzebowali Chissowie, by móc odpowiedzieć ogniem. W tym przypadku jednak tego rodzaju politykierskie dzielenie włosa na czworo i tak było bezużyteczne.

Ale musieli zachować ostrożność. Zezwolenie na to, by jakiś nikarduński okręt prześlizgnął się niezidentyfikowany pod ich nosem, byłoby wystarczająco złe. Nieumyślnie zestrzelenie niewinnego statku byłoby jednak jeszcze gorsze. Kolejne sekundy mijały nieubłaganie...

– Mam je, sir! – zameldowała Dalvu z wyraźną satysfakcją. – Wykrywam trzydzieści dwie jednostki, od niszczycieli po łodzie rakietowe.

– Mam listę „Czujnego” – wtrącił oficer łączności – a także analizy „Whisperbirda” i „Grayshrike’a”.

– Wszystkie cztery się zgadzają – oznajmiła Dalvu. – Powtarzam: pełne potwierdzenie identyfikacji trzydziestu dwóch okrętów wroga. Wzorzec rozstawienia... Proszę, proszę... – Dotknęła jednego z przycisków i oznakowane statki Nikardunów pojawiły się na ekranie taktycznym.

– No kto by pomyślał? – mruknął Kharill z udawanym zaskoczeniem. – Powiedziałbym, że to blokada.

– Na to wygląda – zgodził się Samakro. Blokadę rozstawiono prawdopodobnie w sposób, który miał zapobiec zabłąkaniu się przypadkowego statku w pobliże konfrontacji Yiva z Thrawnem, gdziekolwiek nie miałyby miejsca.

Ale oczywiście Vakowie nie znali tego powodu.

– „Czujny” wysyła dane do dowództwa Primei – zameldował Kharill.

– Dobrze – odparł Samakro. – Zobaczmy, czy dojdą do właściwych wniosków.

– Lepiej niech się pospieszą! – warknął Kharill. – Yiv nie może przecież nękać takiego układu bez większej floty pod ręką. Wolałbym móc zdjąć mu obrońców, nim do zabawy włączą się atakujący.

– Admirał Ar'alani, tu Dowództwo – odezwał się Vak. – Czy na podstawie tych danych mogę założyć, że znajdujemy się pod nikarduńską blokadą?

– Powiedziałbym, że tak, Dowództwo – potwierdziła Ar'alani. – Czy wycofacie swoje okręty obronne, gdy będziemy robić tu porządek?

– To pytanie zadał także kapitan Thrawn – odparło Dowództwo. – Teraz znamy już odpowiedź. Wycofamy się.

– Dziękuję – rzekła Ar'alani. – Grupa uderzeniowa, macie swoje cele. Atakować bez rozkazu.

– Słyszeliście panią admirał – rzucił Samakro, zaznaczając na swoim ekranie identyfikatory dwóch najbliższych statków Nikardunów. – Zaczniemy od tych dwóch. Azmordi, rusz nas, prędkość maksymalna.

– Nie – powiedział Yiv. Jego wzrok skupiony był na czymś znajdującym się z boku ekranu. Zadowolenie całkowicie zniknęło z jego głosu, zastąpione całkowitym niedowierzaniem i narastającym gniewem. Macki jego symbiontów falowały niespokojnie. – To niemożliwe. Nie jesteś po prostu wystarczająco ważny, aby Chissowie wysłali ci na ratunek flotę wojenną.

– Zakładasz, że to ja jestem powodem tego pokazu siły – stwierdził Thrawn. – Bardziej prawdopodobne, że to sam Kombinat Vak poprosił Dynastię o pomoc.

– Absurd goni absurd! – zakpił Yiv. – Ci głupcy nigdy nie byliby w stanie podjąć takiej decyzji. Nie są nawet bliscy zebrania wszystkich linii myślowych, których potrzebują, nie mówiąc już o rozważeniu ich wszystkich.

– Nie rozumiesz Vaków, generale – powiedział Thrawn. – I to cię zgubi. Czy chciałbyś wiedzieć, co było w wiadomości, którą im wysłałem?

– Wiem, co było w wiadomości – odparł Yiv. – Zabrałem ją twojej zakładniczce.

– I zamieniłeś na coś o wiele bardziej nieszkodliwego – przytaknął Thrawn. – Oczywiście, że to zrobiłeś. Nie zdawałeś sobie jednak sprawy z tego, że zostawiłem inną wiadomość w komputerze myśliwca. Czy chciałbyś usłyszeć, co im powiedziałem?

Yiv ponownie skupił swoją uwagę na komunikatorze, a w jego oczach zapłonął straszliwy ogień.

– Powiedz mi – zachęcił delikatnie.

– Do Dowództwa Primei, tu starszy kapitan Thrawn – wyrecytował Chiss.

– Moja towarzyszka Thalias dostarczyła waszym przedstawicielom wiadomość, której kopię zamieszczam poniżej. Jeśli to ta sama wiadomość, którą już otrzymaliście, wszystko jest w porządku i możecie rozważyć moją ofertę w dowolnym momencie. Jednakże jeśli nie otrzymaliście tej samej wiadomości od mojej towarzyszki, należałoby wnioskować, że niektórzy z waszych oficerów i żołnierzy spiskują z generałem Yivem, aby moje przesłanie nie mogło do was dotrzeć. Jeśli tak jest, zachęcam do rozważenia mojej oferty w najkrótszym możliwym terminie. Aby pomóc wam w podjęciu decyzji, dołączam również dane z innych układów, które miały do czynienia z Nikardunami, a także informacje o statku pełnym uchodźców, których Yiv wymordował. Ja lub moi przedstawiciele w niedalekiej przyszłości przylecimy na Primeę, aby omówić z wami tę sprawę.

Thrawn przerwał i Yiv przez dłuższą chwilę przyglądał mu się w milczeniu.

– Bzdura – powiedział w końcu. – Vakowie nie zrobią tego tak szybko. Nie mogą. Uwzględniają wszystkie linie myślowe. Wszystkie linie myślowe.

Thrawn potrząsnął głową.

– Nie. Oni uwzględniają...

– Przekłęci! – Yiv przerwał mu nagle, a jego wzrok tańczył szaleńczo tam i z powrotem, najwyraźniej przyglądał się otaczającym go ekranom. – Nie! Niemożliwe. Vakowie... – warknął coś jeszcze i obraz nagle zgasł.

– Co się dzieje? – Skrzydełka na policzkach Qiloriego drżały niepowstrzymanie. Trzy minuty temu Dobroczyńca miał wszystko całkowicie pod kontrolą. Co, na Głębie, się tu wydarzyło?

– Zakładam, że admirał Ar'alani zakończyła negocjacje – odparł Thrawn mrożąco spokojnym głosem. – I że Vakowie wyrazili zgodę na ostrzał okrętów z nikarduńskiej blokady.

– Okrętów z blokady? Ale... – Qilori zdusił odruchowy protest. Przecież zwykły najemny Tropiciel nie wiedziałby, że obecne plany Yiva względem Primei nie obejmowały blokady. – Jest jakaś blokada?

– Prawdopodobnie tylko po to, by nikt nie wtrącił się przypadkiem do naszej rozmowy – wyjaśnił oschle Thrawn. – Ale oczywiście Vakowie o tym

nie wiedzą. Widzą jednak, że wstrzymując handel wokół Primei, Yiv odmówił im dostępu do ważnych linii myślowych.

Zwrócił się do Qiloriego, a jego lśniące, czerwone spojrzenie stało się niepokojąco intensywne.

– Powiedz mi, Tropiciele, czy sądzisz, że Yiv będzie potulnie stać i patrzeć, jak jego flota wokół Primei zostaje unicestwiona?

– Nie wiem – odparł bezradnie Qilori. Co miał powiedzieć? – Przypuszczam, że zależy to od tego, czy stać go na utratę tych okrętów.

– Zadajesz złe pytanie – zrugął go Thrawn. – Oczywiście, że stać go na utratę okrętów. Prawdziwe pytanie brzmi, czy stać go na to, by Vakowie zobaczyli, jak poddaje się woli Chissów i kuli przed ich potęgą.

– Z pewnością wszystkie okręty wokół Primei to mniejsze jednostki – zauważył Qilori. – Nie jest powodem do wstydu, gdy małe okręty przegrywają bitwę z dużymi.

– Owszem, jeśli pod ręką znajdują się większe okręty, ale dowódca nie chce narażać ich na ryzyko.

– Może Vakowie nie wiedzą, że ma większe okręty...

– Oczywiście, że wiedzą. – Thrawn zbeształ go ponownie. – Właśnie nam powiedział, że tak jest.

Qilori przeklął sam siebie w duchu. Nie mógł chyba powiedzieć nic głupszego.

– Chciałem tylko...

– Ale to jedynie drobne szczegóły – przerwał mu Thrawn. – Odpowiedź brzmi: nie, nie może pozwolić, by Primea zobaczyła jego słabość. – Wskazał głową iluminator. – Jak zresztą widzisz.

– Jak widzę? – powtórzył Qilori, podążając za spojrzeniem Thrawna. Z czterech nikarduńskich pancerników, które ustawiły się naprzeciwko ich frachtowca...

Pozostał jeden. „Nieśmiertelny” wciąż tu był, mierząc ze swoich nieprzebranych dział w stronę statku Thrawna. Pozostałe trzy pancerniki jednak zniknęły.

– To powinno sprawić, że bitwa stanie się nieco większym wyzwaniem – skomentował Thrawn, dotykając przełącznika komunikacji. – Pod warunkiem, że admirał Ar'alani nie narobiła zbyt wielkiego bałaganu wśród okrętów nikarduńskiej blokady. Nadal tam jesteś, generale?

– Jestem tu, Thrawn. – Wyświetlacz ponownie odżył, ukazując twarz Yiva.

Tyle że nie była to już jowialna, przekonująca, urocza twarz przyjaciela wszystkich ludów, którą Dobroczyńca lubił pokazywać swoim przyszłym podbitym poddanym. Nie malowała się na niej również cicha groźba, jaką Qilori widział wielokrotnie, a która zawsze wywoływała paniczne drgania jego skrzydełek policzkowych, nawet jeśli nie była skierowana do niego.

Ta twarz była czymś nowym. Ta twarz pałała czystą nienawiścią.

– Twoi ludzie zginą za to – warknął Nikardun. – Nie tylko ty. Nie tylko twoja żałosna flota. Wszyscy Chissowie. Dynastia będzie umierać, przemielona jak ziarno, roztarta jak kamień, spalona jak uschnięta trawa. Każdy szczeniak umrze... a ty umrzesz tu i teraz, wiedząc, że ty i tylko ty byłeś bezpośrednią przyczyną ich zniszczenia.

– Wszystko dlatego, że kosztowałem cię przyczółek na Primei? – zapytał Thrawn. Jego głos i twarz pozostawały tak spokojne, jak wrogie były głos i twarz Yiva. – No już, generale. Wystarczy odejść i zacząć od nowa. – Jego rysy stwardniały. – Ale sugeruję, abyś wybrał inną część Chaosu na swoją następną próbę. Ten region nie będzie już dłużej tolerował twoich uśmiechów i obietnic.

– Jak mało wiesz, Chissie.

– W takim razie mnie oświeć – zachęcił go Thrawn. – Powiedz mi, komu służysz lub kto przyjdzie na twoje miejsce. Jeśli jest ktoś jeszcze oprócz Nikardunów, z radością o nim posłucham.

Usta Yiva rozwarły się w uśmiechu, przepelnionym taką samą rozgoryczoną wściekłością jak jego spojrzenie.

– A zatem już zawsze będziesz się nad tym zastanawiać, gdyż zaraz poślę cię do grobu. – Celowo powoli spojrzał w dół na dwie klęczące przed nim kobiety. – Zanim jednak opuścisz ten padół, pokażę ci dokładnie, co zaplanowałem dla całej twojej rasy.

„Springhawk” posłał właśnie w otchłań zapomnienia już trzeci nikarduński patrolowiec, gdy nagle na placu boju pojawiły się trzy pancerniki liniowe.

– No i przyleźli atakujący – oznajmił spokojnie Kharill. – Ładny mikro skok czy cokolwiek tam zrobili.

– Wyglądało raczej jak skok wewnątrzukładowy – rzucił Azmordi zza steru. – Krótszy i nawet łatwiejszy niż mikro.

– A poza tym nie pozostawia wystarczająco dużego śladu, aby wskazać, skąd przybyli – dodała ponuro Dalvu. – A jeśli przylecieli od Yiva, to nadal nie wiemy, gdzie on jest.

Co oznaczało, że nie mogli przyjść Thrawnowi z pomocą, gdyby ich potrzebował. Samakro o tym wiedział. Życie Thrawna leżało teraz w jego własnych rękach. Jeśli się przeliczył względem dowolnego aspektu planu – jeśli potknął się na którymś kroku – to prawdopodobnie tam umrze. Tak jak i wielu innych Chissów.

A „Springhawk” będzie potrzebował nowego kapitana.

„Przestań!” – nakazał sobie Samakro. Thrawn był jego dowódcą, prawowitym kapitanem tego okrętu, a zadaniem pierwszego oficera było wywiązanie się ze swojego obowiązku wobec Ar’alani i Dynastii oraz zwrócenie „Springhawk” jego panu w najlepszym możliwym stanie.

Co nagle okazało się nieco trudniejsze niż jeszcze trzydzieści sekund temu.

– Rozkazy, pani admirał? – zapytał.

– Podzielmy je – odparła Ar’alani. – „Grayshrike”, „Whisperbird”, „Stingfly”, weźcie ten po prawej. Ja biorę tego z lewej. „Springhawk”, środkowy jest twój. Nie angażuj się w pełni, po prostu go czymś zajmij. Reszta pilnuje nam pleców i dobija tamten patrolowiec.

– Przyjąłem – odparł Samakro. A więc „Springhawk” szedł zupełnie sam przeciwko pancernikowi liniowemu? Cudownie.

– Przynajmniej nie spodziewa się, że go po prostu rozwalimy – stwierdził sucho Kharill. – Przypuszczam, że nie ma pan pojęcia, jak „czymś zająć” coś tak wielkiego?

Samakro się uśmiechnął.

– Właściwie – odparł – to wiem.

## Rozdział 22

Groźba Yiva wywołała kolejny dreszcz przebiegający Che’ri po kręgosłupie. Chciał zademonstrować Thrawnowi, co planuje dla wszystkich Chissów. Zamierzał mu to pokazać na przykładzie.

Wiedziała, że mówił o niej. O niej i o Thalias. Thrawn obiecał, że żadnej z nich nie stanie się nic złego, a Che’ri przez cały czas kurczowo trzymała się tej obietnicy.

Teraz wątpliwości zaczęły kruszyć jej niewzruszoną wiarę w kapitana. Thrawn nadal sprawiał wrażenie pewnego siebie, ale on był tam, zupełnie sam, a Che’ri i Thalias znajdowały się tutaj, otoczone przez Nikardunów.

A jednak z jakiegoś powodu odnosiła wrażenie, że Thrawn nadal ma wszystko pod kontrolą. Admirał Ar’alani i flota okrętów Chissów znalazła się nad planetą i zrobiła coś, co tak rozdrażniło lub przeraziło Yiva, że wysłał tam swoje pozostałe trzy duże okręty, aby ją powstrzymać. To musiało być częścią planu, prawda?

Zerknęła z ukosa na Yiva i się skrzywiła. Myliła się. On wcale się nie bał. Był po prostu zły. Zły, pewny siebie i przepełniony nienawiścią.

Pozostali Nikardunowie na mostku rozmawiali w języku, którego nie rozumiała. Ostrożnie, starając się nie przyciągnąć uwagi Yiva, pochyliła się trochę bliżej Thalias.

– Wiesz, o czym mówią? – wyszeptała.

Thalias pokręciła głową.

– To ich własny język – odparła, również szeptem. – Tylko kiedy rozmawiają z nami lub Thrawnem, używają minnisiat lub...

Nagle ktoś wrzasnął niezrozumiale.

Che’ri cofnęła się gwałtownie, a serce zabiło jej mocniej. Wrzask dobiegał z tyłu, wydawał go sam Yiv. Usłyszał, jak rozmawiała z Thalias, a teraz zamierzał ją skrzywdzić. Rozległ się kolejny nieartykułowany wrzask i kątem oka dostrzegła, jak generał wskazuje ręką ponad jej głowę

na innego Nikarduna. Drugi wydukał nerwowo brzmiącą odpowiedź i dotknął przełącznika na swoim panelu kontrolnym...

– Do nikarduńskiego pancernika, tu okręt Chissańskiej Ekspansyjnej Floty Obronnej „Springhawk” – powiedział spokojnym głosem jakiś Chiss. Mówił w minnisiat.

Che’ri zmarszczyła brwi. Czy to mógł być kapitan Samakro? Dlaczego rozmawiał z jednym z nikarduńskich okrętów?

– Sądzę, że powinieneś wiedzieć, że jesteśmy osobistym okrętem starszego kapitana Thrawna – kontynuował Samakro. – W związku z tym potraktuj jako uprzejmość moją propozycję, byś się poddał, zanim cię zniszczymy.

Yiv wydał kolejny krzyk i ponownie dźgnął palcem. Ten sam Nikardun gwałtownie skinął głową i pospiesznie wyłączył transmisję.

Gwałtowny. Nerwowy. Czyżby się bał?

Ostrożnie spojrzała na Thalias. Druga kobieta klęczała idealnie bez ruchu, ale w kąciku jej ust pojawił się niewielki uśmiezek. Che’ri zmarszczyła brwi.

I wtedy zrozumiała. Nikardunowie na mostku „Nieśmiertelnego” się bali, to prawda. Ale nie bali się Thrawna. Lękali się własnego przywódcy. Cokolwiek Samakro chciał osiągnąć tą transmisją, sprawiło to, że Yiv wściekł się jeszcze bardziej niż przed chwilą.

Co może nie wyjść im na dobre, uświadomiła sobie Che’ri, a po plecach przebiegł jej kolejny dreszcz. Historie o Thrawnie wspominały o przypadku, kiedy rozgniewał wroga, aby powstrzymać go od rozsądnego myślenia. Jednak w tym przypadku Yiv przetrzymywał ją i Thalias jako zakładniczki i groził już przecież, że je skrzywdzi. Rozgniewanie go może po prostu sprawić, iż zrobi to szybciej.

– To dobra rada, generale. – Głos Thrawna dobiegał z głośnika. – Pamiętaj, że jeśli będziesz nadal podążał swoją obecną ścieżką, jestem w pełni przygotowany, by cię zniszczyć.

– Twój frachtowiec przeciwko pancernikowi? – wycedził pogardliwie Yiv. – Twojej głupocie dorównuje tylko twoja arogancja. Obie wyznaczą ci drogę do zniszczenia. Cokolwiek teraz zrobisz, umrzesz. Ty i wszyscy Chissowie zginiecie.

– No więc zakończ to wreszcie – zasugerował Thrawn. – Chodź i weź mnie sobie.

Che'ri poczuła, jak jej oddech zmienia się w serię szybkich, płytkich haustów powietrza. Wciąż czuła, że to wszystko było częścią planu Thrawna, ale dalej nie miała pojęcia, na czym on polega.

Z drugiej strony, Thalias się wciąż uśmiechała.

Qilori znowu nie mógł odgadnąć, co robi Thrawn. Ale uśmiezek na ustach Chissa zmroził go do szpiku kości.

On coś knuł. Siedział tu sobie, nie robił nic ani po to, by ruszyć naprzód, ani po to, by się wycofać, zapraszał Yiva, aby ten przyszedł po niego... Ale przecież jedynym możliwym zakończeniem tej gry była całkowita anihilacja Thrawna.

I wtedy do niego dotarło

Yiv skupił się na Thrawnie. Całkowicie i obsesyjnie na Thrawnie. Nic nie odwróciłoby jego uwagi.

Co sprawiło, że „Nieśmiertelny” był całkowicie nieprzygotowany na atak od tyłu.

Qilori poczuł, jak jego skrzydełka policzkowe drżą. Nigdy się nie spodziewał, że zaistnieje potrzeba potajemnego skontaktowania się podczas tej podróży z Dobroczyńcą, a więc nie podłączył się do systemu łączności frachtowca. Jak mógł nadać ostrzeżenie o prowokacji, która ma na celu odwrócenie uwagi Yiva od ataku nadchodzącego z całkowicie nieoczekiwanego kierunku?

– Tropicielu Qilori.

Qilori aż się wzdrygnął.

– Tak?

– Wyglądasz na zdenerwowanego – powiedział Thrawn. – Prawdopodobnie podejrzewasz, że mam gdzieś przygotowane okręty, czekające na dogodny moment do rozpoczęcia ataku?

Skrzydełka Qilori spłaszczyły się. Jak on to, na Głębie, robił?

– Nie wiem nic na ten temat – odparł dyplomatycznie.

– Ale wiesz, jak to można zrobić, prawda? – naciskał Thrawn. – Nawet biorąc pod uwagę zmienione współrzędne, którymi zastąpiłeś te z oryginalnej wiadomości Yiva.

– Ja nie... – urwał, gdy Thrawn spojrzał na niego tymi swoimi świecącymi, czerwonymi oczami. – To nie moja sprawa.

– Daj spokój, Tropicielu, nie bądź taki skromny – rzekł Thrawn. – Obaj to wiemy, choć wiele z ofiar Yiva nigdy na to nie wpadło. Od dłuższego czasu

korzysta ze zdolności Tropicieli do wzajemnego odnajdywania się w nadprzestrzeni, co umożliwi mu koordynowanie ataków.

– Nie, oczywiście, że nie! – zaprotestował odruchowo Qilori. – Bezpośrednia współpraca z siłami wojskowymi byłaby rażącym naruszeniem zasad Gildii Nawigatorów.

– I prawdopodobnie skutkowałaby wyrzuceniem Tropicieli z szeregów organizacji, prawda?

Qilori głośno przełknął ślinę.

– Mogłoby się tak zdarzyć – przyznał.

– Nie tylko mogłoby – oznajmił Thrawn. – W takim razie wolałbyś pewnie, żebym zachował tę wiedzę dla siebie?

Qilori spojrzał na niego.

– Oczywiście – wycedził. – Jaka jest twoja cena?

Thrawn odwrócił się z powrotem do iluminatora.

– Ceną jest zapomnienie o wszystkim, co od tego momentu zobaczysz.

– Dobrze – odparł Qilori.

„To dość prosta obietnica” – powiedział sobie. Yiv prawdopodobnie też by wolał, żeby zapomniał o dzisiejszych wydarzeniach, a przez wiele lat wypełniał polecenia Dobroczyńcy.

– A jeśli chodzi o twoje wcześniejsze obawy – kontynuował Thrawn – to nie ma potrzeby, bym przeprowadzał jakikolwiek atak. Bitwa o Kombinat Vak rozgrywa się właśnie nad Primeą, co pozostawia Yivowi tylko dwie opcje. Pierwsza: może tu zostać i próbować mnie zniszczyć, sprawiając w ten sposób wrażenie, że ucieka przed bitwą. Druga: może odlecieć, aby wesprzeć swoje siły, a tym samym sprawi, że będzie to wyglądało na ucieczkę przede mną. – Wskazał dłonią na „Nieśmiertelnego”. – Nawet teraz próbuje zdecydować, który z tych scenariuszy w mniejszym stopniu zaszkodzi jego reputacji.

– Ciekawe, który wybierze – mruknął Qilori.

Co ważniejsze, potencjalnie zgubne dla Tropicieli informacje zebrane przez Thrawna nie będą żadnym problemem. Nie, kiedy będzie już martwy.

Kolejna nawałnica ognia laserów spektralnych wbiła się w kadłub „Springhawk”, pozbawiając go następnych trzech sekcji osłon elektrostatycznych i żłobiąc kilka świeżych bruzd w metalu burty. „Przynajmniej” – pomyślał Samakro, wykrzykując polecenia – Ar’alani nie będzie mogła powiedzieć, że nie wykonałem jej rozkazów”.

„Springhawk” czymś zajmował pancernik, bez dwóch zdań.

– Uważaj „Springhawk”, dwie kanonierki polują na ciebie od dolnej lewej burty – warknął ostrzegawczo jeden z oficerów znajdujący się na którymś z pozostałych statków Chissów.

– Się robi – powiedział Kharill. Rozległ się podwójny łoskot, gdy dwie sfery plazmowe wystrzeliły w kierunku atakujących kanonierek.

– Gramy dalej – powiedział Samakro, patrząc na ekran taktyczny. Obaj Nikardunowie próbowali uciec z drogi wiązek plazmy. Ale na to było już za późno. Obie kanonierki rozbłysły, gdy dosięgnęły je pociski, rozpylając gorące, zjonizowane gazy bezpośrednio na czujniki i strefy zewnętrznego sterowania, po czym wysyłając fale wysokiego napięcia w głębsze partie okrętów, znajdujące się poniżej metalu kadłuba. Po obu jednostkach przemknęło wiele małych wyładowań, gdy systemy zasilania zostały przeciążone lub przepalone, a sekundę później obie kanonierki dryfowały już obok siebie, chwilowo martwe.

– Azmordi, zawróć nas – rozkazał Samakro. – Ustaw nas za nimi. Użyjemy ich jako tarczy.

– Cokolwiek nam to da – ostrzegł cicho Kharill.

Samakro się skrzywił. Niestety, mogło im to rzeczywiście niewiele dać. Próbował robić uniki, uciekać, zwodzić, a nawet po prostu stawać do walki, ale choć powoli nadgryzał nikarduński pancernik, to „Springhawk” obrywał znacznie poważniej. Nawet częste ataki niektórych chissańskich jednostek nie wystarczyły, by powstrzymać polowanie nikarduńskiego kapitana na jego upatrzoną ofiarę.

Yiv chciał nie tylko śmierci Thrawna. Najwyraźniej chciał zniszczyć wszystko, co było z nim związane.

Kolejne dwie salwy prześlizgnęły się po kadłubie „Springhawka”, nim Azmordiemu udało się doprowadzić ich do względnie bezpiecznej strefy za rufami unieszkodliwionych kanonierek.

– W porządku, możemy chwilę odsapnąć – oznajmił Kharill. – Jakiś pomysł, co dalej?

Samakro się zamyślił. Nadal znajdowali się w dość dużej odległości od pancernika i tylko dlatego nie zostali jeszcze zniszczeni. Ale wektor, którym obecnie lecieli, prowadził ich bliżej napastnika niż kiedykolwiek wcześniej podczas tego starcia.

Co więcej, znajdują się w nieszczej sytuacji, gdy ich tymczasowi nikarduńscy towarzysze podróży włączą na nowo swoje systemy. Ale póki co...

Spojrzał na ekran taktyczny, szybko obliczył odległość. Ledwie w zasięgu, ale może się udać.

– Ile zostało nam jeszcze pocisków przeciwpancernych? – spytał, spoglądając ponad unieruchomionymi kanonierkami na pancernik i jego wyzywająco wielki iluminator mostka.

– Trzy – zameldował Kharill.

– Przygotuj je – rozkazał Samakro. – Oczekajmy jeszcze kilka sekund, podlećmy tak blisko, jak możemy, a potem wystrzel wszystkie trzy prosto w iluminator pancernika.

– Tak jest, sir – odparł nieco niepewnie Kharill. – Zdaje sobie pan sprawę, że już tego próbowałem, prawda?

– Ze znacznie większej odległości – przypomniał mu Samakro. – Jeśli podlecimy wystarczająco blisko, pancernik może je sobie wysadzać, jak tylko sobie życzy, ale kwas nadal nie będzie miał czasu się rozproszyć, nim dotrze do iluminatora.

– Warto spróbować – zgodził się Kharill. – W porządku, pepance gotowe. Na rozkaz!

Samakro odliczał po cichu sekundy, próbując ocenić właściwy moment na otwarcie ognia. Za wcześnie i zmarnują swoje ostatnie pociski przeciwpancerne. Za późno i ryzykują, że dwie kanonierki obok nich przebudzą się i dodadzą swoje salwy do katastrofy, jaką był obecnie stan „Springhawka”.

– Przygotować się do strzału: trzy, dwa, jeden.

Z potrójnym lekkim szarpnięciem trzy pociski przeciwpancerne wystrzeliły w przestrzeń w stronę wrogiego okrętu, przemykając obok unieruchomionych jeszcze kanonierek.

Ledwie je minęły, kiedy sześć laserów spektralnych bluznęło z pancernika, trafiając w pociski i rozrywając je na strzępy.

Wcześniej, niż na to liczył Samakro. Ale w tym przypadku, zniszczenie samych pocisków nie kładło kresu zagrożeniu. Uwolnione masy kwasu wciąż się poruszały, krople płynu wciąż skręcały się i wirowały, gdy ich początkowy pęd nadal prowadził je w kierunku celu. O ile pancernik nie zejdzie im z drogi, a kwas znajdował się już na to zdecydowanie za blisko, musiał zostać trafiony. Samakro wstrzymał oddech...

A potem, prawie w ostatniej chwili, jeden z nikarduńskich patrolowców nadleciał gdzieś z boku, hamując ostro, by przeciąć trasę trzech zbliżających się kul kwasu.

– Jest za mały – mruknął z nadzieją Kharill. – Nie jest w stanie zablokować wszystkich trzech. – Ledwie skończył mówić, gdy pancernik ponownie otworzył ogień.

Ale tym razem jego celem był statek patrolowy Nikardunów. Samakro otworzył z niedowierzaniem usta, a patrolowiec eksplodował, miotając szczątkami we wszystkich kierunkach. Chmura odłamków była, niestety, na tyle duża, że zablokowała drogę wszystkim trzem kulom kwasu.

– Niech to szlag! – warknął Kharill. – Ci goście są pomyleni.

– „Springhawk”, jaki jest twój status? – Z głośnika dobiegł ich głos Ar'alani.

– Nadal tu jesteśmy, pani admirał – odpowiedział Samakro. – Ale nie odmówimy żadnej pomocy, jaką możecie zaoferować.

– A zatem przybywam w samą porę – skwitowała ponuro Ar'alani. – Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale niech tak będzie. Pamiętasz manewr, jakiego Thrawn użył przeciwko Paataatusom, kiedy po raz pierwszy objął dowództwo na „Springhawku”?

Samakro podniósł wzrok na Kharilla, który odwzajemnił spojrzenie z kwaśną miną. Tak, obaj to dobrze pamiętali.

– Tak jest, ma'am – odrzekł jedynie. – Kiedy?

– Zostań jeszcze przez kilka sekund za kanonierkami, które usmażyłeś, a potem skieruj się w stronę niskiej orbity. Dam ci znać, kiedy się wygasić.

– Przyjąłem – odparł Samakro, zastanawiając się, co to niby miało im dać. Pancernik udowodnił już, że jest w stanie podążyć dokądkolwiek – i po czyichkolwiek trupach, wliczając w to własnych ludzi – byleby dopaść „Springhawk”. – Azmordi, przygotuj się... Ruszaj! – „Springhawk” skreślił gwałtownie i oderwał się od kanonierek, mknąc przez pole bitwy w stronę znajdującej się niżej planety. – Przygotować się do wygaszenia. – Odliczył trzy sekundy...

– Teraz! – rozkazała Ar'alani.

– Przyjąłem – zameldował Samakro. Jego oficerowie na całym mostku wyłączali swoje systemy, a ich ekrany ciemniały. Po chwili uruchomiło się przytłumione oświetlenie awaryjne.

„Springhawk” stał się niemal tak bezradny, jak było to tylko możliwe w przypadku okrętu.

Chociaż przynajmniej na razie ich nieuchronne zniszczenie zostało nieco odsunięte w czasie. Strzały pancernika zablokował pojedynek toczący się między dwoma łodziami raketowymi Chissów i nikarduńskim

niszczycielem. Jednak za kilka sekund obecny kurs „Springhawk” wyprowadzi go na otwartą przestrzeń.

– Kapitanie? – odchrząknął Kharill.

– Nie wiem – powiedział Samakro. – Zobaczmy, co siedzi w głowie admirał Ar'alani.

Nie musieli długo czekać.

– Do łodzi patrolowej Kombinatów Vak, mamy okręt z krytyczną awarią systemu podtrzymywania życia! – zawołała Ar'alani. – Żaden z naszych nie jest wystarczająco blisko, aby im pomóc. Czy któryś z twoich statków może to zrobić?

– Do okrętu Chissów, nie jesteśmy żołnierzami – odezwał się jakiś Vak. – Nie możemy ingerować w waszą wojnę.

Samakro wykrzywił usta. „Waszą wojnę?” Chissowie próbowali bronić ojczyzny Vaków, do cholery! Czy to właśnie znaczy „wasza wojna”?

– Wiem i akceptuję to. – Ar'alani najwyraźniej nie chciała debatować nad politycznymi aspektami tej sytuacji. – Ale biorąc pod uwagę okoliczności, z pewnością możesz zaoferować pomoc humanitarną?

– Zrobimy to – zgodził się niechętnie Vak. – Do nikarduńskich okrętów, dwa statki patrolowe lecą z pomocą humanitarną. Nie strzelajcie do nich. Powtarzam, nie strzelajcie do nich.

– Potwierdzam, dowódco Nikardunów – dodała Ar'alani. – Statki Vaków nie przystępują do walki, a jedynie niosą pomoc humanitarną. Nie strzelajcie, powtarzam, nie strzelajcie do nich.

Z przodu, na wysokości prawej części dziobu „Springhawk”, dwa patrolowce Vaków już nadciągały, zmierzając w kierunku rzekomo okaleczonego statku.

– Więc nadal udajemy martwych? – zapytał Kharill. – Jakoś nie wydaje mi się, żeby Nikardun miał odstąpić i uprzejmie pozwolić nam wyzdrowieć, zanim spróbuje nas ponownie rozdeptać.

– Zakładam, że Ar'alani ma jakiś plan...

Chwilę później przestrzeń rozjarzyła się, gdy jeden z dwóch vackich statków rozpadł się w blasku laserowego ognia Nikardunów.

– Nikardun! – Ar'alani warknęła ponownie. – Nie atakujcie! Nie atakujcie!

Równie dobrze mogłaby mówić do ściany. Laser wystrzelił po raz kolejny i drugi statek patrolowy także zniknął.

– Dowódco Nikardunów, te statki nie brały udziału w walce! – wycedziła Ar'alani.

– Może do tej pory i tak było – powiedział zmienionym głosem Kharill. – Ale teraz to się chyba zmieniło.

Samakro zmarszczył brwi. Kharill miał rację. Wszędzie wokół nich patrolowce Vaków, do tej pory umyślnie trzymające się z dala od strefy walki, nagle odpalały silniki. W grupach po trzy i cztery statki zbliżały się do pancernika, ich pociski sunęły w kierunku ogromnego okrętu, a lasery przedzierały się przez osłony elektrostacyjne i wżerały w kadłub.

– Lekcja na dzisiaj – ciągnął Kharill. – Nie skupiaj się tak na jednym wrogu, by dorobić się kolejnych. Gotowy do powstania z martwych?

– Nie, nie – stanowczo zaprzeczył Samakro. – Ar'alani powiedziała, że balansujemy na krawędzi życia i śmierci. Nie wyglądałoby to zbyt dobrze, gdyby nagle się okazało, że tak nie jest.

– Tak, wątpię, aby Vakowie się uradowali, wiedząc, że zostali zdradzeni przez jedną stronę i zmanipulowani przez drugą – zgodził się Kharill. – A zatem?

– Siedzimy cicho – wyjaśnił Samakro. – Staramy się unikać oczywistych ataków. I oglądamy przedstawienie.

– Jaki ma plan?! – krzyknął Yiv, pochylając się, by uderzyć Thalias w tył głowy. – Jaki ma plan?

– Nie wiem – odparła Thalias.

– Sprowadza okręty Chissów, żeby mnie zaatakować! – warknął Yiv, jakby jej nie słyszał. – Nakłania Vaków do spiskowania przeciwko mnie! Jaki ma w tym cel? Co on chce osiągnąć?

Pochylił się i zanurzył palce w jej włosach, zmuszając ją, by zwróciła się przodem do niego.

– Jaki ma plan?

– Ja nie... – Thalias skrzywiła się, gdy uderzył ją w twarz. Udało się jej odwrócić tylko na tyle, by przyjąć cios na ucho zamiast na policzek. Uderzenie wywołało falę bólu i natychmiast zaczęło jej się kręcić w głowie.

– To naprawdę niepotrzebne, generale. – Z głośnika na mostku dobiegał spokojny głos Thrawna. – Moim planem jest odcięcie cię od twoich sił. I już mi się to udało.

– Mogę cię zniszczyć, kiedy tylko zechcę! – wycedził Yiv.

– Kiedy już znajdziesz się na właściwej pozycji – poprawił Thrawn. – Czyli tam, dokąd ci się wcale nie spieszy.

– Chcesz umrzeć szybciej? – rzucił Yiv – Ster, zwiększyć prędkość.

– Myślałem, że chcesz mnie zabrać na pokład „Nieśmiertelnego”, by samemu mnie zabić.

– Sam mnie zaprosiłeś, żebym po ciebie przyleciał – odszczeknęła Yiv. – Zdecyduj się wreszcie.

– To bez znaczenia – odparł Thrawn. – I tak jest za późno. Spędziłeś tu zbyt dużo czasu. Vakowie i twoi ludzie już wywnioskowali, że nie chcesz dołączyć do bitwy o Primeę. Jeśli teraz odleczysz, zostanie to zinterpretowane jako próba ucieczki przede mną. Tak czy inaczej, twoja reputacja została na zawsze zrujnowana.

– Tylko jeśli pozostaną jacyś świadkowie, którzy mogliby opowiedzieć historię inną niż moja – zauważył Yiv.

– Ciekawe, bo o tym samym pomyślałem. Masz już tylko jedno wyjście, tylko jeden sposób na ocalenie swojego imienia i pozycji. Zbliź się tak, by wypuścić wiązkę przechwytyjącą i ściągnij mój statek na pokład. Wyjdę do ciebie, ty pozwolisz moim towarzyszkom przejść na frachtowiec i odlecą w pokoju.

Yiv prychnął pogardliwie.

– Bardzo naciągany plan, Chissie. I stworzony tylko po to, bym znalazł się tam, dokąd i tak planowałem się udać. Gdy teraz o tym myślę, może jednak zniszczę cię tam, gdzie jesteś.

– A co z moimi towarzyszkami?

– Powiedziałem już, że użyję ich do pokazania ci, co zaplanowałem dla całej rasy Chissów – przypomniał mu Yiv. – Choć masz rację, lepiej byłoby, gdybyś znalazł się na pokładzie, aby obejrzeć ich rozczłonkowanie na własne oczy, zamiast przyglądać się temu na ekranach twojego frachtowca.

Che’ri jęknęła cicho. „Wszystko będzie dobrze” – próbowała jej przekazać Thalias. – Będzie dobrze. Wytrzymaj jeszcze tylko trochę”.

– Dobrze więc, generale – powiedział spokojnie Thrawn. – Jeśli jednak zdecydowałeś się stawić mi czoło, niech tak będzie. Czekam zatem na twoją wiązkę ściągającą.

Przez chwilę Yiv nic nie mówił. Z pewnością rozważał słowa Thrawna, szukając w nich zdrady czy podstęp.

Thalias wiedziała jednak, że nic takiego nie znajdzie. Co więcej, Thrawn obrócił sytuację tak, że Yiv był teraz zły i sfrustrowany, a zemsta zajmowała go w stu procentach. Szansa na sprowadzenie Thrawna na

pokład i osobiste wykończenie go po prostu musiała przeważyć wszelkie inne względy.

Yiv wywarczał rozkaz. Na głównym wyświetlaczu pojawiła się niewyraźna niebieska linia, łącząca ikony przedstawiające „Nieśmiertelnego” i frachtowiec Thrawn. Niektóre liczby nagle się zmieniły i frachtowiec ruszył naprzód.

Nadszedł czas.

Thalias spojrzała w bok, przyciągając uwagę Che’ri.

– Koniec z zakładniczkami – mruknęła. Odwróciła się z powrotem do przodu, obserwując frachtowiec, sunący teraz w kierunku okrętu Nikardunów, po czym uniosła dłonie w górę i wsunęła palce pod brzegi makijażu zakładniczki.

Przez chwilę gruby materiał stawiał opór. Thalias walczyła dalej, używając paznokci, by go podważyć. Kątem oka zauważyła, że Che’ri postępuje podobnie. Nagle twarda powierzchnia ustąpiła, łamiąc się i rozpadając na drobne kawałki. Czuła, że skórę twarzy pokrywają pulsujące bąble.

Mgiełka skondensowanej tawy, uprzednio ukryta wewnątrz misternie rzeźbionych gipsowych fałd, wzbijała się w powietrze, wywołując ulotne wrażenie chłodu i wilgoci.

W pierwszej chwili Thalias chciała instynktownie wstrzymać oddech, ale to nic nie dało. Mgiełka natychmiast wdarła się w jej nozdrza, a początkowy miodowy aromat szybko przekształcił się w coś przypominającego palony cukier, gdy środek zaczął wpływać na jej zmysły. Gdy zapach znów się zmienił, poczuła coś na kształt woni świeżo wyprawionej skóry. Gorączkowe rozmowy dookoła stawały się coraz wolniejsze, a obce głosy niższe. Sam mostek zaczął ciemnieć, choć, paradoksalnie, kontrolki i gwiazdy za iluminatorem zdawały się coraz jaśniejsze.

Poczuła, jak jej umysł dokądś odpływa.

Gdy zapadała się w ciemność, nie przypominało to zasypiania, nie pojawiły się żadne zabłąkane myśli i wspomnienia. To było szybsze i pełniejsze, przytępiało rozum i samoświadomość, zaćmiewało rozsądek. A jednak była w stanie skupić się na tyle, aby zobaczyć, że wszystko dzieje się dokładnie tak, jak przewidywał Thrawn.

Mostek był duży, a technicy mogli umieścić jedynie ograniczoną ilość mgiełki pod ich gipsowymi maskami. Ale nawet niewielka ilość narkotyku

wystarczyła, aby wywołać zamieszanie i dezorientację, a to było wszystko, czego potrzebował Thrawn. Gdy mgiełka rozprzestrzeniła się wśród załogi mostka, Thalias zobaczyła – i na wyświetlaczach, i przez iluminator – jak frachtowiec Thrawna skręcił gwałtownie, uwalniając się od promienia ściągającego. Sekundę później skoczył do przodu, pędząc z pełną prędkością prosto w kierunku mostka „Nieśmiertelnego”.

Oczywiście Nikardunowie nie pozostali wobec tego ruchu bezczynni. Gdy Thrawn pędził w ich stronę, Yiv wydał lekko niewyraźny rozkaz, a lasery spektralne wystrzeliły z pancernika w stronę niespodziewanego zagrożenia. Celowali raczej kiepsko i wiele strzałów rozproszyło się w próżni kosmosu. Obrona mostka „Nieśmiertelnego” była jednak silna, a Nikardunowie tylko nieznacznie osłabieni, więc wiele promieni trafiło prosto i celnie.

Nawałnica ognia, która szybko zniszczyłaby osłonę elektrostatyczną i kryjący się za nią nieszczęsny statek, po prostu rozproszyła się na republikańskiej tarczy energetycznej, którą Thrawn i Che’ri przywieźli z Mokivj. Frachtowiec był coraz bliżej... bliżej... obronny ogień laserowy nasilał się...

A potem, w ostatniej sekundzie, szalony pośpiech ustał, a frachtowiec nieco zwolnił. Chwilę później cały pancernik zatrzęsł się, gdy frachtowiec wbił się prosto w olbrzymi iluminator, miażdżąc przednie konsole i członków załogi stojących na jego drodze. Poprzez senne otępienie Thalias poczuła, jak powietrze ucieka nagle przez roztrzaskany iluminator, po czym gwałtowny wiatr ustaje, gdy przerobiony na specjalne zamówienie dziób frachtowca Thrawna dokładnie zatkał otwór, oddzielając mostek od panującej na zewnątrz próżni.

Che’ri powiedziała coś, co brzmiało dziwnie pilnie. Thalias uniosła wzrok, odkrywając ku swemu zdziwieniu, że dziewczynka usiłowała wstać i wisi na prawym ramieniu Yiva, ściągając w dół broń, którą ten ściskał w dłoni. Yiv próbował się uwolnić, jednocześnie okładając Che’ri po głowie i ramionach. Chwila namysłu doprowadziła Thalias do wniosku, że nie powinien tak robić i sama zawisła na ręce, którą uderzał jej podopieczną. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że miała coś jeszcze innego do zrobienia, ale nie pamiętała, co to było.

I wtedy nagle pojawił się Thrawn, wyciągnął broń z ręki Yiva i założył maskę oddechową na twarz Thalias.

– Czy wszystko w porządku? – spytał głosem zniekształconym przez własną maskę.

– Yhmm–mm – odparła radośnie Thalias, a Yiv jakby machnął ręką bez przekonania. Thrawn z łatwością uniknął ataku, pozwalając Nikardunowi ciężko wylądować na podłodze. Chiss poczęstował go kolejną porcją tawy z własnego pojemnika, wprawiając naramienne symbionty w szaleńczy taniec, po czym zwrócił się w stronę Che’ri. Zanim zadał jej to samo pytanie co Thalias, zdążył już założyć dziewczynce jej własną maskę oddechową, a Thalias zaczęło się nieco przejaśniać w głowie.

– Baza danych? – zapytał Thrawn, wykręcając ręce Yivowi i wiążąc mu je za plecami.

– Chyba w tamtej konsolocie – odparła Thalias, dziwiąc się jednocześnie, jak szybko i bezproblemowo jej umysł doszedł do siebie po kontakcie z gazem. – Trzyma również jakiś rodzaj questisa w schowku w lewym podłokietniku fotela.

– Doskonale – rzekł Thrawn. – Bierz jego questis. Ja zabiorę Yiva na pokład frachtowca, a potem zobaczę, co dam radę skopiować, nim reszta załogi przebije się przez właz mostka.

– Nie zniszczymy tego okrętu?

– Nigdy nie zamierzałem zniszczyć jego okrętu – wyjaśnił Thrawn. Sięgnął w dół, przerzucił rękę Yiva przez ramię i podniósł nieprzytomnego Nikarduna z pokładu. – Wszystko, co muszę zrobić, to zniszczyć jego.

– A co z nimi? – naciskała Thalias, wskazując na nikarduńskich członków załogi, drgających lub mamroczących bezradnie na pokładzie. – Kiedy odleciś frachtowcem, na mostek wdrze się próżnia, a oni wszyscy zginą.

Rysy Thrawna stwardniały.

– Jak powiedział Yiv – przypomniał jej cicho – żadnych świadków.

## Wspomnienia XIII

Ar'alani wiedziała, że muszą porozmawiać z Thrawnem o wydarzeniach na Solitairze. Udało się jej jednak znaleźć wystarczająco dużo wymówek, by odkładać nieuniknione, aż prawie dotarli do domu.

W końcu jednak wymówki się skończyły.

— Powinienem był to przewidzieć — powiedział Thrawn, wpatrując się w skądinąd niepozorny zakątek biura Ar'alani. — Powinienem był dostrzec sygnały.

— Nie — odparła Ar'alani. — Ja powinnam, nie ty.

— Bo masz większe doświadczenie?

— Bo nie rozumiesz polityki — stwierdziła Ar'alani. — Polityki, walki o pozycję, waśni, urazów, wyrównywania rachunków — to wszystko sprawy, których nigdy nie byłeś w stanie pojąć.

— Ale dlaczego nie? — zapytał. — Nie, żebym się nie zgadzał, ale przecież to po prostu strategia i taktyka. Inna forma wojny. Dlaczego nie mogę jej rozszyfrować?

— Ponieważ wojna jest stosunkowo prosta — tłumaczyła. — Identyfikujesz cel, zbierasz sojuszników i zasoby, opracowujesz strategię i pokonujesz wroga. A w polityce sojusznicy i cele zmieniają się przez cały czas. O ile nie przewidzisz tych zmian, nie możesz się na nie przygotować.

— Sojusze mogą się zmieniać również podczas wojny.

— Ale potrzeba czasu, aby przemieścić statki i armie oraz zmienić strategię. Akurat, by dostosować się do nowej rzeczywistości. W polityce wszystko dzieje się między wypowiedzianymi i zapisywanymi słowami. Pół godziny rozmowy — mniej, jeśli w grę wchodzi łąpówki — i wszystko się zmienia.

— Rozumiem. — Thrawn odetchnął powoli. — W takim razie muszę się nauczyć i tej formy walki. Przystudiować ją i opanować.

— To by z pewnością pomogło — przytaknęła Ar'alani.

Wiedziała jednak, że on nigdy tego nie zrozumie. Tak jak niektórzy byli głusi na muzykę, Thrawn był głuchy na niuansy i misterne tańce składające się na świat polityki.

Mogła mieć tylko nadzieję, że on i jego przełożeni będą wystarczająco bystrzy, by trzymać go na polu bitwy. Tam i wyłącznie tam przedstawiał prawdziwą wartość dla Dynastii.

Przez wszystkie lata zajmowania się polityką Dynastii Thurfian musiał przełknąć wiele gorzkich pigułek. Ale ten idiotyzm był absolutnie najgorszy ze wszystkich.

— Zrodzony w Próbie — powtórzył, kierując swoje słowa do mężczyzny widniejącego na ekranie wyświetlacza komunikacyjnego. — Po fiasku z Lioainami i Garwianami robicie z niego zrodzonego w Próbie?

— Nie mamy wyboru — rzekł ciężko Mówca Thistian. — Irizi składają mu poważne propozycje.

— Już tego próbowali — przypomniał Thurfian. — Odmówił.

— Nigdy oficjalnie — odparł Mówca. — A wtedy chcieli uczynić go jedynie zrodzonym w Próbie. Z tego, co rozumiem, szykują się teraz, by zaoferować mu status dostojnego krewniaka.

Oczy Thurfiana rozszerzyły się gwałtownie.

— Dostojnego krewniaka? To jakiś absurd.

— Może tak, a może nie. A nawet Thrawn nie jest wystarczająco ślepy, by przegapić polityczne korzyści, jakie by mu to dało. Jedyne, co możemy zrobić, to mieć nadzieję, że woli być zrodzonym w Próbie Mitthem niż dostojnym krewniakiem Irizi.

— Blefują! — upierał się Thurfian. — Próbują nas wmanewrować, abyśmy związali go bliżej z rodziną. A im bliżej nas jest, tym większe polityczne skutki odczujemy, kiedy popełni kolejny wielki błąd.

— Może nie popełni.

— Nie popełni błędu? — prychnął Thurfian. — Nie wierzysz w to ani trochę bardziej niż ja. Ten Chiss jest zagrożeniem. Daj mu wystarczająco dużo czasu, a się spali. A Mitthowie być może spłoną razem z nim.

— A może zrobi coś, co wzniesie Dynastię na wyżyny, których nigdy wcześniej nie osiągnięto.

Thurfian gapił się na niego.

— Żartujesz, prawda? Na wyżyny, których nigdy wcześniej nie osiągnięto?

— To może się zdarzyć — przyznał ze smutkiem Mówca. — A jeśli tak się stanie, nie możemy sobie pozwolić na ryzyko, że cała chwała spłynie na Irizi, zamiast na nas.

— Z całym szacunkiem, Mówco, nie ma mowy o żadnej chwale — mówił gorączkowo Thurfian. — W każdym razie Rada z pewnością nie patrzy na to wszystko przez palce. Już go z powrotem zdegradowali do stopnia komandora.

— Ale dali mu też nowy okręt — zauważył Thistian.

Oczy Thurfiana rozszerzyły się po raz drugi w ciągu niespełna minuty.

— Co zrobili?

— Tym razem ciężki krążownik, „Springhawk” — potwierdził Mówca. — Mówi się też o oddaniu mu grupy bojowej, Drugiej Eskadry Patrolowej.

Thurfian wpatrywał się w Mówcę, czując, jak robi mu się zimno.

— Kto za tym stoi? — zapytał przez zaciśnięte gardło. — Ktoś zbija tu poważny kapitał polityczny. Kto?

— Nie wiem — odparł ciężko Mówca. — Ze strony floty należałoby przypuszczać, że to generał Ba’kif lub ewentualnie admirał Ja’fosc. Ze strony Mitthów... — Pokręcił głową. — Ktoś, kto jest blisko Patriarchy.

— Czy może być to sam Patriarcha?

— Wahałbym się przed przypisywaniem mu tego bezpośrednio. Ale też nie odrzuciłbym tej myśli od razu. Z pewnością życie i kariera Thrawna od samego początku są przez kogoś sterowane.

— To jednak wciąż szaleństwo — oznajmił Thurfian. — Jego porażki i kłopoty wciąż są większe niż jego sukcesy.

— Zgodziłbym się z tym — zaczął Mówca — ale są szaleństwa i szaleństwa. Zajrzałem do obecnych rozkazów Drugiej Eskadry i okazuje się, że ich strefa patrolowa znajduje się w sporej odległości za wschodnią zenitalną krawędzią Dynastii. To rzuciłoby go z dala od naszego centrum polityki.

Thurfian zastanowił się nad tym. Biorąc pod uwagę nieudolność Thrawna w kwestiach politycznych, nie byłoby to najgorsze zadanie, jakie mogli mu dać.

— Będzie też po przeciwnej stronie Dynastii niż Lioaoini i Garwianie.

— Moim zdaniem to tylko kolejny plus — przyznał Mówca. — Znajdują się tam głównie niewielkie nacje, grupy pojedynczych układów, dużo pustej przestrzeni i piraci.

— Świetnie — rzucił kwaśno Thurfian. — Więcej piratów.

— Ale po tej stronie Dynastii jedyną rasą wystarczająco dużą, by wspierać pirackie grupy, są Paataatusowie — zauważył Mówca. — Oznacza to mniejsze szanse na polityczne komplikacje, jeśli Thrawn zdecyduje się na polowanie. Poza tym już zademonstrował, że jeśli musi, to potrafi skopać Paataatusom tyłki i oni o tym wiedzą.

— Przypuszczam — wymruczał Thurfian — że Rada nadal mogła go tam wysłać bez przydzielania własnego okrętu.

— Być może — zgodził się Mówca. — Ale „Springhawk” z pewnością nie jest żadną wielką nagrodą. Nie czeka tam go żadna chwała, a jedynie stres i obowiązki dowódcy. Jak by nie patrzeć, mogło być gorzej.

— Doprawdy? — zripostował Thurfian. Dowódca krążownika i zrodzony w Próbie Mitth. Jeśli mogło być gorzej, średnio potrafił to sobie wyobrazić.

Ale to nie był koniec. Jeśli Thrawn ponownie odrzucił ofertę Irizi i jeśli Mówca Thistran miał rację, twierdząc, że sprawa jest przesądzona — to jeszcze bardziej wpłynie na Zistalmu, stawiając go po stronie Thurfiana. Razem będą mogli kontynuować swoje wysiłki, ponawiając próby wykolejenia kariery Thrawna, nim zrobi coś, z czego Dynastia może się nigdy nie wykaraskać.

I chociaż teraz było ich tylko dwóch, Thurfian nie miał wątpliwości, że w najbliższych dniach i latach dołączy do nich więcej Arystokrów. Jeśli istniała jedna miłość, którą dzielili wszyscy, i która znajdowała się ponad całą polityką rodzinną i kłótniami, była to miłość do Dynastii.

— Spójrz na jasną stronę tego wszystkiego, Thurfianie. — Mówca przerwał jego rozmyślenia. — Czegokolwiek Thrawn teraz nie zrobi, będzie się to przynajmniej ciekawie oglądało.

— Jestem pewien, że tak będzie — skwitował ponuro Thurfian. — Mam tylko nadzieję, że wszyscy to przetrwamy.

## Rozdział 23

Wiesz, nie są z ciebie zadowoleni – ostrzegła go Thalias, ustawiając przed Che’ri talerz z podgrzаныmi trójkątami yapli. Nadeszła pora na obiad, który powinien być odpowiednio zbilansowanym posiłkiem, ale Che’ri chciała yaple, a Thalias postanowiła, że jeden posiłek złożony ze śmieciowego jedzenia jej nie zabije. Niebiosy wiedziały, że dziewczynka zasłużyła na odrobinę wyrozumiałości. – Rozmawiałam z admirał Ar’alani, zanim poszła na przesłuchanie. Powiedziała, że niektórzy Arystokrzy chcą postawić cię w stan oskarżenia za narażenie gwiazdogatorki na niebezpieczeństwo.

– Wiem – odparł Thrawn. – Ale nic im z tego nie przyjdzie. Jak już im powiedziałem, wysłałem ciebie i Che’ri na Primeę, byście zwróciły Vakom myśliwiec i dostarczyły wiadomość, w pełni oczekując, że wrócicie na Csilę następnym dostępnym transportem. To decyzja Yiva sprawiła, że znalazłyście się w niebezpieczeństwie.

Thalias pokiwała głową. Póki co, wszystko było prawdą.

Ale w tym momencie to prawie nie miało znaczenia. Arystokrzy mogli być tak wściekli, jak tylko sobie chcieli, ale wyrazy wdzięczności ze strony Vaków zdecydowanie pozbawiły ich szansy na to, że Thrawn może spotkać jakakolwiek prawdziwa kara.

Nie zaszkodziło też dostarczenie żywego Yiva. Thalias nie miała pojęcia, co Rada i Arystokrzy wydobyli z niego i z danych, które pozyskali z „Nieśmiertelnego”, ale Yiv wydawał się Thalias kimś, kto uwielbia błyszczeć intelektem, nawet jeśli jedyną osobą, która dostrzegała i doceniała ten intelekt, był on sam. Nie miała wątpliwości, że zapiski, w których zachwycał się sam sobą, zawierały dokładne plany względem Dynastii.

– Przynajmniej stajesz się coraz lepszy w polityce – zauważyła. – Gdzieś między Arystokrą i Vakami nauczyłeś się grać w tę grę.

Thrawn potrząsnął głową.

– Nie bardzo. To Ar'alani i generał Ba'kif zajmują się Arystokrami. Co do Vaków, to nigdy nie chodziło ściśle o politykę.

– Nadal tego nie rozumiem – powiedziała Che'ri z ustami pełnymi jedzenia. – Wszyscy mówili, że oni chcą poznać wszystkie punkty widzenia. A potem po prostu stanęli po naszej stronie i zaatakowali Nikardunów, kiedy ich o to poprosiliśmy.

– Właściwie to rozwiązanie tego problemu również wyszło od admirała Ar'alani – wyjaśnił Thrawn. – W ostatniej chwili dostrzegła coś, czego ja nie umiałem zobaczyć.

Thalias wyprostowała się nieco.

– Przeoczyłeś coś?

– Często mi się to zdarza – odparł. – I oczywiście część z tego zrozumiałem. Vakowie chcą poznać wszystkie punkty widzenia – wszystkie linie myślowe – i to zgadza się z moją opinią na ich temat. Ale też przykładają do tych linii różną wagę.

Thalias wróciła myślami do dzieła, które ona i Thrawn widzieli w galerii sztuki na Primei.

– Ale twierdziłeś, że ich sztuka mówi wszystko o liniach myślowych – sprzeciwiła się.

– To prawda – przyznał Thrawn. – Ale gdyby wszystkim liniom nadano jednakową wagę, ich sztuka byłaby zwykłym bazgrołem, bez kierunku i skupienia.

– Więc decydują, które linie myślowe podobają im się najbardziej? – zapytała Che'ri.

– Które im się podobają oraz, co ważniejsze, którym ufają. Naprawdę nie ma w tym nic zaskakującego. Bez względu na to, co mówią inni, zawsze oceniają otrzymane opinie i informacje. Inaczej nie mogliby funkcjonować.

– Rozumiem. – Che'ri się uśmiechnęła. – Kiedy pokazałeś im, że Yiv ukradł twoją wiadomość – że kłamał – przestał być kimś, komu mogliby zaufać.

– Właśnie – potwierdził Thrawn. – A co gorsze z jego punktu widzenia, gdy tak się stało, wszystko inne, co im mówił, stało się podejrzanym.

– Zatem wszystkie jego obietnice i negocjacje powędrowały prosto do kosza – powiedziała Thalias.

– Zgadza się.

– Więc co dostrzegła admirał Ar'alani? – spytała Thalias.

– Przystudiowała historię Vaków i zobaczyła coś dziwnego – wyjaśniał Thrawn. – Mimo wszelkiej pogardy, jaką okazywali im przez lata sąsiedzi, wierząc, że nie są w stanie podjąć żadnej decyzji, wszyscy ci sąsiedzi we wszelkich konfrontacjach bardzo uważali, aby nigdy nie zabić żadnego Vaka w walce.

Thalias spojrzała na Che’ri i dostrzegła odbicie własnego zaskoczenia w twarzy dziewczynki.

– Naprawdę?

– Naprawdę – powiedział Thrawn. – Ponieważ wiedzieli to, co rozumiała Ar’alani. Vakowie cenią wszystkie punkty widzenia, ale kiedy ktoś zostaje zabity, jego linie myślowe znikają na zawsze. To okrada całość Kombinatoru z informacji i zagraża ich kulturze.

– Tak więc atak na pojedynczą jednostkę jest atakiem na całe społeczeństwo. – Thalias pokiwała głową.

– Właśnie. Niezależnie od tego, czy Yiv zdawał sobie z tego sprawę, dowódca pancernika, któremu powierzono zadanie zniszczenia „Springhawka”, najwyraźniej nie dbał o takie subtelności. Ar’alani była w stanie wmanewrować go w zestrzelenie dwóch niebiorących udziału w walce vackich statków, zabicia ich załogi i obudzenia tej kulturowej furii. W tym jednym momencie wszystkie pozostałe linie myślowe nagle zniknęły, a pozostała tylko jedna.

– Ta, w której jednoczą się, aby chronić swój świat i jego lud – mruknęła Thalias.

– A ponieważ mieli do dyspozycji plan bitwy, który już im dałem, nie było miejsca na niezdarność ani pomyłkę. Szybko i skutecznie połączyli siły z okrętami Ar’alani przeciwko Nikardunom.

– I tego wszystkiego dowiedziała się wyłącznie z czytania o ich historii? – zapytała Che’ri.

– Z tego i ze sposobu, w jaki patrzy na wszechświat. – Na ustach Thrawna błąkał się dziwnie smutny uśmiech. – Tam, gdzie ja widzę nie-Chissów jako zasoby, ona widzi osoby.

Thalias spojrzała na Che’ri. Wiele osób postrzegało gwiazdogatorki tylko jako zasoby.

– A to czyni ją dobrą dowódczynią – dodała.

– Rzeczywiście tak jest – zgodził się Thrawn. – Z pewnością lepszą ode mnie.

– Może tak, a może nie – odparła Thalias. – Inny to niekoniecznie lepszy lub gorszy. Inny to po prostu inny.

– To był twój plan bitwy, prawda? – wtrąciła Che’ri. – Ona przeciągnęła ich na naszą stronę, ale razem wygraliście tę walkę.

– Razem z wojownikami jej floty – poprawił ją Thrawn. – Jej oficerowie podążają za nią z ufnością, a nawet z zapałem. Moi podążają za mną, ponieważ są dobrymi chissańskimi wojownikami.

– Więc się zmień – zasugerowała Thalias. – Dowiedz się, jak ona to robi.

– Nie jestem pewien, czy potrafię.

– Nie byłam pewna, czy potrafię latać – powiedziała Che’ri. – A ty mnie tego nauczyłeś.

– A mnie, jak obserwować i myśleć – dodała Thalias. – A co do zaufania, jeśli myślisz, że Che’ri i ja weszliśmy prosto w pułapkę Yiva tylko dlatego, że jesteśmy dobrymi chissańskimi wojownikami, to naprawdę nie rozumiesz ludzi. A przynajmniej nas.

– Oby minęło dużo czasu, zanim któraś z was znowu zostanie zmuszona do takiego okazywania zaufania – odparł Thrawn. – Dynastia wiele wam zawdzięcza, gwiazdogatoro Che’ri i Thalias, zrodzona w Próbie Mitthko.

– Jesteś zrodzoną w Próbie? – Che’ri uśmiechnęła się z zachwytem. – Wow! To wspaniale!

– Dziękuję. – Thalias mrugnęła do Thrawna. – Nie wiedziałam, że już to ogłosili.

– Superbohaterka Mitthów? – Thrawn się uśmiechnął. – Zaufaj mi. Gdyby mogli cię od razu uczynić dostojną krewniaczką, już by to zrobili. Ale i tak się stanie.

– Może – odparła Thalias.

– Jasne, że tak! – krzyknęła Che’ri. – Jesteśmy bohaterkami. Kapitan Thrawn to właśnie powiedział!

– Rzeczywiście jesteście. – Thrawn wstał. – A teraz muszę wrócić do doku naprawczego. „Springhawk” będzie wymagał rozległych napraw, a brygadzysta podobno chciałby, żebym osobiście wysłuchał jego raportu.

– Dziękujemy za odwiedziny – powiedziała Thalias. – Chciałyśmy się z Che’ri dowiedzieć, jak to się wszystko skończyło, ale nikt nie miał czasu z nami porozmawiać.

– Nie ma za co. Mam nadzieję, że będziecie mogli do nas dołączyć na pokładzie „Springhawk” w najbliższej przyszłości.

– Jeśli będziemy miały coś do powiedzenia na ten temat, to tak zrobimy  
– obiecała Thalias.

Oczywiście przy założeniu, że będzie mogła kontynuować swoją pracę jako opiekunka Che’ri. W tej chwili nie było to wcale pewne.

– W takim razie trzymajcie się – powiedział. Skinął głową każdej z nich, odwrócił się i przeszedł przez właz.

Thalias patrzyła, jak odchodził, a słowa Patriarchy odbijały się echem w jej umyśle. „I czuwaj nad swoim dowódcą. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że trzyma on klucz do przyszłości Dynastii, bez względu na to, czy niesie ona triumf czy ostateczne zniszczenie”.

– Thalias?

Thalias się odwróciła i zobaczyła, że Che’ri przygląda się krytycznie uniesionemu w górę yapłowi.

– Tak?

Che’ri jeszcze przez chwilę przyglądała się przekąsce, po czym odłożyła ją z powrotem na talerz.

– Już nie chcę – powiedziała. – Czy teraz mogłabym dostać trochę prawdziwego jedzenia?

– Oczywiście, że tak – odparła z uśmiechem. – Na co dokładnie masz ochotę?

Trans urwał się nagle, a Qilori został wyrwany z kojących objęć Wszehobecności.

Otworzył oczy i zamrugał. Wciąż znajdował się na mostku swojego obecnego statku, umoszczony w specjalnie skonfigurowanym fotelu nawigatora.

Ale światła i ekrany, które powinny pokazywać położenie i status jednostki, były martwe. W jakiś sposób odcięto moc w systemach lotu i nawigacji.

Kiedy zdjął hełm, ku swemu zdziwieniu zauważył, że na mostku nikogo nie ma.

– Halo?! – zawołał niepewnie.

Cisza.

– Halo? – powtórzył, patrząc przez iluminator i próbując wyswobodzić się z pasów. Statek dryfował w kosmosie, pośrodku absolutnie niczego, z dala od gwiazd i planet, które mógłby dostrzec. Co się, na Głębie, stało? – Jest tu ktoś?

– Witaj, Qilori z Uandualonu. – Czyjś kulturalny głos dobiegł z głośnika na mostku. – Wybacz mi przerwę w naszej wspólnej podróży, ale chciałem porozmawiać z tobą na osobności.

– Oczywiście – wydukał Qilori, a jego skrzydełka zatrzepotały mocniej, niż zdarzyło im się to od czasu wielkiej konfrontacji Thrawna z Dobroczyńcą przed dwoma miesiącami. – Tak. Mogę spytać o twoje imię?

– Nie możesz – odparł spokojnie głos. – Opowiedz mi o Yivie Dobroczyńcy.

Qilori poczuł, jak jego skrzydełka drgają. Myślał – miał nadzieję – że to wszystko się wreszcie skończyło. Najwyraźniej tak nie było.

– Ja... nie wiem, co masz na myśli.

– Zniknął – rzekł głos. – Jedna plotka mówi, że zginął w walce. Inna, że uciekł do Chissów lub kogoś innego. Jeszcze inna, że porzucił swoje siły i zamieszkał w luksusie w dalekim zakątku Chaosu. Co ty mi powiesz?

Qilori przycisnął skrzydełka do policzków, próbując zmusić je do bezruchu. Thrawn ostrzegł go, że nawet jedno słowo na temat losu Yiva zakończy się wyrzuceniem Qiloriego z Tropicieli, a Tropicieli z Gildii Nawigatorów.

– Ja... nie...

– Widzisz, gdzie jesteś? – wtrącił głos. – Znajdujemy się między układami gwiazdnymi, lata świetlne skądkolwiek. Gdybyś teraz wyszedł na zewnątrz, twoje ciało już na zawsze unosiłoby się w pustce, a nikt nie dowiedziałby się, co ci się przytrafiło. Wolisz to od odpowiedzi na moje pytanie?

– Nie – szepnął Qilori. – Yiv został... złapany. Został zabrany przez Chissów. Starszego kapitana Thrawna.

– A Przeznaczenie Nikardun?

Qilori machnął bezradnie dłonią.

– To Yiv był Przeznaczeniem Nikardun – westchnął. – Był jego niekwestionowanym liderem. Kiedy zniknął... nie było nikogo, kto mógłby zająć jego miejsce. Nikogo, kto mógłby podtrzymać relacje, które zbudował z obcymi rządami. Niepewność względem jego losu... już samo to powstrzymało plany i myśli ich wszystkich. A kiedy Vakowie zaczęli opowiadać wszem wobec w regionie, jak jego okręty do nich strzelały... – Potrząsnął głową. – Wszystko się po prostu rozpadło. Niektórzy z jego kadry wciąż gadają o ponownym wkroczeniu na drogę podboju, ale nikt już nie wierzy w ich słowa. Nawet jeśli spróbują, to i tak skończą, walcząc sami ze sobą.

– A co się stało z mapą Yiva, prowadzącą do tego podboju?

Qilori westchnął.

– Chissowie dorwali Yiva. Prawdopodobnie dostali też mapę i wszystko inne.

Głos zamilkł na chwilę.

– Miałeś przed sobą świetlaną przyszłość. Czy chcesz powrócić na prowadzącą do niej ścieżkę?

– Przecież mówiłem, że Nikardunów już nie ma.

Rozległo się ciche parsknięcie.

– Nikardunowie byli głupcami. Brutalnymi, destrukcyjnymi głupcami. Na swój sposób przydatnymi, ale zawsze wiedzieliśmy, że pękną niczym fale oceanu, jeśli kiedykolwiek napotkają zbyt mocny falochron.

– Byłeś zatem panem Dobroczyńcy? – zapytał Qilori.

Natychmiast pożałował swojej impulsywności. Było jasne, że miał tu odpowiadać na pytania, a nie je zadawać. Głęboka, zimna pustka przestrzeni...

– Zakładasz zatem, że tylko jeden wojskowy umysł może postrzegać Chissów jako główną przeszkodę w dominacji nad Chaosem? – zapytał głos. Qilori z ulgą zauważył, że w jego tonie pobrzmiwa bardziej ponure rozbawienie niż gniew. – Nie, Qilori z Uandualonu. Gdybyśmy kierowali wysiłkami Yiva, zamiast tylko je obserwować, odniósłby znacznie większy sukces.

– Oczywiście. – Qilori pochylił głowę. – Przepraszam za obrazę, jakiej się dopuściłem.

– Nikt się nie obraził. W każdym razie frontalny atak się nie powiódł. Tak, jak przewidywało to wielu z nas. Najwyraźniej potrzebne będzie coś bardziej subtelnego.

Qilori nadstawił uszu.

– Jesteś wrogiem Chissów?

– Czy stanowi to jakiś problem?

– Wręcz przeciwnie – zapewnił go Qilori. – Odebrali mi moje prawdziwe życie. Jeśli twoja oferta świetlanej przyszłości obejmuje zemstę na Chissach, możesz brać mnie pod uwagę.

– Świetnie.

Nagle ekrany i kontrolki ożyły. Qilori zrobił głęboki wdech, patrząc, jak oznaczenia wszystkich systemów zapalają się na zielono, a wyświetlacz

lokalizacyjny sam się kalibruje. Jego wcześniejsza ocena była prawidłowa: znajdowali się pośrodku niczego.

– Możesz kontynuować naszą podróż – zezwolił głos. – Później jeszcze porozmawiamy.

– Tak – odparł Qilori. – Czy mogę... jeśli nie mogę poznać twojego imienia, czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, jak mam się do ciebie zwracać?

– Jixtus – rzekł głos. – Możesz nazywać mnie Jixtus. Dobrze sobie zapamiętaj to imię, Qilori z Uandualonu. To imię tego, który ostatecznie i całkowicie zniszczy Dynastię Chissów.

TIMOTHY ZAHN jest autorem ponad sześćdziesięciu powieści, ponad stu opowiadań i nowel oraz pięciu zbiorów opowiadań.

W 1984 roku zdobył Nagrodę Hugo za najlepszą nowelę. Zahn jest najbardziej znany ze swoich powieści osadzonych w świecie Gwiezdných wojen (Thrawn, Thrawn: Sojusze, Thrawn: Zdrada, Dziedzic Imperium, Ciemna Strona Mocy, Ostatni rozkaz, Widmo przeszłości, Wizja przyszłości, Rozbitkowie z Nirauan, Poza galaktykę, Posłuszeństwo, Ręka sprawiedliwości i Skok millenium). Wydrukowano ponad osiem milionów egzemplarzy jego książek.

Inne książki to StarCraft: Evolution, seria Kobra, seria Quadrail i seria dla nastolatków Dragonback.

Zahn uzyskał licencjat z fizyki na Uniwersytecie Stanu Michigan oraz tytuł magistra na Uniwersytecie Illinois.

Mieszka z rodziną w Oregonie.

[Facebook.com/TimothyZahn](https://www.facebook.com/TimothyZahn)